TRYLOGIA POMORSKA

KRZYSZTOF A. ZAJAS

SKOWYT NOCY

MARGINESY

KRZYSZTOF A.
ZAJAS

SKOWYT NOCY

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog. Zabij mnie szybko

I. Milczenie

II. Zwierzę jest cicho

III. Klepsydra

IV. Bycze oko

V. Nie będzie mówione

VI. Hamburger z krasawicą

VII. Skowyt nocy

VIII. Córki

IX. Człowiekopies

X. Złoty strzał

XI. Ćwierć sekundy

XII. Sprzątanie i powrót

Wydawca ADAM PLUSZKA
Redaktorka prowadząca AGNIESZKA RADTKE
Redakcja KAROLINA MACIOS
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK
Projekt okładki i stron tytułowych PIOTR ZDANOWICZ
Zdjęcie na okładce © Tim Robinson / Arcangel
Łamanie manufaktura | manufaktu-ar.com

Copyright © by Krzysztof A. Zajas
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2020

Warszawa 2020
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66335-66-0

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Pamięci mojego brata Janusza. Niecierpliwie czekał na tę książkę i mam nadzieję, że jakoś ją Tam przeczyta.

PROLOG

Zabij mnie szybko

Woda jeziora była matowa i zielona. Unosiły się w niej drobinki, jakie można zobaczyć na dnie długo nieczyszczonego akwarium. Miał kiedyś akwarium, gdy mieszkał jeszcze z rodzicami w Nowej Hucie – kochanej, małej i brzydkiej krainie, odległej teraz o całe lata świetlne. Z jego piersi wyrwał się krótki jęk, a ciało opadło i zawisło na przykutych do ściany ramionach. Niewiele sił mu zostało, zaledwie tyle, by nie zemdleć. Ręce ścierpły, więc spróbował zmienić pozycję. Daremnie.

Kała jest szaleńcem. Zamknął go w podziemnym bunkrze, ciężką sztabą zaryglował żelazne drzwi i jakby tego było mało, jeszcze przypiął kajdankami do ściany. Kompletny wariat. Takiego najtrudniej rozgryźć. Co dla Lucka oznaczało dodatkowe pogorszenie i tak już beznadziejnej sytuacji. Beznadziejnej? Bałyś, bądź ze sobą szczery – nie żyjesz.

Jedyny podłużny iluminator bunkra wychodził na zbiornik wodny. W jego mętnym oku zamigotał właśnie srebrny błysk. Zwinna rybka pacnęła pyszczkiem w szybę, zakręciła się w kółko i zniknęła. Zobaczyła trupa i uciekła, pomyślał ponuro Lucek. Na jej miejscu zrobiłby to samo. Musiał wyglądać okropnie z rozkrzyżowanymi rękami, obwisłą głową, pokrytą plamami zakrzepłej krwi i nagim, posiniaczonym torsem, na którym Kała znaczył kolejne stacje swej zemsty.

Skąd się tu wziął? Jakie złośliwe i nieprzejednane w okrucieństwie licho przywiodło go aż tutaj, do wilgotnych podziemi obcego Pomorza, gdzie umrze tak absurdalnie i niepotrzebnie, jak tylko można sobie wyobrazić? I właściwie za co? Za nieswoje grzechy sprzed lat, już dawno zapomniane przez sprawcę i ofiarę? Tylko ześwirowany Stryjaszek Samo Zło wciąż

pamięta i bierze spóźniony, ale za to całkowicie paranoidalny odwet. Gdzie sens, gdzie logika?

Przypomniał sobie swoje wyczyny sprzed trzech tygodni i jego zdecydowane przekonanie trafił szlag. Nie, Bałyś, nie ma ludzi niewinnych i bezgrzesznych, są tylko tacy, którzy swoich grzechów nie widzą.

Za oknem, dostojnie rozkołysany, przepłynął długaśny patyk, powoli kręcąc się wokół własnej osi jak rożen do pieczenia barana. Bałyś, sam jesteś baranim rożnem. Ki diabeł cię podkusił, żeby w pojedynkę rzucać się z gołymi pięściami na uzbrojoną po zęby słupską mafię ze stojącym na czele maniakiem historycznych rekonstrukcji, organizowanych w scenerii poniemieckich bunkrów? Równie dobrze mogłeś podnieść klapę w ogródku i na prostych nogach wskoczyć do szamba. Tak byłoby nawet lepiej. Szybciej. I metafora bardziej plastyczna. Podobno w szambie najpierw traci się przytomność z braku tlenu, a dopiero później się tonie. To nie tak źle. Tak źle i tak niedobrze... Niedobrze mi... Dobrze mi tak... Tak mi źle...

Na chwilę odjechał. Nagle, ni stąd, ni zowąd, poczuł zapach włosów Dominiki, jej ulubionego szamponu o niemożliwej do zapamiętania francuskiej nazwie, brzoskwiniowej skóry na karku, płynu do zmiękczania tkanin, w którym uprała rozpiętą bluzkę... Przełknął ślinę. Nie, żadne szambo. Ratuj się. Trzy razy wciągnął głęboko powietrze, licząc na ulgę, która nie nadeszła. Zapach nasilał się, coraz bardziej chemiczny i nieprzyjemny, aż do szczypania w nosie. Bałyś kichnął i wtedy odzyskał wzrok. Dominika tu była. Na jego kichnięcie odwróciła się, ukazując wykrzywioną z wściekłości twarz. Spróbował się zasłonić, ale nie miał jak, i poczuł piekący ból policzka. Uderzyła ponownie, i jeszcze raz. Chciał na nią spojrzeć, jednak nie mógł. Jego oczy były jakby zaklejone. Nie, nie odzyskał wzroku, to tylko drobna modyfikacja nieprzytomności.

Plask! Czwarty raz.

– Hej, żołnierzu! Pobudka!

Uniósł żelazne pokrywy powiek i przeszył go bolesny dreszcz. Jednak nie Dominika, tylko szambo. A ściślej rzecz biorąc, Kała z szamba. Czy ten facet zdawał sobie sprawę z brutalnej szczerości swego nazwiska?

– Nie śpij, bo przegapisz wyzwolenie!

Nie wiadomo, czy Artura Kałę bardziej ucieszył dowcipny bon mot czy widok zwisającego ze ściany podkomisarza Lucjana Bałysia, dość powiedzieć, że zaniósł się sytym, szczerym śmiechem i pomieszczenie wypełnił astmatyczny charkot. Lucek znowu zamknął oczy.

– Nie bądź dzieckiem – powiedział Kała, gdy minęło mu rozbawienie wracającego z zaświatów suchotnika. – Nie znikniesz dlatego, że zamkniesz oczy, nie ma tak dobrze. Chcę, żebyś – przybliżył twarz do twarzy Lucka – to widział.

– Co?

– Jego śmierć – odparł Kała.

Lucek skrzywił się od nieświeżego oddechu swojego oprawcy. Szambo.

Nie pomyślał o tym. W ogóle miał trudności z myśleniem. Niełatwo nie mieć trudności z myśleniem, gdy ma się trudności z oddychaniem i krążeniem. Nieważne. Pojął, że Kała nie chce go zabić, przynajmniej nie od razu, tylko trzyma na przynętę dla Krzyckiego. Lucek już raz odgrywał tę rolę, niedawno, w ciasnym pomieszczeniu innego bunkra, tuż nad morzem. Wiedział to, bo podczas wysiadania z samochodu Kały szybko zaczerpnął świeżego morskiego powietrza. Kiedy to było? Na podstawie ciemnienia i jaśnienia wody za iluminatorem liczył mijające dni i wychodziło mu, że dwa tygodnie temu. Dwanaście dni tutaj plus dwa na przejazd i postój w opuszczonej szopie pośrodku wielkiego pola. Niestety, nie znał tych terenów i nie miał pojęcia, co to za miejsce. Gdyby posłuchał Dominiki, która radziła mu poczytać trochę o historii Pomorza... Kała zastawił wtedy skomplikowaną pułapkę na Krzyckiego, ale plan się nie powiódł, dlatego przetransportował swoją przynętę do kolejnej poniemieckiej dziury i przyrządził zgodnie z najlepszymi wzorami mrocznej sensacji, inspirowanej tematyką biblijną. Te rozkrzyżowane ramiona na ścianie...

W przeciwieństwie do Kały wcale nie był taki pewien, że Andrzej Krzycki natychmiast przybędzie na pomoc. Nie zdziwiłby się, gdyby nie przybył w ogóle. Ich ostatnia rozmowa przebiegła, delikatnie rzecz

ujmując, według nie najsympatyczniejszych parametrów, i to głównie z powodu Lucka. Wściekł się na Andrzeja za... za... No właśnie. Nie umiał nawet rozstrzygnąć, czy wściekł się za coś czy za nic. Obie wersje brzmiały równie wiarygodnie. Gdyby miał więcej czasu i sprawdził jeszcze...

Znów policzek. Kała chciał być słuchany.

– Słuchaj, Lucek... Mogę tak do ciebie mówić? Lucek?

– Nie.

– Słuchaj, Lucek, w łowieniu na żywca, jak sama nazwa wskazuje, przynęta musi być żywa. A ty wyglądasz naprawdę okropnie! – powiedział tonem kogoś, kto nie ma pojęcia, dlaczego Bałyś wygląda okropnie. – Postanowiłem nieco ulżyć twoim cierpieniom i pozwolić ci w nocy spać na leżąco. Co ty na to? Wspaniale, prawda?

Dotychczas Bałyś spał na wisząco, opierając się plecami o ścianę.

– Peesgie... – wymamrotał półgłosem.

Kała teatralnie nadstawił ucha.

– Co to znaczy, żołnierzyku?

– Pierdol się, gliniarzu. Ulubione powiedzon...

Plask! I jeszcze raz.

– Wiesz, Lucuś, masz taką gładką twarzyczkę. Aż przyjemnie w nią walić. Jakbym macał cycuszki dziewicy. Ty pedzio jesteś, co nie?

Pokój wypełnił rechot. Kała trafił w czuły punkt Bałysia, który bardziej niż od fizycznych udręk cierpiał z powodu delikatnego, nieledwie dziewczęcego wyglądu. Natura obdarzyła go szczupłą budową ciała i pogodnym usposobieniem, uzupełniając obraz wydatnymi ustami i blond fryzurą z malowniczym loczkiem na czole, więc większość krótkiego życia Lucka zeszła mu na udowadnianiu, że nie jest tym, na kogo wygląda. Czyli zniewieściałym chuchrem. Począwszy od maniakalnie uprawianych sztuk walki, przez ukończoną szkołę policyjną, po brawurowe i przekraczające wszelkie granice poczucie humoru – podkomisarz Lucjan Bałyś zwalczał panieński image na wszelkie sposoby. Ostatnio posunął się nawet do ogolenia głowy, porosłej teraz trzytygodniową szczecinką. Posunął się

także do zdrady... Jak wnioskował ze swego aktualnego położenia, los postanowił nie zwlekać z wymierzeniem adekwatnej i natychmiastowej kary. To twoje brzemię, Bałyś, i masz je dźwigać, a nie robić sobie jaja...

– Wiem, bolesne – ciągnął Kała, gadając w zasadzie do siebie. – Przyjaźń jest taka piękna i głupio przez nią umierać. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie. Bo widzisz, Bałyś, ja z powodu tamtej historii dawno już umarłem, tak dawno, że nawet nie pamiętam, czy w ogóle żyłem. I pewnie zapomniałbym o niej, dokładnie tak samo, jak o niej zapomniał Andrzej Krzycki, któremu wydawało się, że wystarczy uciec na drugi koniec Polski i nie pokazywać mi się więcej na oczy, a będzie po sprawie. Zapomniałbym, gdyby nie śmierć Lidki. Wiesz, jak jest z prawdziwą miłością do kobiety, żołnierzyku? Nie wiesz, bo jesteś pedzio. Taka miłość to najważniejsza sprawa na świecie, jedyna naprawdę ważna, i jeśli ktoś na nią napluje, nic już potem nie jest takie samo. Z nas trzech... – zakreślił w powietrzu wymowny trójkąt – ja jeden przeżyłem coś takiego, dlatego wiem, co robię. A ty, karateko od siedmiu boleści, wiesz? Wiesz?

Przykuty do ściany i wyczerpany dwutygodniową poniewierką Bałyś nie mógł zrobić tego, o czym marzył: kopnąć z półobrotu w tę rozgadaną i cuchnącą gębę. Teraz jednak Kała zbliżył się na odległość ciosu głową i Lucek już naprężył kark... Ale zrezygnował. W psychotycznej mowie jego oprawcy tkwiło ziarno prawdy. Jeśli prawdą była choć połowa powtarzanych przy każdych odwiedzinach historii, Andrzej Krzycki przed laty naprawdę go skrzywdził. I to w formie na tyle podłej, że Kała miał prawo się mścić. W jakimś sensie nawet miał prawo mścić się też na nim – jedynym przyjacielu Krzyckiego. Tu jednak pojawiało się diaboliczne dla obolałej głowy Lucka pytanie o wartość tej przyjaźni. Czy mógł być jej pewien? Czy znał Andrzeja tak dobrze, jak mu się wydawało? Wolał nie roztrząsać teraz wszystkich możliwych scenariuszy, wystarczyło, że sprowadzały się one do jednego zasadniczego pytania: przyjdzie czy nie?

– Zastanawiasz się, czy przyjdzie, co? – spytał nagle Kała. Lucka zdumiała jego przenikliwość. – Bądź spokojny, przyjdzie. A gdyby przypadkiem nie przyszedł...

Człowiek o nieświeżym oddechu zawiesił głos, zostawiając skutemu Bałysiowi miejsce na łatwy domysł. Ten jednak od dywagacji wolał rzeczywistość, która potrafi czasem przyjąć najbardziej nieoczekiwane formy. W tej chwili na przykład przedzierzgnęła się w poezję metaforyczną i niejako w imieniu Lucka snuła domysły i aluzje. Artur Kała mówił, podkomisarz Bałyś nie słuchał, a za okrągłym okienkiem iluminatora jak w teatrze przepływały coraz większe przedmioty. Z tamtego, normalnego świata dochodziły głuche pomruki. Po jednym z nich, szczególnie potężnym, woda wyraźnie zmętniała. Burza. Piorun uderzył w zbiornik wodny. Poruszył osad denny i wzniecił drugą burzę, podwodną. Widoczność za szybą zmalała do kilkudziesięciu centymetrów.

I właśnie w tej zmętniałej wodzie rozpoczął się spektakl. Najpierw za iluminatorem przepłynął kawałek kości miednicowej, niewątpliwie ludzkiej. Ledwie zniknął za półkolem nitów po lewej, z prawej wyłonił się następny. Tym razem był to cały piszczel, który na środku okienka zakręcił się wokół własnej osi, po czym z wdziękiem stuknął o szybę. Kiedy Lucek mrugał opuchniętymi powiekami, by wyostrzyć wzrok i rozwiać okropną marę, piszczel odpłynął na lewo, a z przeciwległej strony pojawił się kolejny. Ten dla odmiany wirował pionowo jak... jak... jak skrzydła wiatraka. Kała wciąż gadał, stojąc twarzą do niego i tyłem do okna, nie mógł więc widzieć tego niesamowitego przedstawienia. Lucek z zafascynowaniem patrzył. Drugi piszczel zniknął i woda nieco się uspokoiła. Czyżby? Już koniec? A co z najważniejszym?

Przypłynęła. Brązowa i owiana mgiełką mułu, z którego wytoczyła się po uderzeniu pioruna. Obracała się powoli, z dostojeństwem zaprawdę godnym majestatu śmierci, jakby nieboszczyk chciał sobie dokładnie obejrzeć nowe otoczenie, w jakie pchnęła go podwodna burza. Z czarnych oczodołów sączyły się smugi burej zawiesiny, malując na wyszczerzonej twarzy wyraz upiornej rozkoszy. Luckiem wstrząsnął dreszcz. Gładki czerep czaszki machinalnie zrymował z własną łysiną i zrobiło mu się niedobrze. Mimo to patrzył w iluminator jak zahipnotyzowany.

– Co się tak trzęsiesz? Będziesz tu teraz srał ze strachu?

Czaszka odbiła się od szyby i wywracając oczodołami, łypnęła na niego z uśmiechem – szyderczym? Ale dlaczego? Dlatego, że ona już wie. Przyjdzie? Nie przyjdzie? Przełknął ślinę. Kała wreszcie się zorientował, że coś dzieje się za jego plecami. Dokładnie w momencie, kiedy się odwracał, czaszka, energicznie pchnięta od tyłu nowym prądem, pochyliła się w dół, a potem uniosła w górę. Skinęła?

Kała musiał podobnie odczytać komunikat z zaświatów, ponieważ się zdenerwował.

– Co się tak gapisz? Stary cmentarz niemiecki. Tu wszędzie pełno kości.

Bezskutecznie usiłował zagadać to, co i do niego właśnie dotarło. Podszedł do okna i uderzył pięścią w szybę, a czaszka skinęła ponownie, po czym szczerząc brązowe zęby, wypuściła kłąb mułu wprost w pobladłe oblicze Kały.

Ten krzyknął.

– Co to, kurwa, ma być?!

Odwrócił się i jego wściekły wzrok zawisł na pewnej siebie, niewzruszonej i niewątpliwie żywej twarzy Lucka Bałysia.

– Zabij mnie szybko – powiedział więzień. – Żebyś zdążył.

Trwał nieruchomo, dopóki czaszka nie odpłynęła w ciemną podwodną czeluść.

Plask!

I

Milczenie

1

– Andrzej, obudź się, słyszysz? Obuuudź sięęę!

Szarpała mocniej i mocniej. Dopiero kiedy płyn w stojącej obok kroplówce niebezpiecznie zachlupotał, przestała. Pacjent jakby na to właśnie czekał. Otworzył oczy. Ścisnęła go za rękę.

– Jesteś, nareszcie. Widzisz mnie?

Odwzajemnił uścisk i Dorota odetchnęła z ulgą. Od tygodnia, kiedy to przywieźli go na OIOM zatrutego oparami cyjanowodoru i prawie nieprzytomnego, z Andrzejem niemal nie było kontaktu. Na całe godziny zapadał w niespokojny, pełen szamotaniny i jęków sen, z którego nie tyle budził się, ile przechodził w stan półjawy, z oczami wbitymi w sufit i milczącymi, zbielałymi ustami. Nachylała się, próbując napotkać jego wzrok, nie miała jednak pewności, że ją widzi. W ostrych i błyszczących źrenicach dostrzegała tamtego bystrego Andrzeja Krzyckiego, ale na żadne z jej pytań nie odpowiedział, nie zamrugał nawet, tylko patrzył nieruchomo jak lalka. Inteligentna lalka. Inteligentna i nieobecna. Dlatego tak bardzo ucieszył ją ten odwzajemniony uścisk.

– Andrzej, widzisz mnie? Jeśli tak, mrugnij dwa razy. DWA RAZY!

Pokazała palce ułożone w V, aby mu przypomnieć, ile to jest dwa. Widział i słyszał, czuła to, niepokoiło ją co innego. Przez trzy lata wspólnego życia zdążyła poznać go od różnych stron, także od tej zawziętej i nieustępliwej, ulokowanej w ciasnej komórce na zapleczu życia. Potrafił zamykać się w niej na całe dnie i tygodnie. Tu uśmiech, układność i mechaniczne wypełnianie codziennych obowiązków, a tam mrok. Na

początku nawet jej to schlebiało. Też miała swoją ciemną stronę i tłumaczyła sobie, że to ich właśnie łączy, bardziej nawet niż tak zwana miłość. Ostatnimi czasy jednak przeczuwała w Andrzeju zmiany. Odnajdywała w nim jakby... emocjonalne przesunięcia wykraczające poza ich małą, prywatną wspólnotę mroku. Może dlatego tak zależało jej na ponownym nawiązaniu z nim kontaktu, tu, w szpitalnej izolatce, w której od tygodnia próbował dojść do siebie. Pośród różnych informacji i komentarzy, jakimi zasypywano ją od pierwszego dnia hospitalizacji, zapamiętała zwłaszcza uwagę wygłoszoną przez sympatycznego lekarza: „Gdyby przepychał się przez ten tunel pięć minut dłużej, już by nie żył”.

Andrzej został zamknięty przez gangstera w schronie pod ziemią i potraktowany cyklonem B ze starej niemieckiej puszki. Facet miał fioła na punkcie rekonstrukcji historycznych i zainscenizował sytuację rodem ze starego filmu wojennego, wykorzystując jeden z podziemnych bunkrów niedaleko Kołobrzegu, a w rolach głównych wystąpili inspektor Andrzej Krzycki jako rychły denat oraz rzeczony cyjanowodór jako sprawca. Jej mąż zdołał wydostać się z bunkra przez wąski tunel wentylacyjny i wszyscy – oprócz najszczerszego współczucia – równie szczerze zachodzili w głowę, jakim cudem mu się to udało. Sam bohater dotychczas nie zabrał głosu w tej sprawie. W ogóle nie zabrał głosu na żaden temat. Milczał jak...

Nie, lepiej tego nie mówić.

– Andrzej, słyszysz mnie?

Nie umiała się w tym wszystkim zorientować. Sympatyczny lekarz kilka dni wcześniej uświadomił jej, że wskutek tego typu zatrucia może dojść do częściowego paraliżu narządów mowy, których funkcjonowanie uzależnione jest przecież od oddychania, a to układ oddechowy w pierwszej kolejności ulega uszkodzeniu. Uświadomił jej także parę innych rzeczy.

– Widzi pani – powiedział miękkim głosem, sadzając ją w fotelu swego dyrektorskiego gabinetu. – Zatrucie cyjanowodorem, mówiąc w największym uproszczeniu, upośledza lub też całkowicie blokuje dostarczanie tlenu do organizmu. Co oznacza, że szkody mogą pojawić się wszędzie, zwykle jednak występują najpierw tam, gdzie mamy największe

skupiska wrażliwych komórek nerwowych. Czyli w mózgu. Mózg kieruje całym ciałem i u jednego pacjenta dochodzi na przykład do paraliżu kończyn, u innego do poważnych zaburzeń gastrycznych lub oddechowych, u jeszcze innego do blokady poszczególnych zmysłów. Nie wiemy dokładnie, co u pani męża zostało uszkodzone wskutek działania trucizny, ale mogło to być praktycznie wszystko. Zatem zdolność widzenia, słyszenia i mówienia również...

Nazywał się Kazimierz Brodecki i był koordynatorem Specjalistycznego Oddziału Ratunkowego słupskiego szpitala, w którym Krzycki leżał od tygodnia i z którego miał być przeniesiony na oddział neurologiczny, gdy tylko mu się poprawi. No ale nie bardzo się poprawiało. Patrząc na sympatycznego lekarza w średnim wieku, Dorota życzyła sobie w duchu, aby Andrzeja przenieśli jak najpóźniej.

– To znaczy, panie doktorze – starała się mówić równie miękko – że mój mąż nie widzi i nie słyszy naprawdę? I dlatego nie mówi?

– Nie wiemy tego na pewno – zaoponował. – Powiedziałem tylko, że to całkiem możliwe. Szczerze mówiąc, tu wszystko jest możliwe.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Rodzina chorego chce w szpitalu słyszeć od lekarza uwagi albo optymistyczne, albo przynajmniej precyzyjne. „Teraz jest moment przełomowy, ale za trzy dni powinno już być lepiej, ponieważ organizm chorego musi zareagować na podane leki, prosimy o cierpliwość, wszystko idzie w dobrym kierunku” i tak dalej, i tak dalej. Oni chyba nawet specjalnie uczą się takiej medycznej retoryki pocieszania. Lekarz zajmujący się Andrzejem nie widział potrzeby owijania w bawełnę i skoro czegoś nie wiedział, po prostu o tym informował. Może dlatego mu ufała.

– Niech mi pan powie – prosiła, patrząc mu prosto w oczy – czy on w ogóle kontaktuje? Przecież macie różne sposoby na sprawdzenie takich rzeczy...

Lekarz spojrzał za okno, a ona bezwiednie powędrowała tam wzrokiem. Przesilenie wakacyjne. Sierpień to jeszcze urlopy, nad Bałtykiem wciąż tłumy, choć pogoda nie rozpieszcza, jak mówią pogodynki w telewizji. Wiał

zimny wiatr. Po niebie ciągnęły tabuny szaroburych mastodontów, tratując bezlitośnie słoneczne dni, których zaledwie drobne skrawki ukazywały się tuż nad morskim horyzontem w błyskach krwawego rytuału zachodu. Takie lato trudno nazwać rekreacyjnym. Tylko pomorskie wiatraki sprawiały wrażenie zadowolonych. Ochoczo mieliły zimne i mokre powietrze, jakby to z niego miał być wypiekany chleb do nakarmienia rzeszy osowiałych wczasowiczów.

– Skoro pani pyta o badania – zaczął, odwracając się do niej – zmuszony jestem i tutaj przyznać się do bezradności. Biorąc pod uwagę wyłącznie same wyniki badań neurologicznych oraz psychomotorycznych, wszystko jest w porządku. Teoretycznie reakcje są prawidłowe. Końcówki nerwowe jego zmysłów reagują odpowiednio, źrenice również – krótko mówiąc, pani mąż powinien widzieć i słyszeć normalnie. Jednak podkreślam: teoretycznie. W praktyce mogą działać dodatkowe czynniki, których na tym etapie jeszcze nie jesteśmy w stanie wykryć, a które mogą zakłócać normalne funkcjonowanie organizmu pana inspektora.

– Ale on już był przytomny! – prawie krzyknęła. – Słyszał, mówił, sama z nim rozmawiałam! Dlaczego teraz, po tygodniu leczenia, jest gorzej? Czy on jest w stanie śpiączki farmakologicznej?

Doktor Brodecki wstał, obszedł biurko i przysiadł na sąsiednim fotelu obok Doroty. Zmiana ta umożliwiła mu życzliwe poklepanie jej po wierzchu dłoni, bladej i martwej jak ryba na piasku.

– Pani Krzycka – ciągnął aksamitnym głosem. Jednak retoryka pocieszania. – Zapewniam panią, że robimy wszystko, co w naszej mocy. Wiem, jak to brzmi, proszę mnie jednak nie posądzać o złą wolę czy wykręty. Jeśli czegoś nie rozumiem, mówię wprost. Dlatego zaraz na wstępie wspomniałem o różnicy między teoretycznymi wynikami badań a stanem faktycznym. Odzyskał przytomność, widział, słyszał, mówił, a teraz nie słyszy i nie mówi. Natomiast mówią wyniki, tyle że co innego. Nie jest w stanie śpiączki farmakologicznej ani patologicznej. Przyjmuje półpłynne pokarmy, łyka normalnie. Powinien być przytomny, a wygląda,

jakby nie był. Do tego afazja ruchowo-czuciowa. Basta. Uczciwiej już nie mogę.

– Nie noszę nazwiska męża – sprostowała chłodno. – Nazywam się Dorota Rachwalska.

– Najmocniej przepraszam. Ja jestem...

– Wiem, kim pan jest.

Ponieważ zrobiło się niezręcznie, usiłowała załagodzić swoją szorstkość. Co, jak wiadomo, zwykle jeszcze pogarsza sytuację.

– Właściwie powinnam wrócić do nazwiska panieńskiego. Mój pierwszy mąż... mojego pierwszego męża... Nieważne – żachnęła się, czując, że brnie. – Proszę mi powiedzieć, kiedy to się zmieni? Kiedy mój mąż, to znaczy obecny mąż odzyska przytomność? – Opadła bezsilnie na fotel. – Co mogę dla niego zrobić?

Sympatyczny lekarz sięgnął po pudełko z chusteczkami i uczynnie je podsunął, z czego Dorota wywnioskowała, że pociekły jej łzy. W ogóle ich nie czuła. Przyciskając chusteczkę do policzka, drugą ręką zaczęła grzebać w torebce, podczas gdy mężczyzna wstał, ponownie obszedł biurko i z szuflady wyjął prostokątną ramkę z podpórką, po czym ustawił na blacie.

– Proszę. – Z uśmiechem wskazał dłonią lusterko w skórzanej oprawie.

– Wyposażenie służbowe na potrzeby zapłakanych wdów i sierot? – spytała cierpko.

– Nie służbowe, prywatne – wyjaśnił. Jego łagodny głos działał jak indyjski aromat relaksujący. – Pomysł podsunęła mi żona, błagając mnie kilka lat temu tu, w tym samym gabinecie, byśmy wyjechali na drugi koniec Polski, ponieważ nie zniesie dłużej życia „w tej przeklętej dziurze”, jak raczyła się wyrazić. Zaraz potem zbeształa mnie za brak lusterka, ponieważ właśnie się rozpłakała i tusz jej się rozmazał. Czym prędzej kupiłem i tak już zostało.

– Państwo też zostali – zauważyła Dorota. Była zdołowana, ale chciała dalej rozmawiać. Ten człowiek był szamanem relaksu. – Postawił pan na

swoim.

– Tak – potwierdził doktor Brodecki tonem kogoś, kto podjął ważną decyzję i nie przewiduje już żadnych ciekawostek. Poza paroma zgonami na SOR-ze. Przemknęło jej przez głowę, że ten poczciwina próbuje ją podnieść na duchu optymizmem, którego sam ma jak na lekarstwo.

– Na południu też są „przeklęte dziury” – zapewniła, pocieszając go niczym rozbitek rozbitka. – Tu przynajmniej macie zdrowe, morskie powietrze.

– O tak – przytaknął z nowym ożywieniem. – Bardzo zdrowe! Najlepszym przykładem pani mąż...

Urwał i zerknął na nią z obawą, niepewny reakcji na ten ryzykowny żart. Przez kilka sekund słuchali szumu wiatru w gałęziach kasztana za oknem, po czym oboje się roześmiali.

– Prawdę powiedziawszy, nie umiem pani niczego poradzić – powiedział, kiedy już nacieszyli się chwilowym odprężeniem. – Po prostu dlatego, że nie mam takiej rady. Obiecuję, że będziemy go nadal stymulować i rehabilitować zgodnie z najlepszą naszą wiedzą i możliwościami. Potrzymamy go w izolatce, jak długo się da, jednak o efektach trudno mi teraz wyrokować. Jeśli koniecznie chce pani coś dla niego zrobić, proszę posiedzieć przy nim, mówić do niego i trzymać za rękę. Nie wiem, czy to pomoże, ale na pewno nie zaszkodzi.

Czekała, że doda „cokolwiek by się nie działo”. Nie zrobił tego, miała już wystarczająco wiele „dobrych” informacji i najlepsza z nich brzmiała: wszystko jest możliwe.

A teraz Andrzej odpowiedział na dotyk i uścisnął jej dłoń.

– Andrzej, Andrzej... – powtarzała, patrząc w szeroko otwarte i nieruchome oczy męża. Mąż. Nazywała Andrzeja Krzyckiego mężem, choć wciąż nie wzięli ślubu. Byli i nie byli małżeństwem, trochę tak jak on teraz był i nie był przytomny. Ani tak, ani nie. Życie rzadko bywa czarno-białe, zwykle zalewa je powódź szarości. Jak te cholerne stada mastodontów na pomorskim niebie.

2

Słyszał i widział, ale nie mówił. Nie było potrzeby. Gadanie jest jak obżeranie się ciastkami – przyjemność stopniowo bierze górę nad rozsądkiem, aż w końcu chce ci się rzygać. Rejestrował wyczekujące spojrzenie Doroty, słyszał pytania lekarza i pielęgniarek, zdawał sobie sprawę z konsekwencji swojego milczenia, skutecznie jednak obronił się przed pokusą odpowiedzi. Nie gadać – myśleć. Kojarzyć, podsłuchiwać, łapać wysyłane mimochodem sygnały, zbierać najbłahsze nawet informacje i niczego nie zdradzać. A najbardziej tego, że widzisz i słyszysz. Tak brzmiał jego plan na najbliższe dni, ukuty z ostatnich doświadczeń. Najchętniej w ogóle by zniknął, aby móc bez przeszkód dokończyć to, czego nie udało mu się załatwić w tamtym bunkrze.

Dokładnie tak: zniknąć.

Dorota siedziała przy nim każdego dnia po kilka godzin, zupełnie jakby wypełniała jakiś samarytański plan maksimum. Zgodnie z przepowiednią komisarza Ryszarda Hadczuka, stolik i parapet obok łóżka zajmowały pudełka ze słodyczami, egzotyczne owoce w różowych siatkach oraz butelki soków i wód mineralnych. Czyżby najlepszym lekarstwem na zatrucie było nieprzerwane jedzenie i picie? Może tak. I ona ciągle te wiktuały przestawiała z miejsca na miejsce, próbując zabić czas w trakcie drzemek, w które zapadał. To znaczy udawał, że zapada. Bo przecież nie spał. Myślał.

Obecność Doroty go krępowała. Zniknięcie Lucka sprawiło, że Andrzej, niczym alkoholik pod koniec ciągu, w ostatnich trzech tygodniach działał i podejmował decyzje według kryteriów dalekich od racjonalizmu. Epizod z licealistką Anią niewątpliwie taki właśnie był – daleki od racjonalizmu. Na dodatek Dorota się domyślała...

Powodów do milczenia miał więcej. Na przykład pytania o akcję (nieudaną) uwolnienia podkomisarza Lucjana Bałysia, podczas której zginęło kilku ludzi, w tym również od strzału z dużej odległości. Nie wszystkie decyzje podjął sam (karabin snajperski wziął na siebie sierżant

Benedykt Mrówczyński), a pewne sprawy w ogóle wymknęły się spod kontroli, nie miał jednak zamiaru się z tego tłumaczyć. Musiałby pogrążać albo kolegów z komendy słupskiej, albo samego siebie.

Jego rzekomy brak kontaktu z otoczeniem stanowił również dobry sposób na zdobycie informacji, ponieważ przy nieprzytomnym pacjencie personel szpitala pozwalał sobie na różne uwagi. Od trajkoczących salowych dowiedział się na przykład, kiedy szpital się wyludnia i można niepostrzeżenie wymknąć się na miasto. Od pielęgniarek usłyszał, że w szufladzie jest zapasowe opakowanie hydroksykobalaminy w płynie, czyli suplementu witaminy B12, która wypiera cyjanek z połączeń wewnątrzkomórkowych i stanowi doskonałą odtrutkę. Jedna z dziewczyn w jego obecności otrzymała od lekarza upomnienie, by zmniejszyć dawkę środka stymulującego układ nerwowy, żeby pacjent zaraz po obudzeniu „nie wyskoczył przez okno”. Gdy tylko wyszła z pokoju, Krzycki wytężył siły i w kroplówce podkręcił dozownik z powrotem. Przecież chciał wyskoczyć przez okno. Najlepiej prosto do kabrioletu z włączonym silnikiem.

Milczenie miało jeszcze jedną dobrą stronę. Mógł spokojnie pomyśleć co dalej. Wydostanie się ze szpitala stanowiło tylko pierwszy punkt programu, bardzo początkowy. Gdyby nawet spełniło się bajkowe lądowanie w gotowym do jazdy kabriolecie, należało jeszcze wiedzieć, dokąd pojechać. Szalony Artur Kała, były policjant, mógł przetrzymywać Lucka wszędzie, dosłownie. Umożliwiały mu to rozległe kontakty oraz liczne firmowe posiadłości. Jeżeli jednak miał trochę oleju w głowie – a szaleńcy zwykle mają go dużo – nie trzymał Bałysia w żadnej z nich z tego prostego powodu, że tam policja będzie szukać najpierw. Wprawdzie nadal cieszył się silnymi wpływami w komendzie, ale zaginął oficer policji i tutejsze służby musiały coś przedsięwziąć. Przełożony Krzyckiego, komendant Dariusz Byczkiewicz, z pewnością również wywiera odpowiednie naciski, a w ogóle to niewykluczone, że lada dzień tu zawita, by osobiście nadzorować poszukiwania jednego z jego ludzi. Niby dobrze, ale...

To nic nie da. Miał przeczucie graniczące z pewnością, że machina policyjnego śledztwa i szeroko podejmowanych akcji poszukiwawczych nie przyniesie żadnych pozytywnych rezultatów, i to z kilku powodów. Po pierwsze, działała według schematów doskonale znanych byłemu policjantowi, który z powodzeniem przewidywał kolejne posunięcia kolegów z komendy. Byli to jego niegdysiejsi podwładni, więc robiło się jeszcze ciekawiej. Po drugie, działała wolno, a wszystko wskazywało na to, że Artur Kała nie chce zbyt długo czekać. Po trzecie wreszcie, uprowadził Lucka Bałysia tylko z jednego powodu: żeby zwabić Krzyckiego, skoro wciąż żyje. Zwabić i zabić.

Żyje... Spróbował poruszyć ręką, co nawet się udało. Dorota wyszła z pokoju, więc poruszył i nogą. Poszło gorzej. Kolana miał jak zacementowane i jedyne, na co mógł się teraz zdobyć, to powolne obracanie w prawo i w lewo tych dwóch sztywnych kloców. Nie bardzo umiał sobie wyobrazić, że sam, bez niczyjej pomocy, wychodzi z tego pokoju. A przecież musiał wyjść.

Własne rachunki z Kałą mógłby odpuścić, co innego Lucek. Ten chłopak płacił za niego. Od samego początku, kiedy wiosną w Krakowie ustalili wspólnie, że zastąpi go na konferencji w słupskiej Szkole Policji, sprawa przebiegała jak źle napisany scenariusz. Gdyby pojechał Krzycki, do konfrontacji z ciętym na niego Kałą doszłoby od razu, bez zbędnego pośrednictwa osób trzecich, i dzisiaj byłoby po wszystkim. To znaczy po nim. Zamiast tego Lucka nadal nie ma, on nadal żyje, a Kała nadal ma ochotę zabić go za swoją sercową krzywdę sprzed dwudziestu dwóch lat.

Ktoś szedł korytarzem. Pewnie Dorota.

Nie, to nie ona. Buty lekko skrzypiały o śliską podłogę, krok był energiczny i długi. Męski. Rysiek Hadczuk niósł następną porcję wiadomości.

3

– Cześć! Jak tam dzisiaj?

Komisarz Ryszard Hadczuk pochylił się nad chorym i parę razy przeciągnął dłonią przed jego oczami, jak magik. Gałki oczne posłusznie zareagowały, więc wyjął spod pachy foliowy worek z zawiniątkiem i po rozpakowaniu zawiesił na palcu przeźroczyste pudełko wypełnione ciastkami i zgrabnie przewiązane czerwoną wstążką z kokardą.

– Ładne? Córka upiekła specjalnie dla ciebie. Uprzedzałem, że masz problemy z przełykaniem, ale tłumacz dziewczynie. Ona też cię chyba uwielbia. Jak schodzi na ciebie, zaczyna mówić szybciej i głośniej. A każdą rozmowę kończy uwagą, że gdyby nie ty, już by nie żyła. To znaczy wykrzykuje i wychodzi z pokoju, jakby się na wszystkich obrażała. Psycholog mówił, że to skutek urazu.

Chory przytaknął mrugnięciem powiek, po czym popatrzył w kierunku parapetu.

– Mam położyć na oknie? Jasne, oczywiście. Ale ci tego nanieśli! W zasadzie jesteś już przygotowany do zimowania w tej sali. Nie żebym ci życzył...

Usta Krzyckiego wykrzywiły się w słabym uśmiechu. Córkę komisarza, Sylwię Hadczuk, uratował właściwie przypadkowo, przy okazji obławy na Kałę i uwalniania Bałysia. Zatrudniona w jednej z firm Artura Kały, została przez niego pewnego dnia uprowadzona, a następnie zgwałcona. W momencie, kiedy Krzycki go obezwładniał, miała przystawiony do skroni pistolet. Chyba również stanowiła coś w rodzaju przynęty.

– Słuchaj, Andrzej. – Hadczuk szybko zmienił temat. – Prawie cała nasza jednostka przeczesuje okolicę. Pozbierałem mapy tutejszych umocnień obronnych i własnoręcznie sporządziłem schemat poszukiwań. Pomyślałem, że ty byś tak zrobił. Dobrze myślę?

Chory mrugnął.

– No właśnie. Ale tego jest, powiem ci, w cholerę i trochę. Chłopaki włóczą się po lasach, rozkopują zasypane jamy leśne, przedzierają się przez dzikie zarośla i taplają w błocie na nieprzejezdnych drogach. I ciągle muszą przeganiać turystów, bo ci z powodu brzydkiej pogody szukają

alternatywnych atrakcji, a do takich zawsze należało zaglądanie w ciemne i zakazane miejsca. No nic, w każdym razie szukamy.

Przemowę zakończył głębokim westchnieniem ulgi, jakby cieszyło go dotarcie do kropki po ostatnim słowie. Sęk w tym, że ostatnie słowo miało być zupełnie inne. „Szukamy” oznaczało „nie znaleźliśmy”. Przewidując reakcję chorego, wolał teraz nie spoglądać mu w oczy i zajął się poprawianiem prześcieradła. Nagle spod kołdry wysunęła się blada dłoń i mocno ścisnęła go za nadgarstek.

– Co...?

Dłoń puściła i kciukiem wskazała szafkę obok łóżka. Hadczuk wysunął szufladę i wyjmował kolejno blister z tabletkami przeciwbólowymi, komórkę, portfel, paczkę chusteczek higienicznych, ale Andrzej mrugnął dopiero przy żółtym długopisie. Rysiek zrozumiał, pogrzebał głębiej i trafił na plik karteczek, po czym podłożył mu je pod lewą dłoń, a do prawej wcisnął długopis. Po chwili pojawiły się tam okropnie koślawe litery: DOM.

– Dom Kały?

Skinienie.

– Oczywiście, zrobiliśmy rewizję i niczego nie znaleźliśmy. Żona wyjechała zaraz po zniknięciu męża, dzieci od dawna już z nimi nie mieszkają – nic. W budynkach firmy również żadnego śladu. Mam na myśli te całe, bo jak wiesz, magazyny sfajczyły się w lipcu.

Dłoń z długopisem znowu się poruszyła: BAGICZ. Zet wyglądało jak wyschnięty na słońcu wąż.

Na starym lotnisku wojskowym w Bagiczu pod Kołobrzegiem znajdowały się podziemne pomieszczenia, do których zwabiono inspektora Andrzeja Krzyckiego w czasie akcji uwalniania podkomisarza Bałysia i tam uwięziono, a następnie potraktowano cyklonem B. Akcja miała miejsce tydzień temu i od tego czasu wszelki ślad po porywaczu oraz jego zakładniku zaginął. Nikt nic nie widział i nie słyszał, a jeśli nawet, to nie puszczał pary z gęby. Zupełnie jak Krzycki w szpitalu, pomyślał Ryszard Hadczuk i postanowił wrócić do tej myśli niebawem. Na razie rozważał,

czy powiedzieć o najnowszym założeniu operacyjnym komendanta Krzysztofa Zdybasa, że powinni szukać raczej ciała niż więźnia.

– Kała świetnie się przygotował do tej akcji. Usunął wszystko, co mogłoby nas naprowadzić na trop. Jest starym wyjadaczem policyjnym. Zdjęliśmy ślady opon, porównaliśmy z innymi i potwierdziliśmy, że są z jego samochodu służbowego. I tyle. Samochód zniknął razem z nimi. Nie wiemy zresztą, czy obaj tam byli...

Zamilkł, ponieważ temat nieżyjącego Lucjana Bałysia zrobił się niebezpiecznie bliski. Poza tym Hadczuk już raz to mówił, a powtarzanie jednego z najtrudniejszych dla nich faktów – że nadal nie wiedzą, czy Lucek Bałyś również znajdował się wtedy w bunkrze w Bagiczu czy nie – wystawiało jego wiarygodność na szwank. A przed Krzyckim bardzo chciał być wiarygodny. Nawet bardziej niż bardzo.

Tymczasem Andrzej na kartce bazgrał dalej. DUDA... i kolejny zasuszony wąż, zapewne S.

– Chodzi ci o młodego Dudasa? Trafił tu na SOR i wyszedł zaraz następnego dnia, po czym przepadł jak kamień w wodę. Pewnie wybył gdzieś za granicę. Skąd wiem? Jego telefon ostatni raz logował się do sieci z Irlandii. Myślę, że Sławek Dudek nie wytrzymał stresu i po prostu uciekł. Ja bym tak zrobił.

Nie powiedział na głos tego, co w następnej sekundzie sobie pomyślał – że nie jest Sławkiem Dudkiem i nigdy nie będzie. Widział tego nastolatka dwa razy w życiu, i to byli dwaj różni ludzie. Ten widziany wcześniej, na drodze pod Żegocinem, gdy na bieżąco wymyślali plan zaatakowania bazy transportowej Kały, to zdezorientowany i miękki chłopiec, któremu Andrzej bez trudu założył na głowę idiotyczny czepek z bandaża i kazał prowadzić samochód. Ten drugi, mijany tydzień temu na schodach szpitala, miał parę nieruchomych guzików zamiast oczu i zaciśnięte wargi. Nie zauważył go. W ogóle nie zauważał nikogo, tylko parł do przodu, wiedziony jedną obsesyjną myślą i Hadczuk bał się zgadywać, co to za myśl. Natychmiast zarządził wzmocnienie ochrony SOR-u. Z tego powodu fakt, że Krzycki nadal żyje, również graniczył z cudem. I tego też nie mógł mu powiedzieć.

– Ale wiesz co? – wykrzyknął ze sztucznym entuzjazmem. – Spotkałem na korytarzu doktor Gęsik i powiedziała mi, że Dominika się do ciebie wybiera. Z Lalą! Kto wie, może wpadną jeszcze dzisiaj... Co?

Odwrócił się, ponieważ Andrzej zerknął ku drzwiom, po czym schował ręce z notesem i długopisem pod kołdrę i zamknął powieki. Sekundę później w progu stanęła Dorota Rachwalska.

– Rozmawia pan z nieprzytomnym, panie komisarzu? – zdziwiła się zdziwieniem prokuratora. Miała w ręku papierowy kubek z kawą i czekoladową muffinkę. Hadczukowi przemknęło przez myśl, że cały parapet pod oknem zastawiony jest słodyczami, a żona Krzyckiego kupuje sobie ciastko w automacie. I też się zdziwił.

– Mówię do niego, bo według lekarza to pomaga. Niewykluczone, że coś słyszy i to jakoś pobudza jego mózg. Nie sądzi pani?

Nie odpowiedziała, odstawiła tylko kubek na parapet. Muffinka obok sterty wiktuałów wyglądała jak kieliszek żytniej obok skrzynki wódki. Od pierwszej minuty znajomości z Dorotą Rachwalską komisarz Hadczuk czuł dziwny respekt. Zawsze elegancko ubrana i umalowana, z lekko uniesionym podbródkiem, wolny krok, piersi do przodu – zupełnie jakby chciała pokazać, że cały czas doskonale nad wszystkim panuje. Nie był wielkim psychologiem, ale lata praktyki nauczyły go, że tacy ludzie mają zazwyczaj problemy z panowaniem nad wszystkim, a dokładniej – z panowaniem nad czymś w sobie, czego nie umieją do końca rozpoznać. Tak, pomyślał, ta kobieta mogła imponować Krzyckiemu. W takim razie po co licealistka?

– Rozmawiałem z doktor Gęsik – kontynuował z braku lepszego pomysłu na swoją dalszą obecność w sali. – Mówiła, że najgorsze za nami i panu inspektorowi lada dzień powinno się poprawić. Niewykluczone, że jeszcze w tym tygodniu stanie na nogi. Podobno rehabilitacja układu mięśniowego przebiega bardzo dobrze.

– To świetnie – odparła chłodno. – Może wreszcie się obudzi i będę mogła wrócić do Krakowa. Jeszcze parę dni sterczenia tutaj i mój interes

padnie jak zdechły pies. Nie chodzi o Lalę oczywiście – dodała i odwróciła się do okna.

Hadczuk, i tak już mocno skonfundowany, jeszcze bardziej zbaraniał i poczuł się jak podstawek pod kieliszek żytniej. Ale kosa z tej baby. Jej mąż walczy o życie, a ona się martwi, czy jej interes dobrze prosperuje. Czyżby wiedziała o dziewczynie ze Sławna? Może się spotkały w windzie i ta ją udusiła, wyłupiła oczy, a potem wyrzuciła ciało do zsypu? Wyglądała na taką, która jest do tego zdolna. Zawodowy odruch kazał mu zerknąć na jej dłonie, ale nie dostrzegł pod paznokciami czerwieni.

Czując, że nic tu po nim, szef Wydziału Kryminalnego Komendy Miejskiej w Słupsku uniósł się z taboretu i po uprzejmym ukłonie opuścił pokój. Wcześniej jednak wykorzystał okazję, gdy pani Rachwalska stała tyłem do nich, by wyjąć spod kołdry długopis oraz notes i włożyć do szuflady, uprzednio wyrywając z niego zapisane kartki. Uznał, że tak będzie lepiej. Gdy schodził po schodach z pierwszego piętra, rozmyślał nad ciekawą figurą sytuacyjną: przy nim Krzycki był przytomny, a przy Dorocie Rachwalskiej nie. Co to znaczy? Kiedy znalazł się przed szpitalem i zapinając kurtkę, parł pod wiatr po zalanym deszczem parkingu, doszedł do wniosku, że wkrótce się dowie. Ten policjant z Krakowa niczego nie robił ot tak, po prostu. Wsiadając do samochodu, Hadczuk posunął się w swej refleksji jeszcze dalej i stwierdził, że Andrzej Krzycki pasuje do Słupska. Dziwny człowiek w dziwnym mieście, gdzie nawet szpital nazywa się wojewódzki, chociaż województwo słupskie dawno zniknęło z mapy.

Dorota również dostrzegła tę ciekawą figurę sytuacyjną, wnioski jednak wyciągnęła odmienne. Andrzej ze śledczym Ryszardem Hadczukiem chciał się komunikować, a z nią nie. Nawet w tym stanie pracował, sprawy osobiste mając gdzieś. Nie była mu potrzebna, a jej codzienne siedzenie przy nim i trzymanie za rączkę znaczyło mniej niż te siatki z tanimi pomarańczami. Afazja ruchowo-czuciowa, akurat.

W porządku, Krzycki, jak sobie chcesz.

Pochyliła się nad swoim mężem nie-mężem i wyszeptała półgłosem prosto w jego szeroko otwarte oczy:

– Zrozumiałam, kochanie. Już mnie nie ma. Kiedy znajdziesz to, co zgubiłeś, i zaliczysz wszystkie ciekawe licealistki w okolicy, zadzwoń. No to pa.

Wyszła, żeby nie odpowiadać na jego głupie mruganie.

4

Zgodnie z medyczną przepowiednią doktor Renaty Gęsik w ciągu następnych dni nastąpiła znacząca poprawa zdrowia inspektora Krzyckiego. Nagle odzyskał przytomność, zaczął normalnie jeść, widzieć, słyszeć i prawidłowo reagować na bodźce zewnętrzne, a jego seanse rehabilitacyjne można by nagrywać i pokazywać w internecie jako materiał pomocniczy na kursach dla rehabilitantów. O własnych siłach robił dwa, trzy kroki między metalowymi poręczami, sapiąc przy tym i dysząc jak lokomotywa. Z dnia na dzień nauczył się przesiadać z łóżka na wózek i z powrotem. Po kilku przejażdżkach po korytarzu odkrył zalety oddziału rehabilitacyjnego, a zwłaszcza wyścigi na wózkach.

Doktor Brodecki w ostatniej chwili skonsultował się z kolegami i podjął decyzję o przeniesieniu inspektora z SOR-u nie na oddział neurologiczny, a na rehabilitację. Więcej nie interesował się chorym i nigdy już do niego nie zajrzał. Być może, wzorem Doroty, obraził się o to udawanie nieprzytomnego. Niewykluczone, że chciał się pozbyć kłopotliwego pacjenta, który uparł się, by w pewnych zakresach leczenia nie rokować. Krzycki wracał do zdrowia, ale nadal nie mówił.

Nie sprawdziła się natomiast inna z przepowiedni doktor Gęsik. Dominika Rodriguez-Bałyś, policjantka i podwładna Krzyckiego oraz żona podkomisarza Lucjana Bałysia, nie przyszła z Lalą w odwiedziny ani tamtego dnia, ani żadnego innego. Zupełnie jakby jej nie obchodziło, że jedyny przyjaciel męża ledwie dycha, i to wskutek ratowania Lucka. Co prawda, nieudanego. Doktor Gęsik, ciotka Dominiki, próbowała po swojemu wytłumaczyć zachowanie siostrzenicy.

– Proszę ją zrozumieć – mówiła do chorego, gdy ćwiczył palce, zaciskając je na gumowej piłeczce. – Dominika pracuje od rana do nocy, jest wykończona tym wszystkim. O psa proszę się nie martwić, jej rodzice zajmują się nim, jak trzeba. Zdaje się, że nawet trochę rozpuszczają. Widziałam, jak go karmią.

Pani doktor przerwała na chwilę, ponieważ Krzycki odłożył piłeczki i wziął do ręki notatnik. Porozumiewał się z otoczeniem za pomocą kartki i długopisu, czego żaden ze szpitalnych neurologów nie potrafił wyjaśnić. Kiedy skończył, wyrwał kartkę i złożył na cztery, po czym napisał na niej DOMINIKA i wręczył pani doktor. Uśmiechnął się blado, opadł na poduszkę i zamknął oczy. Zrozumiała, że ma sobie pójść.

Natychmiast po wyjściu z sali przeczytała: „Chcę zobaczyć Lalę. Piątek, 20.30”. Dziwne, pomyślała, do szpitala psów wprowadzać nie wolno, a poza tym w piątek wieczorem o tak późnej porze nie ma już odwiedzin. Wzruszyła ramionami, złożyła kartkę i schowała do kieszeni fartucha. Przechodząc obok dyżurki, poprosiła pielęgniarki, aby zadbały o pana inspektora i uważały na te głupie wyścigi wózkami po korytarzu, bo to się może źle skończyć. Dla poparcia prośby położyła na stole siatkę z pomarańczami, jedną z tych z parapetu Krzyckiego. Wracając na swój oddział, myślała o tym, że coś nie daje jej spokoju. Później długo jeszcze żałowała, że nie skojarzyła prostych faktów.

„Głupie wyścigi wózkami” wymyślił „pan inspektor”, gdy tylko odzyskał świadomość oraz jaką taką sprawność ruchową. Ponieważ wąski korytarz tarasowały różne sprzęty i zapasowe łóżka, dwa wózki obok siebie nie miały szans się zmieścić. Dlatego każdy z uczestników musiał jechać osobno, na czas, a zatem potrzebowali precyzyjnie wyznaczonego toru. Komisja zmierzyła odległość od końca korytarza do szklanego przepierzenia wewnętrznego i wyszły siedemdziesiąt trzy metry, co tam i z powrotem dawało metrów sto czterdzieści sześć. Krzycki do spółki z drugim amatorem wyścigów, pewnym profesorem z tutejszej Akademii Pomorskiej, załatwili z personelem zgodę na otwarcie drzwi do holu głównego, dzięki czemu tor jeszcze się wydłużył do okrągłych dwustu

metrów. Uczestnicy startowali pojedynczo z samego końca, czyli spod drzwi pokoju Krzyckiego, i tam mieli powrócić po zakończeniu całej rundy.

Profesorowi udało się przekonać ordynatora oddziału, że nie chodzi wcale o rywalizację sportową, tylko o dodatkowe ćwiczenia ruchowe w myśl świętej zasady rehabilitacyjnej: gimnastyki nigdy dosyć. Ot, parę osób pokręci energicznie kółkami, i tyle, a korzyści fizycznych i psychicznych co niemiara. Nieco zaskoczony ordynator stwierdził, że nie chce nic o tym słyszeć, bo to zabronione, a na koniec poprosił półgębkiem o skonsultowanie tych „ćwiczeń” z personelem. Profesor z typową dla świata nauki pewnością siebie uznał to za zgodę i ruszyły przygotowania. Salowe twierdziły, że był spokrewniony z ordynatorem.

Aby wyrównać szanse i zredukować rażące dysproporcje sprawnościowe, sześciu zakwalifikowanych zawodników podzielono na dwie grupy. W pierwszej znaleźli się ci, którzy zdołali w ogóle popchnąć wózek, nie zwalając się przy tym na podłogę, w drugiej ci nieco sprawniejsi. Krzycki trafił do słabszej grupy. Podczas kwalifikacji sił w ramionach wystarczyło mu zaledwie na dojechanie do szklanych drzwi holu, powrót stanowił już poważny problem. Pozostali pacjenci mogli obstawiać faworytów, ponieważ każdy z zawodników miał na plecach kartkę z numerem.

Zanim doszło do rozgrywek finałowych, przez trzy dni odbywały się intensywne treningi, głównie wieczorami, kiedy ostatni odwiedzający opuścili oddział. Nominalnym kierownikiem zawodów został profesor, gdyż długie siwe włosy i skrzacia bródka predestynowały go do tej funkcji. Na jego zastępcę wybrano pewnego szachistę po wylewie. Obaj za pomocą ad hoc wykombinowanego języka migowego porozumiewali się jakoś z nadzorującym wszystko Krzyckim. We trzech ustalali bez końca regulamin zawodów, który w przeddzień rozgrywek miał być poddany pod głosowanie, a następnie doręczony przełożonej pielęgniarek jako podstawa prawna do rozstrzygania sporów i wątpliwości. Zbierali się w pokoju inspektora i z zewnątrz wyglądało to jak skomplikowany teleturniej: jeden

facet machał rękami, drugi bełkotał nieartykułowane dźwięki, a trzeci na głos usiłował zgadnąć, o co tamtym chodzi, i wnioski wpisywał do zeszytu.

Zawody wyznaczono na piątkowy wieczór. Kobiety z drugiej części korytarza zażądały prawa do startu, ale komitet organizacyjny przypomniał im, że w prawdziwych sportach również obowiązuje segregacja płciowa i mogą sobie zorganizować własny wyścig. Zarezerwowały termin na następny piątek. Dwie wyjątkowo sympatyczne pielęgniarki zgodziły się robić za sędziów liniowych, ich przełożona kontrolowała sytuację z okna dyżurki, a w holu głównym ustawiono dodatkowo młodziutką praktykantkę o długich nogach i promiennym uśmiechu. Dziewczyna najwięcej swego samarytańskiego miłosierdzia poświęcała oczywiście inspektorowi Krzyckiemu. W każdej z sal jeden w miarę sprawny pacjent pilnował, by podczas biegu nikt nie wychodził niepotrzebnie na korytarz. Tuż przed zawodami wszyscy obowiązkowo musieli skorzystać z toalety, co nadzorował sam inspektor, który skorzystał jako ostatni.

Największy problem wiązał się z uzyskaniem zgody na turniej od dwóch ochraniających Krzyckiego policjantów. Bardzo służbiści i nieco tępi, uważali całą zabawę za ryzykowne i niepotrzebne głupstwo, a w ogóle to żywili pretensje do całej ludzkości o to, że muszą w piątek wieczorem kiblować na taboretach w szpitalu, zamiast pić piwo z kumplami przed telewizorem. Jeden z nich nawet to wprost powiedział. Zasadniczo Andrzej z profesorem przyznali im rację i postanowili uczynić zadość ich życzeniu. Ustalono, że obaj policjanci usiądą w progu pokoju Krzyckiego, gdzie na ścianie wisiał duży telewizor, i będą jednym okiem zerkać na siedzącego tuż obok podopiecznego, a drugim oglądać mecz na Canal+. Szachista zaoferował, że dostarczy im po butelce piwa, które żona przynosiła mu na filtrowanie nerek. Podczas biegu Andrzeja jeden z nich miał iść tuż za wózkiem. Ostatecznie przeważył argument profesora, że o tej godzinie i tak szpital jest zamykany, a windy działają tylko na specjalny klucz. To nie była prawda, ale łyknęli.

Kiedy chwilę po nagle przerwanym wyścigu komisarz Ryszard Hadczuk rozmawiał z uczestnikami tej absurdalnej imprezy, usiłując ogarnąć

sytuację, nie mógł się nadziwić ich zbiorowej naiwności. Nikt nie przewidział takiego obrotu sprawy i wszyscy zgodnie twierdzili, że miało być fajnie. Całkiem jak dzieci, które nie rozumieją, dlaczego dorosłych tak strasznie denerwuje wrzucanie do ogniska pustych puszek po dezodorantach.

5

Zawody rozpoczęto planowo o godzinie ósmej wieczorem, najpierw startowali słabsi. Chodziło o to, by spokojnie pokonali dystans, nie stresując się wynikami bardziej sprawnych kolegów z wyższej kategorii. Krzycki jako faworyt w swojej grupie miał jechać trzeci. Spośród pozostałych dwóch za groźniejszego rywala pana inspektora uważano kierowcę, który pewnego zimowego dnia sennym świtem wjechał ciężarówką w dom na zakręcie i obudził się w czyjejś sypialni, z głową na łóżku i resztą ciała nie wiadomo gdzie. Teraz próbował to ciało odnaleźć na rehabilitacji. Trzeci w tej grupie, chłopak z porażeniem mózgowym, okresowo lądował w szpitalu, by poprawić koordynację ruchów.

To on startował jako pierwszy i zebrał najgorętsze owacje. Obie strony korytarza zagrzewały go do walki krzykiem i łomotem, a pielęgniarki na próżno starały się je uciszać. Dopiero kiedy zagroziły, że natychmiast przerwą zawody, zrobiło się nieco spokojniej. Chłopak z nitką śliny między wargami i czarnym błyskiem w oku walił dłońmi w opony wózka, by go rozpędzić, a ze wszystkich stron padały zachęcające pokrzykiwania i chichoty, gdyż obrazek zaiste zasługiwał na najwyższą ocenę. Gdyby zawody skończyły się normalnie, z pewnością otrzymałby nagrodę publiczności. Jechał prawie piętnaście minut.

Tirowiec domokrążca nie budził już tak wielkiego entuzjazmu. Walczył na poważnie, przepełniony żądzą zwycięstwa i bez tej olimpijskiej radości, jaka jest udziałem prawdziwych wybrańców bogów. Jedną rękę miał wyraźnie silniejszą i jego wózek znosiło na lewą stronę korytarza, gdzie stały szpitalne sprzęty. Dwukrotnie zaczepił o kółko zapasowego łóżka

i omal nie zleciał. Ale parł dalej. Pokonał trasę znacznie szybciej, w niecałe osiem minut. Był lepszy, niż sądzono, i przed Krzyckim stało bardzo trudne zadanie. Gdy startował, w korytarzu zapadła cisza.

Starając się później rozeznać w sytuacji, Ryszard Hadczuk pogubił się podczas ustalania podstawowych faktów. Nie wiadomo, kto pierwszy zauważył dym, ponieważ siostry twierdziły, że to one, policjanci również widzieli w tej roli samych siebie, a pacjenci wymieniali nawzajem swoje nazwiska. Ile czasu minęło od zniknięcia Krzyckiego za przeszklonymi drzwiami do alarmu praktykantki, również nie dało się ustalić – od dziesięciu sekund do trzech minut. Nikt nie potrafił powiedzieć, o której godzinie dokładnie wystartował Krzycki, chociaż profesor jako sędzia główny mierzył czas stoperem. Tłumaczył cierpliwie, że stoper to nie zegarek i pokazuje tylko czas względny, „arbitralnie wyznaczony na potrzeby danego badania, z ad hoc kreowanymi wartościami krańcowymi”, jak się wyraził. Ad hoc należało do jego ulubionych wtrętów.

Hadczukowi nie pozostało nic innego, jak chwytać się trzeciorzędnych szczegółów. Na przykład jedna z pielęgniarek zwróciła uwagę, że podczas wystąpienia pierwszego zawodnika było bardzo głośno, przy drugim już nie, a gdy jechał Krzycki, panowała zupełna cisza. I właśnie w tej ciszy okrzyk „pali się!” zabrzmiał niesamowicie donośnie. „Jakby kogoś kroili nożem”, powiedziała. Czerpała inwencję porównawczą z najbliższego otoczenia. Jej koleżanka zwróciła uwagę na to, że Krzycki ciągle patrzył na zegarek. Jeden z pacjentów rozwodził się nad wysokością obcasów praktykantki.

– Z piętnaście centymetrów! Jak tak można do pracy chodzić! Co to jest, dyskoteka jakaś czy co? – pokrzykiwał, by zakończyć konkluzją o całkowitym upadku polskiej służby zdrowia. Przesadzał, ale nie do końca, ponieważ jeszcze dwie inne osoby zauważyły, że tego dnia dziewczyna nosiła czerwone czółenka na wysokich obcasach.

Inny pacjent najbardziej ze wszystkiego pamiętał stuk krzesła podpierającego otwarte skrzydło drzwi. Wyjeżdżając do holu, Krzycki je przewrócił, co również miało później swoje skutki. Jeszcze innemu

pacjentowi najbardziej utkwiły w pamięci ostre głosy policjantów, którzy nie mogli się przecisnąć przez zaporę z ludzi na wózkach i krzykiem próbowali sobie torować drogę. Na szczęście znaleźli się najbliżej toalety, skąd wydostawały się kłęby czarnego dymu, i zdusili pożar w zarodku. Zresztą wcale nie taki znowu pożar, jak się okazało.

Poskładana z tych ubożuchnych i średnio do siebie pasujących elementów historia wyglądała mniej więcej tak. Kiedy Krzycki startował, na Canal+ zaczął się przegląd najciekawszych bramek właśnie zakończonego sezonu i policjant zamiast iść za nim, został w progu, żeby zobaczyć Modricia strzelającego rzut karny. Piwo postawił na taborecie w pokoju i ręce oparł na framudze, aby niczym wańka-wstańka kołysać się z boku na bok, zerkając i tu, i tam. Tu Modrić, tam Krzycki. Modrić–Krzycki, Modrić–Krzycki, Modrić...

I wtedy wydarzyło się kilka rzeczy naraz. Ktoś tuż obok wrzasnął na całe gardło: „Pali się!”. W zeznaniach większość wskazywała na profesora. Jak na komendę ze wszystkich sal wyjechali zaalarmowani pacjenci i całkowicie zatarasowali korytarz. Spod drzwi toalety rzeczywiście wydobywał się czarny dym, a jedna pielęgniarka (z tych mniej sympatycznych) twierdziła nawet, że najpierw był krzyk, dopiero później dym. W tym samym momencie Krzycki skręcił w drzwi holu, trącając stołek, i zniknął z pola widzenia. Zapanował chaos. Pacjenci krzyczeli, jęczeli i rzęzili w panice, wózki jeździły we wszystkie strony, aż się pozakleszczały i zabarykadowały przejście. Policjant wskoczył na łóżko i próbował przedostać się nad kłębowiskiem ludzi i sprzętów, ale nie dał rady. Odpuścił przy dyżurce i ulegając wrzaskowi młodej pielęgniarki (sędzia liniowa numer jeden), przedarł się do źródła pożaru, wołając za sobą kolegę. W toalecie odkryli metalowe wiaderko wypełnione zużytymi opatrunkami, z którego kłębami walił smolisty dym. Jeden z mężczyzn przytomnie zerwał klapę z klozetu i nakrył wiadro. Pożar szybko opanowano. Pozostało tylko wywietrzyć oddział i uspokoić pacjentów.

To drugie wymagało sporego trudu, ponieważ chorzy zapamiętale krzyczeli i wiercili się, zupełnie jak nakręceni. Uspokoili się nieco dopiero

na odgłos walenia w szklane drzwi oddziału. Z głównego holu dobijała się praktykantka w czerwonych czółenkach. Krzyczała i pokazywała ręką za siebie. Krzycki, wyjeżdżając, przewrócił stołek w drzwiach i je zatrzasnął. Praktykantka dzwoniła domofonem, ale w ogólnym rozgardiaszu nikt jej nie słyszał, więc zaczęła walić pięściami w szybę. Wreszcie ktoś otwarł drzwi i wszyscy mogli usłyszeć:

– Inspektor Krzycki spadł ze schodów!

Wózki znowu poszły w ruch, a jednym z najaktywniejszych okazał się wózek profesora. Akademik pomorski kręcił się w kółko i taranował sąsiadów rzekomo w celu przebicia się do przodu, czym wprowadzał dodatkowy zamęt. Policjanci stracili kilka minut, nim udało im się wydostać z bezładnego pomieszania materii ożywionej i nieożywionej. Wypadli za szklane drzwi i rzucili się ku schodom. Rzeczywiście, na półpiętrze leżał przewrócony wózek z doczepionym na oparciu numerem 3. Pacjenta Andrzeja Krzyckiego nigdzie nie było.

Hadczuk musiał przyznać: policjanci zrobili wszystko, jak trzeba. Zbiegli schodami z czwartego piętra na parter, po drodze sprawdzając kolejne oddziały, pytali panie w recepcji oraz ochroniarza przy wyjściu. Pierwsze odparły, że nie widziały nikogo, drugi stwierdził filozoficznie, że tu ciągle ktoś wchodzi i wychodzi. Rozdzielili się. Jeden pobiegł schodami na górę i zszedł jeszcze raz, zaglądając we wszystkie zakamarki. Drugi wybiegł przed główne wejście, ale nie zobaczył tam żywego ducha. Jedynie z parkingu służbowego na tyłach budynku wyjeżdżało jakieś auto, w zapadającym mroku nie dało się jednak dostrzec, kto siedzi za kierownicą. Policjant nie rozpoznał nawet marki ani koloru pojazdu.

Później wszystko się wyjaśniło.

Sprawy zwykle wyjaśniają się później, pomyślał Hadczuk. Albo wcale. Jakby świat chciał nam powiedzieć, że ludzka potrzeba wyjaśniania nie jest najważniejsza. Ot, szczególnie rozwinięty gatunek małp ubzdurał sobie, że będzie wyjaśniał, czyli doklejał do zdarzeń swoje koncepcje, teorie, wnioski. Przecież oprócz ludzi, i to nie wszystkich, żadne inne stworzenie na Ziemi nie potrzebuje całego tego wyjaśniania, które jest zwykłym

mędrkowaniem, czyli robieniem sobie dobrze za pomocą gadania. Krzycki ma rację, że milczy.

Takie to ponure i niechętne gatunkowi ludzkiemu refleksje towarzyszyły komisarzowi Hadczukowi, kiedy z kawałków składał do kupy historię zniknięcia Andrzeja Krzyckiego ze Specjalistycznego Szpitala Wojewódzkiego im. Janusza Korczaka w Słupsku wieczorem 18 sierpnia 2017 roku. Poniewczasie okazało się (sprawy wyjaśniają się później), że uciekający pacjent dysponował sprawnością fizyczną znacznie wyższą od tej, jaką demonstrował. Zjechał schodami na półpiętro, gdzie porzucił wózek, i dalej biegł o własnych siłach. Na trzecim piętrze wsiadł do windy i prawdopodobnie udał się nie na parter, a na drugie piętro, skąd przewiązką przedostał się do części administracyjnej szpitala. Stamtąd inną windą zjechał na tylny parking i wyszedł na zewnątrz. W zawodach powinien był wystąpić w tej drugiej, lepszej grupie. I pewnie by wygrał. A właściwie powinien zostać zdyskwalifikowany na podstawie ułożonego przez siebie regulaminu. Za udawanie niesprawności.

Pacjent odjechał brązową kią ceed Dominiki Rodriguez-Bałyś, która spełniła prośbę z karteczki i stawiła się na parkingu wraz z suką Lalą. Na wszystkie pytania o okoliczności przejęcia samochodu przez uciekiniera odpowiadała tylko:

– Po prostu mnie zaskoczył! A ten głupi pies też!

W trakcie klecenia ułomków w całość Hadczuk doszedł do wniosku, że w spisku brali udział wszyscy. Profesor i szachista kontrolowali wybuch paniki, a następnie kierowali blokowaniem korytarza i uniemożliwili policjantom dotarcie do holu. A tam Krzycki, jak Łazarz, nagle powstał z kalekich i porzuciwszy wózek, umknął na własnych nogach. Reszta pacjentów miała za zadanie stworzyć sztuczny tłok. Dwie pielęgniarki w roli sędziów bocznych i nadzorujące porządek zamiast pomóc policjantom, zajęły się tłumieniem paniki i apelowaniem o ciszę. Inaczej mówiąc, przedłużyły blokadę korytarza. Praktykantka specjalnie tego dnia przyszła do pracy w czerwonych szpilkach, by móc się wytłumaczyć z faktu, że nie podjęła skutecznego pościgu po schodach. Hadczuk z chęcią

zgarnąłby wszystkich, nawet telewizor, bo akurat w tym momencie pokazywał ulubionego piłkarza świata. Tylko – za co właściwie?

Nie spiskowali jedynie dwaj policjanci, a to właśnie na nich spadła kara. Komendant Krzysztof Zdybas nakazał ich obu natychmiast zwolnić za niedopełnienie obowiązków i picie na służbie, choć mieli tylko chronić inspektora przed ewentualnym atakiem ze strony ludzi Kały, a nie pilnować, by nie uciekł. Tak przynajmniej brzmiała oficjalna wersja. Z wściekłości przełożonego Hadczuk wywnioskował, że było dokładnie odwrotnie – ci dwaj dostali rozkaz, by nie spuszczać z Krzyckiego oka. On sam musiał się tego domyślić, skoro ułożył tak spektakularny scenariusz ucieczki.

Z szafy zniknęły spodnie, koszula i buty, które choremu na wszelki wypadek przyniosła Dorota. Zniknęła również fiolka tabletek przeciwbólowych, portfel i telefon komórkowy oraz notes z długopisem, co mogło świadczyć o tym, że Krzycki nadal nie mówi, choć i do tej koncepcji komisarz podchodził z rezerwą. Andrzej mógł stracić mowę wskutek zatrucia cyjanowodorem, ale również dlatego, że po prostu nie chciał się odzywać. Kiedy człowiek milczy, więcej słyszy. A Krzycki musiał usłyszeć coś, co by go doprowadziło do Lucka Bałysia. Przecież po to uciekł. Tu Hadczuk nie miał wątpliwości.

6

Najbardziej bał się o nogi. Praktycznie od dwóch tygodni nie chodził, nie licząc tych paru kroków na zajęciach rehabilitacyjnych lub wykonywanych nocą po kryjomu w pokoju. Nogom poświęcał więc najwięcej uwagi, masował i pielęgnował, zdając sobie sprawę z tego, że od ich sprawności zależy powodzenie całego planu. Wciąż jednak były dla niego zagadką. Ręce nieustannie coś robiły, aktywowały się niejako w momencie, gdy odzyskał przytomność, zwłaszcza że służyły również za narząd mowy. Ale nogi? W dodatku chciał ukryć ich prawdziwy stan, by nie budzić czujności policjantów. Gdyby zobaczyli, jak paraduje po korytarzu o własnych siłach, zaczęliby go uważniej pilnować, a personel oddziału zapewne odebrałby

mu wózek, który stanowił istotny punkt planu. Musiał nabierać sprawności i zarazem udawać, że jej nie nabiera. Typowa kwadratura Krzyckiego.

Dlatego kiedy podczas wyścigu wypadł do holu, a zza pleców dobiegł go huk przewracanego krzesła i zatrzaskujących się drzwi oddziału rehabilitacyjnego, chciał się zerwać i przebiec ze dwa okrążenia, zanim ruszy do właściwej ucieczki. Nie zrobił tego. Jeśli dym nawalił i jeszcze się nie pokazał, pielęgniarka przy drzwiach mogła wszcząć alarm za wcześnie. Dopiero kiedy inspektor usłyszał krzyk „pali się!”, nabrał wiatru w żagle. Pognał wózkiem prosto ku schodom.

– Niech pan uważa! – krzyknęła praktykantka Gosia. Wtajemniczona w plan miała odegrać bezmyślną panikę. Radziła sobie z zadaniem dzielnie: kręciła się w kółko z uniesionymi ramionami i klekotała szpilkami o posadzkę, co przypominało dramatyczną figurę flamenco. Pokazał palcami V, dwie minuty, wciągnął powietrze i pchnął wózek na stopnie.

Przemyślał ten fragment planu sto razy. Odchyli się do tyłu, wysunie stopy przed siebie i hamując dłońmi, stoczy się wózkiem dwa piętra po schodach, a tam w korytarzu spróbuje już biec dalej o własnych siłach. Powinien złapać równowagę, ćwiczył przecież balansowanie na dwóch kołach. Co innego jednak kołysać się w ciszy pokoju, a co innego łapać balans na schodach, podczas nerwowej ucieczki. Zaczął dobrze. Koła rytmicznie stukały o stopnie, metalowa konstrukcja wózka poskrzypywała do taktu, ale mniej więcej w połowie za bardzo się odchylił. Gdy zacisnął dłonie na obręczach i pochylił się z kolei do przodu, zwalił się jak długi na półpiętro, a wózek wylądował na nim.

– O Boże! – jęknęła Gosia. – Nic się panu nie stało?

Pokręcił głową i wygrzebał się spod wózka. Zdjął z siedzenia wyposażony w szelki płócienny worek z ubraniem i założył go na ramiona. Spróbował wstać. Udało się połowicznie. To znaczy klapnął z powrotem. Usiadł na tyłku z wyprostowanymi nogami, jak klaun w marnym skeczu, i spojrzał przed siebie. Drugie pół piętra i potem jeszcze cała kondygnacja. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do dziewczyny. Jej biała dłoń przysiadła nieruchomo na poręczy jak mewa.

– Pomóc panu?

Nadal się uśmiechał. Można powiedzieć: klaun pełną gębą. Siedział bezradnie na tyłku i myślał o złotej zasadzie swojego dziadka spod Myślenic: wyżej dupy nie podskoczysz. A on chciał podskoczyć, bo lubił działać ponad siły. Wszystkie dzieci skaczą, ale Ambitny Andrzejek podskoczy najwyżej, bo jest najlepszy. Choćby miał przy tym złamać sobie kość ogonową i doznać wstrząsu resztek mózgu w poobijanej czaszce, z której jeszcze nie całkiem wywietrzał cyjanowodór.

Nagle poczuł, jak ktoś go podejmuje pod pachy i mocno stawia na nogi. Nie zauważył nawet, kiedy praktykantka zeszła po schodach. Zawahał się, ale ona złapała go za ramiona i odwróciła.

– Da pan radę – powiedziała z namaszczonym spokojem, jakby grali w amatorskim remake'u *Przebudzeń*. A potem pocałowała go w policzek i lekko pchnęła ku schodom w dół.

Zrobił krok i chwycił się poręczy, żeby nie runąć na twarz. Wtedy pchnęła go drugi raz i poszedł, a ona stała chwilę, przyglądając się niepewnym ruchom wciąż oszołomionego Łazarza. Gdy znalazł się na trzecim stopniu, ruszyła do góry. Stuk, stuk, stuk. Miała odczekać chwilę, a potem na zimno odegrać gorączkę. Flamenco.

Później nieraz się zastanawiał, dlaczego to zrobiła. Czy z fascynacji przystojnym inspektorem z Krakowa ruszającym na ratunek przyjacielowi jak dzielny detektyw Tuptuś z komiksu dla przedszkolaków? Może widziała w nim bohatera, kogoś, kto za nich wszystkich naprawi ten popaprany świat? Lud chętnie kupuje takie historie. W każdym razie on chciał tak myśleć i trzymał się tej myśli jak poręczy, z którą właśnie się zmagał, stąpając w dół. Jakoś szło. Szedł. Może dojdzie. Może dojdzie do samego dna. I z powrotem.

Gdy dotarł do drugiego piętra i nad głową usłyszał krzyk praktykantki oraz łomotanie do drzwi, poczuł dopływ energii. Następne minuty niezdarnej, choć przemyślnej ucieczki Andrzeja Krzyckiego dobrze można by zilustrować słynną sceną z *Foresta Gumpa*: chłopiec z nogami uwięzionymi w deszczułkach koślawo ucieka przed prześladowcami

i z każdym krokiem jego ruchy stają się płynniejsze, coraz szybsze i szybsze, wreszcie pędzi jak szalony, zostawiając za sobą nie tylko pościg, ale i całe swoje okropne kalectwo. *Run*, Krzycki, *run*. Kiedy znalazł się na drugim piętrze, skręcił w wąski korytarzyk i w półmroku przemierzał go z rękami opartymi o ściany, na przemian idąc i biegnąc. Krew zaczynała krążyć szybciej i szybciej, oliwiąc zastane w szpitalnym bezruchu kolana. Z każdym ruchem nabierał sił, a raczej przybywało mu wiary, że nabiera sił, ponieważ tak działa adrenalina podczas ucieczki. Skręcił w boczny korytarzyk, jeszcze węższy od poprzedniego, minął kolejno drzwi z napisem „Księgowość” oraz „Zakładowy Związek Zawodowy” i „Z-ca Dyrektora”, po czym dotarł do następnych schodów. Zbiegając, spróbował przeskoczyć dwa stopnie naraz. Udało się. Znowu się udało. Ile razy jeszcze? Nieważne. Biegnij, Krzycki, biegnij.

Tylnego wyjścia na służbowy parking szpitala pilnował portier. Andrzej zdążył tylko pomyśleć, że gdyby był na jego miejscu i zobaczył faceta w granatowej koszulce i ze szmacianym plecakiem na ramionach, wziąłby go za spóźnionego pracownika administracji albo szpitalnych związków zawodowych. Nie zwalniając więc kroku, uniósł prawą dłoń i z uśmiechem powiedział:

– Już mnie nie ma! Dobranoc panu!

Portier omiótł go obojętnym spojrzeniem i wrócił do oglądania karnych na kanale sportowym. Krzycki z ulgą stwierdził, że żaden alarm nie wyje. Jeszcze nie. We wszystkich dyżurkach Polski siedzą teraz grubawi faceci z puszkami piwa pod blatem i oglądają karne na kanale sportowym.

Na parkingu panował piwniczny półmrok. Oszołomiony gwałtownością ostatnich minut i obolały od nadwyrężania schorowanego ciała, w pierwszej chwili ich nie zauważył. Rozglądał się niepewnie, gdy nagle z ciemności wyskoczyło na niego coś dużego i z impetem uderzyło w prawe udo. Zdołał zaprzeć się lewą nogą i wyciągnął prawą rękę.

– Lala!

Przywarła do niego. Poczochrał ją za uchem, a ona polizała go po dłoni. Przykucnął i objął sukę za szyję. Skuczała cicho, opowiadając mu w skrócie

ostatnie dwa tygodnie, a on gładził jej nieźle już zagojony prawy bok. Oboje dyszeli.

Musiał jednak szybko z powrotem stanąć na nogi, ponieważ z okien szpitala zaczęły dochodzić krzyki i sygnały alarmowe. Awantura z wyścigiem, pożarem i ucieczką hulała na wyższych piętrach. Trzeba było się spieszyć. Z mroku parkingu wynurzyła się kolejna postać. Kobieta miała latynoskie rysy, czarne włosy związane gumką w gruby kucyk i duże, błyszczące oczy. Do tego zielony pulower, obcisłe dżinsy i kamienna twarz. Na wyciągniętej dłoni leżały kluczyki od samochodu. Z trudem wytrzymywał jej wzrok. Kiedy widzieli się poprzednim razem, błagała go, by ratował jej męża.

Chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Trochę się chwiał, twarz Dominiki nawet nie drgnęła.

– Dasz radę?

Skinął głową.

– Nie wracaj bez niego.

Znowu skinął.

– Albo cię zabiję.

Mogła tego nie dodawać. Skinął trzykrotnie jak karcony uczeń. Wziął kluczyki i ruszył w stronę brązowej kii ceed z zachęcająco otwartymi drzwiami. Rzucił plecak na tylne siedzenie, ale nie zdążył wsiąść. Coś mocno otarło się o jego nogawkę i wylądowało w kabinie samochodu. Pokręcił głową.

– Mm, mm.

Pokazał palcem na płytę parkingu. Lala ani drgnęła. Siedziała na fotelu pasażera i nieruchomo patrzyła przed siebie. Z daleka dobiegło wycie syreny wozu strażackiego wezwanego do pożaru na oddziale rehabilitacyjnym Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Słupsku. Nie było czasu na zabawy. Złapał sukę za obrożę i spróbował wyciągnąć z auta. Warknęła ostrzegawczo.

– Lala, chodź – rozkazała półgłosem kobieta w zielonym swetrze, jednak pies ani drgnął.

Drzwi tylnego wyjścia otwarły się i w progu stanął stróż. Coś wołał. Jeszcze minuta zwłoki i Krzycki nie wyjedzie przez zablokowaną bramę. Wsiadł i uruchomił silnik.

– Jedziesz na własną odpowiedzialność – mruknął półgłosem.

Lala odwróciła ku niemu łeb i głośno mlasnęła. To mogło znaczyć „okej”. Więcej do tematu nie wracali.

Wyjechali w ciemność, która na Pomorzu zapada niespiesznie i przez długie godziny smuży jeszcze tu i ówdzie niepewną szarością. Samochody na sygnale nadjeżdżały od centrum, więc skręcili w lewo i boczną drogą przez zagajnik wydostali się za miasto. Wśród pól poczuli się pewniej. Za nimi miasto oddalało się ze swoją elektryczną nerwowością, przed nimi rozpościerały się pola i łąki z konstelacją czerwonych lamp zdobiących gondole turbin wiatrowych. Andrzej spojrzał w boczne lusterko. Nikt ich nie ścigał. Wziął głęboki wdech i pomasował dłonią kark. Cała ta groteska, udawanie i ludzka nędza zostawały za plecami jak zbędny balast. Rozwłóczone po drodze powoli ginęły pochłaniane przez wszechobecną czerń. Mógł działać bez skrępowania i po swojemu. Nareszcie sam. Spojrzał w prawo i pogładził Lalę po karku. No, prawie sam.

Wjeżdżali w ciemność. Kryminał mógł się zacząć.

7

W taką pogodę biały stolik ogrodowy przed sklepem zwykle był pusty, więc pani Lucyna zaciekawiła się siedzącym tam chłopakiem. Niebo zakrywały chmury, zimny wiatr turlał po placu plastikową butelkę po mineralnej. Chłopak nie wyglądał na wczasowicza, jeśli już, to raczej na jednego z tych włóczykijów, którzy na wakacje uciekają z domu, żeby mieć spokój od starych i żyć z podkradania w małych spożywczakach. Znała ich jak zły szeląg. Kręcili się wkoło i czekali, aż ona wyjdzie po towar na zaplecze,

a wtedy porywali z półki pierwszą lepszą paczkę i zwiewali. Z takimi żylakami na łydkach nie miała z nimi najmniejszych szans, dlatego nawet się nie starali. Odbiegali trochę i znikali w polu kukurydzy. A gdy ukradli piwo, to czasem wypijali od razu, za rogiem, i puszkę rzucali byle gdzie.

Tego by nawet uznała za porządnego, miał czyste spodnie i błyszczące białe buty, niestety wszystko psuła granatowa bluza z kapturem narzuconym na oczy. Nienawidziła tych kapturów, kojarzyły jej się z najgorszym bandytyzmem, choć właściwie nie umiała powiedzieć dlaczego. Pewnie był łysy. Siedział przygarbiony i obserwował plastikową butelkę. Toczyła się zrywami, raz wolniej, raz szybciej, i straszyła bezpańskiego kundla, który niechętnie przed nią uskakiwał. Mały brzydki piesek z tych, co to wyglądają na krzyżówkę szczura i foki. Wiatr dmuchał, butelka się turlała, kundel uskakiwał i odbiegał takim dziwnym, skośnym truchtem, jakby znosił go podmuch. Chłopak przyglądał mu się nieruchomo.

– Coś pan będzie kupował? – spytała pani Lucyna donośnym głosem, ponieważ trochę się bała. Oprócz niego nie dostrzegła wokół żywej duszy. – Stolik jest tylko dla klientów.

Chłopak nie zareagował. Wpatrywał się w taniec kundla z butelką, wciskając dłonie w kieszenie bluzy. Wiatr poruszał sznurkami ściągacza pod szyją, twarz skrywała się w cieniu. Pani Lucyna obeszła stolik, ale nie śmiała spojrzeć wprost na chłopaka. Coś ją powstrzymało. Biło od niego niebezpieczne napięcie, a ona je wyczuwała i wolała nie ryzykować. Musiała z tego jakoś wybrnąć.

– I proszę petów nie rzucać na ziemię. Wszyscy brudzą, a ja niby mam sprzątać.

Gdy uznała, że sprawa została zakończona i czas wracać do sklepu, usłyszała:

– Gdzie jest dom Palków?

Głos miał chrapliwy i piskliwy zarazem, wysoki i niski. Jakby przechodził wyjątkowo trudną mutację. Jednak nie to ją najbardziej przestraszyło. Pytał akurat o ten jeden dom w Grębówku, wokół którego

działy się różne dziwne i niedobre rzeczy i gdzie ostatnio mieszkali różni dziwni i niedobrzy ludzie. Tak przynajmniej gadali chłopi, kiedy żłopali piwo pod drzewem. A dzisiaj, akurat gdy ich trzeba, to nie ma ani jednego! Sama tu się musi taramsić z tym zasmarkanym małolatem.

Małolat nie był taki do końca zasmarkany. Wyjął jedną rękę z kieszeni okropnej bluzy i zaczął stukać zapalniczką w stół. Niby nic, wszyscy palacze tak robią, ale pani Lucynie zrobiło się jeszcze bardziej nieswojo. To stukanie brzmiało jakoś tak... agresywnie. Nie bębnij w stół, biedę przywołujesz, mawiał jej ojciec i ledwie się powstrzymała, by nie powtórzyć tego na głos.

Wiatr dmuchnął mocniej i butelka potoczyła się do rowu za sklepem, a zdegustowany kundel poczłapał w drugą stronę, ku szosie. Lucyna też czuła się zdegustowana swoimi lękami. Miała dosyć. Gdyby chociaż ktoś się tu pojawił. A tak tylko ona i ten psychol.

– Nie wiem! – burknęła zaczepnie. – A nawet jakbym wiedziała, to tu nie jest biuro informacyjne. Na policji trzeba spytać...

Przerwała, kiedy się podniósł. Nowy podmuch wiatru zrzucił mu kaptur z głowy i przekonała się, że chłopak faktycznie jest ogolony na łyso. Z prawej strony czaszki widniała mocna czerwona pręga w kształcie haczyka, jakby jakieś trudne pytanie wyszło mu z głowy na wierzch. Pani Lucynka uznała to za zabawne skojarzenie, ale się nie zaśmiała. Zesztywniała pod wzrokiem młodego człowieka o jasnych, pustych oczach i popękanych ustach rozchylonych w nikłym uśmiechu. Jako duża i silna kobieta umiała sobie radzić z mężczyznami pod drzewem, gdy stawali się zbyt natarczywi, jednak tu działało coś innego. Coś takiego jak w filmie o diabłach.

Podszedł do niej tak blisko, że gdyby się schylił, mógłby ją... pocałować w usta! Nie zdążyła zdziwić się tą myślą, gdy młody człowiek odsłonił drobne i mizerne jak u dziecka ząbki.

– Mamuśka... – zaczął i poczuła jego oddech. Nie był właściwie nieprzyjemny, tylko zimny, taki piwniczny.

– Tam! – powiedziała, wyciągając rękę za siebie, bez oglądania się. – Z czerwonym dachem i bramą malowaną na zielono, z różyczką w środku. Za kościołem!

Ostatnie słowo wykrzyczała jak egzorcyzm, licząc na jego magiczną moc, ale spontaniczna klątwa nie wywarła na młodocianym antychryście większego wrażenia. Chwilę przewiercał ją wzrokiem, a potem zwyczajnie odwrócił się i odszedł, znowu wciskając ręce do kieszeni bluzy. Gdy przeszedł na drugą stronę szosy i ruszył świeżo zrobionym za unijne dotacje chodnikiem, myślała, że już po wszystkim. Odetchnęła z ulgą. Serce waliło jej jak młotem, na próżno tłumaczyła sobie, że nic takiego się nie stało. Obcy człowiek przyszedł spytać o drogę, i tyle. Normalna rzecz. Nic z tego. Słowo „mamuśka” wychrypiane w twarz dziwnym głosem zadziałało znacznie mocniej niż jej beznadziejny „kościół”. Na całym ciele czuła mrowienie i wilgoć. Dwadzieścia lat temu wzięłaby to za podniecenie i może poszła na wieś... Teraz zostało jej tylko drżenie, lęk. O co?

Od strony kościoła toczyła się z łomotem ciężarówka wyładowana drzewem. Szyszkownicy hulali po pomorskich lasach w najlepsze i codziennie kilkanaście takich pojazdów waliło środkiem Grębówka, jakby tu był szabrowniczy Dziki Zachód, a nie normalna wieś z mieszkańcami. Czasem od tego łoskotu robiło się nieswojo. Pani Lucyna przez moment liczyła, że kierowca zwolni i zajedzie do niej pod sklep. Czasem tak robili i wtedy łoskot nieco słabł. Ale nie, ciężarówka waliła z całym impetem, jak zawodniczka w morderczym biegu.

Kundel z wybałuszonymi oczami przyplątał się nie wiadomo skąd i nagle pojawił się tuż obok maszerującego chłopaka. Gdyby zachował większą ostrożność i słuchał swego węchu, spróbowałby obejść człowieka z drugiej strony, od płotu, jednak instynkt samozachowawczy najwidoczniej w tym przypadku nie zadziałał. Psisko na swoje nieszczęście znalazło się dokładnie przy nodze mrocznego piechura, gdy mijał ich ciągnik z drzewem. To nawet nie był kopniak, raczej tupnięcie butem. Kundel uskoczył, miał to przećwiczone z plastikową butelką. I nagle zrozumiał.

Zerwał się i kto wie, może zdążył jeszcze pojąć, o co chodziło temu mdło woniejącemu facetowi, tam, na placu, gdy nieruchomo mu się przyglądał.

Piesek po prostu zniknął. Spod lewego koła trochę chlapnęło i na asfalcie został brudny strzęp, który następne koła rozniosły w nic. Pojazd potoczył się dalej, nawet nie zwalniając. Chłopak stał na chodniku i patrzył w stronę pani Lucyny. Odsłonił głowę i uśmiechnął się. Miał drobne, białe ząbki, jak dziecko.

Wrzasnęła i uciekła do sklepu.

II

Zwierzę jest cicho

1

Zniknięcie drugiego z pary krakowskich śledczych, którzy przybyli do Słupska z najlepszą wolą, by teoretycznie i praktycznie wesprzeć pomorskich kolegów w żmudnym policyjnym rzemiośle, podniosło temperaturę zimnego bałtyckiego lata. W Komendzie Miejskiej przy alei 3 Maja wrzało. Komendant Krzysztof Zdybas od rana biegał po pokojach i pokrzykiwał na ludzi, że mają się zabierać do roboty, bo i tak nie podpisze żadnego urlopu, a tych, co już wyjechali, pościąga z powrotem. Wykrzykiwał te surowe polecenia głównie do Bogu ducha winnych sekretarek, które akurat nigdzie nie wyjechały i za wszelką cenę usiłowały zapewnić instytucji jakie takie funkcjonowanie, ponieważ komendant pozostałych wysłał w teren. Wszyscy szukali śledczego Lucjana Bałysia. Podzieleni na zespoły, grupy i patrole policjanci przeszukiwali okolice według skomplikowanego planu ułożonego podczas narady operacyjnej w gronie ścisłego dowództwa. Na wielkim stole rozłożono wówczas wojskowe mapy i za pomocą czerwonych markerów pokryto je pajęczyną pomysłów. Koncentrowano się wokół miejsc odludnych i mało uczęszczanych, zakładając, że tam właśnie porywacz przygotował swoją kryjówkę. Po wypadku Krzyckiego ustalono, że to będzie jeden ze starych niemieckich schronów. Z góry wykluczono popularne atrakcje turystyczne, takie jak bunkry Blüchera w Ustce, gdzie teren został całkowicie zagospodarowany dla potrzeb zwiedzających. Odpadły również tak zwane BAS-y, czyli ruiny po Bateriach Artylerii Stałej, budowanych wzdłuż wybrzeża już po wojnie i dosyć dobrze rozpoznanych. Zresztą sprawdzono je najpierw.

Cała akcja od początku wyglądała beznadziejnie. Wystarczyło przeciągnąć linię prostą między Ustką a Kołobrzegiem i przesunąć ją o pięćdziesiąt kilometrów w głąb lądu, by się przekonać, że chodzi o co najmniej pięć tysięcy kilometrów kwadratowych. A teren ten stanowił, by tak rzec, jedynie najbliższą okolicę zakładanego teatru działań. Kała mógł wywieźć Bałysia dalej na zachód, w stronę Szczecina, gdzie miał również swoje kontakty, albo na wschód, nie wykluczając Trójmiasta. Albo i na południe, pod Wałcz na przykład, gdzie miałby do dyspozycji wspaniałe podziemne instalacje pozostałe po walkach o Wał Pomorski. Zdybas znał się z tamtejszym komendantem powiatowym i nawet wymusił na nim zorganizowanie lokalnych poszukiwań. Jak należało przypuszczać, nie przyniosły one żadnych rezultatów.

Ponieważ chodziło o kryjówkę stałą i podziemną, niewiele dało użycie helikopterów i dronów. Owszem, latały, ale niczego nie znalazły. Na nic zdały się również nasłuchy linii komórkowych i śledzenie logowania – żaden ze znanych numerów Kały ani jego ludzi się nie odzywał. Efektu nie przyniosło także ślęczenie techników nad zapisami z kamer miejskich i drogowych. Materiału mieli jak piasku na Saharze, nie za bardzo też wiedzieli, czego szukać. Po prostu facet porwał oficera policji i zaszył się z nim sto metrów za końcem świata, a wszystkie ślady starannie pozacierał. Policja szukała, jednostki specjalne ściągnięte z Warszawy, Gdańska i Szczecina szukały, ludzie, psy i urządzenia elektroniczne szukały – i nic.

Im bardziej było widać daremność wszystkich tych usiłowań, tym głośniej komendant Zdybas pokrzykiwał na podwładnych:

– Bierzcie się wreszcie do roboty! Oni gdzieś muszą być, rozumiecie? Muszą! Nie ma co!

Powtarzał „muszą”, jakby samym zaklęciem dało się ich wywlec spod ziemi i postawić do surowego raportu. Ten i ów wzruszał ramionami, ale ludzie zbierali się i szli znowu w teren, by przetrząsać nadmorskie lasy, zagajniki i puste pola, z rosnącym poczuciem absurdu całej operacji. Sierżant Benedykt Mrówczyński pewnego ranka po odprawie celnie ten absurd podsumował:

– Nie mógłby po prostu zadzwonić do Kały i spytać, gdzie jest? Ma przecież numer.

Powiedział to półgłosem, po wyjściu szefa. Wszyscy wiedzieli, że Kała od lat kumplował się ze Zdybasem i właśnie z pomocą komendanta zbudował swoje imperium. Może jeszcze paru innych lokalnych notabli, niemniej jego układy w policji były kluczowe. Dzisiejsze pokrzykiwanie brzmiało tak, jakby pomocnik lisa domagał się ukarania winnych kradzieży kur z kurnika.

– Pod ziemią nie ma zasięgu – mruknął Hadczuk. Jako szef wydziału kryminalnego miał mnóstwo innej pracy i tylko sporadycznie brał udział w poszukiwaniach. Dlatego mógł odwiedzać Krzyckiego w szpitalu.

– To wcale nie musi być bunkier – stwierdził flegmatycznie sierżant Latawiec.

– A co? – spytał Mrówczyński. Obu z Latawcem dręczyło coś w rodzaju wyrzutów sumienia, ponieważ Lucek przyjechał z Krakowa właściwie przez nich. Zapraszali wtedy inspektora Krzyckiego, ale podkomisarz Bałyś, który przybył w zastępstwie, też ich zachwycił. Zwłaszcza wieczorną akcją w lesie, gdy w kwadrans obezwładnił i przywiązał do drzew jak barany dwunastu ludzi Kały. To było coś. Normalnie najlepsza marka. A teraz ten sympatyczny i niepozorny blondynek o fenomenalnych umiejętnościach tkwił w łapach tego samego Kały. Bali się myśleć, co tam się wyprawia. I czuli się winni.

– Ja bym obstawiał gondolę wiatraka – odparł Latawiec. – Tu ostatnio najważniejsze rzeczy dzieją się na wiatrakach.

Miał trochę racji. Hadczuk przypomniał sobie płomienie rozświetlające pola pod Grębówkiem tamtej nocy, kiedy z wysokości stu metrów spadło ciało inżyniera dozorującego turbiny wiatrowe. Ogień odciął mu drogę i zapędził na dach. Później tamten kierownik żwirowni, a potem jeszcze walka Krzyckiego z...

– Panowie, macie jakieś niejasności w rozkazach?

Znieruchomieli. Przed nimi stała w mundurze sierżantka Dominika Rodriguez-Bałyś i celowała z palca w pierś Hadczuka. Zacięta twarz,

chmurne czoło i spięty kark upodabniały ją do klaczy tuż przed startem. Bali się jej. Nawet nie tego, że była policjantką i żoną zaginionego śledczego, ale raczej jej oszałamiającej egzotycznej urody. Emanowała obcością, co ich onieśmielało, a w połączeniu z determinacją tworzyło groźną, nieobliczalną mieszankę. Szybko unieśli ręce i bez słowa się rozeszli. Była tylko sierżantem, ale to ona tu rozkazywała. Ze względu na Lucka.

W takim mniej więcej klimacie przebiegał pierwszy tydzień poszukiwań, do czasu zniknięcia Andrzeja Krzyckiego ze szpitala w Słupsku. Po tym wydarzeniu sprawa zaginięcia Lucjana Bałysia zaczęła się w przedziwny sposób komplikować i rozmywać, czego Ryszard Hadczuk początkowo nie zarejestrował z należytą uwagą. Zaliczał się do policjantów myślących poprawnie, lecz wolno.

Gdy następnego ranka po ucieczce krakowskiego policjanta z oddziału rehabilitacyjnego przesłuchiwał sierżantkę Rodriguez-Bałyś, zdziwiło go jej opanowanie. Role się odwróciły i teraz on mógł bawić się w ostrego gliniarza, ale na niej to nie robiło wrażenia. Nagle się uspokoiła.

– I tak go nie znajdziecie – odparła, gdy na koniec rozmowy spytał ją, co o tym wszystkim sądzi. Wydęła latynoskie usta jak bogini z azteckiej płaskorzeźby i zmierzyła go kamiennym wzrokiem.

– Nie znajdziemy, jeśli już. Pani również należy do szukających.

– Zależy, jak liczyć.

– Proszę mnie oświecić.

Przesunęła wzrok z jego twarzy nieco w bok, jakby tam nagle pojawił się ktoś znacznie ciekawszy od Ryszarda Hadczuka. Kilka sekund upłynęło w niejasnej ciszy.

– On go znajdzie – powiedziała wolno.

Zrozumiał. Mówiła o Krzyckim. Powiedziała to z niezachwianą pewnością, jakby chodziło o oczywiste zwycięstwo faworyta. Ten facet nie przestawał go fascynować. Czy znajdował się w pobliżu czy też nie, bo właśnie uciekł albo go złapali – zawsze był w centrum uwagi. W Hadczuku

ten typ ludzi nieodmiennie budził podziw. I zazdrość. On nigdy nie był w centrum zainteresowania. Oprócz tych chwil wątpliwego zaszczytu, gdy przełożeni szukali akurat kozła ofiarnego.

W głębi duszy zgadzał się z kruczowłosą policjantką, istniało jednak kilka „ale", bolesnych jak kontuzja faworyta tuż przed metą. Po pierwsze, przeciwstawiła go im, jak się w bajkach przeciwstawia dobrego księcia złemu czarownikowi. To go ubodło. Przecież naprawdę robili, co mogli, od dawna nie widział słupskiej policji tak zmobilizowanej. Po drugie, zakładała, że kiedy już dobry książę odnajdzie Lucka, wszystko skończy się szczęśliwie, co dla niego nie było takie oczywiste. Krzycki uciekł ze szpitala w stanie, w którym żaden odpowiedzialny lekarz by go nie wypuścił. Wprawdzie dysponował sprawnością znacznie wyższą, niż ktokolwiek przypuszczał, jednak nie miał kondycji zdrowego, silnego mężczyzny. A zatem, po trzecie, gdy już spotka się z Kałą, wynik starcia może być bardzo różny. Po czwarte wreszcie – a co, jeśli nie znajdzie Lucka? Hadczuka drażnił spokój i pewność siebie Dominiki. Zupełnie odwrotnie niż wczoraj, kiedy drażniła go jej niepewność i ledwie powściągana histeria.

– Znajdzie i co dalej? Jak pani to widzi?

Sądził, że zbije ją z tropu. Srodze się zawiódł. Aztecką twarz sierżantki rozjaśnił uśmiech wyższości.

– Panie komisarzu – zaczęła powoli – pan ich nie zna. Nigdy ich pan nie widział razem, dlatego pewnych rzeczy nie umie pan sobie wyobrazić. Nie mam o to pretensji, ale... – Zawahała się. – Nieważne. Ten wasz Kała też sobie chyba coś źle wyobraził.

– To nie jest nasz Kała – odparł urażony.

Przechyliła się przez biurko i teraz miał jej brązowe oczy tuż przed sobą.

– Jestem tu parę dni i już zdążyłam zauważyć, że to wasz Kała.

Chciał coś odpowiedzieć, jednak nim ułożył w głowie zborne zdanie, opuściła gabinet. Wzruszył ramionami i poszedł zrobić sobie kawę. Mocną. Przy bulgoczącym czajniku przypomniał sobie, że komendant Byczkiewicz z Krakowa przez telefon scharakteryzował sierżantkę Rodriguez-Bałyś jako

„miłą i trochę nieśmiałą”. Bingo. Ciekawe, jak opisuje Krzyckiego. Łagodny, ale gaduła? Inteligentny i wrażliwy? Niepewny swoich racji? Nie no, jakieś jaja z tym Krakowem.

2

Poszukiwania Bałysia zaczęły się rozmywać zaraz następnego dnia po ucieczce Krzyckiego ze szpitala. Te dwie sprawy w przedziwny sposób oddziaływały na siebie, ba, tańczyły w kontredansie sprzecznych intencji. Pierwsza ciążyła policyjnym sumieniom jak młyński kamień, druga zaś osłabiała wagę pierwszej, odbierała jej priorytet, odsuwała na dalszy plan. W otchłani powszechnej bezradności związanej z brakiem postępów w szeroko zakrojonych działaniach poszukiwawczych ucieczka Krzyckiego stanowiła dla policji coś w rodzaju światełka w tunelu. Nieco jakby odetchnięto z ulgą. Powiązano oba wypadki i zastosowano oryginalną logikę policyjną, zgodnie z którą druga strata neutralizuje pierwszą, tak jak dwa minusy dają plus. Porwali jednego, drugi uciekł i go szuka, ergo nie trzeba nic robić, tylko poczekać, aż znajdzie. Wersja łagodniejsza brzmiała: dobrzy są, dadzą radę. Ostrzejsza: takie orły z tych krakowiaków, to niech pokażą, co potrafią.

Komendant Krzysztof Zdybas był zdecydowanym przeciwnikiem tej logiki, bynajmniej nie z miłości do krakowiaków. Wiedział, że musi się wykazać, by zdjąć wiszące nad nim podejrzenie o współpracę z porywaczami. Właśnie dlatego z kapralskim wigorem poganiał wszystkich do szukania. Jednego i drugiego.

Rzecz jednak komplikowała się już na poziomie werbalnym, ponieważ część zaangażowanych w sprawę policjantów kwestionowała nazywanie tego ucieczką.

– Każdy dorosły człowiek ma prawo wejść do szpitala i z niego wyjść – dowodził pewien dowódca. – To nie jest przestępstwo. Dlaczego mamy go szukać? Niech sobie idzie.

Słowa te padły pod koniec głównej narady otwierającej kolejny dzień przeczesywań terenowych i nie spotkały się z należytym sprzeciwem. Odwrotnie, w głębi duszy wszyscy się z nimi zgadzali, żywiąc przy tym nadzieję, że ich nieodparta prawdziwość osłabi wolę zbiorowości co do poszukiwań w ogóle. Inaczej mówiąc, wszyscy już mieli dosyć. Ktoś nawet półgłosem skrytykował pomysł zaproszenia krakowskich śledczych do Słupska. Wychodziło na to, że samych konferencji policja również ma dosyć. W takim mniej więcej nastroju dowódcy poszczególnych grup pożegnali się z komendantem Zdybasem i jego chłopakami z wydziału kryminalnego, by ruszyć do żmudnych, niechcianych, niewygodnych, a także – w powszechnym przekonaniu – bezproduktywnych włóczęg po okolicy, zwanych szumnie operacją.

Komendantowi Zdybasowi bardzo nie w smak było wykluczenie z „operacji” inspektora Krzyckiego.

– Uciekł spod policyjnego nadzoru! – wrzeszczał. – Naruszył regulamin szpitala! Zagrał nam na nosie!

– O ile się orientuję, tamtego wieczoru wszyscy w szpitalu naruszyli regulamin – przypomniał Hadczuk. Zostali we czwórkę w sali narad i zastanawiali się, co jeszcze w ogóle jest do zrobienia. – A pilnowanie go polegało na ochronie, nie na ograniczeniu swobody poruszania się. Ja bym...

– Ja bym na twoim miejscu, Hadczuk, wziął się do roboty – przerwał mu Zdybas. – Masz jakiś pomysł na korektę?

Chodziło o wprowadzenie nowych danych do planów przeczesywania terenu. Codziennie pochylali się nad starymi mapami pomorskich umocnień i zaznaczali nowe punkty, gdzie jeszcze mogliby szukać. Należało przedstawić zespołom aktualny plan działania, a nowych pomysłów nie mieli. Oprócz szukania wiatru w polu.

– Niemożliwe, żeby zupełnie nikt nie wiedział, gdzie ten facet zniknął – wtrącił cicho Łukasz Latawiec. – Przecież musi się gdzieś pokazywać, po coś wyłazić z tej nory. Nie wiem, choćby po zakupy.

– Mówisz o Kale czy o Krzyckim? – spytał Hadczuk.

– Słuchajcie, co jest grane? – Latawca ponosiły młodzieńcze nerwy. – Czy aż tak łatwo porwać człowieka, wepchnąć w dziurę i siedzieć sobie z założonymi rękami? Naprawdę nic nie możemy zrobić? Czy udajemy?

– Dobre pytania. Celne. Prawie fenomenalne – ironizował Mrówczyński. – Jak mówią mądrzy, dobre pytanie to połowa odpowiedzi. Czyli pięćdziesiąt procent już mamy.

– Jacy mądrzy? – spytał komendant Zdybas. Jego głos zdradzał zaniepokojenie. Nie lubił nie wiedzieć, co kto mówi o jego sprawach, czuł się wtedy zagrożony. A zagrożenie własnej pozycji stanowiło podstawową troskę służbową komendanta.

– Chyba Sokrates, ale nie jestem pewien – przyznał Mrówczyński.

– Sokrates? Ten piłkarz?

Zapadła cisza. Ktoś mógłby pomyśleć, że wsłuchują się w tykanie ściennego zegara.

– Hmm, to zacznijmy od początku – zaproponował Hadczuk, rzucając koło ratunkowe szefowi. Nie lubił go, ale poczuwał się do obowiązku łagodzenia napięć w zespole. – Są takie miejsca, gdzie Kała często bywał, miał tam swoje interesy. Na przykład żwirownia w pobliżu Żegocina albo baza transportowa Klisza. Czy my na pewno zrobiliśmy wszystko, by takie miejsca sprawdzić?

Wcale nie wierzył, że to cokolwiek przyniesie. Chciał tylko skierować uwagę komendanta na inne tory. Podążanie śladem krakowskiego inspektora wydawało mu się teraz jednym z najbardziej fatalnych pomysłów. Powinni go zostawić w spokoju i robić swoją robotę.

Reakcja komendanta nie pozostawiała wątpliwości.

– Tam już wszystko zostało sprawdzone, Hadczuk. Odpowiadałeś za bezpieczeństwo inspektora Andrzeja Krzyckiego i twoim najpilniejszym zadaniem jest teraz jego odnalezienie. Czekam na taki meldunek, i to jeszcze dzisiaj. I nie mów mi, że to niemożliwe, jasne?

Ostatnią kwestię wypowiedział, przybliżając swój szczurkowaty pyszczek do pucołowatej twarzy komisarza. Niemożliwa do zignorowania

różnica wzrostu i postury zmieniała ich w parę zwierzątek z disnejowskiej kreskówki. Timon i Pumba. Patrzyli na siebie z zaciętością i żaden nie cofnął się ani o centymetr.

– Co się tyczy jego bezpieczeństwa – zaczął powoli Hadczuk – to chyba lepiej, żebyśmy go nie znajdowali.

Zegar na ścianie znowu zaczął tykać głośniej. Łagodzenie napięcia diabli wzięli. Aspiranci Mrówczyński i Latawiec odruchowo przesunęli się za plecy swojego bezpośredniego przełożonego z zamiarem wkroczenia do akcji, gdyby trzeba było go powstrzymać. Podczas poprzedniego takiego starcia musieli mu wykręcić ręce. Co ciekawe, wtedy też kłócili się o krakowski tandem. Tamci mierzyli się spojrzeniami jak zawodnicy MMA, którzy pozują do kamer przed wejściem na ring, dopóki obaj są zwycięzcami.

– Ty wiesz, gdzie on jest, prawda? – odezwał się wreszcie Zdybas.

Hadczuk uniósł prawą rękę i obaj aspiranci zrobili pół kroku w przód, jednak ten tylko potarł dłonią podbródek. Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nawet gdybym wiedział, tobym nie powiedział. Nie tobie.

Komendant chciał unieść się wyżej, ale nie zdołał. I tak już stał na czubkach butów. Ruszał nozdrzami i fuczał przez nos, jakby usiłował pokazać, że to on tu jest guźcem, a Hadczuk surykatką. Opanował się jednak, sapnął, chrząknął, a potem odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Dopiero w progu poczuł przypływ odwagi.

– Jutro chcę mieć raport. Z konkretami.

Jeżeli zakładał, że ostatnie słowo należy do niego i przypieczętuje jego przewagę, to się mylił. Zanim zamknął drzwi, usłyszał:

– Co do konkretów: ty też wiesz, gdzie jest, prawda?

– Kto? – spytał Zdybas.

Wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

Pozostała trójka chwilę trwała w milczeniu. Powinni czym prędzej ruszyć na pomoc kolegom z Krakowa, których sami tu zaprosili i wplątali w całą tę kabałę. A jednak tkwili nieruchomo na środku sali obrad

i wsłuchiwali się w gilotynę zegara. Cak-cak-cak. Ale to też na dłuższą metę było nie do zniesienia.

– Jak myślicie, zdąży? – spytał półgłosem Latawiec.

Za oknem dmuchnął wiatr i mokre liście zaszumiały na okazałej topoli. Gdyby prażyło słońce, jak w normalnym sierpniu normalnego lata, powinna rzucać kojący cień. Ten sierpień daleki był jednak od normalności.

– Nie wiem – odparł Hadczuk zamyślonym basem. Trochę już ochłonął. – Ale mam niejasne przeczucie, że nie powinniśmy im przeszkadzać. Ja bym w ten trójkąt nie wkraczał.

– Mamy tu swój trójkąt – usiłował zażartować Latawiec, pokazując na nich palcem.

– Moja babcia mawiała: *Boh trojcu lubit* – wypalił Mrówczyński. – Takie stare porzekadło z kresów.

– Ty z kresów jesteś? – zdziwił się Hadczuk. – W ogóle po tobie nie widać.

– A jak niby chciałbyś to zobaczyć? Mam se tryzuba na dupie wytatuować?

– No, tam tobym nie chciał patrzeć. Chodziło mi o taki, no wiesz, akcent. Zaciąganie, znaczy się... – Przeciągnął ostatnie sylaby, żeby zademonstrować, co rozumie przez kresowe zaciąganie.

– Co to niby miałoby znaczyć? – zainteresował się Latawiec.

– Ale co?

– No, to z tym Bogiem i trójcą.

– Że... jest nas trzech i damy sobie radę. I oni tam też.

– Przecież tam jest dwóch na jednego. – Nie dawał za wygraną Latawiec.

– Według mnie to znaczy „do trzech razy sztuka” – wtrącił Hadczuk.

– Na przykład że Krzycki dwa razy już uciekał ze szpitala – podchwycił Latawiec – i dopiero gdy trzeci raz ucieknie, to może mu się udać. W tym nie ma nic do lubienia. Coś popieprzyłeś, Benek.

– Nie zrozumieliście, barany. To jest zwyczajne marnowanie ludowej mądrości. Chodziło mi po prostu o to, że... że tam też jest trójka, a trzy to taka dobra wróżba. Że im wyjdzie...

Utknął w pół zdania i dali mu chwilę, by się przekonał o swej definitywnej klęsce. Potem Latawiec wolno i bezlitośnie podsumował:

– Mądrość ludowa. No, to ci się udało.

3

– Najpierw powinienem się chyba wytłumaczyć. Widzisz, to nie jest tak, że zwariowałem tam wtedy, pod ziemią, i coś mi się przywidziało. Naprawdę go widziałem. I czułem. Liczyły się minuty, sekundy, nie miałem czasu na dywagowanie, że zrobię tak albo siak. Gdybym wiedział wtedy to, co wiem dzisiaj, może wszystko wyglądałoby inaczej. Może bylibyśmy tu teraz wszyscy razem i cała ta podła sprawa należałaby już do historii. Jak wiele innych dawnych i podłych spraw, które przeminęły i można je sobie opowiadać jako anegdotki. Nienawidzę anegdotek.

Za oknem zmierzch pomorski o konsystencji burej, zalewającej świat błotnistej brei, zapadał długo i niechętnie, zamulony deszczowymi chmurami. Od trzech tygodni królowały chłód i wilgoć, uporczywi emisariusze bałtyckich głębin.

– Kręcę, co? A jak ci to opowiedzieć? Absurdem trąci już sam fakt posługiwania się słowami, aby uchwycić coś, czego język się nie ima. Ale innej drogi nie mam. Wybacz, nie umiem szczekać, skamlę też raczej po ludzku. Podobnie daruję sobie ulubioną frazę wszystkich rozżalonych buchalterów sumienia: „gdybym mógł cofnąć czas”. To dobre dla młodzieży. A to już nie my, prawda? O życiu wiemy nieco więcej, na pewno tyle, by unikać sentymentalnych rozpamiętywań. Gdybym cofnął czas, i tak bym niczego nie naprawił. Tak, zrobiłem to wtedy, dwadzieścia dwa lata temu. Po pijaku przespałem się z dziewczyną kolegi. Nie będę tłumaczył się wymówkami w rodzaju: „to ona mnie zaciągnęła” albo

„spontaniczna akcja rozochoconej studenterii”. Niczego w ten sposób nie wyjaśnię ani nie zmienię. Dodam tylko, że w najśmielszych przypuszczeniach nie spodziewałem się takich konsekwencji. Jak to było w tej starej francuskiej piosence? „Chwila radości, a potem płacz przez resztę życia”. Ale powiedz – miałem tego nie robić? A może zachować po pijaku trzeźwość, która by mi podpowiedziała, że dziewczyna potem popełni samobójstwo, a dwadzieścia dwa lata później Lucek znajdzie się w łapach tamtego człowieka? Czy miałem to wszystko przewidzieć? No powiedz, miałem?

Lala nie odpowiedziała. Z pyskiem opartym na przedniej łapie patrzyła przed siebie, w ciemność pokoju. Gdy ostatnie drgania powietrza ustały i pytanie Krzyckiego rozwiało się w głuchą ciszę, podniosła się, zrobiła parę kroków i zwinęła się w kłębek na starym kocu po drugiej stronie stołu. To mogło oznaczać zachętę, by mówił dalej. Mogło również być przypomnieniem, iż psy nie odpowiadają słowami. Albo manifestacją obojętności wobec ludzkich spraw.

Albo po prostu: pieprzysz, Krzycki.

– Pieprzę, wiem. Nie powinienem w ogóle się odzywać, tylko brać do roboty. Od ładnych paru lat ciągle za czymś biegam, pomagam dobrym ludziom w karaniu złych ludzi, rozwiązuję cudze zagadki i łatam cudze katastrofy. A im więcej biegam, tym częściej słyszę, że mi świetnie wychodzi i mam tak dalej. Dokąd? Okej, tobie to obojętne, jednak mnie jeszcze nie całkiem. No więc? Powinienem się zamknąć i brać do roboty, bo trzeba ścigać następnego drania i popychać świat codziennie o jeden mikrometr ku doskonałości? I nie gadać? Ale sama widziałaś, nie gadałem parę dni i jaki się z tego zrobił problem. No więc muszę coś powiedzieć. Teraz. Tobie.

Lala uniosła łeb, otwarła pysk i z ostentacją mlasnęła językiem. Popatrzyła w przeciwną stronę, jakby tam działy się rzeczy znacznie ciekawsze, na chwilę znieruchomiała, po czym wróciła do poprzedniej pozycji. Pysk na łapie, podwinięty ogon, przymrużone oczy. Pozycja znudzonej wyjadaczki.

– Muszę się wygadać, inaczej zwariuję. Nie przed ludźmi, tych mam dosyć, jeszcze trochę i zostanę seryjnym mordercą. Przed tobą. Bo ty wiesz. Wiesz, prawda? Kiwnij tym swoim płaskim, suczym łbem, że wiesz!

Nie kiwnęła. Zastrzygła tylko śmiesznie uszami, kiedy daleko we wsi zaszczekał pies.

– Dobrze, wpakowałem tego chłopaka w tarapaty. Powinienem być na jego miejscu, jasne, teraz to jest jasne jak słońce i gdybym mógł cofnąć czas, tobym... Ech, do dupy. Gdy pierwszy raz usłyszałem od Lucka nazwisko Kały, powinienem był natychmiast zareagować. I zrobiłbym tak, ale wiesz, co się stało. On sobie ubzdurał, że ja z Dominiką. Głupi osioł. Zawzięty, głupi osioł! Do niczego między nami nie doszło, rozumiesz? Niczego! To parszywa bzdura! Przecież dobrze wiesz, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.

Chyba nie wiedziała. Nie wykonała żadnego ruchu, by cokolwiek potwierdzić lub czemukolwiek zaprzeczyć. Poniosło go, niech więc gada, potem się zobaczy.

– No dobra, zrobiłem raz, ale dawno i nieprawda. Daleko mi do ideału i pracuję nad sobą. Jestem tylko człowiekiem i niektóre rzeczy robię, bo... Dokąd idziesz?

Lala wstała, przeciągnęła się jak po smacznej drzemce i zrobiła dwa kroki w stronę okna. Psi behawiorysta powiedziałby: dezaprobata.

– Chodzi ci o tę licealistkę? O Anię? Przecież to już było po i zaledwie jeden raz... Dobrze, wygrałaś. Jestem podły, nikczemny, niewierny, skłonny do zdrady i opuszczam przyjaciół w biedzie. Zawiodłem rodziców, sprzeniewierzyłem się przysiędze zawodowej i naruszyłem oficerski etos. Piłem, łajdaczyłem się na wszystkie możliwe sposoby i pożądałem żony bliźniego swego, która jego jest. Czy jakoś tak. Tylko że to wszystko nieprawda! To znaczy prawda, ale i tak nic nie da się z nią zrobić, bo człowiek jest tylko człowiekiem, ma jedno życie i powinien je przeżyć najlepiej jak...

Suka warknęła. Nagle odwróciła się i wbiła w niego żółte, złe ślepia. Próbował wytrzymać, jednak nie dał rady. Teraz ona mówiła, a on miał

zrozumieć.

Twoje gadanie, Krzycki, może i stanowi wartość autoterapeutyczną, choć w gruncie rzeczy to zwykłe ludzkie pieprzenie. Nie lubisz ludzkiego pieprzenia, to sam się przed nim powstrzymaj. A jak już musisz coś powiedzieć, to z sensem. Mówisz, że człowiek ma jedno życie i powinien je przeżyć? To coś ci powiem. Nie tylko człowiek. Każda istota ma jedno życie, pies też. I nawet taka marna, postgangsterska suka z odzysku jak ja też chciałaby je przeżyć w ludzkich warunkach. Bo na życie całkiem zwierzęce już mnie nie stać. A jednym z tych warunków są przyzwoici opiekunowie, którzy mają na przykład wspaniałych przyjaciół. Lucek to twój przyjaciel. A jakbyś zapomniał, on też ma tylko jedno życie. I chciałby je przeżyć. Więc daruj sobie, Krzycki, te gadki jak głodne kawałki rodem z azylu dla zwierząt. Chciałeś mnie tam zostawić u zarania naszej znajomości, pamiętasz?

– Pamiętam. Ale cię nie zostawiłem. Skąd ty znasz takie zwroty jak „u zarania”? Do diabła, nieważne. Słuchaj, przecież go nie opuściłem...

Przerwał mu kolejny warkot, nieco ostrzejszy.

Nie, to ty słuchaj. Wiem, że jesteś słaby. Miesza ci się w genialnej policyjnej głowie i masz kłopoty z równowagą, a siły starcza zaledwie na tyle, żeby wycisnąć z siebie to, co trzeba do tej waszej śmiesznej porcelany. Trucizna jeszcze trochę działa, jednak ma to swoje zalety. Wyostrzyły ci się zmysły, zauważyłeś? Oczywiście, daleko ci jeszcze do mnie, ale słyszysz i czujesz lepiej niż inni ludzie, a to już coś. Nie znasz jakiegoś błyskotliwego powiedzonka o tym, że posiadanych zdolności należy używać? No to używaj.

Faktycznie, od czasu wypadku jego zmysły działały jak na podwyższonych obrotach. Gdy tylko obudził się ze śpiączki, okropnie drażnił go zapach szpitalny, jednak nigdy go nie lubił i myślał, że tak ma być. Potem zauważył, że ciągle ścisza telewizor, stopuje ludzi dłońmi, by nie krzyczeli, odsuwa talerze z jedzeniem, bo zbyt intensywnie pachną. Słyszał, co inni mówią na drugim końcu korytarza. Tak, organy słuchu

i powonienia działały w jakimś programie turbo, z potencjometrami na maksa.

Było jeszcze lepiej. Albo gorzej. Nie tylko słyszał, że ktoś idzie korytarzem, ale niemal za każdym razem wiedział, kto to jest.

– Co, uważasz, powinienem zrobić?

Podeszła wolnym krokiem i polizała go po wyciągniętej dłoni. Już się nie złościła. Prosiła. Bez trudu odgadł jej intencje.

– Myślisz, głupia, że ja nie chcę go znaleźć? Tylko gdzie? Policja błądzi jak dziecko we mgle, i to takie dziecko, które ciągle myśli o czym innym. Nikt nie ma pojęcia, co robić. Na ile znam policję, a znam aż za dobrze, to lada dzień odłożą poszukiwania *ad calendas graecas*. Znasz takie wyrażenie? Po łacinie, że oleją sprawę. Zdaje się, że w starożytnym Rzymie było sporo psów. W ogóle jakaś spsiała wilczyca z synami założyła miasto. Lala, daj mi jeden trop. Wy, psy, w tropach jesteście dobre.

Teraz patrzyła na niego uważniej.

Myśl, Krzycki. Pobudź głowę. Potencjometry mózgowe też podkręć. Dominika kazała ci go znaleźć. Nie może tak po prostu zostawić wszystkiego i uciec sama w noc, jednak ty możesz. Pomogła ci, zostawiła samochód – zrobiła coś jeszcze?

– Gdyby Dominika miała dla mnie wskazówki, po prostu by mi powiedziała, nie sądzisz?

Lala nie sądziła. Odwróciła łeb z cichym westchnieniem. Czasem ludzie są naprawdę beznadziejnie tępi. Jak oni w ogóle zdołali podbić świat?

– Jest coś takiego jak telefon. Niech po prostu zadzwoni i mi powie.

O Jezu.

– Wiem, jest na mnie zła i nie ma ochoty rozmawiać. Pewnie w innych warunkach dałaby mi w pysk, chociaż nie wiem za co. Za to, że nie odbiłem Lucka. Pojechałem po bandzie i nie odbiłem. A ona jest jego żoną i ma prawo umierać ze strachu. Wiem. Do jasnej cholery, wiem!

Przysiadła naprzeciwko i oceniała krytycznie zmiany na twarzy mówiącego człowieka. Emocje. Zaczynają nim miotać emocje, lada

moment znowu przestanie myśleć. I oni się zastanawiają, czy zwierzęta mają inteligencję!

Gęsta, błotnista materia za oknem sczerniała i jedynie dalekie błyski lamp sygnalizacyjnych na wiatrakach informowały, że coś tam, w tej beznadziejnej czerni, jeszcze funkcjonuje. Andrzej zawiesił wzrok na pulsującym światełku. Podciągnął suwak zamka pod szyję, bo znowu dopadły go dreszcze, i wrzucił do szklanki połówkę rozpuszczalnej aspiryny. Brana co parę godzin utrzymywała go na nogach. Uchwycił szklankę z musującą tabletką i uniósł nad stół. Woda drżała. Odstawił. Może to od musowania.

Dominika z premedytacją posłała go na misję, samego, słabego i bezbronnego. Żeby zmył swoją winę. Gdyby uciekła ze szpitala razem z nim, szukanie Lucka mogłoby się zmienić w parodię, czyli przygodowy romans w odcinkach pod tytułem *Policyjne powinowactwa z wyboru* albo *Nieodparte przymusy ciała*, a role się odwrócić, i to Lucek zacząłby ich ścigać. Otello z Nowej Huty. Krótko mówiąc, kryminał przechodzi w harlequina, a ten w *Czerwonego smoka*. Nie, ona o tym doskonale wiedziała, kobiety wyczuwają takie konteksty bezbłędnie, dlatego wysłała go w pojedynkę. Albo go znajdziesz i wrócicie razem, albo lepiej nie wracaj i zgiń tam, przepadnij razem z moim ukochanym. Z tarczą lub na tarczy. Tak mniej więcej brzmiało jej przesłanie, błogosławieństwo na drogę. Zamiast w harlequina kryminał miał szansę przejść w grecką tragedię.

– Jak mogła mi pomóc? Co ona mogła takiego wiedzieć, czego ja nie wiem? Hej, Lala, powiedz coś. Dominika mieszka teraz z rodzicami w Słupsku. Jej ojciec pracuje w firmie geodezyjnej, która zajmuje się pozyskiwaniem terenów pod budowę farm wiatrowych. Może mieć kontakt z ludźmi z otoczenia Kały, bo on w tym biznesie też coś mieszał. Pan Rodriguez to porządny człowiek, wiem, ale ma dostęp do informacji. Jakich? I dlaczego ja nie chcę jej o to pytać?

Psy generalnie nie mówią, jednakże Lala po ostatnich słowach Krzyckiego wyraźnie się ożywiła. Poderwała się z podłogi, zamerdała

radośnie ogonem i pobiegła do drzwi, po czym wróciła do człowieka przy stole i polizała go w nogawkę spodni. I znowu pobiegła do drzwi. Chciała wyjść. Zamaszystym ruchem wlał zawartość szklanki do ust i łyknął jednym haustem. To pozwoliło mu poczuć iluzję przypływu sił. Poderwał się i wyszedł za psem na dwór, uprzednio zgasiwszy światło i zamknąwszy starannie drzwi. Palcem poprawił policyjną żółto-czarną taśmę zabezpieczającą dom Palków po zniknięciu Lucka i śmierci Pawła Palki. Tylko tutaj mógł się zatrzymać, najwyżej na jedną noc. Nie miał pojęcia, co dalej robić.

Samochód Dominiki, którym przyjechali ze szpitala, stał obok stodoły, ukryty przed wzrokiem przechodniów. Lala ominęła go i pobiegła do sadu, załatwiła się, a potem przycupnęła przy drzwiach brązowej kii w oczekiwaniu, aż pan zajarzy podstawowe fakty. Usiadł za kierownicą, włączył lampkę kabinową nad lusterkiem i zaraz zgasił. Rozejrzał się. Nie, nikogo nie ma, to tylko twoja paranoja. Poza tym czerń jest czarna, jakbyś zapomniał. Włączył jeszcze raz i przejrzał schowek po stronie pasażera. Nie musiał długo szukać. Na wierzchu leżała złożona na pół karteczka z zapisanym nazwiskiem Heike Liebner, niemieckim numerem telefonu oraz adresem w Hanowerze. Przymknął oczy.

Stara Niemka, przedwojenna autochtonka z Grębówka, pojawiająca się w tych okolicach z niejasnych powodów i dziwnie blisko najważniejszych wydarzeń. Ma obsesję na punkcie historii Pomorza i zna je na wylot, łącznie z tutejszymi fortyfikacjami. I mogłaby mu pomóc namierzyć miejsce, w którym Kała przetrzymuje Lucka. Krzycki myślał już o tym wcześniej, nie wiedział jednak, jak do niej dotrzeć. Kiedyś rozmawiali telefonicznie, ale dzwonił ze stacjonarnego aparatu, a karteczkę z numerem zgubił i ślad się urwał. Teraz trzymał w palcach jego nitkę. Cieniutką jak włos i równie niepewną, jednak innej i tak nie miał. Przyjrzał się adresowi. Hanower. Tyle co stąd do Krakowa, albo i więcej. Dla półprzytomnego uciekiniera ze szpitala naprawdę bagatela. Bułka z masłem.

Wysiadł i przykucnął przed Lalą.

– No co, mała, jedziemy szukać Lucka?

Suka radośnie rzuciła się na niego i oboje runęli w trawę za stodołą. Objął ją za szyję i poklepał po karku, ona próbowała go polizać. Dogadywali się.

– To może być niebezpieczne.

Warknęła cicho.

– Wiem, że robiłaś już trudniejsze rzeczy, ale tym razem idziemy sami, bez wsparcia, bez broni, bez niczego. Tylko ja z tobą, a ty ze mną.

Mlasnęła teatralnie jęzorem. I co z tego?

– Możemy zginąć.

Wywiesiła język w pogardzie dla wszelkich niebezpieczeństw. Postaraj się, to nie zginiemy.

– Możemy go nie znaleźć.

Warknęła cicho.

– No dobrze już, dobrze. Wiem, że jesteś lepsza od Szarika, psa Cywila i Lassie razem wziętych.

Podniósł się, otrzepał spodnie i ruszył przez gęstą trawę w kierunku podwórka. Lala szła tuż przy jego nodze. Po trzech krokach nagle zawrócił i rzucił się biegiem w dół łąki. Chciał usiąść, ale poślizgnął się na mokrej trawie i rąbnął zadkiem o grunt. Zacisnął szczęki, żeby nie krzyknąć z bólu. Przewrócił się na brzuch i tłumiąc zadyszkę, podczołgał się w górę na tyle, by mieć widok na podwórze. Lala przywarowała obok jego ramienia.

Wychylił się tak wolno, jak tylko pozwalały mu drżące ręce i zaciśnięte zęby. Mógł teraz objąć wzrokiem większą część podjazdu, nieźle widocznego pod światło ulicznej latarni przy głównej drodze. Nie mylił się. Ktoś wchodził do domu Palków.

Odruchowo pomacał się po piersi tylko po to, by stwierdzić, co już wiedział. Nie miał broni. Spojrzał na Lalę. Nie musiał zgadywać, co czai się w jej oczach. Mówiłam ci, żebyś używał zmysłów. Czułeś, że ktoś się zbliża, i zamiast zareagować, zacząłeś kombinować. Z wami, ludźmi, taki jest właśnie kłopot: wszystko idzie dobrze, dopóki nie zaczniecie myśleć. Na szczęście dostałeś drugą szansę. Nie spieprz tego. Pilnuj się.

Mężczyzna skradał się z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Gdyby był normalnym policjantem, wszedłby w asyście dwóch innych do środka i zażądał pójścia z nimi. Gdyby był skorumpowanym przez Kałę policjantem, wszedłby w asyście czterech innych do środka i go aresztował albo zastrzelił. Ten jednak szedł sam, wyjątkowo ostrożnie, jak złodziej z niezłą złodziejską wprawą. Wyglądał na młodego i wyćwiczonego, stawiał kroki nawet trochę podobnie do Lucka ruszającego na akcję. Dotarł do pierwszego okna, zajrzał do ciemnego wnętrza, po czym ruszył ku drzwiom. Gdy wszedł do środka, Andrzej w pierwszym odruchu podniósł się i chciał pobiec za nim, jednak zrezygnował. Lepiej było poczekać i przekonać się, o co temu facetowi chodzi. Przeszedł za róg stodoły i stamtąd przyglądał się oknom budynku.

W jednym z nich błysnęło światło latarki – tylko na parę sekund, czyli tyle, ile potrzeba do sprawdzenia, czy ktoś jest w pokoju. To samo chwilę potem wydarzyło się w drugim z pokojów, jeszcze później w kuchni. Andrzeja zaczęło dręczyć pytanie, czy zostawił na stole coś, co zdradzi jego niedawną obecność. Szklanka po aspirynie, poza tym nic. Może łóżko w sypialni wygniecione od popołudniowego leżenia, bo rzeczy miał w samochodzie.

Ale nie to było najważniejsze. Co to za człowiek? Kto i po co go tu wysłał? Kała przecież czegoś takiego by nie zrobił, wystarczyłaby mu przynęta, by podniecony czekał na przybycie Krzyckiego. Wysyłanie kogoś za nim nie miałoby sensu, chyba że chodziło o śledzenie jego ruchów. Tak, to miałoby sens. W tym celu jednak tropiciel nie musiał wchodzić do domu, mógł jedynie przyczaić się i podążać za nim jak tajemniczy Don Pedro z Krainy Deszczowców. Ten go szukał i nie bał się kontaktu fizycznego. Zapewne nawet do niego dążył.

Po chwili drzwi wejściowe uchyliły się i młody człowiek stanął na progu. Rozejrzał się powoli i systematycznie po pogrążonej w ciemności okolicy jak android z wmontowanym noktowizorem, po czym bezbłędnie ruszył w kierunku samochodu. Andrzej z Lalą cofnęli się. Tamten przemierzył podwórko i stanął przy aucie od strony kierowcy. Miał na sobie obcisły dres

i kurtkę, a na głowie równie obcisłą czarną czapeczkę. Otworzył samochód, przez parę sekund studiował wzrokiem wnętrze, po czym zatrzasnął drzwi. Zajrzał również do bagażnika, gdzie na wierzchu leżała niewielka torba z ubraniami na zmianę. Andrzej spiął się i zrobił krok do przodu. Kiedy już zamierzał skoczyć na intruza, poczuł szarpnięcie na łydce. Lala.

Nie idź. Jesteś za słaby.

Miała rację. Nawet gdyby zdołał go podejść i rzucić się na niego od tyłu, tamten bez trudu obaliłby go na ziemię i w mig załatwił to, po co przyszedł. Na pierwszy rzut oka widać było, że da radę. Andrzej cofnął się i przywarł do trawy, Lala położyła się obok. Wstrzymał oddech i przyglądał się mężczyźnie. Tak, to on. Ta sama sylwetka, ten sam sprężysty krok i powolny obrót głową jak wieżyczką czołgu. Pod czarnym czepkiem pewnie ukrywał bliznę po zabiegu. Młodszy brat Dudasa. Jeszcze jeden cholerny mściciel.

Chłopak badał otoczenie wzrokiem, jakby się chciał upewnić, że czerń jest czarna. Dzieliła ich odległość nie więcej niż pięciu, sześciu metrów i nagle Krzycki poczuł się jak zwierzyna podczas obławy. Ranny jeleń na celowniku, dobitka, pif-paf! i po sprawie. Miał nieodparte wrażenie, że tamten wie o nim – przycupniętym w mokrej trawie i roztrzęsionym od zimna, słabości, strachu i czego tam jeszcze – i maca z lubością w kieszeni kolbę pistoletu. Albo rękojeść noża. Najpierw się przeraził, ale zaraz potem doznał ulgi. To by nie było takie głupie, Krzycki. Nie musiałbyś już się starać, walczyć o te kolejne mikrometry doskonałości, nic. Spokój. Luz. Wystarczy wstać. No, wstań i idź, jak mówi Pismo.

Nie wstał. Czekali z Lalą na rozwój wydarzeń, oddali na razie inicjatywę światu, zbyt zmęczeni i skołowani, by wymyślać następne kroki, które mogłyby ich zawieść gdzie indziej niż na skraj przepaści. Woleli przywrzeć ciepłymi ciałami do chłodnej ziemi i poczekać.

A świat pięć metrów przed nimi pociągnął nosem, splunął i skrzypiącym głosem zawołał w ciemność:

– Dobra, szczurze! Dzisiaj mam jeszcze coś do zrobienia. Ja wybiorę następny raz. I wiesz co? Pierdol się, gliniarzu!

Po czym odwrócił się i odszedł.

4

Od śmierci brata jego świat nabrał nowej intensywności. Kontury rzeczy stały się bardziej wyraziste, jakby Dudas, odchodząc, pociągnął je grubym pisakiem. Samochody błyszczały jak brokatowe paznokcie dziwki z klubu Bobomo, krawędzie dachów słupskich domów wyglądały jak brzytwy, a ludzkie twarze na ulicach pęczniały w pokraczne kulfony z kreskówki. Nie mógł chodzić po mieście, bo miał ciągle ochotę bić te opuchłe gęby, dziurawić nożem i spuszczać nadmiar rozdymających je gazów. Gnili, wszyscy w środku gnili. Ludzie to gnijące trupy, smród ich rozkładu rozchodził się wkoło i kurewsko drażnił mu nozdrza. Ktoś powinien sprzątnąć ten syf. On by to chętnie zrobił. Przytaszczyłby taki jebutny odkurzacz z wypasioną szczotą, włączył i powciągał do środka to całe łażące, gadające i pierdzące gnilnymi gazami tałatajstwo. A potem wywiózł do Ustki, wjechał na nabrzeże i spuścił szambo do Bałtyku. Tak by zrobił. I Dudas, jakby żył, też by tak zrobił. Razem by to zrobili. Zawsze chciał robić ważne rzeczy z Dudasem.

Jego brat zginął przez krakusika. Nieważne, kto pociągnął za spust, ten pies odpowiada za całokształt. Dlatego Sławek musi go zabić, takie jest prawo zemsty. Krew i honor. Oko za oko, ząb za ząb. Myślałeś, zgnilcu jeden, że tak sobie po prostu przyjedziesz, rozpierdolisz cały interes, przelecisz parę lasek i wrócisz jakby nigdy nic do Krakowa? Nie licz na to. Jebać Wisłę i Cracovia żydy. W Słupsku rządzi Lechia.

Drażniło go światło dnia. Naciąganie kaptura na oczy niezbyt pomagało, dlatego wolał poczekać do wieczora. Działanie w ciemności ma swój klimat i swoje zalety. Liczy się wtedy jedynie to, co naprawdę umiesz. A jak nie umiesz, spadówa.

Wsunął palec pod czapkę i pomasował bliznę na skroni. Swędziała jak czip, tylko nie bardzo się orientował, kiedy i po co mu go wszczepiono.

Faktem jest, że od tamtego wypadku było inaczej. Świat zrobił się intensywny i on jakby trochę też, bo to musiało mieć jakiś związek z psychiką. To, że wszystkie rzeczy obwiedziono czarną kreską. Na przykład teraz, gdy siedział w polu kukurydzy i patrzył na domy Grębówka, żeby nie przegapić przyjazdu krakusika, widział czarny kontur na każdym dachu, a najwyraźniej na tych czerwonych. Tak jak na wiatraku za stodołą, który w niskiej chmurze schował łeb i tylko machał od spodu łopatami, jakby składał i rozkładał scyzoryk. Cak-cak. Fajny pierdyliasty nóż. Można by nim skosić całą wieś za jednym zamachem. Megakosiarz, z brwiami na czarno. Wystarczy sięgnąć.

A może mu wycięli kawałek mózgu? Bo od czasu, kiedy ma tę haczykowatą bliznę na prawej skroni, jakby trochę mniej myśli przychodziło mu do głowy. Nie tylko nowych, ale też starych. Odkąd wyszedł ze szpitala, nie pomyślał nawet, żeby wpaść do domu albo chociaż zadzwonić do matki, choć ta na pewno czekała. Telefon dał kumplowi, który właśnie jechał do Irlandii, i kazał mu zadzwonić do swojej starej i powiedzieć, że są tam razem, tylko Sławuś akurat jest w robocie. Na wypadek gdyby go chcieli namierzyć. Ale żeby pojechać do niej i się pokazać – nie pomyślał.

Wciągnąłby coś. Albo chociaż zajarał skręta. Jednak teraz musiały mu wystarczyć zwykłe fajki podjumane w sklepie u tej grubej Zośki, co się darła jak oparzona nad rozjechanym kundlem. Wyjął jednego i się zaciągnął, głęboko, żeby choć trochę kopnęło. Ludzie są słabi. Byle co ich rozwala od środka i są jak przegniłe arbuzy. Wszystko zgnilce. On też jeszcze niedawno gnił, chodził do budy i wracał do domu, do matki, całymi tygodniami czekając, żeby go Dudas wreszcie wziął do jakiej roboty. A teraz nie ma Dudasa, nie ma domu, matka niech się wali, a robotę to on sobie znalazł sam. Z nieba mu spadła, z samego szczytu wiatraka. Pomacał podłużny kształt pod kurtką. Cak-cak.

Dokończył papierosa, skulił się w kłębek i spróbował zasnąć. Do wieczora zostało jeszcze trochę czasu, a w kukurydzy było w miarę ciepło i nie wiało. Z długich liści umościł sobie posłanie, podciągnął kolana pod

brodę, ułożył plecak płasko na ziemi, policzek oparł na zgięciu łokcia i poczuł się jak w amerykańskim filmie o wojnie w Wietnamie. I o to biega. Dopiero teraz poczuł całe zmęczenie z ostatnich dni i przymknął oczy, licząc, że nic mu się nie przyśni. Nie lubił snów i miał nadzieję, że to tę część mózgu mu wycięli.

Obudziła go ciemność. Zakradła się pod powieki i szepnęła, że już czas. Uniósł głowę i rozejrzał się czujnie, wsłuchany w szmery otaczających go pędów. Nareszcie mrok, można szeroko otworzyć oczy. Czerń nocy jak balsam łagodziła podrażnione intensywnością świata zmysły, koiła je i obiecywała, że teraz już nie będzie boleć. Widział i słyszał bardzo dokładnie, łodygę obok łodygi, liść za liściem, szelest za szelestem. Powietrze pachniało nadmorskim jeziorem. Zgnilizna. Poderwał się, zarzucił plecak na ramię, opróżnił pęcherz i ruszył przez pole ku wiejskim zabudowaniom. W dziurawej i zaszytej na łapu-capu przez słupskiego konowała głowie kołatała się tylko jedna myśl, ściśle związana z wykonaniem misji. Dopaść krakusika. Usiąść na nim okrakiem i pogładzić ostrzem po zgniłych bebechach, jak fryzjer ostrzący brzytwę na skórzanym pasku. Pocieszyć się jego strachem, a potem wypuścić te gnijące gazy na pomorski wiatr, niech je porwie i uniesie gdzieś daleko w pizdu, do wąchania syberyjskim mamutom. Jego pieśń zemsty. Jego honor i krew.

Podszedł pod dom od strony wsi i spokojnie wkroczył na ganek. W pierwszej chwili chciał się zakraść do środka przez okno, ale zrezygnował z tego amatorskiego i łatwego pomysłu. Właściwie wcale mu nie zależało na skrytym, podstępnym zgarnięciu faceta, przeciwnie, miał wielką ochotę stanąć z nim twarzą w twarz. Nocą, po ciemku, tylko z nożem w garści i siłą w mięśniach. Tego ostatniego był pewien. Dudas nie zabierał go na akcje, co wcale nie znaczy, że Sławek nic nie umie. Dużo ćwiczył, sam, na strychu kamienicy, a za manekina służył mu drewniany słup, teraz już całkiem postrzępiony od uderzeń ostrza. Nic tak nie przywraca równowagi ducha jak dobrze wymierzony cios.

W domu pachniało człowiekiem i psem. To go trochę zaskoczyło. Zacisnął dłoń na rękojeści noża, przywarł plecami do ściany i tak posuwał

się powoli, krok po kroku, w kierunku kuchni. Tu zapach zrobił się intensywniejszy. Człowiek i pies nie musieli być razem, może po prostu jakiś kundel wlazł tu przez uchylone drzwi, poszwendał się i poszedł sobie, niczego nie znalazłszy. Coś mu jednak mówiło, że problem jest. Drzwi nie były uchylone, a w kuchni na podłodze leżał koc, jeszcze nie całkiem ostygły od mdłego psiego ciepła. Szklanka na stole pachniała aptecznie, gość dopiero co uciekł ze szpitala i podkarmiał się medyczną chemią, żeby przetrwać. Cienki musiał być, skoro jechał na aspirynie. Kto wie, może będzie łatwiej, niż Sławek sądził. Tylko ten cholerny pies...

Krakusik albo go wyczuł i uciekł, albo się wyniósł i trzeba będzie zacząć poszukiwania na nowo. Jeśli przycupnął w pobliżu i obserwował dom, trzeba go wywabić. Podrażnić. Chłopak wyjął latarkę i demonstracyjnie poświecił dokoła, licząc, że tamten da się sprowokować i spróbuje zaatakować w środku. Przeszedł cały dom wzdłuż i wszerz, po czym wyłączył latarkę i przyczaił się tuż za drzwiami wejściowymi. Odczekał kilka minut, jednak nic się nie działo. Wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się po podwórku. Dalekie światło ulicznej latarni trochę przesłaniało mu pole widzenia, ale w obrębie podwórka nie zauważył niczego podejrzanego. Ruszył wolnym krokiem, wciągając powietrze głęboko w płuca. Zapach szedł od łąki za stodołą. Na jej tyłach natknął się na samochód. W środku też pachniało psem, a w bagażniku leżała torba Krzyckiego z ubraniami. W pierwszym odruchu chciał ją zabrać, jednak po chwili stwierdził, że to tylko zbędny, do niczego niepotrzebny balast. Zatrzasnął bagażnik, odwrócił się i spojrzał w ciemność przed sobą. Zapach był mocny, świeży. Łatwy.

Zbyt łatwy. Podszyty niepewnością, strachem i desperacką obojętnością. Zapach tchórza, słabego i zawstydzonego swoją niemocą tchórza, który w innych okolicznościach zrobiłby dokładnie to, co trzeba, to znaczy rzuciłby się na niego z wściekłością i pozwolił się zabić w honorowej walce. Tyle że teraz nie miał na nią siły. Sławek nagle zrozumiał, kto jest jego przeciwnikiem. Ten facet to gracz, tak jak on, i chciał z nim grać o życie. Ale uczciwie, równo, jeden na jeden, bez taryfy ulgowej w postaci

nadwyrężonego chorobą ciała, utrzymywanego na chodzie za pomocą aspiryny. Chciał walczyć i dać się zabić, jednak nie tu i nie teraz. Dobra, niech ci będzie, zgniły tchórzu. Jeden na jeden. Nie dzisiaj.

Sławek Dudek, któremu lekarze wycięli część mózgu ze złymi snami, aby mógł spokojnie wrócić do domu, powiódł wzrokiem po ciemnej ścianie nocy. Demon zemsty uniósł dłoń w geście przyzwolenia. Zrobił krok do przodu i zawołał:

– Dobra, szczurze! Dzisiaj mam jeszcze coś do zrobienia. Ja wybiorę następny raz. I wiesz co? Pierdol się, gliniarzu!

Rozpoczęcie gry z Krzyckim zapowiadało przedłużenie przyjemności, dopalenie skręta do końca, do ostatniego macha, aż się zatoczysz od jazdy i ulecisz w bezdenne, usrane gwiazdami niebo. I długie, powolne pociągnięcia ramion w szumie czarnych skrzydeł, pszsz, pszsz, pszsz. A gdy już będzie po wszystkim, wybierze się do domu i sprawdzi, czy w kwestii snów wszystko jest, jak należy. Powinno być.

Tylko ten cholerny pies. Nienawidził psów.

5

Wielki jak pół tabletu i obleczony plastikową oprawką z kwiatuszkiem smartfon podinspektora Krzysztofa Zdybasa leżał na samym środku biurka. Leżał i milczał. Komendant zerkał na niego co chwila jak na ściągawkę, która w kluczowych momentach rozbłyskuje niebieską planszą z literkami i podpowiada, co robić. W tym sęk, że cholerstwo nie podpowiadało nic. Musiał działać samodzielnie, a tego nie lubił najbardziej ze wszystkiego, bardziej nawet niż Hadczuka i duszonej marchewki z groszkiem. Gdyby Kała choć raz zadzwonił i powiedział jasno: „załatw go”, „chcę go mieć” albo „zostaw go mnie”, czy nawet mniej jasno, za to sugestywnie: „on jest mój” – komendant łatwiej podejmowałby decyzje. A tak co? W którym kierunku działać? Jak, gdzie i kogo właściwie szukać? Skoordynowane działania operacyjne połączonych sił policyjnych przebiegały zgodnie

z wyznaczonymi zadaniami, realizowano ustalone wcześniej założenia, ble-ble-ble, i wiadomo było, że nic z tego nie będzie. Nie będzie i nie może być, skoro on, nominalny dowódca akcji poszukiwawczej, nie ma żadnych przesłanek od faktycznego dowódcy. Gdyby prezes chociaż raz zadzwonił i powiedział tak albo tak – a tu cisza. Co robić?

Wstał z wielkiego jak kanapa fotela i obszedł wkoło wielkie jak lotniskowiec biurko. Jego krótkim nogom trochę to zajęło, jednak nie aż tyle, by zdołał w międzyczasie coś wymyślić. Zrobił drugie kółko i dalej nic. Miał kompletną pustkę w głowie i nerwy z lekka już nadwyrężone bezproduktywnym czekaniem na instrukcje. Wszystko przez tych krakusów. Po jaką jasną cholerę dał się namówić na ich zapraszanie! Cała ta konferencja to jedna wielka bujda, działania pozorowane, ściema dla paru karierowiczów. No tak, ale wtedy dostał telefon, a teraz nie. I co? I dupa.

Wrócił na miejsce, pochylił się nad uparcie milczącym szklanym ekranikiem i powiedział całkiem głośno:

– Zadzwoń, cioto!

Telefon zaczął wibrować. Zdybas podskoczył jak oparzony. Co jest grane? Nie zdążył jednak dłużej pomyśleć, ponieważ wyświetlający się numer przyprawił go o dreszcze. Pragnienia nie powinny się spełniać aż tak dosłownie. A co, jeśli usłyszał? Stracił parę sekund na uspokajanie się myślą, że przez telefon nie słychać, zanim się odbierze. Odebrał.

– Gdzie on jest? – warknęło mu do ucha.

– Wczoraj prysnął ze szpitala, depczemy mu po piętach. Lada chwila go dopadniemy, czekam właśnie na meldunki.

Wydawało mu się, że jak powie „prysnął”, zamiast „zwiał”, to wypadnie bardziej twardzielsko. Kała lubił twardzieli, wcale nie był ciotą, przecież komendantowi chodziło o telefon. Ale przed kim i z czego się tłumaczył?

– GDZIE ON, KURWA, JEST?!

– Ukradł samochód jednej z pacjentek i...

– Zdybas!!!

Umilkł. Powinien przestać mówić i słuchać. To najlepszy sposób na wnerwionego Kałę. A wnerwiony Kała to coś o wiele więcej niż wnerwiony Zdybas. O wiele, wiele, wiele więcej, niestety.

– Słuchaj, komendancie od siedmiu boleści. Powiedziałem ci, żebyś go pilnował jak oka w głowie i trzy razy dziennie meldował, co robi. Czy ty, matole jeden, masz w ogóle jakieś oko i jakąś głowę? Co to znaczy prysnął? Co to za język? Całkiem ci tam odjebało w tym twoim gabineciku? A może zapomniałeś, co mi jesteś winien? Wysłać chłopaków, żeby ci przypomnieli?

To ostatnie mógł sobie darować. Nie, do diabła, nie zapomniał. Największego błędu w życiu, takiego, od którego każde śniadanie zmienia się w gówno sadzone na patelni, a każdy obiad w ohydną duszoną marchewkę z groszkiem, tak łatwo się nie zapomina. Plan był piękny. Chcieli z żoną usamodzielnić dorastające córki i kupić im mieszkanie w nowym, wypasionym apartamentowcu. Brakowało stu pięćdziesięciu tysięcy oraz zdolności kredytowej. O swoim kłopocie wspomniał mimochodem Kale i poszło. No, może nie całkiem mimochodem. Wiedział, ile ma Kała, do czego jest zdolny i jak szuka ludzi ustawionych w tym mieście, a do takich Zdybas lubił zaliczać i siebie. Prawdziwy sens uwagi prezesa o swoich córkach: „Gdybym ja miał takie dwie lalunie, tobym się trochę bał”, zrozumiał znacznie później, kiedy sprawy już poszły swoim torem i dziewczyny zamieszkały w wypasionym apartamencie. „Będziesz oddawał po trochu, z czego się da”, powiedział kiedyś Kała i klepnął go w ramię tak, że Zdybasowi omal nie wyleciał z ręki kubek z kawą. No i oddaje. Będzie oddawał do usranej śmierci, bo nigdy nie uzbiera stu pięćdziesięciu kafli. Plus liczone z sufitu odsetki.

– Wysłałem chłopaków, zaraz go znajdą.

Miał nadzieję, że ta gładka i spokojnie wypowiedziana fraza złagodzi furię tamtego. Kała potrafił być nieobliczalny.

– O wszystkim mi melduj, Zdybas – usłyszał po chwili. Głos Kały wrócił do normy, jeśli coś takiego w ogóle występowało u tego wariata. – Muszę wiedzieć, gdzie jest i co robi. Jak twoje córki? Dobrze im się mieszka?

– Tak, dzięki – odparł, przełykając ślinę.

– Pozdrów je ode mnie.

– Jasne – powiedział. Niepotrzebnie, bo Kała już się rozłączył.

Komendant Krzysztof Zdybas dłuższą chwilę przyglądał się czarnemu ekranikowi na blacie flagowego biurka. Z przygryzioną górną wargą rozważał najlepsze scenariusze. Na oficjalne policyjne tropienie Krzyckiego nie było większych szans. Ten wredny Hadczuk niestety się nie mylił, Krzycki nie popełnił przestępstwa i nie mieli powodów, by go ścigać, zwłaszcza że siły policyjne przede wszystkim zaangażowano w szukanie Bałysia. Ten nadpobudliwy smarkacz z Nowej Huty akurat obchodził najmniej, więc potrzebował rozwiązania alternatywnego. Gdyby on tak umiał kogoś trzymać za łeb jak Kała jego! Mógłby go po prostu wezwać, zjebać na dzień dobry, a potem przypomnieć o niezapłaconym rachunku...

Nagle przysiadł na fotelu. Jasne, oczywiście. Że też na to nie wpadł od razu! Sięgnął po telefon i poprosił Patrycję, żeby mu podała numer komórkowy posterunkowego Dziengiela z Wydziału Ruchu Drogowego. Nie chciał rozmawiać przez służbówkę. Umówili się na rozmowę po godzinach u niego w gabinecie i podinspektor Krzysztof Zdybas po odłożeniu telefonu odetchnął z ulgą. Nie było to rozwiązanie idealne, ale zawsze jakieś. Wprawdzie Zbyszek Dziengiel poziomem umysłowym nie odbiegał zbytnio od własnych butów, jednak wyszkolił się trochę na siłowni i na zajęciach służbowych rzucał kolegami jak snopkami zboża. Życie poświęcił mięśniom, dlatego nie mógł znaleźć pracy do czasu, aż jego matka zaprzyjaźniła się z żoną Zdybasa. No i tak to poszło.

Posterunkowy Zbigniew Dziengiel, który wciąż nie awansował, bo nie było podstaw ani potrzeby, wszedł do gabinetu i Zdybas od razu wiedział, że nie musi mu niczego przypominać. Facet od obwisłej dolnej wargi po byczy kark promieniował oddaniem i gotowością do działania. Pewnie się nudził i potrzebował gdzieś upuścić energii. Dokładnie o to chodziło.

– Siadaj – powiedział surowo, wskazując krzesło przed biurkiem. – Zanim przejdę do rzeczy, muszę cię prosić o dyskrecję. Twoja misja jest

poufna i zostaje między nami. Jak się spiszesz, awans masz w kieszeni. Jak sobie nie poradzisz, do tej rozmowy nigdy nie doszło. Zrozumiano?

Warknął, naśladując Kałę. Byczek o obliczu dziecka pokiwał łysym czerepem. Te figurki krów na tylnych półkach samochodów kiwają podobnie, tylko z większym wdziękiem. Komendant Zdybas liczył na to, że taki mocno zezwierzęcony człowiek nie będzie zbyt dużo gadał, po prostu dlatego, że nie umie. Zwierzę ma zaletę – potrafi być cicho.

Zdybas wyjął teczkę z szuflady i skinął na byczka.

– Chodź tu, pokażę ci, co masz do zrobienia. Może być niebezpiecznie, ale chyba ci to nie przeszkadza, co?

Dziengiel łypnął na niego i odsłonił duże, nierówne zęby. Nie, wcale nie przeszkadza.

– Pamiętasz tego inspektora z Krakowa? Tego, co słabo toleruje cyjanowodór.

– Kiedyś go nawet pilnowałem w szpitalu.

– Świetnie. Już nie musisz, bo uciekł. I tu jest właśnie twoje zadanie...

6

W domu Rodriguezów panowała atmosfera na przecięciu rozwodu i stypy. Ojciec geodeta omijał matkę nauczycielkę szerokim łukiem, nie patrząc jej w oczy, matka z kolei usiłowała spojrzeć w oczy swojej córce policjantce, ale bezskutecznie. Dominika była jak nieobecna i najchętniej zamykała się w swoim pokoju, tym samym, w którym jeszcze miesiąc temu nocował jej Lucek. Z komunikatów i rzucanych przez córkę półgębkiem informacji wynikało, że poszukiwania nie przyniosły na razie żadnych rezultatów i na przełom również się nie zanosi. Rodzice czasami przełamywali izolację i siadali w kuchni przy stole, żeby poszeptać do siebie półgłosem, ale milkli natychmiast, gdy tylko w pobliżu pojawiała się Dominika. Ona również milkła na ich widok, gdy akurat prowadziła rozmowy przez telefon, co razem sprawiało wrażenie niemożliwej do zniesienia psychodramy.

Najgorsze jednak było to zamykanie się Dominiki w pokoju. Wcześniej wydawało się, że jakoś sobie radzi.

Pani Rodriguez pewnego dnia pokonała obyczajowe opory i zajrzała do niej przez dziurkę od klucza po to tylko, by się przekonać, że dziewczyna leży na łóżku owinięta w koc po czubek głowy i śpi, a przynajmniej udaje. Udawała, a może po prostu chciała zasnąć, ale jej czerwone i niemożliwie opuchnięte oczy informowały czujną matkę o notorycznym niewyspaniu córki. Z dnia na dzień robiło się coraz gorzej. Umęczona bandyckim uprowadzeniem zięcia, pani Maria miała teraz jeszcze boleśniejsze zmartwienie: cierpienie własnego dziecka.

Zapukała cicho w zamknięte na klucz drzwi. Brak reakcji. Zapukała ponownie.

– Domisiu, otwórz – powiedziała najłagodniej, jak potrafiła. – Chcę porozmawiać.

– Daj mi spokój – usłyszała ze środka. – Wszystko w porządku, chcę być sama.

Znała tę odpowiedź aż za dobrze. Nic nie było w porządku i tym bardziej nie należało zostawiać Dominiki samej. W jakimś obłąkanym zbiegu okoliczności dobrze się złożyło, że afera z Luckiem wydarzyła się właśnie w Słupsku.

– Otwórz, proszę cię. To głupie, co robisz. Chyba z własną matką możesz porozmawiać?

Łóżko skrzypnęło i po chwili szczęknął zamek. Dominika zaraz po otwarciu drzwi położyła się z powrotem i nakryła głowę kocem. Pani Maria usiadła na brzegu łóżka i pogłaskała tę wielką, drżącą bulwę.

– Tylko mi nie mów – usłyszała spod koca – że jestem dorosła i nie powinnam się mazać. Albo że jestem policjantką i mam być dzielna. Nie, słyszysz? Najlepiej nic nie mów.

Pani Maria poklepała koc i odetchnęła z ulgą. Jej córka, jej mała czarnowłosa Domisia odpowiadała całkiem rezolutnie, więc może jej wysłucha.

– Domisiu, wyjdź spod tego koca wreszcie. No już. Nie przyszłam cię pouczać, za dobrze cię znam. Rozmawialiśmy z tatą w kuchni i... Słuchaj, coś ci chciałam powiedzieć.

Tłumok pod dłonią pani Marii poruszył się niezgrabnie.

– Tata mówił mi o tej kancelarii, z którą na wiosnę załatwiał umowę o kupno gruntów niedaleko Postomina. Jego firma chce tam stawiać kolejną farmę wiatrową. Długo trwały targi o umowę. Wiesz, lokalni cwaniacy już się zwiedzieli i skupują pola za grosze, a potem sobie śpiewają miliony. On tam w tym biurze spędził wiele godzin i mówił, że ze dwa razy mijał się z Kałą na korytarzu. A może i więcej, bo ten typek czuł się tam jak u siebie w domu. Wchodził do notariusza bez pytania i żądał natychmiast zrobienia tego czy tamtego. Wiesz, jaki jest ojciec. Nie postawi się, nawet się nie odezwie, tylko grzecznie poczeka, aż gangsterzy pozałatwiają swoje. Bo że to są gangsterzy, to wiadomo. Za cały komentarz posłużyła tacie jedna uwaga: że u nich w Niemczech coś takiego byłoby nie do pomyślenia. No więc w tej kancelarii...

W miarę opowiadania pani Marii koc się odchylał, aż wyjrzały spod niego czerwone i zapuchnięte, szeroko otwarte oczy. Dominika słuchała z rosnącą uwagą.

– No więc myślę – ciągnęła pani Maria – że oni w tej kancelarii mogliby coś wiedzieć. Trzeba by ich może popytać, nie wiem, przycisnąć czy jak wy to tam w policji nazywacie...

Koc poleciał pod ścianę i Dominika w sekundę siedziała obok matki.

– Dlaczego mi o tym od razu nie powiedzieliście? Tata wie, gdzie jest Kała?

Poderwała się i chciała wybiec z pokoju, ale matka przytrzymała ją za rękę.

– Uspokój się i siadaj. Wiesz, jaki jest ojciec. Ostrożny do przesady i dziesięć razy się zastanowi, zanim coś powie. Poza tym boi się o pracę, bo jak im się nie uda kupić tych gruntów, to go odeślą z powrotem do Niemiec i ja będę musiała jechać z nim. A nie bardzo mi się uśmiecha. Tu jest mój dom. No i ty.

Usadziła Dominikę obok siebie i mocno przytuliła. Dziewczyna opierała się, ale w końcu uległa i odwzajemniła uścisk.

– Idź do ojca i porozmawiaj z nim, tylko ostrożnie. Nie naciskaj, bo nie wie na pewno, tylko ma jakieś przypuszczenia. Wiesz, wyczuł mafijny klimat. To mu chyba jeszcze z Salwadoru zostało.

Uśmiechnęły się do siebie i podniosły z łóżka, trzymając się za ręce. Matka poszła, a Dominika otarła rękawem zapłakane policzki i właśnie zamierzała za nią wyjść, gdy zadzwoniła komórka. Numer nieznany.

– Dobry wieczór, to ja – usłyszała i przebiegł ją dreszcz. – Nie przeszkadzam?

– N-nie. Dlaczego pan... dlaczego dzwonisz? Macie coś nowego?

To było głupie, ale nie przyszła jej do głowy żadna zręczna odpowiedź. Nie sądziła, że on się odważy na rozmowę... prywatną.

– W sumie to nie, po prostu chciałem ci powiedzieć, że, no wiesz, strasznie mi przykro. Nie miałem pojęcia, że Lucek to twój mąż.

– Co by to zmieniło?

Powiedziała to dosyć szorstko i Benek Mrówczyński chyba się speszył, bo zamilkł na chwilę. Zbierał się, by poradzić sobie z następnym zdaniem.

– Pewnie nic. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że ja... że to nie jest moja wina. Myśmy nawet zapraszali nie jego, tylko inspektora Krzyckiego, a Lucek Bałyś przyjechał zamiast niego i stąd...

– Wiem, jak było. Ale... dlaczego właściwie dzwonisz? Naszą poprzednią rozmowę, no, to już będzie ze dwa lata, skończyłeś tym, że nigdy więcej...

– Przepraszam, Dominika. Wszystko wtedy poszło nie tak.

– Żałujesz?

Znowu zamilkł. Chciała zakończyć tę wymianę, na którą nie miała ochoty, ale nadal nie rozumiała, po co Benek dzwoni.

– Nie o to chodzi. Chciałem powiedzieć, że go znajdziemy. Obiecuję. Dominika, przysięgam, zrobimy, co się da. Jak się to wszystko popieprzyło... Przepraszam, Dominika. Tak mi przykro.

Nie wiedziała, co z tym począć. Wtedy, parę lat temu, niezbyt do siebie pasowali. Chodzili ze sobą trochę i cała zabawa skończyła się wielką awanturą o jakiegoś faceta na obozie szkoleniowym. Dominika nie miała sobie nic do zarzucenia, Benek okazał się po prostu wściekłym zazdrośnikiem, oprócz tego, że był fajnym kumplem i duszą towarzystwa. Zwykłe szczeniackie historie. A jednak posunął się za daleko. Obraził ją. I w dodatku trzasnął drzwiami, jakby to ona go obraziła. Zapomniała o nim szybko i dosyć bezboleśnie, aż do chwili, gdy parę dni temu weszła do gabinetu komisarza Hadczuka i zobaczyła go wśród trójki śledczych z Kryminalnego. Wytrzymała, nie mrugnęła okiem, on zresztą też nie. Jakby się umówili. A teraz nagle dzwoni z... czym właściwie? Ofertą? Dobrze, niech będzie oferta.

Wracały jej siły. Matka ma rację – nie przyjechała tu po to, żeby się mazać, tylko żeby znaleźć Lucka. Wszelkimi możliwymi środkami. Bez dostępu do śledztwa, bez podstawowych informacji, a teraz i bez samochodu – w pojedynkę nie miała najmniejszych szans. Prześladował ją obraz dziewczynki błąkającej się samotnie po lesie z latarką w jednej ręce i paralizatorem w drugiej, wkoło błyskają z ciemności żółte ślepia drapieżników, ona się trzęsie ze strachu, ale dzielnie brnie do przodu, i nagle te wszystkie potwory wyłażą na ścieżkę i zamiast ją pożreć, dostają ataku śmiechu. Zanoszą się studziennym rechotem, ryczą, klepiąc się po zadkach, od czego dzielna dziewczynka umiera szybciej niż od ich straszliwych zębów... No więc działanie w pojedynkę mijało się z celem. Potrzebowała wsparcia. A Benek Mrówczyński wyciągał do niej rękę.

– Dzięki, Benek. Bądźmy w kontakcie. Daj znać, jak czegoś się dowiesz.

– Jasne, Dominika. I jeszcze raz przepraszam. Przepraszam.

Chciał chyba przeprosić za wszystko naraz, bo przepraszał i przepraszał.

– W porządku, nie ma sprawy. Dzięki za dobre słowo. Trzymaj się.

– Nie martw się, Dominika, znajdziemy go.

– Tak, Benek. Oczywiście. Cześć.

Chciała już iść do ojca i wyciągnąć z niego coś o tej mafijnej kancelarii, ale Benek Mrówczyński jeszcze wszystkiego nie powiedział.

– Zaczekaj chwilę. – Jego głos nabrał nowych odcieni. – Jestem ci coś winien, wiem. Zawaliłem wtedy, spieprzyłem na całej linii. Dlatego nie martw się, znajdziemy twojego Lucka. Ja znajdę. Przysięgam. To ci chciałem powiedzieć. Cześć.

Rozłączył się, a ona jeszcze przez jakiś czas wpatrywała się w swoją komórkę. Faceci są jednak dziwni. Najpierw dają ciała jak ostatnie dupki, a potem nagle, po trzech latach zlewania, podrywają się do lotu jak srebrzyste orły i chcą wszystko załatwić w pięć minut, cały świat za jednym zamachem. Starcza im tego na trochę, a potem znowu dają ciała i znikają. A kobiety muszą codziennie zapełniać czymś tę niezręczną pustkę. Faktycznie się popieprzyło, i to dawno. Już jakoś na początku.

Poszła porozmawiać z ojcem o tajemniczej kancelarii. Wcześniej jednak dopisała numer Benka Mrówczyńskiego do kontaktów. Na wszelki wypadek, jak mawia Krzycki.

7

Z całodziennej sklepowej służby pani Lucyna najbardziej lubiła ostatnią godzinę. Prawie nikt wtedy już nie przychodził i mogła spokojnie zrobić kasę, poukładać rozgrzebany towar na półkach i umyć podłogę. Właściciel uparł się, że sklep ma być czynny do dwudziestej trzeciej, chociaż w takiej wsi jak Grębówko po ósmej wieczorem mało kto wychodził z domu. Mieszkańców było tu niewielu, roboty jeszcze mniej, więc takie sprawy jak zakupy załatwiało się w ciągu dnia, najpóźniej przed wieczornymi wiadomościami i serialami. Potem zaglądał już tylko jakiś zbłąkany przyjezdny, żeby spytać o drogę i dla przyzwoitości kupić mineralną albo drożdżówkę.

Jednak nie dzisiaj. Najpierw ten łysy smarkacz z haczykiem na głowie kopniakiem wepchnął kundla pod ciężarówkę. O mało nie dostała palpitacji serca. Do wieczora nie mogła się uspokoić. Ciągle widziała ten rozbryzg i słyszała chrupnięcie mielonych kości. Gdy tylko jako tako doszła do

siebie, przyjechał mąż traktorem i powiedział, że znowu go nachodzili w sprawie sprzedaży ziemi. Środek żniw, robota od rana do wieczora, pogoda pod psem, a ci w kółko swoje, skarżył się. Zdziwiła się, że chciało mu się jechać taki kawał aż spod Korczewa, by się przed nią wygadać. Dopiero potem poukładała to sobie na spokojnie i wyszło jej, że chyba trochę się bał. Grozili mu? Władek był spokojnym człowiekiem i niełatwo było go wkurzyć, jednak ręka z papierosem mu drżała, kiedy opowiadał. Musieli go czymś straszyć, do czego by się za żadne skarby nie przyznał. Taki honorowy. Poradziła mu, żeby pogadał z wójtem Kuleszą, który trochę opierał się tej wiatrakowej nawale. Śmiali się, że walczy z wiatrakami. Władek obiecał tak zrobić, wziął dwie puszki piwa i pojechał.

Myślała, że na dzisiaj dosyć tych wrażeń, i do wieczornego sprzątania wzięła się z jakąś taką ulgą, ale nie. Kiedy wyjmowała miotłę z zaplecza, do sklepu wszedł mężczyzna w skórzanej kurtce, i przemknęło jej przez myśl, że już kiedyś go widziała. W ogóle nie zauważyła, jak podjechał. Chleb już się skończył, więc zgarnął z półki do koszyka trzy paczki pieczywa chrupkiego, z lodówki wziął żółty ser w plasterkach i dwa duże jogurty, a najwięcej czasu spędził przy regale z karmą dla psów i kotów. Grzebał, wybierał, przekładał, aż nie wytrzymała.

– Szuka pan czegoś konkretnego?

Nie odpowiedział. Wreszcie wybrał trzy małe saszetki różnych psich karm i rzucił na ladę razem z serem i jogurtami.

– Siatkę doliczyć?

Skinął głową, a kiedy nabijała to wszystko na kasę, on wlepiał wzrok w galerię wódek za jej plecami. Był blady jak ściana. Miał w oczach coś takiego, że... Nie bała się go tak jak tego diabelskiego smarkacza, ale nie zdziwiłaby się, gdyby ją odepchnął i rzucił się na te flaszki, żeby je wypić duszkiem. Też wariat, tylko inny, bardziej ziemski. Jednak wytrzymał. Odwrócił się i dorzucił do zakupów cztery red bulle, po czym pokazał palcem, że chce wiedzieć, ile ma zapłacić. Chyba niemowa jakiś.

– Kartą czy gotówką?

Wyjął z portfela banknot, zgarnął resztę i wyszedł. Jak niemowa, to mógł chociaż machnąć ręką na pożegnanie.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, pani Lucyna pobiegła na zaplecze, żeby zbadać sprawę przez okno. Na parkingu stał ciemny samochód. W żółtym świetle latarni widziała, jak facet w skórzanej kurtce (skąd go znała?) wrzuca siatkę z zakupami na przednie siedzenie, wyjmuje z niej trzy torebki z karmą i idzie na tył. Tam otwiera klapę bagażnika, rozrywa opakowania i na otwartej dłoni podaje psu z każdego po garści. I cały czas przy tym mówi! Pokazuje palcami na torebki, coś tłumaczy, dopytuje i czeka na odpowiedź. Ba, słyszy ją i głośno odpowiada. Zwierzę jest cicho, a ten gada i gada jak najęty!

Mimo nadmiaru wrażeń pani Lucyna jeszcze raz tego dnia się zdenerwowała. Zapas nerwów miała niebagatelny, spowijał całe jej pulchne ciało. Nie mogła tego pojąć. Co za człowiek! Z ludźmi nie chce rozmawiać, za to z psem jak najbardziej! Była tak oburzona, że już miała otworzyć okienko i mu nagadać, ale przypomniała sobie, że jest zabite gwoździami. Odwróciła się na pięcie i podreptała energicznie do wyjścia, gdzie prawie zderzyła się z bezczelnym niemową. Właśnie się zbierała, żeby mu wygarnąć, gdy wyminął ją, wybrał z regału dwie jednakowe karmy, tym razem duże, w puszce, postawił na ladzie i czekał.

– Wcale pan nie jest niemową! – oświadczyła. – Widziałam, jak pan mówił do psa!

Wzruszył ramionami. W ogóle go to nie obchodziło. Nie mogła tej sprawy tak zostawić.

– Nie wstyd panu? Co to, ludzie gorsi od psów?

Skinął głową. Przez jego trupiobladą twarz przemknął słaby uśmiech. Nacisnęła klawisz kasy i wydając resztę, powtarzała z dezaprobatą:

– Nie do wiary. Nie do wiary!

Mężczyźnie w skórzanej kurtce najwyraźniej podobała się jej reakcja, ponieważ cały czas się uśmiechał, a kiedy wyszedł na zewnątrz, pomachał przez szybę na pożegnanie. Dokładnie tak, jak chciała. Zniknął z torbami

psiego żarcia pod pachą, a ona zastanawiała się, który wariat jest gorszy: taki, co wpycha psy pod ciężarówki, czy taki, co z nimi gada.

Miała dosyć na dzisiaj. Klapnęła na krzesło i oddychała przez chwilę głęboko. Serce łomotało jak potępieniec w lochu. Co za dzień! Niech wreszcie się skończy. Podniosła się ciężko i zamknąwszy sklep, wyszła tylnymi drzwiami do samochodu. Było prawie wpół do dwunastej.

Dzień jednak nie chciał się skończyć.

Nissan micra pani Lucyny stał zaparkowany w prześwicie między sklepem a magazynem na puste skrzynki. Wychodząc, automatycznie skręciła w lewo i po dwóch krokach przystanęła. Spojrzała za siebie. Nie przywidziało jej się. Na parkingu pod latarnią stał samochód. W pierwszej chwili pomyślała oczywiście o wariacie z psem, ale na własne oczy widziała, jak odjeżdżał, a za tylną szybą kiwał się rudy łeb kundla. Może wrócił? Nie, jego auto było bardziej brązowe, a to ciemnoszare, prawie czarne. Zawahała się. Czasem chłopaki ze wsi tu przystawali i deliberowali nad czymś przy otwartej masce, jednak ten po prostu stał. Pusty? Zrobiło jej się nieswojo.

Nie należała do kobiet strachliwych, więc uznała, że najlepiej sprawdzić, co jest na rzeczy. Właściciel sklepu w trosce o bezpieczeństwo pani Lucyny zakupił puszki z gazem łzawiącym i jedną przykazał jej nosić zawsze w torebce. Zacisnęła teraz na niej palce, kciuk oparła na przycisku i tak uzbrojona ruszyła w kierunku tajemniczego auta. Dlaczego nie zauważyła jego przyjazdu? Może podjechało razem z tym wariatem w czarnej kurtce? Ale nie, przecież po jego odjeździe parking był pusty. PUSTY! A teraz stał samochód. Cichy jak... jak trup.

Podeszła bardzo ostrożnie. Jej dopiero co uspokojone serce znowu waliło tym swoim kowalskim rytmem: buch! buch! buch! W środku siedział mężczyzna. Drzemał z przymrużonymi oczami i kiedy właśnie miała się przestraszyć, poznała go i doznała ulgi. Ulga dzisiaj też się powtarzała jak czkawka. Cały dzień w rytmie: nerwy – strach – ulga, nerwy – strach – ulga. Normalnie, na psa urok!

Pociągnęła za klamkę samochodu, żeby się przywitać z wójtem Kuleszą z Przestawna.

– Panie Rajmundzie, co pan tak późno po nocy... Kch, kch...

Gardło odmówiło jej posłuszeństwa. Wlepiła oczy w siną twarz wójta sterczącą z pustej marynarki i usiłowała zrobić dwie rzeczy naraz: odzyskać oddech i zrozumieć, co widzi. Nie udało się ani jedno, ani drugie. Głowę Rajmunda Kuleszy nabito na kij od szczotki oparty o siedzenie i owinięty ciemną, mokrą od krwi marynarką. Z daleka mogło wyglądać, że wójt zjechał na parking i drzemie za kierownicą. Pani Lucyna zawisła obiema rękami na drzwiach i walczyła o zachowanie przytomności. To akurat mogło się udać, przecież była dzielną kobietą. Nie, niemożliwe. Kto mógł zrobić coś takiego... Gardło wreszcie puściło, więc wciągnęła potężny haust powietrza i zatoczyła się w prawo od nagłego uderzenia tlenu do mózgu. Żeby nie upaść, przywarła do bocznej szyby. Poczuła na policzku chłód i zrobiło jej się odrobinę lepiej. Otwarła oczy. Z nowym widokiem dzielna dusza jednak już nie umiała sobie poradzić. Tuż przed nią, o centymetr, w ciemnym wnętrzu samochodu do szyby przywierała twarz mężczyzny. Uśmiechał się. Nogi się pod nią ugięły. Runęła na ziemię.

III

Klepsydra

1

W milczeniu obaj patrzyli, jak technicy zdejmują ślady z zalanego krwią fotela, z kierownicy i gumowych dywaników, wyjmując je po kolei i układając na piaszczystym gruncie, skąd materiał został już pobrany wcześniej. Jeden z nich robił dokumentację fotograficzną i filmową. Wkoło było jasno jak w dzień, otoczony taśmami parking oświetlały cztery reflektory na statywach. Policjanci z psami przeszukiwali teren za sklepem, ale wyglądało na to, że zwierzaki kręcą się w kółko. Technicy powiedzą coś sensownego najwcześniej przed południem, ci z Koszalina w ogóle nie wiadomo kiedy. W środku nocy mogli liczyć na telefon od sierżanta Łukasza Latawca, który pojechał porozmawiać z rodziną zabitego i dowiedzieć się czegoś o ostatnich godzinach życia ofiary. Woleli nie myśleć, przez jakie emocjonalne chaszcze chłopak się teraz przedziera, ale z nich trzech i tak był w tym najlepszy.

Lucynę Śmigoń zabrała karetka, ponieważ tlił się w niej jeszcze ślad życia i ratownicy snuli pajęczą nić nadziei. Głowa Rajmunda Kuleszy wraz z marynarką i kijem została odwieziona do Zakładu Patomorfologii i Medycyny Sądowej w Koszalinie. W Słupsku takiej nie mieli. Szpital w Koszalinie też nazywał się Wojewódzki.

– Powiedzieć, że masakra, to nic nie powiedzieć – przerwał ciszę Benek Mrówczyński. Gdzieś to przeczytał i mu się spodobało. – Kto robi coś takiego? Przecież to już nawet nie jest krwiożercze, tylko jakieś, bo ja wiem... perwersyjne! Tak, perwersja to chyba najlepsze słowo.

Komisarz Ryszard Hadczuk obrzucił go ponurym spojrzeniem.

– Nie szukamy teraz słowa, tylko ciała do tej głowy. Może wtedy się dowiemy, czy to perwersja czy może co innego.

– A co by to jeszcze mogło być? Amatorski teatrzyk? Dożynkowa kukiełka? Wakacyjny Halloween? Kolędnicy sobie poszli i zapomnieli turonia?

– To nie jest śmieszne – skarcił go Hadczuk.

– Wiem. Ale normalne też nie. Drugi miesiąc ociekamy krwią. Co się z tym Pomorzem dzieje?

Ponieważ jego przełożony zignorował pytanie, odpowiedział sobie sam:

– To się dzieje, że ciągle wieje. No nic, bierzmy się do roboty, bo zaraz świt. Tylko do jakiej właściwie? Masz jakiś pomysł, szefie?

Szef wydziału kryminalnego rozejrzał się po złowrogiej okolicy spowitej mrokiem i przeczesał dłonią włosy. Psy nadal kręciły się w kółko po łące, wybiegały parę metrów w ciemność i wracały ze zwieszonymi łbami, jakby im było głupio, że nic nie mają. Ich opiekunowie rozwijali i zwijali linki, ale miny mieli niewyraźne. Bardziej przypominało to nudną powtórkę z ćwiczeń niż prawdziwą pracę.

– Nie chcą łapać tropu.

– Może boją się ciemności? – zasugerował Benek, pokazując ręką psy. – Mogliśmy wziąć koty.

Po rozmowie z Dominiką coś go roznosiło od środka. Znajdował w sobie nowe siły i używał ich z przewrotną przyjemnością do destrukcyjnych celów. Przypominało to trochę radość z pociągania za spust w karabinie snajperskim. Lubił strzelać.

– Co ty taka żarówa dzisiaj, Mrówczyński? Popiłeś viagrę red bullem?

– Wodą z ogórków. Ale było za mało.

Hadczuk chciał odpowiedzieć, jednak tylko machnął z rezygnacją ręką.

– Chodźmy obejrzeć ten samochód.

Zrobili to już pięć razy w ciągu ostatniej godziny i ciągle mieli wrażenie, że najważniejsze rzeczy przegapili. Auto podjechało od wsi, zakręciło przed sklepem i wycofało na parking. Równolegle do jego śladów znaleźli wiele

innych, niektóre z nich całkiem świeże. Materiału mieli sporo, pytanie tylko, czy policyjna baza danych powie o nich coś sensownego. Roiło się też od śladów butów, różnych. Po parkingu cały dzień łazili ludzie, piesi i kierowcy, a wczoraj akurat nie padało i wszystkie prezentowały się wyraźnie, świeżutko. Nic, tylko zbierać.

– Co tu się właściwie stało... – mruczał w zamyśleniu Hadczuk. – Kulesza został zamordowany gdzie indziej, na razie nie wiemy gdzie. Morderca odciął mu głowę i przywiózł tutaj, żeby urządzić makabreskę, a resztę ciała ukrył. Podjechał samochodem ofiary, skonstruował swoją kukłę, po czym wysiadł i poszedł sobie. Albo odjechał innym samochodem, co by znaczyło, że miał wspólników. Sprzedawczyni po zakończeniu pracy wyszła ze sklepu i natknęła się na trupa, a być może i na sprawcę, i dostała ataku serca. Albo apopleksji, nie wiem. W każdym razie zrobiło to na niej wrażenie. Może o to właśnie chodziło – żeby zrobić na kimś wrażenie.

– Myślisz, że to taki znak? – spytał Mrówczyński. – Kogut zawieszony na framudze? Zdechła ryba zawinięta w gazetę i podrzucona na wycieraczkę? Koński łeb pod kołdrą? Świńskie ucho...

– Stop, nie przeginaj. Może i znak. Tylko nie wiadomo, kogo i przed czym miał ostrzegać.

– Na pewno nie Kuleszę. Jemu już wszystko jedno.

– Benek! – skarcił go ostro Hadczuk. – Przestań błaznować. Doszło do rzezi, a ty sobie jaja robisz.

– Nie robię sobie jaj! Po prostu się zastanawiam, czemu akurat tutaj przywlókł tę głowę. Komu ją chciał pokazać i po co. Nie widzisz, jak się staram?

– Noo, powiedzmy – przytaknął niechętnie komisarz. – Nie ma co dywagować, trzeba się brać do policyjnej dłubaniny. Dopóki nie dostaniemy wyników z laboratorium, nie ruszymy z miejsca. Powinniśmy w pierwszej kolejności przepytać sąsiadów, może widzieli ten samochód, gdy tu podjeżdżał. Może ktoś zobaczył sprawcę. Tylko, cholera... – spojrzał na zegarek, było wpół do drugiej – nie wiem, jak to zrobić w środku nocy.

– Za duży event, żeby spali.

Mrówczyński pokazał palcem dom naprzeciwko. W jednym z okien majaczyły dwie twarze, niczym maski zerkające zza kurtyny na scenę.

– Okej, chodźmy – zakomenderował Hadczuk. – Może wiedzą, po co się tak gapią.

Mrówczyński, jako że od poprzedniego wieczoru zrobił się jakiś inny i wszystko widział w krzywym zwierciadle, postanowił wygłosić kolejną mądrość ludową.

– Ten świat jest pełen naocznych świadków. Niestety, zwykle nie mają pojęcia, co widzieli.

– Oraz pełen gadułów, którzy zwykle nie mają pojęcia, co mówią. I policjantów, którzy fulają, zamiast pracować. Chodź wreszcie, papugo.

Klepnął go w ramię i przeszli na drugą stronę ulicy pod starą, przekrzywioną furtkę, zapewne pamiętającą jeszcze swoich niemieckich gospodarzy, o ile rdza nie zżarła do cna jej pamięci. Sierżant Benedykt Mrówczyński nie potrafił jednak sobie dzisiaj odpuścić. Nie dało się go przegadać

– Co robią?! Fulają? Co to w ogóle znaczy?

Szef wycelował w niego palec.

– Właśnie to. Chodź, papużko falista.

– Fulasta.

Uchylona furtka nie miała dzwonka, więc po prostu pchnęli ją i przecięli podwórko, po czym stanęli na słabo oświetlonym ganku. Ledwie Hadczuk uniósł rękę, drzwi natychmiast się otworzyły. Przed nimi stało dwoje starszych ludzi, kobieta i mężczyzna, ci sami, których widzieli w oknie. Byli kompletnie ubrani i gotowi do rozmowy, a rozbudzone ciekawością twarze zdradzały, że sporo wiedzą i są skłonni podzielić się tym z policją. Hadczuk zaczął:

– Przepraszamy, że tak późno, ale widzieliśmy, że państwo...

– My nie śpimy – przerwał mu mężczyzna z przyganą. Inspektor śledczy powinien być bardziej domyślny.

– Tak, i właśnie dlatego chcieliśmy porozmawiać o tym, czy państwo coś widzieli...

– Widzielimy – odparł mąż.

– Nie widzielimy – odparła żona.

– Co pan widział? – rzucił przez Hadczukowe ramię Benek.

– Jak Śmigoniowa przeganiała tego chłopa z psem.

– Jakiego chłopa z psem?

– No co przyjechał zaraz przed zamknięciem sklepu. Chodził dwa razy do auta i z powrotem.

– A, coś ty tam widział – zaoponowała żona ze spokojem. – Ja widziała.

– Przed chwilą mówiła pani, że nic nie widziała – wtrącił Benek.

– Boch myślała, że pytacie o co innego. Widziałam, jak tego psa karmił.

– Jak wyglądał? – spytał Hadczuk.

– No, w aucie był z tyłu, tom nie widziała. Ale łeb ciemny, kudłaty jak u tego od Pieczarków.

– Nie o psa pytam, tylko o mężczyznę.

– No to mówię!

– Aha, czyli był brunetem.

– Pies był jasny.

– Mężczyzna miał ciemne włosy, a pies jasną sierść, tak?

– No tak – potwierdziła żona.

– To była baba – zaprzeczył mąż.

– Sam żeś jest baba, mówiłam, że to był brunet. A pies jasny.

– Kobieta była – upierał się mąż.

– Tego psa w bagażniku karmił mężczyzna, który był kobietą? – wtrącił Benek z niebezpiecznymi iskierkami w oku. Szef kryminalnego uznał, że trzeba interweniować.

– Zaraz, chwileczkę. Czy moglibyśmy na chwilę usiąść? Musimy zanotować parę rzeczy.

Tamci spojrzeli po sobie z satysfakcją, po czym obaj policjanci zostali poprowadzeni do kuchni, gdzie na stole czekała już na nich duża butelka wody mineralnej, cztery szklanki i talerzyk z kruchymi ciastkami, zapewne kupionymi w sklepie naprzeciwko. Gospodarze przygotowali się na ich wizytę.

– Proszę opowiedzieć jeszcze raz wszystko od początku – poprosił Hadczuk, kiedy już zasiedli z Mrówczyńskim na taboretach i wzięli po ciastku. Starał się zachować spokój, bo tylko tak miał nadzieję złapać wątek i pójść dalej w poszukiwaniach. Męczyła go myśl, że sprawca jest gdzieś w pobliżu, może nawet siedzi w krzakach po drugiej stronie łąki i śmieje się z nich, a oni bezradnie obmacują ścianę ciemności i nie mają pojęcia, gdzie szukać.

– Zaraz rano, jakżem wstał, poszedłżem do sklepu po chleb...

– Nie, nie. – Komisarz odłożył ciastko na ceratowy obrus. – Proszę powiedzieć, co się działo wieczorem, kiedy już pan zobaczył tego mężczyznę, który...

– No, to była baba. Na pewno.

– Ale nie opowiadaj, boś go wcale nie widział! – żona ponownie zakwestionowała relację męża. – Poszedł do łazienki, jak on przyjechał – wyjaśniła Hadczukowi. – I potem karmił psa, a gdy zjedli małe paczki, to poszedł po puszki, ale już go więcej nie karmił, ino rzucił na siedzenie i pojechał. A potem wrócił.

– No i jak wrócił – podjął wątek mąż – to wysiadła ta baba i przeszła naokoło, od kierowcy, a w ręce miała kij. Nawet żem pomyślał, że ona psa będzie tym kijem...

– Gadasz o czym innym – wtrąciła żona. – Boś do łazienki wtedy poszedł. A tamten czarny wrócił i wtedy przyjechało to drugie auto i dopiero z niego wysiadła tamta.

– Jaka tamta? Jak wyglądała?

Obaj policjanci usiłowali coś zanotować, jednak kaskady skreśleń świadczyły, że dalecy są od osiągnięcia sukcesu. Wreszcie Benek odłożył

długopis i wcisnął ręce do kieszeni. Wyglądał teraz bardziej na rozpuszczonego baciara niż stróża porządku. W rozwijaniu opowieści prym zaczęła wieść żona.

– Też była czarna, cała czarna.

– To znaczy czarnoskóra?

– No, skórzaną kurtkę miała czarną. I spodnie. I buty. Wszystko.

– Ale na twarzy była jasna? – dopytywał Hadczuk, który przestawił się na tryb anielskiej cierpliwości. Mrówczyński zagryzał wargi.

– Nie widziałam twarzy, bo miała taką kapuzę na oczach.

– Kapuzę, kaptur... – notował Hadczuk. – To skąd pani wie, że to była kobieta?

– Widziałam, jak chodzi. Za przeproszeniem, jak spodnie obcisłe, to babską dupę z daleka poznać.

– Mówiłem, że baba – wtrącił mąż.

– O, słyszy pan, poruczniku...

– Nie jestem porucznikiem. Ustalmy zatem jeszcze raz – zaproponował szef wydziału kryminalnego, z powątpiewaniem zerkając na swoje notatki. – Najpierw przyjechał brunet z psem, potem odjechał i wrócił. Następnie przyjechał drugi samochód, a z niego wysiadła ubrana na czarno kobieta z kijem w ręku. Czy to ten samochód, który stoi na parkingu pod sklepem? Ten w środku, między reflektorami?

Żeby nie było wątpliwości, Hadczuk podszedł do okna i odsunął firankę. Jego starania wszystkich wątpliwości jednak nie rozwiały.

– No, ma reflektory, tak jak tamten.

– Nie pytam o reflektory samochodu! – przerwał jej chyba nieco za głośno. Jego anielską cierpliwość szlag trafił w momencie, kiedy kątem oka zauważył na poboczu drogi czarną skodę superb komendanta Zdybasa. Liczył, że stary pojawi się dopiero rano. – Pytam, czy to ten samochód, przy którym pracują technicy. Mówię o mężczyznach w jaskrawych kamizelkach, obok świateł na statywach. Chodzą wokół ciemnografitowego audi. To ten?

– Ale co, policjant?

– Nie, samochód. Czy na parkingu stoi ten samochód, którym przyjechali czarny mężczyzna i czarna kobieta?

Mąż i żona spojrzeli po sobie i przytaknęli.

– W takim razie czym odjechali?

– Że co?

– Panu komisarzowi chodzi o to – wtrącił się Benek z pomocą – że skoro ich samochód nadal stoi na parkingu, to czym odjechali. Bo ich samochód STO-I-NA-PAR-KIN-GU, czyż nie?

Gospodarze znowu spojrzeli po sobie i tym razem nie przytaknęli. Być może nie wiedzieli, jak przytaknąć, gdy pytanie kończy się na „nie”, a może z powodu zasadniczej utraty wątku narracyjnego. Fakt ten przejawił się w stanowczej zmianie tematu.

– A co tam się właściwie stało? – spytał burkliwie mąż. – Śmigoniowa żyje? Zabili ją?

Benek już otwierał usta, żeby dorzucić chrustu do coraz raźniej buzującego absurdu, ale Hadczuk powstrzymał go gestem.

– Żyje. Po prostu zasłabła i zabrano ją do szpitala.

– A od czego?

– Wszystkiego się państwo dowiecie w odpowiednim czasie. My również nie dysponujemy pełną wiedzą, śledztwo jest jeszcze w toku.

– A jakie śledztwo, panie poruczniku? Że Śmigoniowa zemdlała?

Stary uśmiechnął się chytrze, dając do zrozumienia, że nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Hadczuk mógł albo powiedzieć prawdę o makabrycznym morderstwie, co wzbudziłoby w jego rozmówcach nowe podniecenie, albo szybko wymyślić jakieś kłamstwo. Wybrał to drugie.

– Pani Lucyna Śmigoń padła ofiarą gróźb i do pewnego stopnia przemocy fizycznej. Próbujemy ustalić, kto i dlaczego to zrobił. Dlatego potrzebne nam są wszystkie szczegóły tego zdarzenia, jakie udało się państwu zaobserwować. Prawdziwe szczegóły, nie domysły i fantazje.

– Chcieli ją zgwałcić? – spytał mąż z tym samym chytrym uśmiechem. Żona obróciła się do niego i wymierzyła mu kuksańca w ramię. Benek szczerzył zęby w zachwycie.

– Ja pierdolę... – mruknął pod nosem Hadczuk. – Zaraz zwariuję.

Miał ochotę wyjść bez pożegnania, skręcić za sypiące się zabudowania gospodarcze i rzucić się biegiem przez pola, dokądkolwiek, byle dalej od całego tego obrzydliwego i przygnębiającego zamieszania. Krzycki kiedyś powiedział o Pomorzu, że ta ziemia jest naładowana niedobrą energią, która działa i na ludzi, i na rzeczy, na przykład te pieprzone wiatraki. I miał rację. A Benek Mrówczyński miał rację, robiąc sobie jaja. Jedna wielka groteska. Tylko krwi trochę za dużo.

– Na razie dziękujemy – powiedział, podnosząc się. – Bardzo nam państwo pomogli. Jeśli będziemy mieli jeszcze jakieś pytania, pozwolimy sobie zawitać ponownie. Chodź – warknął na Mrówczyńskiego, gdy ten usiłował na migi protestować. Dla niego zabawa jeszcze się nie skończyła.

– Proszę bardzo – odparła uprzejmie gospodyni. – Jakby ta Śmigoniowa umarła, to niech pan zadzwoni.

Podsunęła mu kartkę z numerem telefonu. Kiedy tylko wyszli na podwórko, Benek spytał zdziwiony:

– Dlaczego przerwałeś w połowie? Przecież oni mogli jeszcze całkiem sporo nam powiedzieć.

– Nie teraz. Trzeba tu przyjechać jutro rano i porozmawiać z każdym z nich z osobna. Muszą ochłonąć.

– My też – dodał Benek. – Miałem rację, naoczni świadkowie nic nie widzą. A gdy już zobaczą, to padają trupem jak Śmigoniowa. Lepiej już być ślepym, mówię ci.

– Zwłaszcza kiedy się jest policjantem. Chodź już, nie mędrkuj. Może te psy wreszcie coś wyniuchały. I trzeba by jakoś ominąć Zdybasa. Nie wiesz przypadkiem jak?

– Najlepiej zemdleć. Przyjeżdżają, zabierają i masz spokój. Trochę babskie, ale sam słyszałeś, dla tego dziadka oficer policji to baba.

Hadczuk zatrzymał się w pół kroku i złapał Mrówczyńskiego za łokieć. Stali tuż przed furtką. Kiedy wyjdą na chodnik, znajdą się w światłach reflektorów i Zdybas natychmiast ich zdybie. Należało sprawę załatwić tu i teraz, niezwłocznie, bez świadków.

– Też o nim pomyślałeś?

Benek Mrówczyński uniósł brwi i udał zdziwionego.

– A mogłem nie pomyśleć? W zasadzie mogłem, w końcu jestem tylko śledczym z niewielkiego miasta, które kiedyś było większe, ale się zmniejszyło, bo mu odebrano województwo...

Przerwał, szarpnięty za rękaw.

– To gęba na kłódkę, słyszysz?

– Czyli mam nie mówić, że opis człowieka z psem pasuje do...

– Tak. Morda w kubeł.

– Bo?

– Bo cię odsunę od śledztwa i przeniosę do lasu, gdzie będziesz w pojedynkę przeczesywał chaszcze, szukając Bałysia, jasne?

– Obiecujesz?

Hadczuk zamrugał oczami.

– O co ci chodzi?

Benek Mrówczyński strząsnął z siebie rękę szefa. Nagle zrobił się całkiem poważny.

– Żebyś mnie wysłał w pojedynkę do przeczesywania lasu. Chcę szukać Lucka Bałysia.

– Nie ma mowy.

Benek wyciągnął palec przed siebie i zadeklarował:

– Ja w tym gównie paprał się nie będę. Lucek jest ważniejszy.

Komisarz otarł rękawem usta i chciał coś ostro odpowiedzieć, ale nie zdążył.

2

– Co wy tu, kurwa, robicie? Lejecie?

Głos komendanta Zdybasa miał w sobie słodycz śledzia z cebulą. Przeszli przez furtkę i stanęli przed swoim dowódcą, Benek odruchowo na baczność, Hadczuk z rękami w kieszeniach.

– Przesłuchujemy sąsiadów – wyjaśnił. – Niektórzy mogli coś widzieć.

– No i?

– Ci tutaj widzieli kobietę i mężczyznę ubranych na czarno. Twarze mieli zakryte kapturami. Para przyjechała samochodem Kuleszy, z jego odciętą głową oraz kijem od szczotki, wbiła głowę na kij i odjechała.

– Czym?

– Niestety, tego nie wiemy. Świadkowie plączą się w relacji i, odniosłem wrażenie, trochę zmyślają. Postanowiliśmy dać im czas i rano przesłuchać ponownie.

– Rano?! Przecież tamci właśnie uciekają! Nie odeszli chyba piechotą po chodniku, co?

– Zarządziliśmy blokady dróg, chłopcy sprawdzają każdy podejrzany samochód, to często przynosi efekty...

Hadczuk wcale nie uważał, że policyjne blokady dróg często przynoszą efekty, ale musiał tak powiedzieć. Widział, że Zdybas potrzebuje jakiegoś uspokojenia. Reakcja była odwrotna.

– Blokady gówno dają! Wysłałem jednego z naszych ludzi w ślad za Krzyckim i właśnie go zatrzymali. Nie, nie Krzyckiego, tylko jego! Bo wydał im się „podejrzany”. Zwinęli go i przywieźli z powrotem na komendę, gdzie musiał potwierdzić tożsamość i dopiero wtedy go wypuścili. Tyle dają te wasze blokady.

– Nie mógł się wylegitymować na miejscu? Działał incognito?

Komendant nie raczył odpowiedzieć, w zamian za to czepił się samochodu, którym odjechali podejrzani. Hadczuk tłumaczył, że świadkowie nie potrafili uzgodnić zeznań i jednoznacznie stwierdzić, czy

oprócz tego widzieli jeszcze jakiś pojazd czy nie. Może jeszcze ktoś z sąsiadów...

– No to w końcu widzieli inny samochód czy nie?

– To znaczy... – wtrącił się Benek.

– Nie.

– Co nie?

– Nie wiedzą, czy widzieli.

Na chwilę zapadła cisza. Krzątający się po parkingu policjanci przygotowywali grafitowe audi Rajmunda Kuleszy do wciągnięcia na lawetę i odholowania do Słupska celem przeprowadzenia dalszych badań na miejscu. Przewodnicy z psami gdzieś zniknęli, podobnie jak towarzyszący im ludzie z oddziału antyterrorystycznego. Może wreszcie udało się złapać jakiś trop. Zdybas spod przymrużonych powiek patrzył raz na jednego, raz na drugiego ze swoich podwładnych. Ważył argumenty na własną korzyść i obliczał swoje siły w starciu z tymi dwoma bezczelniakami. Wiedział, że ma ich przeciwko sobie.

– Co wy tu znowu kombinujecie? Wiecie coś więcej?

– Nie, panie komendancie, próbujemy się właśnie dowiedzieć – odparł Hadczuk. – Przesłuchaliśmy mieszkańców jednego domu, zostały nam jeszcze co najmniej dwa. Od chwili pozostawienia szczątków ofiary nie upłynęło więcej niż trzy godziny, każda chwila się liczy. Widzę w polach światła latarek i słyszę poszczekiwania psów, powinienem pobiec za nimi i podejmować na bieżąco decyzje w sprawie pościgu. Proszę mi umożliwić wykonywanie podstawowych i ważnych czynności interwencyjnych. Na opowieści o naszych „kombinowaniach” mamy czas jutro rano, albo i później. Zgoda?

Na potwierdzenie swego stanowiska szef wydziału kryminalnego odwrócił się i skinął podbródkiem w kierunku ciemnych pól, skąd dobiegały pojedyncze szczeknięcia i gdzie błyskały światełka. Starał się powiedzieć to wszystko spokojnie i z tym racjonalnym przekonaniem, które jest najlepszym sposobem maskowania wściekłości. Ostatnie słowo ozdobił

jednak akcentem nieco zbyt natarczywym i wyszło agresywnie. Zdybas natychmiast zareagował.

– To nie jest prywatna rozmowa, komisarzu, tylko raport przed przełożonym. Oczekuję wyjaśnień. – Pies tropiący szczeknął całkiem blisko i komendant zawahał się. – Natychmiast, jak tylko wrócicie z terenu. Tu, na miejscu.

Podkreślił „komisarza”, położył nacisk na „przełożonego”, a na koniec pokazał palcem swoje buty, by doprecyzować, gdzie znajduje się owo „tu” do składania raportu. Inaczej mówiąc, na przedstawienie Hadczuka odpowiedział trzema swoimi. Żeby było jasne.

Obaj odwrócili się na pięcie, by ruszyć w pola, gdy Zdybas przytrzymał Mrówczyńskiego za łokieć.

– Poczekajcie, sierżancie. Z wami muszę na słówko.

Sierżant wymienił spojrzenia z Hadczukiem, zanim ten przeszedł na drugą stronę drogi i zniknął za budynkiem sklepu. Benek westchnął i zwrócił się frontem do komendanta. Na parkingu zaburczała wciągarka i rozpoczęło się ładowanie samochodu na lawetę. Sprzątanie dobiegało końca. O świcie parking będzie wyglądał zupełnie normalnie, jakby nic się nie stało. Jakby dopiero co nie odegrano tu, w scenerii chłodnej pomorskiej nocy, upiornego spektaklu ze zbezczeszczonym ciałem nieszczęsnego wójta w roli głównej. Drugiego wójta w ciągu miesiąca, po powieszonym na śmigle wiatraka Mieczysławie Kuliku z Grębówka. Można było ciągnąć analogie w różne strony, ale jeden fakt pozostawał niewątpliwy: tego lata obłąkana zbrodnia uwiła sobie gniazdo na Pomorzu Środkowym.

Z latarką w jednej ręce i kolbą pistoletu w drugiej Ryszard Hadczuk wnikał w wysoką trawę grębowieckich łąk, zastanawiając się, co by na jego miejscu zrobił Krzycki. Gdzie by szukał sprawcy i jak odwróciłby sytuację? Komisarz nie zaliczał się do zbyt lotnych policjantów, niemniej tyle zdążył u Krzyckiego podpatrzeć. Ten facet zawsze węszył jakoś inaczej, odwracał obraz do góry nogami, szukał innej perspektywy, patrzył odwrotnie niż wszyscy. Sam kiedyś powiedział: jak wszyscy idą w prawo, idź w lewo. Tylko co by to miało znaczyć tu i teraz? Hadczuk rozejrzał się po ciemnych

polach. Policyjny pies szczeknął, wiejskie kundle odpowiedziały chórem, od dalekiego miasta biła po chmurach żółta łuna jarzeniówek, pod sklepem służby zajmowały się sprzątaniem parkingu, zgrzytała wciągarka. Za pagórkiem jak zwykle pulsowały czerwone światła wiatraków, niewzruszone, konsekwentne, nachalne. Jeszcze parę lat temu ich nie było, a teraz towarzyszyły ludziom wszędzie, w dzień i w nocy, jak strażnicy. Albo szpiedzy. Z wysoka wiele widać, więc pewnie dużo wiedziały. Naoczni świadkowie, lepsi od ludzi. Jak to odwrócić? Jak spytać wiatrak, co widział?

Takie to myśli zajmowały komisarza Hadczuka, gdy tymczasem na chodniku przed furtką sierżant Benedykt Mrówczyński wysłuchiwał w zdumieniu poleceń słupskiego szefa szefów, czyli komendanta Krzysztofa Zdybasa.

– Słuchajcie, sierżancie, umówmy się, że to wprawdzie polecenie służbowe, ale takie, no wiecie, nieoficjalne. Chodzi o to, że w obecnej sytuacji – zatoczył ręką wkoło, jakby sytuacja leżała na ulicy – nie możemy wysłać regularnych oddziałów, są potrzebne tutaj. Widzisz, co się dzieje. Musimy skoncentrować się na ujęciu sprawców tej zbrodni, to teraz priorytet. Zgadzasz się chyba, co?

Benek skinął, nie mając pojęcia, do czego zmierza komendant. Raz mówił do niego przez „pan”, innym razem w liczbie mnogiej jak do grupy szturmowej, a jeszcze innym po prostu per „ty”. Domyślał się, że chodzi o wytworzenie atmosfery spoufalenia, w bliżej jednak nierozpoznawalnym celu.

– Są jeszcze dwie inne sprawy, sierżancie, obie krakowskie. Bałyś i Krzycki. Wiem, wiem, Krzycki nie jest formalnie poszukiwany, niemniej w obecnych okolicznościach wolelibyśmy wiedzieć, co się z nim dzieje. Zniknął jak kamfora. Ale ważniejsze jest poszukiwanie podkomisarza Bałysia, znacznie ważniejsze. Gdyby nie to – pokazał kciukiem za siebie – priorytetem byłby nadal Bałyś. Rzecz w tym, że nie możemy również całkiem odpuścić, nie?

Przerwał, czekając na potwierdzenie, a Mrówczyńskiemu zaczęło świtać. Komendant potrzebował pretekstu, że coś robi, a zarazem marzyło mu się odpuszczenie Bałysia i zostawienie sprawy do załatwienia samemu Kale, tak jak tamten sobie zaplanował. Jak zwykle ich komendant uwikłał się w sprzeczności, w czym do pewnego stopnia był konsekwentny, jeśli przez konsekwencję będzie się rozumiało bycie równocześnie policjantem i wspólnikiem przestępcy.

Aby go zachęcić, Mrówczyński pokiwał skwapliwie głową.

– Nie, nie można, panie komendancie.

– No właśnie. Dlatego ty będziesz go szukał.

– Sam?

– Tak, sam. Tu w pojedynkę można więcej zdziałać niż w hałaśliwym i z daleka widocznym zespole. Dostaniesz wszystko, czego będziesz potrzebował. Udostępnię ci dane zebrane podczas działań operacyjnych. Wiem, niewiele tego, ale mogą się przydać. A jeśli go przypadkiem znajdziesz, najpierw przychodzisz z tym do mnie, jasne? Do mnie!

Benek kiwał głową i zastanawiał się, co za sprytne licho aż tak ułatwiło mu robotę. Śledztwo u boku Hadczuka w sprawie makabrycznego morderstwa wójta psuło sierżantowi plany i przez całą noc usiłował zniechęcić również swojego szefa do takiego pomysłu. A tu proszę. Komendant bierze go jak dziecko na rączki i przenosi do innej piaskownicy, tej wymarzonej. Super, o to chodziło. Zabawa ma szansę się rozkręcić.

Po przekazaniu wszystkich szczegółowych poleceń Mrówczyńskiemu komendant Zdybas także poczuł ulgę. Odwrócił uwagę innych od Kały, a jeśli zarzucą mu brak postępów w poszukiwaniach, będzie mógł się wykazać dobrą wolą. Proszę bardzo, mimo niedoborów kadrowych wysłałem ludzi, i to najlepszych. Żywił głębokie przekonanie o nieskuteczności wszelkich działań Benka Mrówczyńskiego, który może był inteligentny i dowcipny, ale w starciu z prezesem nie miał najmniejszych szans. Młody, wyrywny, idealnie nadawał się na użytecznego głupka. Wprawdzie Zdybasowi coś w tyle głowy podszeptywało, że wysyłanie pojedynczych ludzi na samotne akcje nie

mieści się za bardzo w regulaminie interwencji policyjnych i jako komendant jednostki powinien działać nieco bardziej służbowym trybem, jednak machnął na to ręką. Miał ważniejsze sprawy do wygrania. Choćby życie własne, żony i przede wszystkim córek, bo Kała wiedział o nich wszystko, znał też adres zamieszkania. Jeśli Mrówczyńskiemu przypadkiem by się powiodło, podinspektor przypisze sobie zasługi jako ten, który go wysłał. A jeśli, co bardziej prawdopodobne, się nie powiedzie, wyjaśni Kale cały spryt swojego zagrania.

Benek Mrówczyński kombinował nieco inaczej. Nareszcie dostanie to, czego chciał, w kilku odsłonach. Zanim zniknął, Lucek Bałyś ruszył samotnie w noc i rozgromił cały oddział Kały, gołymi rękami, bez jednego wystrzału, a dał się złapać tylko dlatego, że usiłował ratować biednego Pawła Palkę. Benkowi ta ponura historia mocno poharatała duszę i nikt bardziej od niego nie pragnął zadośćuczynienia za tamto. A wyobrażał to sobie właśnie tak: on, sam, noc, miękki chód, uczerniona twarz, lekka broń za pasem bojówek, skradanie się leśną gęstwiną, a za chmurami księżyc chowa posępną twarz. Okej, trochę ramboidalne, ale co z tego. Pokaże Luckowi, że też tak potrafi, że oni tu, w Słupsku, sroce spod ogona nie wypadli. Przy okazji dokopie prezesowi za Pawła, za Lucka, za całą nędzę ich policyjnego niewydarzenia. Kto wie, może weźmie karabin snajperski, będzie jeszcze ciekawiej. No i najważniejsze: zapunktuje u Dominiki.

Hmm, Dominika. Cholera, jak on to wtedy spaścił!

Trzeci z nich kroczył skrajem łąki wzdłuż rowu melioracyjnego i rozmyślał nad tym, jak odwrócić sytuację i postępować zgodnie z prawem Krzyckiego. Obrócić się i iść w przeciwnym kierunku? Olać psy tropiące i ruszyć przez wieś środkiem ulicy? A może puścić przewodnika przodem, a pies biegłby za nim i zwijał linkę? Postawić wiatrak śmigłami do dołu i posłuchać, o czym szumi? Obejrzał się. Benek Mrówczyński zniknął mu z oczu. Latawiec również nie dawał znaku życia.

Szef wydziału kryminalnego i dowódca akcji poszukiwawczej, komisarz Ryszard Hadczuk, szedł późną nocą sam przez pola i szukał po wykrotach zwierzaków, które szukały śladów. Był głodny, oczy go szczypały ze

zmęczenia, a głowa pękała z bólu. Tabletki zostały w radiowozie. Dwadzieścia metrów przed nim pies tropiący tak kręcił się w kółko, że owinął swoją linkę wokół stracha na wróble i szczekał radośnie, jakby złapał zbiega. Jego przewodnik również biegał wokół stracha, tylko w przeciwną stronę, żeby odkręcić linkę. Hadczuk przetarł powieki i uznał, że sytuacji odwracać nie trzeba. I tak już stoi na głowie.

3

– Nie uciekłem. Wydawało ci się. Na pierwszy rzut oka jak facet odwraca się na pięcie, wskakuje za kierownicę i odjeżdża z piskiem opon, to może to wyglądać na ucieczkę. Ale nie. Po prostu mamy priorytet i nie możemy teraz wikłać się w inne sprawy, jakieś dochodzenia, zeznania, raporty i takie tam. Że nieprofesjonalne? No i co z tego? Nigdy nie byłem specjalnie profesjonalny. I nie ukrywałem tego.

Zawiesił głos w oczekiwaniu na potwierdzenie lub zaprzeczenie, ponieważ jednak nic takiego nie nastąpiło, zacisnął mocniej palce na kierownicy i wlepił wzrok przed siebie. Jechali wąską drogą w bok od szosy wojewódzkiej o numerze 167, minęli coś, co się nazywało Zaspy Małe, i zbliżali się do czegoś o nazwie Buczek. Przewidując blokady na głównych drogach, Krzycki jechał bocznymi, w czym bardzo pomocny okazał się GPS w samochodzie Dominiki. Nadkładali sporo, ale tak mu się wydawało bezpieczniej, mimo ryzyka namierzenia nawigacji przez policję. Nie sądził, by Zdybas posunął się do wysłania za nim regulaminowego pościgu. Tłumaczenie przed patrolem podczas rutynowego zatrzymania to co innego. Tu mógłby mieć większe kłopoty. Byle do granicy.

– Niezłe, co? Inspektor Krzycki umyka przed patrolami policji. Pies by się uśmiał.

Zerknął na siedzenie pasażera, jednak pies wcale nie wyglądał na rozbawionego. Lala zwinięta w kłębek na rozłożonym fotelu, drzemała z otwartymi, nieruchomymi oczami. Uznali wspólnie, że dłuższa jazda

w bagażniku nie należy do zbyt komfortowych, nie mówiąc o utrudnionej konwersacji, więc opuścił jej maksymalnie oparcie, rozłożył kurtkę i w ten sposób sporządził coś w rodzaju legowiska. W podziękowaniu łaskawie skinęła łbem. No i jechali.

– Nie wiem, czy w ogóle jeszcze jestem policjantem. Gdyby to był ktoś, kto pilnuje porządku prawnego i społecznego w tym kraju, może bym się pod tym podpisał. Jeśli policjant ma bronić porządnych obywateli przed złoczyńcami – wiesz, tak jak piszą dzieci w wypracowaniach szkolnych – jestem jak najbardziej za. Tak to w końcu miało być: działasz dla dobra ludzi i jakoś zamazujesz te swoje głupie młodzieńcze podłostki, spłacasz drobne długi i żyjesz jak każdy normalny człowiek. O ile istnieje coś takiego jak normalny człowiek. Tak, wiem, ciebie to nie obchodzi, ale ja też nie wybierałem tego człowieka. Że co? Że to niedługo potrwa? No może, tylko ja to „niedługo” muszę jakoś przeżyć. Znasz ten cytat? „Kto mówi o zwycięstwach? Przetrwać, oto wszystko”. Rainer Maria Rilke. Zostało mi ze szkoły, kiedy czytywałem takie rzeczy. Czy wy, psy, macie też swoją poezję?

Z mapy na wyświetlaczu wynikało, że droga wkrótce dobiegnie do skrzyżowania z inną, bardziej uczęszczaną, więc skręcił w pierwszą przecinkę leśną i po stu metrach się zatrzymał. Lala prychnęła, że nie odpowie. Nie ma mowy. Wysiedli i każde poszło na stronę załatwić swoje potrzeby. Noc wchłonęła ich jak miękkie bajoro, czarne i lepkie od zgniłej wilgoci. Andrzej wciągał przesycone zapachem igliwia powietrze i słuchał szumu krwi w skroniach. Do granicy jeszcze kawałek, do świtu niedaleko. Powinien dać radę, choć co to oznaczało w przypadku jego osłabionego organizmu, trudno było stwierdzić. Kiedy na chwilę zamykał oczy, czyjeś niewidzialne ręce delikatnie ujmowały go za głowę i kołysały nią niczym dzieckiem w kołysce. Musiał się czegoś złapać, żeby nie upaść. Pień drzewa, chłodny i chropowaty, przypominał skórę przedpotopowego zwierzęcia. Gruby i solidny dąb miał pewnie ze sto lat. W lesie mieszanym z przewagą sosny i brzozy stanowił prawdziwy okaz, jak senior rodu w otoczeniu licznego i różnobarwnego potomstwa. Sporo widział, na

przykład uciekających żołnierzy niemieckich i goniących za nimi krasnoarmiejców ze śmiesznymi pepeszami w garści, które bardziej sprawdzały się jako straszaki niż prawdziwe automaty do trafiania wroga. Albo pierzchających na wszystkie strony cywilów, zaskoczonych błyskawiczną ofensywą, i porzucone później w krzakach kobiece trupy z zadartymi do góry spódnicami. Taki dąb mógł też widzieć, gdzie Niemcy budują bunkry i podziemne schrony, a jego korzenie może do dzisiaj czują pod sobą twardość niemieckiego betonu. Któryś z jego równie grubych i solidnych kumpli mógł widzieć znacznie ważniejsze rzeczy, przykładowo prezesa Kałę organizującego swoje porąbane rekonstrukcje historyczne, z Luckiem w roli więźnia. Oni się na pewno porozumiewają między sobą, może by tak spytać?

Klepnął dłonią w pień.

– Hej, drzewo, wiesz coś na ten temat?

Kora pachniała stodołą. Głupie, ale nie umiał tego inaczej określić, tylko właśnie tak. Kora pachniała stodołą u dziadka, gdzie bawili się podczas deszczowych dni, on i dwóch chłopaków z sąsiedztwa, trochę starszych, trochę bardziej agresywnych i niesłychanie dowcipnych. Uczyli go pływać, chodzić na szczudłach po rozległym sadzie i jeździć na oklep na krowie, a przede wszystkim jako pierwsi pokazali mu, jak się rzuca nożem i toporkiem. Ćwiczył się w tym zapamiętale, pokaleczył wszystkie jabłonie, grusze i śliwy, za co dziadek bynajmniej go nie sprał, tylko przez tydzień się nie odzywał, i potem już mały Andrzej nie kaleczył owocowych pni, tylko walił nożami w oparte o nie deski. Obaj chłopcy przepadli w zapomnieniu, dziadek dawno umarł, a lekcje rzucania nożem i toporkiem mu zostały.

Przyłożył ucho do pnia dębu.

– No co, bracie, nie powiesz? Drzewa są pamiętliwe, prawda? Dobra, twoje prawo.

Lala podeszła do niego i polizała z troską po dłoni. Pogładził ją po łbie.

– Spokojnie, nie zwariowałem. Po prostu rozmawiam z dębem. Pytałem go, czy nie wie przypadkiem czegoś o Lucku. Ale on jeszcze mniej

rozmowny od ciebie. Może mi pamięta jaką zadrę z dzieciństwa, rzucanie siekierką do pobratymców czy co. Tak już mam: wszyscy chcą mnie rozliczać za przeszłość, której nie pamiętam.

Przyjęła do wiadomości jego dziwaczną puentę i przysiadła w oczekiwaniu co dalej. Czy jadą w końcu do tych Niemiec, czy będzie nadal krytycznie rozważał meandry swego ludzkiego losu. Dobrze, że psy mają inaczej.

W pewnej chwili oboje uskoczyli za pień dębu. Od szosy błysnęły światła, samochód skręcił z szosy i jechał w ich kierunku. Podrzucany na wybojach przód pojazdu obryzgiwał ich błyskami reflektorów. Dotrze tu w parę naście sekund, nie zdążą nawet wsiąść i uruchomić silnika, nie mówiąc o dyskretnym odjechaniu. Andrzej przykucnął za pniem i objął Lalę za kark.

– Chodź! – szepnął jej w ucho.

Zgięty wpół przeskoczył za następny pień, potem za kolejny, a suka cierpliwie szła przy jego nodze, swobodnie i pewnie, jakby lepiej od niego wiedziała, co należy robić. Czasem miał wrażenie, że naprawdę wie. Wkrótce odeszli na tyle, by nie objęły ich reflektory zbliżającego się pojazdu. Przycupnęli za obszernym drzewem, sądząc z gładkości i żywicznego zapachu kory – zasłużonej sosny, i w napięciu czekali na rozwój wydarzeń. Dwa zwierzątka, z mieszaniną lęku i niezrozumienia obserwujące poczynania przedstawiciela ludzkiej cywilizacji.

Samochód podjechał na odległość dziesięciu metrów i zatrzymał się. Silnik nadal pracował, nikt nie wysiadł. Po chwili błysnęły długie światła i brązowa kia oraz jej najbliższe otoczenie utonęło w blasku. Andrzej próbował rozpoznać markę pojazdu po kształcie reflektorów, ale bez rezultatu. Wydawało mu się, że na środku majaczy znaczek VW, przy tym natężeniu jasności jednak nie mógł mieć pewności. Poza tym, jeśli to naprawdę był volkswagen, to mógł nim jeździć praktycznie każdy. Nawet zbłąkany leśniczy, który po paru piwach usiłował na skróty dojechać do domu. Nie pozostawało nic innego, jak siedzieć pod życzliwą, miejmy nadzieję, sosną i czekać na ruch przeciwnika. Lala w milczeniu przytaknęła.

Po chwili otworzyły się drzwi i z samochodu wysiadł mężczyzna. Rozejrzał się i z prawą ręką zatkniętą z tyłu za pasek od spodni zrobił kilka kroków do przodu. Andrzej znał dobrze ten ruch, każdy policjant uczy się go zaraz na początku, jak tylko dostanie broń osobistą i przypnie ją sobie do boku. Uzbrojony facet niestety szedł lewym skrajem drogi i jego twarzy na tle świateł nie dało się dostrzec. Sylwetka wydała się Krzyckiemu jakby znajoma, gdzieś ostatnio widziana raz, może dwa razy. Policjant, Słupsk, szpitalny korytarz, wielka łysa głowa i zgarbiona sylwetka. Duży, prawie olbrzym. Kiedy siadał po powrocie z toalety, taboret jęczał z bólu. W starciu z nim Krzycki zostanie starty na proch. Zaraz na starcie. Uff, Lala – co robić?

Bardziej wyczuł, niż wyczytał z jej oczu zalecenie spokoju i cierpliwości, miała to w podręcznym zestawie pierwszej pomocy i serwowała mu przy każdej okazji. Nie musiała się wysilać, i tak niczego innego nie mógł teraz przedsięwziąć. Usiadł pod drzewem, oparł się barkiem o pień i przez ramię zerkał na to, co się dzieje przy samochodach.

Mężczyzna ostrożnie obszedł kię, poświecił do środka, rozejrzał się wkoło, po czym nieoczekiwanie dla nich obojga wrócił do swojego pojazdu. Wsiadł, zatrzasnął drzwi i w mdłym świetle kabinowej lampki Andrzej zobaczył, jak wyjmuje komórkę i do kogoś dzwoni, cały czas rozglądając się dokoła. Facet zamienił z kimś parę słów, po czym rozłączył się i wrzuciwszy wsteczny bieg, cofnął się o kilkanaście metrów, a następnie wyłączył silnik. Zapadła ciemność i cisza.

Andrzej zamknął oczy i oparł rękę na karku Lali. Pogładził ją. Ciii. Nic nie rób. Nie reaguj. Odciął nam odwrót i musimy coś szybko wymyślić. Jak sądzisz, ta droga dalej w las jest ślepa czy wychodzi gdzieś po drugiej stronie świata?

To była jednak łatwiejsza połowa problemu. Gdy tylko wsiądą za kierownicę i ruszą przed siebie, Karczycho zrobi to samo i szybko się go nie pozbędą. Kia to nie jest samochód, którym można skutecznie uciekać przed policyjnym passatem, jeśli facet choć trochę umie nim jeździć.

A wyglądało na to, że umie. Wycofał leśną ścieżką szybko i pewnie. No, to jakie widzisz rozwiązanie, piękna?

Piękna podrapała się za uchem i wywiesiła język. Spoko, zaraz coś wymyślimy. Jeśli nie możemy odjechać naszym samochodem, to spróbujmy jego. Wiesz, Krzycki, odwracanie sytuacji.

Zastanowił się nad tym. Jeśli policjant go tak szybko namierzył i odszukał, to znaczy, że kia jest pod obserwacją i pewnie oprócz nawigacji ma wbudowany własny GPS, jak niektóre prywatne samochody funkcjonariuszy. Dominika mogła o tym nawet nie wiedzieć, a może zapomniała. W każdym razie jeśli raz zostali namierzeni, to zostaną i drugi. Dupa. Natomiast nie dupa, jeśli wezmą samochód tamtego policjanta. Dlaczego? Ano dlatego, że ruszył w pojedynkę za Krzyckim i działał pozasłużbowo (jak on i Lucek najbardziej lubili), czyli bez satelitarnej lokalizacji, tylko z ręcznie włączaną i wyłączaną aplikacją. Jakimś Yanosikiem albo czymś podobnym. Dokładnie czegoś takiego potrzebowali.

No ba, ale jak to zrobić?

Niewiele myśląc, nachylił się i szepnął Lali do ucha:

– Najpierw idziemy po rzeczy do kii. Gdy otworzę drzwi, zapali się lampka w kabinie, wtedy on powinien jakoś zareagować. Zabieram torbę, kurtkę i zmykamy w las. A potem się zobaczy. Jasne?

Słuchała z otwartym pyskiem. Niemożliwe, żeby nie zrozumiała.

4

Podczołgali się do kii od frontu, aby facet ich nie dostrzegł, włączając nagle reflektory, i Andrzej uchylił drzwi. Dziesięć sekund zajęło mu zgarnięcie z siedzenia wygniecionej przez Lalę kurtki, sprawdzenie schowka i porwanie sportowej torby z rzeczami na zmianę, po czym z powrotem zaszyli się w gęstwinie. Odczekali kilka minut, ale tamta strona nie zareagowała, więc obeszli naokoło lasem i przycupnęli na wysokości

passata. Andrzej nie spuszczał oka z ciemnego samochodu, w którym nic się nie działo. Facet zamknął się w środku i czekał. Może spał?

– Może śpi? – szepnął do Lali. Przytaknęła ledwie zauważalnie i położyła się w trawie. Im też nie pozostało nic innego, tylko czekać. Rozejrzał się. Na wschodzie niebo zaczynało szarzeć, nadchodziła jasna część rzeczywistości, co dla nich oznaczało większy kłopot z przemieszczaniem się. Granicę najlepiej przekraczać. Nie zdąży.

Zatrzęsło nim od leśnego chłodu. Włożył skórzaną kurtkę i przytulił się do Lali. Była ciepła i niewiarygodnie spokojna. Jej życie dzieliło się na dwie części, tak przeciwstawne, że nadawały się na psi serial sensacyjny i bynajmniej nie mogły zapewnić spokoju. Najpierw służyła pewnemu niepołomickiemu gangsterowi za poduchę do kopania, potem pewnemu krakowskiemu policjantowi za towarzyszkę akcji przeciw gangsterom, co złożyło się u niej na niezwykły psi hart ducha. Wielokrotnie skopana, dwa razy poważnie ranna, raz pogruchotana na granicy śmierci – nabrała wiedzy o życiu, jakiej nie da się nauczyć na żadnym treningu. To daje spokój i opanowanie? Może. Pogładził ją po łbie. A może to dlatego, że jest suką, czyli kobietą, pomyślał. W ostatecznym rachunku to one zwykle bywają mądrzejsze. A ty, Krzycki, co? Zwykły samiec. Ledwie stanąłeś na nogi, i to nie całkiem, a już pakujesz się w kolejne kłopoty.

Liznęła go po ręce (to była jej ulubiona ścieżka komunikacyjna) i podjęła wątek. A ty, Krzycki, co? Męski jesteś, twardy i uwodzicielski jak Humphrey Bogart na plakacie *Casablanki* – i czym się skończyło? Stań obok i spójrz. Chory i słaby, samotny i wyautowany, czaisz się w pomorskim lesie, trzęsąc się z zimna. Aż tak cię wszyscy skrzywdzili? Nie chciałabym być niemiła, ale przypominam ci, że jesteś policjantem, a to do czegoś zobowiązuje. Zostaw go. Zupełnie jakbyś chciał upaść na samo dno, żeby się odbić.

– Nie mam zamiaru nic mu zrobić – fuknął zirytowany, że odgadła jego intencje. – Po prostu ukradnę samochód, i tyle, zresztą służbowy. Ten gość też nie wygląda na geniusza życzliwości, może nawet chce mnie załatwić. Nas oboje, jakby co.

Przetarła łapą nos. Nie w tym rzecz, Krzycki, czy oni chcą ci zrobić to czy tamto. Rzecz w tym, co ty robisz sobie. Wiem, chciałeś dobrze. Każdy przegrany zaczyna swoją opowieść od tego, że chciał dobrze. Ale popatrz, gdzie jesteś, drogi Andrzeju, a ja z tobą. Jasne, możesz na mnie liczyć, nieraz się dla ciebie poświęcałam i teraz też się poświęcę, jednak mam prawo do swojej opinii.

– Argument z policjantem jest poniżej pasa, Laluniu. Nienawidzę go. Tam przed nami w służbowym samochodzie słupskiej komendy siedzi policjant, którego wysłali do śledzenia innego policjanta. Niedawno stałem w grupie ludzi protestujących w obronie niezawisłości sądów w Polsce, a naprzeciwko mnie młodzi szczyle w policyjnych mundurach szydzili ze mnie. Facet, który porwał Lucka i zabił Pawła Palkę – dwóch policjantów – jest byłym komendantem, tego tutaj też przysłał ktoś stamtąd. Akcja w Niepołomicach przed paru laty, kiedy to los szczęśliwie nas ze sobą zetknął, również dotyczyła sprawy byłego komendanta. Myślisz, że to dla mnie przyjemność firmować to wszystko? Bogart w *Casablance* miał łatwiej, nie pracował w policji. Nie stał w rozkroku między prawem i gównem.

Krzycki zamilkł, nagle spłoszony własnym podniesionym głosem. Poniosło go. Przywarł do ziemi i skupił wzrok na samochodzie przed nimi. Czerń nocy przechodziła w grafit przedświtowej godziny, a z niej powoli wyłaniały się słupy wysokich drzew jak maszty podziemnych okrętów. Jeszcze trochę i nie uda im się stąd niepostrzeżenie wycofać, nie mówiąc o dotarciu tego dnia do Hanoweru. Musiał coś przedsięwziąć. Zaczął właśnie rozważać powrót do kii i próbę przedarcia się dokądkolwiek drogą w głąb lasu, gdy rozległ się szczęk zamka i drzwi w passacie od strony kierowcy się uchyliły. Najpierw wyłoniła się łysa głowa, potem okazały biceps, który Karczycho oparł na dachu. Wreszcie wynurzył się cały i zrobił ostrożnie dwa kroki przed siebie, oczywiście z palcem prawej ręki zatkniętym za pasek. Najwidoczniej nic nie wzbudziło jego czujności, ponieważ przetarł dłonią łysinę i skręcił pod drzewo. Tam przystanął i zaczął rozpinać spodnie.

Andrzej najpierw pomyślał, że to doskonała okazja. Ale tylko przez moment, ponieważ szybko stwierdził, że mają do samochodu dalej niż tamten. Nawet gdyby dobiegli bezszelestnie, co samo w sobie przedstawiało niemałą trudność, nie zdążą nawet uruchomić silnika. Dla tego faceta zablokowane od wewnątrz drzwi pewnie nie stanowiłyby żadnej przeszkody, podobnie jak niewyspany uciekinier ze szpitala, jadący na aspirynie i red bullach. Gdyby Karczycho był trochę bardziej kulturalny i odszedł dalej w las, choćby na piętnaście metrów, plan mógłby się powieść. A tak? Pozostało im udawać, że dochodzące do nich odgłosy to coś innego. Pomiział Lalę pod brodą. Widziałaś, jaki prostak?

Podrapała się kłami za łopatką. Wrzuć na luz, Krzycki. Wy, ludzie, jako jedyni macie z tym problem.

Ich nadzieja topniała wraz z cichnięciem fizjologicznych dźwięków i jaśnieniem nieba nad lasem po wschodniej stronie. Jeszcze trochę i kaplica. Krzycki zaczął nawet rozważać wycofanie się rakiem i próbę łapania stopa kawałek wcześniej, taki plan jednak również nie wróżył łatwego sukcesu w obliczu złowrogiego milczenia szosy. Nic tędy nie jechało. Nad głowami zaczęły im śpiewać ptaki, najpierw jeden, potem drugi, trzeci... Na przemian, jakby kablowały o nich dwojgu ukrytych pod krzakiem malin. Tkwili w ślepym zaułku i Andrzeja opadło denne zniechęcenie. Nic, do jasnej cholery? Żadnego pozytywu? Wszystko się sprzysięgło przeciwko mnie?

Nie wszystko. Facet wracał do samochodu, drapiąc się w tyłek i kontrolnie zerknął w głąb ścieżki, gdzie stała kia. Nagle tuż przed kabiną przystanął. Wysunął do przodu szczękę jak szufladę i patrzył. Do Andrzeja dotarło, że gość przykimał za kierownicą i w ogóle nie zarejestrował ich aktywności. Dopiero teraz jego uwagę zwróciło tlące się w ciemności światełko. Świt nareszcie zaczął działać na ich korzyść, ponieważ oświetlenie kabinowe majaczyło niewyraźnie, ledwo, ledwo, i Karczycho zrobił to, co mu tłukli na wszystkich szkoleniach: poszedł sprawdzić. Pochylił się w postawie bojowej gotowości i stąpał krajem ścieżki, wpatrzony w majaczący w półmroku pojazd z uchylonymi drzwiami.

Andrzej w pierwszym odruchu pomyślał, że tak nie działa ktoś ze zleceniem zabójstwa i że ten człowiek raczej podąża ich tropem, co i tak nie miało teraz dla nich większego znaczenia. Najważniejsze, że się oddalał. Właśnie dotarł do kii i uchylił szerzej drzwi, by zajrzeć do środka, gdy Andrzej szepnął:

– Lala, teraz!

Zaszeleściły krzewy, potrącane nogawkami, gdy rzucili się biegiem do passata. Pierwsza dobiegła Lala i stanęła przy drzwiach pasażera, czekając, aż jej otworzy. Wskoczyła raźno na siedzenie i Andrzej lekko je przymknął, żeby nie robić hałasu. Karczycho właśnie zakończył lustrowanie wnętrza i stanął wyprostowany obok samochodu. Patrzył przed siebie i na boki, z ręką wciąż opartą na pasku. Andrzej po raz drugi doszedł do wniosku, że to nie zabójca, tylko zwiadowca. Gdyby miał go zabić, ich zabić, nie siedziałby bezczynnie u wylotu leśnej przecinki, tylko zaczaił się na nich. Dobra nasza.

Obiegł passata, wskoczył za kierownicę i sięgnął do stacyjki, w której tkwił kluczyk. Na środku konsoli, w plastikowym uchwycie znajdował się telefon komórkowy, kablem do ładowania podłączony do gniazda zapalniczki. Jednak są pozytywy, Krzycki, niech twoja nadzieja umiera ostatnia.

Kiedy Lala przekonywała Andrzeja o jego uwikłaniu w bycie policjantem, miała na myśli nie tylko firmowanie działań nie zawsze praworządnych i mieszanie porządku uczciwości z porządkiem łajdactwa. O tym psy myślą niewiele. W jej wywodzie chodziło o element ryzyka, brawury, o tę skłonność do reakcji radykalnych i irracjonalnych, od których wydawał się czasami wręcz uzależniony. Gdyby mu to powiedziała wprost, pewnie głośno by protestował, jednak znała go dobrze, może najlepiej ze wszystkich jego kobiet. Ledwie zipał i chciał walki. Z góry wiedziała, co się stanie, zanim Krzycki ujął klamkę w swoich drzwiach i zerknął najpierw za siebie, potem do przodu. Obliczał metry i sekundy. Nie potrafił się oprzeć pasji gry z przeciwnikiem, bez względu na cenę. Był osłabiony,

niewyspany, ale potrzebował ryzyka jak tlenu. Błyskało w jego oczach, drgało w wibrującym powietrzu kabiny.

Trzy rzeczy zrobił Krzycki równocześnie: przekręcił kluczyk w stacyjce, głośno trzasnął drzwiami i wyszczerzył zęby. Tamten odwrócił się i Andrzej niezmiernie żałował, że nie widzi w mroku jego zbaraniałej twarzy. Kiedy obroty silnika się wyrównały, wrzucił wsteczny i dodał gazu. Miał do pokonania dwadzieścia metrów leśnej drogi z wąskim wyjazdem na szosę, gdzie musiał się zatrzymać, zmienić bieg i odjechać, nim tamten przebiegnie swoje sto metrów. A właśnie zaczął biec. Pochylił kark jak byczek Fernando i nabierał bojowego impetu, coraz szybciej przebierając nogami. Cały las musiał od tego dudnić.

Passat zabuksował na mokrej powierzchni i szarpnął w tył. Zamek w drzwiach pasażera zastukał rytmicznie, zawyła skrzynia biegów. Na nierównej drodze Andrzej nie mógł się nadmiernie rozpędzić, brzegi wąskiego mostka również pozostawały niewidoczne. Super będzie, jak nie trafi. Samochodem ze dwa razy rzuciło na wybojach, w bagażniku zagrzechotały jakieś metalowe narzędzia. Oby nie granaty, pomyślał.

A tamten coraz bardziej się zbliżał. Szarżujący byk i niczego wkoło, co by go mogło zatrzymać. Wyobrażenie tego, jak dopada auta i jednym ruchem wyrywa klamkę razem z całymi drzwiami, a potem wywleka ich na trawę i coś tam dalej robi z nimi nieprzyjemnego, wzbudziło w Andrzeju prawdziwy popłoch. Odwrócił się i przez ramię prowadził wstecz, przez tylną szybę. Właśnie postanowił przejechać na drugą stronę i tam zmienić bieg, co mu dawało dodatkową sekundę, gdy zobaczył za łukiem drogi błysk reflektorów. Nadjeżdżał pierwszy od godziny pojazd, sądząc z natężenia światła – ciężarówka. Andrzej zawahał się. Szosa była zbyt wąska, by mogły się zmieścić dwa pojazdy, z tego jeden po skosie. Wjechał na mostek i wcisnął hamulec. Karczycho nadbiegał. Ciężarówka wypadła zza zakrętu.

Spojrzał na Lalę, czekając na radę. Stała na szeroko rozstawionych łapach, oparta bokiem o fotel. Zobaczył w jej oczach napięcie, może i strach.

Masz zmysły, to ich używaj.

Odwróć sytuację.

Wrzucił jedynkę i ruszył do przodu na pełnym gazie. Choćby człowieka nie wiadomo jak szkolono, w pierwszym odruchu uskoczy przed nadjeżdżającym samochodem. Policjant z pełnego biegu rzucił się szczupakiem w lewo i poturlał w malinowe chruśniaki. Andrzej krzyknął w euforii. Parę metrów przed sobą dostrzegł niewielką polankę, tam zawrócił i popędził z powrotem ku szosie. Byczek Fernando wygrzebał się z malin i biegł ku nim z wyciągniętym pistoletem.

Passat wypadł na szosę i z piskiem opon skręcił w prawo, by pomknąć na Buczek i dalej do granicy. Krzycki we wstecznym lusterku widział przez chwilę pędzącego za nimi faceta, a gdy ten nagle przystanął i uniósł obie ręce przed siebie, zanim zdążył pomyśleć, odbił kierownicą w lewo i ułamek sekundy później do jego uszu dobiegł huk wystrzału. A jednak. Skręcił w prawo i usłyszał drugi wystrzał. Lala jęknęła i skuliła się na podłodze. Wykonał jeszcze dwa skręty i dodał gazu na prostej, ponieważ policjant w lusterku zniknął za zakrętem.

Odsapnął z ulgą i spojrzał jeszcze raz. Od wschodu dniało, ale szosa świeciła pustkami. Wyszczerzył zęby do Lali przycupniętej na gumowym dywaniku pasażera i przepełnionej niesmakiem po Andrzejowych manewrach, które nieźle ją poobijały.

– No i jak, piękna? Udało się!

Na następnym zakręcie rzuciło nią o konsolę. Zaskuczała. No nie wiem.

5

Pod dom Heike Liebner w Hanowerze dotarli wieczorem. Granicę polsko-niemiecką przekroczyli zadziwiająco łatwo, ponieważ Andrzej nie pojechał na główne przejście w Kołbaskowie, tylko skręcił na południe w drogę krajową numer 13, a tam za całą placówkę służył jeden płaski, zielony budynek. Objeżdżał go powoli zatoczką, licząc na to, że zostanie wzięty za

kogoś z obsługi. W jednym radiowozie dyżurowali funkcjonariusze w zielonych mundurach Straży Granicznej, w drugim dwaj policjanci, którzy tylko obrzucili go obojętnym spojrzeniem i z powrotem pogrążyli się w swoich pogranicznych rozmyślaniach. Być może łatwość ta wynikała z wyjątkowo policyjnego wyglądu ich granatowego passata, co w osobowościach służbistych budzi odruchową solidarność i skłonność do tolerancji. Być może chłopcy mieli nawet konkretną dyspozycję, by ten akurat samochód przepuszczać bez kontroli. Kto wie. W każdym razie obyło się bez niewygodnego ujawniania tożsamości.

Zaraz za granicą Andrzej skręcił w lewo i włączył się do ruchu na niemieckiej A11, po paru kilometrach jednak omal nie zemdlał i ostatkiem sił zjechał na niewielki parking. Stanął na skrajnym stanowisku i zdołał tylko sapnąć:

– Nie dam rady.

Spali ponad dwie godziny. Andrzej obudził się z okropnym bólem głowy i ssaniem w żołądku, wcale nie czuł się bardziej wypoczęty. Zerknął na Lalę – wyglądała rześko. Wyprowadził ją na niewielki trawnik, a sam skorzystał z toalety. Przed wypucowanym lustrem przekonał się, że daleko mu do rześkiego wyglądu współpasażerki. Zanim wsiadł z powrotem za kierownicę, zajrzał do bagażnika passata i cicho gwizdnął. Od pobieżnego rzutu okiem na zawartość plastikowego składanego kosza zjeżyły mu się włoski na karku, ale i natchnęła go otucha. Gdyby zatrzymała ich policja, zwłaszcza niemiecka, nie pomógłby ani policyjny identyfikator, ani najbardziej nawet wyrafinowane tłumaczenia. Natomiast gdyby musiał odbijać Lucka za pomocą ataku poprzedzonego przygotowaniem artyleryjskim, to w zasadzie był wyposażony. Uniósł dywanik i poupychał część rzeczy w szpary przy kole zapasowym, resztę rozłożył na płasko i całość przykrył kocem. Na wierzch dał pusty koszyk i włożył do niego gaśnicę, apteczkę i kamizelkę odblaskową, po czym cmoknął z aprobatą. Wyglądało jak bagażnik porządnego Niemca.

Usiadł za kierownicą i ścisnął palcami skronie.

– Słuchaj, piękna, muszę coś zjeść i napić się kawy. I zeżreć procha. Mam nadzieję, że w niedzielę rano na niemieckiej tankszteli dostanę coś na migrenę.

Z grzeczności kiwnęła łbem, bo nie znała się na niemieckich stacjach benzynowych i nie bardzo ją to martwiło. Migrena również nie leżała w polu jej zainteresowań. Uchylił okna i ruszyli dalej w niemiecki kraj na poszukiwanie kawy i tabletek. Wszystko dostali na dużej stacji Esso, już po zjechaniu na A10 i ominięciu szerokim łukiem Berlina. Miejsce nazywało się Wolfslake.

– Wiesz, po angielsku to znaczy Wilcze Jezioro – zagadywał. – Czyli jakby coś dla ciebie. Tylko że jesteśmy pod Berlinem i nie wiem, czy wolno tłumaczyć na angielski. Może to sprawka aliantów, co? Jak myślisz?

Oblizała się po zapchaniu brzucha niemiecką suchą karmą z torebki. Tak, Krzycki, sprawka aliantów. Jedźmy już.

– Okej, się zamykam. Masz rację, są priorytety.

Długotrwałe milczenie podczas choroby i szpitalnej rekonwalescencji doprowadziło jednak u niego do nadmiernego nagromadzenia słów. Po kwadransie zawiłych rozważań w końcu nie wytrzymał.

– Wiesz, piękna, cholernie mi nie pasuje ta twoja uwaga o policyjnych zobowiązaniach. Normalnie, kurde, nie! W końcu odpowiedzialność jest indywidualna, a nie zbiorowa. Owszem, należąc do wspólnoty, firmujesz zachowania współplemieńców, ale w ostatecznym rachunku o twojej postawie świadczą twoje czyny, nie ich. Lojalność wobec instytucji podlega większej relatywizacji, ze względu na okoliczności oraz prywatne sumienie, wywiedzione z praw moralnych. Że co, że prawa moralne są zbiorowe? W zasadzie tak, ale każdy z nas musi je uznać osobiście. Jeśli ci nie odpowiadają i nie chcesz się do nich dopasować, opuszczasz wspólnotę, i tyle.

Zamilkł, żeby dostosować jazdę do stanowiska robót drogowych, gdzie pasy zwężały się o połowę i dwa samochody ledwie się mieściły obok siebie. Tuż po sąsiedzku z białego mercedesa uśmiechnęła się do niego przystojna Niemka. Uniósł dłoń w geście pozdrowienia.

– Bez obaw, to tylko taka niemiecka, sąsiedzka uprzejmość – wyjaśnił Lali, która obrzuciła go niechętnym spojrzeniem.

Ziewnęła. U ciebie, Krzycki, nigdy nie wiadomo.

– No więc, wcale nie mam ochoty firmować wszelkich działań polskiej policji tylko dlatego, że sam jestem policjantem. Na co mam ochotę? Żeby tym wszystkim pieprznąć, zmiąć i wyrzucić do kosza. Tak, odejść. Za późno? Daj spokój, nigdy nie jest za późno, podstawowa reguła wolnego człowieka. Gdybym chciał, mógłbym to zrobić nawet teraz.

Znowu przerwał, ponieważ roboty drogowe się kończyły i musiał wyjechać ze zwężonych pasów, gdzie zrobiło się jeszcze ciaśniej. Przystojna Niemka nadal jechała na ich wysokości i zerkała na Krzyckiego zalotnie, a jej gustowna chustka z furkotem powiewała pod smukłą szyją.

– Niedzielne łowy rwących czterdziestek – mruknął niewyraźnie, żeby Lala nie słyszała nuty zainteresowania w jego głosie. Słyszała jednak doskonale i odczytała to na swój sposób: Krzycki odzyskuje siły.

– Gdyby moja policyjna robota dzieliła się w miarę uczciwie na rejony podłe i rejony – w porządku, niech będzie – szlachetne, to pół biedy. Mógłbym się wycofać z tych pierwszych i bez reszty poświęcić tym drugim. Tylko że w sytuacji oficera śledczego w stopniu inspektora nie mam na to najmniejszych szans! System zalicza mnie do sfery decydentów, nie bezwolnych wykonawców. Z tak wysokiego poziomu zawirowania mógłbym wybrnąć, jedynie podejmując radykalną decyzję o...

Przerwał i zerknął niepewnie na Lalę. Ziewnęła szeroko aż po nasady uszu, po czym ostentacyjnie popatrzyła w okno. Nie będę słuchać tych wykrętów.

– O co chodzi? Że za długie zdania? Skomplikowane? Sorry. Ale najważniejsze zrozumiałaś? Powinienem odejść.

W jej łypnięciu błysnęły nowe iskierki, a rozciągnięte wargi Goofy’ego zdradzały psie rozbawienie. Ewidentnie się uśmiechała. Wiesz, Krzycki, to nawet byłoby intrygujące, gdyby zawierało choć odrobinę prawdopodobieństwa. Niezłe, niezłe. Tylko tak między nami mówiąc: wiesz, że tego nie zrobisz.

– Nie zrobię?

Nie.

Prychnął głośno i sięgnął za siebie, po czym z torby na tylnym siedzeniu wyjął wysłużoną komórkę, pamiętającą jeszcze czasy jego aspirantury. Oprócz rozlicznych wad cechowała się ogromną zaletą: nie miała wbudowanego nadajnika GPS. Z trudem dało się ją namierzyć, tylko gdy była aktywna, dlatego włączał na krótko i po zakończeniu rozmowy wyłączał. Dotychczas się sprawdzało.

Byczkiewicz odebrał po pierwszym dzwonku i nie bawiąc się w powitania, przeszedł od razu do rzeczy.

– Andrzej, kurwa mać, gdzie ty jesteś? Co się tam, w pizdę jeża, dzieje? Znalazłeś Lucka?

– Jadę się dowiedzieć. Darek, posłuchaj...

– Nie wiesz, gdzie on jest? Ja pierdolę, co wy tam wyprawiacie. Ale żyje? W żebro dymany...

– Słuchaj uważnie, bo powiem to raz.

– Czemu nie odbierasz telefonów? Dominika też zatkana jak odpływ, powtarza tylko, że Lucek to twoja robota. Naprawdę uciekłeś ze szpitala? W łokieć jebany...

– Darek!!! – ryknął w telefon, aż Lala podskoczyła na siedzeniu. – Zamknij się i słuchaj! Rezygnuję z pracy w policji. Składam wymówienie.

Komendant Byczkiewicz, najwyraźniej zachwycony kontaktem, w ogóle nie kontaktował. Gadał jak najęty:

– Dzwoniłem do tego Zdybasa, ale to jakiś ubogi kutasina. Zdupas raczej. Powiedział, że w związku z nową sprawą zmuszeni są wycofać część zespołów poszukiwawczych, ograniczyć pole penetracji, takie tam popierdółki, ble-ble. Jak będziesz z nim rozmawiał, powiedz mu ode mnie, żeby sobie wsadził w...

– Niczego mu nie powiem, Darek, bo nie będę z nim rozmawiał. Już nie jestem policjantem, słyszysz? Właśnie odszedłem. Złożyłem ci wymówienie. WY-MÓ-WIE-NIE! Dotarło?!

Tym razem się udało. W słuchawce zapadła cisza. Kobieta w białym mercedesie zrównała się z nimi, gestem usatysfakcjonowanej kochanki pomachała mu łapką i depnęła po gazie. Błyszczący jak dzbanek do kawy biały mercedes wyrwał do przodu i po parunastu sekundach znikł za łukiem autostrady.

– Co powiedziałeś?

– Nie chcę już być policjantem, złożyłem wymówienie.

– Uff, Andrzej. Ja pier... Uff. – Niemal czuł zapach potu komendanta Byczkiewicza, który ponad wszystko wielbił siłownię Platinium i pocił się tam przy każdej okazji. Niewykluczone, że pakował tam również teraz, w niedzielne przedpołudnie. – Nie ma takiej formy zwolnienia: przez telefon i bez podania przyczyny. Tak tego nie załatwisz.

– Właśnie podałem ci przyczynę! Mam dosyć policji. Dosyć całego tego wielkiego gówna udającego złoto.

– No, no...

– Pamiętasz Maciusia Ploha? To niewinne dziecko w ciele wiejskiego głupka, które chcieli wrobić w morderstwa? Zginął z rąk policjantów. Paweł Palka zginął przez policjantów. I Ula Miłęcka też zginęła przez policjantów. Lucka porwał były policjant, a wrobili go w to koledzy ze słupskiej komendy. Jeśli tego nie widzisz, to tylko jeszcze jeden dowód, że policja w tym kraju jest do dupy. O czym cię nie muszę przekonywać, bo wiesz to tak samo dobrze jak ja...

Teraz on się nakręcał. Nie było jednak czasu na oficerskie lamentacje i darcie koszuli na piersi, poza tym zaczynał bredzić. Sapnął i urwał.

– To ją popraw.

– Co?

– Jeśli ta twoja policja jest taka zła, to ją popraw. Masz narzędzia.

– Do jasnej cholery, a co robię? Z czym się szarpię? Tylko że nikt z was mi nie pomaga! Ileż tak można, Darku? Ile można poprawiać i patrzeć, jak za tobą idą twoi kumple i psują z powrotem, jakby się założyli o flaszkę, że

nie dasz rady? Nie, stary, to nie ma sensu. Jak chory się nie chce leczyć, to niech zdycha.

Miał jeszcze na końcu języka cały potok dalszych pretensji. Zbierało się w nim od lat i wreszcie tama puściła. Mógłby wymieniać: prezesa Rachwalskiego i jego syna, Ewę Leszczyńską, biednego Marka Listwana z komendy w Grobianach... ale zamilkł. Gniew i wściekłość szkodzą jasności wywodu.

– Andrzej, zabraniam ci, rozumiesz? Nie przyjmuję. Nie przez telefon, w niedzielne przedpołudnie, w środku lata. Nie...

– To było oświadczenie, a nie temat pod dyskusję. Cześć.

– Zaczekaj! Nie wolno ci, to nieregulaminowe.

– W dupie mam policyjne regulaminy, nie jestem już gliniarzem. Cześć.

– Będziesz tego żałował.

– Nie tylko tego. Cześć.

– Ale Bałyś...

Rozłączył się i przytrzymał przycisk zasilania, aż mignęło OFF i ekranik komórki zgasł. Małym palcem lewej ręki opuścił okno po stronie pasażera i wziął rozmach, by wyrzucić komórkę do przydrożnego rowu. Dokładnie w tym momencie Lala uniosła łeb i przesłoniła otwór, więc żeby jej nie palnąć między ślepia, odpuścił. Rzucił telefon na tylne siedzenie, zacisnął dłonie na kierownicy i poruszał ramionami w przód i w tył. Odprężenie. Ulga. Czuł, jak gromadzone od lat drobne napięcia w całym organizmie rozchodzą się i łagodnieją, niczym zmarszczki na wodzie jeziora tłumione plamą oleju. Coraz wolniej, spokojniej, ciszej. Prawie dobrze. Balast zrzucony i można się wynurzyć, zaczerpnąć powietrza, nacieszyć się metaforą szerokiego oddechu. To było takie proste! Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Czyżby właśnie wykonał następny krok w wielostopniowej terapii życia?

Spojrzał na Lalę niemal z wdzięcznością.

– I co, piękna, podobało się?

Mrugnęła oczami. No dobra, wygrałeś.

Resztę drogi pokonali w milczeniu, ona – podrzemując, on – przeżywając uniesienia swojej nowej, postpolicyjnej egzystencji. Nie przypuszczał, że jedna prosta deklaracja przez telefon może przynieść aż taką ulgę. Jakby po zbłądzeniu znów trafił do siebie. Przestając być policjantem, stajesz się znowu bardziej człowiekiem. Dobre, mocne, polityczne. Luckowi by się spodobało.

W miarę jak zbliżali się do Hanoweru, cisza w samochodzie traciła jasny odcień i tężała w gęstą maź wątpliwości. Przypomnieli sobie, że jadą do całkiem obcej kobiety, w dodatku Niemki, po rzekomo posiadane przez nią informacje, nie mając ani pewności, że ją zastaną, ani języka, żeby się z nią precyzyjnie rozmówić. Mieli jedynie karteczkę z adresem – naprawdę super. Okoliczność ze wszech miar uspokajająca. To jak ruszać na safari z tekturką, na której życzliwy tubylec węglem narysował słonia i lwa.

Gdy wjeżdżali do miasta, uparty wiatr taszczył z północy czarne parawany i zastawiał nimi całe połacie zmierzchu. Zacierał ostatnie ślady po słońcu. To im do reszty odebrało ochotę na optymizm.

6

Szklany ekranik wielkiego jak telewizor smartfona ślizgał się po małżowinie Krzysztofa Zdybasa. Komendant usiłował wcisnąć go do ucha.

– Jak to nie ma? Musi być! Szukajcie, aż znajdziecie!

Przerwał, bo z czymś mu się skojarzyło. Tłumaczenia płynące z tamtej strony musiały być absolutnie nie do przyjęcia, ponieważ odpędzał je ręką jak muchy i dla rytmu przytupywał wyglansowanym butem.

– Stamtąd do mnie dzwonił. Są ślady opon? Odciski butów? Co, nawet gówno pod drzewem? No proszę. To czego wam jeszcze potrzeba? Nie wiem, popytajcie ludzi, może poszedł do wsi po pomoc. Jak, Bucek? No to popytajcie w Bucku. Ktoś go, kurde balans, musiał widzieć! Tak, helikopter, drona, weźcie wszystko, co tam macie, nawet furmanki. Tylko go, na rany boskie, znajdźcie!

Nuta troski o los Zbigniewa Dziengiela brzmiała w głosie Zdybasa całkowicie fałszywie, natomiast strach autentycznie. Gdyby posterunkowemu przytrafiło się coś złego, i to zaraz na początku, w pierwszym rzędzie dostałoby się komendantowi. Wysłał człowieka w pojedynkę, służbowym samochodem i z poleceniem śledzenia oficera policji, chociaż właściwie o nic go nie podejrzewano. To mogło się skończyć wyłącznie fatalnie. Tyle że taki obrót spraw dało się bez trudu przewidzieć, chłopak został wysłany bynajmniej nie na kolonię letnią. Wiedział o zagrożeniach i powinien zachować wszelkie środki ostrożności, zgodnie z nakazem. Czyżby był aż tak głupi?

Zaniepokojony dwuznacznością przypuszczenia, które mogło się odnosić równie dobrze do Dziengiela jak do niego, rzucił telefon na biurko i poszedł sobie zrobić kawy. W to niedzielne przedpołudnie powinien siedzieć w pierwszej ławce na mszy w kościele, a nie tłumaczyć baranom z Białogardu, gdzie i jak mają szukać największego z jego podwładnych. Jezu, przecież ten chłop ma ze dwa metry! Jak można przegapić kogoś takiego?

Jeden z grzybiarzy z tego całego Bucka znalazł w lesie samochód i zawiadomił policję. Dziengiel bez trudu namierzył brązową kię ceed, ukradzioną Dominice Bałyś przez inspektora Krzyckiego podczas ucieczki ze szpitala, co natychmiast zameldował w środku nocy, po czym zgodnie z poleceniem wycofał się i czekał na dalsze posunięcia uciekiniera. I tu właściwie wiedza o sprawie się kończyła, ponieważ od tego momentu Dziengiel ani już niczego więcej nie zameldował, ani nie odbierał połączeń. Jego telefon milczał jak zaklęty, a granatowy passat zniknął.

– Ślady butów prowadzą na asfalt? To wspaniale, znaczy, że po prostu poszedł sobie drogą. Wystarczy go dogonić i poprosić, żeby wsiadł. Co? Żartowałem. Zabezpieczcie wszelkie ślady i ściągnijcie mi ten samochód do Słupska. Który? Oczywiście, że ten brązowy, idioto! Przecież drugiego nie ma! I meldować wszystko bezpośrednio do mnie! Gówno mnie obchodzi wasz dowódca.

Rozłączył się i opadł na fotel. Jeszcze nie zdążył ochłonąć po tamtym okropnym morderstwie w Grębówku, a tu następna katastrofa. Dziengiel zniknął. Komendant przetarł czoło chusteczką do nosa, a potem się w nią wysmarkał. Po nieprzespanej nocy był wykończony i miał wielką ochotę spłukać suche wióry z gardła mocną kawą. Ledwie jednak nastawił czajnik, rozległo się energiczne pukanie. Pewnie Hadczuk z nowymi rewelacjami, tylko on tak mocno walił w drzwi. Jak go potwornie wkurzał ten przymulasty dupek!

– Panie komendancie, rozkazał pan sobie wszystko meldować, więc chciałem krótko zrelacjonować przesłuchanie świadków.

– Kawy?

– Nie, dziękuję.

– Słucham.

– W Grębówku od pozostałych sąsiadów nie dowiedzieliśmy się właściwie niczego nowego. Wszyscy albo spali, albo nie zastaliśmy ich w domu.

Komendant zastygł z czajnikiem w ręku.

– Słucham?

– Mówię, że nie dowiedzieliśmy się niczego nowego.

– A ta gadatliwa para, coście ją odwiedzili w nocy? Mieliście ich przesłuchać osobno.

– Ich zeznania są na tyle sprzeczne, że nawzajem się wykluczają, a nikt inny nie potrafi zweryfikować żadnej wersji. Jedno widziało dwie osoby, drugie tylko jedną, jedno mówi o kobiecie za kierownicą, drugie o brodatym mężczyźnie, trzecie o facecie w skórzanej kurtce z ps... z pistoletem. Zebraliśmy to wszystko do kupy i nie wychodzi nic sensownego.

Zdybas napełnił kubek wodą i odstawił czajnik z głośnym stuknięciem.

– To znaczy, Hadczuk, że nie umiecie przesłuchiwać. Potrzebny nam jest przynajmniej jeden wiarygodny świadek zdarzenia. Zwłaszcza że nie wiadomo, kiedy ta ekspedientka zacznie mówić.

– Nie zacznie, panie komendancie. Właśnie zmarła.

Kawa była za gorąca i Krzysztof Zdybas długo mieszał ją dla szybszego schłodzenia. Na wieść o śmierci Śmigoniowej zastygł na ułamek sekundy, po czym wrócił do mieszania, tym razem nieco głośniejszego.

– Cholera! Jeszcze jeden trup. Co tu się dzieje? Jaka francowacizna się przyplątała do tej wsi? Nie wydaje ci się, Hadczuk, że to jakieś przekleństwo?

Komisarz wzruszył ramionami i przetarł palcami oczy, zerkając z oskomą na kubek parującej kawy. Zaczął żałować, że odmówił.

– Moje wydawanie się, panie komendancie, niewiele tu wnosi. Powinniśmy się skupić na faktach, a tych ciągle jest za mało. Mamy głowę Rajmunda Kuleszy, jednak nadal nie udało się znaleźć reszty ciała. Najbliższa rodzina jest w szoku i sierżant Latawiec, który przesłuchiwał żonę i córkę jeszcze w nocy, zdołał zaledwie dowiedzieć się, że wójt po południu wyjechał do gminy na nagłe spotkanie i potem już nie mieli z nim kontaktu. Powinien był wrócić na kolację, ale oczywiście nie wrócił. Nie zgłaszał żadnych szczególnych problemów, nie skarżył się na nic, nie wspominał o niespodziewanych sprawach. Sprawdziliśmy, rzeczywiście pojawił się w swoim gabinecie w urzędzie gminy około godziny siedemnastej, gdzie czekał już na niego urzędnik z kancelarii prawnej zajmującej się pozyskiwaniem gruntów pod inwestycje w Przestawnie i okolicy. Współpracują z wójtem od dawna, chcieli załatwić jakieś dodatkowe podpisy pod zobowiązania, podobno wcześniej to z nim ustalali.

– I co, załatwili? – spytał Zdybas, siorbiąc kawę. Gdyby sobie dolał mleka, miałby chłodniejszą. Z kolei kawa z mlekiem słabiej działała, tak mu się wydawało, więc parzył wargi i chlipał trochę, słuchając piąte przez dziesiąte. Jego uwagę zaprzątała nowa myśl, która wpadła mu do głowy na widok komisarza Hadczuka – Benek Mrówczyński. Jeśli ruszył na poszukiwania Bałysia, to prędzej czy później dotrze również do Krzyckiego, a więc i do Dziengiela. Dobrze byłoby go uprzedzić o takiej ewentualności. Kto wie, może już się na siebie natknęli? Wybrał numer Mrówczyńskiego, jednak ten nie odbierał.

– Tam były jakieś niedomówienia między gminą a inwestorem – ciągnął Hadczuk. – Wójt Kulesza bardzo dbał o interesy mieszkańców i to zdaje się nie do końca pasowało tym z kancelarii, więc naciskali, żeby ustąpił. Urzędniczka mówiła, że rozmawiali podniesionymi głosami i Kulesza powtarzał donośne „nie”. Możemy więc mówić o rozbieżnościach, nieporozumieniach, może nawet o konflikcie, stąd jednak jeszcze daleko do bestialskiej zbrodni z takim okaleczaniem ciała. W każdym razie będziemy monitorować ten wątek.

– I co dalej?

– Po spotkaniu Rajmund Kulesza pojechał z gminy do domu. Tak przynajmniej oświadczył sekretarce, ponieważ, jak wiadomo, do domu nigdy nie dotarł. Sprawdzaliśmy monitoring wszystkich okolicznych kamer, ale audi Kuleszy pojawia się tylko na jednym z nich, tym najbliżej urzędu gminy. Mówi nam to tyle, że faktycznie wyjechał z pracy i udał się w kierunku miejsca zamieszkania.

– A w jaki sposób audi znalazło się pod sklepem w Grębówku?

– Zakładamy, że przyjechał nim sprawca lub sprawcy, niestety nie wiemy jeszcze skąd. Niewykluczone, że z miejsca, gdzie znajdują się zwłoki ofiary. Tak przynajmniej by wynikało z kalkulacji czasu. Morderca nie miał go zbyt wiele na podrzucanie ciała w inne miejsce, chyba że ktoś mu w tym pomagał i...

– A pomagał?

– Tego również jeszcze nie wiemy. Próbujemy ustalić na podstawie...

– Blokady drogowe? – przerwał mu Zdybas. Kawa ciągle parzyła go w usta. I nie działała.

– Nie przyniosły na razie żadnych rezultatów, czekamy na ewentualne doniesienia z dalszych rejonów...

– Sami widzicie, Hadczuk, jak to całe wasze „błyskawiczne” dochodzenie wygląda: „nie ma”, „nie wiemy”, „nie przyniosły”. Minęło dziesięć godzin od dokonania zbrodni i szanse topnieją jak kostka lodu we

wrzątku. Morderca może już być w Niemczech albo i dalej, jeśli zdążył na samolot.

– Jaki samolot? – zdziwił się Hadczuk, ale Zdybas przerwał mu ostro.

– Jakikolwiek, kurwa mać! Chodzi o to, że uciekł! Daleko! Nie ma go! Zniknął! A wy mi tu pierdolicie o niespójnych zeznaniach babci i dziadka, którzy sobie nawzajem przeczą, bo to ich hobby na starość. Działać trzeba, i to szybko! Do roboty!

– Panie komendancie...

– Zaraz, chwileczkę, ja teraz mówię. Macie, Hadczuk, przyjść mi tu jeszcze dzisiaj z konkretami, a nie takimi bzdetami: „nie ma”, „nie wiemy”. Ciało leży gdzieś na wierzchu, jeszcze dobrze nie ostygło, przecież nie zdążyliby go rozpuścić czy w jakiś inny sposób anul... ani... Jak to się mówi?

– Anihilować.

– No właśnie.

– A co z pozostałymi działaniami, panie komendancie?

– Mówicie o poszukiwaniach Bałysia? Mrówczyńskiego wysłałem. Zawsze go chwaliłeś, powinien dać sobie radę. Jeszcze coś? Nie? To do widzenia.

Nie czekając na ewentualne wyciągnięcie ręki przez podwładnego, odwrócił się na pięcie i poszedł jednak dolać mleka do kawy. Ciągle była za gorąca.

Hadczuk wyszedł i za drzwiami odetchnął głęboko, z dwóch co najmniej powodów. Po pierwsze, ulżyło mu, że udało się uniknąć szczegółowych dociekań Zdybasa na temat zeznań świadków, bo wśród nich, oprócz wielu rozbieżności, powtarzała się zgodnie jedna informacja: o facecie w skórzanej kurtce, który dwukrotnie podjechał pod sklep brązowym samochodem, z psem w bagażniku. Uważał, że tej akurat informacji Zdybas nie powinien usłyszeć, przynajmniej nie teraz. Po drugie, gratulował sobie, że nie palnął go w ten złośliwy uśmieszek, na co miał wielką ochotę. Ta ochota zaczęła być jego stałą towarzyszką zawodowego życia.

Zaraz po wyjściu Hadczuka i łyknięciu kawy o wreszcie odpowiedniej temperaturze komendant Zdybas wybrał ponownie numer Benka Mrówczyńskiego. Nic. Dopił kawę i spróbował jeszcze raz. Nic. Dla odmiany wybrał numer Dziengiela i natychmiast włączyła się automatyczna sekretarka. Zaklął i po raz trzeci zadzwonił do Benka. To samo. Spojrzał na zatłuszczony własnymi odciskami palców czarny ekranik i głośnym „kurwa” podsumował najnowszą refleksję.

Policjanci znikają jeden po drugim.

IV

Bycze oko

1

Nie wyprowadzali go do toalety, tylko przynosili blaszane wiadro i uwalniali z łańcuchów jedną rękę, żeby mógł się załatwić. Zostawiali go samego w celi na trzy minuty, widocznie ktoś dokładnie skalkulował czas potrzebny na wypróżnienie. Lubił przypuszczać, że osobiście sam Kała, choćby ze względu na nazwisko. Po upływie trzech minut do celi wchodził niewielki, przygarbiony człowieczek o rękach orangutana i wąskiej twarzy przygłupa, zabierał wiadro i łypiąc na niego bojaźliwie, wycofywał się tyłem do drzwi, gdzie w progu stało dwóch wartowników z automatami. Orangi – jak go Lucek nazywał w myślach – nosił furażerkę niemieckiego gefrajtera, zielone bojówki i rozdeptane brązowe buty, w których stawiał nierówne, kulawe kroki. Inwalida wypadły z kart *Księgi dżungli*, weteran bratobójczych walk na planecie małp. To on również przynosił jedzenie w emaliowanej misce (jeszcze jedna rekonstrukcja) i Lucek miał nadzieję, że facet myje ręce między jedną a drugą wizytą. Wartownicy nosili prawdziwe niemieckie szmajsery z długimi magazynkami oraz garnkowate hełmy, znane każdemu od dzieciństwa bez względu na to, czy wychowywał się na filmach wojennych czy historycznych FPS-ach. W sprawność błyszczących od oliwy pistoletów maszynowych Lucek ani przez chwilę nie wątpił. Chłopcy pewnie nawet po cichu marzyli o tym, żeby wypróbować ich celność i niezawodność. W to, że pod mundurami Wehrmachtu skrywali również inną broń, Lucek także nie wątpił.

Rozważał kopnięcie wiadra w dno tak, by jego zawartość zalała twarz Orangiego, ale na tym jego pomysły się kończyły. Krępujące go łańcuchy były wpięte w żelazne obręcze, a te wpuszczone w betonową ścianę. Nie do

ruszenia. Odpinali mu zawsze tę rękę od strony wyjścia, więc nic nie zyskiwał na dystansie do strażników. Obręcze wyglądały na stare i Lucek nie wykluczał, że przed nim zwisały tu ciała zaprzysięgłych wrogów Rzeszy. Kto wie, może nawet to czaszka jednego z nich parę dni temu pukała w szybkę iluminatora. *Hallo, Kamerad*, witamy w klubie. *Salud, desperados*, płynę do was.

Pogłos latynoskiej frazy przetoczył się po jego układzie nerwowym i dotarł do żołądka, gdzie utkwił bolesnym szpikulcem. Dominika. Ledwie się zaczęło i już koniec? A gdzie „żyli długo i szczęśliwie”? Gdzie te rozkrzyczane i biegające po domu dzieci, chrześniaki Andrzeja? Gdzie podróż życia do Salwadoru, zajadanie się pupusami i picie mojito ze skorupy melona, a potem taneczne pląsy wśród nowo poznanych kuzynek, z kwiatowymi wieńcami do pępka? Gdzie zasłużona starość w bujnym ogrodzie życia? Tyle obietnic i żadnego spełnienia?

Opadł z sił i klapnął na podłogę z uniesionymi ramionami. Puknij się w czoło, Bałyś. Żadne Salwadory, żadne kuzynki z wieńcami kwiatów, tylko żmudne dogorywanie w czarnych konturach śmierci. Nie tańce na zielonej trawie, tylko rozkrzyżowane ręce i obwisła głowa. Nie Gauguin, tylko Goya. A jak już chcesz koniecznie zgłaszać jakieś pretensje, kieruj je do siebie. To twój los, niczyj inny.

Jego obolała wyobraźnia zajęła się obmyślaniem sposobów umierania w bunkrze. Najprościej byłoby zbić szybkę iluminatora. Bul, bul, bul i w parę minut będzie po sprawie. Już widział, jak Kała staje w progu, bierze rozpylacz od jednego z tych swoich przebierańców i wali cały magazynek w okienko, rycząc przy tym: *Sieg Heil!*, a potem wszyscy zwiewają schodami do góry. Wszyscy oprócz niego. I żadna Rose z toporem strażackim się nie zjawi, żeby go uwolnić z betonowego Titanica.

Kała jest wariatem z obsesją perfekcjonizmu, może chce dokończyć to, co się nie udało przy tamtej inscenizacji z Andrzejem. Czyli puszka cyklonu B, trochę wody w celu uwolnienia cyjanowodoru i też będzie w parę minut po sprawie. Szczegóły techniczne odmienne, ale rodzaj śmierci bardzo

podobny – uduszenie. Do tego dochodzi szereg rozwiązań standardowych: nóż, pistolet, garota. To w przypadku, gdy Kała zechce i zdąży dokonać dzieła osobiście, ponieważ istniała jeszcze wersja pasywna, w której godność kata przypadnie samej naturze, czyli śmierć z głodu i pragnienia. Odbędzie się to tak: Krzycki załatwi Kałę i całą jego obstawę, a potem nie znajdzie Bałysia. Będzie błąkał się wokół jeziora i nawoływał jak strzelec za dziewicą w balladzie Mickiewicza, a Lucek parę metrów pod ziemią na brzegach tego samego jeziora dokona żywota. Jego kości woda odprowadzi tam, dokąd odprowadziła poprzednich lokatorów tej celi, jak mu to jeden z nich niedawno zademonstrował. Zobaczył w myślach ten obrazek – koślawy dziecięcy rysunek z dwoma ludzikami w T-shirtach z literkami A i L oraz grubą poziomą krechą oznaczającą lustro wody – i posmutniał jeszcze bardziej. Ale się popieprzyło!

Musiał zasnąć, bo poderwał głowę na szczęk zasuwy i stuknął potylicą w ścianę. Zamroczyło go. Kiedy odzyskał ostrość widzenia, ujrzał przed sobą wielką gębę Kały, cuchnącą piekielną smażeniną. Zeżarł stek z Belzebuba?

– Uśmiech, żołnierzyku! Potrzebna mi twoja focia na fejsa. Chcę sprawdzić, ile lajków dostanę za twoją głowę. Dobre, co?

Wyszczerzone zęby prezesa wielkiej odzieżowej hurtowni, byłego komendanta policji i aktualnego szefa gangu informowały o znakomitym samopoczuciu ich właściciela. Lucek domyślił się, że jakieś nowe wieści utwierdziły go w przekonaniu, że wszystko idzie zgodnie z planem. To znaczy źle. Krzycki miał szanse powodzenia jedynie w przypadku, gdyby sprawy nie szły zgodnie z planem.

– Żartowałem, chłopcze, unikam internetu. Zlecam to innym, którzy się na tym lepiej znają i przy okazji mniej się boją namierzenia. Foci jednak potrzebuję, z dzisiejszą datą.

Odsunął się od Lucka na bezpieczną odległość, zawsze tak robił, gdy przebywał w celi dłużej niż minutę. Widocznie tak rozumiał zasady bezpieczeństwa, nie całkiem bez sensu, ponieważ Bałyś rozważał już możliwość zarzucenia mu stóp na szyję i skręcenia karku. Prezes wyjął

z kieszeni komórkę, drugą ręką wysunął gazetę przed siebie tak, żeby było widać tytuł oraz datę, i włączył nagrywanie.

– Teraz powiedz coś do Krzyckiego, synku. Jedyna okazja. Obiecuję, że dojdzie.

– Andrzej, dwóch ludzi na dole, trzech na górze, niemieckie automaty, jeden w wież...

Plask!

– Pojebało cię, żołnierzyku? Co to, kurwa, za donosicielstwo? Miałeś się grzecznie przywitać z przyjacielem, pozdrowić go spod ziemi, gdzie się niebawem spotkacie, i tak dalej. Co ty, gnojku, filmów nie oglądasz? Dobra, sam powiem.

Ponownie włączył nagrywanie i wygłosił zza kadru:

– Jak widzisz, Krzycki, on żyje. Pożyje jeszcze jakieś trzy dni, i to niezależnie od tego, jaki obrót przyjmie nasze wyrównywanie rachunków. Chyba nie przypuszczałeś, że po tym wszystkim, co mi zrobił, tak po prostu puszczę go wolno w zamian za ciebie? To zwykła ściema, podkręcenie napięcia, w prawdziwym życiu jest inaczej. Tak czy siak – trup. Że przypomnę choćby młodego Palkę. Temu tu żołnierzykowi już kiedyś opowiadałem o takim dziwnym zjawisku przy łowieniu na żywca. Czy złapiesz drapieżnika czy nie, płotka na haczyku zawsze ginie. No więc właśnie.

Przerwał na chwilę, by wytrzeć pot z czoła, a Lucek zastanawiał się, dlaczego facet poci się w chłodnym bunkrze. Chyba nie ze strachu przed Krzyckim, przecież na niego czekał. Ten problem jednak nie zagościł na dłużej w polu zainteresowania podkomisarza Bałysia, ponieważ ostry skurcz przeszył mu trzewia. Trzy dni? O czym ten facet mówi? Na odpowiedź nie musiał długo czekać. I wolałby jej nie poznawać.

– Żeby płotka odegrała swoją rolę przynęty – ciągnął Kała, podchodząc z kamerą do iluminatora – musi się żwawo ruszać w wodzie. Słyszysz, co mówię? Żwawo. W wodzie.

Lucek dopiero teraz zwrócił uwagę na konstrukcję podłużnego iluminatora. Było to właściwie okno umocowane od góry na zawiasach i zamknięte od dołu dwiema mosiężnymi klamrami, dodatkowo dociśniętymi do ramy za pomocą motylkowych nakrętek. Żółć starego metalu, porowata i pokryta ciemniejszymi plamkami, błyszczała świeżym naoliwieniem, co oznaczało, że ktoś niedawno te elementy czyścił. Po co? Nogi znowu odmówiły posłuszeństwa.

Po to, żeby Kała mógł je teraz bez trudu odkręcić!

Z przerażeniem patrzył na ruchy szalonego prezesa, który podstawił pod bulaj plastikowe wiaderko i zabrał się za luzowanie motylkowych nakrętek. Woda zaczęła ściekać po ścianie wąską strużką. Poluzował jeszcze trochę i teatralnie patrzył na zegarek, podczas gdy bystry strumyczek bębnił raźno w dno wiaderka.

– Obliczmy to – mamrotał zadowolony do kamery, czyli do Krzyckiego, czyli do siebie. – Pokój ma dwadzieścia cztery metry sześcienne, plus minus. W ciągu minuty dwunastolitrowe wiadro napełnia się do połowy, co daje trzysta sześćdziesiąt litrów na godzinę, czyli nieco ponad osiem i pół metra sześciennego na dobę. Trochę wycieknie pod drzwiami na schody, może w trakcie napełniania różnica ciśnień się zmniejszy i woda będzie wpływać wolniej. W każdym razie możemy z dużą dozą prawdopodobieństwa zakładać, że za trzy dni w południe twój przyjaciel dociśnie twarz do sufitu, by spłaszczonymi nozdrzami wciągnąć ostatnie gramy tlenu. Pełen żalu z powodu twojej nielojalności. Bo ty nie jesteś lojalnym przyjacielem, Krzycki, prawda? Trzy dni, Krzycki. W południe! Plus minus!

Skierował obiektyw na siebie i pozdrowił adresata zębiastym uśmiechem, a Luckowi dudniły w uszach słowa „plus minus”. Pierwsze brzmiało tylko odrobinę lepiej od drugiego, a oba w sumie katastrofalnie. Do tej chwili cała jego – zasadniczo beznadziejna – sytuacja zawierała jakiś element teoretycznej hipotezy, założenia podlegającego zmianie, negocjacji, przekierowaniu na inne tory. Jasne, rozmyślał dramatycznie o tym, jak ma przesrane i jak malowniczo jego zwinne ciało zwisa przykute do ściany

bunkra – wszystko to jednak oglądał przez filtr probabilistycznej kombinatoryki, której niebagatelny składnik stanowiła zbliżająca się interwencja Krzyckiego. Teraz klepsydra ruszyła. Scenariusz nabierał tempa, a czerwone cyferki na wyświetlaczu zaczęły odliczanie. Andrzeja jak nie było, tak nie ma, a czas nie kapie, nawet nie ciurka, tylko sika mocnym strumieniem do wiadra. Nie przymierzając, jak Lucek Bałyś pół godziny temu, za plecami Orangiego. Cholera, to koniec. Naprawdę pieprzony koniec.

Tymczasem Kała coś sobie przypomniał i rzucił do kamery:

– Aha, nie próbuj zawiadamiać policji. – Zrobił znaczącą pauzę. – Dobre, co? Przecież oni i tak wiedzą. Wiedzą tyle co ty, bucheche. Okej, czas – start!

Zatrzymał nagrywanie i schował komórkę do kieszeni. Na podłodze utworzyła się już cienka warstwa wody i buty Kały filuternie w niej zaciamkały, kiedy podchodził do Lucka.

– Nie jestem świnią – zadeklarował. – Krzycki ma jednak trzy dni. Doceń to, synu, bo nawet najbardziej rygorystyczny bóg by mnie rozgrzeszył, gdybym ci za twoje wybryki po prostu wpakował kulkę w łeb. Twoich szans nie wyceniam zbyt wysoko, powiedzmy – udał głębokie zamyślenie – jeden promil. No cóż, zawsze więcej niż zero.

– Po co to robisz, kanalio? – wychrypiał Lucek, gdy Kała już wychodził. Zatrzymał się przy schodach.

– Żeby było ciekawiej – odparł. – Znudziło mi się strzelanie gówniarzom w łeb. Poza tym Krzyckiemu co jakiś czas trzeba przypominać o zasadach przyjaźni. Wiesz, bywa w tych sprawach roztargniony.

– Zabij mnie. Teraz.

– Po co? Niech on to zrobi.

– Proszę.

– Żegnaj, żołnierzyku. Kurde, jak ja to lubię mówić!

2

– Dlaczego miałabym z panem rozmawiać? – spytała twardą angielszczyzną.

Andrzej stał w progu mieszkania na pierwszym piętrze kamienicy przy Osterstrasse, a Heike Liebner mierzyła go zimnym spojrzeniem.

– Dlatego że specjalnie jechałem pół nocy i cały dzień, aby jeszcze dzisiaj się z panią rozmówić. I dlatego że bardzo panią o to proszę.

Jego angielszczyzna była mniej płynna niż jej, dawno nie mówił w tym języku, zmęczenie również robiło swoje. Długo czekał na reakcję. Starsza pani sprawiała wrażenie, jakby wiedziała o jego wyczerpaniu i brała go na przetrzymanie. Jeszcze trochę tak facet postoi i pobełkocze w *bad English*, a potem zemdleje i problem sam się rozwiąże. Tak mniej więcej widział mijające właśnie sekundy, których iskierki odbijały się w jej błyszczących oczach i gasły jedna po drugiej.

– Dlaczego zwraca się pan z tym do mnie? Skąd w ogóle ma pan mój adres? Nie wiem, czy nie powinnam najpierw zadzwonić na policję.

Znacząco zerknęła za siebie, gdzie w półmroku długiego holu pojawiała się i znikała męska postać. Młody człowiek w obcisłym sportowym stroju, jakby wrócił właśnie z wieczornego biegania, przechodził z pokoju po lewej do pokoju po prawej tak, by dać intruzowi do zrozumienia, że w każdej chwili gotów jest zareagować. Krzycki domyślił się, że to jeden z dwóch polskich asystentów pani Liebner, i chociaż nazywała ich „tłumaczami”, tak naprawdę odgrywali rolę ochroniarzy.

– Nie mam żadnego tropu, a muszę odnaleźć przyjaciela. Pani jest moją ostatnią szansą.

Chciał powiedzieć „ostatnią deską ratunku”, ale nie kojarzył tego zwrotu po angielsku. Ta *last chance* zabrzmiała trochę jak okazja w teleturnieju.

– Miło, że traktuje mnie pan jak swoją ostatnią nadzieję, jednak nadal nie rozumiem, dlaczego akurat ja.

Last hope, no jasne. Tak miał powiedzieć. Stropił się, w mózgu mu się mąciło i ciągle drapał nerwowo łeb Lali, która wzorowo, po niemiecku siedziała przy jego nodze i uważnie śledziła ruchy człowieka w przedpokoju. Kobieta co chwilę rzucała na nią niespokojne spojrzenia, jakby taksowała stopień zagrożenia.

– Ponieważ od lat zbiera pani informacje o różnych dziwnych miejscach w okolicach Słupska. Ponieważ szuka pani kogoś sobie bliskiego, podobnie jak ja. Ponieważ jest pani Niemką, kimś z zewnątrz, choć to pani rodzinne strony, i liczę na to, że powie mi pani coś, czego nikt tam mi powiedzieć nie chce lub nie może. Ponieważ Ula Miłęcka...

Chciał jeszcze powiedzieć, że wie coś, co mogłoby jej się przydać – jego najmocniejszy argument, zasłyszany parę dni temu od Hadczuka w szpitalu – jednak nie dał rady. Zachwiał się i żeby nie upaść, oparł się ramieniem o ścianę klatki schodowej, a właściwie boleśnie uderzył i osunął się na wyłożoną kafelkami podłogę.

– *I'm sorry* – zdążył wybełkotać, zanim zamknął oczy, przytykając skroń do ściany. Nagle zrobiło mu się wszystko jedno. Było mu obojętne, czy kobieta zadzwoni po policję i zostanie zgarnięty jak polski pijaczek na włóczęgowskiej emigracji, czy może wezwie tych swoich osiłków, żeby go wyrzucili na ulicę, a na pożegnanie wymierzyli solidnego kopniaka, najpierw jemu, potem Lali. Przyjemnie chłodna ściana odprowadzała nitki gorączki z czaszki i uspokajała tętno. Lala zbliżyła łeb i liznęła go w policzek.

– Marius! Michal! *Kommt doch!*

Szczekliwy głos Heike Liebner wyrwał go z otępienia. Chciał się podnieść i po prostu odejść, ale nim zdołał rozdygotanymi rękami namacać podłoże, dwie pary ramion poderwały go i niemal wniosły do mieszkania. Poczuł się jak bohater filmu wojennego wleczony przez gestapo na tortury. Ta myśl sprawiła mu nieoczekiwaną satysfakcję, czego nie dało się powiedzieć o Lali. Warknęła groźnie.

– Cicho, piesku... – wymamrotał.

– Nie gryzie? – spytał po polsku jeden z mężczyzn.

W odpowiedzi pokręcił głową. Wprowadzili go do pokoju po prawej stronie i wypełniając polecenie starszej pani, usadzili w głębokim skórzanym fotelu. Lala natychmiast zwinęła się w kłębek u jego stóp.

Heike Liebner przysiadła na gustownym giętym krześle z wzorzystą tapicerką i przyglądała się uważnie gościowi. Przez moment ich spojrzenia się spotkały, po czym Andrzej zamknął powieki i skupił się na wyrównaniu oddechu.

– Pan jest chory – stwierdziła rzeczowo.

Wkrótce pojawił się jeden z „tłumaczy” i podał mu szklankę z wodą, w której musowała żółta tabletka.

– To aspiryna z witaminą C – wyjaśnił. – Spora dawka, powinna postawić na nogi.

Krzycki otwarł oczy po to tylko, by przytaknąć powiekami, i zamknął je z powrotem. Wypił wodę duszkiem i po chwili poczuł działanie płynu. Szum w głowie ucichł do lekkiego szmeru.

– Przepraszam... – wyszeptał, sprawdzając, czy język odzyskał jaką taką giętkość. Dało się mówić. – Jechałem cały dzień, wcześniej niewiele spałem, jestem... trochę zmęczony.

– Pan jest chory – powtórzyła. – Jak pan chce pomóc przyjacielowi, skoro sam pan ledwie stoi na nogach? Teraz się zastanawiam, czy zamiast policji nie wezwać ambulansu.

Na myśl o leżeniu przez kolejny tydzień dla odmiany w niemieckim szpitalu otwarły się jego ostatnie rezerwuary energii.

– Nie, proszę tego nie robić! Porozmawiamy chwilę i pójdę sobie. Pójdziemy – poprawił się, wskazując Lalę u swoich stóp.

Heike przyglądała mu się zimno i nieznacznie kiwała głową, przetwarzając zarejestrowane informacje jak sztabowa maszyna do deszyfracji danych. Sprawiała wrażenie, jakby wszelkimi dostępnymi środkami chciała potwierdzić stereotypy na temat starych Niemek. Pociągła i surowa twarz z orlim nosem, przykryta od góry fryzurą z farbowanych na blond loków i ozdobiona po bokach diamentowymi kolczykami,

połyskującymi w świetle przy każdym ruchu, miała w sobie siłę i chłód kamiennej rzeźby. Gdyby nie błyszczące oczy, byłaby martwa. Te, wzmocnione okularami w rogowych oprawkach, badały otoczenie krótkimi i ostrymi jak laserowe wiązki spojrzeniami. Teraz przedmiot ich analizy stanowił Krzycki.

– Proszę mi to opowiedzieć jeszcze raz – zażądała i upiła łyk herbaty z delikatnej miśnieńskiej filiżanki, którą właśnie podsunął jej ochroniarz. Obaj mężczyźni byli tak do siebie podobni, nie wyłączając strojów, że Andrzej wciąż ich nie rozróżniał. – Potrzebuje pan tłumacza?

Szybko potrząsnął głową. Dopóki nie zamknie sprawy, jak najmniej świadków, zwłaszcza z Polski.

– Mam do nich pełne zaufanie, ale jak pan chce – dodała, zgadując jego wątpliwości. – Zanim jednak przejdziemy do rzeczy, poproszę pana o oddanie wszystkich urządzeń elektronicznych oraz portfela i zegarka moim asystentom. Do pana nie mam aż tyle zaufania.

Skinęła ręką młodemu człowiekowi, a ten odebrał od Andrzeja rzeczy osobiste, następnie otaksował go czujnym spojrzeniem i wyszedł z gabinetu. Nie był to szczyt profesjonalizmu i Krzyckiemu przemknęło przez myśl, że do ukrycia podsłuchu wystarczyłoby użyć obroży Lali, niemniej Heike Liebner zdradziła swoją daleko posuniętą ostrożność. Znacznie większą, niż wypadało stereotypowej Niemce, i należało wnioskować, że dla niej to element czegoś w rodzaju tajnej i niebezpiecznej misji, jaką stało się jej życie.

Gdy zostali sami, Krzycki chrząknął, łyknął wody i opowiedział jeszcze raz historię porwania Lucka Bałysia przez Artura Kałę, kładąc nacisk na topografię i orientację przestrzenną. Opowiedział o bezskutecznych poszukiwaniach policji i zrobił aluzję do niedobrych związków obecnego komendanta z poprzednim, dzisiaj bossem w gangsterskim półświatku, który znajdował się w centrum jego zainteresowania. Wedle swej najlepszej wiedzy opisał również wariacką pasję Kały do bunkrów i rekonstrukcji historycznych. Mówił dużo i szybko, zwracając coraz mniej uwagi na językową poprawność. Jeśli starsza pani czegoś nie rozumiała, po prostu

przerywała mu, unosząc suchą jak u kostuchy dłoń, i prosiła o dodatkowe wyjaśnienia. Zauważył przy tym, że za każdym razem, gdy padała nazwa Grębówko, powieki Heike nieznacznie się zwężały, a brylanty w uszach migotały trącone nagłym drgnieniem. Wreszcie nie wytrzymała.

– Heinsdorf.

– Przepraszam? – spytał zaskoczony.

– To był Heinsdorf, moja rodzinna wieś – odparła z niewzruszonym spokojem pancernej armii. – Czy pan wie coś o mojej siostrze?

Pytanie padło nagle, z zaskoczenia, wtrącone w sam środek jego wywodu o domniemaniach, hipotezach i zakładanych scenariuszach co do sposobów działania porywaczy, i rzeczywiście o mało nie odpowiedział. Gdyby to jednak zrobił, pozbawiłby się najważniejszych argumentów, a w pierwszej kolejności należało wydobyć informacje od niej, od starej i zawziętej Heike Liebner, która postanowiła nie umierać, tylko schnąć, dopóki nie odnajdzie starszej siostry. Z tym że Gerda nie żyła od wielu lat, a Lucek wciąż żył. Prawdopodobnie żył. Na pewno. Oby. Nie no, musi żyć!

Nagle wpadł w panikę.

– Pani Liebner, niech mi pani pomoże!

– Ale jak? – zdziwiła się po raz kolejny. – Przecież ja nic nie wiem. Obawiam się, że niepotrzebnie marnował pan czas, przyjeżdżając tutaj. Należało jednak chyba popytać u swoich.

Ostatnie zdanie zabrzmiało niemal jak przytyk. Sprawa jest polska i w Polsce, a on sam też jest Polakiem, więc niech szuka rozwiązania wśród swoich, tam, na Pomorzu, niegdyś jej ukochanym Pommern, tylko że potem przyszli ci sami bezczelni Polacy i zagarnęli je dla siebie. Co by ją miało obchodzić załatwianie policyjnych porachunków wśród tych, pożal się Boże, kolonistów ze Wschodu, którzy zgodnie i solidarnie unikali powiedzenia choćby odrobiny prawdy o losach kochanej Gerdy, a teraz przychodzili skamleć o pomoc? Nawet gdyby coś wiedziała, nie zamierzała mu pomagać. Tyle zdołał odczuć z reakcji Heike. I nie potrafił jej odmówić racji, tylko że nie o racje szła gra, a o życie Lucka Bałysia.

– Inaczej mówiąc, oczekuje pani transakcji – odparł, siląc się na rzeczowy ton. Nie do końca mu się udało, nie miał talentów starszej pani. – Dobrze więc, zawrzyjmy umowę. Ja powiem coś pani, a pani powie coś mnie, zgoda? *Deal?*

Na słowo *deal* suka zastrzygła uszami. Znała je, Andrzej czasami używał go w pertraktacjach na temat spaceru, psiego jedzenia albo łykania tabletek na odrobaczanie. Może gdyby tak pożyli ze sobą ze sto lat, nauczyłby Lalę nie tylko po polsku, ale i po angielsku? Nieoczekiwane aspekty długowieczności.

– Słucham.

– Czyli zgadza się pani na wymianę informacji?

Nie odpowiedziała, wbijając w niego ostre i nieruchome spojrzenie. Miała w sobie nie tylko spokój pancernej armii, ale i jej siłę, chłód, żelazną konsekwencję działania. Niemal czuł na swoich rozpalonych policzkach podmuchy surowości hartowanej przez osiemdziesiąt lat na ludzkim złu, nikczemności i hipokryzji. Prawdziwego życia pozbawiono ją dawno temu, gdy jako małe dziecko uchodziła z rodzinnego Heinsdorfu i po drodze traciła najbliższych, a wraz z nimi całe to domowe ciepło, jakie przynależy do porządku ludzkiej egzystencji. Pozostała jej zimna, twarda i nieludzka imitacja istnienia wśród wrogich lub obojętnych osobników, praktykowana w eleganckim, obszernym i pozbawionym jakiejkolwiek przytulności mieszkaniu, pod ochroną dwóch wynajętych chłoptasiów z Polski. Z tamtej Polski, która zabrała jej siostrę. Jej dzieciństwo. Jej prawdziwe życie. Dlaczego miałaby rozmawiać akurat z nim? I o czym?

Rzecz w tym, że on musiał porozmawiać z nią. Nie było innego wyjścia, należało uznać kontrakt za zawarty. Krzycki, zbieraj się, póki masz siłę mówić.

– Wspomniałem pani o Uli Miłęckiej. Słyszała pani to nazwisko?

Pionowa zmarszczka na środku czoła Heike Liebner nieco się pogłębiła.

– Czy to nie ona zginęła, spadając z wiatraka? Ta policjantka?

– Dokładnie. Wychowywali ją przybrani rodzice, ponieważ tamci zginęli w wypadku samochodowym w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. Ale nie to jest ważne. Nazwisko rodowe jej biologicznej matki, urodzonej i wychowanej w Grębówku, czy jak pani woli – Heinsdorf, to Grohl.

Zrobił pauzę, czekając na efekt. W istocie, ze starszej pani opadło nieco pancernej niewzruszoności.

– To niemożliwe – żachnęła się. – Grohlowie nie mieli dzieci.

– Wiem – podjął Krzycki, by nie stracić właśnie zyskanej przewagi. – Zresztą nawet gdyby je mieli, pewnie straciłyby życie razem z nimi. Małżeństwo sklepikarzy z Heinsdorfu zginęło w czasie bombardowania szosy z uchodźcami w lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Szli w tej samej kolumnie co Liebnerowie, tylko w złym miejscu, prawda? Pamięta pani tamto bombardowanie.

Ostatnie zdanie powiedział tonem oznajmującym, stwierdzającym fakt, by tym głębiej weszło w tę silnie opancerzoną duszę. Przez całe popołudnie układał sobie w głowie zdania do tej rozmowy, porządkował argumenty i obmyślał strategie dobrania się do hardej pomorskiej Niemki, by wycisnąć z niej potrzebne informacje. Był pewien, że je posiada. Wszystko to wzięło w łeb wraz z jego omdleniem na klatce schodowej, poza jednym: graj na jej sentymencie. Nostalgią za dzieciństwem skruszysz mury każdej twierdzy.

Domyślał się, że tam, w tym swoim Heinsdorfie, Stolpie czy innym Schlawe, z łatwością ulegała sile wspomnień, ale po powrocie do hanowerskiego domu na nowo zwierała szyki, opuszczała przyłbicę i bez trudu odpierała każdy napór uczucia. Tyle zdołał odczytać z kamiennej twarzy podczas pierwszego kwadransa znajomości. Więc brnął w jej krainę wspomnień, grzechocząc tymi paroma poznanymi szczegółami jak okruchami szkiełek w kalejdoskopie, by rozerwać szczelny pancerz i wywołać w niej wzruszenie, choćby cień wzruszenia.

– Gerda poszła wcześniej, jeszcze przed bombardowaniem – powiedziała cicho. Andrzejowi wydawało się, że jej dolna warga zadrżała. – To jednak nie ma nic do rzeczy. Co pan jeszcze wie?

Nie, nie zadrżała. Heike Liebner całkowicie panowała nad sobą. Postanowił jeszcze trochę pogrzechotać kamyczkami.

– Właśnie o Gerdę chodzi – powiedział powoli. Upił wody ze szklanki, by zwilżyć suche usta. – Takie imię matki podawała w dokumentach Anna Miłęcka, z domu Grohl, matka Uli. Sprawdziłem w księgach parafialnych Grębówka. Pani siostra jako jedyna dziewczyna we wsi nosiła to imię.

Znowu zrobił pauzę i obserwował zmiany na twarzy Heike Liebner. Cofnęła się nieznacznie, tyle, na ile pozwalało jej rzeźbione oparcie krzesła, i wpatrywała się w niego, szukając śladów nieszczerości, blefu, oszustwa. Wytrzymał badanie, choć czuł krople potu wypełzające mu obficie na czoło i rozłażące się wkoło jak robaki.

– Jeśli matka tej dziewczyny zmyśliła nazwisko, to mogła również zmyślić imię – powiedziała wreszcie Niemka z satysfakcją, że znalazła właściwą odpowiedź. Najważniejsze w starciu z drugim człowiekiem jest to, by zawsze mieć pod ręką właściwą odpowiedź. Pani Liebner niewątpliwie ćwiczyła tę umiejętność przez całe życie.

– To prawda – zgodził się tonem pokerzysty. – Rzecz w tym, że to nie ona zmyśliła, tylko jej matka. Dowiedziała się o śmierci obojga bezdzietnych sklepikarzy, być może ich nawet osobiście pochowała, i uznała użycie ich nazwiska za znacznie rozsądniejsze niż przyznawanie się do pochodzenia z bogatej rodziny Liebnerów, których rozległe dobra właśnie parcelowano i rozdzielano pomiędzy nowych mieszkańców. Imię podała prawdziwe, żeby... żeby coś z prawdy jednak przemycić.

– Ksiądz miał wgląd w księgi parafialne – powiedziała nieswoim głosem.

Krzycki poczuł falę podniecenia i ulgi, że kobieta kupuje jego historię, choć on sam w zasadzie nie wiedział, ile w niej jest prawdy, a ile konfabulacji. Przecież nigdy nie sprawdzał żadnych ksiąg kościelnych, usłyszał o tym od Hadczuka. Teraz jednak nie szło o rzetelność historyczną, tylko o Lucka.

– Nie miał – odparł natychmiast. – Przyjechał do wsi zaledwie parę miesięcy wcześniej i nie znał niemieckiego. Poza tym księgi schowano na strychu kościoła i odnaleziono dopiero w pięćdziesiątym siódmym, podczas

remontu dachu. Nikt nie wiedział, a z niemieckich mieszkańców wsi Gerda była jedyną.

Głos Heike Liebner zmienił się nie do poznania. Żelazna konsekwencja armii pancernej uleciała gdzieś wraz z pierwszym poruszeniem serca i Andrzej widział teraz przed sobą nieśmiałą, zagubioną dziewczynkę, która ze zmarszczonym czołem próbuje pojąć sprawy zbyt trudne dla jej nieprzygotowanego umysłu. Wraz z wywołaną słowami Krzyckiego falą przypuszczeń i możliwości straciła grunt pod nogami, by z powrotem wylądować w piekielnej otchłani domysłów. Nowe nadzieje i nowe lęki zmieniały jej twarz jak w komputerowej symulacji. Awatar entuzjasta, awatar sceptyk. Andrzej z trudem powstrzymywał się, by nie podejść i nie objąć tej pogubionej osiemdziesięcioletniej dziewczynki, uznał jednak, że bezradna pociecha może jej sprawić przykrość. Zamiast tego dopił wodę i potarł skronie palcami. Czuł się ciut lepiej, choć jeszcze wcale nie dobrze.

– Czy ona... przeżyła? – spytała kobieta.

– Zależy, co pani ma na myśli – wypalił, zanim pojął, co właściwie mówi.

– Że nie zginęła od razu – odpowiedziała bardziej sobie niż jemu. – Ale to znaczy... *um Gottes Wille!*... że ta dziewczyna z wiatraka to jej wnuczka! I nie żyje, obie nie żyją. *Mein Gott, mein Gott*...

Powtarzała to swoje niemieckie „mój Boże” niczym litanię żałobną po zmarłych, których dopiero co poznała. Krzycki modlił się w duchu, by nie pytała o szczegóły śmierci Uli. Jego w tym udział mógłby zniweczyć ledwie nawiązaną nić porozumienia. Nagle kobieta zerwała się z krzesła, wzięła z błyszczącego blatu biurka szary notes, być może pamiętający jeszcze ucieczkę swojej właścicielki z Heinsdorfu, i razem z długopisem położyła przed Andrzejem na stoliku.

– Proszę mi to wszystko zapisać. Nazwiska, imiona, daty, miejsca... wszystko!

– *Wow, wow.* – Andrzej uniesionymi rękami wykonał amerykański gest przystopowania. Były ciężkie jak z żelaza, więc efekt udał się połowicznie. – Najpierw coś dla mnie. Obiecała mi pani pomóc w moich

poszukiwaniach. Jutro muszę wracać i do tego muszę wiedzieć, dokąd wracam i po co. Mam nadzieję, że pani rozumie...

– Niczego panu nie obiecywałam – powiedziała z dawnym chłodem. Odzyskała równowagę. – To pan sobie umyślił, że panu pomogę. Ale ja nie mogę pomóc z tego prostego powodu, że nic nie wiem. Owszem, słyszałam o tym pańskim... Jak on się nazywa? Ach tak, Artur Kała. No więc kiedyś go nawet widziałam w jednej kancelarii prawnej, gdzie załatwiałam rodzinne sprawy, jednak nie rozmawiałam z nim. Nic o nim nie wiem, tym bardziej gdzie go szukać. Przykro mi.

– Ale... – Krzycki tracił grunt pod nogami – nie może mnie pani tak zostawić z niczym! Przecież... jechałem taki kawał drogi na darmo? Po nic? Żeby grzecznie zapisać w notesiku wszystko, co wiem o historii Gerdy Liebner, a w zamian dostać szklankę z aspiryną?

– Przykro mi – stwierdziła obojętnie. – To pan podjął taką decyzję. A aspiryna chyba pomogła, prawda? Całkiem dzielnie pan walczy o przyjaciela. Musi go pan jednak szukać sam, o ile dobrze zrozumiałam wykład pańskich intencji.

– Skoro tak, to nic nie napiszę – odparł i pacnął dłonią w okładkę szarego notesu. – Niech pani też sama sobie szuka siostry. Oraz jej męża, córki, zięcia i wnuczki. Jasne, ma pani rację, każdy sam niesie swój los. Pomoc bliźnich to iluzja zrodzona w chwilach bezradności. Ma pani absolutnie rację, jedyne, co powinniśmy sobie nawzajem dawać, to ból...

Poderwał się i chciał wyjść z gabinetu, jednak gdy zrobił jeden krok do przodu, zachwiał się i z głośnym plaśnięciem usiadł z powrotem. Lala zaskuczała. Potarł nadgarstkami oczy i po ich otwarciu stwierdził, że nie widzi. Zatrzepotał powiekami, ale nie pomogło. Gałki oczne pokrywała cienka warstwa wirujących czarnych kółeczek.

– Pan musi odpocząć – oznajmiła Heike Liebner. – Wrócimy do tematu jutro, a teraz pójdzie pan spać. Moi asystenci odprowadzą pana do sypialni. Przyniosą pańskie rzeczy z samochodu i wyprowadzą psa. Notes proszę zabrać.

Po wygłoszeniu serii rozkazów wyszła do przedpokoju i równie dowódczym tonem wydała polecenia asystentom. Jeden z nich natychmiast wkroczył do gabinetu, ujął Andrzeja delikatnie pod pachy i powiódł w głąb mieszkania jak pensjonariusza ośrodka Goldener Herbst, którego billboard witał kierowców wjeżdżających do miasta. Brakowało tylko słodkiej muzyczki z głośników. Krzycki w pierwszym odruchu chciał protestować, ale nie starczyło mu ani siły, ani motywacji. Nagle spłynęło z niego całe napięcie i sflaczał w środku, skurczył się i zapadł w jakiś dziwny ni to błogostan, ni letarg, ni odrętwienie. Pozwolił się prowadzić i poddał się tej przyjemnej fali unoszącej go w półmrok długiego korytarza, raz tylko obejrzawszy się na Lalę, czy idzie za nim.

– Zostań – powiedział, pokazując palcem podłogę. – Tu nocujemy – dodał, nie zwracając uwagi na uśmiech swojego przewodnika. Przecież musiał psu wytłumaczyć.

Heike Liebner odprowadziła wzrokiem chwiejącego się na miękkich nogach policjanta z Polski, a kiedy zniknął za rogiem korytarza, podniosła słuchawkę i klawiszem skrótu wybrała numer.

– *Schläfst du noch nicht?* Nie śpisz jeszcze? Znalazłam wnuczkę Gerdy, przyjeżdżaj natychmiast. Nie teraz, jutro rano. Tak, dziesiąta jest *prima*. *Noch eins.* Jeszcze jedno. Masz nadal tę teczkę z mapami wojskowymi? *Ja, genau, mit alten Kriegskarten.* Weź ją ze sobą.

3

Spał jedenaście godzin. Budził się godzinę. Oczy otwierał dziesięć minut. Taki sen nie mógł się skończyć inaczej niż potężną migreną. Ona zawsze przychodziła wraz z odpoczynkiem. Przećwiczył to, obcując z nią latami, po pijaku, na kacu i na trzeźwo, w dowolnej kolejności, ponieważ obdarzała swymi wdziękami wszystkie te trzy stany po równo, sprawiedliwie jak miłosierna kurwa, od czasu do czasu kanalizująca nadmiar nagromadzonych uczuć. Nienawidził jej, ale i przywykł, widząc w niej

upartą kochankę, która jednego dnia wyrzucona za drzwi, następnego wpycha się ze zdwojoną desperacją do łóżka. Tak, migrena zasługiwała na miano najwierniejszej z jego kobiet.

Następny dzień miał dla Krzyckiego urok zwiedzania własnej krainy snów, na bosaka i w brudnej piżamie, przesiąkniętej szpitalnym zapachem i dzięki wzorkowi w podłużne paski kojarzącej się z pacjentem systemu penitencjarnego. Wstawał do toalety, po drodze zamieniał parę słów z kimś z gospodarzy i natychmiast po powrocie do łóżka o tym zapominał, więc przy następnym wstawaniu mógł je z uśmiechem powtórzyć. Obiad i kolację podobno zjadł, choć nie pamiętał, ani z kim, ani o czym wtedy rozmawiali. Gdzieś w tym wszystkim pętała się jeszcze Lala i jakoś ją zarejestrował, ale niewyraźnie i niechętnie.

Przespał następną noc i wstał we wtorek rano z jeszcze cięższą migreną. Namacał spodnie obok łóżka, wyłuskał z blistera tabletkę cefalginu, pogryzł i szybko popił wodą. Zadziałało jak placebo, czyli natychmiast. Kleszcze na skroniach puściły na tyle, że rozwarł powieki i rozejrzał się wkoło. Minutę zajęło mu przypomnienie, gdzie i dlaczego się znajduje, w czym wspierał go przyjemny zapach niemieckich kosmetyków i odświeżaczy powietrza, spotęgowany przez podrażnione migreną zmysły. Ze szpary w srebrzystych zasłonach padała na podłogę wąska smuga słońca. Pogoda. Jasność. Niech wreszcie coś się zmieni na lepsze.

Gwałtowna myśl, co mianowicie ma się zmienić na lepsze, poderwała go z łóżka. Połknął drugi cefalgin w całości, licząc na działanie z opóźnieniem, i porwawszy ubranie z podłogi, wybiegł do łazienki. Jego pokój był właściwie apartamentem z osobną ubikacją i prysznicem, prawdopodobnie urządzonym z myślą o zakwaterowaniu asystentów starszej pani. Ciekawe, w czym jeszcze jej usługują, pomyślał nie bez złośliwości, polewając twarz ciepłą wodą z obszernej jak talerz deszczownicy. Ulga. Ostrożne przywracanie równowagi, tak dobrze znane mu z poprzedniego wcielenia, gdy wdrapywał się na powierzchnię ze studni alkoholowych ciągów. Wódociągów. Prosimy bez gwałtownej gestykulacji i nadmiernej ekscytacji. Ruchy powolne i pełne skupienia, uważne i dokładne, jak przy składaniu

modelu samolotu. Modelu wczoraj potrzaskanego. Przy maksymalnej koncentracji i cierpliwości jest nadzieja, że jeszcze poleci.

Zmywał z siebie brudy i trudy ucieczki, kurz polnej drogi i leśne igliwie, zaschnięty na skórze pot i przywarty do niej od wewnątrz strach. To miało w sobie coś ze strzelistego aktu oczyszczenia. Prysznic – dosłowność i metafora w jednym.

Z usłużnie podrzuconej przez asystentów torby wyjął maszynkę do golenia i kremem nasmarował szorstkie policzki, jednakże ów ambitny zamiar upadł wraz z pierwszym przystawieniem ostrza do twarzy. Drżało niebezpiecznie. Psychopatycznie drżało i niemal samobójczo. Uchwycił nadgarstek lewą dłonią jak na strzelnicy i spróbował ponownie, ale nie pomogło. Ba, drżenie jeszcze się wzmogło. Nie, dzisiaj model nie poleci. Spłukał krem z policzków, wytarł ręcznikiem i spojrzał w lustro na faceta naprzeciwko. Oczy w zamęcie i czerwieni, cera o barwie wojskowej onucy, wargi jak ryflowana blacha – nie, to nie mogło się udać.

Rzucił w lustro powszechnie znane pięcioliterowe słowo na „k”, ubrał się i wyszedł z pokoju na poszukiwanie kawy. Ona świetnie wspomaga działanie cefalginu, byle nie przekraczać godziny czternastej, później odbiera sen. Na progu natknął się na zwiniętą w kłębek Lalę. Pilnowała drzwi. Na jego widok szybko wstała i zabrała się do lizania wierzchu jego dłoni. Była znacznie lepsza dla niego niż on dla niej. To nie pies, tylko anioł stróż, pomyślał ze wstydem. Wstyd albowiem nieodłącznie towarzyszy potrzaskanym modelom.

– No co, piękna, nakarmili cię chociaż ci Niemcy?

Zamerdała ogonem, a z jadalni rozległo się po polsku:

– Tak, znaleźliśmy karmę w pańskim samochodzie. Dzień dobry!

Przywitał się najpierw z panią domu, a następnie z obydwoma „tłumaczami”, usiłując zapamiętać, że Michał jest nieco wyższy, a Mariusz ma bardziej okrągłą twarz. Przy stole siedział również starszy pan z filiżanką w pokrytej plamami wątrobowymi dłoni. Siwe i mocno już przerzedzone włosy miał zaczesane do tyłu, a wąską i totemicznie pobrużdżoną twarz zdobiły złote druciane oprawki. Spod marynarki

w biało-brązową kratę wystawała kremowożółta koszulka polo. Mężczyzna uniósł głowę i przyglądał mu się z zainteresowaniem badacza napotykającego ciekawy okaz. Po chwili odstawił filiżankę i na siedząco wyciągnął rękę, którą Andrzej uścisnął z poczuciem okołogrobowej solidarności. Jego dłoń i dłoń starego Niemca drżały bardzo podobnie.

– Otto Stubenauer jest moim kuzynem i sąsiadem z Heinsdorfu – wyjaśniła Heike Liebner. – Zaprosiłam go, żeby nam pomógł coś wymyślić w sprawie pańskiego przyjaciela. Ma nawet jakieś pomysły i myślę, że chętnie się nimi z panem podzieli. Prawda, Ottonie?

Pan Stubenauer skinął głową i poprzestawiał coś w sflaczałych mięśniach twarzy, prawdopodobnie w celu wykonania uśmiechu. Obaj tłumacze w milczeniu popijali sok pomarańczowy i pogryzali croissanty z dżemem, spoglądając pogodnie na starszych państwa z gotowością służenia w razie potrzeby wszelką pomocą. Andrzejowi przemknęło przez myśl, że Heike Liebner specjalnie uformowała ich na wzór ilustracji z przedwojennego podręcznika o należytym, patriotycznym wychowaniu młodzieży chętnie wspierającej starsze pokolenie. Ciągłość tradycji połączona z germanizowaniem Słowian. Obaj młodzieńcy sprawiali wrażenie zadowolonych z takiego obrotu sprawy.

– Ale niech pan najpierw coś zje – zakomenderowała pani domu. – Wczoraj wyglądał pan jak duch wygrzebany z grębowieckiego cmentarza.

– Tak też się czułem. Dzisiaj jest zdecydowanie lepiej. Bardzo pani dziękuję.

– Nie ma za co. Ja również dziękuję. Za wieści – wyjaśniła, widząc jego zdziwione spojrzenie. – Choć nie ukrywam, wolałabym, aby były nieco weselsze.

Krzycki kiwał głową, dziękował i przepraszał za swoje wczorajsze uniesienie, ale większość jego uwagi pochłaniała kawa, którą łykał z pasją i uważnie śledził jej rozchodzenie się po ciele. Co innego wstać, a co innego się obudzić. W przypadku tego drugiego kawa stanowiła czynnik fundamentalny. Jednostki brunatnej substancji wnikały w porażony migreną

układ nerwowy i pracowicie eliminowały igiełki bólu. Jest dobrze, Krzycki. Tylko spokojnie, bez gwałtownych ruchów.

– Zadanie jest bardzo trudne – powiedział po niemiecku Otto Stubenauer, a ten wyższy, Michał, sprawnie przetłumaczył. – Według mnie pozostaje do sprawdzenia około dwudziestu miejsc. Jednak to tylko połowa problemu. Druga, trudniejsza, to ich rozproszenie. Heike pokrótce opowiedziała mi tę historię, ale chciałbym usłyszeć ją od pana, ze wszystkimi szczegółami. Oczywiście, jak pan skończy śniadanie – dodał, widząc, że gość z Polski jednak sięgnął po croissanta i właśnie obłożył go brzoskwiniowym dżemem.

– Tak, oczywiście – odparł Andrzej, żując ostrożnie pierwszy kęs. Smakował pysznie. Cała czwórka przyglądała mu się z życzliwym napięciem, jakby przełknięcie pierwszego kęsa stanowiło długo wyczekiwany przełom w sprawie. Ich życzliwość została nagrodzona, Andrzej zjadł całego croissanta, potem jeszcze jednego, dopił drugą filiżankę kawy i stwierdził, że jest gotowy do pracy. Dokładnie tak się wyraził, co starsza pani przyjęła z uśmiechem politowania.

– Jeśli naprawdę chce pan odnaleźć przyjaciela, powinien pan najpierw porządnie wypocząć. Może pan u mnie zostać kilka dni – powiedziała z szorstką opiekuńczością. Ta kobieta naprawdę miała problemy z emocjami.

– Dziękuję, to bardzo miło z pani strony – odparł, dolewając sobie jeszcze mocnej, dobrej kawy. – Ale to nie jest wyjazd turystyczny. Chodźmy do gabinetu – zwrócił się do Ottona Stubenauera po angielsku, co starszy pan bez trudu zrozumiał i rozpoczął żmudny proces podnoszenia się z krzesła. Trochę mu to zajęło, ponieważ miał kłopoty z chodzeniem. Andrzej nie omieszkał zgarnąć ze stołu filiżankę z magiczną kawą i przy okazji rzucił okiem na zegar w jadalni. Zdębiał – zegar pokazywał wpół do pierwszej. Był wtorek, dwudziestego drugiego sierpnia, zbliżał się ostatni tydzień wakacji.

4

– Na kopii zaznaczyłem najważniejsze punkty obronne na obszarze pomiędzy Słupskiem i Szczecinem – powiedział Otto Stubenauer, zdejmując marynarkę. W samym polo wyglądał młodziej i jego ruchy faktycznie stały się żwawsze. – Nie sięgałem dalej na wschód, ale jeśli uzna pan to za konieczne, mogę włączyć i tamte tereny. Na przykład w okolicach Chojnic mamy tak zwaną Pozycję Obronną Rytel z sześcioma polskimi bunkrami z tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Skoro ten porywacz lubi rekonstrukcje wojenne, to stara polska linia obronna może być dla niego nie lada gratką. Wykluczyłem je jednak z jednego powodu: ich konstrukcji. Są proste, w zasadzie jednoizbowe i – proszę mi wybaczyć niemiecką arogancję – dosyć prymitywne. Budowano je pospiesznie w ostatnich miesiącach przed wybuchem wojny, nie starczyło czasu na bardziej skomplikowane roboty... Poza tym są umocnienia na wybrzeżu bałtyckim, głównie powojenne, czyli radzieckie, jest też trochę niemieckich. Na przykład kompleks bunkrów Blüchera w Ustce, który znacznie bardziej nadawałby się na kryjówkę porywaczy, gdyby nie fakt, że jest atrakcją turystyczną i od rana do wieczora kręci się tam mnóstwo ludzi. Tu raczej chodzi, jak rozumiem, o miejsce ustronne. Taki warunek spełniałyby niektóre pozycje *Pommernstellung*, Wału Pomorskiego, ciągnące się na południe od Szczecinka aż po Wałcz. Na przykład stanowiska podziemne w okolicach wsi Gellin, czyli po polsku Jelenino...

Był przygotowany. Pewnie od poprzedniego wieczora, gdy kuzynka do niego zadzwoniła, nieustannie rozmyślał nad optymalnym podejściem do sprawy. Mówił z rosnącym zaangażowaniem kogoś, u kogo nareszcie znalazła praktyczne zastosowanie wiedza gromadzona dotychczas do celów hobbystycznych. Włączył się ponadto czynnik emocjonalny. Otto Stubenauer w opowieściach o bunkrach okrężną drogą wracał do dziecięcej arkadii, jak Heike Liebner w maniackim poszukiwaniu grobu siostry. Życie ich obojga dzieliło się na kilka prawdziwych lat pomorskiego dzieciństwa oraz całą długą, zakłamaną resztę, w której musieli udawać, że jeszcze coś

oprócz TAMTEGO się dla nich liczy. Wystarczyło na nich spojrzeć, by widzieć, że nie – nie liczy się.

Wspomniawszy podziemny bunkier w Jeleninie, Otto Stubenauer wyjął kolorową fotografię i położył na stole. Przedstawiała okrągły i obetonowany otwór w ziemi o średnicy równej szerokości męskich ramion.

– Obawiam się, że to za daleko – powiedział Andrzej z wahaniem, ponieważ właśnie zobaczył na fotografii coś odpowiadającego jego celowi. Dokładnie tak to sobie wyobrażał: okrągły otwór w ziemi, w środku lasu, i Kałę wpychającego weń swoje obfite cielsko. Wcześniej wrzucił tam związanego Lucka.

– To jest wejście? – spytał Stubenauera, stukając palcem w fotografię. Tamten przytaknął. – Niech mi pan pokaże na mapie, gdzie jest dokładnie to Jelenino.

Starszy pan uśmiechnął się do Michała, a ten w lot złapał jego intencje i po minucie rozkładał na kolanach laptopa, by w następnej wyświetlić zdjęcia satelitarne na Google Maps. Kilkoma kliknięciami sprawnie wyszukał zdjęcia schronu umieszczone na stronie jakichś militarnych entuzjastów. Sprawiły na Andrzeju jeszcze większe wrażenie i gotów był natychmiast ruszać do Jelenina przekonany, że to właśnie tam mieści się kryjówka Kały. Starszy pan ostudził jego zapał.

– Oglądałem go dwa lata temu – powiedział, kręcąc głową. – To zupełna ruina. Nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek dał radę uprzątnąć te kawały ścian metrowej grubości. Poza tym, widzi pan, takich bunkrów obserwacyjno-bojowych jest między Szczecinkiem a Słupskiem kilkadziesiąt. Wszystkie niewielkie i zrujnowane. Sam wygląd i pańska intuicja to w tym wypadku wskazówka zbyt słaba. A moim zdaniem – żadna. Potrzebujemy jakiegoś zawężenia.

Andrzej westchnął i upił spory łyk kawy. Odstawił filiżankę z satysfakcją, stwierdzając, że ręka przestała mu drżeć. Ból głowy również ustąpił i te dwie przesłanki wystarczyły, by mógł stwierdzić, że świetnie się czuje i może natychmiast ruszać w drogę powrotną – silny, zwarty i gotowy

na wszelkie przeciwności losu. Tylko że w tej chwili to nie miało sensu. Nic nie miało sensu i zaczynał już mocno żałować swego desperackiego kroku w postaci karkołomnej podróży do Niemiec. Od początku ten plan nie wzbudzał w nim euforii, ale teraz odsłonił przed nim całą swoją mizerię. Krzycki pochylał się nad starą niemiecką mapą wojskową i z narastającą rozpaczą liczył wzrokiem dziesiątki punkcików oznaczających niemieckie umocnienia obronne. Gdzie? Jak? O co tu chodziło? Dlaczego Kała nie dostarczył mu żadnej wskazówki?

A może dostarczył?

Nerwowymi ruchami zaczął się obmacywać w poszukiwaniu komórki. Otto Stubenauer i Michał przyglądali mu się z zaciekawieniem, a Heike Liebner siedziała w tym samym fotelu, na którym on spoczywał poprzedniego wieczoru, i obserwowała ich swoim diamentowym spojrzeniem. Co trzeba robić, żeby w tym wieku mieć tak ostry wzrok?

Komórka została w samochodzie. Krótko przeprosił i wyszedł. Lala pobiegła za nim. Na zewnątrz uderzyło go suche powietrze gorącego sierpnia, od czego stracił na moment równowagę i oparł się o ścianę kamienicy. Nieco dalej, po drugiej stronie ulicy, znajdował się wielki budynek z fikuśnie skośnymi balkonami i wielkimi żółtymi literami KDW nad wejściem. Nic mu to nie mówiło. Odetchnął hanowerskim powietrzem i ruszył do samochodu. Stał nagrzany od słońca, a za wycieraczkami oczywiście powiewał mandat. Andrzej wyszarpnął go, a potem zaraz wcisnął z powrotem, dochodząc do wniosku, że jeśli wyjmie jeden, za chwilę wsadzą mu drugi. Co i tak nie miało większego znaczenia, skoro przyjechał samochodem zarejestrowanym na słupską policję, poza tym kradzionym.

Na komórce było ze trzydzieści nieodebranych połączeń z całej niemal książki telefonicznej, od Byczkiewicza począwszy, a na cioci Irence skończywszy. Ostatnie dziesięć od Dominiki. Tak jak esemesy. ANDRZEJ, ODBIERZ! ON GO ZABIJE! ANDRZEJ!!!!! ODBIERZ KURWA TELEFON!!! JEZUUU!!!

Wcisnął oddzwanianie.

– Gdzie ty jesteś! – wrzasnęła i nie czekając na wyjaśnienia, krzyczała dalej: – Przysłał mi filmik! Jest na twojej skrzynce mejlowej. Pospiesz się, Andrzej! On go utopi!

– Uspokój się i opowiedz mi po kolei, co się dzieje. Jaki filmik?

Usiłował odegrać przed nią opanowanie, ale czarna fala zalała mu mózg.

– Nieee! Nie będę nic opowiadać! Wejdź na swoją pocztę i obejrzyj. To wiadomość tylko dla ciebie. Nikomu jej nie pokazuj, bo on wykona egzekucję. Ja też nikomu nic. Nie wiem, może powiem Hadczukowi, bo oni z Benkiem też szukają. Ale Benek się nie odzywa. Andrzej, pospiesz się! Błagam!

Rozpłakała się. Potrącając przechodniów, ruszył biegiem do kamienicy Heike Liebner. Wpadł do mieszkania i bez słowa porwał z biurka laptop z wciąż otwartą satelitarną mapą Pomorza Środkowego. Wszedł do swojej skrzynki i kliknął wiadomość od Dominiki, przysłaną w poniedziałek. Z powodu objętości filmik był na dysku Google i jego ściąganie zajęło chwilę. Cała zgromadzona w pokoju czwórka, łącznie z Lalą, cierpliwie czekała na wyjaśnienia, jednak nie doczekała się. Dopiero kiedy plik się załadował i ruszyło odtwarzanie, wszyscy wstrzymali oddech. Na ekranie pojawiła się twarz Lucka Bałysia.

Wyglądał strasznie. Andrzej w swojej karierze policjanta widział już niejedno, do niejednego też sam niekiedy się przyczyniał. To, co zobaczył w postaci i wyrazie twarzy przyjaciela, wstrząsnęło nim jednak do głębi i znowu naruszyło ledwie odzyskaną równowagę. Z trudem przełknął ślinę. Zamiast jasnego, uśmiechniętego młodzieńca i notorycznego dowcipnisia z zawadiackim loczkiem na czole, którego pożegnał w Krakowie półtora miesiąca temu, zobaczył ducha z krainy cieni. Blada, prawie przeźroczysta cera i chude ramiona, w połączeniu z pozbawioną włosów głową upodabniały go do ocaleńca z Auschwitz. Stał przykuty łańcuchem do ściany, co zapewne stanowiło część szalonej rekonstrukcji historycznej, ale drastyczność środka wydawała się całkowicie zbędna. Lucek nie wyglądał na kogoś, kto mógłby uciec, chyba że rozpłynąć się w powietrzu. Tak, to było najtrafniejsze – Lucek znikał.

– Andrzej, dwóch ludzi na dole, trzech na górze, niemieckie automaty, jeden w wieży... Plask.

Obraz urwał się na ułamek sekundy, po czym rozległ się głos Kały wyjaśniający reguły nowej gry. Andrzej słuchał piąte przez dziesiąte, nie mogąc zapomnieć widoku znękanej twarzy Bałysia. Takiego Lucka nie mogło być. To jakiś kosmiczny absurd.

Z szoku wyrwała go komenda Kały na ekranie:

– Słyszysz, co mówię? Żwawo. W wodzie.

Bredził jakieś farmazony o rybkach na haczyku, ale kiedy podszedł do okrągłego okna i zaczął odkręcać śruby, Andrzej nagle zrozumiał histerię Dominiki. On naprawdę chce utopić jej męża. Zalać wodą pomieszczenie, powoli, stopniowo, żeby umieranie wesołego i pogodnego Lucka trwało długo i zawierało należytą dawkę przerażenia. Jedna część jego mózgu próbowała opanować szok i jak najwięcej zarejestrować z informacji na ekranie, podczas gdy druga zaczęła gorączkowo szukać rozwiązań. Trzy dni. Czyli zostały już tylko dwa. Albo mniej. Na koniec filmu Kała objechał kamerką wkoło pomieszczenie, by pokazać Krzyckiemu, że wszystko jest szczelne, bez żadnej ściemy. I puenta: „Jeśli zawiadomisz policję, dowiem się pierwszy, a on zginie. Czekam”.

W ciszy pokoju asystent Michał zaczął półgłosem streszczać starszym państwu słowa Kały do kamery. Kiedy skończył, Otto Stubenauer powiększył zatrzymany kadr z okrągłym okienkiem i pilnie studiował szczegóły, natomiast Heike Liebner potwierdziła, że widziała już kiedyś Artura Kałę.

– Miał w tamtej kancelarii dobre znajomości. Współpracowali z nim, a nawet chyba mu służyli. Przy jego pozycji i wpływach trudno się zresztą dziwić. Ja chciałam zlecić im uruchomienie procedury odzyskania rodzinnego majątku pod Grębówkiem, dowiadywałam się, są takie możliwości, ale oni odmówili. Później się dowiedziałam dlaczego. Ta ziemia, moja ziemia, należała do jednego z ich bandy. Bo to jedna wielka banda – zakończyła dziarsko.

Gadała, żeby zapełnić pustkę niepokojącego milczenia Krzyckiego, który jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ekran laptopa. Z odrętwienia wyrwał go Stubenauer, trącając w ramię i domagając się puszczenia filmu na nowo. Za drugim razem wszystko wyglądało jeszcze upiorniej. Andrzej sztywno wstał z krzesła i zaciskając pięści, powiedział lodowatym głosem:

– Przepraszam. Muszę jechać. Dziękuję za pomoc.

Po czym zebrawszy się w sobie, dodał z ponurym sapnięciem:

– Nikomu ani słowa. Bo on go zabije. Wtedy ja też. Kogoś. Zabiję.

Niezgrabnie jak robot na autopilocie odwrócił się i zrobił trzy kroki ku drzwiom. Lala, choć zwykle w takich momentach wychodziła wraz z nim, teraz nie ruszyła się z miejsca.

– To gupie, Andrzej Krzycki – powiedziała po polsku Heike Liebner. – Niech pan usiedzi z powrotem.

– Zanim nas pan wszystkich pozabija, pozwoli pan, że się przyłączę do sugestii – wtrącił nieoczekiwanie Michał. – Nie wie pan, dokąd jechać.

– Dowiem się. Ten dzień stracę na dojazd. Zostanie jeden. Muszę już.

Mówił jak automat.

– Przyniosę panu kawy, a państwo się naradzą – zasugerował Michał i wyszedł. Pan Stubenauer w tym czasie obrócił laptopa w swoją stronę i puszczał sobie fragmenty filmiku, zatrzymując w niektórych miejscach obraz i zbliżając do ekranu zbrojny w złocone oprawki nos. Heike Liebner wzięła Krzyckiego za ramiona i usadziła z powrotem na fotelu, po czym przez chwilę przyglądała mu się sceptycznie i bez specjalnej sympatii.

– To pańska wina, prawda? – powiedziała, wskazując laptop. – Pana... sumienie. Przyjaciel płaci za pańskie grzechy. Dobrze zrozumiałam?

– Lepiej nie można. Jeszcze ze dwie równie celne uwagi i stąd nie wyjdę. Będzie pani mogła wreszcie zadzwonić po ten swój ambulans.

Uśmiechnęła się blado i powiodła palcem po krawędzi deserowego talerzyka. Michał postawił przed Krzyckim napełnioną filiżankę z kawą i usiadł obok Ottona z uwagą studiującego fragmenty filmiku Kały. Młody asystent zatrzymywał i puszczał obraz, a na życzenie robił zbliżenia

kadrów, po czym cicho komentowali coś między sobą. Andrzej chciał do nich dołączyć, jednak starsza pani powstrzymała go, kładąc dłoń na jego nadgarstku.

– Nie mam specjalnie powodów, by pomagać Polakom w ich problemach – powiedziała, podnosząc wzrok. – Wystarczą mi własne. Ale powiedzmy, że jako Niemka z określonej generacji zrozumiałam błąd dzielenia ludzi na narody i nauczyłam się postrzegać ich indywidualnie. Pan wygląda na uczciwego człowieka, tylko strasznie zawirowanego i, proszę wybaczyć, ciągle pan przed czymś ucieka. Jestem na tyle stara, że mogę sobie pozwolić na udzielanie rad młodszym, zatem radzę: niech pan już nie ucieka. Po pierwsze, nie ma dokąd, po drugie, nie ma po co. Nie zdoła pan złapać wszystkich złoczyńców, nawet ich nie rozpozna w tym gwałtownie puchnącym tłumie. Nie uratuje wszystkich dobrych ludzi, nie wynagrodzi całego zła wyrządzonego niewinnym, nie zbawi świata swoim tytanicznym heroizmem. To naiwność. I pan o tym wie. Czas, by wiedzę przełożyć na działanie. To znaczy zebrać myśli i zastanowić się na spokojnie, jak pomóc jednemu człowiekowi. Nadąża pan?

To ostatnie powiedziała po polsku. Zabrzmiało jak „nadarza”. Odruchowo skinął głową. Ręce znowu zaczęły mu drżeć. Czas płynął, Lucka podtapiała woda, a on siedział na niemieckim kazaniu o zaletach rozważnego życia, wygłaszanym przez kościstą katechetkę z diamentami w uszach. W jego krwi krążył paracetamol z kofeiną w ilości zdolnej skłonić żółwia do galopu, ale mięśnie wypełniał mokry piasek. Nawet zwykłe sięgnięcie po filiżankę sprawiało trudność. Był jednocześnie pobudzony i bezsilny. Chciał zerwać się z miejsca i wybiec, a zarazem zamknąć oczy i zasnąć. Zapomnieć o wszystkim. Dać się uśpić temu nieodpartemu głosowi Niemki i uwolnić od zwielokrotnionego koszmaru. Nagle ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie o Dorocie, o tym, jak odprawił ją do Krakowa, żeby mieć spokój i nieskrępowaną swobodę działania. Stara mówiła prawdę, uciekał.

I po co, Krzycki, ty zawirowany człowieku?

– Czasem dobrze jest poświęcić pięć minut, by zyskać dzień – ciągnęła Heike Liebner. – Niech pan chwilę posiedzi. Na pośpiech najlepszy jest bezruch. Najważniejszy dzień w moim życiu również sprowadza się do ucieczki. Uciekaliśmy wszyscy, cały Heinsdorf, ja jechałam na wozie, który ciągnęły nasze dwa siwki, Bodo i Carlo. Nie chciały iść i całą drogę się gryzły. Mama z tatą i Gerdą, Anną, Marią, Kathariną oraz Elisabeth szli po obu stronach wyładowanego po brzegi naszymi rzeczami wozu, a tylko ja i babcia Henrietta siedziałyśmy na szczycie. Kołysało tam nami i mocno się obejmowałyśmy, żeby nie spaść. Szliśmy w milczeniu, cała kolumna ludzi i pojazdów w absolutnej ciszy. Tylko gdzieś daleko na wschodzie dudniły wybuchy. Jeszcze kawy?

Niechętnie pokręcił głową. Powinien wybiec, uciekać stąd, ale jakoś nie wypadało. Słuchając, myślał o Dorocie. I o małej Julci, ich córeczce, która urodziła się martwa i która nigdy nie będzie musiała uciekać na wozie wyładowanym rzeczami. I o Dominice, która go zastrzeli, gdy dowie się o śmierci Lucka. Myślał o wodzie ciurkającej z rozkręconego okienka. Kiedy poziom się podniesie, plastikowe wiadro odwróci się do góry dnem i swobodnie popłynie przed siebie, aż dopłynie do Lucka. A on będzie je mógł sobie nałożyć na głowę i w ten sposób się uratuje. Ale tylko na chwilę.

Chyba zwariował. Tak, na pewno.

– Pokonaliśmy już kawał drogi na północ w kierunku Stolpmünde. I Gerda nagle zaczęła krzyczeć, że nie zabraliśmy Reksa, naszego psa, białego szpica. Został uwiązany przy budzie na długim łańcuchu, sięgającym na całe podwórko. Krzyk rozdarł ciszę maszerującego Heinsdorfu jak eksplozja. To było głupie, bo decyzję podjęli rodzice jeszcze przed wyruszeniem w drogę. Wiedzieli, że psa nie pozwolą nam zabrać na pokład. Mieliśmy płynąć promem do Niemiec. Ale ona krzyczała, że skazaliśmy Reksa na śmierć, bo na łańcuchu zdechnie z głodu, i że trzeba go puścić wolno. Wpadła w histerię, ja nie rozumiałam, co się dzieje, i też zaczęłam płakać, pamiętam zapach grubego płaszcza babci Henrietty, kiedy mnie mocno tuliła do siebie. Zrobiło się zamieszanie, podminowani

strachem i rozpaczą sąsiedzi poburkiwali, żeby nie blokować drogi, bo ojciec zatrzymał wóz i próbował coś Gerdzie tłumaczyć. Widziałam przez szparę pod pachą babci, jak się kłócą i w pewnym momencie ojciec bije na odlew Gerdę w twarz. Myślę, że chciał ją uspokoić, otrzeźwić, choć skutek był odwrotny. Wrzasnęła „nie!” i pobiegła z powrotem do wsi. Mama jeszcze krzyknęła za nią, że poczekamy w porcie, ale nawet nie wiedzieliśmy, czy Gerda słyszała. I tak to zapamiętałam: kolumna ludzi i wozów, cisza, krzyk i bieg mojej siostry w przeciwnym kierunku, polami wzdłuż drogi, na południe, pod sine od mrozu słońce. Babcia jeden raz zawołała „Gerda”, a potem już tylko tuliła mnie do grubego wełnianego płaszcza z futrzanym kołnierzem, mocno, żebym nie płakała. Gerda, moja ukochana, najstarsza siostra...

– I co dalej? – spytał Krzycki. Migrena przeszła w jednostajny szum projektora wyświetlającego w obolałym mózgu czarno-biały film, na którym Dorota krzyczy NIEEE!, odwraca się i biegnie przez zaśnieżone pole, mała Julcia płacze na wozie, a on stoi z lejcami w rękach i nie wie, czy ma zostać i pilnować dziecka, czy biec za matką. Z końskich pysków lecą kłęby pary.

– I tyle. Nie wróciła. Nigdy więcej jej nie widziałam. Przez następne siedemdziesiąt dwa lata żyłam z tym krzykiem w uszach: *Neeeein!*

Chciał powiedzieć, że zostały jej jeszcze cztery siostry, ale nie zdążył.

– *Kommen Sie, bitte, Herr Inspektor!*

Ocknął się jak ze złego snu i podszedł do biurka. Na płachcie skserowanej mapy wojskowej Otto Stubenauer zaznaczył kilka punktów w niebieskich kwadratach, trzy zielone kółka oraz dwa spore krzyżyki na czerwono.

– Na filmie w miejscu uwięzienia pańskiego przyjaciela jest okrągłe okno – zaczął wyjaśniać. – Taki *Bullauge*, no... *bull-eye*, bycze oko – pomógł tłumaczowi.

– Wiem, bulaj – przytaknął Krzycki. Nagle otrzeźwiał.

– Tak, bulaj. Zanim pański przyjaciel został uciszony, zdążył powiedzieć coś o karabinie na wieżyczce. W niebieskich kwadratach ma pan

umocnienia z zachowanymi wieżyczkami, a na zielono te z okrągłymi bulajami. Osiem punktów, oddalonych od siebie o dziesiątki kilometrów. To dużo. Nawet bardzo dużo, biorąc pod uwagę limit czasowy, jeśli mogę to tak ująć.

– Chodzi o to, że nie zdążę? – spytał Krzycki, przygryzając wargi. Też nowość.

– Obawiam się. Ale jeżeli pańskie przypuszczenie o rekonstrukcjach historycznych jest słuszne, w grę wchodzą cztery elementy: jezioro, bunkier, bulaj i wieżyczka. Z wszystkich niemieckich umocnień wojennych, jakie udało mi się zobaczyć na Pomorzu – ciągnął Otto Stubenauer, stukając pisakiem w mapę – tylko dwa mają wieżyczkę i okrągłe okienko pod powierzchnią wody. Zaznaczyłem je panu na czerwono. Oto one.

Andrzej pochylił się nad niewyraźnymi napisami i odczytał nazwy: Latek i Prestow. Podniósł wzrok na Michała, który pospieszył z odpowiedzią:

– Sprawdziłem w Google. Chodzi o Łątek i Przestawno. Jak pan widzi, nieodległe od siebie i w sensownym oddaleniu od Słupska.

Usiadł i wbił oczy w mapę. Miejscowości tworzyły z Grębówkiem trójkąt o bokach około dwudziestu kilometrów. Łatwo zapamiętać. Wziął od Michała laptopa i obejrzał obie miejscowości na zdjęciach satelitarnych. Jezioro było tylko przy jednej z nich. Popatrzył pytająco na Stubenauera, a ten wzruszył ramionami.

– Ten drugi bunkier jest głęboko w ziemi i w pobliżu płynie niewielka rzeczka, Przestawka. Dałoby się połączyć.

Andrzej pokiwał głową, poskładał mapę i wyciągnął rękę do Ottona Stubenauera.

– Dziękuję panu. Lepsze to niż nic. Rozumiem, że jeśli te dwie odpadną, zostają w następnej kolejności zielone, a potem niebieskie.

Stary Niemiec w drucianych oprawkach przytaknął, ściskając jego dłoń.

– Proszę pamiętać, że to tylko moje hipotezy, mogę się mylić. Ale zdaje się, że i tak pan nie ma innego wyjścia.

– Nie – odparł ze słabym uśmiechem Andrzej i pokazał na drzwi wejściowe. – Oprócz tego. – I uścisnął również rękę Michała.

– Może powinienem pojechać z panem – powiedział młody asystent. – Nie wrócił pan jeszcze do pełni sił.

– Nie. Muszę sam. Słyszeliście groźby tego wariata.

Podszedł do Heike Liebner, z której zupełnie już wyparowała nostalgia dramatycznych wspomnień i która znowu przewiercała go swoim diamentowym spojrzeniem.

– Lubi pan mówić „nie”. Jak Gerda.

– Ale mnie pani jeszcze kiedyś zobaczy. Jest mi pani winna dokończenie tamtej historii.

– A pan jest mi winien przysługę. – Podała mu zimną dłoń. – Podobno u was nie życzy się powodzenia, żeby nie zapeszyć.

– Nie.

Uśmiechnął się i jaśniejszy błysk w jej oku również uznał za uśmiech.

V

Nie będzie mówione

1

Bezgłowego ciała Rajmunda Kuleszy nie odnaleziono. Ekipy, które dopiero co przetrząsały tereny między Grębówkiem i Słupskiem w poszukiwaniu podkomisarza Lucjana Bałysia, wróciły po własnych świeżych śladach, by zrobić jeszcze raz to samo. Wszyscy, łącznie z psami tropiącymi, popadali w kryminalistyczną paranoję obwąchiwania samych siebie sprzed kilku dni, jakby nie dość było absurdów w tej ponurej historii. A właściwie ciągu historii, bo od krwawych grębowieckich wydarzeń na wiatrakach minął raptem miesiąc. Słońce wciąż się nie pokazało. Pod kopułą burych koców, wleczonych od Bałtyku przez zachodnie wichury, zespoły poszukiwawcze chyłkiem przemykały z pól do zagajników, z zagajników na łąki, z łąk na następne pola, z rzadka tylko zerkając w górę na łopaty wiatrowych turbin. Ich złowrogi świst dochodził wszędzie.

– Niczego tak nie znajdziemy – oświadczył Ryszard Hadczuk we wtorek rano, dwudziestego drugiego sierpnia. Miał chrapliwy głos i nieogolone policzki.

Siedzący na blacie biurka sierżant Łukasz Latawiec mruknął:

– Umiesz motywować od samego rana.

– Teraz, kiedy blokady drogowe poszły się... w odstawkę, niewiele zdziałamy pośpiechem i bieganiną – ciągnął Hadczuk. – Trzeba się brać do żmudnego dłubania w szczegółach. Jest coś ciekawego w wynikach z laboratorium?

Latawiec sięgnął za siebie po zieloną tekturową teczkę.

– O dziwo, niewiele. Śladów w samochodzie sporo, ale nie ma ich w żadnej bazie danych i musimy czekać do zatrzymania jakiegoś podejrzanego. Na marynarce i siedzeniu pełno krwi ofiary, co jednak trudno uznać za informację nową. Badają jeszcze fotele i zbierają materiał, choć na razie konkretów brak. Wiesz, zupełnie jakby wójt sam sobie odciął głowę i przyjechał pod sklep na kiju od miotły.

– Daj spokój, to nie film grozy. Świadkowie widzieli inny pojazd oraz dwie osoby, prawdopodobnie kobietę i mężczyznę ubranych na czarno. Spisaliśmy numery z jednej z kamer w pobliżu. Co z nimi?

– Nie ma takich numerów, są fikcyjne. Ktoś je sobie wymyślił i zrobił na zamówienie. Sprawdziłem w urzędzie komunikacji i w pomorskich firmach produkujących tablice, ale nikt takich nie zamawiał. Pewnie niedługo znajdziemy je w jakimś kontenerze na śmieci. Na wszelki wypadek rozesłałem zapytanie po całej Polsce.

– Tylko idioci zamówiliby je oficjalnie – westchnął Hadczuk. – Zdaje się, że bez problemu lewe tablice można przywieźć z Białorusi albo z Ukrainy. Dla mnie to jednak najmniejszy z problemów. Ciągle nie rozumiem, jaki był motyw. Rodzina naprawdę nic nie wie? W papierach w gminie nie ma żadnych notatek, wzmianek o grożeniu, napięciach, protestach? Przecież po coś to zrobili?

Z zielonej teczki Latawiec wyjął plik papierów wyglądających na korespondencję urzędową i rozłożył na biurku.

– Tu jest mnóstwo różnych spraw potencjalnie konfliktowych. Jednym z głównych zadań wójta gminy jest radzenie sobie z pretensjami ludzi. Tu masz na przykład kłótnię o drogę gminną, która przechodzi przez prywatną posesję, i właściciel chce to uregulować. Ale żąda kwoty jak za działkę budowlaną w Warszawie i odgraża się, że pójdzie do sądu. A tu dwóch sąsiadów walczy o dostęp do brzegu jeziora, przy czym obaj oskarżają wójta o sprzyjanie temu drugiemu. Też chcą iść do sądu. Nie ma także, jak wiadomo, gminy bez awantury o remizę strażacką, szkołę albo ośrodek zdrowia. Przestawno nie jest wyjątkiem, spór o wykonawcę...

– Nie, to wszystko nie ten kaliber – przerwał mu Hadczuk. – W grę wchodzą albo wielkie pieniądze, znacznie większe niż remont szkoły czy budowa remizy, albo psychopata. Ja bym obstawiał to drugie, tylko w korespondencji pewnie dowodów nie znajdziemy.

Na chwilę zapadła cisza, obaj przekładali kserokopie służbowej korespondencji Rajmunda Kuleszy. Powtarzały się sprawy dotacji unijnych do inwestycji lokalnych, wnioski o przekwalifikowanie gruntów i formalności związane z uzyskaniem zgody na budowę farmy wiatrowej. Na dokumentach w ostatniej sprawie widniała podłużna pieczęć kancelarii prawnej Smuta & Wądlik ze Słupska. Do tej właśnie kancelarii w sobotę po południu odbył wójt Kulesza swoją ostatnią podróż służbową.

– To są duże pieniądze... – stwierdził w zamyśleniu Hadczuk. – Niewykluczone, że mogliby się posunąć do zastraszania, gróźb, może nawet obcięcia palca sekatorem. Ale dekapitacja? Grzywa twierdził, że cięcie wykonano fachowo za pomocą ostrego narzędzia, najprawdopodobniej noża, z prawidłowym ominięciem kręgów szyjnych, co wskazuje na kogoś, kto już wcześniej takie rzeczy robił. Wyobrażasz sobie?

– Ja bym Grzywie za bardzo nie wierzył – mruknął Latawiec, czyniąc aluzję do niechlubnej sprawy z preparowaniem fałszywego dowodu przeciwko Bałysiowi. Sierżant Kamil Grzywa z ich laboratorium naniósł odciski palców krakowskiego śledczego na broń, z której zabito Pawła Palkę, chcąc go pogrążyć i odwrócić uwagę od prawdziwego mordercy. Upiekło mu się tylko dlatego, że po śmierci Uli Miłęckiej był na dobrą sprawę jedynym technikiem w komendzie.

– Akurat w tej sprawie chyba można mu ufać. Słyszałem, jak Zdybas przykazywał, że ma się uwijać i raportować ważniejsze wyniki. NATYCHMIAST! – Hadczuk zapiał dyszkancikiem komendanta i obaj się roześmiali. Szybko jednak spoważnieli. Dochodziła dziesiąta, a oni jeszcze nie zaczęli roboty. – Jak po kolei, to po kolei. – Sapnął z niechęcią. – Powtórzmy trasę Kuleszy z ostatniego dnia, czyli najpierw dom, dalej urząd gminy, kancelaria Smuta & Wądlik, a na koniec Grębówko.

– Grębówko? To właściwie trasa samej głowy Kuleszy – zauważył Latawiec. – Reszta się zawieruszyła po drodze.

– Daj spokój – żachnął się Hadczuk na kolejny niesmaczny żart. Makabryczna zbrodnia nie pozwalała się przyjąć wprost i dosłownie, więc jego podwładni uciekali w humor, żeby dokądś w ogóle uciec. Pokrętna logika wyparcia. On też miał ochotę rzucić to wszystko w cholerę i uciec dokądkolwiek, choćby na plażę, gdzie tysiące turystów spacerowało w szarym chłodzie i bryzgach morskiej piany, udając, że tak też jest fajnie. Dla niego wszędzie było fajniej niż tutaj. Krzycki dobrze zrobił...

– Popytamy ludzi pod sklepem, czy kto czego nie widział – zarządził, wstając z krzesła. – Niemożliwe, żeby w tym samym czasie trzy samochody podjechały pod sklep i nikt ich nie zapamiętał!

– Trzy? – zdziwił się Łukasz Latawiec.

– Nie, no dwa, tylko tam jeszcze jakiś jeden widziano, tyle że chyba nie miał z tym nic wspólnego. Na pewno nie miał, odjechał dużo wcześniej.

– Ale pytaliście o niego?

– Tak, tak, Mrówczyński pytał... – mruknął Hadczuk, siląc się na obojętność. Jeszcze tego brakowało, żeby się wygadał o samochodzie Krzyckiego pod sklepem w chwili przybycia morderców. – Bierzmy się do roboty.

– A tak przy okazji: gdzie jest Benek?

– Dołączył do grupy zajmującej się poszukiwaniami Bałysia. Komendant uznał, że jeden z naszych powinien tam być i meldować na bieżąco. Znasz go: „Meldujcie mi na bieżąco, jasne?” – zabuczał przez nos, przedrzeźniając podinspektora Zdybasa, jednak sierżant Latawiec zdobył się na uśmiech zaledwie grzecznościowy. Nie trzeba być śledczym, by słyszeć w tych wyjaśnieniach uciekanie od tematu.

Zebrali się do wyjścia i w drodze na parking wewnętrzny komendy nie odzywali się do siebie. Każdy po swojemu myślał o tym, że wydarzenia ostatnich dni wprowadziły między nich piskliwy zgrzyt nieszczerości. Byli nie tylko kumplami z zespołu, ale kimś w rodzaju przyjaciół, tak

przynajmniej to wyglądało jeszcze miesiąc temu. Teraz każdy coś ukrywał, za słowami chowały się inne, niewypowiedziane i ważniejsze, a te, które wybrzmiały, starały się raczej nie mówić niż mówić. Latawiec z przykrością rozważał fakt, że Benek Mrówczyński bez słowa wyjaśnienia wybył gdzieś w teren, choć tu akurat mieli pilną robotę, a ludzi brakowało. Czuł, że nie chodziło tylko o polecenie komendanta, jednak nie wiedział o co jeszcze. A przecież nie dalej jak trzy dni temu zarzekali się, że razem znajdą Lucka Bałysia.

Z kolei komisarz Ryszard Hadczuk na wszystkie strony obracał w głowie dziwną myśl, że jeden z uczestników zdarzenia pod sklepem tamtego feralnego wieczoru to akurat inspektor Krzycki. Ani nie zameldował, ani nawet nie powiedział, tylko po prostu zniknął w ciemności. Milczenie dało się zrozumieć, w szpitalu twierdzili, że wciąż cierpiał na zaburzenia mowy. Jednak dlaczego nic nie powiedział jemu? Dlaczego zostawił go samego z wielką kupą policyjnego gówna i nie podrzucił choćby drobnego tropu, mimo iż byli już kimś w rodzaju, hmm – kolegów? Może i nie mówił, ale to jeszcze nie znaczy, że nie mógł powiedzieć.

Speszył go stopień zawiłości ostatniej refleksji, więc tylko splunął przez ramię na trawnik i wsiadł za kierownicę czarnej skody. Kiedy Latawiec chciał włączyć muzykę, zabronił mu.

– To chociaż wiadomości posłuchajmy. Może co powiedzą.

– Nie będzie nic mówione – warknął Hadczuk i wyłączył radio. – Będzie milczane.

Ostro wyjechał z parkingu na ulicę i nie patrząc na światła, dodał gazu. Zakręty brał tak, jakby chciał gdzieś po drodze wyrzucić Latawca przez okno, i chociaż nie włączył koguta, skrzyżowania ciął na czerwonym, nie zwalniając. Przez całą drogę do Przestawna nie odezwali się do siebie ani słowem. I pomogło. Pod domem Kuleszów obaj wysiedli już wyluzowani i spokojni. Krzycki miał rację, czasem trzeba pomilczeć.

– Rozumiem pani ból i proszę mi wierzyć, my również wolelibyśmy, aby takie rzeczy się nie wydarzały. Policjanci mają ludzkie odruchy, a nawet marzenia, zapewniam panią. Niestety, te okropne rzeczy już się wydarzyły i musimy zmierzać do ich wyjaśnienia, stąd nasza powtórna wizyta tutaj. Wiem, niełatwo pani przestać myśleć, zapomnieć i najzwyczajniej w świecie odpowiadać na pytania, ale to nieuchronne. I bardzo ważne. Prosimy – zakończył sierżant Latawiec, skłaniając głowę z uniżeniem.

Kontakt policjanta z obywatelem to temat osobny i zasługujący na obszerną monografię. Owszem, istnieją zajęcia z relacji międzyludzkich dla funkcjonariuszy, by nauczyć ich, jak traktować rozmówców i tym samym skutecznie wypełniać swoje obowiązki, a zarazem nie naruszać ich praw i godności osobistej. Brzmi pięknie, jednak codzienna praktyka zachowuje w tej kwestii zdanie odrębne. Policjant, który ma poinformować rodzinę o śmierci kogoś z bliskich, to jeden z ulubionych dowcipów policyjnych. „Cześć, dzieciaki, macie tatusia? A o co się założymy?” Albo: „Mąż nie wrócił na noc do domu? I coś pani powiem – już nie wróci”. Albo: „Czy tu mieszka pan X? No to już nie mieszka”. Albo: „Mam dla pani dwie wiadomości, dobrą i złą. Zacznę od dobrej. No więc samochód da się jeszcze naprawić”. I tak dalej. Wspólną cechą tych ubożuchnych żartów jest przekonanie, że policjant nie umie rozmawiać z ludźmi, jest niedelikatny, zero empatii i wyczucia chwili. Otóż Łukasz Latawiec należał do wyjątków potwierdzających regułę. Potrafił rozmawiać z ludźmi głosem współczującego bliźniego, trochę jak cierpliwy agent towarzystwa ubezpieczeniowego, a trochę jak ksiądz. Miał ku temu jakieś sekretne predylekcje, dlatego przełożeni z upodobaniem słali go w teren.

Tu jednak urok i elokwencja sierżanta Latawca nie zadziałały. Mówili z Hadczukiem do nieruchomego manekina o siwych, zmierzwionych włosach i martwych oczach, z twarzą obciągniętą szarym papierem, nie wyłączając ust. Kobieta patrzyła w nic i słuchała ciszy. Mogłaby z powodzeniem statystować w *Locie nad kukułczym gniazdem*.

– Pani Kulesza, z kim mąż ostatnio się kontaktował? – spytał Hadczuk, jednak nim dokończył, zdążył się zorientować, że źle to sformułował. – Czy

któreś z tych kontaktów mogły budzić podejrzenia? – poprawił.

Nic. Nieruchomo i milcząco, jak poglądowa ilustracja katatonii. Zagłębieni w nieprzystojnie komfortowych w stosunku do okoliczności skórzanych fotelach, obaj policjanci bezradnie przyglądali się to wdowie po przestawieńskim wójcie, to jej córce, siedzącej obok i delikatnie głaszczącej matkę po wierzchu dłoni. Młoda Kuleszanka wyglądała niewiele lepiej, ale patrzyła znacznie przytomniej.

– Uprzedzałam, że z mamą będzie trudno – powiedziała słabym głosem. – Chyba jeszcze... nie całkiem wróciła do siebie. Jest na silnych środkach.

– A co pani o tym wszystkim sądzi? Ojciec miał aż takich bezwzględnych wrogów? – spytał Hadczuk. Postanowił sobie, że nie wyjdzie z tego domu bez choćby jednej małej wskazówki.

– Nie umiem powiedzieć – odparła, wzruszając ramionami. – Ciągle o coś tam chodziło, ludzie zawsze zgłaszają jakieś pretensje do wójta, ale tata całkiem dobrze sobie z tym radził. Potrafił wrócić do domu i zrzucić to z siebie jak brudne ubranie. Przebierał się w domowe ciuchy i znowu stawał się fajnym, wesołym tatą. Wie pan... wiecie panowie, miał mnóstwo pozytywnej energii...

Na tyle wystarczyło jej wewnętrznej mobilizacji. Rozpłakała się i przywarła twarzą do ramienia matki, a ta drgnęła jak obudzona ze snu, przytuliła córkę do piersi i zamknęła oczy. Hadczuk, który nieraz wyobrażał sobie taką scenę u siebie w domu po tym, jak jeden z ludzi Kały odstrzeli mu łeb w lesie albo staranuje ciężarówką, wzdrygnął się. Łukasz Latawiec odwrócił wzrok i z uwagą zaczął studiować kołyszące się za oknem gałęzie bzu. Cisza trwała niebezpiecznie długo, groziła wybuchem.

– Na pewno był dobrym, pozytywnym człowiekiem – zaczął na nowo Latawiec, natchniony tańczącymi gałęziami – ale nawet święty czasem zaklnie, patrząc na ten świat. Kiedy ojciec się wkurzył, zwykle na co przeklinał?

Córka uniosła głowę i zdziwiona spojrzała na niego czerwonymi oczami.

– Na co? Nie wiem. Jezu, nic nie wiem. – Popatrzyła po ścianach, jakby próbowała odgadnąć, gdzie się znajduje, po czym stwierdziła: – Chyba na...

wiatraki.

Śledczy wymienili spojrzenia. Pierwszy zareagował Hadczuk, zelektryzowany nowym kontekstem starego i – wydawało się – zamkniętego tematu.

– Na wiatraki? Chodzi pani o turbiny wiatrowe? Co ojciec miał do nich?

– Trudno powiedzieć, po prostu zdarzało mu się ot tak, bez żadnego związku, pokazać ręką na pola z wiatrakami i mruknąć: „Niech diabli wezmą to cholerstwo”. Może go denerwował świst łopat? Wielu ludziom działa na nerwy, chociaż raczej nie jemu...

Nie zdołała dokończyć. Matka, siedząca dotychczas w katatonicznym bezruchu, odepchnęła nagle córkę, poderwała się z kanapy i potrącając stolik, rzuciła się do okna, za którym gałęzie bzu wciąż kołysały się w lamentacyjnym rozchwianiu.

– Przeklęteee! Taaak! Wyyy! Diabliii! Cholerstwooo!

To nie brzmiało jak krzyk, tylko skowyt. Córka nareszcie obudziła w niej aktywność, a ta szybko przeszła w nadaktywność. Kobieta tłukła zaciśniętymi pięściami w parapet i wyła, wypluwając długie nitki śliny.

– Potworyyy! Kołowacizna! Diabelskie instrukcje! Ohyda! Dranie, dranieeee!

Tyle zdążyła wyrzucić z siebie z siłą morskiej nawałnicy, zanim córka przy wsparciu Latawca zdołała ją ująć mocno pod ramię i usadzić z powrotem na kanapie. Wdowa trochę się szarpała, jednak po wyładowaniu w krzyku niewiele energii w niej pozostało i rychło na powrót zapadła w martwy bezruch. Dziewczyna objęła ją ramieniem i coś szeptała do ucha, Łukasz Latawiec stał obok nich, nie wiedząc, co zrobić z rękami. Hadczuk siedział sztywno jak kołek i nie mógł się zebrać do powiedzenia choćby jednego słowa.

Atak wdowy go przeraził. Nie tylko dlatego, że zobaczył, jak niezawodny Łukasz Latawiec właśnie powiadamia rodzinę Hadczuka o jego bohaterskiej śmierci na posterunku. Przeraził się z powodu tego, co usłyszał. To nie przypominało wcale zwykłej irracjonalnej pretensji kobiety

w szoku, już bardziej atak epilepsji, a najbardziej – nawiedzenie. W filmach o opętaniu zwykle ofiarami są kobiety i ich stan zmienia się dokładnie tak samo: od martwoty do skowytu i z powrotem. Widok rozpaczającej rodziny nie był mu obcy, trudno wykonywać zawód śledczego kryminalnego i nie mieć z tym do czynienia, tu działały jednak i inne moce.

Kołowacizna? Diabelskie instrukcje? Dziwne to nawiedzenie...

– To może my już pójdziemy – oświadczył, stwierdziwszy, że już niczego więcej się nie dowiedzą, i ciężko podniósł się z fotela. – Gdyby paniom coś jeszcze się przypomniało, prosimy o kontakt.

Wyciągnął rękę do wdowy, jednak w ogóle tego nie zauważyła. Gapiła się tępo w kąt pokoju, gdzie w jej polu widzenia zjawiła się wreszcie godna uwagi kwestia i sformułowała ją szeptem w następujący sposób:

– Jak tak można, żeby człowiekowi odciąć głowę...

Ponieważ żadne z obecnych nie znało odpowiedzi, kwestia zawisła w powietrzu i została tam po ich wyjściu, jak temat niezwykle trudnego wypracowania. Dziewczyna odprowadziła ich do holu i tam dopiero powiedziała cicho, bardziej zwracając się do Latawca:

– Proszę mamie wybaczyć, ona nie może się pozbierać po... po tym wszystkim. Wiem, że niewiele pomogłyśmy. Przepraszam.

– Ależ nie, bardzo nam panie pomogły! – zaprzeczył Latawiec żarliwie, jakby dziękował za milionową dotację. – Mam nadzieję, że kiedy trochę ochłoniemy, uda nam się jeszcze porozmawiać.

Mówiąc to, ściskał jej szczupłą dłoń i patrzył głęboko w oczy, i zdaje się, że w tym momencie nie widział niczego innego wokół siebie. Ona jakby też nie kwapiła się cofać ręki. Hadczukowi przemknęło przez myśl, że wysyłanie elokwentnego Latawca do pogrążonych w żałobie domowników prędzej czy później musiało się tak skończyć.

– O czym mama mówiła?

Dziewczyna na dźwięk głosu komisarza puściła rękę Łukasza jak gorący kartofel i szybko odwróciła się do niego.

– W sensie?

– To coś o kołowaciźnie, draniach i przekleństwie.

– Nie wiem, wszyscy tak mówią.

– Czyli kto na przykład?

Speszyła się. Miała w sobie dużo dziewczęcej nieśmiałości, objawiającej się w zaczynaniu zdania od „nie wiem”, całkiem inaczej niż jego Sylwia, która najchętniej każde zdanie zaczynałaby od tego, że ona wie, jak jest.

– Ostatnio proboszcz na kazaniu mówił, że te wiatraki kręcą nam w głowach i dlatego łatwo ulegamy podszeptom szatana. Że przedtem to ludzie w Boga wierzyli, a teraz tylko w sklepach siedzą i w internecie zamiast w kościele. Takie tam głupstwa, chyba...

– No dobrze, ksiądz i kto jeszcze?

Na chwilę spuściła oczy, by się zastanowić. Latawiec patrzył w nią jak urzeczony.

– Nie wiem, wszyscy. W sklepie, w gminie. Tata też tak mówił.

Pochyliła głowę i głośno przełknęła ślinę. Latawiec natychmiast zrobił to samo.

– Te „diabelskie instrukcje” pochodzą z kazania księdza?

– Może, nie wiem. Ale tata kiedyś mówił o instrukcjach dla inwestorów, że tam się podpowiada, jak przekonywać do projektów miejscową ludność, by się zgadzała na budowanie farm wiatrowych. Bo tu, wie pan, są takie ruchy obywatelskie przeciwko budowie wiatraków, a z drugiej strony wspierające je spółdzielnie i zrzeszenia prywatnych właścicieli. I te dwie frakcje od lat się kłócą...

Przerwała, a Hadczuk pomyślał, że się opanowała i ładnie mówi, takimi okrągłymi zdaniami i z fachową terminologią. Lepiej od niego.

– Pani też pracuje przy farmach wiatrowych? – spytał.

Pokręciła głową.

– Nie, w szkole. Jestem nauczycielką. A teraz mam wakacje. Najbardziej wystrzałowe, jakie można sobie wyobrazić.

Spróbowała się uśmiechnąć, jednak wyszedł tylko cień cienia uśmiechu. Łukasz Latawiec uniósł prawą rękę i zaraz opuścił, jakby chciał pogłaskać wójtównę i w ostatniej chwili się rozmyślił. Schował opuszczone ramię za siebie jak skompromitowanego towarzysza i wpatrywał się w dziewczynę, gotów do natychmiastowej reakcji na wypadek jakichkolwiek komplikacji. Hadczuk wyobraził sobie, jak porywa omdlewającą Kuleszankę na ręce, rzuca na kanapę i prowadzi intensywną resuscytację metodą usta-usta.

– No cóż, dziękujemy pani – powiedział i wyszedł na ganek, by poczekać przed domem. Za jego plecami odbywało się pożegnanie bez słów, którego nie chciał podglądać, znał to na pamięć. Od zachodu uderzył podmuch zimnego wiatru. Kiedy ta cholerna pogoda się zmieni? Jeszcze trochę i dzieciom trzeba będzie pokazywać w internecie, co to jest słońce. Zmusił się do uśmiechu z własnego dowcipu i rozejrzał po wsi. Typowa ulicówka, z szeregiem starych domów o niskich, dwuspadowych dachach, sięgających prawie ogródka, przeplatanych powojennymi kwadratami o czterech oknach i absolutnym braku architektonicznej urody. Sto metrów dalej widniały wielkie zabudowania z czerwonej cegły, materialny ślad po najbogatszych przedwojennych gospodarzach, później w użytkowaniu państwowym, by po dziewięćdziesiątym roku ulec najpierw powtórnej prywatyzacji, a zaraz potem powtórnej rujnacji. Z rozbitymi dachówkami i wykruszonymi ścianami mogłyby służyć nowym gospodarzom tej ziemi za wyśmienity powód do wyrzutów sumienia – gdyby takowe mieli. Hadczuk zbyt długo tu mieszkał, by żywić co do tego jakiekolwiek złudzenia.

– To co, jedziemy teraz do gminy? – spytał Latawiec, klepiąc go w ramię.

– Możemy podejść – odparł Hadczuk, pokazując palcem duży piętrowy budynek, świeżo pomalowany na gustowną kawę z mlekiem. – Rześkie powietrze, ochłoniesz trochę.

Łukasz przybrał minę spektakularnego zdziwienia i chciał się odciąć, ale szybko przekalkulował i zmilczał. Wytarł spocone dłonie o spodnie i ruszył za przełożonym. Podczas przechodzenia przez jezdnię przyspieszyli kroku,

umykając przed ciężarówką z drzewem. Zapachniało trupem lasu. Szyszkownicy cięli na całego, zero wakacji.

3

Ludzie to gnijące trupy. A już najbardziej ci żywi, bo tam ciągle w środku się kisi, fermentuje, rozkłada. Potem wypierdują na zewnątrz wulkaniczne gazy. Ten tu cały śmierdzi jak jeden wielki pierd.

Ma prawo śmierdzieć. Siedzi tu od dwóch dni i robi pod siebie. Powinien zmięknąć, ale żeby aż tak?

– Ej, gruby, nie psuj powietrza.

Facet nie zareagował, nawet oczu nie podniósł. Siedząc w kucki pod ścianą, ujął głowę w potężne łapska i trzymał nad kolanami jak kryształową kulę do wróżby. Jego nadgarstki spinała szeroka opaska zaciskowa, dwie inne ciasno krępowały mu kostki i Sławka zastanawiało, jak udawało mu się zdjąć spodnie do śmierdzącej roboty. Twarz zagubionego dziecka nie wyrażała nic.

Imponowało, że z taką łatwością obezwładnił człowieka trzy razy większego od siebie, w dodatku wyszkolonego, co było widać na pierwszy rzut oka.

– Weź się ogarnij, bo jeszcze mi się tu rozbeczysz. Ty pies jesteś, co nie?

Zero reakcji. Podłoga stanowiła dla psa obiekt znacznie ciekawszy od niego. Należało zmienić te proporcje. Uderzył krótko i szybko z pięści, w lewą kość policzkową. Zaskoczony mężczyzna nawet się nie zasłonił, głowa mu odskoczyła i uderzyła w ścianę piwniczki. Musiało go zamroczyć, bo na chwilę zacisnął powieki i dyszał ciężko. Młody Dudas odczekał pół minuty i uderzył ponownie. Tym razem osiłek okazał się bardziej pojętny: obniżył głowę i pięść wylądowała na skroni.

– Masz odpowiadać, jak pytam. Jesteś psem?

Kiwnięcie łbem. I ochrypły głos:

– Tak.

– Szukasz Krzyckiego?

Cisza. Dudas przykucnął i uniósł pięść, a wtedy tamten zasłonił się związanymi rękami. Opuścił i tamten też opuścił. Podniósł i tamten znowu się zasłonił. Jak zabawka. Młodego nawet to bawiło.

– Hej, jaki ty głupi jesteś. No to mów, szukasz Krzyckiego, co? Widzisz, i tu jest problem, bo ja też szukam. Właściwie nie muszę szukać, po prostu poczekam na niego, gdzie trzeba. I nikt nie powinien mi w tym przeszkadzać. Ani ty, ani żaden inny jebany glina, któremu się wydaje, że szkoła policyjna upoważnia do wpierdalania się w nie swoje sprawy. Mam nadzieję, że przez te dwa dni dotarło to do ciebie. Masz jakiś pomysł co dalej?

Facet podniósł oczy i zaczął mu się przyglądać z zaciekawieniem. Zaczerwieniony policzek jeszcze bardziej zniekształcił jego bułowatą gębę i teraz mógłby spokojnie robić za dynię w Halloween. Inteligencji w jego spojrzeniu było tyle co prawdy w reklamie środka na porost włosów, ale Sławek Dudas uznał to za okoliczność sprzyjającą. Wielki i głupi glina na usługach to prawie gotowy scenariusz przygodowy. Należało wykorzystać okazję.

Przyszło mu to do głowy od razu, kiedy tylko zobaczył go o świcie w lesie, jak sunął poboczem niczym rozwścieczony buhaj za torreadorem, a ścigał własny samochód zajumany przez Krzyckiego. Nie docenił krakusika, a to błąd i teraz trzeba płacić. Sławek podebrał go na stopa, obiecując dogonić złodziejaszka, i zaraz zjechał z głównej drogi na skrót, żeby zmniejszyć dystans. No a potem to już bułka z masłem: paralizator, worek na głowę i plastikowe kajdanki, bo całą ich paczkę odziedziczył po starszym bracie i woził ze sobą. Inaczej mówiąc, udowodnił tępakowi, że jest zbyt tępy na Krzyckiego, co powinien już zrozumieć wcześniej, tam w lesie. Teraz dostał dwa dni w kamiennej piwniczce, sam, żeby przemyśleć sprawy i zmienić nastawienie do świata.

On sam potrzebował tych dwóch dni dla domknięcia spraw w Słupsku, żeby go nie zaczęła ścigać cała tamtejsza dilerka. No i... dla matki. Nie przypuszczał, że go jeszcze będzie obchodzić. Jedno wielkie kurewstwo!

Uderzył tamtego w twarz.

– Jesteś zbyt tępy na Krzyckiego, czaisz, głąbie? Po co w ogóle za nim leziesz? Chcesz go załatwić?

Wielkolud odburknął niezrozumiale.

– Co mówisz?

Był pewny siebie. To najważniejsza lekcja, jaką mu dała śmierć brata. Skromność należała do najsłabszych walut na tym rynku, notowanych niżej od głupoty i szlachetności. Niewiele dało się za nią kupić, zwykle garść lekceważenia, nie licząc kopniaków. Więc kiedy ten łajdak Krzycki zabił Rafała, skromny i niepewny siebie Sławek mógł się nareszcie zmienić. Musiał się zmienić. Pewność siebie spłynęła na niego jak pośmiertne błogosławieństwo od starszego brata.

W kieszeni miał glocka, stał na rozstawionych stopach i kontrolował sytuację, gotów w każdej chwili zareagować. Mamrotanie wielkoluda nosiło cechy otępienia, zupełnie zrozumiałego po dwudniowej izolatce. Dla bezpieczeństwa jednak włożył rękę do kieszeni i zrobił dwa kroki do przodu.

O jeden za dużo.

– Mów wyraź...

Pies kopnął tak szybko i mocno, że Sławek wprawdzie podskoczył, ale spięte opaskami nogi tamtego trąciły go w buty – i to wystarczyło. Stracił równowagę i przy upadku musiał się podeprzeć rękami. Wyszarpnął z kieszeni pistolet, nim jednak zdążył go wycelować, wielkolud okręcił się na biodrze jak na karuzeli i runął na niego. Złapał jego głowę pod pachę i zacisnął ramiona, a ciężar wielkoludziego ciała zadziałał jak najlepszy chwyt obezwładniający. Uzbrojona w glocka prawa ręka została pod Sławkiem, zresztą gdyby nawet teraz dał radę pociągnąć za spust, najpewniej odstrzeliłby sobie jaja. Przez kilkanaście sekund szukał sposobu, by się wyzwolić spod betonowego nacisku, potem zaczął odpływać.

Kiedy się ocknął, leżał pod ścianą z rękami i nogami – a jakże – unieruchomionymi za pomocą opasek zaciskowych. Jego własnych, przecież całą paczkę miał w bagażniku golfa. Tamten siedział po turecku na ziemi i od niechcenia stukał sobie pistoletem w kolano. Po dwóch dniach skrępowania okazał się znacznie sprawniejszy, niż na to wyglądał. Jego twarz niosła pogodne przesłanie o tym, że nawet gliniarz o inteligencji stojaka na parasole potrafi się ironicznie uśmiechać.

– Jesteś, chłopczyku, bardzo bystry – zaczął tonem niemal ojcowskim. – Tak, szukam Krzyckiego i nikt nie powinien mi w tym przeszkadzać. Nie twoja sprawa, kim jestem, lepiej skup się teraz na przeżyciu następnych dwóch minut. Biorąc pod uwagę różne względy – i nie chodzi tylko o różnicę w kategorii wagowej – powinienem cię porządnie palnąć w ucho, a to, co z ciebie zostanie, wrzucić do najbliższej studzienki kanalizacyjnej. Właściwie już unosiłem rękę, moja wrodzona dobroć wstrzymała jednak w pół drogi karzące ramię sprawiedliwości i nakazała poszukać okoliczności łagodzących. I wyobraź sobie, synu, że znalazła. Jakież to szczęście dla ciebie! Istna łaska! Zgadzasz się, prawda?

Sławek Dudas nie potrafił rozstrzygnąć, czy huczące mu w głowie oszołomienie bardziej pochodziło od chwilowego niedotlenienia mózgu czy od zaskoczenia. Ten debil mówił całkiem składnie i do rzeczy. Silił się nawet na rzadką wśród policjantów elokwencję. Udawał? W dodatku cytował jego własne słowa i myśli! Doprawdy, dziwność tego świata nie ma granic. Zamyślony nad ową dziwnością zrazu nie odpowiedział i tym samym doczekał się następnego cytatu z samego siebie. Krótki cios wylądował dokładnie na kości policzkowej pod prawym okiem.

– Masz odpowiadać, jak pytam. Zgadzasz się, że masz szczęście?

– Tak.

– A wiesz dlaczego?

Otumaniony ciosem, szukał prawidłowej odpowiedzi, co mu przychodziło z trudem, ponieważ mózg zalewała zwierzęca wściekłość. Szarpała nim od środka jak czarny, ruchliwy stworek, który zaraz rozerwie klatkę piersiową i wyskoczy na zewnątrz.

– Tak, wiem.

– No to podziel się radosną nowiną z panem psem. Dla własnego dobra, bo dokładnie od tej minuty zależy twoje zasrane życie.

Następny cios był na odlew, otwartą dłonią. Jak podmuch eksplozji.

– To dla równowagi. Mów.

Wielkolud musiał być miłośnikiem filmów z Jasonem Stathamem, tam biło źródło jego egzystencjalnych wzorców. Był nawet równie jak tamten wytrzymały. Sławek naprężył z całej siły mięśnie, żeby upuścić trochę wściekłości. Ulżyło. Co robić? To, co należy. Sytuacja bez wyjścia jest optymalna do szukania wyjścia.

– Ty chcesz dopaść Krzyckiego, a ja wiem, gdzie może być. Dwa plus dwa, jestem ci potrzebny żywy. Od razu mówię, że mi pasuje.

Przeszarżował z tym ostatnim zdaniem. Ten cios wylądował na prawej skroni – kolejny cytat. Rzuciło nim o ścianę, ale nie stracił przytomności. Z uśmiechem już mniej ironicznym, a bardziej sadystycznym wielkolud masował sobie knykcie.

– Ja tu ustalam, co komu pasuje, nie ty. Gadaj.

Młody zakurzonym rękawem bluzy otarł krwawiące czoło. Facet miał tłoki parowe zamiast ramion, gdyby uderzył z całej siły, pewnie pięść przeszłaby przez mózg Dudasa na wylot. Niezły obrazek, swoją drogą.

– Nie wiem dokładnie. Domyślam się, gdzie może się pojawić... Zaczekaj! – krzyknął, zasłaniając się łokciem. – Mówi ci coś nazwisko Kała?

Wielkolud skinął głową i kazał kontynuować.

– Kała w swojej kryjówce czeka na Krzyckiego, żeby z nim wyrównać jakieś stare rachunki jeszcze z policyjnego przedszkola. Chyba trzyma też tego drugiego glinę z Krakowa, ale nie jestem pewien. Prędzej czy później Krzycki znajdzie Kałę, a nam wystarczy poczekać na miejscu. O tym mówiłem.

– Gdzie to jest?

– Co?

Pięść znowu się uniosła i Dudas natychmiast sam sobie odpowiedział:

– Problem w tym, że są dwie kryjówki. Gdyby każdy z nas zaczaił się przy jednej, mielibyśmy pewność...

Olbrzymie ramię niebezpiecznie zawisło w powietrzu. Gorączkowo kombinował, co jeszcze powiedzieć.

– Jeśli chcesz go zabić, mogę ci pomóc. Trochę się na tym znam. Kumasz, o co biega, nie? – Uśmiechnął się porozumiewawczo i pokazał palcami na pistolet. Wielkolud zrozumiał chyba coś innego, ponieważ wyszczerzył zęby, odbezpieczył broń i przystawił mu do czoła.

– Masz dziesięć sekund. Jak nie wiesz, gdzie jest Krzycki, wymyśl coś. Nie muszę chyba dodawać, że pociągnięcie za spust rozwiąże mi parę problemów. Myśl szybko, synku. Raz, dwa, trzy.

– Jedna kryjówka jest w nieczynnej fabryce pod Przestawnem. Druga w Łątku, bunkier nad jeziorem, na skraju starego niemieckiego cmentarza. Obstawiam ten drugi, bo jest lepiej zamaskowany, nie ma go na żadnej mapie. Możemy tam razem...

– Skąd to wszystko wiesz?

– Od brata.

Wielkolud cofnął pistolet, schował do kieszeni i przyjrzał się uważniej Sławkowi.

– Ty jesteś bratem tego Dudasa, co go Benek kropnął ze snajperki?

– Krzycki go zabił. Wiem na pewno.

– Jak chcesz – powiedział zwalisty. – Każdy sobie wybiera winnych, którzy odpowiadają za jego łajdactwa. Dlaczego nie masz komórki?

– Żeby mnie nie namierzyli.

– Sprytne. A jak ci na imię?

– Dawid.

Facet klepnął się z uciechą w udo i ryknął głośnym śmiechem.

– Zajebiście! To ja jestem Goliat. Jesteśmy na siebie skazani, jak w tym filmie!

Wyszarpnął zza pasa nóż, który zabrał Sławkowi, i przeciął plastikowe więzy. Podał mu ramię i pomógł wstać. Gdy tylko młody Dudas stanął na nogi, wielkolud porwał go za klapy i uniósł do góry.

– Raz mi podpadniesz i zabiję jak psa. Gołymi rękami. Jasne?

Sławek kiwnął energicznie głową, za co w nagrodę został z powrotem postawiony na ziemi. Ruszył pierwszy, zastanawiając się, o jakim filmie mówił ten wielkolud. Idiotą wprawdzie nie był i coś tam kojarzył, ale na Biblii znał się słabo. Z tym zabijaniem między Dawidem i Goliatem wyglądało trochę inaczej.

4

W urzędzie gminy na drzwiach wejściowych wisiała wielka klepsydra z nazwiskiem wójta Kuleszy, dodatkowo obwiedziona czarną, żałobną wstęgą. Pod drzwiami ktoś położył bukiet polnych kwiatów. Wyglądały na świeże, dzisiaj zerwane.

– W gminie w Grębówku nikt tak wójta nie żegnał – zauważył filozoficznie sierżant Łukasz Latawiec, popychając drzwi ostrożnie, jakby wchodził do kaplicy.

– Wójt wójtowi nierówny – odparł komisarz Ryszard Hadczuk. – Podobno każdy człowiek jest inny.

– Podobno.

Wewnątrz nastrój kaplicy jeszcze wzmagały wszechobecne cisza i pustka. W korytarzach nie było nikogo, zza drzwi nie dochodziły żadne dźwięki normalnie towarzyszące pracy biurowej, jak stukanie w klawiaturę, szum kserokopiarki czy zwykłe ludzkie głosy. Nic, cisza. Skręcili z holu w lewo, minęli opuszczone stanowisko recepcyjne i przeszli korytarzem prosto pod gabinet wójta. Latawiec zapukał i zaraz potem nacisnął klamkę. Ludzie często tak robią, a dla policjantów to dodatkowa szansa na zdobycie informacji.

W środku siedziało pięć kobiet. Jedna na fotelu za biurkiem, dwie obok niej i dwie pozostałe po drugiej stronie, na krzesłach dla gości. Na widok wchodzących policjantów odwróciły się gwałtownie, a jedna z nich, ta z fotela szefa, zamarła z otwartymi ustami. Latawiec rozpoznał w niej sekretarkę, z którą rozmawiał już poprzedniego dnia.

– Dzień dobry, jesteśmy z policji... – zaczął i nie dokończył, ponieważ sekretarka szybkim ruchem zgarnęła z blatu plik papierów do szuflady, przekręciła klucz i schowała go do kieszeni żakietu.

– Nic nie powiemy! – oświadczyła głosem wojowniczki o prawa kobiet i łyknęła wody ze szklanki na poparcie swoich słów. Siedząca obok, wysoka i chuda brunetka z ostro wymalowanymi ustami, przytaknęła energicznie. Widocznie uznała swój gest za niejednoznaczny, ponieważ zaraz potem równie energicznie pokręciła głową. Nie, nic nie powiemy. Pozostałe trzy tylko patrzyły w napięciu na gości. Dwie starsze miały na sobie biurowe kostiumy w nieokreślonym kolorze, trzecia obcisłą trykotową koszulkę, czarne legginsy i zaczerwienione oczy.

– Nie chcemy szanownym paniom przeszkadzać – zaczął ponownie Latawiec, sięgając do arsenału swych środków – ale zależy nam na wykryciu sprawców tej ohydnej zbrodni...

– W ogóle wam nie zależy – przerwała mu kąśliwie chuda brunetka. – Gdyby wam zależało, pan Rajmund by żył.

– Tu nie trzeba niczego wykrywać – dodała sekretarka. – Wiadomo, kto to zrobił.

– Kto? – spytał natychmiast Hadczuk.

Kobieta zacisnęła usta i ostentacyjnie odwróciła się bokiem. Dwie panie siedzące tyłem do stojących w progu policjantów spuściły głowy i studiowały coś z uwagą na podłodze. Ta z płaskim biustem i zaczerwienionymi oczami wyjęła chusteczkę i hałaśliwie wysiąkała nos. Za oknami z hukiem przetoczyła się kolejna ciężarówka z drzewem. Gdy łomot przebrzmiał, w gabinecie zrobiło się jeszcze ciszej. Jedyne, co słyszeli, to tykanie białego ściennego zegara. Hadczuk po kolei przyglądał się zawziętym twarzom skupionym wokół biurka zamordowanego szefa.

Pięć kobiet jak pięć wdów. Kulesza był tu nie tylko szanowany, ale i kochany, o tym mówiły te polne kwiaty pod klepsydrą. W zaciętych obliczach urzędniczek zawierało się więcej informacji niż w papierach zgarniętych pospiesznie do szuflady, które łatwo przecież mogli zdobyć na mocy prokuratorskiego nakazu. Na blacie zostało tylko kilka żółtych karteczek z nazwiskami i numerami telefonów. Hadczuk zrobił krok do przodu i usiłował wejść w rozsądną polemikę z niechętnymi im niewiastami, przy okazji zerkając na fiszki.

– Same panie rozumiecie, że to nie ma sensu. Gdybyśmy wiedzieli, kto to zrobił, aresztowalibyśmy go natychmiast i nasza wizyta tutaj byłaby zbędna. Chodzi o to, że nie wiemy. Gorzej – nie mamy pojęcia, gdzie w ogóle zaczynać. Jeśli coś panie wiedzą, proszę nam powiedzieć. To naprawdę ważne.

– Nie jesteśmy policyjnymi informatorami – odpaliła sekretarka, najwyraźniej przywódczyni grupy. – Policja nie dowie się od nas niczego, bo sama nie chce rozwiązać tej sprawy. I pan o tym dobrze wie. Krótko mówiąc, „drogie panie” są dla was zbyt drogie.

Chuda brunetka uśmiechnęła się kwaśno i kiwnęła z aprobatą. Zapłakana dziewczyna w legginsach znowu dmuchnęła w chusteczkę, a dwie siedzące tyłem odwróciły się nagle do śledczych i obdarzyły ich szerokimi uśmiechami. Hadczuk nic z tego nie rozumiał. Przeskakiwał wzrokiem z jednej na drugą, aż w końcu zatrzymał się na sekretarce, ponętnej blondynie z włosami prasowanymi w falisty makaron. Zastanawiał się, czy jej atrakcyjny biust, wepchnięty pod zbyt obcisły T-shirt, mógłby wystarczyć za motyw zbrodni.

– Ale jeśli panie wiecie... – zająknął się Łukasz Latawiec – to powiedzcie coś! Wczoraj pani mówiła, że pojechał do kancelarii notarialnej w Słupsku, ponieważ był umówiony po południu na spotkanie.

– Nic takiego nie mówiłam – zaprzeczyła sekretarka. – Pan się przesłyszał. A teraz przepraszamy, musimy wracać do pracy. Do widzenia.

– Co jest w tych papierach? – spytał nagle Hadczuk, pokazując na biurko. Liczył na zaskoczenie, jednak fortel się nie udał.

– Nic.

– Wie pani, że prokurator może nakazać udostępnienie dokumentów? Postaram się, by to zrobił jak najszybciej.

– Wie pan, że mam to w nosie? I postaram się, żeby do jutra stąd znikły.

– To przestępstwo.

– I kto to mówi?

– Za utrudnianie śledztwa możemy was ukarać grzywną, a nawet aresztem.

– Niech pan nie będzie śmieszny – odparła lodowato. – Tu zabijają ludzi za kawałek ziemi, odcinają im głowy jak ostatni barbarzyńcy, a pan mi pieprzy o grzywnie? Madziu, zamknij za panami. Niech się wynoszą.

Madzia, dziewczyna z zaczerwienionymi oczami, uniosła głowę zdziwiona i zabrała się do wstawania, ale Hadczuk powstrzymał ją uniesioną dłonią.

– Nie trzeba. Do widzenia, bardzo nam panie pomogły.

Wyszli niepożegnani ani jednym słowem. Przeciąg widocznie współpracował z paniami, ponieważ drzwi za policjantami zatrzasnęły się z hukiem. Ich kroki w pustym korytarzu niosły się donośnym echem, jakby hałas obcasów miał przepędzić tę nieznośną ciszę. Gdy wyszli na zewnątrz, uderzył ich zimny wiatr od morza. Zdmuchnięty bukiet polnych kwiatków leżał koło stojaka na rowery. Hadczuk podniósł go i ułożył z powrotem pod klepsydrą.

– O co jej chodziło z tym kawałkiem ziemi? – spytał Latawiec z obolałą miną. Jego sympatyczna elokwencja po raz drugi tego dnia poniosła porażkę.

– Myślę, że wójt Kulesza z racji swego urzędu był uwikłany w handel gruntami – wyjaśnił Hadczuk, zapinając kurtkę. – To są te duże pieniądze, których szukamy. Ktoś skupuje pola nadające się pod farmy wiatrowe, żeby potem z pozycji właściciela dyktować ceny dzierżawy. Kupujesz ziemię na podstawionych ludzi, zwanych popularnie słupami, i potem wynajmujesz inwestorom na korzystnych dla siebie warunkach. Im więcej kupisz, tym

więcej masz do powiedzenia w kwestii ceny, proste. Idealnym rozwiązaniem byłoby skupić wszystko. To, zdaje się, kiedyś planował Artur Kała.

Łukasz Latawiec zatrzymał się na środku chodnika.

– Czy to miała na myśli ta kobieta, mówiąc, że wiemy, kto to zrobił?

– O tym nie mogę przesądzać, ale w kancelarii Smuta & Wądlik z pewnością dowiemy się więcej. Najpierw jednak pojedziemy gdzie indziej. Zwróciłeś uwagę na te karteczki na biurku?

– Ty widzisz tak daleko? – zdziwił się Latawiec.

– Po to zrobiłem krok do przodu. Wydawało mi się, że widzę na jednej z nich znajome nazwisko, dwukrotnie podkreślone.

– Jakie nazwisko?

– Śmigoń. I numer telefonu. Mąż zmarłej sklepikarki zostawił swój numer telefonu z prośbą o oddzwonienie. W piątek po południu, w przeddzień zajścia pod sklepem. To może być klucz – powiedział Hadczuk, po czym dodał, krzycząc: – Cholera, żeby mi powiedział choć jedno zdanie!

– Kto?!

– Nieważne. Jedźmy do Śmigonia.

Hadczuk ruszył z piskiem opon i się nie odzywał, Latawiec przetwarzał w myślach nowe informacje.

– Nie miałeś wrażenia, że te baby w biurze coś kombinują?

– Uhm.

– Normalnie wszystko wiedziały i nic nie chciały powiedzieć.

– Uhm.

Za oknem mijali zgniłozielone pola przyprószone szarością pochmurnego dnia. Na drugim końcu długiego zagonu pracował traktor, resztki błota wykruszone z jego bieżników zalegały na szosie. W górze na wietrze unosiły się mewy i Łukasz pomyślał, że gdyby otworzył okno, usłyszałby ich piskliwe okrzyki. Nie miał jednak zamiaru otwierać, było zimno. Mewy

krzyczały bezgłośnie. Z czarnych łebków wystawały czerwone, półrozwarte dzioby, więc to może rybitwy. Gdy jesteś zamknięty w swoim ciasnym pudle, ci na zewnątrz mogą krzyczeć, a i tak nic nie usłyszysz. Trzeba by otworzyć okno, ale zimno, więc dla własnej wygody nie otwierasz i tylko obserwujesz czerwone dzioby, jak się zamykają i otwierają, zamykają i otwierają. Uhm, uhm, całkiem jak Hadczuk.

– Czyli masz, jak chciałeś – podsumował swoje rozważania.

– W sensie?

– Nie będzie mówione.

Hadczuk otworzył usta, a potem je zamknął. Wróciła duszna samochodowa cisza.

5

– Dominika, posłuchaj mnie uważnie. Nie, do jasnej cholery, nie przerywaj mi, tylko posłuchaj chwilę! Nie możesz tak siedzieć w ciszy i czekać na zbawienie. Niczego w ten sposób nie popychasz do przodu, tylko ryzykujesz i oddajesz całe pole przeciwnikowi. To wbrew wszystkim zasadom pracy policji i wbrew rozsądkowi. On, ten cały Kała, jest zwykłym gnojkiem i trzeba się z nim rozprawić. Nie przerywaj mi! Siedzisz? To usiądź, weź trzy głębokie wdechy i opowiedz mi to jeszcze raz, ze szczegółami.

Komendant Dariusz Byczkiewicz siedział w swoim gabinecie na Mogilskiej w Krakowie i niemal słyszał przyspieszony oddech i chlipanie Dominiki Rodriguez po drugiej stronie telefonu, sześćset kilometrów dalej. Za oknem mlecznożółte słońce przypiekało wypaloną już na brąz trawę, kpiąc z kalendarza, który pod koniec sierpnia nakazywał rozsądek i odpuszczenie sobie po trzech tygodniach upałów, ewentualnie przemieszczenie ich na Pomorze, gdzie zamiast sierpnia królował październik. Z rozsądkiem jednak nie było ostatnio najlepiej. Krakowskie remonty dróg przysnęły, gdzieniegdzie całkiem zamarły i tylko

porozstawiane po mieście barierki, zwężenia oraz czasowe zakazy wjazdu przypominały, że ktoś kiedyś miał tu coś zrobić. Kopary i wywrotki wrócą wraz z początkiem roku szkolnego. Żeby było weselej.

– Darek, nie mogę – wykrztusiła wreszcie Dominika. – On go zabije.

– Każdy porywacz tak twierdzi, ale wbrew pozorom to się rzadko zdarza. Jeśli nie powiesz, będzie jeszcze gorzej. Uwierz mi, robię w tym od dawna. Gadaj, to rozkaz.

Starał się mówić spokojnie, perswadować opanowaniem, jednak krew go zalewała. Połowa ludzi, w tym obaj jego zastępcy, poszła na urlop i to właśnie on musiał teraz dyżurować w komendzie. Inaczej rzuciłby wszystko od razu i pojechał do tego zasranego Słupska, żeby zrobić porządek. Oczywiście, rozsądnie. Próbował rozmawiać przez telefon z tamtejszym komendantem, Krzysztofem Zdybasem, ale facet kręcił jak małolat z trawką na pierwszym przesłuchaniu i do niczego sensownego nie doszli. A najbardziej wkurzył go Krzycki. Jak tylko wróci do Krakowa, dostanie takie zwolnienie z pracy, że mu z dupy w pięty pójdzie!

– Zrozum, to nie żarty – szlochała dalej Dominika. – Ten Kała to wariat, w dodatku wszystkich tu ma w kieszeni i robi, co chce. O wszystkim wie pierwszy... jak się dowie, że cokolwiek powiedziałam albo pokazałam film...

– Jaki film?!

Westchnienie. Szukanie chusteczki do nosa i głośne smarkanie.

– Żaden. Nic. Darek, zostaw mnie w spokoju. Nie wiem, może tak jest lepiej, żeby on to sam załatwił.

– Kto?

– Andrzej. Kała chce tylko jego. Więc może jak się w końcu spotkają, to jakoś...

Przerwała i zaczęła znowu posmarkiwać w chusteczkę, podczas gdy komendant Byczkiewicz zbierał się do następnego ataku. Srał pies opanowanie.

– Czy ja dobrze słyszę? Wysłaliście Krzyckiego samego, bo jakiś popieprzony bandzior tego chce? I Andrzej ma sam wszystko zrobić? Uratować Lucka, pokonać złego prezesa, przywrócić równowagę w pomorskim kosmosie, a na koniec jeszcze naprawić wszystkie zepsute wiatraki? A wy siedzicie z założonymi rękami i czekacie, aż skończy dwanaście prac Herkulesa, żeby mu postawić w nagrodę piwo? Przecież on, kurwa, uciekł ze szpitala! Jest chory! I nie pije!!!

– Nie o to chodzi, Darek – odparła całkiem cicho, jakby przyjęła do wiadomości właśnie wykrzyczane do niej zarzuty. – Nikt nie wie, gdzie on jest.

– Kto, Krzycki?

– Nie! Kała z Luckiem!

– Ja pierdolę, ja pierdolę... – mamrotał Byczkiewicz, zbierając myśli. – Czy wyście tam wszyscy potracili rozumy? Powyłączali wam mózgi? Lobotomię zbiorową zrobili? Gdzie wasze wyszkolenie! – Łyknął wody prosto z butelki, chociaż obok stała pełna szklanka. – Czy na Pomorzu są posterunki policji? – zaczął z innej beczki. – Czy każdy z nich nie ma rejonu, który mu podlega? Czy funkcjonariusze każdego z tych posterunków nie powinni teraz przeczesywać swoich rejonów w poszukiwaniu zaginionego oficera policji? Mojego, do kurwy nędzy, oficera?

– Przecież to robią!

– W takim razie robią nieudolnie. Albo nie umieją, albo nie chcą. Nie no, szlag mnie trafi. Zaraz tam jadę!

– Nie, błagam. Darek, panie komendancie, nie. Mówiłam ci, jak tylko zaczniemy coś robić, Kała zabije Lucka. On nie tylko jest do tego zdolny, ale na to czeka. Jestem pewna. To nie jest zwykły wariat, to kompletnie... – chwilę szukała słowa – ześwirowany wariat. Wierz mi, siedzę tu trzeci dzień, rozpaczam i kombinuję, co jeszcze można zrobić. I niczego nie wymyśliłam. Uczyli nas w szkole, że jeśli nie ma pewności co do sposobu unieszkodliwienia porywaczy, należy przyjąć ich warunki i w tych ramach działać. Tu, w tym Słupsku, jest bagno, tyle zdołałam ogarnąć. Nikt nikomu

nie ufa, ludzie minimalizują wysiłki, żeby nie musieć się potem tłumaczyć z tego, co zrobili. Nakręcanie ich teraz do szukania Lucka nie przyniesie niczego dobrego, a tylko rozzłości co poniektórych i będzie jeszcze gorzej. Nie naprawisz gniazda os, grzebiąc w nim patykiem. A zapłaci za to Lucek. Uwierz mi, komendancie, przemyślałam to na wszystkie strony i myślę, że w ten sposób najbardziej pomogę mojemu mężowi. Dlatego, wybacz, nic nie powiem.

Powiedziała „mojemu mężowi" takim tonem, jakby wymawiała zaklęcie. Byczkiewicz sapnął ciężko. W zasadzie miała rację. Zorganizowane działania policji natychmiast mogą wywołać nieobliczalną reakcję porywacza, który zapewne wprowadził dodatkowe warunki gry. Domyślał się, że tego właśnie Dominika nie może mu zdradzić. Takie rzeczy zwykle towarzyszą porwaniom dokonywanym przez psychopatów. Może negocjator załatwiłby sprawę? Super, tylko nie wiadomo, dokąd go posłać. Byczkiewicz zaczynał rozumieć, dlaczego Andrzej Krzycki, jego najlepszy śledczy, właśnie zwolnił się z pracy przez telefon, jakby rezygnował z zamówionej pizzy. Chciał być sam i niewidoczny, zniknąć jak porywacz, rozpłynąć się we mgle i wyskoczyć znienacka w najmniej oczekiwanym miejscu. Wyrównać szanse. Dominika i w tym miała rację – ten Kała chyba nie do końca zdawał sobie sprawę, na co się porywa. Nikt lepiej od Krzyckiego nie walczył we mgle.

– Cała nadzieja w tym, że Andrzej to też ześwirowany wariat – westchnął. – Czy to nie masło maślane?

– Co?

– Ześwirowany wariat.

– Chyba tak. – Próbowała zaśmiać się do słuchawki, jednak skończyło się na kolejnym smarkaniu. – Darek, powiedz mi, że wszystko będzie dobrze.

– No, kochana. Jeden ześwirowany wariat walczy przeciw drugiemu ześwirowanemu wariatowi, żeby uwolnić twojego męża, który też czasem nieźle świruje. Co tu ma być dobrze? Żartowałem. Dominika, będzie dobrze. Ale melduj mi o wszystkim, bo na razie nie jest dobrze.

– Darek?

– No?

– Nie mów nikomu. Proszę cię. To wszystko tu jest takie kruche...

– Nie powiem. Za to naskarżę na was Dorocie. Jak wrócicie, wszystkim wam spierze tyłki, zobaczysz.

– Nie wątpię. Cześć, komendancie.

– Trzymaj się. I dzwoń, jak tylko co.

Po rzuceniu telefonu na blat biurka komendant Byczkiewicz zwolnił wysokie obroty emocji i opadł na fotel. Klimatyzacja w gabinecie znowu nie działała i jego koszulka była mokra. Po spoconym suficie chodziły zadowolone z upału muchy, jedna nawet z satysfakcją zacierała łapki. Z wiaduktu kolejowego dochodził monotonny stukot wagonów tuk, tuk-tuk, tuk-tuk, tuk. Ciepła skóra fotela przypomniała mu, że dopiero niedawno zajął miejsce po swoim poprzedniku i że tak samo jak tamten posiedzi w tym przyjemnym i wygodnym zagłębieniu tylko jakiś czas, by zwolnić je dla swojego następcy. Ludzie się zmieniają, a funkcja zostaje. Dłużej klasztora niż przeora. Choć taka funkcja, jacy ludzie. A diabeł jest taki, jak go malują. Nie, jakoś inaczej to szło. No i nie święci garnki lepią. Co było na plus? Że nie powiedział Dominice o telefonicznym wybryku Krzyckiego, świadczącym nie tyle o gorliwym wypełnianiu służbowych obowiązków oficera policji, ile o ostentacyjnym wypięciu się na nie.

Telefon od komendanta Byczkiewicza wcale nie uspokoił Dominiki. Uświadomił jej tylko, jak bardzo skomplikowana jest ich sytuacja. Te wszystkie nieregulaminowe zagrania i nadużycia mogą się wkrótce na nich zemścić. Tyle że jak dotąd działania regulaminowe nie przyniosły żadnych rezultatów, i w dodatku dawały punkty przewagi Kale. Krótko mówiąc, nie było dobrego rozwiązania, a to najlepsze ze złych pokładało nadzieje w Krzyckim. Nadzieja bowiem umiera ostatnia i wyżywi się byle jaką strawą.

Usiadła na łóżku, otarła zapłakaną twarz i wybrała numer Benka Mrówczyńskiego. Natychmiast włączyła się automatyczna sekretarka, jak wiele razy w ciągu ostatniej doby. Benek znikł, podobnie jak Andrzej.

I Lucek. I Kała. W ciemnym, pomorskim i zwykle pustym lesie robiło się coraz tłoczniej. Nie miała pojęcia, czy to właściwie dobrze czy źle.

6

Wejście policjantów do pogrążonego w żałobie domu jest równie zręczne jak wizyta kochanków panny młodej na weselu. Niby nic takiego, ale wszystkim głupio, łącznie z intruzami. Jadąc tu, Hadczuk i Latawiec liczyli na sytuację podobną do tej, jaką zastali u Kuleszów: załamany współmałżonek plus pocieszające go dzieci. Tymczasem w gospodarstwie Śmigoniów, leżącym pięć kilometrów od Przestawna, odbywało się coś znacznie bardziej okazałego i niejednoznacznego pod względem atmosfery. Do myślenia dawał już zestaw pojazdów na obszernym podwórzu, gdzie wśród byle jak porozstawianych traktorów, pługów, kombajnów, siewników i Bóg wie jakich jeszcze maszyn służących do drapania skóry naszej matki Ziemi stało sześć samochodów osobowych: dwa audi, dwa bmw, passat i daewoo lanos. Wszystkie co najmniej dziesięcioletnie, wymyte i wypastowane jak na wesele. Biegały wokół nich małe dzieci, błądziły czyste koty i brudne psy, gdakały kury, a z długich murowanych chlewni dochodziły kwiki rozemocjonowanej nierogacizny. Drzwi do sieni poniemieckiego domu z czerwonej cegły stały otworem, co obaj śledczy uznali za zaproszenie na imprezę i weszli do środka.

Z sieni należało skręcić w lewo, skąd dochodził gwar głosów. Gdy Łukasz Latawiec stanął w progu z palcem zgiętym wpół, by zapukać we framugę, gwar nagle ucichł i oczy siedmiorga obecnych zwróciły się w jego stronę. Towarzystwo żałobników zostało przez bliżej nieokreśloną siłę skrupulatnie podzielone według płci. Przy nakrytym ceratą prostokątnym stole siedziało czterech mężczyzn, trzech młodych i jeden starszy w czarnej marynarce, w kącie trzy kobiety zajęły szeroką wersalkę w kolorze sosu barbecue ze stacji benzynowej Arge. W starym piecu z płytą po drugiej stronie izby palił się ogień. Było gorąco, więc ktoś otworzył okno. Kobiety wycierały wilgotne oczy, mężczyźni pili wódkę.

– Dzień dobry. To chyba nie najlepszy moment... – zaczął nieśmiało Latawiec. – Może spróbujemy później.

– Panowie z policji? – huknął jeden z biesiadników, siedzący po prawicy seniora w czarnej marynarce. – Siadajcie. Życia mamie nie wrócimy, ale pogadać zawsze można. Kto z was dzisiaj za kółkiem?

Poderwał się jak rzeźnik do świniobicia i zamaszystym ruchem odsunął dwa krzesła przy stole, po czym wskazał je szeroką jak łopata dłonią. Pozostali na ten widok skinęli głowami.

– Ja dzisiaj prowadzę, ale na służbie nie pijemy – powiedział komisarz Hadczuk. – Proszę przyjąć najszczersze wyrazy współczucia.

– A kto miałby was złapać? Drogówka? – spytał rubaszny mężczyzna i zaśmiał się krótko.

– Marian, daj spokój – odezwała się miękkim półgłosem jedna z kobiet, drobna blondynka z mysim ogonkiem. – Żałoba jest.

– Nie ucz mnie. Wiem, co to żałoba – odciął się i postawił przed Latawcem napełniony kieliszek. – Za mamę pijemy. Dobra kobieta była. A waszą robotą jest złapać tych, co ją zabili.

Uniósł swój kieliszek i omiótł pozostałych rozkazującym wzrokiem. Wszyscy trzej jak na komendę unieśli swoje szkła, ponaglony brodą Łukasz Latawiec również. Wypili.

– Na serce umarła – wtrąciła znowu słabym głosem blondynka z mysim ogonkiem.

– Zabili ją! – powtórzył mężczyzna nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Wszystko było ukartowane! A wy – tu wycelował palcem w Hadczuka, który jako starszy i niepijący lepiej nadawał się na przeciwnika – macie obowiązek ich przymknąć. Wszystkich!

– To znaczy kogo? – spytał przytomnie Hadczuk. Przy stole najwyraźniej odbywała się nie tylko stypa, ale i sąd doraźny nad sprawcami, więc uznał, że warto spróbować się czegoś dowiedzieć.

– Całą tę wiatrakową bandę! Oni za tym stoją!

– Marian, przestań! – Blondynka, najpewniej żona, podniosła głos. – Co cię to obchodzi! Uszanowałbyś żałobę w domu, po co takie rzeczy teraz wyciągać?

– Ja tylko mówię, co myślę – odparł polubownie mężczyzna o aparycji rzeźnika i ponownie napełnił kieliszki. – A po co przyszli, jak ci się wydaje? Chcą wiedzieć, co myślimy. No to mówię!

– Nic nie mów, zamknij się – włączyła się druga, obfita blondyna z lokami jak serpentyny, urodą przypominająca zmarłą Lucynę Śmigoniową. – Mało ci nieszczęścia? Chcesz nowe na nas ściągnąć?

– Na pohybel bandziorom! – krzyknął rzeźnik w odpowiedzi i wychylił szybko kieliszek, za nim pozostali. Widząc ociąganie Latawca, Hadczuk nieznacznie skinął głową. Wypij, będzie nam łatwiej.

– My właściwie do pana Śmigonia – zwrócił się do starszego mężczyzny w czarnej marynarce.

Wdowiec miał po chłopsku ogorzałą, porytą bruzdami twarz i lekko zamącone, niepewne spojrzenie, trudno powiedzieć, na ile spowodowane żałobą, a na ile alkoholem. Hadczuk pochował już matkę i dobrze wiedział, że śmierć najbliższych kobiet faceci zwykle zalewają wódką. Szybki i łatwy sposób na ból, a problem pojawia się, dopiero kiedy trzeba pojechać załatwić coś na plebanii albo w zakładzie pogrzebowym.

– O co chodzi? – spytał Śmigoń oficjalnym tonem i wyprostował się jak do pamiątkowej fotografii. – W jakiej sprawie panowie przyszli?

Starał się patrzeć prosto w oczy swego rozmówcy, ale próby te pozostały tyleż heroiczne, co nieudane. Sprawiał wrażenie kogoś, kto ma w środku drugiego człowieczka, całkiem odklejonego i zajętego sprawami z innego świata. I ten drugi człowieczek próbował przejąć jego oczy.

„A jak pan sądzi?”, miał na końcu języka Hadczuk, zamiast tego jednak poprosił o rozmowę na osobności. Blondyna zaprowadziła ich do pokoju po drugiej stronie korytarza i usadziła w brzydkich kremowoszarych fotelach. Latawcowi, zanim opuścił kuchenną izbę, mężczyźni zdołali zaaplikować jeszcze jeden kieliszek „dotrumiennej”, jak ją nazwał rzeźnik, i jego oczy

również nabierały z lekka zamąconych znaczeń. Córka spytała ojca, czy na pewno nie potrzebuje pomocy, i po jego zaprzeczeniu wyszła.

– Pan wie, dlaczego przyszliśmy – zaczął spokojnie, choć z pewnym zdecydowaniem Hadczuk. Należało trochę ogarnąć tę niesforną stypę, odprawianą w przeddzień pogrzebu. – Tamtego dnia, kiedy został zamordowany wójt Rajmund Kulesza, udał się pan do urzędu gminy, aby z nim porozmawiać. Nie zastał go pan, ale prosił o pilny kontakt. O czym to miała być rozmowa?

Podkreślił słowo „pilny”, bo tak zrozumiał podwójne podkreślenie nazwiska Śmigonia na karteczce w biurze wójta. Mężczyzna pogładził dłońmi klapy marynarki, jakby poprawiał fryzurę i odparł chrapliwym głosem:

– Lucynka mi kazała.

Wymówił imię zmarłej i jego podbródek wpadł w drobne drgawki. Chcąc to ukryć, opuścił głowę i zaplótł palce u rąk, potem je rozplótł i zaplótł jeszcze raz, jakby ćwiczył do występu.

– Panie Śmigoń, rozumiem, że to dla pana trudne, pora również nie najlepsza. Ale wbrew temu, co twierdzi syn, naprawdę chcemy złapać mordercę. Musimy to wiedzieć. O czym chciał pan rozmawiać z Kuleszą? – Hadczuk powtórzył z naciskiem pytanie.

Czasem więcej od słów i gestów mówi błysk w oku. Zrozpaczony i otępiony dawkami alkoholu wdowiec zamrugał powiekami i w sekundę odzyskał jasność spojrzenia. Popatrzył na jednego, potem na drugiego, poprzebierał palcami na podołku i spytał trzeźwo:

– Widzieliście te dzieci na podwórku?

Na tak sformułowane pytanie mogli tylko odpowiedzieć w jeden sposób. Skinęli głowami.

– Jakbyście nie wiedzieli, to są moje wnuki. Trzy dziewczynki i dwóch chłopców. Dwaj synowie i córka z rodzinami siedzą w środku, poznaliście ich. Jutro będę chował żonę, której bardzo źli ludzie podrzucili pod sklep odciętą głowę Mundka Kuleszy. Jakbyście nie wiedzieli, znałem go od

dziecka i porządniejszego człowieka w życiu nie spotkałem. Dlatego chciałem pogadać właśnie z nim.

– O czym?

– Jak dzisiaj powiem wam, co wiem – ciągnął Śmigoń, ignorując pytanie – to czyją głowę jutro znajdę na podwórku? Umiecie dodać dwa do dwóch, tyle was chyba nauczyli w tej waszej szkole. Zresztą już kiedyś powiedziałem.

Śledczy spojrzeli po sobie.

– Panie Śmigoń, pan składał już jakieś zeznania na policji? O czym pan mówi?

– Kiedyś mówiłem, teraz już nic nie powiem. Jak nie rozumiecie, to nie. Głupi jesteście albo udajecie głupich.

– No, no, tylko bez takich. – Łukasz Latawiec stanął w obronie słupskiej policji. – Kiedy pan składał to zawiadomienie?

Władysław Śmigoń wstał z fotela, pogładził klapy marynarki i wyprężył się ceremonialnie.

– Panowie policjanci wybaczą, ale u nas jest żałoba. Może kiedy indziej. Do widzenia.

Stał z piersią wypiętą jak do dekoracji odznaczeniem za prawidłowe pożegnanie funkcjonariuszy, więc nie pozostało im nic innego, jak również się podnieść, skłonić i wyjść. Kiedy znaleźli się w sieni, Ryszard Hadczuk przypomniał sobie, że miał naśladować Krzyckiego i odwrócił się na pięcie, by stanąć twarzą w twarz z wychodzącym za nimi Śmigoniem i wykorzystać element zaskoczenia. Plan wyglądał inteligentnie.

– Powiedział pan „źli ludzie”. Ilu ich było?

Śmigoń cofnął się, jakby uderzyło go nie tyle pytanie śledczego, ile substancje eteryczne w jego oddechu, i pokręcił głową, zaciskając wymownie usta.

– Kobieta i mężczyzna? Ubrani na czarno?

Pytał półgłosem, żeby zachować dyskrecję, ponieważ w izbie za jego plecami zapadła pełna czujnej uwagi cisza. Wdowiec przybrał na powrót

minę otępiałego staruszka i drżącym gestem odsuwając sobie policjanta z drogi, przeszedł do kuchni. Obszedł stół, usiadł na swoim miejscu i nie patrząc na nikogo, wychylił spory kieliszek wódki. Wytarł usta wierzchem dłoni i pogładził klapy marynarki. Koniec wizyty.

Skłonili się żałobnikom i wyszli przed dom, gdzie Latawiec wykrzywił się do Hadczuka i bezgłośnie poruszał ustami: „Nie będzie mówione”.

Podwórkowe dzieci zbiły się w gromadkę przy olbrzymim kole traktora i z ciekawością obserwowały policjantów. Łukasz im pomachał, najstarsza dziewczynka jako jedyna odpowiedziała uniesieniem ręki. Pozostałe tylko patrzyły.

– Ale skinął – rzucił od niechcenia, wsiadając do samochodu.

– Kto?

– Śmigoń. Jak go spytałeś o kobietę i mężczyznę ubranych na czarno. Skinął.

– Nie wydaje mi się.

Ruszyli w drogę powrotną do Słupska. Za gospodarstwem Śmigoniów ciągnęły się rozległe pola kukurydzy, wśród których wąska i kamienista droga wiła się jak myśliwska ścieżka. Samochodem mocno kołysało na dziurach i obaj przytrzymywali się uchwytów, jak w przepełnionym autobusie. W zasięgu wzroku, aż po horyzont, nigdzie nie było widać ani jednego wiatraka.

7

Jak to na wojence ładnie,

Gdy ci z brzucha flak wypadnie

– podśpiewywał Artur Kała, chowając broń do kabury pod pachą. Wcześniej rozłożył i złożył swojego nowego sig sauera 1911 z ryflowanymi okładzinami na kolbie, wsunął pełny magazynek, przeładował i wymierzył najpierw w ścianę, potem w jednego z dwóch strażników przy drzwiach, który zbladł. Miał wielką ochotę wypróbować celność pistoletu na

Krzyckim i czekał na niego z nieukrywaną niecierpliwością. Aby skrócić czas oczekiwania, siadał przy metalowym stole, wypucowanym do niemożliwości przez garbatego posługacza, wysuwał magazynek z komory, przekręcał pierścień u wylotu lufy, wyjmował sprężynę i dokładnie studiował ją pod światło, odkładał, po czym wyjmował dźwignię bezpiecznika i odłączał lufę. Parę sekund przyglądał się wybebeszonemu pistoletowi o nienagannym oksydowanym błysku, włączał na zegarku stoper i zabierał się do składania. Nie wypadał przy tym wcale źle, mieścił się ze wszystkim poniżej minuty.

To go uspokajało. Dawał radę. Przy Krzyckim musiał być szybki. Nie mógł też okazać najmniejszej słabości wobec swojej drużyny, stojącej przy nim tyleż dla zysku, co ze strachu przed jego nieobliczalnymi odruchami, jak to mierzenie z załadowanego pistoletu. Pot z czoła ocierał chyłkiem, żeby nie widzieli. Zaraz potem śmiał się głośno z byle powodu albo bez powodu i snuł dalej swoją wojenną pieśń:

Koledzy cię nie żałują,

Jeszcze żonę przecwelują.

Jego kwatera leżała dziesięć metrów pod ziemią i była całkowicie odizolowana od zewnętrznych wpływów, więc żeby zadzwonić, musiał wychodzić na zewnątrz. Zabrał wartownika, do którego przed chwilą mierzył, i poszli betonowymi schodami w górę. W połowie drogi wyjął z kieszeni sto euro i wcisnął chłopakowi do kieszeni. Tamten niezdarnie protestował, ale Kała przytrzymał mu rękę i poklepał w ramię.

– Bierz, Adi, a jak skończymy, zabaw się i za mnie. Tylko pamiętaj – zatrzymał się i wycelował mu palcem w czoło – przez czterdzieści osiem godzin pełna koncentracja. Jak odpuścimy, czapa. Ten facet to nie żarty, sami widzieliście.

Chłopak pokiwał głową i oparł dłoń na pistolecie maszynowym.

– Spoko, szefie. Będzie git. Kurde, aż mnie ręka świerzbi, żeby pociągnąć serią z tej maszynki.

Miał zieloną bluzę wojskową z podwiniętymi rękawami i furażerkę zakrywającą ścięte na jeża włosy. Wyglądał, jakby wyszedł wprost z kadru

starego filmu wojennego. Kała drżał z rozkoszy. Pogratulował sobie, że po wizycie na strzelnicy namówił chłopaka do porzucenia policji i przejścia pod jego skrzydła. Adrian był dobry.

– Będzie się działo, Adi. Pstryknę ci fotkę, jak dajesz ze szmajsera na całego.

Na takich pogawędkach zeszła im droga na górę. Kała puścił chłopaka przodem, żeby tamten nie widział jego zaczerwienionej z wysiłku twarzy i przemoczonej od potu koszuli. Gdy tylko wyszli na zewnątrz, skręcił pod wiatę i wybrał numer do Zdybasa.

– Gdzie on jest? – spytał, olewając powitalne rytuały komendanta. – Tylko mi nie mów, że nie wiesz.

Sapnięcia i chrząkania po drugiej stronie utwierdziły go w przekonaniu, że się nie mylił. Zgubili Krzyckiego. W dodatku ta cała banda zafajdanych śledczych od siedmiu boleści nie miała pojęcia, gdzie go szukać. I co również podejrzewał – nie wszyscy chcieli go szukać, na przykład ten pieprzony Hadczuk. Już dawno powinien się nim zająć. Gdyby to on, inspektor Artur Kała, nadal rządził komendą, przynieśliby mu Andrzejka w zębach, zgrabnie przyrządzonego i gotowego do podania na stół. Ech, czasy się zmieniają, nawet policja już nie ta.

Rozkoszne podniecenie na widok podwładnego, pięknie wystylizowanego na żołnierza Wehrmachtu, uleciało w bure niebo, zastąpione uporczywym pobrzękiwaniem niepokoju. Nikt nie wie, gdzie on jest. Pewnie idzie. Raczej na pewno idzie. Z nagrania wideo wydedukował, gdzie to jest, i ruszył w drogę. Po Lucka idzie, ale i po niego. Sprawy przybrały taki obrót, że nie ma ani ucieczki, ani odwrotu. Powinien się cieszyć, sam do takiej sytuacji za wszelką cenę dążył, mimo wszystko jednak przeszył go lodowaty lęk. To już. Jeden dzień albo dwa miesiące, co za różnica.

Na myśl o dwóch miesiącach wyjął fiolkę i łyknął dwie tabletki. Pomogło bardziej psychicznie niż fizycznie. Kłuło w boku. Przypomniał sobie słupską konferencję z początku lipca, poświęconą nieregulaminowym interwencjom, na której wśród gości z żalem powitał młodego szczyla

z Krakowa zamiast Andrzeja Krzyckiego. Wtedy jeszcze nie wiedział. Czy gdyby wiedział, cokolwiek by to zmieniło? Czy na ten przykład Paweł Palka by żył?

À propos szczyla, trzeba sprawdzić, co u niego pod wodą.

Rozłączył się bez słowa w momencie, gdy Krzysztof Zdybas zaczął pierdolić jakieś farmazony, coś że wójt z Przestawna stracił w Grębówku głowę. Tam wielu straciło głowę, w tym co najmniej jeden na jego polu z niemiecką farmą wiatrową. Wiatraki to do siebie mają.

Schodząc, skręcił w lewo, minął dwóch strażników, potem następnych dwóch i powoli otworzył żelazne drzwi do wąskiej klatki schodowej. Woda dochodziła do połowy czwartego stopnia. Z ręką na sig sauerze ostrożnie otwarł drzwi do celi. Szły ciężko. Lucek Bałyś podciągnął nogi do góry i oparł stopy na metalowych wypustach, pozostałych po zdemontowanym składanym blacie. W ten sposób unikał kontaktu z wodą i nie tracił ciepła. Sprytne. Mógł przy tym zmieniać uchwyt z jednej ręki na drugą, przez co oszczędzał siły i zmniejszał ryzyko skurczu. Pracował z godną podziwu determinacją. A wąska strużka ciurkała sobie z poluzowanego okienka.

Woda dosięgnie ramion Bałysia tej nocy. Został cały dzień na gradację napięcia, a jutro wielki finał! Mecz o wszystko! Nasypcie pełne miski czipsów, ustawcie na stołach sześciopaki z piwem i zasiądźcie wygodnie w fotelach. Oj, będzie się działo! A gdyby wam zabrakło emocji, na przykład wskutek nieprzewidzianej kontuzji jednego z waszych ulubieńców, mamy w zanadrzu przygotowane ekstraniespodzianki. Nikt tu nie będzie się nudził! Dla każdego coś miłego! Po meczu zapraszamy do podziwiania naszych rekonstrukcji historycznych. Ich stuprocentowa autentyczność wprawi was w zdumienie. Szok! Przeżyjecie szok! Jeśli przeżyjecie.

– Mam dwie wiadomości – rzucił Bałysiowi przez uchylone drzwi. – Dobrą i złą. Którą najpierw?

Bałyś nieruchomo patrzył w okrągłe okienko. Zupełnie go zignorował.

– No dobra, żeby było jak w dowcipach o domu starców, najpierw złą. Otóż ten twój Krzycki cię olał. Nie idzie. Zwyczajnie spierdolił i nikt nie

wie, gdzie jest. A wierz mi, jeśli moi ludzie nie mogą znaleźć na Pomorzu takiego człowieka jak Krzycki, to znaczy, że go tu nie ma. Na moje oko wrócił do Krakowa i obraca teraz swoją żonkę. Albo twoją, zależy od kaprysu. Bo mówiłem ci, że u niego najważniejszy jest kaprys.

Obserwował twarz Bałysia, ale nie dostrzegł na niej najmniejszej nawet reakcji, zupełnie jakby tamten nie słyszał. A o obracaniu swojej żony żaden facet nie potrafi słuchać obojętnie, nawet jeśli to tylko pijane bredzenie kumpla przy stoliku w knajpie. Ten ani drgnął. Zgrywa twardziela. Dobra, dupasku, będziesz miał twardzielstwo najwyższej próby.

Kopnął wodę w kierunku nieruchomej sylwetki Bałysia, przycupniętej na metalowych podpórkach jak kormoran na falochronie.

– A teraz tę dobrą: podłączyłem do twojego pokoju wysokie napięcie. Ogrzejesz się trochę.

Zaniósł się śmiechem, który przeszedł w suchy kaszel. Bałyś nie reagował, więc przymknął nogą drzwi, opuścił sztabę i wrócił na główny korytarz podziemnego bunkra, nieco zirytowany brakiem komunikacji z więźniem. Jak tak, to tak. Skręcił do maszynowni, otworzył skrzynkę z bezpiecznikami i przyjrzał się przyciskom. Wczoraj je wyłączał, żeby woda nie wywaliła korków w całej fabryce. Obok dwóch całkiem nowych niebieskich klawiszy, od światła i od gniazdek, znajdowała się tam stara niemiecka dźwignia od wysokiego napięcia. Podstawił pod nią śrubokręt i opuścił tak, by się na nim wsparła. Następnie do podstawy śrubokręta przywiązał kawałek sznurka i resztę owinął wokół wewnętrznej tulejki zamka. Przymknął drzwiczki, skracając sznurek tak, by nawet lekkie ich uchylenie wytrąciło śrubokręt spod dźwigni. Delikatnie sprawdził, czy mechanizm działa, i cmoknął z zadowoleniem. Wszystko przygotowane. Gracze rozstawieni. Sędzia główny – czekamy na gwizdek!

VI

Hamburger z krasawicą

1

Kancelaria prawno-notarialna Smuta & Wądlik mieściła się w Słupsku przy ulicy Wykręt 6 i to była bardzo trafna nazwa. Mała uliczka leżała w środku ciasnego trójkąta, którego wierzchołki wyznaczały budynki Sądu Rejonowego, banku Pekao SA oraz kościoła Sióstr Klarysek od Wieczystej Adoracji. I to było bardzo trafne położenie. Gdy mijali strzelistą neogotycką fasadę z czerwonej cegły i szerokie schody w szpalerze gipsowych aniołków, Latawiec pomyślał, że jeszcze trafniejsze byłyby siostrzyczki od Wieczystej Apelacji albo Wieczystej Aplikacji.

– Możemy nikogo nie zastać – stwierdził niepewnie.

– Mówiłeś, że jesteście umówieni na dzisiaj – przypomniał mu Hadczuk, parkując na miejscu zamalowanym skośnymi pasami i podpisanym PRIVATE. – Poza tym oni chyba pracują do wieczora.

Pokazał palcem na mosiężną tablicę z nazwiskami Waldemar Smuta i Grzegorz Wądlik oraz godzinami przyjęć 9–18. Do zamknięcia zostało jeszcze trzydzieści minut. Właśnie mieli wchodzić, gdy ciężkie dębowe drzwi z zakratowanym świetlikiem o miodowej barwie gwałtownie się otwarły i wpadła na nich elegancko ubrana para w średnim wieku. Kobieta w malinowym żakiecie trąciła Latawca torebką i pomaszerowała dalej bez żadnego „przepraszam” ani „spadaj”, jakby był słupem latarni albo stojakiem na rowery.

– Na nic się nie zgadzaj! – syczała do mężczyzny. – To zwykły szantaż! Banda naciągaczy! Już ja im dam wywłaszczenie. Jeszcze pożałują, że

w ogóle nas ruszyli. Do rady miasta pójdę, na policję, do księdza proboszcza. Nie pozwolę się tak bezprawnie okradać!

– Oni wszędzie tam już byli – odparł mężczyzna. Zaraz potem przyspieszył kroku, uciekając przed jej ripostą. Dalsza część frapującego dialogu niestety przepadła za rogiem ulicy, policjantom nie pozostało zatem nic innego, jak wzruszyć ramionami i wejść do szerokiej i na glanc wypucowanej klatki schodowej.

Dziewczyna w recepcji przebywała tylko fizycznie. Jej umysł bez reszty pochłaniała wiadomość na komórce, ponieważ nerwowo suwała po czarnym szkiełku palcami, a koniuszek języka błądził po czerwonych wargach. Bynajmniej nie pomagały w tym długie jak groty strzał tipsy w pistacjowym kolorze, posypane srebrno połyskującym proszkiem. Po przeczytaniu rewelacji kleciła odpowiedź, walcząc z długością plastikowych naklejek na paznokciach. Męczyła się, drapała ekranik, usiłowała trafić w odpowiedni punkt i bezwiednie zlizywała krwistą szminkę. Nie zwracała na nich uwagi.

– Dzień dobry, my do mecenasa Wądlika – zaczął Hadczuk, odruchowo śledząc jej śmigające po telefonie palce. Nie powinien się dziwić, Sylwia nosiła podobne tipsy, a jednak ciągle zdumiewała go niepojęta rozmaitość ludzkich potrzeb.

– Już zamykamy – odparła dziewczyna, nie podnosząc głowy.

– Jesteśmy umówieni – dodał Latawiec.

– Panowie z kurii? – spytała bez zaciekawienia.

Wymienili spojrzenia, ponieważ równocześnie pomyśleli o parze, która dopiero co stąd wyszła.

– Nie. Z policji – wyjaśnił Hadczuk.

Słowo „policja” działa niezawodnie. Dziewczyna podniosła wzrok znad komórki, dłużej zatrzymując go na Łukaszu Latawcu.

– A, pan tu był wczoraj. Proszę poczekać, zaanonsuję panów.

Wyszła zza szerokiej lady i bezszelestnie wśliznęła się za ciemne drzwi w głębi korytarza. Wróciła po kilku minutach, a jej mina świadczyła o tym,

że nie będzie łatwo. Mówiąc, nie patrzyła na żadnego z nich.

– Pan mecenas właśnie kończy ważną rozmowę z klientem, a za kwadrans musi wyjść. Mam nadzieję, że pięć minut panom wystarczy.

– Nie – odparł twardo Hadczuk. – Ale to już nie pani zmartwienie.

Wydęła wargi, rozchyliła bukiet pazurków, robiąc coś w rodzaju „phi”, i wróciła do swojej smartfonowej harówki. Praca w kancelarii to nie przelewki. Obaj panowie stali za ladą jak w sklepie z deficytowym towarem, który dopiero ma przyjść, tylko nie wiadomo kiedy. W Latawca wstąpił złośliwy demon prowokacji.

– To co, Rysiu, zgarniamy go od razu? – rzucił niby od niechcenia.

Hadczuk w pierwszej sekundzie zbaraniał, a potem nagle mu się rozjaśniło. Załapał.

– Bo ja wiem, zależy. Ale jeśli już, to chyba od razu całe biuro.

– Myślisz, że wszyscy są umoczeni? – upewniał się Latawiec, pilnie studiując naskórek lewego kciuka. – Hmm, może masz rację. W końcu chodzi o morderstwo.

– Nie tylko. Chodzi o całą pajęczą sieć zależności. – Komisarz dostrzegł kątem oka, jak pistacjowe szpikulce nagle znieruchomiały nad ekranikiem. – Praktycznie nigdy nie jest tak, że jeden w firmie przeprowadza nielegalne transakcje, robi przekręty, szantażuje albo nawet zleca zabójstwo i pozostali pracownicy nie mają o tym pojęcia. Mają, Łukaszku, oj, mają. Zdziwiłbyś się, ile ludzie wiedzą. Wystarczy trochę przycisnąć i śpiewają jak chór w kościele u klarysek. A właśnie, musimy jeszcze do parafii...

– Przepraszam panów! – zapiała nagle dziewczyna, podrywając się z miejsca i wybiegając histerycznie drobnymi kroczkami ku drzwiom w głębi. Tym razem nie tak bezszelestnie jak poprzednio. Po minucie wypadła z powrotem i drżącym głosem poprosiła ich do środka.

– Nie mam wam nic do powiedzenia! – zaskrzeczał na powitanie mecenas Grzegorz Wądlik. Nie wstał, nie podał ręki, nie powiedział „dzień dobry” ani „spadajcie”. Poniekąd zgodnie z deklaracją.

Był szczupły i drobny, skórzany fotel za błyszczącym niczym placek z galaretką morelową blatem monstrualnego biurka pochłaniał go w całości, tak że nic nie wystawało poza obrys wysokiego oparcia. Okulary w cieniutkiej złotej oprawie z pewnością kosztowały więcej niż cały niebieski garnitur slim fit w najmniejszym męskim rozmiarze. Różowa koszula i nienagannie zaczesane na brylantynie włosy dopełniały obrazu nowoczesnego człowieczka sukcesu. Im niższy wzrost, tym wyższe ambicje, jakoś tak to działa w naturze ludzkiej.

– Pozwoli pan, że my zdecydujemy, czy to jest nic – odparł spokojnie Hadczuk. Mieli już ze sobą parę razy do czynienia i ani razu nie uznał tego za doświadczenie przyjemne. Mecenas przyglądający mu się z pogardliwym uśmiechem, mógłby być jego synem. Narzekanie na młodych to śmieszna przywara staruchów, jasne, ale ilekroć komisarz stykał się z takimi ludźmi jak Wądlik, myślał o tym, że jednak coś się w pokoleniach zmieniło. Nie to, że chamy się panoszą, bo robili to zawsze. Sprawy jakby poszły dalej i chamstwo stało się normą, regułą, sposobem na załatwienie potrzebnych rzeczy. Kiedyś ustępując grzecznie, czuł się jak człowiek przyzwoity, który w podobnej sytuacji może liczyć na wzajemną przyzwoitość bliźniego. Teraz czuł się jak idiota, łatwy obiekt do wykorzystania, ograna, nabicia w butelkę i wrzucenia do kanału. Ludzie pokroju siedzącego przed nim Wądlika uwielbiali takie warunki. Nie walcz w błocie ze świnią. Dla ciebie to ohydne, a ona lubi.

– Zdybas wie, że tu jesteście? – spytał mecenas tonem dyrektora szkoły rozmawiającego z dwoma wagarowiczami. Bezczelność tego faceta przekraczała wszelkie granice, oprócz jednej: granicy bezczelności młodego prawnika. Taka, jak wiadomo, nie istnieje. Hadczuk zacisnął pięści i szukał w sobie odpowiednich słów, zarazem ostrych i dopuszczalnych na jego miejscu i w jego sytuacji. Uprzedził go Łukasz Latawiec, a raczej jego złośliwy demon.

– To on nas przysłał – zaczął uprzejmie. – Prosił, żebyśmy zachowali się grzecznie i przesłuchiwali bez użycia siły. Przynajmniej na początku.

Wąziutkie, szczurkowate oblicze za złotymi oprawkami zdębiało.

– Czy ja dobrze słyszę? Używacie gróźb fizycznych? Łucja powiedziała mi, że przyszliście aresztować całe biuro. Zwariowaliście kompletnie?

Latawiec uśmiechnął się szeroko, rozkładając ręce. Licho kusiło go jak cholera. Hadczuk zastanawiał się nawet przez chwilę, czy ta nagła brawura ma coś wspólnego z poznaniem Lucka Bałysia.

– To tylko taki żart, żeby się dostać na audiencję – ciągnął Latawiec. – W odpowiedzi na pański. Bo pan żartował z tym „nic do powiedzenia", prawda? Wczoraj rozmawialiśmy w tym gabinecie o nieżyjącym Rajmundzie Kuleszy. Odwiedził pana w sobotę po południu, po godzinach pracy kancelarii, a kilka godzin później został zamordowany w bestialski sposób. Odcięto mu głowę. Reszty ciała do teraz nie znaleziono...

– Nie musi mi pan tu epatować krwią – przerwał Grzegorz Wądlik. – Wiem, co się stało.

– Co? – wtrącił komisarz.

– Słucham?

– Powiedział pan, że wie, co się stało. My nie wiemy, więc proszę nam powiedzieć.

Wądlik przywołał na usta kwaśny uśmieszek, ale Hadczuk zauważył naciągnięte przez sekundę ścięgna szyi. Panu mecenasowi gul skoczył.

– Chce mnie pan łapać za słowa. Powtarzam, nie mam nic do powiedzenia. Umówiliśmy się z wójtem Kuleszą w sobotę, ponieważ w tygodniu jesteśmy bardzo zajęci, podobnie zresztą jak on, a temat rozmowy był ważny dla obu stron.

– Jaki temat?

– To sprawy poufne – odparł natychmiast. – Nie wolno mi o nich mówić, nawet gdybym chciał. A nie chcę.

– Czy chodziło o zakup ziemi w gminie Przestawno?

– Najogólniej rzecz biorąc, tak. Koniec, panowie, naprawdę muszę już wyjść.

– Dokąd?

Mecenas Wądlik przez chwilę rozkoszował się spodziewanym wrażeniem, nim odpowiedział:

– Codziennie o szóstej jestem na nieszporach.

Wstał, z głośnym szuraniem odsuwając fotel, jakby hałasem chciał nadrobić brak wysokiego wzrostu. Istotnie, po wstaniu okazał się niewiele wyższy. Starannie odgrywając ignorowanie policjantów, poprawił garnitur, podszedł wolnym krokiem do szafy i otworzył przesuwne drzwi, włączając wewnętrzną lampeczkę. Wyjął popielaty prochowiec oraz parasol, doskonale dobrane do reszty stroju, i z powagą celebrował ich umieszczenie na zgiętym łokciu. Z półki w szafie wyjął flakonik perfum, popsikał się z ostentacją i ująwszy w drugą rękę skórzaną teczkę, skierował się do wyjścia. Policjanci siedzieli na krzesłach i obserwowali mecenasa z uwagą, jak widzowie w teatrze.

– Panowie wychodzą – powiedział Wądlik, podkreślając intonacją, że to nie jest pytanie.

Latawiec pokazał palcem kamerę zamontowaną w narożniku pokoju.

– Rozumiem, że ten sprzęt jest zepsuty?

– Był w zeszłym tygodniu – odparł z uśmiechem mecenas. – Natomiast dzisiaj działa. Do widzenia panom. Łucja pokaże wyjście.

– Teraz też?

– Co?

– Kamera. Teraz też działa?

Przez twarz mecenasa przemknął cień wahania. Próbował błyskawicznie rozważyć, która z odpowiedzi lepiej zabezpieczy jego interesy. Jeśli kamera działa, to znaczy, że zapisała jego rozmowę nie tylko z nimi, ale i z panną Łucją, a ta niechcąco mogła coś chlapnąć. Jeśli nie działa, to nie będzie żadnego śladu po tym, co kto teraz powie. Lub zrobi.

– Nie musi pan odpowiadać – uprzedził go Latawiec. – Wystarczy mi pańska mina. Kamera działa, a obraz jest przekazywany bezpośrednio do siedziby firmy ochroniarskiej Jontek Serwis oraz zapisywany w pamięci komputera. Wszystko, co tu robimy i mówimy, ktoś tam teraz ogląda.

I oglądał wtedy, w sobotę po południu. Nie, nie oglądał, ponieważ ma pan specjalny wyłącznik i włącza oraz wyłącza przekaz dowolnie, w zależności od potrzeb, okoliczności i wymogów klienta oraz własnych. Dobrze mówię? Widzę po pańskiej minie, że nieźle mi idzie.

– Do czego pan zmierza, sierżancie? – spytał twardo Wądlik. Zawrócił sprzed drzwi i odstawił teczkę pod ścianę.

Tyle Hadczukowi wystarczyło, by zrozumieć, że facet wie o wiele więcej, niż twierdzi, poza tym wie rzeczy niegodne rejestrowania przez kamerę. Ale co innego było najfajniejsze. Latawcowy demon prowokacji zdołał pokazać, że do tego niby nieprzepuszczalnego człowieka jest dojście.

– Pytał pan, czy komendant Zdybas wie o naszej wizycie tutaj. To może teraz ja spytam: czy pan jest całkowicie pewien, że ten wyłącznik w sobotę wieczorem zadziałał?

Mecenas błyskawicznie rzucił okiem na każdego z policjantów, potarł palcem wargi jak Kramer w *Vabanku*, a następnie znacznym wysiłkiem woli przywołał na usta lekceważący uśmiech.

– Nie tak łatwo mnie przestraszyć. Nic na mnie nie macie.

– W takim razie spytam inaczej – ciągnął nieubłaganie Latawiec, który w oczach nie mniej zaskoczonego komisarza Hadczuka ujawniał nowe talenty. – Czy gdyby wszystko poszło zgodnie z pańskim planem, wyłącznik zadziałałby niezawodnie i nie zaistniałaby żadna niepokojąca poszlaka, siedzielibyśmy tu teraz obaj u pana z osobistego polecenia komendanta Krzysztofa Zdybasa? Pytam czysto teoretycznie, ponieważ oczywiście wszystko zadziałało wspaniale i jest pan czysty jak łza. Panie mecenasie Grzegorzu Wądlik... Wądliku? To się deklinuje?

– Tak, deklinuje. Nie... Ale co mi pan właściwie chce powiedzieć? Jakie poszlaki? Jakie nagrania? O co tu w ogóle chodzi?

Ciskał pytania, równocześnie zdejmując prochowiec i wrzucając go do szafy. Gdy zamknął przesuwne drzwi, lampeczka skwapliwie zgasła. Nie usiadł z powrotem w fotelu, tylko podparł się obiema rękami na morelowym blacie i patrzył uważnie na przemian to na jednego, to na drugiego. Zaczął się wreszcie skupiać na rozmowie. Fakt, że obaj śledczy

nie ruszyli się z miejsca i jego samego również zdołali zawrócić od progu, ukazał mu się w nowym świetle. Taka sytuacja była nie do pomyślenia jeszcze miesiąc temu, ba, nawet dwa tygodnie temu, zanim zaczęła się na dobre afera Kały z tym inspektorem z Krakowa. Coś się zacięło, a ci dwaj przed nim mieli wypisane na czole nowe podejście do problemu przestępczości w ich mieście. Należało się przyjrzeć sprawie. W zasadzie się z nimi zgadzał – trzeba pogadać.

Patrzyli na niego spokojnie i czekali, aż usiądzie. Faktycznie, głupio to wyglądało, więc usiadł i sprawdził, czy kamera na pewno jest wyłączona. Skąd ten dupek Latawiec wiedział o guziku? Rozłożył ręce w geście oczekiwania.

– No to o co właściwie chodzi?

2

– Będę się streszczał – zaczął uprzejmie Latawiec. – Rajmund Kulesza sprawował urząd z mocnym programem społecznym i antywiatrakowym. W gminie Przestawno, jako jedynej na Pomorzu Środkowym, nie ma żadnej farmy wiatrowej. Kilka pojedynczych sztuk i to wszystko. Bynajmniej nie chodziło o zabobonny lęk przed tym, że tajemnicze fale niszczą ludzkie dusze, jak o tym opowiada ksiądz z ambony w pańskim kościele. Wójt był przeciwny skupowaniu ziemi przez inwestorów, bo ci spekulowali gruntami, nabywając je za grosze od chłopów i następnie wynajmując bądź sprzedając firmom zagranicznym po znacznie wyższej cenie. W imieniu inwestorów – do których należał na przykład Artur Kała – występowały kancelarie prawne i notarialne posługujące się z kolei pośrednikami i agentami. Wasze biuro również prowadzi podobne interesy, prawda?

– To nie jest zabronione – burknął Wądlik.

– Oczywiście, że nie, jeśli mówimy o samej czynności zawierania umów i negocjowania warunków. Nas interesuje etap poprzedzający, kiedy wasi agenci namawiają właścicieli do sprzedaży gruntów, posługując się

metodami z szerokiego wachlarza środków nacisku, od najłagodniejszych i przyjaznych po niedozwolone i brutalne, w czym przodował Artur Kała. Dla niego również pracowaliście, prawda?

– Powtarzam, to nie jest zabronione – powiedział Wądlik, zerkając na migoczącą diodę w komórce. Musnął palcem ekran, odczytał esemesa i natychmiast wygasił telefon. – Nasze metody są wyłącznie legalne i przyjazne, jak pan to określił.

– Z pewnością – potwierdził Latawiec z nowym błyskiem w oku. – Najlepszym przykładem kobieta w malinowym żakiecie, która przed chwilą stąd wyszła, wołając coś o szantażu i straszeniu wywłaszczeniem. Z pewnością złożyła u was bardzo przyjazną wizytę. Zabraniała mężowi się na to zgadzać. Mogę spytać, na co?

– Prowadzimy mnóstwo spraw, także prywatnych i niekiedy dosyć drażliwych – wyjaśniał Wądlik, zerkając na komórkę, bo ta znowu zaczęła migać. Mówiąc, jednocześnie dyskretnie wstukiwał odpowiedź. – Spadki, darowizny, dzielenia majątków. Ludzie często wychodzą stąd niezadowoleni i wzburzeni. Ci państwo to właśnie jeden z takich przypadków, niestety, o szczegółach nie mogę wam powiedzieć, dopóki nie przyjdziecie z prokuratorskim nakazem. I co dalej z tymi wiatrakami?

Usiłował znowu być panującym nad sytuacją luzakiem, ale jego palce po wpisaniu odpowiedzi nie mogły się uspokoić i nadal bębniły, tym razem o blat biurka. Zauważył, że Hadczuk im się przygląda, i znowu potarł nimi wargi.

– Jedni ich chcą, inni nie – ciągnął Latawiec. – Kuleszy nie chodziło właściwie o wiatraki jako takie, tylko o ziemię i ludzi tu mieszkających. Był orędownikiem intensywnej gospodarki rolnej, która daje i satysfakcję, i dochody, a sprzeciwiał się dochodom pasywnym, ograniczającym się do pobierania czynszu za dzierżawę. Chciał, by właściciele dużych gospodarstw pozostali rolnikami z prawdziwego zdarzenia, a nie rencistami zależnymi od zachodnich inwestorów. Mówił o tym wielokrotnie na posiedzeniach rady gminy, rady powiatu i województwa. Sprawdziłem. Nie tylko odradzał chłopom sprzedawanie i dzierżawienie gruntów, ale również

obiecywał pomoc i ochronę prawną w przypadku niedozwolonych nacisków ze strony inwestorów i ich plenipotentów. Krótko mówiąc, zajmował w tej sprawie stanowisko dosyć radykalnie odmienne od waszego. Interes kontra interes, czyż nie tak?

Słuchając wywodów swego podwładnego, Hadczuk czuł się coraz bardziej jak kura nioska, która wysiedziała odrzutowiec. Dotychczas znał Łukasza Latawca jako sympatycznego i trochę nieśmiałego, a trochę zdystansowanego chłopaka o ambicjach sięgających niewiele wyżej od posady sierżanta wydziału śledczego. Umiał rozmawiać z ludźmi i dlatego zlecano mu delikatne misje rodzinne, jak choćby przekazanie matce, że straciła syna, albo zaaresztowanie ojca w obecności dzieci. Nigdy jednak nie wykazywał prawdziwych talentów śledczych, przeciwnie, w wypełnianiu obowiązków zawodowych ograniczał się do realizowania poleceń, poczciwego sumowania faktów i sporządzania notatek służbowych według wzoru. Teraz Hadczuk nie mógł uwierzyć własnym oczom i uszom. Sierżant Latawiec zapędził cwanego mecenaska w kozi róg za pomocą istnej lawiny faktów. To było mocne. Prawie polityczne.

Wądlik wzruszył ramionami.

– Nawet jeżeli, to co z tego? Przypuszcza pan, że przeszkadzał nam w interesach i dlatego go sprzątnęliśmy? Przecież to zupełna bzdura! Tanich filmów się pan naoglądał. Nie wiem, na ile pan sobie zdaje sprawę z tego, czym jest kancelaria prawna, ale nie stosujemy takich metod.

Latawiec patrzył w mecenasa nieruchomo jak bazyliszek.

– Czy farma wiatrowa we wsi Grębówko stoi na terenach zakupionych przez waszych agentów? Nie musi pan potwierdzać, wiem, że tak. Czy te tereny należały do firmy zamordowanego w ubiegłym miesiącu Zbigniewa Klisza? Czy to ona inkasuje czynsz od duńskiego inwestora? Niemały czynsz, dodajmy. Czy to nie Artur Kała zabiegał o doprowadzenie do transakcji, w której trzy rodziny gospodarskie zostały szantażami przymuszone do sprzedaży ziemi za cenę według stawek sprzed dwudziestu lat? Czy to nie Artur Kała jest szefem zorganizowanej grupy przestępczej i mordercą, którego w tej chwili poszukuje cała pomorska policja? Czy to

nie na polu wiatraków w Grębówku doszło ostatnio do szeregu śmiertelnych wypadków, z których co najmniej dwa to morderstwa? Nie musi pan odpowiadać, obaj świetnie znamy odpowiedź na te pytania. Chciałbym wiedzieć co innego: czy to o sprzedaży ziemi w gminie Przestawno, a konkretnie w Korczewie, rozmawialiście w ostatnią sobotę z wójtem Kuleszą?

Wądlik usiłował wytrzymać wzrok i lawinę twierdzeń policjanta. Z każdą sekundą tężał jednak i na jego szyi znowu pojawiły się żylaste naprężenia.

– To są wyłącznie insynuacje – odparł z niezręcznie udawanym chłodem. – Nie mam nic do powiedzenia. Nasz adwokat się z wami skontaktuje.

– Czy rozmowa dotyczyła trzydziestohektarowego gospodarstwa Śmigoniów w Korczewie?

– Dosyć! Do widzenia!

– Czy to wyłącznie przykry zbieg okoliczności, że głowę nieszczęsnego Kuleszy podrzucono akurat tam, gdzie pracowała żona Władysława Śmigonia? Co, nawiasem mówiąc, kobieta przypłaciła życiem. Czy równie przykrym zbiegiem okoliczności jest fakt, że Władysław Śmigoń chciał pilnie skontaktować się z Kuleszą dokładnie tego samego dnia, kiedy wójt zginął? Czy ten biedny wdowiec nie ma nam teraz nic do powiedzenia, podobnie jak pan, ponieważ nic mu nie grozi i jest pewny siebie? Podobnie jak pan? Czy może wręcz przeciwnie? A jeśli się boi, to czego lub kogo?

Mecenas Wądlik poderwał się z fotela i pokazując palcem drzwi, chciał coś krzyknąć, ale Latawiec powstrzymał go ręką.

– Niech pan sobie daruje te swoje „dosyć” i „do widzenia”. Wychodzimy. A jak pan za chwilę zadzwoni do inspektora Zdybasa, w co nie wątpię, proszę mu przekazać od nas serdeczne pozdrowienia. I że jesteśmy już blisko. W co również nie wątpię.

Powiedziawszy to, wyszedł, nie wdając się w pożegnania. Hadczuk również podniósł się z krzesła.

– Jeszcze tu wrócimy – rzucił, uznając, że też powinien powiedzieć coś na odchodne. Wybiegł za swoim podwładnym, minął pobladłe oblicze sekretarki, na którym lęk walczył o lepsze z bezmyślnością, i dopiero na ulicy złapał oddech. Łukasz Latawiec już stał przy samochodzie i wyjmował papierosa z płaskiego pudełka.

– Ty palisz? – spytał głupio komisarz.

– Od wczoraj – odparł Łukasz. – Chcesz jednego?

Szef wydziału kryminalnego słupskiej komendy pokręcił głową, przyglądając się z uwagą wysiedzianemu przez siebie odrzutowcowi.

– Łukasz, słuchaj – pokazał kciukiem na budynek za plecami – to wszystko prawda?

– Dlaczego pytasz?

To mówiąc, sierżant Latawiec zakrztusił się dymem i malowniczo zakaszlał.

– Bo jeśli nie, nasze dupska będą jutro rano smażone na wolnym ogniu.

– Nasze dupska ze Słupska.

– Jasne. No więc skąd to wszystko wiesz?

– Powiedzmy, że przygotowałem się do rozmowy.

Zapadał wieczór i chmury na niebie znowu nabrały barwy wypłowiałej plandeki. Stali oparci o bok samochodu i przyglądali się im, płynącym nad dachem brzydkiej kamienicy od bliskiego i zimnego morza. Latawiec po amatorsku zaciągał się cieniutkim, podobnym do wykałaczki papierosem, pokasłując przy tym jak uczeń w krzakach za salą gimnastyczną. Hadczuk oddychał chłodem wieczoru i uspokajał tętno. Mieli świadomość, że mały i bezczelny mecenasik właśnie ich obserwuje z okien kancelarii i pewnie jedną ręką odsuwa nieznacznie zasłonę, a drugą dociska telefon do ucha, dzwoniąc do komendanta Zdybasa z wściekłym „o co tu, kurwa, chodzi”.

– Nie mówię o faktach, tylko wnioskach – doprecyzował komisarz. – Myślisz, że oni naprawdę go zabili? Ten facet miał rację, kancelarie tak nie działają. To nie ich metody.

Latawiec zaciągnął się, kaszlnął ostatni raz i rozdeptał całkiem spory jeszcze niedopałek. Jak pod dyktando tajemniczej siły obaj odwrócili się i wsiedli do samochodu. Rozparli się w fotelach i przez zaciemnianą szybę patrzyli, jak żelazna brama się rozchyla, wypuszczając na ulicę granatowego lexusa z Wądlikiem w środku.

– Jedzie do Zdybasa – zawyrokował Hadczuk. – Wszystkiego przez telefon nie wyjaśnili.

– Albo do swojego wspólnika w interesach, pana Waldemara Smuty. Gdzieś musi być w okolicy i zacierać ślady. Nie spytaliśmy o niego, a należało.

– Widzę, Łukasz, że jesteś przekonany o ich winie.

Odprowadzili wzrokiem samochód mecenasa i dopiero wtedy Latawiec odpowiedział:

– Wiesz, wczoraj po rozmowach z ludźmi cały wieczór myślałem o tej sprawie i niczego nie wymyśliłem. W nocy byłem tak samo głupi jak rano, kiedy ruszałem do roboty. I nagle dzisiaj, gdzieś tam na podwórku u Śmigoniów, kiedy patrzyłem na brykające po podwórku dzieci, zasłona spadła i zobaczyłem ostro całe sedno tej sprawy.

– Iluminacja.

– Nie, zwykłe skojarzenie. To, co się nie łączyło, nagle się łączy. Nie wiem, nie umiem tego dokładniej nazwać. A nie chcę zmyślać.

– Uhm – podsumował Hadczuk. – Jedziemy za nim?

– A masz ochotę?

– Nie.

– Ja też nie. W takim razie na co masz naprawdę ochotę?

Siedzieli, patrząc, jak gaśnie kolejny ponury dzień ich pracy. Twarz komisarza na tle okna rysowała mroczny, kamienny profil. Odezwał się cicho i chrapliwie:

– Koniec roboty. Powinniśmy teraz pójść na taniego hamburgera, jak Gene Hackman i Roy Scheider we *Francuskim łączniku*.

– A wiesz, kurde, zjadłbym coś.

3

W hamburgerowni U Zbynia na obrzeżach miasta rządziły: zapach duszonej cebuli, łomot Iron Maiden z głośników oraz wyciszony ekran plazmowy na półtora metra, pokazujący biegających piłkarzy. Większość stolików była zajęta, ale znaleźli jeden dwuosobowy pod ścianą, obok wejścia do toalety. To zwykle ostatnie wolne miejsce w knajpie, które ma swoje zalety w postaci niszowej dyskrecji, zwolnienia z obowiązku zerkania na fikające w telewizorze figurki oraz poręcznego przeglądu klientów defilujących przed tobą tam i z powrotem. Wada – wiadomo. Co jednak przy jedzeniu hamburgera niespecjalnie przeszkadza, więc postanowili tam usiąść. Zamówili po dużym McZbyniu z podwójnymi frytkami oraz kuflu żubra z beczki, pokazali kelnerce, gdzie ma im przynieść tacki z jedzeniem, i zajęli miejsca na twardych krzesłach.

– Kurde, takie fajne miasto. – Hadczuka wzięło na sentymenty. – Ruch turystyczny umiarkowany, inwestycje w normie, prezydent równy gość. Same pozytywy. Zawsze je lubiłem i mówiłem sobie „moje miasto”, chociaż mieszkam dziesięć kilometrów stąd. Naprawdę dobre, porządne, zadbane...

– A myśmy je tak spieprzyli – dokończył za niego Łukasz.

– Nawet nie to miałem na myśli. Jakoś tak w ogóle coś się spieprzyło. Dlaczego my?

Latawiec wzruszył ramionami. Siedział przodem do sali i jego wzrok nieznacznie omijał twarz szefa, studiując zadymione usmażonym powietrzem wnętrze.

– Mógłbym ci odpowiedzieć: ponieważ jesteśmy tak zwanymi stróżami porządku. Zamiast tego jednak opowiem ci o mojej iluminacji. Wczoraj po powrocie z terenu posiedziałem jeszcze trochę w biurze i poszperałem w papierach. Jak ci wiadomo, Zbigniew Klisz kupił dwadzieścia hektarów pola pod Grębówkiem i chwilę później powstała tam farma wiatrowa. Po tamtej transakcji dokonał jeszcze dwóch innych, tym razem na podstawione osoby, czyli tak zwane słupy. Klisz zgromadził w ten sposób tereny pod

kolejne dwie inwestycje, łącznie ponad sześćdziesiąt hektarów, niemal w całości spełniających wymogi prawne. Wiesz: odległości od zabudowań, natężenie podmuchów, te sprawy. W zasadzie wszystko jest legalne, łącznie ze zgłoszeniem działalności rolniczej. Grunt wokół wiatraków można normalnie uprawiać, jeśli nie dla zysku, to dla picu. Niestety, Klisz nie zdążył odpowiednio zdyskontować nabytków, ponieważ zginął...

– Poniekąd na swoim polu – włączył się Hadczuk. – Zabiła go własna inwestycja. W sumie nic straconego, ponieważ pola przejdą na podstawionych szwagrów i kuzynów, a Grębówko zgarnie wdowa z dziećmi. To wszystko, Łukaszku, wiedzieliśmy z grubsza wcześniej, więc na razie nie ma tu żadnej iluminacji.

– To prawda – przyznał Latawiec po chwili namysłu. Jego wzrok co rusz uciekał w głąb baru, ku dużemu okrągłemu stolikowi, przy którym sześć osób gwarzyło nad papierowymi tackami po hamburgerach. Dokładnie naprzeciw siebie widział twarz szczupłej blondynki w czarnych legginsach i czerwonym podkoszulku. Bardzo ładnej i zabójczo poważnej. Albo bardzo poważnej i zabójczo ładnej. Też co chwila zerkała na niego, jakby był koniecznym punktem odniesienia dla jej myśli, choć siedziała w gronie czterech mężczyzn i drugiej dziewczyny, zajętej skrzekliwym śmiechem i mizdrzeniem się do facetów. Nikogo z tych ludzi nie znał nawet z widzenia.

– Przedstawiłem dopiero punkty wyjścia – podjął, wracając do rozmowy. – Spróbowałem sobie wyobrazić, że jestem na miejscu takiego Klisza albo Kały i skupuję ziemię pod przyszłe elektrownie wiatrowe. Robię ekspertyzy terenów i wybieram obszary spełniające wszystkie potrzebne kryteria, a następnie nanoszę je na mapę geodezyjną okolicy. W naszym przypadku to, z grubsza rzecz biorąc, Pomorze Środkowe, czyli w układach gangsterskich domena działań Artura Kały. Ponieważ księgi wieczyste są dostępne w internecie, sprawdzam nazwiska właścicieli, a następnie dwa pięć osiem – jak mawiał Lucek Bałyś – zdobywam adresy i jadę...

– Dlaczego powiedziałeś „mawiał”?

Latawiec oderwał oczy od blondynki pokazującej coś właśnie na migi barmanowi i spojrzał niepewnie na szefa.

– Tak po prostu, nie miałem nic złego na myśli. Jak tu był, to tak mawiał...

Zamilkli na chwilę, ponieważ kelnerka przyniosła im piwo. „Szama będzie za jeden muszy bzyk”, zapewniła tajemniczo i oddaliła się, kołysząc biodrami. Latawiec odprowadził ją zaciekawionym spojrzeniem, po czym spytał cicho:

– Myślisz, że on jeszcze żyje?

Hadczuk nie odpowiedział. Rozluźnił palce zaciśnięte na wąskiej szklance z piwem i przesunął dłoń w dół. Potem w górę. Wyglądało to dosyć nieprzyzwoicie, więc Łukasz przeniósł wzrok na blondynkę. Właśnie podniosła się i wolnym krokiem ruszyła w jego kierunku. Znieruchomiał. Szła wprost na niego, nie przestając patrzeć mu prosto w oczy. Była cholernie zgrabna i z kociej lekkości kroku wywnioskował, że również cholernie wysportowana. Miała gładko zaczesane do tyłu włosy, spięte ciasno w koński ogon. „Tak się noszą wojowniczki”, przemknęło mu przez myśl i odruchowo pomacał w kieszeni kolbę glocka.

– Zdrowie...

Kiedy już doszedł do wniosku, że po prostu na niego wejdzie, kobieta minęła go i skręciła do toalety. Uświadomił sobie, że ostatnie sekundy przeżył na bezdechu.

– Hej, ocipiałeś całkiem?

– Co?

Hadczuk pokazał uniesioną nad stolikiem szklankę z piwem.

– Mówię, że pijemy za zdrowie Lucka.

– Tak, jasne, zdrowie Lucka – odparł pospiesznie i przechylił szybko szklankę, wylewając trochę piwa na spodnie. Odstawił szkło, wyjął chusteczkę i zaczął wycierać najpierw brodę, potem pachwinę.

– Kurwa...

– Myślisz? – zdziwił się teatralnie Ryszard Hadczuk. – Wygląda całkiem przyzwoicie. Na mózg wam się rzuca, żołnierzu. Kiedy wyście ostatni raz byli z kobietą, co?

– Daj spokój – odparł Łukasz. Chciał jeszcze coś dodać, ale nie zdążył, ponieważ znowu rozlał piwo. Wracając z toalety, kobieta trąciła go biodrem w łokieć.

– *Na, krasawiec* – mruknęła miękko i odeszła krokiem o wiele ciekawszym niż kelnerka przed chwilą. Zanim zdążył się opamiętać, już siadała z powrotem wśród swoich nieco byczkowatych przyjaciół. Hadczuk ledwie powstrzymywał śmiech.

– Widzicie, żołnierzu, kobiety lepiej od was wiedzą, czego wam potrzeba. *Krasawiec* to rodzaj męski od *krasawicy*. Jesteś dla niej pięknisiem, Łukaszku, zaczerwień się. – Zaśmiał się krótko. – No ale do rzeczy. Co z tymi mapami geodezyjnymi?

Łukasz potrzebował chwilę, by ochłonąć. Blondynka znowu przyjęła surową minę i zerkała na niego od niechcenia, popijając piwo małymi łyczkami.

– Porównałem te mapy i sprawdziłem właścicieli. Wielu jest nowych i ich nazwiska tu i ówdzie pojawiają się w kontekście Kały lub Klisza. Obaj w sumie mają, to znaczy mieli w rzeczywistości znacznie więcej, niż nam się wydawało. Wykupili większość, właściwie prawie wszystko, co się nadawało. Geodezja ma wiele wspólnego z matematyką, więc pozwolisz, że posłużę się terminologią matematyczną. Otóż gdybyśmy nałożyli na siebie trzy zbiory: właścicieli majątków powyżej dziesięciu hektarów, terenów potencjalnie nadających się na farmy wiatrowe oraz ludzi kręcących się wokół Kały i Klisza, to one by się prawie całkowicie pokryły ze sobą.

– Prawie?

Pojawiła się kelnerka i postawiła przed nimi papierowe talerze z ociekającymi majonezem hamburgerami. Spod mocno wypieczonego wierzchu bułki wystawały końcówki sałaty, rozmiękłych pomidorów i czegoś burego, co mogło być zmielonym i usmażonym McZbyniem. Frytki miały grubość dużego palca u nogi.

– To były dwa bzyki – rzucił zaczepnie Hadczuk.

– Naprawdę, papciu? To drugi jest gratis.

Wyszczerzyła ząbki łyskające aparatem korekcyjnym i odkołysała się do baru. Hadczuk wyglądał na zadowolonego z wymiany. Latawiec przyglądał się przełożonemu z pewną dozą sceptycyzmu, wzmocnionego faktem, że sam znajdował się pod stałą obserwacją blondynki.

– Prawie – podjął swój wywód. – Jest taka gmina na Pomorzu Środkowym, w której ani jeden majątek nie został sprzedany i gdzie od kilkunastu lat stoją zaledwie cztery pojedyncze wiatraki. Gospodarze są regularnie nagabywani przez rozmaitych pośredników, agentów i wysłanników odnawialnego dobrodziejstwa, proponuje się im znakomite warunki i obiecuje wiatronośne złote góry, a mimo to żadne gospodarstwo nie zmieniło właściciela. Powtarzam – żadne. A teraz pytanie za dwa bzyki: jaka to gmina?

– Chechtachno – mruknął Hadczuk z pełnymi ustami.

– Przestawno, brawo! Idę na zaplecze po kelnerkę – ocenił Łukasz. Ugryzł wielki kęs McZbynia, po czym szybko porwał ze stołu serwetkę i wytarł cieknący po brodzie majonez. Blondynka z niesmakiem odwróciła głowę.

– Daj spokój – zaprzeczył komisarz wyraźnie połechtany dowcipem. – Tyle to i ja się domyśliłem. Natomiast ciągle nie widzę tej twojej nagłej iluminacji.

– Bo ona niewidoczna jest – odparował Latawiec. – Jeden z nagabywanych gospodarzy to Władysław Śmigoń. Jak sam dzisiaj widziałeś, licznej rodzinie żałoba nie odebrała rozsądku ani pamięci i zgodnie twierdzili, że wiadomo, kto zabił wójta Kuleszę i pośrednio także Lucynę Śmigoń. W domyśle – ci, którzy chcą ich zmusić do sprzedaży ziemi. W domyśle – kancelaria Smuta & Wądlik. Czyli w domyśle – Kała, ich stały klient.

– Z perspektywy ostatnich dwóch miesięcy w zasadzie każde przestępstwo popełnione na ziemi słupskiej można przypisać Arturowi Kale

– stwierdził Hadczuk. – Nie mamy żadnych dowodów ani nawet porządnych poszlak.

Zamilkł nagle, jakby sobie przypomniał o czymś niezmiernie ważnym, po czym ukrył to w posępnym milczeniu i ugryzł hamburgera.

– A pamiętasz tę kartkę z nazwiskiem Śmigonia i numerem jego telefonu na biurku w gminie? Prosił o kontakt z wójtem.

– Uhmm.

– Tam było więcej tych karteczek z nazwiskami. Zauważyłem „Karada” oraz „Bartoczyk”. To inni gospodarze z okolic Przestawna, również regularnie nagabywani przez pośredników. Natrafiłem na te nazwiska wczoraj wieczorem. Kto wie – zamyślił się, a może po prostu zapatrzył na blondynkę, bo ta znów zaczęła go obserwować, gdy tylko skończył jeść. – Może właśnie widok tych karteczek z nazwiskami wywołał tę iluminację. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Że nagle ci się to układa w jakąś logiczną – całkiem popieprzoną, ale logiczną – całość.

– Czyli jaką? – spytał komisarz, odsuwając pusty talerz, by wytrzeć tłuste palce.

– To jest tak. Naciskasz chłopów, żeby ci sprzedali ziemię. Oni się wahają i idą po radę do wójta, a ten im zabrania, ponieważ chce rozwijać w swojej gminie rolnictwo, zapewnić ludziom pracę i dochody, załatwiać dotacje unijne, wiesz, znasz te nawijki. Odmawiają sprzedaży, a potem proszą go o pomoc, on wynajmuje prawników dla ochrony interesów mieszkańców, więc przedstawiciele inwestorów, a w naszym przypadku po prostu ludzie Kały, biorą się za samego wójta. Zwabiają go na rozmowę do kancelarii, że niby mają nowe propozycje, grożą mu, szantażują, straszą, kto wie, może nawet torturują. A potem wywożą Kuleszę tam, gdzie akurat o tej porze pracuje żona jednego z niepokornych chłopów, i go podrzucają, by zastraszyć innych.

– Głowę...

– Co?

– Podrzucają samą głowę, reszty ciała nadal nie ma. Po co to robią?

– Nie wiem. O to by należało spytać ich osobiście.

– Właśnie przed chwilą próbowaliśmy. – Hadczuk pocierał śliską dłonią szklankę z piwem. – O mało nie wylecieliśmy stamtąd na zbity pysk, wyprowadzeni przez naszych kolegów z gównianej wieczornej służby. Zgoda, do tego momentu twoja historyjka nawet się trzyma kupy. Powiem więcej, wygląda na całkiem przyzwoitą i nieźle rozbudowaną opowieść kryminalną, prawie scenariusz jednego odcinka *Detektywa*. Jest jednak pewien problem. Otóż, ta historia da się również opowiedzieć całkiem odwrotnie. Prawnicy wzywają do siebie na rozmowę wójta, ponieważ mają nowe pomysły, on przyjeżdża, rozmawiają o poufnych sprawach, a potem wychodzi i w drodze do domu zostaje zamordowany z zupełnie innych powodów. Na przykład poprzedniego dnia nie chciał dać narkomanowi na prochy i teraz ten go dopadł. Albo były sąsiad mu ześwirował i mści się za miedzę sprzed dwudziestu lat. Wiem, nie ma takich tropów, podaję tylko przykładowe historie, które również dadzą się opowiedzieć w barze nad hamburgerem i trzymają się kupy jak świeżo wysmażony McZbynio.

– Motyw?

Hadczuk otwierał usta, żeby wygłosić kolejną krytyczną uwagę, kiedy z jego kieszeni dobyło się brzęczenie imitujące jakiś przebój. Może chodziło o *Waterloo* Abby. Jeden rzut oka na migający wyświetlacz komórki odebrał mu całą przyjemność kolacji.

– Szlag mnie trafi... – Westchnął, a potem już było tylko gorzej. W miarę słuchania jego twarz tężała i nabierała odcieni niebezpiecznie przypominających stan przed wylewem. Róż przechodził w purpurę, a ta we fiolet. Latawiec nie potrzebował się specjalnie wysilać, by odgadnąć, kto dzwoni.

– Mamy jechać na komendę? – spytał niewinnie, kiedy komisarz schował komórkę i podsumował rozmowę magicznym słówkiem, przez niektórych nadal uważanym za niecenzuralne.

– Natychmiast. I to bym jeszcze przełknął, skoro przełknąłem tego hamburgera. Ale Zdybas dostał wyniki z laboratorium i aż mlaskał do

telefonu z satysfakcji. Niemal widziałem ten jego szczurzy uśmieszek zadowolenia, że nareszcie ma solidną podstawę do zgarnięcia go.

– Kogo? Mordercy?

– Krzyckiego.

Powiedziawszy to, Hadczuk wstał, narzucił kurtkę i nie czekając na zdumionego Latawca, skierował się do wyjścia. Ten poderwał się i złapał go za rękaw.

– Czekaj, czekaj. Chcesz powiedzieć, że na miejscu zbrodni znaleźli ślady inspektora Krzyckiego?

Odpowiedź przełożonego sierżant Latawiec mógł potraktować jak wykręt. Wykręt 6.

– Chodź, nie ma czasu. Trzeba tam pojechać i przystopować tę radosną twórczość śledczą komendanta. Dlaczego ten facet nie chce zrozumieć, że już jest po zabawie? Jego fajerwerki się dopalają, a nowych nikt mu już do ręki nie da. Dlaczego on z takim uporem nie chce tego przyjąć do wiadomości?

Szli szybkimi krokami przez bar. Latawiec bardzo się starał nie strzelać oczami w kierunku blondynki z końskim ogonem. Przegrał. Siedziała blisko wyjścia i nie mógł na nią nie spojrzeć. Jej nieruchoma, stalowa twarz przez ułamek sekundy drgnęła.

– *Na*, *na*, *krasawczik* – mruknęła, gdy ją mijał sztywny od niezrozumiałego przejęcia. Siedzący obok niej facet o niedźwiedzich barach zarechotał z uciechy. Miał czerwone spodnie i czarną koszulkę, odwrotnie niż ona. Że niby taka para.

Gdy wyszli na zewnątrz, Łukasz wciągnął powietrze z ulgą, jakby wydostał się z zawalonego szybu kopalni. Hadczuk nie zwracał na niego uwagi; wsiadł do samochodu, wściekle trzasnął drzwiami i jeszcze raz wypowiedział magiczne słówko.

– Dlaczego cię to tak wścieka? – spytał sierżant, kiedy już ochłonął po elektryzującym spotkaniu z blondyną. – Nie dziwi, tylko wścieka. Ktoś mógłby pomyśleć, że wiedziałeś.

Nie padła żadna odpowiedź, zamiast tego odpowiedział prowadzony przez niego samochód. Zawył od nagle wciśniętego pedału gazu. Łukasz złapał uchwyt nad głową.

– Wiedziałeś???

Zacięte milczenie. Nic do powiedzenia.

4

– Zrobiliśmy badania materiału dowodowego pobranego z miejsca przestępstwa i porównaliśmy z bazą danych. Najpierw zawęziliśmy pole poszukiwań do naszego regionu, ale ponieważ nic nie wyszło, rozszerzyliśmy zakres na całą Polskę, a także na Krajowy System Informacji Policji i archiwa wewnętrzne. W KSIP-ie nic nie było, jednak się nie poddaliśmy. Poprosiliśmy o dostęp do wewnętrznych baz lokalnych i proszę! Wynik wyskoczył i nas zaskoczył!

Ucieszony ze zgrabnej rymowanki, komendant Zdybas klasnął w dłonie i zrobił zdziwioną minę z rodzaju tych, które prezentuje się do kamery na urodzinach szwagra. Przedstawiał cały proces poszukiwań ze sobą w roli głównej, choć jego ignorancja w kwestii technik policyjnych stanowiła częsty przedmiot żartów w jednostce. Triumfował, złapał wiatr w skrzydła. Jego niechęć do krakowskiego inspektora miała swój dzień. A raczej wieczór, ponieważ dochodziła dwudziesta pierwsza. Hadczuk wpatrywał się w wydruk z bazy danych, bynajmniej nie podzielając entuzjazmu komendanta.

– Czy to jedyny zidentyfikowany ślad? – spytał, podając kartkę Łukaszowi.

– Oczywiście, szukamy nadal – pospiesznie zapewnił Zdybas. – Nie ma jednak czasu na czekanie, aż komputer wypluje kolejny trop, musimy działać natychmiast. Od czasu popełnienia zbrodni minęły trzy doby! Wiecie, panowie, że czas jest najważniejszy. Dosyć tych gierek,

natychmiast mi go tu przyprowadźcie. Jak będzie trzeba, skutego kajdankami. Jest w gronie osób podejrzanych! Do roboty!

– Do tego potrzebny jest prokuratorski nakaz – odezwał się Latawiec.

– Nie pouczaj mnie, synu, o podstawowych procedurach w pracy policji – skontrował surowo Zdybas. – Prokurator został już powiadomiony i przygotowuje stosowne dokumenty. Odbierzecie je jutro skoro świt i od razu po niego ruszacie.

– Czy ktoś w ogóle ma pojęcie, gdzie on może być? – spytał Hadczuk cichym głosem, ponieważ myśl, że jutro od rana będzie musiał ścigać kolegę z Krakowa i swojego idola w kwestiach śledczych, odebrała mu pewność czegokolwiek. Spędził cały dzień na przesłuchiwaniu, rozmawianiu, pocieszaniu i grożeniu, dzięki czemu łapał już powoli poczucie normalności. Kontakt z Łukaszem Latawcem również nastrajał pozytywnie. Chłopak jakby obudził się z letargu i rzucił w wir policyjnych kombinacji z zamiarem nadrobienia straconego czasu. To wszystko tchnęło optymizmem, przynajmniej do ostatniego kęsa hamburgera. A teraz takie gówno. Rozbolał go żołądek.

– Wkrótce się dowiem – odburknął tajemniczo Zdybas i dla potwierdzenia, że ma jakiś plan, wyjął wypasionego smartfona, podumał nad tym, co widzi, i schował cacko z powrotem do kieszeni. – Dam wam znać. I pamiętajcie – uniósł palec jak bóg wojny, władca gromów – bez żadnych krętactw. Ten facet jest naprawdę podejrzany.

– Bez urazy, panie komendancie – odezwał się Latawiec, który dzisiaj doznał przeobrażenia w odwrotnym kierunku niż Hadczuk i sprawiał wrażenie nieustraszonego. Nie licząc blondynki w barze. – Czy pan naprawdę wierzy w to, że inspektor policji uciekł ze szpitala, dorwał wójta z Przestawna i uciął mu głowę, a potem zwiał do lasu? Nie wątpię w pańską znajomość podstawowych procedur policyjnych, ale czy zastanowił się pan nad tym choć przez chwilę? Nad takimi rzeczami jak motyw, okoliczności czy choćby zwykłe prawdopodobieństwo psychologiczne? A jeśli tak, czy mógłby nam pan nieco przybliżyć te szczegóły?

Rozłożył ręce i uśmiechnął się pytająco. Wszyscy trzej stali w gabinecie komendanta, on po swojej stronie, przed wielgachnym fotelem, oni po drugiej, nad dwoma prostymi krzesłami. Za oknem dmuchnął wiatr i gałęzie topoli zaszurały o mokre szyby. Znowu padało. Aleją 3 Maja sunął wieczorny autobus, z głośnym szumem opon miażdżąc potoki wody spływające wiaduktem. Zdybas wlepił w Latawca małe i okrągłe jak u misia oczka.

– A czy byłbyś skłonny uwierzyć, panie sierżancie śledczy, że były komendant porwie oficera policji, zamknie go pod ziemią i będzie trzymał w charakterze przynęty, żeby zwabić innego oficera i go zabić z osobistej zemsty? Albo że ważny pan inspektor – z Krakowa! – zorganizuje w szpitalu wyścig wózków inwalidzkich, żeby ułatwić sobie ucieczkę i prowadzić śledztwo zupełnie na własną rękę, łamiąc wszystkie możliwe procedury, także podstawowe? Co? Zastanowił się nad tym pan sierżant? Bo to wszystko miało miejsce. Nawiasem mówiąc, jego ucieczka jawi się teraz w całkiem nowym świetle...

– Skąd pan wie, że pod ziemią?

Pytanie Latawca było tak nagłe i zaskakujące, że Hadczuk ledwie je dosłyszał. Jego umysł zajmowała w tej chwili zupełnie inna kwestia, a mianowicie jak ominąć polecenie służbowe przełożonego i nadal robić swoje. Nakaz prokuratorski o szóstej rano – to źle brzmiało. Potrzebował kilku sekund, by pojąć sens pytania Łukasza, czyli że komendant może wiedzieć, gdzie jest uwięziony Lucek Bałyś.

– Tak powiedziałem. – Zdybas wzruszył ramionami. – Zdaje się, że obstawialiśmy bunkry, a te są pod ziemią.

– Są bunkry podziemne i naziemne.

– Nie łap mnie, Latawiec, za słowa, tylko bierz się do pracy. A jak się nie podoba, to możesz złożyć wymówienie. Pięciu czeka na twoje miejsce. Komisarzu Hadczuk, proszę na rano zebrać ludzi i przygotować sensowny plan poszukiwań. Ja może też będę miał coś nowego.

– Zdaje pan sobie sprawę, że to poważny błąd? – spytał Hadczuk.

– W pierwszym rzędzie zdaję sobie sprawę, że oficer policji brał udział w zdarzeniu o charakterze kryminalnym – odparował komendant. – I znając podstawowe procedury, o których nieznajomość lubicie mnie tyrpać, zniknął, zamiast powiadomić organy ścigania. Gdyby nam pomógł, być może mielibyśmy już podejrzanego w areszcie, a on zamiast tego uciekł i załatwia swoje osobiste porachunki. Może wam wydaje się to działaniem profesjonalnym i odpowiedzialnym, ale mnie nie. To poważne przestępstwo.

– Szukajmy prawdziwego mordercy.

– Właśnie to robimy. Wysyłam was po kluczowego świadka w sprawie. Chyba że macie jakieś inne intrygujące tropy? – Zawiesił głos, a kiedy już nasycił się brakiem odpowiedzi z ich strony, dodał oschle: – Jutro od rana do roboty. Trzeba tę sprawę zakończyć jak najszybciej.

Zamilkł i wyczekał te sekundy, kiedy się odwrócili do wyjścia, by ich jeszcze raz zatrzymać. Taki chwyt socjotechniczny, dodatkowo wzmocniony uniesionym palcem.

– Aha, jeszcze jedno. Był tu u mnie przed chwilą mecenas Wądlik ze skargą. Podobno odwiedziliście go w biurze i groziliście na różne sposoby, nie wyłączając aresztu. I że niby na moje polecenie. Rozumiem, że przemawiała przez was chęć zdobycia tropów za wszelką cenę, ale grubo przesadziliście. Jeszcze jeden podobny wybryk i wylecicie stąd obaj z takim hukiem, że lokomotywy zamilkną. Dobranoc.

Pożegnał się z nimi machnięciem ręki i poszedł do wieszaka po swój płaszcz. Stali obaj przez chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. Hadczuk miał na końcu języka pytanie, czy Zdybas się zastanawiał, ilu jest chętnych w kolejce na jego miejsce. Latawiec dla odmiany rozważał naprawdę możliwość złożenia efektownego wymówienia, od którego zamilkłyby lokomotywy. Żaden z nich się jednak nie odezwał. Wyszli bez słowa.

– Słabo groził – zauważył po chwili Łukasz.

– Stoi na skrzyżowaniu i nie potrafi się zdecydować, czy skręcić w prawo czy w lewo. I powiem ci, nie zazdroszczę mu.

Doszli do końca korytarza i Hadczuk zamiast w lewo do wyjścia poszedł w prawo.

– A ty wiesz, gdzie skręcić? – spytał Latawiec. – Drzwi są tam.

– Idę do biura techników. Może ten cienki bolek jeszcze siedzi.

Siedział. Pulchny blondyn w okularach o grubych szkłach wspartych na nosie podpieranym z kolei niemrawym wąsikiem. Przed paroma laty Kała nasadził tu Kamila Grzywę, ponieważ był synem siostry szwagra czy szwagrem syna siostry. Stąd brała się jego bezczelność i poczucie pewności siebie. Nie naruszyła go nawet afera z podrabianiem dowodów przeciwko Bałysiowi. Dopóki Kała żył i wpływał na komendę, sierżant Grzywa był niezatapialny.

– Zamknięte – mruknął znad klawiatury w odpowiedzi na ich „dobry wieczór”.

– Laboratorium to nie sklep – odparł Hadczuk i nie zważając na naburmuszoną minę Grzywy, usiadł na krześle obok i postukał palcem w ekran. – Pokaż wszystko, co masz w tej sprawie.

– Nie jesteśmy kolegami – zaprotestował technik i usiłował wzrokiem zepchnąć z krzesła Latawca, znacznie lżejszego od komisarza.

– I nigdy nie będziemy, sierżancie. Jedyne, co wchodzi w grę, to kto kogo. Jeśli Kała wyjdzie z tej konfrontacji zwycięsko, będziesz mógł mnie z wielką przyjemnością stąd wypieprzyć na zbity pysk, za co – uwaga – jeszcze ci podziękuję. Ale jeśli Kała popłynie rurami kanalizacyjnymi, ty popłyniesz razem z nim, pamiętaj. A wtedy postaram się, żebyś trafił do ciasnej rury i trzeba cię będzie popychać w dupę specjalnie zaostrzonym drągiem. Rozumiemy się?

– O co wam chodzi? Jak nie wiecie, komu by tu spuścić wpierdol, to idźcie na dworzec.

Próbował to powiedzieć twardo, z pancerzem spokoju na klacie, jednak głos nieznacznie mu zadrżał. Nie mówiąc o tym, że jego pierś stanowiła zaledwie mało obiecującą namiastkę klaty.

– Ale my wolimy ciebie – odparł niezrażony Hadczuk.

– Pan się zapomina, komisarzu.

– Jasne. Nie to co ty. Zawsze w porządku i bez zarzutu. Czysta niewinność. Zanim zechcę ją zbrukać, weź pokaż te pliki, a potem się odsuń od klawiatury. To nie jest prośba ani groźba, tylko zwyczajny rozkaz od szefa wydziału kryminalnego, gdybyś zapomniał. Do tamtych przejdę później. Na razie bądź łaskaw pokazać, co masz, i poczekać grzecznie z boku.

– Dzwonię do komendanta. Chyba jeszcze jest u siebie.

– Dzwoń albo ja zadzwonię – powiedział zimno Hadczuk. – Właśnie od niego idę.

Technika zbiło z tropu. Obaj z satysfakcją obserwowali jego walkę z myślami. Nie dalej jak godzinę temu sprawił niemałą satysfakcję podinspektorowi Zdybasowi, podając mu na tacy trop prowadzący wprost do Andrzeja Krzyckiego, za co usłyszał nawet obietnicę rychłego awansu. A teraz ci dwaj żądają dostępu do wszystkich danych i pewnie szybko odkryją, że ślad Krzyckiego nie jest jedynym poważnym, a już na pewno nie jedynym możliwym. Grzywa po prostu zrobił to, co uznał za najlepsze, zgadując intencje komendanta. Czyżby się pomylił?

Po krótkim i intensywnym przekalkulowaniu za i przeciw sierżant Kamil Grzywa otwarł kilka kolejnych folderów i zostawił im kursor na zbiorze pod tytułem „Kulesza”. Głośno odsunął krzesło, wyjął z kieszeni smartfon i zaczął się nim ostentacyjnie bawić. Przy klawiaturze usiadł Latawiec jako młodszy i lepiej obyty z komputerami.

Folder zawierał wiele znanych im już rzeczy: raporty od przewodników psów, opisy próbek krwi i materiałów z samochodu Rajmunda Kuleszy, zdjęcia odcisków opon na parkingu i tym podobne. Wertowali je pobieżnie i na wyrywki, szukając czegoś, co by przykuło ich uwagę. Wreszcie natrafili na podfolder pod tytułem: „Kamerki”. Łukasz kliknął i wyskoczyła lista kilkunastu zapisów cyfrowych bez tytułów, tylko z oznaczeniami daty i dokładnego czasu rejestracji.

– O, to jednak coś jest? – Komisarz spojrzał pytająco na sierżanta Grzywę. – A jeszcze wczoraj twierdziłeś, że prawie nic nie ma.

– Nie jesteśmy kolegami.

– I nigdy nie będziemy. Powiesz nam coś więcej czy mamy szukać sami?

Technik wzruszył ramionami i wrócił do swojego smartfona. Zaczęli przeglądać zapisy jeden po drugim, jednak nic na nich nie znaleźli, więc przeskoczyli do tych z godziną najbardziej zbliżoną do czasu popełnienia morderstwa w Grębówku. Trzy z nich pochodziły z różnych kamer, ale zapisy dzieliły jedynie minutowe odstępy. Na pierwszym jasno oświetloną ulicą jechało ciemnoszare audi wójta Kuleszy. Na następnym to samo audi zostało uchwycone z bliższej odległości – z przodu siedziały dwie osoby. Obraz był rozmazany i przyciemniony, bez szans na rozpoznanie twarzy. Na trzecim filmiku audi stanowiło tylko niewielki punkcik na pasku ulicy, ponieważ obraz pochodził z kamery przemysłowej umieszczonej wysoko na szczycie budynku. Hadczuk odwrócił się do technika i pokazał palcem na ekran.

– Nie ma tego więcej?

– Nie – odburknął Grzywa spod ściany. – Przeginacie pałę.

Szef wydziału kryminalnego chciał odpowiedzieć i właśnie układał sobie w głowie zdanie zaczynające się od: „Ja ci, gnojku, pokażę przeginanie...”, kiedy Łukasz trącił go dłonią w udo.

– Tu jest.

W koszu na dole ekranu znajdowały się jeszcze dwa filmiki zawierające nagrania grafitowego audi z ulicznych kamer. Na jednym z nich po zbliżeniu ich oczom ukazała się prawa strona auta i profil faceta o niedźwiedzich barach, tego od czerwonych spodni i czarnej koszuli. Z rozdziawioną od zaskoczenia i zbaraniałą gębą Latawiec machinalnie kliknął drugi filmik. Tym razem nie musiał powiększać obrazu. Za kierownicą samochodu ofiary ukazała się nieruchoma twarz blondynki z włosami spiętymi w koński ogon. Siedziała jak posąg, z lekko rozchylonymi ustami. Nefretete w wersji blond. *Na, na, krasawczik.*

– Ja pierdolę... – wymamrotał Latawiec, nagle pobladły na twarzy. Gapił się w zatrzymany obraz przez kilka sekund, dopóki komisarz nie poderwał go z krzesła.

– Lecimy! – zawołał. – Po drodze wezwiemy patrole. Ruszaj się!

Ciągnął Łukasza za rękaw jak dzieciaka, który nie chce wyjść z cukierni. Po chwilowym oszołomieniu sierżant jednak szybko odzyskał przytomność. Zanim został odciągnięty od komputera, zdążył wyjąć telefon i pstryknąć zdjęcie zatrzymanemu na ekranie obrazowi. Na robienie kopii na pendrivie nie mieli czasu.

– Jak mi to zniknie z dysku – rzucił na odchodne do niemile zdziwionego Grzywy – to przez tę rurę kanalizacyjną będę cię przepychał osobiście.

– No, jasne. Już się boję – odwarknął naburmuszony ich chamstwem technik, ale odpowiedź poszła w pustkę. Tamtych już nie było.

5

W drodze do baru U Zbynia Hadczuk testował przyczepność opon służbowego volkswagena, podczas gdy Latawiec przez radio wzywał wszystkie okoliczne patrole. Rozchlapując z olbrzymich kałuż fontanny wody, wpadli na przydrożny parking o wpół do jedenastej. W środku ciągle się świeciło, było otwarte, więc ostrożnie zajrzeli przez szybę, z rękami na kolbach pistoletów. Parę osób zajmowało barowe krzesła przy ladzie, kilka innych jadło przy małych stolikach, dwie dziewczyny popijały drinki, gadając do siebie i równocześnie nie odrywając wzroku od telefonów. Przy dużym okrągłym stole nikt nie siedział. Hadczuk postukał się palcem w pierś: ja wchodzę pierwszy.

Wszedł wolnym krokiem, uważnie się rozglądając. Sprawiał wrażenie człowieka niezwykle spokojnego i opanowanego, chociaż zmęczenie i liczba wrażeń z całego dnia wcale mu tego nie ułatwiały. Zamknąwszy drzwi, zrobił dwa kroki do przodu i dopiero tam się zatrzymał w poszukiwaniu dogodnego dla siebie miejsca. Wyglądał naturalnie i zwyczajnie, tak jak powinien. Latawiec drżał z podniecenia i nieokreślonego lęku, jakby się bał, że jego blondyna wyskoczy nagle zza rogu, najlepiej z toalety w głębi, i obu ich położy dwoma precyzyjnymi

strzałami. Nerwowo zerkał na prawo i lewo, ale oprócz skośnych kropel deszczu w świetle latarni i mokrych gałęzi wielkiej lipy nie widział wokół baru nic. Żadnego ruchu. A jednak strach przeszył go do szpiku kości. *Na, krasawiec.* Zabójczyni. Czego chciała od niego?

Z bronią gotową do strzału przeszedł do jednego narożnika baru, potem do drugiego i wrócił pod drzwi. Po chwili nadjechały dwa wozy patrolowe na sygnale, więc przekazał im pilnowanie budynku i dopiero wtedy wszedł do środka. Hadczuk tymczasem rozmawiał z barmanem.

– Nie, nie znam.

– Widywał ich pan tutaj wcześniej?

– Nie wydaje mi się.

– Wyglądali na dosyć zadomowionych – nie ustępował komisarz. – Dawno wyszli?

– Nie zwróciłem uwagi.

Z zaplecza tanecznym krokiem nadeszła kelnerka. Obrzuciła ich krytycznym spojrzeniem.

– Co jest, papciu, reklamacja? Zamiast bzyka sraleczka?

Zaskoczony Hadczuk nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Inicjatywę przejął Latawiec.

– Przed chwilą przy dużym stole siedziało sześć osób. Chodzi nam zwłaszcza o parę czerwono-czarną, blondynkę i dużego, zwalistego mężczyznę. O której wyszli?

– Ach, panowie policjanci – westchnęła z wyraźnym rozczarowaniem. – A już myślałam, że para sympatycznych gejów. Trudno. A tamci wyszli zaraz po was. Nie znam ich, pierwszy raz tu byli.

– Porozumiewaliście się z tą dziewczyną na migi – powiedział Latawiec, celując palcem w barmana. – Jak dobrzy znajomi.

– Naprawdę? Nie przypominam sobie.

– On wam nic nie powie, choćby wiedział – wtrąciła się kelnerka. – Jak raz puści parę z gęby, nie ma po co więcej przychodzić. Taki tu jest klimat.

– W którą stronę odjechali? – spytał jeszcze na odchodne sierżant.

– W tę, co wszyscy. Tu jest tylko jedna droga. Na Grębówko albo do centrum. Macie panowie wybór, jak w demokracji.

– Oczywiście, nie wie pani, jakim samochodem.

– Oczywiście, że nie.

Wyszczerzyła zęby i zniknęła z powrotem na zapleczu. Barman nie zwracał na nich uwagi, z pochyloną głową uważnie opłukiwał szklanki po piwie. Spytali dla zasady pozostałych gości, czy czegoś nie widzieli, ale większość zjawiła się już po tamtych. Wyszli na zewnątrz. Dwa wozy policyjne z migającymi kogutami stały na skraju parkingu.

– Nawet nie wiemy, czym odjechali.

Latawiec rozejrzał się ostentacyjnie wokoło, by następnie stwierdzić z niejasną satysfakcją:

– Tu nie ma żadnej kamery. Zabraliśmy się stąd prawie dwie godziny temu, to kupa czasu na zniknięcie. Jeśli pojechali w stronę miasta, jest nadzieja, że któraś z kamer ich uchwyciła, jeśli jednak na Grębówko, to dupa zbita. Cholera, znowu to Grębówko. Co to za przeklęta dziura?

– Dokładnie tak, Łukaszku, przeklęta dziura. Chodźmy do domu, jest noc. Trzeba tylko nadać meldunek do wszystkich patroli. Nie mamy auta, ale niech szukają ludzi. Gdzieś, do diabła, przecież musieli pojechać! Nie rozpłynęli się w powietrzu. Trochę danych zebraliśmy. Ona mówiła po rosyjsku, nie?

Latawiec skinął głową i odwrócił się. *Na, na, krasawczik.* Brzmiało bardziej jak wyzwanie niż wyznanie. Teraz uświadomił sobie, że patrzyła na niego tak, jakby doskonale wiedziała, kim jest i po co przyszedł. Dlatego szła do toalety takim wyzywającym krokiem. Szła do niego. Naprzeciw niemu. Wyzywała go na pojedynek: zabójczo piękna zabójczyni kontra policjant *krasawczik*. Jej stalowa twarz skrywała pod spodem lodowaty uśmiech. Gorzej – drwinę z niego i jego całej gównianej policyjnej robótki. U nas takich krasawczików na pęczki, i co z tego? Jest jak jest, a ich jakby w ogóle nie było. Piękność nic nie znaczy, chłopcze.

– O czym myślisz?

– O tej dziewczynie.

– Heej! Opanuj się! Masz ją złapać, nie posiąść.

– Wiedziała, że jesteśmy policjantami i że ich szukamy. Prowokowała mnie, bym ją zapamiętał, grała nam na nosie i bawiła się nami. Chciała pokazać, że się nas nie boi i że nie możemy jej nic zrobić. Dziwne, nie sądzisz? Na miejscu Rosjanki czy Białorusinki w Polsce, gdybym miał do czynienia z policją śledczą, raczej zachowywałbym maksymalną ostrożność. Chyba że miałbym krycie z góry. Jak myślisz, to oni właśnie dostali zlecenie na Kuleszę? Aż tak mogli się z tym afiszować?

– Bo ja wiem – powiedział Hadczuk. – To ludzie Wschodu, u nich decyzje i odruchy chodzą trochę innymi drogami niż u nas, poczciwych Polaczków. Miałem z nimi wielokrotnie do czynienia i nauczyłem się jednego: nie próbuj zgadnąć, co myślą, bo i tak nie trafisz. Chodźmy do domu. Ze zmęczenia zaczynam mieć to wszystko głęboko w jelicie.

Machnął ręką, oganiając się od jakiejś natrętnej myśli, i poszedł do radiowozu zameldować o podejrzanych. A nuż któryś z patroli się na nich nadzieje we wtorkową noc i sprawa łaskawie ruszy do przodu.

Latawiec stał jeszcze chwilę na środku błotnistego parkingu i spoglądał w czarne niebo. Wreszcie przestało padać, ale świat bynajmniej nie wyglądał teraz lepiej, przeciwnie, ciemność jakby jeszcze się wzmogła, stwardniała, nierozmyta strugami pomorskiego deszczu. Patrzył w niebo, jednak widział tamtą posągową twarz z lekko rozchylonymi ustami, które wymawiały to dziwne, pogardliwe słowo, wyzywając go na pojedynek. A może mówiły co innego.

Zabij mnie. Albo ja zabiję ciebie.

6

Dominika nie mogła odebrać telefonu od Benka Mrówczyńskiego. Siedziała właśnie obok ojca na kanapie w jego gabinecie i słuchała

tłumaczeń odnośnie do zasad, obowiązków i regulacji prawnych związanych z zawodem geodety. Dowiadywała się na przykład, że należy być bezwzględnie lojalnym wobec klienta i wszelkie kompromisy na tym polu przynoszą wyłącznie straty. Następnie dowiadywała się, że ochrona najbliższych to najważniejszy ze wszystkich obowiązków ojca rodziny, i właśnie z tego powodu pewnych rzeczy powiedzieć nie wolno, by nie narażać siebie i innych na niepotrzebne zagrożenia. Nie wolno również, usłyszała, mieszać spraw zawodowych i prywatnych. Jest czas bohaterstwa i czas żmudnych, codziennych starań, by życie miało jaki taki sens. Po wygłoszeniu tej i kilku innych równie porażających mądrości Alejandro Rodriguez de Huezo, geolog i geodeta, wysłannik niemieckiego potentata wiatrakowego do wynajdowania optymalnych gruntów pod farmy wiatrowe na Pomorzu, westchnął ciężko.

– A poza tym, aniołku, niczego tak naprawdę nie wiem. Mam tylko niejasne domysły, budowane na podstawie cichych, poufnych i nielegalnych obserwacji, takich jak przeglądanie cudzych dokumentów.

Telefon Dominiki brzęczał i brzęczał, nie dało się tego wibrującego i piszczącego faktu tak po prostu ukryć w kieszeni spodni. Wyjęła po raz trzeci i nerwowym ruchem przejechała palcem po ekraniku, by przerwać sygnał.

– Jakich dokumentów?

Pan Rodriguez uśmiechnął się spod czarnych, elegancko przystrzyżonych salwadorskich wąsów.

– Idź, odbierz. To może być ważne.

Poderwała się i wybiegła do przedpokoju. Tu uznała, że mama może słyszeć i wyrzuci potem z siebie sto pytań o Benka, więc zamknęła się w łazience.

– No, co jest? Znalazłeś go?! – zawołała w podnieceniu.

Samo brzmienie głosu sierżanta Mrówczyńskiego wystarczyłoby za całą odpowiedź.

– Nie, jeszcze nie. – Westchnął ciężko. – Niestety, wszystkie moje pomysły były zwyczajnie do dupy, przepraszam, do niczego. Nie mam bladego pojęcia, gdzie ten bydlak się zaszył. Myślałem, że informatorzy coś mi podpowiedzą, ale się przeliczyłem. Wyobraź sobie, że większość z nich znikła, a ci nieliczni, co zostali, nic nie wiedzą. A u ciebie coś nowego?

– Nie – powiedziała obojętnie. Nie liczyła na wielki sukces Benka Mrówczyńskiego, jednak nikłe światełko tliło się w jej duszy. Teraz zgasło. – Widziałeś może Andrzeja Krzyckiego? Wiesz, gdzie on jest? Wokół niego dzieją się niedobre rzeczy. Latawiec mi mówił, że próbują go wrobić.

– Dominia... – Benek mówił na jakimś wewnętrznym zmiękczaczu głosu, szumidle emocjonalnym, które zagłuszało jego zwykły, energiczny głos. Brzmiał trochę nieśmiało, a trochę nietrzeźwo. – Znajdę go, tylko daj mi jeszcze trochę czasu. I wskazówkę. Potrzebuję choćby jednej najcieńszej nici. Moje wszystkie się porwały... – Zamilkł, jakby ostatnie słowo, przez niedobre skojarzenie, do reszty pozbawiło go śmiałości.

Siedziała na klapie od sedesu i trzymała przy uchu milczący telefon, wyobrażając sobie, jak śmiesznie wyglądałaby w oczach każdego, kto by tu w tej chwili zajrzał. Po co Benek dzwoni? Też zwariował od tego wszystkiego, czy po prostu kupił sobie dla animuszu butelkę wódki i właśnie ją dopił? Przecież gdyby wiedziała, poruszyłaby całą pomorską policję, niebo i ziemię by poruszyła, żeby...

Nie. Nic by nie zrobiła, bo Kała go zabije. Jest zdolny do wszystkiego, a jego prawdziwym celem jest Krzycki. Zabije go.

– On go zabije! Wszystkich zabije! Znajdźcie go, błagam!

Roztrzęsiona dłoń przestała pewnie trzymać telefon, wyśliznął się i z trzaskiem upadł na kafelki, gdzie rozleciał się na kilka kawałków. Pozbierała je i wybiegła z łazienki, prosto do pokoju ojca. Rzuciła części telefonu na kanapę i usiadła na nich, zakrywając dłońmi twarz. Alejandro Rodriguez był bardzo rozważnym człowiekiem. Nie robił niczego pochopnie i dzięki temu udało mu się uciec z niebezpiecznego Salwadoru do Europy, urządzić się w Niemczech i zapewnić przez lata swojej rodzinie

jaki taki dobrobyt, a przede wszystkim zwyczajnie po ludzku przeżyć. Patrzył na szlochającą córkę.

– Wstań – odezwał się, biorąc ją za ręce.

Kiedy posłusznie podniosła się z kanapy, odwrócił ją i usadził w fotelu, a sam zajął się telefonem. Włożył baterię na swoje miejsce, założył tylny panel, a resztki pokruszonej oprawki wyrzucił do kosza. Wcisnął guzik od zasilania i przytrzymał.

– Działa – powiedział niewzruszonym głosem potomka hiszpańskich arystokratów. – Dzwoń.

Popatrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Przed chwilą telefonował ktoś, kto chciałby ci pomóc, tylko nie wie jak, prawda?

– Skąd... skąd wiesz?

– Nie gniewaj się, ale drzwi do łazienki mają na dole otwory wentylacyjne. Dzwoń do niego.

– Po... po co? Co mu mam powiedzieć?

– Hurtownia paszy w Przestawnie.

Otarła mokre wnętrza dłoni o spodnie i wzięła od ojca komórkę.

– Papciu, jesteś pewien? – zapytała, gapiąc się to na migający ekranik, to na nieporuszoną twarz ojca.

– Nie – odparł smutno. – Ale i tak nie masz niczego innego.

Powiedział „inego”, bo tak mu zostało z ojczystej wymowy. Posłuchała. Zadzwoniła.

VII

Skowyt nocy

1

– Słyszałaś o Emmanuelu Levinasie? Nie słyszałaś. To taki dwudziestowieczny żydowski filozof. Stawiał na dialog jako zasadę egzystencji i mówił, że heroiczna wolność jednostki prowadzi do autoanihilacji. Co? No, samozniszczenia. Jesteś dzielny i samotny, dlatego giniesz. Holokaust i te sprawy, wiesz, o co chodzi. Sposobem na unicestwiającą samotność jest rozmowa, wejście w wymianę, skonfrontowanie się z innością, która niekoniecznie musi być od razu ratunkiem, ale zapełnia pustkę. Ponieważ, jak wiadomo, normalnie gnębi nas pustka, każdego z osobna, to znaczy nas, ludzi, bo z psami na ten przykład może być inaczej. Dlatego mówię. Wchodzę w konstruktywną transakcję z innością, ponieważ nie mogę sobie teraz pozwolić na żadną autoanihilację czy tym podobne, równie deprymujące w działaniu gówno. Czy to jasne?

Nie odpowiedziała. Przetarła łapą nos i pozwoliła mu mówić dalej. Kiedy gadał, przynajmniej nie zasypiał za kierownicą przy stu osiemdziesięciu na godzinę. Pędzili do granicy niemiecko-polskiej jak wariaci, a kiedy o zmierzchu minęli przejście, samochód zwolnił tylko na tyle, żeby nie prowokować policyjnych patroli. Jej partner wciąż gadał.

– Co się tyczy wolności, przyznaję, od kiedy telefonicznie rzuciłem pracę u Byczkiewicza i przestałem się odzywać do ludzi, jestem człowiekiem bardziej wolnym. Powiem więcej: jakbym w ogóle był bardziej człowiekiem! Wyobrażasz sobie? Najlepszy dowód, że mi się ten głupi Levinas przypomniał, chociaż czytałem go dawno, nie wiem po co, i właściwie nic już nie pamiętam. Cudowne uczucie! Nagle pozbywasz się

ograniczeń, idziesz, dokąd chcesz, robisz, co chcesz, myślisz cokolwiek o czymkolwiek i nie zastanawiasz się ciągle, jak to się ma do twoich zawodowych obowiązków. Dęte? No pewnie. A co nie jest dęte na tym najlepszym ze światów? To Leibniz, inny filozof, ten od teodycei. No tego, że niby Bóg miłosierny, a jest zło. Ale ciebie to nie obchodzi, psy nie mają problemów z konfliktami moralnymi w obrębie aksjologii.

Gdy minęli granicę, na polskiej ziemi w jej partnerze zaszła interesująca charakterologiczna zmiana. Z perspektywy indywidualnej przeszedł na zbiorową.

– Przyjemnie wrócić na ojczyzny łono. W otoczenie swojskiej Słowiańszczyzny, po wiekach kolonizującej na nowo germańskie kondominia. Patrz, widziałaś?

Pokazał ręką na billboard przy drodze, na którym rozerwany ludzki płód wyglądał jak resztki po uczcie Hannibala Lectera. Obok podpis: „Aborcja zabija. Zadzwoń do posła i powiedz, czego żądasz”.

– A na łonie, jak to na łonie, można sobie organizować różne przyjemności, zależnie od upodobań. Niby nic takiego, przejechaliśmy most na Odrze i nieznacznie zmienił się język napisów na tablicach, choć litery wciąż takie same. Takie same auta na ulicach, dachówki na domach i kolory reklam w witrynach sklepów. Takie same drzewa w lesie, trawy na łące, ptaki na niebie, woda w rzece też do bólu taka sama. A jednak przekroczyliśmy mocną granicę, nie sądzisz? Twardszą niż tamta wschodnia, bo tam zmienia się stopień nasilenia pewnych warunków i stanów, ale nie substancja. A tu – dup, jak obuchem w łeb. Mówią: Europa Zachodnia i Europa Środkowa, by złagodzić bolesny fakt, że ta druga nie jest już tak całkiem Europą, tylko jakąś niedo-Europą, garbem, na którym garbaty próbuje budować swoją tożsamość. Ludek psioczy na zgniły Zachód, bo mu ksiądz z ambony i lokalny działacz narodowy kazali, ale po zarobek leci do tej zgnilizny jak po torebki Wittchena do Lidla. Weźmie każdą robotę, zwłaszcza tę gorszą, bo dobrze wie, że tam może być tylko sługą, nie panem. Jak te dwa przydupasy u Heike Liebner. Skądinąd mili faceci, nie?

Uciszył się i upił łyk kawy z papierowego kubka. Samochód brnął przez rozlewiska długiego pomorskiego zmierzchu. Jeszcze było widać to i owo, choć już niedokładnie, bo przesłonięte filtrem mroku i niepewności. Po przejechaniu pustawego miasteczka skręcili w boczną drogę i znaleźli się w środku lasu. Lala uniosła łeb, ale migające po obu stronach pnie drażniły hipnotycznie, więc z powrotem zwinęła się w kłębek i czekała na dalszy ciąg narracji Krzyckiego. Włączył się po trzecim zakręcie.

– Każdy naród ma swoje słabości, kompleksy i winy, Polska nie jest tu wyjątkiem. Rzecz w tym, co się z tymi ułomnościami robi. W ostatnich latach przeszliśmy świetną europejską terapię, po dekadach wschodniego upodlenia rozpoczęliśmy kapitalny proces zdrowienia i z frustratów zaczęliśmy być wzorem powrotu do zdrowia. Teraz znowu zwracamy się ku chorobie. Przestaliśmy się leczyć. Jesteśmy jak ten zdrowiejący alkoholik, który znowu zaczął pić. Udaje, że wszystko jest pod kontrolą, że da sobie radę i na dowód nadrabia miną. Proces destrukcji jest jednak nieuchronny. Dotychczasowi przyjaciele się odwracają, rośnie wokół niego osamotnienie, facet coraz mniej rozmawia z ludźmi, a coraz więcej z samym sobą. Jeszcze trochę i wyleją go z pracy. W środku rozpada się na dwie zajadle ze sobą walczące części: ta zdrowa jeszcze chce żyć, ta chora brnie ku samobójstwu. Drzewiej już tak bywało i wie, co go czeka, więc opatruje widmo samobójstwa desperacką emfazą. A co, niech się wszystko wreszcie porządnie rozpieprzy!

Zamilkł, ale nie dość mu było i dodał:

– Znowu sponiewieramy się na własną prośbę, upadniemy na samo dno i dopiero wtedy zabierzemy się za wychodzenie. Było łatwiej, będzie trudniej. Wiesz dlaczego? Bo spieprzyć swój organizm można szybko, za to poprawa trwa bardzo długo. Rozumiesz? BARDZO DŁUGO!

Udała, że rozumie. Ważne, żeby jechali dalej i dotarli na miejsce, nawet na takim paliwie. Ale się nakręcił! Uporczywe milczenie kończy się logoreą.

Las rzedniał, przechodził stopniowo w zagajnik, potem zza niewysokiej sośniny wyłoniły się otwarte pola z migoczącymi na obrzeżach lampami

sygnalizacyjnymi turbin wiatrowych. Dostrzegli zaledwie kilka, różnej wysokości, leniwie machały skrzydłami w gęstniejącym mroku. Ich widok wyzwolił w Krzyckim nową potrzebę mówienia.

– Wiem, co powiesz. Że uporczywe milczenie kończy się logoreą. No, słowotokiem. Ale mogłabyś to potraktować jak komplement, że z ludźmi nie chcę gadać, a z tobą tak. Poza tym przypominam nieśmiało, że zamierzałem uciec ze szpitala sam, a ty wgramoliłaś się na siedzenie z własnej woli, przy moim proteście. Nie zostało ci zatem, piękna, nic innego, jak siedzieć teraz i słuchać.

Popatrzyła na niego wymownie. W porządku, nawijaj.

Westchnął.

– Po pierwsze, zawaliłem wobec Doroty i nie daje mi to spokoju. Znasz ją, jest kobietą wymagającą i byle czym się nie wykręcę. „Wybacz, Misiaczku”, „wiesz, że cię kocham”, „to nie tak, jak myślisz” – nie zadziała. Powinienem rozegrać rzecz całą inaczej.

Pauza.

– Ale nie wiem jak.

Pauza.

– Dlatego gadam.

Ledwie skończył, gwałtownie wcisnął hamulec. Pchnięta siłą bezwładu Lala spadła z fotela na podłogę, co podsumowała cichym jękiem, a kiedy już wskoczyła z powrotem i zerknęła przez przednią szybę, aż szczeknęła z zachwytu. W poprzek drogi biegło stado dzików: na przedzie wielki odyniec, który już znikał w chaszczach po drugiej stronie, za nim szereg warchlaków, a na końcu locha w charakterze tylnej straży. Biegły szybko, nie oglądając się, jakby działały w swoim zamkniętym świecie. Z determinacją realizowały raz podjęte ryzyko wejścia na szosę.

Andrzej patrzył jak urzeczony.

– Ciii, nie szczekaj – uspokajał Lalę, unosząc dłoń. – Przestraszą się.

Odczekali, aż stado zniknie, po czym wolno ruszył, uważnie rozglądając się na boki. Las wrócił do stanu nieruchomej pustki, tylko owady

w światłach samochodu tańczyły swój przedśmiertny taniec, sekundę później umierając na masce granatowego passata.

Chętnie by mu powiedziała, że z kobietami pokroju Doroty trzeba postępować tak jak te dziki z drogą. Wyczekać odpowiedniej chwili, podjąć decyzję, a później z żelazną konsekwencją realizować plan. Co przecież wiedział. Zawsze tak robił.

– Wiem, konsekwencja. Ale życie, droga Laluniu, tylko w zużytych metaforach przypomina partię szachów. Grasz rozważnie i solidnie do chwili, kiedy włączą się instynkty i jest po sprawie. Zanim się zorientujesz, goła maturzystka w twoim łóżku leży. Szach-mat.

Pauza.

– Kurwa, ale bym się napił piwa!

Obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. Wypraszam sobie takie wyrażenia w mojej obecności. Nie dodawaj już niczego do tej góry wyrzutów sumienia.

Wyczuł jej sugestię.

– No, Lucek. Prawdziwa góra wyrzutów sumienia. Począwszy od tego, że nie powinienem był go wysyłać do Słupska, tylko pojechać samemu. Powiedzieć ci coś? Ja to gdzieś w głębi duszy przeczuwałem, całe to horrendalne zamieszanie z Kałą. Ten typek przemknął mi tuż pod powierzchnią świadomości, kiedy mówiłem do Lucka: jedź. Niestety, nie posłuchałem głosu, który, co wiesz lepiej ode mnie, bywa najbardziej prawdomówny i uczciwy. Samolubnie zajmowałem się swoimi problemami, bo nic tak nie łechce twojej próżności jak solidnie przeżyta depresja. Jakiż jestem głęboki i skomplikowany wewnętrznie! Ileż musicie się ze mną namęczyć, żebyśmy mogli razem żyć! Takie tam pierdoły. A on za to wszystko beknął.

W samochodzie znowu zapadła cisza. Każde z nich po swojemu przetrawiało w myślach nowe aspekty tej układanki. Wyrzuty wyrzutami, ale główny problem nie polegał na przeżyciu kolejnej depresji przez Andrzeja, tylko na przeżyciu kolejnych godzin przez Lucka. O tym, że jest źle, wiedzieli doskonale. Że sami się w to wpakowali, za sprawą Andrzeja –

również. Nie mieli jednak odwrotu, musieli działać nocą, w obcym terenie, przeciwko niewiadomym siłom, z pośpiechem i niepewnością. On siedział teraz za kierownicą, wpatrzony w ciemność przed sobą i kombinował, co właściwie ma zrobić. Ona zerkała na niego z ukosa, bez większej nadziei na to, że postąpi właściwie.

2

Minęli odrapaną tablicę z napisem „Hurtownia paszy”. Krzycki zjechał na pobocze. Wyłączył silnik, zgasił reflektory i zamknął oczy. Sapał. Patrzyła na niego niepewnie.

Andrzej, czas płynie.

– Wiem, Laluniu, że czas płynie, ale nie daję rady.

Drzemał prawie godzinę. Kiedy się ocknął, chwilę rozglądał się wokół siebie, jakby usiłował sobie przypomnieć, gdzie jest.

– Choć, odlejemy się – powiedział, otwierając drzwi od jej strony. Nie wysiadła. Zostawił ją w aucie i wszedł w głąb czarnego lasu, ostrożnie rozgarniając rękami niewidoczne gałęzie. Dopiero po chwili jego wzrok zaczął się przyzwyczajać. W gęstej ciemności rozróżniał smoliste pnie i nieco jaśniejsze plamy bezgwiezdnego nieba nad koronami drzew, skąd dobiegały dyskretne poszumy wiatru. Księżyc był w nowiu. Noc milczała wymownie jak uniesiony topór. Lada chwila coś się wydarzy.

Nagle w szparze chmur rozbłysła gwiazda. Wega. Uniósł głowę i wpatrzył się w nią, mrugając zmęczonymi oczami. No już, stara, porzuć fochy i daj mi jakąś podpowiedź, choćby najlichszą. Albo jesteś królową nocy, wszystko widzisz i nad wszystkim panujesz, albo jesteś zwykłą jarmarczną dziewką, wodzącą ckliwych facetów na pokuszenie. Byłem zawsze lojalny w moim podziwie dla ciebie i okazjonalne zdrady z zimową Capellą niewiele tu zmieniają. Idziecie u mnie po prostu na przemian, raz jedna, raz druga, jak w zgranym trójkącie miłosnym. Więc nie dąsaj się jak

głupia pomorska gęś tuż przed świętym Marcinem, tylko powiedz. Dużo wiesz.

Od patrzenia w górę rozbolał go kark. Opuścił wzrok na las i pomasował dłonią naprężone mięśnie. Nowe uderzenie krwi do mózgu spowodowało zawrót głowy, od którego się zachwiał, i żeby nie upaść, przywarł policzkiem do pnia sosny. Zaczęło mu szumieć w uszach. Zamrugał i spojrzał przed siebie, ale znowu nic nie widział. Jak przy ostrych migrenach. W ostatnich dniach żarł cefalginy jak hobbici lembasy, przy każdej okazji. Odbijało mu się apteczną goryczką, kawą i jeszcze czymś, co przywodziło mu na myśl najcięższe kace i co obecnie stanowiło skrajnie ryzykowną treść żołądkową pana inspektora.

Zamrugał znowu. Wstrzymał oddech. Na prawo od niego trzasnęła gałązka. Przecieranie oczu niewiele przyniosło, nadal nic nie widział. Oburącz objął pień. Miał ochotę krzyknąć. Zamiast tego znieruchomiał z otwartymi ustami, ponieważ nagle zarejestrował ruch po prawej stronie. Tej samej, gdzie przed chwilą trzasnęła łamana gałązka. Kilka metrów przed nim, w milczeniu i z pochylonymi głowami, szli trzej mężczyźni, rozgarniając gałęzie lewymi rękami, ponieważ prawe mieli wsparte na temblakach. Gdy znaleźli się na wprost niego, usunął się za pień i śledził ich kątem oka. Im dłużej jednak patrzył, tym większej nabierał pewności co do fantasmagoryczności roztaczającego się przed nim widoku. Lasem szli żołnierze w mundurach i furażerkach Wehrmachtu, a dwaj z nich wspierali ręce nie na temblakach, tylko niemieckich pistoletach maszynowych, zwanych rozpylaczami lub szmajserami. Trzeci niósł karabin MG 42. Szli spokojnym, pewnym krokiem, nie odzywając się do siebie, i po kilku sekundach zniknęli za kępą krzaków po lewej stronie. Andrzej wstrzymał oddech i dopiero kiedy stuknął czołem o pień, zaatakowany kolejnym zawrotem głowy, odetchnął głęboko.

Spojrzał w górę i nie dostrzegł ani Wegi, ani korony drzew, ani w ogóle niczego poza bezdenną czernią, co uznał za najlepszy dowód swoich podejrzeń. Niemożliwe. Przywidzenie. Projekcja niedotlenionego mózgu. Majaczy wskutek zatrucia i ogólnego wyczerpania organizmu. Gdyby

przechodzili tędy prawdziwi ludzie, słyszałby ich kroki. Poza tym nie da się uniknąć hałasu, niosąc przez las ciężkie karabiny. A jeśli byli częścią kolejnej szalonej rekonstrukcji historycznej Artura Kały? I co, maszerowali w środku nocy wzdłuż drogi? Nie, to bez sensu. BEZ-SEN-SU!

Pomacał się po krzyżu i pod pachami tylko po to, by się upewnić, że nie zabrał ze sobą żadnej broni. Chętnie by za nimi poszedł i przekonał się co do wiarygodności swoich zmysłów, w tej sytuacji byłoby to jednak samobójstwo. Chyba że weźmie do pomocy Lalę...

Czekała na niego niespokojna. Przestępowała z łapy na łapę i kręciła łbem. Co tak długo? Walczyłeś z zatwardzeniem?

– Nie, ze Strachem i Imaginacją. Starcie nierozstrzygnięte, musisz mi pomóc. Chodź.

Zapiął jej do obroży czerwoną smycz, którą kiedyś dostała w prezencie od Lucka, i wypuścił na trawę, nakazując absolutną ciszę. Posłusznie podreptała z nim pod bagażnik, skąd wyjął glocka w kaburze z zapasowym magazynkiem, przeładował i przypiął do paska. Potem przypomniał sobie MG 42 jednego z tamtych trzech i z zapasów policyjnych dobrał jeszcze krótką strzelbę z pistoletowym uchwytem, zwaną popularnie shotgunem, upewnił się, że jest załadowana, i zarzucił sobie przez plecy. Ciężka metalowa latarka z punktowym światłem od biedy mogła służyć do celów zaczepno-obronnych, więc ją też zabrał. Przykucnął przy Lali.

– Idziemy cicho – szepnął, kładąc palec na ustach, jakby rozmawiał z dzieckiem. – Ciiichooo.

Pogładził ją po łbie i ruszyli. Bez trudu dotarł pod tamto drzewo i poluzował smycz, wypuszczając sukę nieco do przodu. Schyliła łeb, pokręciła się trochę w miejscu, po czym pociągnęła w lewo. Dobra nasza, pomyślał i ścisnął latarkę jak uchwyt świetlnego miecza. Przedarli się przez sporą kępę zarośli i znaleźli się na czymś w rodzaju ścieżki. Lala parła naprzód, a w Andrzeju z sekundy na sekundę narastało przekonanie, że jednak mu się nie przywidziało, jego zmysły są w porządku, a ci faceci to przebierańcy od Kały. Pomacał dłonią kolbę glocka. Lubił ten chłodny dotyk – zwiastował ciekawe odmiany losu.

I tyle było jego optymizmu. Po kilkunastu metrach nocnego marszu przez leśną gęstwinę Lala nagle zatrzymała się, uniosła łeb, obróciła nim jak radarem w obie strony, po czym ruszyła ostro w tył. Andrzej trochę się zdziwił, zbaczali bowiem ze ścieżki i wcinali się w jeszcze większą gęstwinę, suka jednak parła nieugięcie tam, skąd przyszli. Wkrótce odbiła w lewo i następne dwadzieścia metrów szła w głąb lasu, pod kątem prostym w stosunku do hipotetycznej trasy wehrmachtowców.

– Hej, co robisz? – szepnął, ściągając smycz. – Nie tu idziemy.

Szarpnęła się, chciała iść dalej, ale ją powstrzymał.

– Laluniu, coś ci się potentegowało. Oni szli w tamtym kierunku. Co ty, zająca wyczułaś?

Ostentacyjnie odwróciła się od niego i wbiła wzrok w ciemność przed sobą. Siedziała nieruchoma i sztywna jak rzeźba, a Andrzej zastanawiał się, co tu jest grane.

– Tam, młoda. Idziemy tam.

Nie drgnęła. Zawahał się, czy jej nie spuścić ze smyczy, jednak zrezygnował. Nie miał szans dogonić suki w tych warunkach, a to mógł być po prostu jakiś zwierzak. Pociągnął ją.

– Chodź. Spróbujemy tamtą ścieżką.

Niechętnie zawróciła i po chwili znowu szli wąską ścieżyną, na pierwszy rzut oka wydeptaną bardziej przez sarny niż przez niemieckich żołnierzy z czasów drugiej wojny światowej. Dwukrotnie schylił się i poświecił latarką na poszycie, ale śladów butów nie znalazł. Wkrótce też ścieżka doszła do głębokiego rowu wypełnionego wodą i tu się urwała. Przeskoczyli na drugą stronę, po czym Lala obwąchała kilka badyli i demonstracyjnie usiadła na trawie. Koniec. Nie ma tropu.

– Weź się rozejrzyj. Za co cię utrzymuję?

Nic z tego. Obejrzała się w prawo, potem w lewo, a następnie położyła się na mokrej trawie i wsparła pysk na wyciągniętej łapie. Chcesz, to idź sam.

Poszedł. Zrobił kilka kroków z wyciągniętymi jak ślepiec rękami i zawrócił. Poświecił wkoło, upewniając się, że nie widzi żadnych nowych śladów, po czym dał za wygraną.

– Chodź, wracamy – powiedział, nieprzyjemnie szarpiąc ją za obrożę, jakby to ona ponosiła winę za jego urojenia. Posłusznie poszła, ale trzymała się teraz z tyłu, dając mu do zrozumienia, co sądzi o takich manierach. Pozbywszy się ostrożności przed najwyraźniej wyimaginowanymi wrogami, włączył latarkę i w ostrym snopie jej światła wrócili do samochodu. Lala niechętnie, on z każdym krokiem coraz szybciej. Jego przeciążona wyobraźnia spłatała mu głupiego figla, a tymczasem zegar tyka Luckowi nieubłaganie. Nagle wpadł w popłoch, że nie zdąży. Zmęczenie dawało się we znaki, czego najlepszym dowodem były ostatnie przywidzenia, a utrata sił przy jego stanie zdrowia narastała w tempie geometrycznym. Biologiczne akumulatory, którymi tak lubił się szczycić i na których opierał poczucie pewności siebie, dawno przekroczyły linię ostrzegawczą i ich kontrolka ledwie się żarzyła. Nachodziły go fale osłabienia i lęku, że lada moment padnie i więcej się nie podniesie. Przestraszył się i to go ocuciło. Z nowym zastrzykiem adrenaliny wskoczył za kierownicę, rzucił strzelbę na tylne siedzenie i dopił kawę z tekturowego kubka. Lala wsiadała z ociąganiem, oglądając się na ciemny las.

– Wiem, że nie jesteś zawodowcem od tropienia bandytów, tylko zwykłym kundlem – rzucił niechętnie – ale mogłaś się postarać. W końcu chodzi o Lucka. Ogarnij się.

Warknęła, a potem zaskomlała. Zinterpretował to jako manifestowaną obrazę i postanowił więcej z nią nie gadać. Wrzucił bieg i ruszył z kopyta. Po chwili minęli tabliczkę z nazwą miejscowości: PRZESTAWNO.

3

Napięcie w kabinie golfa chwilami osiągało poziom krytyczny. Młody prowadził, jakby ujeżdżał byka na podwórku, a Dziengiel przy każdym

ostrym skręcie i hamowaniu natychmiast wyciągał ręce, by w razie czego skręcić mu kark. Jeden kombinował, jak ogłuszyć wielkoluda podczas jazdy, drugi – jak dojechać na miejsce i tam dopiero ogłuszyć kierowcę. Obaj posługiwali się dobrze skatalogowanym repertuarem zachowań.

– Nie wariuj tak – mruknął policjant.

– Spieszy nam się – odpalił złoczyńca.

– Ale nie na cmentarz.

– A co, boisz się?

– Na pewno nie ciebie, szczylu.

– A kogo?

– W zasadzie nikogo.

– A śmierci?

– Jakbym się bał śmierci, nie poszedłbym do policji.

– Niemożliwe, każdy się czegoś boi – odparł młody Dudas. – Ja na przykład nie chciałbym się udusić. Wiesz, zaciska ci się sznur na szyi, masz coraz mniej powietrza i gaśniesz pomalutku, jak świeczka. Cały czas świadomy.

– Może, nie wiem. Nie. – Olbrzym bił się ze swoimi myślami. – Chyba tylko Boga się boję.

Tak sobie gwarzyli w przerwach między wybuchami napięcia, a wciągnięty w biblijne klimaty Dawid pomyślał sobie, że Goliat jest głupi i boi się nie tego, co trzeba.

W Przestawnie kupili w sklepie spożywczym trochę jedzenia, a w sąsiednim geesie latarki, dwa telefony na kartę i dwa zwoje grubego sznura na metry, do związania Krzyckiego. Każdy z nich pomyślał sobie, że sznur przyda się do związania tego drugiego. Młody upchnął wszystko do płóciennego worka, zarzucił go na plecy i pojechali do lasu na badania terenowe.

Dziengiel przekonał się, że pajacowaty Dawidek wie, co robi. Po zjechaniu z głównej szosy poprowadził samochód sto metrów między drzewa, gdzie znalazł jakby przygotowaną dla nich polanę, okoloną

zaroślami, idealną do ukrycia czerwonego golfa. Następnie wkroczył na ledwie widoczną ścieżynę i powiódł ich okrężną drogą ku niewielkim pagórkom, omijając łukiem jezioro. Jego znakomita orientacja w terenie z jednej strony potwierdzała deklarowane kompetencje, z drugiej budziła uzasadniony niepokój. Facet miał przewagę pola. Dziengielowi zapaliła się czerwona kontrolka w mózgu i już do końca akcji nie zgasła, czasem tylko słabnąc, a czasem jarząc się mocno, wręcz pomarańczowo.

– Czemu tak nienawidzisz tego Krzyckiego? – spytał, kiedy przedzierali się przez leśny gąszcz.

– Zabił mi brata.

– Nie wyglądasz na maminsynka, który beczy po starszym bracie.

Mały Dawid odwrócił się z wściekłością w załzawionych oczach.

– Nie beczę! – zapiszczał falsetem. – Muszę go pomścić.

– Mówiłem ci, że Benek Mrówczyński go zdjął ze snajperki.

– Mnie Zdybas mówił, że to Krzycki.

Olbrzym stanął w miejscu z ręką na odgiętej gałęzi.

– Rozmawiałeś z inspektorem Zdybasem o śmierci brata?

– Może i rozmawiałem. Chuj ci do tego. Idziemy.

Wtedy Dziengielowi zapaliła się druga ostrzegawcza lampka. Skoro ten konus kręcił z komendantem, i to w sprawie Krzyckiego, należało się mieć na baczności. Policjant szedł dwa kroki za nim i w napięciu przyglądał się chudym, lekko przygarbionym i prawie dziecięcym plecom. Ich właściciel co rusz go czymś zaskakiwał, chociaż czego tu się bać, taki konus...

Po żmudnej wędrówce dotarli w pobliże zakratowanego wejścia. Dziengiel cały czas szedł z tyłu, czujnie obserwując towarzysza, podczas gdy tamten sprawiał wrażenie zadowolonego i niespecjalnie zmartwionego tym, że lada chwila dostanie w czapę. Tak to sobie obmyślił. Pac i już. Musi tylko najpierw wydusić z niego jak najwięcej informacji. I nie dać się podejść.

– Nie wygląda, żeby tu ktoś był – zauważył szeptem.

– Bo to z zewnątrz tak ma wyglądać – odparł Dudas. – Rzeczy dzieją się w środku.

– Chcesz, żebyśmy tam weszli? – spytał podejrzliwie Dziengiel. Postanowił nie zgadzać się na żaden punkt planu tamtego i zawsze proponować swój, odwrotny. Taki sposób na zminimalizowanie ryzyka.

– Po co? Nie szukamy Kały, tylko Krzyckiego. A on tu przyjedzie.

– Skąd wiesz?

– Bo ten bunkier kupił kiedyś prezes Kała i nasz krakusik na pewno wciągnął go na swoją listę. Mówiłem ci, że są tylko dwa takie. To łebski skurwiel.

Ostatnie powiedział z uśmiechem, jakby się cieszył, że ma godnego przeciwnika. Dziengielowi zrozumienie tej radości przychodziło z pewnym trudem.

– To nie najlepsza wiadomość dla ciebie. Załatwi cię.

Uśmiech nie schodził z twarzy małego Dudasa.

– Właśnie o to chodzi. Niech myśli, że jest cwany i mnie załatwi, bo dotychczas załatwiał każdego. Właśnie o to chodzi.

Wtedy posterunkowy Zbigniew Dziengiel pojął, że ma przed sobą totalnego pojeba i im szybciej się go pozbędzie, tym lepiej. Już wyciągał rękę, by go po prostu przyciągnąć do siebie i zmiąć w dłoni jak kartkę papieru, gdy Sławek nagle odwrócił się i wyskoczył przed siebie.

– Idę sprawdzić, co się dzieje w środku. Zostań tu i patrz.

– Nie! – zaprotestował Dziengiel. – Ja idę.

Chwilę mierzyli się spojrzeniami.

– Dobra – zgodził się młody. – Jak chcesz. Weź latarkę i sznur na wszelki wypadek. Wiesz, tu wszystko może się zdarzyć.

To go trochę zbiło z tropu, ponieważ spodziewał się oporu i kłótni, w konsekwencji czego mógłby konusa dopaść i zdławić. Zamiast tego zrobił dobrą minę do złej gry i przerzuciwszy zwój sznura przez ramię, z latarką w ręce ruszył w kierunku bunkra. Po drodze dwukrotnie obejrzał

się za siebie, ale młody tkwił tam, gdzie się umówili, i tylko uważnie go obserwował.

Poczuł się jak idiota. Zrobiło się jakby odwrotnie do jego planu i zamiast kontrolować sytuację, parł przez krzaki ku niewiadomemu, obserwowany przez tamtego. Gdyby konus miał spluwę, mógłby go zdjąć jak plastikową butelkę na strzelnicy. Albo mosiężną patelnię, z takim głośnym GONG! Nie miał. Dziengiel sprawdzał co chwilę, ale i tak czuł się idiotycznie.

Wejście do wybetonowanego korytarza wyglądało tak samo jak wszystkie wejścia do starych, nieużywanych bunkrów, których dosyć się naoglądał na Pomorzu. Mocna krata, wstawiona pewnie przez lokalne władze do ochrony ruin przed turystami i turystów przed ruinami, tkwiła tu od dawna, o czym świadczyła nieruszana rdza na zawiasach. Za kratą leżał stos śmieci, a przed nią, na ziemi wkoło widniały liczne ślady butów, dawniejsze i całkiem świeże, co niewiele mówiło. Ktoś tu po prostu przyszedł, pogapił się przez pręty i poszedł dalej. Dziengiel dokładnie przyjrzał się otoczeniu, a ponieważ nic nie zwróciło jego uwagi, postanowił wejść do środka. Obejrzał się za siebie, Dudas z daleka dyskretnie machnął ręką. Wszystko w porządku.

Ujął kratę i poruszał ostrożnie. Z jednej strony wisiała na dwóch prymitywnych zawiasach, z drugiej w ścianę wpuszczono dwa metalowe wąsy, osadzone na zaprawie. Pomiędzy ostrymi końcówkami drutów a betonowym stropem znajdowały się trzy centymetry prześwitu. Wystarczy. Po krótkim namyśle zdecydował się na zawiasy. Schwycił pręty z lewej strony i szarpnął w górę. Wyszły zadziwiająco łatwo, teraz pozostało tylko wyłamać wąsy ze ściany. Poruszył kratą tam i z powrotem kilka razy, i oba pękły. Oparł ją o betonowy mur okalający wejście i zrobił dwa kroki w głąb. Zatrzymał się.

A co, jeśli to pułapka? Ktoś może na niego czekać za ciemnym zakrętem. Zgrywał się przed młodym, bo w rzeczywistości bał się wielu rzeczy. Kto wie, może nawet więcej się bał, niż nie bał. Po to uparcie ćwiczył wszystkie sztuki walki, łamanie karków i wykręcanie rąk, zakładanie nelsonów i duszenie kolanem – żeby zabić strach. Bicie ludzi stanowiło nieuchronną

konsekwencję bicia własnych demonów. O tym jednak przecież nie mógł powiedzieć młodemu Dudasowi. Ani nikomu innemu. Tylko raz kiedyś wspomniał matce i chyba raczej nie zrozumiała.

Wrócił. Dzień był szary, ale i tak jego blask na chwilę go oślepił. Dawid konus zniknął z posterunku. Dziengiel niepewnie rozejrzał się za nim wokoło. Młody stał za jego plecami na szczycie pagórka.

– I co, jest tam coś?

– Nie. I chyba dawno nie było.

Dudas zgrabnie zeskoczył z pagórka. Dziwna haczykowata szrama na skroni zaczerwieniła się i wyglądała jak miejsce po wszczepieniu płytki do odgórnej kontroli. Mały, zwinny i spięty, przypominał sprężynowy nóż. Trochę zbyt zwinny...

– Słuchaj, zrobimy tak – rzucił chłopak tym dziwnym, cienkim falsetem. – Ty tu zostaniesz, a ja pojadę na drugie miejsce. Komórki aktywujemy, dopiero jak się będzie coś działo. Ostrożność nie zawadzi. Okej?

Mógł teraz łatwo schwycić jego wyciągniętą rękę i skręcić albo i urwać. Nie bał się. Odgrywał rolę kumpla i partnera, żeby uśpić czujność tamtego. Obie lampki ostrzegawcze Dziengiela zbladły i żarzyły się na ciemnoczerwono, ale nie zgasły. Jego poczciwy umysł zdołał się obronić.

– Nie. Ty tu zostaniesz, a ja pojadę.

– Nie masz samochodu.

– Dasz mi swój.

– Nie wiesz, gdzie to jest.

– Więc mi powiedz.

Długie sekundy mierzyli się spojrzeniami. Ich umysły wertowały kartki w katalogach ludzkich zachowań. Młody okazał się szybszy. Ustąpił.

– Dobra, jak chcesz. Ty tu rządzisz.

Olbrzym Goliat z satysfakcją wziął z ręki konusa Dawida kluczyki od czerwonego golfa. Kiedy tamten mu tłumaczył położenie systemu bunkrów pod Łątkiem, słuchał jednym uchem, drugim łowiąc zmiany w intonacji piskliwego głosiku, by wychwycić fałszywe tony sygnalizujące pułapki.

Myślał też, by złapać za to cienkie gardełko i zacisnąć palce z całej siły, jak na uchwycie sztangi, a resztki wrzucić do bunkra i przysypać kamieniami. To by rozwiązywało kilka problemów, zwłaszcza gdy już wiedział, że to drugie miejsce znajduje się w Łątku.

Zanim myśl dojrzała i przez zwaliste ciało dotarła w odpowiednie miejsca, młody skończył mówić i zgrabnie wskoczył z powrotem na pagórek. Zupełnie jakby przeczuł.

– Jedź. Czas nagli! – zawołał z góry i pomknął w las jak młody jeleń. Posterunkowy Zbigniew Dziengiel chwilę patrzył na huśtające się gałązki, po czym doszedł do wniosku, że nie pozostaje mu nic innego, jak wsiąść do samochodu i odjechać. Przecież sam tego zażądał. Szukanie teraz po krzakach tego zwinnego i chytrego jak szczur gnojka oznaczało stratę czasu. Dręczyła go również i inna wątpliwość. Młody Dudas znał się z komendantem i rozmawiali o Krzyckim. Po co?

4

Z mapy Ottona Stubenauera wynikało, że bunkier znajduje się parę kilometrów za wsią, na skraju niewielkiego zagajnika, przez który przepływa strumyk Przestawka. Plan Andrzeja był prosty: podjechać na tyle blisko, by móc w każdej chwili uciec, a zarazem na tyle daleko, by nie wypatrzyli go strażnicy, bo w ich obecność nie wątpił nawet przez chwilę. O tym zresztą mówił Lucek na nagraniu z bunkra. W dalszej części plan zakładał odnalezienie zbiornika wodnego, poszukanie optymalnego wejścia do podziemnych pomieszczeń, obezwładnienie wartowników i uwolnienie przyjaciela. Całkiem jak w scenariuszu przygodowego filmu dla młodzieży, plus trochę wybuchów i walka wręcz z największym z przeciwników. Takie scenariusze mają to do siebie, że raczej nie wchodzą w żadne sensowne relacje z rzeczywistością, a ich prawdopodobieństwo kojarzy się z pokazem dyplomowym adepta sztuk iluzjonistycznych. Natomiast sprawiają przyjemność.

Krzyckiemu wcale nie sprawiało to przyjemności. Gdy minął Przestawno, puste jak meksykańska wieś w starym westernie, wjechali w las. Przypiął do paska glocka, włożył skórzaną kurtkę i ukrył w niej nieodłączny nóż oraz latarkę, a kiedy uznał, że na rekonesans tyle wystarczy, ruszyli w noc. Obejrzał się jeszcze za siebie, by zapamiętać miejsce, gdzie zostawia samochód, i wtedy usłyszał gdzieś daleko wycie psa. Nie szczekał, tylko skowytał przeraźliwie, jakby to były jego ostatnie chwile. Lala uniosła łeb i nadstawiła uszu, ale tamten pies na koniec zawył rozpaczliwie i umilkł. Andrzej przykucnął przy niej. Cała się trzęsła. Objął ją za kark.

– Ogarnij się, piękna. Trzeba iść.

Nie odpowiedziała. Odczekali chwilę, by posłuchać odgłosów nocy, jednak nic więcej już się nie odezwało. Cisza i wiatr w koronach drzew. Skierowali się tam, gdzie prowadziła ich mapa, a Andrzejowi przyszły do głowy dwie rzeczy naraz. Pierwsza, że tak lubi najbardziej: ciemność, nóż i pies do pomocy, jak pięć tysięcy lat temu. I druga, że już nie powinien i że dosyć tych absurdów. Trzeba wiedzieć, kiedy wstać i wyjść. Kto to powiedział?

Natknęli się na tabliczkę informacyjną o ruinach fortyfikacji z czasów drugiej wojny światowej i Krzycki pomyślał, że to pierwszy niepokojący sygnał. Gdyby Kała się tu rozgościł, z pewnością usunąłby takie wskazówki. Szli lasem równolegle do dosyć dobrze widocznej ścieżki prowadzącej w głąb zarośli i bacznie wypatrywali oznak obecności ludzi. Tak dotarli do niewielkiego placyku wydeptanego przed głównym wejściem do systemu bunkrów, niewątpliwie pustego i pozbawionego jakichkolwiek śladów życia. I tu nastąpił pierwszy kontakt z rzeczywistością. Obiekt sprawiał wrażenie martwego. Główne wejście zasłaniała gruba i mocno zardzewiała krata, a zza niej wydobywał się na powierzchnię chłodny odór stęchlizny. Andrzej poświecił do środka i zobaczył trochę gruzu, parę puszek po piwie, białą plamę foliowej siatki i napis na ścianie CHWDP. Wejście znajdowało się u stóp niewielkiego pagórka, który ostrożnie obeszli wokoło, co kilka metrów natrafiając na wyrastające spod ziemi fragmenty

szorstkiego betonowego muru. Na jednej ze ścian, tuż przy ziemi, istotnie znajdowało się okrągłe okienko w metalowej ramie, z tym że nie miało szyby. Andrzej kucnął i poświecił do środka. Trochę śmieci, cegieł, suchych gałęzi. Szarpnął kratę, ale nawet nie drgnęła. Od dawna nikt jej nie otwierał. Martwota. Wielkie zardzewiałe nic.

Pozostała jeszcze sprawa wody. Stary Otto twierdził, że bunkier styka się z niewielkim jeziorkiem, i rzeczywiście po zejściu ze wzgórza i dwóch minutach przedzierania się przez gęste zarośla dotarli do brzegu. Była to właściwie sadzawka o średnicy około dwudziestu metrów, okolona błotnistą obręczą uniemożliwiającą dojście do lustra wody. Obeszli ją naokoło, ostrożnie omijając grząskie miejsca wcinające się długimi jęzorami w las tam, gdzie do zbiorniczka spływały strumyki. Jeden z nich okazał się nieco szerszy i przeprawa na drugi brzeg stanowiła dla nich zbyt wielki kłopot, więc obeszli jeziorko ponownie, tym razem w drugą stronę, i znowu doszli do Przestawki. Andrzej świecił latarką tu i tam, licząc na nieoczekiwaną zmianę sytuacji, jednak podniecenie odpływało od niego jak tratwa od rozbitka, robiąc miejsce zniechęceniu. Kiedy wrócili do wejścia z zardzewiałą kratą, omiótł otoczenie snopem światła, ale poza wąską szparą w krzakach, zapewne wydeptaną przez turystów w nagłej potrzebie, niczego nie zauważył. Usiadł na trawie i po prostu powiedział:

– Dupa.

Lala widocznie miała inne zdanie, ponieważ usiadła przed nim, polizała go po wierzchu dłoni i zaskomlała cicho. Pamiętała, że trzeba cicho.

Wtedy rozległo się drugie wycie psa. Jękliwe i donośne, rozdzierające ciszę nocy jak piorun rozdziera letnie niebo. Długo niosło się po okolicy, napełniając zagajnik nowym, nieoczekiwanym i nienazwanym lękiem. Tym razem zadrżeli oboje. Szykowali się na walkę z konkretnym przeciwnikiem, nie wyjącymi po lasach demonami. Andrzej wyciągnął przed siebie prawą rękę i oświetlił ją latarką. Drżenie jeszcze się wzmogło, palce latały jak u telegrafisty. Ale nie to było najgorsze. Nie umiał sobie poradzić z poczuciem absolutnego bezsensu. Wyczerpany i chory, sam, w środku nocy siedział na kopcu ziemi pokrywającym stary niemiecki bunkier na

Pomorzu i usiłował wykonać następny ruch w poszukiwaniach Lucka Bałysia. Beznadziejnych poszukiwaniach. Uległ paranoi prezesa Kały i dał się wciągnąć w szaloną grę, bo tak podobno lubił najbardziej, jednak właśnie docierał do niego cały fałsz tego zakładu. Naprawdę chodziło o to, by go do reszty otumanić, odebrać poczucie pewności siebie, sponiewierać jego niezależną i dumną z samej siebie wolę. I to się prezesowi udało. Wyszło mu prima sort. Ręce trzęsły się Andrzejowi jak w czasach najlepszych ciągów alkoholowych, słaniał się z niewyspania i od prochów przeciwbólowych, a gustowne majaki historyczne wiodły go na manowce. Nic tylko działać. Opadł na trawę i popatrzył w złowrogie kontury drzew nad sobą. Czerń na tle czerni. Pięknie. Podobno tak lubisz najbardziej.

Poczuł jęzor Lali na policzku. Chodź, musimy skończyć, cośmy zaczęli. Ogarnij się, piękny, trzeba iść.

Do Łątka, gdzie znajdował się drugi bunkier odpowiadający wydedukowanym przez nich parametrom, mieli dwadzieścia kilometrów. Pół godziny samochodem nocą, właściwie świtem, bo od wschodu niebo zaczynało blednąć. Spojrzał na zegarek, dochodziło wpół do trzeciej.

– Spróbujemy, co? – powiedział, ale kiedy podparł się ręką, żeby wstać, nagle zakręciło mu się w głowie i usiadł z powrotem. Pod zaciśniętymi powiekami zatańczył spieniony firmament, pełen wirujących galaktyk i eksplodujących mgławic. W skroniach odezwał się uśmierzony chwilowym napięciem ból. Rzeczywistość nieubłaganie korygowała jego szczeniacki scenariusz. Opadł na bok i włożył łokieć pod głowę.

– Zostaję. Idź sama. Muszę odpocząć.

Wsadziła mu wilgotny nos pod policzek i zaczęła szturchać. No już, nie wygłupiaj się, nie będziesz spać na trawie w lesie. Dowlecz się przynajmniej do samochodu.

Znowu miała rację. Podniósł się na czworaka, a w następnej sekundzie stanął na nogi. Włączył latarkę i ignorując podstawowe zasady ostrożności, poszli środkiem ścieżki do szosy, przekroczyli ją i po kilkudziesięciu metrach dotarli do ukrytego między pniami passata. Ledwie Andrzej zdołał opuścić fotel, opadł na niego jak kłoda i niemal natychmiast zasnął.

Ostatnie, co zobaczył przed zaśnięciem, miało łeb wilkołaka i wyło z uniesionym pyskiem na zalanej księżycowym światłem polanie.

Obudził go łoskot. W półsennej malignie wyobraził sobie, że właśnie zasnął za kierownicą i wpakował się pod jadącą z naprzeciwka ciężarówkę, a teraz przedziera się białym tunelem na Drugą Stronę. Na szczęście była to tylko część prawdy. Ciężarówka łoskotała, owszem, ale na szosie za jego plecami, a białe światło wzięło się od bijącego mu prosto w powieki słońca. Poranek. Spojrzał na zegarek i poderwał się z fotela. Dochodziło wpół do siódmej. Syknął z bólu bijącego od zesztywniałych mięśni karku, wyprostował oparcie i uruchomił silnik. Wycofywał, trzymając kierownicę jedną ręką, drugą masując obolałą szyję. Doskonale znał ten sygnał, wróżył kolejną migrenę. Ile dni pod rząd można mieć migrenę!

Otworzył okno, żeby wywietrzyć zaduch w kabinie, i wtedy się zdziwił. Z dala dobiegło wycie psa. Lala zastrzygła uszami, czyli się nie przesłyszał.

– Co jest grane, Laluniu? Oboje toniemy w urojeniach czy jak?

Jakiś szczegół nie dawał mu spokoju. Pies zawył już nie jak wilkołak, zaprojektowany przez fantasmagorie wyczerpanego umysłu, tylko jak zwykły skamlający kundel, który ma kłopoty. Zawył i stopniowo cichł, aż zgasł. Andrzej przeciął szosę i wjechał parę metrów w ścieżkę prowadzącą do opuszczonego bunkra, a kiedy uznał, że samochód jest wystarczająco niewidoczny z drogi, sięgnął po latarkę na tylne siedzenie, sprawdził broń na pasku i wysiadł. Owiał go chłód poranka, przykrytego na nowo czapą chmur po krótkim słonecznym epizodzie o brzasku. Lala przykucnęła dyskretnie za drzewem, a wtedy on też poszedł na stronę sobie ulżyć, cały czas nadstawiając uszu. Ostatni skowyt, słaby, gasnący, przeszedł w jęk, na co Lala zareagowała mocnym szarpnięciem smyczy. Wtedy pojął, że spokoju nie dawał mu wąski przesmyk na prawo od zakratowanego wejścia do bunkra. Pobiegli tam oboje, Lala przodem.

Dyskretne przejście odchodziło w bok od wydeptanej wokół jeziorka ścieżki i po pięćdziesięciu metrach wnikało w kępę czarnego bzu, zakrywającą nieckowate zagłębienie w ziemi, coś na kształt wielkiego leju po bombie. Na przeciwległym jego krańcu, u stóp stromego pagórka,

widniał czarny otwór, znacznie mniejszy od tamtego na placyku, ale niewątpliwie będący dziełem ludzkich rąk. Andrzej położył prawą dłoń na kolbie pistoletu i powoli rozgarniając kruche gałęzie, wnikał w gąszcz. Miejsce nie wyglądało na używane, jednak kilka drobnych pędów było wyraźnie odchylonych. Ktoś tędy niedawno przechodził.

Skręcił mocno w lewo, by nie wystawiać się na łatwy strzał podejściem od frontu. Podpierając się ramieniem i kolanem na ostatnich metrach stromizny, ostrożnie zbliżał się do wejścia. Lala szła grzecznie metr za nim, tylko jej oddech przyspieszył jak przed walką. Ta suka ma w sobie niebiański spokój, pomyślał na sekundę przed tym, jak ich oczom ukazał się okropny widok.

To wejście również zamykała krata. Składała się z kilkunastu pionowych prętów metalowych, zaostrzonych od góry i przyspawanych do trzech poprzecznych płaskowników. Zawinięte końcówki dwóch skrajnych tworzyły zawiasy. Brama jednak nie wisiała na zawiasach. Odwróconą górą do dołu wbito zaostrzonymi końcówkami w grunt. Dwie z nich przechodziły przez ciało czarno-rudego kundla, przebijając na wylot biodro i skórę na klatce piersiowej. Uderzenie musiało być mocne, druty weszły głęboko w ziemię, a jednak nieszczęsny pies nie zdechł od razu. Nawet teraz, dogorywając, wciąż zachowywał przytomność, tylko nie miał już siły wyć. Bezgłośnie poruszał pyskiem wypełnionym czerwoną śliną.

Lalę zamurowało. Chwilę gapiła się na dogorywającego pobratymca. Potem nagle, tknięta nowym odruchem, uniosła łeb i zawyła w powietrze skowytem zadziwiająco podobnym do tamtego, nocnego. Dobrze go zapamiętała i teraz odtwarzała jako coś w rodzaju lamentu nad zmarłym. Zwierzęta przecież muszą coś takiego mieć, jakiś *ritus mortis*, skoro ludzie mają od zarania dziejów, odkąd wystartowała ich pamięć. Oczy przebitego kundla zachodziły mgłą. Zdychał. Schyliła nad nim łeb i zaczęła zlizywać tę czerwoną ślinę. Andrzej wyciągnął do niej dłoń.

– Daj spokój, Lala. To nic nie da.

Wyszczerzyła na niego czerwone od krwi zęby i zawarczała groźnie. Pierwszy raz, odkąd się znali. Wyprostował się i patrzył na nią okrągłymi

ze zdumienia oczami.

– Zwariowałaś, Lala? To ja. Hej, wyluzuj.

Odwróciła się i dalej lizała tamten półotwarty, zamierający pysk. Andrzej nie wiedział, co robić. Nie mieli czasu na funeralne obrzędy kundli, powinni iść dalej. Sama dopiero co go poganiała. Zdezorientowany rozglądał się wkoło jak ktoś, kto robi w krzakach nieprzyzwoite rzeczy i boi się, że inni go podglądają.

Kiedy kundel całkiem zesztywniał i zgasły jego funkcje życiowe, Lala uniosła łeb i oblizała się. Krzycki nie był pewny, czy w jej ponurym spojrzeniu jest więcej rozpaczy z powodu ich tępoty i niewydarzenia czy wściekłości na tego, kto to zrobił.

– Spokojnie, piękna, nic już nie mówię. Mogę wreszcie podnieść tę pierdoloną kratę?

Odsunęła się na dwa kroki. Możesz.

Niepewny i ciągle oszołomiony psią reakcją, uchwycił bramę i szarpnął w górę. Uniosła się razem z ciałem kundla. Opuścił. Uniósł jeszcze raz, dyskretnie przytrzymując truchło butem. Lala przyglądała się zimno i nieruchomo, z półotwartą i okrwawioną kufą, niczym ilustracja *Obławy* Kaczmarskiego. Nie protestowała. Chętnie by wytarł ten upiorny i niehigieniczny pysk, ale jej obnażone kły podnosiły dramatyzm chwili na niebezpiecznie wysoki poziom. Kundel wył i konał całą noc, a oni spali w samochodzie i śnili o baśniowych wilkołakach. Co za syf! Miała prawo do pretensji.

Odstawiona krata odsłoniła wejście do ciemnego i zawalonego śmieciami betonowego tunelu, który po paru metrach skręcał w prawo. Andrzej znowu dla pewności pomacał glocka i świecąc latarką, wszedł w ponury loch. Po dwóch metrach odwrócił się.

– Idziesz?

Siedziała jak posąg. Strażniczka umarłych. Żałobnica nienawistna. Świat ludzki ujawnił przed nią swoje nowe oblicze. Bo to przecież zrobił człowiek. Ze wszystkich zwierząt tylko on do zabijania używa narzędzi

i tylko on ma tyle perfidii w morderczym rzemiośle. A może po prostu przypomniała sobie poprzedniego opiekuna i wróciły stare traumy.

– Chodź.

Nie drgnęła. Uszy ostro sterczały do góry, ślepia biły w pustkę, zachodząc mgłą wściekłości. Zamiast poczciwej kundlicy miał teraz przed sobą psiego mściciela. Na łąkach grobiańskich widział kiedyś prawdziwego szakala, przywędrowały z południa, i to było mniej więcej coś podobnego. Andrzej przestraszył się, że Lala zaatakuje pierwszego z brzegu, najbliższego przedstawiciela krwiożerczego gatunku, i zrobiło mu się jeszcze bardziej nieswojo.

– Chodź – powtórzył najłagodniej, jak umiał. – Już mu nie pomożesz.

Nie o pomoc tu jednak chodziło, tylko pierwotną pieśń zemsty. W trudnych chwilach on też lubił ją nucić pod nosem i wiedział, że ma swój rytm i musi być dośpiewana do końca. Na tym polega struktura żałoby, jej rozmieszczenie w przestrzeni i rozciągłość czasowa. Lala nieznacznie rozchyliła pysk i poruszała dolną szczęką w bezgłośnym skowycie. Andrzej stał i głupiał od tego wszystkiego. Co ją obchodził ten kundel? Dlaczego okrutna, a jednak przypadkowa śmierć zupełnie obcego psa wywarła na niej takie wrażenie? Pęknięcie psychicznej bariery? Kumulacja napięć? Przemęczenie? A może Lala zwariowała od każdego z tych czynników po trochu i teraz miał przed sobą psią wersję Kały, z nieopanowaną żądzą zemsty, która lada moment eksploduje, rujnując do reszty jakże już kruchą równowagę rzeczywistości?

W rozplątaniu emocjonalnego klinczu pomógł im głuchy odgłos z głębi bunkra. Łoskot podobny do podziemnego wybuchu. Drgnęli jak obudzeni z letargu i pobiegli betonowym korytarzem. Lala trzema susami wyprzedziła Andrzeja i w pełnym biegu skręciła prosto w ciemność. On kluczył między kawałkami gruzu i omijał podeszwami śmieci, budzące wszelkie możliwe skojarzenia.

Korytarz po pięciu metrach skręcał w lewo, a potem jeszcze raz w prawo, tworząc coś w rodzaju zygzaku realizującego zapewne jakieś militarne założenia architektoniczne. W zatęchłym powietrzu, pod beczkowatym

stropem w świetle latarki kołysały się sznury pajęczyn, obciążone starym kurzem i gdzieniegdzie porozrywane na strzępy. Ktoś tędy niedawno szedł.

Gruz zasypujący korytarz w połowie drogi wznosił się, zostawiając wąskie gardło pod sufitem. Z ostrej krawędzi jednego z kamieni zwisał strzęp materiału. Z latarką w ustach i pistoletem w dłoni Andrzej wpełznął do otworu, zostawiając Lalę jako zabezpieczenie tyłów. Przeczołgał się na drugą stronę i dopiero wtedy ją zawołał.

Znaleźli go w niewielkiej niszy, tuż przed kolejnym skrętem, za którym kamienie blokowały drogę. Wisiał na stryczku tuż pod niskim sufitem, z rękami i nogami dokładnie spętanymi mocnym sznurem, głowę zakrywał płócienny worek. Reszta sznura posłużyła do sporządzenia fachowej i mocnej pętli na szyi, a jego koniec przechodził przez metalowy hak w stropie i dowiązany był do podobnego oczka w betonowej płycie na podłodze. To właśnie ta płyta, spadając, uruchomiła coś w rodzaju zapadni i podciągnęła ciało aż pod sufit. Jej krawędź wciąż unosiła się pięć centymetrów nad ziemią. Worek przy ustach miał wyraźne wklęśnięcie od łapczywie wciąganego powietrza. Wielki mężczyzna rozpaczliwie tarł podeszwami o ścianę. Jeszcze żył.

5

Posterunkowego Zbigniewa Dziengiela omal nie zabiło jego własne myślenie. Gdyby tyle nie kombinował i po prostu wykonywał swoje obowiązki tak, jak to robił w dotychczasowym przebiegu służby, być może uniknąłby zwisania w bunkrze z pętlą na szyi zaciskającą się od ciężaru betonowego kamulca, który przed chwilą wysunął mu się z rąk. I tak długo wytrzymał. Niełatwo zachować równowagę, stojąc nieruchomo z workiem na głowie i ze związanymi kończynami. Godzinę spokojnie wytrzymasz, ale całą noc? A teraz dodaj do tego jeszcze podpierany związanymi rękami beton, połączony sznurkiem z twoją szyją. Cholernie niełatwo.

Niebezpieczne myślenie uruchomiło się natychmiast, gdy tylko wsiadł do czerwonego golfa i wyjechał na łątecką szosę. W pierwszym odruchu sięgnął po komórkę, by ją aktywować i zadzwonić do komendanta Zdybasa z meldunkiem. Dowódca na pewno wściekał się na niego za brak postępów i utratę samochodu, o czym z pewnością wieść do Słupska już dotarła. Posterunkowy rozpakował pudełko, wyjął aparat, włożył kartę i już miał wpisać PUK i PIN, gdy uświadomił sobie dwie rzeczy naraz. Po pierwsze, nie pamiętał numeru Zdybasa, a po drugie, stracił pewność, że powinien się meldować. Odłożył komórkę z powrotem do pudełka i zjechał na pobocze.

Kiedy przyjmował od komendanta specjalne zlecenie, nie wgłębiał się w jego istotę. Śledzić to śledzić, meldować to meldować. Sprawa jednak z czasem uległa komplikacjom, na czele z utratą samochodu skradzionego przez Krzyckiego. Dał się głupio podejść i chwilę później nie miał auta, za to miał kosę z krakowskim inspektorem. Drugą komplikację podsunęło mu spotkanie z przypadkowym chłystkiem, który okazał się nie taki znowu przypadkowy i znał jego przełożonego. W dodatku ich obu łączyła sprawa odnalezienia Krzyckiego. A może – diabli wiedzą? – ten ześwirowany konus też szukał krakusika na zlecenie Zdybasa? Stary go okłamał, że to Krzycki zabił jego starszego brata. Po co? Kto tu na kogo poluje? I co się stanie z nim, Goliatem, jeśli konus Dawid będzie szybszy?

Wątpliwe pod wieloma względami wydawało się teraz grzeczne zgłaszanie swojej pozycji i zamiarów komuś, kto wysługiwał się szczurkowatym świrem. W żaden sposób nie można było wykluczyć, że po odnalezieniu Krzyckiego następną zwierzyną w tym polowaniu będzie sam Dziengiel. Dlaczego miałby nie być, skoro wie tyle, ile wie?

Biedny umysł posterunkowego, nienawykły do rozstrzygania trudnych dylematów, brodził w tych myślach jak pelikan w bajorku, kręcąc się w kółko i bez specjalnej satysfakcji. Przeszkadzała mu mglistość afery z dwoma krakusami w Słupsku. Jak właściwie do tego doszło, że jeden zniknął, potem drugi zniknął i na chwilę się pojawił, ale tylko po to, by podprowadzić brykę Dziengiela i znowu zniknąć? Jak to jest, że wszyscy ich szukają i nikt nie może znaleźć? Gdzie są i co robią to jedno, a drugie –

dlaczego w ogóle obaj zniknęli? Czy na pewno stoi za tym wyłącznie były komendant Artur Kała?

Osobną kwestię stanowił cel jego poszukiwań, czyli sam Krzycki. Co to właściwie za facet? Porwano mu kumpla, żeby zwabić jego samego. Zamiast postawić na nogi całą pomorską policję i czesać okolicę metr po metrze, aż do skutku – ten ucieka ze szpitala i znika jak kamfora. Nikt nie wie, gdzie jest i co robi. Jest jak duch.

Tu umysł posterunkowego Dziengiela wzniósł się na jeszcze wyższy poziom refleksji i sięgnął po spekulację. A co by się stało, gdyby Krzycki zrobił tak, jak nakazywały rozsądek i procedura? Kała miał swoich informatorów w policji i o wszystkim na pewno się dowiadywał w pierwszej kolejności. Żadna akcja by nie przeszła poza jego kontrolą. Działając w ten sposób, Krzycki byłby przegrany na starcie, wpadłby w łapska Kały jak kumpel i obaj byliby umoczeni. Co mógł jeszcze zrobić? Wziąć paru zaufanych ludzi, na przykład Hadczuka i tych jego dwóch przydupasów, i załatwić sprawę w kameralnym gronie. Tylko że oni mieli tu rodziny, bliskich, żony, narzeczone – Kała by ich zgrillował na wolnym ogniu i w zębach przynieśliby mu Krzyckiego. To też było złe rozwiązanie i umysł Zbigniewa Dziengiela zdołał tę prawdę ujrzeć w jasnym, pozbawionym mgły świetle.

Nagle, kiedy już ruszał z leśnej zatoczki, palnął się w czoło. Oczywiście! Zdybas potrzebuje informacji o Krzyckim tylko po to, by natychmiast przekablować ją do Kały! Dlatego go wysłał! Kała zaczaił się w swoich podziemnych posiadłościach na krakowskiego inspektorka, ale chciałby powiększyć przewagę i wiedzieć, kiedy i skąd tamten przyjdzie. I kazał Zdybasowi o wszystkim sobie meldować. A komendant musi słuchać. W końcu chodzi o Słupsk, a tu nie ma zmiłuj i niejednokrotnie wypłacano czapę za mniejsze nieposłuszeństwa. Wiadomo: w Słupsku jak w dupsku. Polujący i upolowani.

Dlatego właśnie posterunkowy Dziengiel nie pojechał do Łątka, tylko zawrócił, by zaczaić się na młodego i rozegrać to spotkanie na swoich warunkach. Na swoich prawdziwych warunkach. Ulżyło mu.

– Wracamy do lasu i walczymy gołymi rękami, jak na początku – powiedział z uśmiechem do wstecznego lusterka.

Tak było w *Gothicu*, jego ulubionej grze komputerowej. Zaczynałeś w samych slipach i z gołymi rękami.

6

Wielkolud Goliat to idiota i choć nie stanowił problemu, należało go wyeliminować najpierw. Z tego prostego powodu, żeby nie przeszkadzał w dopadnięciu Krzyckiego. Ten dupek był taki przewidywalny! Uparł się, żeby pojechać do Łątka, ale za Przestawnem zawróci i będzie polował na niego, przedzierając się przez krzaki z subtelnością nosorożca. Nie można mu na to pozwolić. To ma być czysta robota. Jeden na jeden, ciasny ring i bez sędziego.

Sławek zaliczył już dwie nieprzespane noce i oczy potwornie mu się kleiły. Sięgnął do kieszeni po foliową torebkę, ale białego proszku zostało niewiele, więc schował ją z powrotem. Będzie potrzebny na później. Lepiej się zdrzemnąć. Jeśli dobrze oceniał sprawność umysłową Goliata, trochę mu zajmie analiza sytuacji i pojawi się tu z powrotem najwcześniej za godzinę. Wystarczy. Wśliznął się do niewielkiej jamy pod pochylonym drzewem, którego wyrwane korzenie tworzyły coś w rodzaju baldachimu, zwinął się w kłębek i natychmiast zasnął.

Znowu ten sen. Wygłodniały, chudy pies szarpie się przy budzie. Szczerzy kły, ślina leje się z pyska, a jego uwalany odchodami łańcuch pobrzękuje piekielnie. Wie, że to Reks, jedyny pies, jakiego miał w dzieciństwie. Miał to za dużo powiedziane. Reks pilnował obejścia u dziadków w Grębówku, a on się z nim bawił tylko w czasie wakacji. Przywiązywał mu sznurek do obroży, odpinał łańcuch i biegali we dwójkę po polach, niuchając za tropami zajęcy, bażantów i wszędobylskich saren. Reks musiał w swoim kundlowatym bukiecie genów mieć również myśliwskich przodków, bo gdy tylko wyczuł zapach zwierzyny, robił

„wystawianie”: unosił wysoko łeb, wyciągał prawą tylną łapę i poszczekiwał, wskazując nosem kierunek. Każdego wieczoru Sławek przynosił do budy jedzenie złożone głównie z odpadków i resztek ze stołu. Pewnego dnia babka gdzieś wyjechała i jedzenie dla psa przyrządzał dziadek. Wlał do miski resztę krupniku z obiadu, dodał pokrajanego chleba, a że wydało mu się ubogo, dorzucił parę ziemniaków z garnka. Blacha na piecu była rozgrzana, ziemniaki gorące, Reks wziął jednego w pysk i się wściekł. Zanim Sławek zdążył wrócić do furtki, pies zawył z bólu i rzucił się na niego. Spod rozszarpanej nogawki buchnęła krew, on wrzasnął i w furii sięgnął po pierwsze, co znalazł pod ręką. Widły. Tłukł nimi psa tak długo, aż ten wczołgał się do budy i przywarł do tylnej ściany, skowycząc głośno jak potępieniec. Więcej do niego nie przyszedł. Nie chodzili na spacery. Nie miał już później żadnego psa.

Czasem Reks mu się śnił. Skamlał, że jest głodny, i wyciągał błagalnie pysk, przymilając się z łzawym błyskiem w oku. Teraz też przyszedł, przewracał oczami i merdał ogonem. Wyciągnął do niego rękę i pogłaskał, a gdy pies zaskuczał cicho, płaczliwie, podszedł bliżej i chciał go pogładzić po grzbiecie. Wtedy Reks nagle obrócił łeb i rzucił mu się do twarzy. Ostatnie, co Sławek widział, to zielony, diabelski błysk w dzikich ślepiach.

Obudził się. Zapadł już zmrok. Zegarek pokazywał dziewiątą wieczorem. Spał trzy godziny. Cholera. Wystawił głowę spod pnia i wciągnął powietrze, rozchylając nozdrza. W leśnej wilgoci wyczuwał zapach morskiej soli i bagiennej zgnilizny bajorka. Ani śladu człowieka. Dobrze. Z ręką na rękojeści noża ruszył w zarośla na poszukiwanie swojego gamoniowatego wielkoluda, który z pewnością gdzieś tu krążył.

Odnalazł go bez większego trudu. W katalogu przewidywanych zachowań pozycja numer siedem. Facet znalazł wgłębienie w gruncie naprzeciwko wejścia do bunkra i leżąc na brzuchu, czatował. Zakładał, że prędzej czy później intruz będzie musiał tu przyjść, a jak już przyjdzie, zajrzy do bunkra, by sprawdzić, co się dzieje w środku. Założenie słuszne, punkt dla niego. Chce, niech ma.

Sławek obszedł pagórek z bunkrem i od drugiej strony wymacał w trawie zardzewiałą kratkę od systemu wentylacyjnego. Najpierw wrzucił przez nią niewielki kamyczek. Odczekał chwilę i rzucił drugi. To powinno obudzić czujność tamtego. Następnie wyjął z plecaka sznurek, dowiązał do niego następny kamyczek i spuścił do środka. Chwilę zajęło mu rozhuśtywanie wahadełka, a potem zaczął stukać nim w ścianę. O ile tamte dwa szelesty można było wziąć za harmider myszy lub szczurów, o tyle rytmiczny stuk pochodził najpewniej od człowieka. By upewnić Goliata o ludzkim pochodzeniu hałasu, włączył latarkę i poświecił do środka, machając światłem po ścianach dla sfingowania przypadkowych ruchów kogoś zajętego przeszukiwaniem korytarza. Po czym zgasił ją, wciągnął sznur, przystawił ucho do kratki i czekał.

Długo to nie trwało. Najpierw usłyszał szelest, i jeszcze jeden, a potem na ułamek sekundy błysnęła latarka. Oni tak są uczeni. Jak już koniecznie musisz użyć latarki podczas skradania, zrób to jak najkrócej. Ty zobaczysz drogę, a ten drugi weźmie to za złudzenie wzrokowe. Po minucie znowu błysnęło, tym razem znacznie bliżej i na tyle wyraźnie, że zobaczył kontur łukowatego stropu korytarza. No i o to chodziło, doktorku.

Po drugim mrugnięciu tamten z pewnością się zatrzyma i w gotowości bojowej poczeka na reakcje drugiej strony. Każdy tak robi przy skradaniu. Rzecz w tym, że jak w pojedynkę stoisz w wąskim korytarzu i masz przeciwnika przed sobą, nie jesteś w stanie asekurować tyłów. Nie da się działać w obie strony naraz. Nie ma bata. Sławek ostrożnie zsunął się z pagórka i obszedłszy go wkoło, znalazł się przed wejściem. Goliat znajdował się przed nim, zamknięty w ciasnym tunelu, potężny i zarazem kompletnie bezbronny, jak słoń w jamie. Nie, jak nosorożec.

Mógł wybrać jedną z dwóch opcji. Albo zaatakować od tyłu, narażając się przy podchodzeniu na przedwczesne zdemaskowanie, albo zamknąć mu odwrót, zatrzaskując kratę. Każda z wersji miała swoje wady, więc wybrał trzecią, która mu przyszła do głowy w związku ze sznurkiem.

Każdy człowiek, skradając się w ciemnym pomieszczeniu, odruchowo schyla głowę. Cóż prostszego niż naciągnąć na nią pętlę... Wiązania lassa

nauczył go brat, w ogóle nauczył go wielu przydatnych rzeczy, na przykład rzucania nożem, zabijania królika kantem dłoni. „Bierzesz go, młody, za tylne nogi i podnosisz do góry, o tak, a potem bijesz tu, gdzie się kończy głowa. Chrup i po sprawie”.

To będzie taki hołd pamięci Rafała. Chrup i po sprawie...

Jego oczy przywykły do ciemności na tyle, że widział zarys drzew i biel własnych dłoni na betonowej ścianie. W kilka sekund sporządził po omacku węzeł, sprawdził szybkość zaciskania i dla pewności posmarował grudką błota. Rozciągnął pętlę na całą niemal szerokość wejścia, po czym zahaczył ją o patyczki umieszczone pod podeszwami butów. Stojąc w rozkroku, lewą rękę oparł na wystającym pręcie, wokół prawej owinął sznur, po czym wrzucił do środka kamień. Drugi położył sobie między szeroko rozstawionymi stopami. Napięcie. Drżenie. Rozkosz polowania na nosorożca.

Po chwili usłyszał ostrożne kroki. Tuż przy ścianie. Tamten szedł plecami do muru, bokiem, starając się kontrolować zarówno przód, jak i tył. Klasyka. W katalogu przewidywalności pozycja numer trzy albo cztery, którą się neutralizuje przez wytrącenie z równowagi. Sięgnął po kamień i zamachnął się szeroko. Efekt sprawdził się pod każdym względem. Tamten usłyszał stuk kilka metrów przed sobą i zakładając, że przeciwnik właśnie umyka po drugiej stronie zagłębienia, rzucił się za nim biegiem, zapomniawszy o aneksie do zasady numer trzy albo cztery: nie odrywaj głowy od ściany. Sznur ledwie wyczuwalnie drgnął trącony ramieniem. Zaciągnął się dokładnie w momencie, gdy pod nim błysnęła biel karku Goliata. Tamten poczuł, że coś jest nie tak i poderwał oba ramiona w górę, co nie było takie głupie. Z tym że zbyt wolne. Sławek, zaciskając pętlę, zaparł się o nadproże wejścia i szybkim ruchem owinął sznur o wystający pręt. W następnym ułamku sekundy Goliat z całą siłą wierzgnął jak buhaj na rodeo. Szarpnięcie zrobiło swoje, węzeł zacisnął się jeszcze mocniej. Tamten zrozumiał, co się dzieje, i usiłował poluzować zacisk, odwracając się i podskakując w górę. To też nie było takie głupie. Jednak źle obliczył i uderzył czołem w krawędź wejścia. Ogłuszony, zawisł na linie i stracił na

chwilę orientację, czyli w zasadzie walka dobiegła końca. Wystarczyło zeskoczyć i sprawnie go spętać, zanim odzyska jaką taką kontrolę nad sobą. Siedząc na nim okrakiem i wiążąc mu ręce, Sławek pomyślał, że polowanie na nosorożce nie jest trudne. A potem, że Dawid pokonał Goliata procą, czyli na dobrą sprawę też sznurem i kamieniem.

Znalezienie w bunkrze odpowiedniego miejsca do zawieszenia Goliata nie sprawiło większych trudności. Koncept z betonową płytą przyszedł mu do głowy w ostatniej chwili, gdy wiążąc olbrzyma do haka w niewielkiej niszy, pomyślanej chyba od początku jako miejsce kaźni, potknął się o wystający drut. Skoro taki siłacz, niech podnosi ciężary. Dowiązał linę do płyty, przerzucił przez oczko w górze i podciągnął. Drgnęła. Uwiesił się na niej. Poszła do góry. Skrócił linę i znowu się uwiesił. Kiedy płyta stanęła pionowo, odwrócił półprzytomnego Goliata z płóciennym workiem na głowie i mocno uderzył otwartą dłonią w twarz.

– Słyszysz mnie?

– Pierdol się... – jęknął tamten.

Sławek oderwał mu kawałek koszuli i przewiązał przez usta.

– Nie krzycz, bo ci braknie powietrza. Teraz lepiej?

– Yyymmm.

– Przesuń się tu, o, czujesz? To pod palcami to jest kawałek betonowej ściany. Dopóki stoi, żyjesz, ale przewracając się, zawiesi cię pod sufitem. Kapujesz? Czyli masz bardzo prostą receptę na życie. Tak, kurwa, prostą, że aż zazdrość bierze. Trzymaj mocno, żeby nie spadła. Tylko tyle. Buziaki. Powiedz małemu Timowi, że nie przyjadę na święta.

Sprawdził naprężenie sznura, klepnął Goliata w ramię i ruszył do wyjścia. W progu odwrócił się i oświetlił latarką swoją instalację. Zajefajna. Normalnie focia i na Instagram.

Oświetlając wyjście, z zadowoleniem myślał o udanym polowaniu. Właściwie byłoby całkiem ciekawie, gdyby Krzycki się tu zjawił. On mógłby naprawdę docenić zarówno artystyczny, jak i czysto ludzki wymiar jego instalacji. Mało kto tak by potrafił. Może tylko oni dwaj na całym

świecie. To coś w rodzaju przygrywki do właściwego starcia. Reklamówka zachwalająca możliwości zawodnika. Uauaua! Jestem mistrzem świata!

Nagle zesztywniał. Z końca korytarza, tuż przed skrętem, błyskała ku niemu para zielonych oczu. Zaraz przy ziemi, blisko siebie, nieruchomo jak dwie ledowe kontrolki. Pies. Reks. Prawdziwy?

– Hej, co jest? – To miał być normalny głos, a wyszedł styropian na szkle.

Pomachał latarką, ale stworzenie nawet nie drgnęło. Zrobił dwa kroki do przodu i pomachał znowu. Czuł, jak nagły pot spływa mu po plecach. Pieprzony, nachalny kundel. Skąd się tu wziął?

Po strachu szybko przyszedł gniew. Dlaczego akurat pies? W nocy mógł tu przyjść kot, szczur, zając, mała sarna albo nawet zabłąkana dzika świnia. Bóbr, piżmak, rosomak, wydra czy inne leśne cholerstwo. Ale nie, akurat kundel z zielonymi oczami.

Uniósł kamień i rzucił w niego. Pies uskoczył do tyłu i znowu znieruchomiał.

– Idź stąd! Wynoś się! Spierdalaj!

Emocjonalne stopniowanie komendy na niewiele się zdało, piesek patrzył nieruchomo, z zielonym błyskiem, który ktoś w lepszym nastroju mógłby wziąć za wesoły. Ale młody Dudas miał już zepsuty nastrój.

Przeszedł obok niego ostrożnie, kundel cofnął się pod ścianę i zamerdał ogonem. Wyglądał, jakby się chciał bawić. W środku nocy w bunkrze!

– Odjebało ci, mały?

W odpowiedzi piesek zamerdał ochoczo i ruszył za nim do wyjścia. Kiedy Sławek uniósł kratę, chcąc zastawić wejście, piesek znalazł się tuż przed nim i przestał merdać ogonem. Z głębi bunkra dobiegł żałosny jęk podwieszonego Goliata i wtedy zielone oczy łysnęły złowrogo. A może tylko mu się wydawało, przecież latarkę, wyłączoną, schował do kieszeni, nie miały od czego łyskać. I wtedy zobaczył Reksa, jego zielone, wściekłe oczy. Miotały nienawistne spojrzenie wprost w niego i Sławek już wiedział, był pewien, że lada moment rozwarty pysk wbije mu się w twarz. Jednym

podrzutem odwrócił kratę kolcami w dół i z całej siły uderzył. Chrupnęło, a potem rozległ się oszalały skowyt, jakby naraz zawyły wszystkie pomorskie wilkołaki. Wdarł się w leśną ciemność z przeciągłym, falującym pogłosem, jeszcze przez długie sekundy obijającym się pośród zesztywniałych ze zgrozy drzew. Zacisnął dłonie na prętach i pchnął głębiej w ziemię, rejestrując na wnętrzu dłoni delikatne, ledwie wyczuwalne drżenie metalu, który przewodził resztki marnego psiego życia. Albo śmierci. Potrząsnął żelastwem, siedziało mocno. Powinien poczekać, sprawdzić, ale zielone oczy Reksa nadal przebijały go na wylot i chciał jedynie wynieść się stąd jak najszybciej. Kopnął wyprężone z bólu ciało, splunął i uciekł w krzaki.

7

O Zbysiu Dziengielu kumple w szkole mówili, że wiadro wody podnosi na ptysiu. Był silny jak tur od pierwszej do ostatniej klasy i gdyby dawali piątki za mocarność, zostałby prymusem. Niestety, w twardej rzeczywistości szkolnej nad fizyczną siłę przedkładano zdolności umysłowe i Zbysio na koniec roku miewał problemy z każdym z przedmiotów, nie wyłączając wychowania fizycznego, ponieważ wuefista preferował akurat siatkówkę, a Zbysio słabo skakał przy siatce. Dopiero później nauczył się załatwiać sprawy za pomocą rąk i nóg, i wtedy świat stał się bardziej przystępny. Na pierwsze zajęcia z MMA poszedł z kolegą z bloku i wrócił do domu szczęśliwszy o całe niebo. Znalazł drogę życia, jak mówią mędrcy z Shaolin. Stojąc w ciemnym bunkrze z cuchnącą szmatą na głowie, wspominał czasy zajęć w klubie sportowym Destroy – najlepszy okres w marnym i pozbawionym spektakularnych sukcesów życiu. W ośmiokątnym ringu mógł walić, kopać i dusić do woli, w dodatku im więcej nakopał i nadusił, tym bardziej go chwalili. Wtedy również nabrał przeświadczenia, że siłą może załatwić praktycznie wszystko.

Tej płycie też dałby radę. Nie takie ciężary dźwigał na ptysiu, a płyta stała sama, wystarczyło ją lekko podtrzymywać. Tak myślał na początku.

Trochę przypominało mu to podtrzymywanie harleya fat boya, którym miał okazję przejechać się u szwagra, biznesmena od niemieckich dachówek. To jest ciężkie tylko wtedy, gdy stracisz kontrolę nad równowagą. Więc stał spokojnie, oddychał równo, jak go uczyli na treningach, i pilnował równowagi.

Nie zdawał sobie sprawy, ile czasu minęło. To mogła być druga, trzecia albo równie dobrze piąta godzina stania, kiedy stwierdził, że musi się poruszyć. Przy związanych rękach i nogach nie ma czegoś takiego jak zwyczajne poruszenie się. Możesz stać albo upaść. A kiedy upadniesz, sznur przywiązany do twojej szyi natychmiast cię powiesi, tak więc poruszenie się, by zmienić pozycję i odciążyć zdrętwiałe mięśnie, równa się samobójstwu. Gdyby ktoś potrzebował porównania – to jak zaglądanie ze świeczką do zbiornika na benzynę. Musiał coś wymyślić. A z myśleniem nie było wiele lepiej niż z tą świeczką i zbiornikiem.

Konceptualizacja położenia została nagle przerwana psim wyciem. Brzmiało rozpaczliwie, przenikliwie i cholernie blisko. Tuż za zakrętem. Zaskoczony wzdrygnął się i omal nie przewrócił płyty. Pies zawył jeszcze raz, a potem zapadła długa cisza. Jakoś opanował drżenie. Zacisnął powieki. Strach rozlewał się po jego ciele jak szybko wypity spirytus, gorący i niebezpieczny. Powinien się skoncentrować na jego odpędzeniu.

W szkole największe problemy z koncentracją wychodziły na matematyce. Nauczycielka przynajmniej raz w semestrze musiała go wywołać do tablicy i wtedy męczyli się oboje. Ona czekała, aż on zajarzy, on czekał, aż ona wpisze mu pałę i odeśle wreszcie na miejsce. Reszta klasy miała wtedy zajęcia w podgrupach. Pewnego dnia matematyczka, poczciwa ciocia, poradziła mu, by zamknął oczy i sobie to beznadziejne równanie wyobraził. „Zamknij oczy, Zbyszku, i zobacz je przed sobą. Białe znaczki na czarnym tle. Dodaj, podziel i wpisz wynik. Potem otwórz oczy i powtórz to samo na tablicy”. Zamykał, wyobrażał sobie, liczył, a potem otwierał oczy i wpisywał. Po wielu próbach wreszcie mu się udało i zrozumiał, o co tej kobiecie chodzi. Żeby widzieć rzeczy, kiedy ich nie widać. Jak one wtedy działają, co robią, w co się układają. Z zamkniętymi oczami można

niektóre zadania wykonywać lepiej niż z otwartymi. Przeniósł tę praktykę na ośmiokątny ring i walczył z opaską, jak Van Damme w *Krwawym sporcie*. To było coś nowego, innego, jakby przebił się wreszcie na upragnioną ciemną stronę.

Stanie z workiem na głowie nie przedstawiało więc dla niego takiego problemu, jak na to liczył młody Dudas. Dziengiel kiedyś stąd wyjdzie i wywlecze tego chłystka choćby spod ziemi tylko po to, żeby go tam z powrotem wcisnąć, łebkiem w dół.

Kiedy łydki zaczęły mu drżeć w jakimś egzotycznym *boogie*, postanowił się poruszyć. Najpierw spróbował sięgnąć palcami węzła, jednak skrępowanych na plecach od nadgarstków niemal po łokcie rąk nie dało się zgiąć. Zdołał wprawdzie go dotknąć, ale na tym możliwości się kończyły. Chłystek zacisnął linę naprawdę mocno, a jej koniec przywiązał do pręta zbrojeniowego wystającego ze ściany. Nie do rozplątania. Nie do poluzowania. Nie do uwolnienia.

Mając linę w ręku, mógł jednak podjąć inne próby. Kilkoma szarpnięciami udało mu się przesunąć płytę o parę centymetrów. To już było coś. Pomyślał, że gdyby ją ustabilizował na podłodze, mógłby się na nią wdrapać i w ten sposób poluzować linę. I co dalej? Zsunąć z szyi pętlę? Ale jak? Nie, to zbyt ryzykowne. Droga powrotna na podłogę wydawała się jeszcze bardziej ryzykowna. Karkołomna *par excellence*. Skończy się staniem z głową tuż przy haku i czekaniem, aż płyta się przewróci i go udusi.

Zabrał się do przecierania sznura na krawędzi płyty. Z początku nawet nieźle szło, ale wtedy po raz pierwszy zachwiał się i omal nie upadł. Zmęczenie dawało o sobie znać. Pies znowu jęknął, tylko słabiej, jakby ostatkiem sił. Ile to już godzin? Dogorywał trochę jak ten kundel i powinien chyba skupić się bardziej na odpoczynku w bezruchu. Oparł się pośladkami o płytę tak, by stworzyć namiastkę siedzenia, i zacisnął powieki. Stwierdził, że w absolutnej ciemności i z workiem na głowie lepiej mu się myśli. Koncentracja, Zbyszku. Wyobraźnia.

Wyobraź sobie na przykład, skąd możesz w ogóle oczekiwać pomocy – od kogo, kiedy i w jakiej formie. Młody Dudas jest kompletnym świrem i jeśli wróci, to tylko po to, by cię dobić. Okoliczni mieszkańcy mogą tu łazić, jednak raczej nie w nocy i nie w pochmurny, zimny dzień, nawet jeśli jest sierpień. Może jacyś grzybiarze o świcie zabłądzą i usłyszą twój krzyk. Tylko skąd będziesz wiedział, że jest świt? Ptaki. Śpiewają o świcie. Ale tu ich śpiew może nie dochodzić. Kto jeszcze? Krzycki. Jeśli młody choć w jednej czwartej mówił prawdę, a wariaci tak czasem mają, to istniało pewne prawdopodobieństwo, że inspektor Krzycki zajrzy również do Przestawna, o ile wcześniej nie znajdzie tego, czego szuka. Czy jednak wejdzie do środka? Zwabi go wyrwana krata? A jeśli nawet pokona wszystkie zapory, zdejmie ci z głowy ten cholerny worek i zobaczy, z kim ma do czynienia – czy zechce pomóc?

To było dobre pytanie, na tyle dobre, że koncentracja z zaciśniętymi powiekami nie zdołała mu podsunąć żadnej sensownej odpowiedzi.

Drugie wahnięcie nie zakończyło się runięciem płyty tylko dlatego, że w ostatniej chwili zdołał uchwycić węzeł i zatrzymać upadek. Zrobił to intuicyjnie, jak te ciosy z zawiązanymi oczami, a i tak się przestraszył. Ciekawe, na ile mu wystarczy ślepej sprawności. Słabł. Prędzej czy później mięśnie zwiotczeją i musi upaść! Co robić? Jakie jest wyjście?

Znajdował się we wnęce bunkra, którą zdążył omieść wzrokiem, kiedy tu wszedł za pierwszym razem, sam. Miała najwyżej trzy metry. Jeśli jeszcze trochę się przesunie, może zdoła się oprzeć o ścianę. Musi tylko wykonać przesunięcie razem z płytą, wespół w zespół. Żeby starczyło sznurka dla obojga, cha, cha. Trochę poszło. Jeszcze raz. Kilka centymetrów, ale zawsze jakiś postęp. Kiedy wreszcie owionął go zapach wilgotnego tynku, zaryzykował. Wychylił się do przodu. Pustka. Cofnął się trochę, wziął trzy wdechy i spróbował znowu. Tym razem niemal czuł przed nosem ścianę. Jeszcze troszkę i będzie. Pętla na szyi niebezpiecznie się naprężyła, płyta stawiała większy opór, jego życie wisiało na wprawdzie grubym, ale jednak włosku.

Musi tu być. Ściana. Napiął mięśnie ramion do granic wytrzymałości, jak to lubił robić przy pakowaniu na siłowni, i jeszcze raz udało się przesunąć betonowy blok. Pętla zacisnęła się nieco mocniej, jednak mógł swobodnie oddychać. Da radę. Zawsze dawał radę. Zachowując iście saperską ostrożność, uczepiony palcami węzła na płycie, wychylił się. Okryte szmatą czoło dotknęło mokrego chłodu. Chrząknął. Jeszcze się dało oddychać. Oparł się głową o mur. Lżej. Płyta spoczywała spokojnie na jego pośladkach. Stabilna i groźna jak przeżarty rdzą niewypał. Westchnął z ulgą sapera, który dziękuje Bogu za kolejną minutę życia.

Chyba zasnął, bo skowyt psa wyrwał go z okropnych majaków. Ojciec ganiał za nim z zakrwawionym katowskim toporem. Bydlę zawyło akurat w momencie, kiedy czerwone ostrze wznosiło się nad nim jak zachodzące słońce. Zbyszek szarpnął się do tyłu odruchowo, zanim pomyślał, co to dla niego w tej chwili znaczy. Uwolnione pośladki stały się nagle lekkie i swobodne, ucisk na szyi również zelżał i na ułamek sekundy zrobiło się całkiem dobrze. Zaledwie zaczerpnął powietrza, gdy opadająca płyta szarpnęła sznur. Miał go w dłoniach i zaciskał je kurczowo, aż chrzęściły w stawach, ale na próżno. Ostatni fat boy jego życia runął na podłogę, podrywając w górę zwaliste, opancerzone mięśniami ciało.

Bronił się, wierzgał. Nie chciał się oddać za darmo, jak zrezygnowana dworcowa dziwka nad ranem. Jeszcze wyrzucił stopy przed siebie, potarł nimi ścianę w jakimś rozpaczliwym zrywie, uniósł się w ten sposób i złagodził uderzenie – to wszystko jednak było za mało. Sznur popędził w górę, za nim głowa, ciemię stuknęło w betonowy strop i swojska ciemność zgasła w absolutne nic. Jego przygoda ze światem dobiegła kresu.

Obudziło go białe światło, jakżeby inaczej. Na końcu długiego tunelu, przez który jego dusza właśnie rozpoczęła wędrówkę, dostrzegł zamglone słońce. Obok druga tarcza, nieco ciemniejsza, jakby księżyc, okolony dwudniowym zarostem i skądś znajomy. Gdyby Zbyszek jeszcze żył, pomyślałby, że to tamten krakowski inspektor. Tylko że gdyby żył, nie widziałby nic, ponieważ zamknięto go w bunkrze, z czarną szmatą na głowie...

Poczuł silne uderzenie w twarz. Chciał oddać, ale skończyło się na wykręceniu barku. O kopnięciu również nie miał co marzyć. Był nadal skrępowany. Słońce uniosło palec tuż przed jego nosem i poruszało nim na boki. Nie rób tego. Spróbował coś powiedzieć i ku swemu zdumieniu stwierdził, że jego usta normalnie się otwierają.

– Panie inspektorze... – zachrypiał. – Ja panu to zaraz wy...

Zakrztusił się, a nieogolony księżyc o twarzy inspektora Krzyckiego znowu uniósł palec i pogroził stanowczo. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w niego z mocnym, jednoznacznym pytaniem. Znał je, tylko nie znał odpowiedzi.

– Nie wiem... gdzie on jest – wykrztusił. – Tamten mówił...

Uniesiony palec tym razem nie groził, tylko pocierał o drugi palec. Konkrety.

– Młody Dudas. Brat tego Rafała, co zginął miesiąc temu na żwirowisku pod Święcianowem. To wariat, panie inspektorze, świrus totalny. On mnie tak załatwił. Powinien pan wiedzieć, że pana szuka...

Palec dotknął jego piersi. A ty co tu robisz?

– Ja? Mnie wysłał... komendant Zdybas. Miałem pana obserwować i meldować o każdym pańskim posunięciu. Nie wiem po co, ale chyba to ma jakiś związek z tym... no wie pan, porwaniem pańskiego przyjaciela.

Zająknął się, bo tekst nie zabrzmiał dobrze. Wręcz fatalnie. Poczuł się jak wspólnik porywaczy i nawet przez chwilę przemknęło mu przez myśl, że to nie jest taka znowu nieprawda. Wszyscy w Słupsku jakoś tam byli wspólnikami Kały. Co dla niego tu i teraz oznaczało, że Krzycki nie ma specjalnie powodów do ratowania jego tyłka.

Grymas ozdabiający księżycową twarz w innych, z grubsza normalnych, okolicznościach mógłby oznaczać ironiczny uśmiech. Dziengielowi jednak skojarzył się z wyrokiem. Brzmiał mniej więcej tak: wszyscy jesteście marnymi pizdusiami na usługach nieco większego pizdusia i szkoda sobie wami głowę zawracać.

Palce znowu potarły o siebie. Konkrety.

– Ten Dudas twierdził, że jest jeszcze drugi bunkier Kały, w Łątku, to niedaleko stąd, jakieś dwadzieścia kilometrów. Miałem tam pojechać, ale wróciłem...

Inspektor uniósł brwi, jednak nie to wstrzymało posterunkowego. Obok nieogolonej twarzy ukazał się zarośnięty pysk, wydłużony i umazany krwią. Piekielny ogar. Pochylił się i obwąchiwał go czujnie, z uwagą, jak technik policyjny szukający dowodów metodą olfaktoryczną, a kiedy ich nie znalazł, stracił zainteresowanie i wycofał się z powrotem w ciemność. Najwyraźniej piekielny ogar również uznał go za podejrzanego. Jeszcze jeden potencjalny pizduś od męczenia psów.

– Wróciłem, bo chciałem... go dopaść. Ale to on dopadł mnie.

Zabrzmiało znowu źle i słabo. Skrępowane kończyny i przyduszona szyja składały się na ból naprawdę nieznośny, niedotleniony mózg co jakiś czas popisywał się fajerwerkami sztucznych ogni wybuchających z głośnym trzaskiem w różnych częściach czaszki. W półleżącej pozycji dochodził jakoś do siebie, jednak jeśli ten zawzięty na nich wszystkich facet go tu zostawi, to kaplica. Dlaczego nic nie mówi? Stracił głos? Też go coś przydusiło?

– Chce pan tam iść sam? To niebezpieczne. On ma pistolet.

Nieogolony księżyc niecierpliwie potrząsnął głową. Nie twoja sprawa, chłopie.

– Ja to sobie przemyślałem, panie inspektorze. Komendant Zdybas wrobił nie tylko pana i pańskiego przyjaciela. Mnie też. I Hadczuka. I boję się, że Benka Mrówczyńskiego, bo zniknął tuż przede mną z komendy. Tu się jakieś niedobre rzeczy dzieją z ludźmi. Ze wszystkimi, nawet ze mną się działy. Tylko że ja to sobie wczoraj przemyślałem. Zamknąłem oczy i się koncentrowałem, żeby te sprawy poukładać na nowo, bo ja tylko wtedy dobrze myślę, jak zamknę oczy i zobaczę białe znaczki na czarnym tle. Może się pan śmiać, jednak od szkoły tak robię, i pomaga. I wyszło mi, że zrobiliśmy wam krzywdę, to znaczy panu i pańskiemu przyjacielowi, nie pamiętam nazwiska. Policjanci mogą być różni, ale powinni się wspierać, bo inaczej do dupy cała ta nasza robota jest. Tak pomyślałem. Że tu nie

chodzi nawet o jedno czy drugie życie, tylko o podstawowe zasady, fundamenty. Bez nich niczego dobrego nie zrobimy, choćbyśmy nie wiem ilu przestępców zapudłowali. Tak sobie pomyślałem wczoraj. I pomyślałem jeszcze, że pan nie powinien iść sam, że potrzebuje pan wsparcia. Panie inspektorze, niech mnie pan rozwiąże. Pomogę. Przydam się.

Chciał jeszcze coś dodać, jednak zamilkł na widok wykrzywionej od zniecierpliwienia twarzy Krzyckiego. Powiedzieć, że ten facet jest uparty, to mało powiedzieć. Miał w sobie zaciętość, kamień wypełniający serce i umysł. Wiedział, czego chce. Nie mówił? A o czym miał mówić? I do kogo?

W świetle rzuconej na podłogę latarki błysnęło wąskie ostrze. Odruchowo cofnął głowę, ale Krzycki tylko szarpnął go za związane ręce i przewrócił na bok. Do prawej dłoni wcisnął mu trzonek noża i z powrotem obrócił na plecy, podpierając z obu stron kawałami gruzu. Piekielny ogar zbliżył swój upiorny pysk do jego twarzy i warknął cicho. Krzycki zgarnął latarkę, chrząknął i wstał. Trzy sekundy później posterunkowy Dziengiel został sam i zaczął podejrzewać, że to jeszcze jeden szczególnie wyrazisty koszmar. Jego dłoń nadal jednak ściskała uchwyt noża.

Dopiero kiedy próbował się przewrócić na bok, zrozumiał, po co te kawałki gruzu. Żeby stracił więcej czasu. Żeby ich nie dogonił.

Chcieli iść sami.

VIII

Córki

1

– Nie mogłeś mi od razu powiedzieć? – spytała z wyrzutem. Głos Dominiki drżał już nieco mniej, wracała jej naturalna energia. Kiedy już odważyła się powiedzieć Benkowi o hurtowni paszy w Przestawnie i zrzuciła z serca ciężar dusznej tajemnicy, przyszła ulga. Co innego powiedzieć policji, a co innego jedynemu policjantowi, który, jak sądziła, zasługiwał na zaufanie. Odpracowywał je. – Rozumiem, że się bałeś o nas, jednak...

– *Domica* – powiedział po hiszpańsku Alejandro Rodriguez i objął ją ramieniem. – To nie tak prosto, jak myślisz. Sytuacja jest niebezpieczna, wiem, ale i bardzo niepewna. Niejednoznaczna. Tu równie dobrze może zabić wiedza, jak niewiedza. Kiedyś czekałem w gabinecie na powrót notariusza i z nudów starałem się dojrzeć, co jest na papierach na biurku. Pisane ręcznie, po polsku i w dodatku leżały do góry nogami – potrójne wyzwanie dla Salwadorczyka z Niemiec mieszkającego w Słupsku. Ktoś sporządził tekst umowy kupna-sprzedaży magazynów po dawnym gospodarstwie rolnym. Dane nabywcy nic mi nie mówiły, za to zamaszysty podpis już tak: AKała. Zapamiętałem, bo wtedy jakoś to nazwisko stało się głośne w Słupsku w związku z pewną aferą gruntową. To działo się prawie pięć lat temu, ale dobrze pamiętam. Tam chodziło o *un rascacielo*, to się mówi po polsku...

– Słup.

– Tak, słup. I ja przypuszczam, że on to kupował dla siebie.

– Dlaczego tak myślisz?

– W różnych miejscach tekstu zauważyłam dwa albo trzy wykrzykniki. Emocjonalnie podchodził do tej transakcji. Myślałem wtedy, że wygląda, jakby mu bardzo na tym zakupie zależało. Może to tam. To wszystko, co ci chciałem przekazać.

Poklepał ją po wierzchu dłoni i zamilkł, a jego wzrok zawiesił się na jakimś nieokreślonym punkcie w przestrzeni. Zerknęła na ojca. Jego profil starał się nie wyrażać niczego poza neutralnym profesjonalizmem, ojciec zawsze taki był. Wiedziała jednak, że w głębi tego niewzruszonego i powściągliwego urzędnika skrywa się nieśmiały i nadwrażliwy chłopiec, który musiał całe życie chronić się za grubym pancerzem, by nie zginąć. O tym również chciał jej powiedzieć: że ten pancerz jest mu potrzebny jak powietrze. Po prostu bał się wchodzić w drogę szalonemu przywódcy pomorskiej mafii.

Czym jest wchodzenie w drogę mafii, wiedział aż nazbyt dobrze z rodzinnych stron. Salwador to jeden z najbardziej mafijnych krajów świata, co półtorej godziny ginie tam człowiek, gangi terroryzują kraj. Ona, urodzona i wychowana w Niemczech, miała szczęście tego nie widzieć, ale ojciec tak. Jego stryj został przypadkowo zastrzelony na ulicy w biały dzień, w środku miasta, na oczach siedmioletniego bratanka. Sprawców nigdy nie ujęto, nawet nie próbowano. Tak umiera prawie siedem tysięcy ludzi rocznie, i to w kraju z najostrzejszym prawem antyaborcyjnym na świecie, rzekomo dla ochrony życia.

Co dzieje się z duszą dziecka doświadczającego okrucieństwa w tak bliski i bezpośredni sposób? Jakim aberracjom zostaje poddana? Ile z tego wchodzi później na stałe w skład dorosłej osobowości? Nie raz i nie pięć razy zadawała sobie takie pytania, nigdy jednak w tak wielkim stopniu nie dotyczyły one jej losu. Chodziło o życie jej i jej męża. To nie to samo co teoretyczne rozważania. Trzeba się rozmówić.

Zanim jednak podjęła się edukowania własnego ojca, wyszła do łazienki i wybrała numer Andrzeja. Milczał. Wybrała jeszcze trzykrotnie i za każdym razem natychmiast po sygnale włączała się automatyczna sekretarka. Krzycki na samotnym polowaniu, proszę nie przeszkadzać.

Zawsze pewny siebie i niepotrzebujący nikogo do pomocy. Faceci to czasem takie palanty! Krzycki, odbierz ten telefon!

Nie odebrał, więc napisała mu esemesa z informacją o hurtowni w Przestawnie i wróciła do ojca. Siedział nadal w tym samym miejscu, dokładnie tak samo wychylony do przodu i usztywniony jak posąg Wiecznego Geologa. Co tam się w jego duszy teraz mogło dziać, jeden Bóg salwadorski raczył wiedzieć. Usiadła i wzięła go za rękę.

– Papciu – powiedziała po polsku. – Nie mogłeś mi tego od razu powiedzieć? Drugi tydzień odchodzę od zmysłów ze strachu o Lucka, a ty gnieciesz w sobie taką informację, zamiast mi po prostu pomóc? To chore!

– Bałem się – odparł cicho Alejandro Rodriguez.

– To przestań wreszcie się bać! Tu jest Polska, a nie Salwador! Mógłbyś przynajmniej zauważyć!

Ugryzła się w język. To nie był najlepszy argument, co ojciec natychmiast podchwycił.

– Właśnie o to chodzi, *Domica*, że tu jest Polska. Zdziwiłabyś się, ile na tym świecie rzeczy jest do siebie podobnych! Przestraszyłem się właśnie dlatego, że zobaczyłem tu te same interesy, załatwiane za pomocą podobnych metod przez ludzi o tych samych twarzach, mętnych i rozognionych zarazem. Chciwych cudzej własności, ale i cudzej krzywdy, tak po prostu, jak komar jest chciwy krwi. Można w takim kraju żyć, jednak trzeba na parę rzeczy uważać. Czy to takie złe, że chciałem was chronić?

– Dobrze pamiętam – zaczęła powoli, wiedząc, że on wtedy słucha – jak mnie przekonywałeś do pracy w policji. Do dziś brzęczą mi w uszach słowa „praworządność”, „przyzwoitość”, „porządek publiczny”, „odpowiedzialność”. Mówiłeś do mnie jak na wiecu politycznym. Nakłaniałeś młodą dziewczynę marzącą o karierze stylistki do włożenia munduru, przypięcia do pasa pistoletu i ruszania na wojnę o lepszą przyszłość. Zrobiłam to. Pognałam precz stylistkę i wybrałam szkołę policyjną, żeby uspokoić tatusia, który tak się boi życia w tym kraju.

– I dlatego wyjechałaś do Krakowa...

– To cię boli? Że was zostawiłam, pojechałam na drugi koniec Polski, a wy cierpicie na syndrom opuszczonego gniazda? Sorry, takie jest życie, mógłbyś tyle wiedzieć. Dzieci dorastają i żyją własnym życiem. Coś nie tak?

Próbował ją uspokoić, widząc, że się nakręca. Odepchnęła jego rękę i mówiła dalej, chyba bardziej do siebie niż niego:

– Może właśnie dlatego wyjechałam, że już nie mogłam patrzeć na ten twój strach. Myślisz, że ja się nie bałam? A mama? Wszyscy na początku trzęśliśmy się ze strachu o siebie i to, że w tej konkurencji przodowałeś, wcale ci nie przynosi zaszczytu. Chciałeś nas chronić? No to chroń! Proszę bardzo! Wiesz, gdzie Kała trzyma mojego męża? Bierz się do roboty. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że los męża twojej ukochanej, jedynej córeczki cię nie obchodzi? Co?

Prawie krzyczała. Miała ochotę wstać i tupać nogą do każdego wypowiadanego słowa, żeby nic mu nie umknęło. Puściły w niej tamy, pękł narastający od lat wrzód, choć sama nie wiedziała, skąd się wziął. Może po prostu ją samą również dręczył strach, tylko inny, ten strach dziecka przerzucanego z kraju do kraju jak towar eksportowy, którego wartość mierzy się przydatnością do użycia, a nie stopniem człowieczeństwa. Nigdy nie nazywała tego po imieniu, ale o to chodziło. O obcość. Wykorzenienie, jak mówią dzisiaj mądrale.

– A ja bałem się właśnie tego. – Alejandro Rodriguez westchnął z rezygnacją.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Czyli czego?

– Dobrze wiesz – powiedział, pokazując coś mglistego przed sobą. – Jakbym chciał być ironiczny, powiedziałbym, że zemścił się mój plan, by zrobić z ciebie stróża porządku. Zamiast tego proszę cię, żebyś tego nie robiła.

– Ale czego?!

Przełknął głośno ślinę i popatrzył na nią wzrokiem głodnego basseta.

– Nie jedź do Przestawna. Nie pchaj się sama w paszczę lwa.

Zatrzepotała powiekami zaskoczona. Wcale o tym nie myślała, w każdym razie nie tak jednoznacznie, jak ją o to podejrzewał. Dopiero kiedy minęło jej pierwsze zdziwienie, uśmiechnęła się.

– Dlaczego sama?

– Ten szaleniec cię ostrzegał, prawda? Nie musisz odpowiadać, po prostu tam nie jedź. Błagam, nie rób tego!

– Jestem niegrzeczna i pojadę. Ale to już nie twoja sprawa. Dzięki za pomoc, papciu.

Wybiegła do swojego pokoju. Usiadła na łóżku i docisnęła dłonie do twarzy, żeby znowu nie beczeć na głos.

Po dwóch tygodniach napięć jej układ nerwowy przypominał samochód z karoserią powiązaną sznurkiem. Wprawdzie jakoś funkcjonował, ale w każdej chwili mógł rozlecieć się na kawałki. Nigdy nie miała wielkiej odporności na stres i włożyła sporo wysiłku w wypracowanie postawy, która na zewnątrz wyglądałaby stosownie do wymogów jej zawodu. Kreowała się na służbistkę i prymuskę. Potrafiła udawać twardziela i strzelać z pistoletu bez zamykania oczu. Co z tego, że czasem w połowie strzelania leciała do kibla z powodu rozwolnienia? Ważne, że widzieli w niej dobrą policjantkę.

Ostatni tydzień to była jedna wielka katastrofa jej wizerunku. Nie umiała działać, nie umiała zmusić innych do działania, ba, nie umiała nawet wymyślić, jakie by to miało być działanie! Siedziała w domu i czekała, aż jej mąż się odnajdzie. Albo umrze. Co to za pilnowanie porządku? Co to za policjantka? Co to za żona?

Ojciec miał rację. Wybranie się tam w pojedynkę to samobójstwo, a zorganizowanie jakiejkolwiek akcji policyjnej to śmierć Lucka. Siedzenie i czekanie na taką czy inną katastrofę też jest samobójstwem, tylko trochę innego rodzaju, wydłużonym, rozciągniętym w czasie i rozpisanym na etapy. Żadnego dobrego wyjścia. Tyle że brak wyjścia też nie jest żadnym rozwiązaniem. Gdyby wiedziała, gdzie jest Krzycki, mogłaby do niego dołączyć. Wysyłając go samego, popełniła głupstwo nagłego impulsu, że

niby będzie bardziej sprawiedliwie i tak wymierzy mu odpowiednią karę. Za co? Nie do końca wiedziała, choć miało to coś wspólnego z nią i Luckiem oraz tamtą nieszczęsną nocną wizytą Andrzeja. Teraz tamte okoliczności wydały jej się odległe jak z księżyca i błahe jak wzruszenie ramion. A katastrofa tuż-tuż.

Wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Okno, sześć kroków, drzwi, sześć kroków, okno, sześć kroków... Myśli kotłowały się w niej jak kurczęta w kurniku, gdakały, piały, biegały we wszystkie strony i skakały na siebie – i nic z tego nie wynikało. Strach i nerwy to nie najlepsze środowisko do podejmowania dobrych decyzji. Niewielu potrafi wtedy skutecznie działać. Krzycki potrafił. Właściwie jego żona też. Dobrali się. Gdyby tak chociaż ją się udało...

W tym momencie zabrzęczał w kieszeni telefon. Ze zdumieniem patrzyła w pulsujące na wyświetlaczu imię dzwoniącej.

– Dorota? Skąd wiedziałaś...

– Cześć, skarbie, co się dzieje? Żyjecie w ogóle?

– Tak, przepraszam, nie chciałam dzwonić, żeby cię nie... to znaczy...

– Spokojnie. – Głos Doroty brzmiał jak symulator boskiej równowagi. – Wiesz, gdzie on jest?

– Kto? Andrzej? Nie wiem. Rozmawiałam z nim raz, ale później już nie...

– Pytam o Lucka. Wiesz, gdzie jest?

Dominika otwarła usta i zaraz zamknęła. Nie wiedziała, od czego zacząć, i w końcu rozpłakała się. Chlipała do słuchawki, mamrocząc bezładnie, że wszystko to jest okropne i ona już nie daje rady. Dorota pozwoliła jej się wypłakać i powtórzyła:

– Wiesz, gdzie on jest?

– Chyba tak. Nie wiem. Właśnie się dowiedziałam, tylko nie wiem, czy na pewno...

– Weź coś na uspokojenie i połóż się do łóżka. Jutro rano jestem u ciebie.

– Ale Dorota...

– Do jutra, skarbie.

Telefon zamilkł, ale Dominika jeszcze przez chwilę wpatrywała się w niego z oszołomieniem, jakby był butelką z dżinem. Halo, skarbie. Wołałaś mnie, więc jestem do usług. Co mam zrobić?

– Jak to co? – powiedziała głośno. – Zastrzel tego skurwysyna.

A potem przypomniała sobie historię Doroty, która kiedyś ocaliła Krzyckiego, strzelając z karabinu prosto w czoło ochroniarzowi Zenona Rachwalskiego, i wybuchnęła śmiechem.

Zasnęła bez tabletek.

2

Kiedy komisarz Ryszard Hadczuk wrócił do domu, zegar w przedpokoju pokazywał dobrze po północy, ale w pokoju córki jak zwykle paliło się światło. Kiedyś dzieci zmuszano do pracy po nocach, teraz robią to dobrowolnie, ślęcząc nad komputerem do świtu, jakby chodziło o codzienne zbawianie świata. Odwiesił kurtkę na wieszak i poszedł do łazienki, żeby pod prysznicem zmyć z siebie ohydę całego dnia. Był skonany. Gdy w piżamie przemykał do sypialni, drzwi od pokoju córki uchyliły się i na ciemny korytarz padła wąska smuga światła.

– Hej, tato, wróciłeś?

– Tak, Sylwuś. Nie siedź tyle po nocach, bo znowu zaśpisz do pracy.

– Nie mam pracy, od czasu jak przegoniliście Kałę ze Słupska. Zapomniałeś? – spytała z wyrzutem.

Cholera, niezręcznie.

– Nie zapomniałem. Nigdy mu tego nie zapomnę. Po prostu idź już spać.

Kała zatrudnił Sylwię na stanowisku jednej ze swoich asystentek, zresztą na jego, Hadczuka, osobistą prośbę. Miesiąc temu wziął ją podczas ucieczki z hurtowni jako jedną z zakładniczek, a później zgwałcił. I również by ją zastrzelił, gdyby Krzycki nie przystawił mu lufy do potylicy i grzecznie nie

poprosił o spokój. Tamto zdarzenie siedziało w komisarzu jak zadra, jątrzyło i piekło w środku, jednak bez spektakularnych konsekwencji. Nie bardzo wiedział, co ma z nim robić. Jątrzyło, piekło – i nic. Tylko z córką rzadziej teraz rozmawiał i mniej chętnie zaglądał do jej pokoju. Teraz musiał.

– Wejdź na chwilę – powiedziała, uchylając szerzej drzwi. – Chcę pogadać.

Usiadł na brzegu łóżka, ona na fotelu przy biurku. Chwilę przyglądała się ojcu z uwagą.

– Wiem, że jesteś zmęczony i chcesz iść spać – zaczęła. – Muszę cię jednak o coś zapytać.

– O świcie znowu startuję – przytaknął. – Co cię gryzie?

– Gryzie mnie wiele różnych rzeczy – powiedziała, zerknąwszy nagle w bok, jakby tam pojawiło się coś znacznie ciekawszego od taty. – Ale chciałam cię spytać: gdzie jest teraz Kała?

– Nie wiem – odparł z lekką pretensją. – Gdybym wiedział, natychmiast pojechałbym go zgarnąć.

– A próbowałeś się chociaż dowiedzieć? – pytała dalej z dziwnym błyskiem w oku. Jej ostro zarysowane kredką brwi wygięły się w podwójny łuk.

– Oczywiście! Wyobrażasz sobie, że ten gnój porywa oficera policji i znika, a my siedzimy z założonymi rękami? Szukamy jak cholera! Tylko że na razie nic z tego nie wynikło. Może ty coś wiesz?

Odpowiedział trochę za głośno, prawie krzyknął. Sam uczył swoich ludzi, że kiedy robi to przesłuchiwany, zakrzykuje w ten sposób wyrzuty sumienia. Taka policyjna psychologia dla ubogich. Córka patrzyła na niego z chłodnym zainteresowaniem.

– To spytam inaczej. Gdzie jest inspektor Krzycki?

Speszył się i natychmiast odzyskał rezon, co zapewne nie umknęło jej badawczemu spojrzeniu.

– Nie wiem. Uciekł ze szpitala i zniknął. Przypuszczamy, że może próbować na własną rękę podejmować jakieś działania. Dlaczego pytasz?

Nie odpowiedziała. Nie spuszczała z niego wzroku i kalkulowała jak wojownik, który chce trafić w czułe miejsce. Dopiero teraz zorientował się, że rozmowa będzie znacznie poważniejsza, niż mu się wydawało. Miało być pluskanie w basenie, będzie walka ze sztormem. Pora założyć kamizelkę ratunkową.

– Sylwia, to są cholernie trudne sprawy. Na tyle trudne, że sam do końca nie mam pomysłu, jak z nich wybrnąć i w którą stronę iść po najlepsze rozwiązanie. Policja prowadzi zakrojone na szeroką skalę poszukiwania na całym Pomorzu, zostały sprowadzone specjalne jednostki z Warszawy i Gdańska, trwa systematyczne przeczesywanie terenów wokół Słupska i Koszalina aż po Szczecin. Zaangażowano setki ludzi, sprzęt, służby informatyczne od nawigacji satelitarnej. Ale powtarzam: to cholernie trudne. Kała jest sprytnym człowiekiem i zna się na pracy policji... Co?

Przerwał, bo na jej twarzy pojawił się ironiczny uśmiech.

– A ty się znasz?

Zmęczenie całkiem go opuściło. Szykuje się zwarcie. Trzeba to od razu wziąć na klatę. Uniósł głowę.

– Możesz powiedzieć wprost, o co ci chodzi?

– O co mi chodzi? – spytała. – Dobrze wiesz, o co mi chodzi! O to, że wysłałeś pana Krzyckiego samego na tego gnojka Kałę i całą jego bandę. On tam w pojedynkę się goni po lasach z hordą pijanych orków, podczas gdy ty urzędujesz sobie jakby nigdy nic. A wieczorkiem wracasz do domku, bierzesz prysznic i do żoneczki pod kołderkę. Nie wstyd ci? Zdaje się, że jesteś oficerem od łapania przestępców. Co, dobrze myślę? Od łapania przestępców! Nie powinieneś przypadkiem mu trochę pomóc? Co, tatusiu?

To „tatusiu” zabrzmiało bardziej jak syknięcie żmii niż córczyna czułość. Rozkręcała się. Fale coraz większe.

– Skąd to wiesz?

– Od Oli Zdybas. Powiedziała mi też, że jej ojciec bardzo chciał wysłać dodatkowe siły na poszukiwania Kały, a ty się sprzeciwiłeś. Podobno uznałeś, że priorytetowe jest złapanie morderców tego wójta z Przestawna, nie pamiętam, jak on się nazywał.

– Kulesza, ale...

– Chwileczkę, daj mi skończyć. Ponieważ chyba jednak zapomniałeś, jaki mamy rachunek do wyrównania z tym przeklętym gnojem, którego smrodu do dzisiaj nie mogę z siebie zmyć, to ci przypomnę. Pan Krzycki najpierw mnie uratował, a teraz ratuje swojego przyjaciela. Sam. Odwala za ciebie robotę. Tak, nie protestuj! I nie zasłaniaj mi się tu zasranymi policyjnymi obowiązkami, bo one tyle warte co rota tej waszej dętej i zakłamanej przysięgi. „Strzec bezpieczeństwa Państwa i jego obywateli, nawet z narażeniem życia”. Jakie, kurwa, narażanie życia! Pan Krzycki naraża życie, a ty co? Prysznic sobie bierzesz! Nie wstyd ci? To ty powinieneś być na miejscu pana Krzyckiego!

Zamilkła wychylona ku niemu z półotwartymi ustami. Chciała bluzgać dalej, tylko skończyły jej się słowa. Powtarzała „pan Krzycki” ze specjalnym akcentem na „pan”. Mówiła o nim z szacunkiem. Tak, Sylwia zdecydowanie uwalniała się od wpływów ojca i lgnęła do nowych męskich idoli. Ze swoją aparycją i manierami rewolwerowca Krzycki wstrzelił się idealnie.

– Uspokój się i daj mi wreszcie powiedzieć. Po pierwsze, z tymi dodatkowymi siłami to wierutne kłamstwo. Było dokładnie odwrotnie – ja chciałem więcej ludzi do poszukiwań, a komendant się sprzeciwił. To on jest tą najważniejszą wtyką Kały w komendzie! Naprawdę myślisz, że mógłbym zostawić Krzyckiego samego, olać go i siedzieć z założonymi rękami?

– A co robisz?

Zagryzł wargi. To prawda, zostawił go samego. Trochę ściemniał z tymi dodatkowymi siłami, też się do tego nie palił. Uznał, że Krzycki poradzi sobie świetnie w pojedynkę i że sam tego chce. Tak, to dobra odpowiedź.

– On sam tego chciał.

– Sam chciał? – Skrzywiła się jak od cytryny. – Sorry, tato, ale co ty pierdolisz? Facet wolał iść sam niż w asyście całej słupskiej policji? Czy ty siebie słyszysz? Nie, najwyraźniej nie słyszysz, bo inaczej byś sobie odgryzł język. Pan Krzycki poszedł sam, bo nie miał z kim. We wspaniałej słupskiej komendzie policji nie znalazł się ani jeden odważny funkcjonariusz. Ani jeden! Nie chcecie pamiętać śpiewki o narażaniu życia, na którą przysięgaliście. Tyle jesteście warci, ile potraficie zeżreć i wypierdzieć! Trudno się dziwić, że się wam takie Kały lęgną pod bokiem.

– Nie pozwalaj sobie! – zawołał, wytrącony z równowagi. Jednak jej się udało. Uwaga o żarciu przypomniała mu hamburgera McZbynio z podwójnymi frytkami i poczuł mdłości. – Coś taka wściekła?! Chodzi ci o to, że co? Że powinienem zostawić was tu same w domu i iść za Krzyckim do lasu? Przepraszam, za „panem Krzyckim”. Tak rozumiesz moją opiekę nad wami? Czy może marzy ci się kolejne spotkanie z Kałą twarzą w twarz?

– Sam mnie tam posłałeś! – krzyknęła. Wybuchnęła płaczem i zasłoniła twarz dłońmi, spod których zaczęły wypływać przyczernione tuszem łzy.

Chciał ją objąć, ale nie mógł się ruszyć. Nagle otworzyły się drzwi i w progu stanęła żona.

– Co wy wyprawiacie? Rejwach na cały dom! Co jej znowu zrobiłeś?

– Znowu? – jęknął, ale cicho i chyba nie słyszała. Podeszła do córki i objęła ją za głowę, szepcząc do ucha. Sylwia odmruknęła i potem już nic nie mówiły, tylko stały tak w milczeniu, jak dwugłowy wyrzut sumienia. Chciał coś powiedzieć, bronić się, tłumaczyć dalej z uporem, że to nie tak i że Sylwia wszystko źle zrozumiała... Zrezygnował. Podniósł się ciężko i bąknąwszy „dobranoc”, wyszedł z pokoju.

W sypialni leżał długo sam, czekając na powrót żony. Odechciało mu się spać. „Ani jeden!” – dudniło mu w głowie. Właściwie to jeden poszedł, Benek Mrówczyński, bo sam komendant go wysłał. Tak mógł odpowiedzieć. Po krótkim zastanowieniu doszedł jednak do wniosku, że lepiej, jak nie powie o Benku. Znowu wyszłoby na to, że inni robią w tej

sprawie więcej od niego. A przecież to nieprawda, ze wszystkich w komendzie on najwięcej zrobił, jemu najbardziej zależało.

Na pewno?

Zza okna doleciało go głuche, odległe pianie koguta. Cholera, świta, a on dopiero co wlazł do łóżka. Sen jednak nadal nie przychodził, żona też. Leżał sam w ciemności i układał w głowie kolejne zręczne odpowiedzi dla Sylwii. Wkrótce jednak przestał, doszedłszy do wniosku, że szuka usprawiedliwień, a to dowód winy. Jesteś winny, Ryszardzie Hadczuk, winny zaniechania. Wyrok będzie surowy i dożywotni. Tchórz na wieki. Bezsenność i wyrzuty sumienia. Bliscy się odwracają, zostajesz sam, podobnie jak ten, którego zawiodłeś. Trup za życia.

Ani jeden.

Nie chodzi o jednego, Hadczuk. Chodzi o ciebie.

3

Ola Zdybas cały wieczór czekała na tatę w kuchni. Wiedziała, że wraca z pracy późnym wieczorem głodny i zły, a o to jej chodziło. Po jedzeniu robił się leniwy i natychmiast pakował się na fotel przed telewizorem, gdzie już nic go nie interesowało oprócz bezmyślnego przełączania kanałów. Należało zadziałać wcześniej.

Spotkała Sylwię Hadczuk i strasznie chciała z nią pogadać, więc zaciągnęła ją do siebie na kawę. Wiedziała, co jej się przytrafiło, i miała nadzieję usłyszeć szczegóły. Tu i ówdzie dziewczyny przebąkiwały, że Sylwia nie była jedyna, że Kała i jego kolesie od biznesu nieraz się zabawiali z pracownicami, tylko żadna nie chciała się przyznać. Gwałt to takie dziwne przestępstwo, w którym ofiara czuje się bardziej winna niż sprawca. Ukrywa się, milczy, jest piętnowana, podczas gdy on obnosi swój bestialski czyn z dumą. A relacje o gwałcie bardziej ludzi podniecają, niż przerażają.

Czyniła sprytne podchody, ale Sylwia nie dała się sprowokować i kręciła uparcie głową. Nic z tego, moja droga, nie powiem ci ani słowa. Zamiast tego zgadały się o aferze z krakowskimi policjantami i po szybkiej wymianie informacji doszły do wniosku, że trzeba coś zrobić, inaczej ta kanalia znowu wygra i będzie jeszcze gorzej. Dlatego przyjechała teraz do rodziców i czekała na ojca w kuchni, popijając herbatę z jaśminem.

– Cześć, córcia – rzucił od progu. – Zrobisz mi kanapki? Jestem głodny jak wilk.

– Cześć, tatku. Złapałeś Kałę?

Zamrugał szybko, jednak nie zwolnił kroku i ucałowawszy córkę w policzek, klapnął na kuchenne krzesło.

– Jeszcze nie. Dlaczego pytasz?

Usiadła naprzeciwko i ciągnęła swoje.

– To może chociaż uwolniłeś tego porwanego policjanta? Albo przynajmniej dowiedziałeś się, gdzie go trzymają?

– Skarbie, to nie twoja sprawa – odparł, marszcząc surowo czoło, bo wydawało mu się, że to stosowne do jego domowej pozycji. – Wolałbym, żebyś zamiast się wtrącać w moją robotę, zaczęła kroić chleb.

– Sam sobie ukroisz, nie jestem twoją służącą. Tylko najpierw mi powiedz: po co to robisz?

– Ale co? – Wytrzymał jej wzrok, w czym jednak nigdy nie był dobry, więc zaraz zaczął z uwagą studiować wzorek na kubku z jaśminową herbatą. – Chodzi ci o moją pracę? Ktoś to musi robić. A poza tym lubię.

– Chodzi mi o krycie Kały.

Stężał.

– Co powiedziałaś? Dlaczego to cię w ogóle interesuje?

– A dlaczego miałoby nie interesować? Mam czekać, aż mnie zgwałci i zakopie w lesie?

Zachwiał się na krześle i zamrugał oczami. Atak, trzeba się bronić.

– Nie wystarczy wam, że zarabiam na całą rodzinę? Obie z Tereską macie gdzie mieszkać, co jeść i w co się ubierać, i to zdaje się w nie najtańszych sklepach. Myślisz, że wasz słodziutki apartamencik na nowym osiedlu to tak ot, na pstryknięcie palcem? Że tysiąc euro na wypad do Barcelony w długi weekend to kwestia czterech klawiszy w bankomacie? Nie, skarbie, to ciężka policyjna harówa, na którą się zdecydowałem dla was, a nie dla siebie. Mnie dużo nie potrzeba, wystarczą dwie kanapki z szynką na kolację. Zrobisz mi je wreszcie?

Słuchała nieruchomo i nie odpowiedziała, wciąż świdrując go wzrokiem. Próbował znowu wytrzymać napór jej milczenia, jednak długo nie dał rady. Zagrał święte męskie oburzenie.

– Co to ma być, przesłuchanie? Gdzie ja, do kurwy nędzy, jestem? W domu czy dalej w robocie? Masz nakaz prokuratorski?

Pojechał trochę po bandzie, więc uśmiechnął się, licząc, że zamieni w ten sposób ostre starcie w zwykłe domowe przekomarzanie. Nic z tego. Ola miała twardą, zaciętą twarz, co w przypadku młodej i ładnej dziewczyny dawało efekt szczególnie wyrazisty. Nagle przestraszył się. Czyżby i ją...? Czy dlatego tak jej zależy na złapaniu Kały? Złość opadła z niego jak mokre łachy.

– Ola, czy... coś się stało? Chcesz mi o czymś opowiedzieć? Jeśli tak, lepiej zrób to teraz i bez owijania w bawełnę. Czy on cię skrzywdził?

– Być może – odparła po chwili udawanego namysłu. – Jednak nie tak, jak myślisz. Nie wiem, ile w tym jest mojego szczęścia, a ile jego ograniczonych możliwości, ale na razie uniknęłam losu Sylwii. Biedna dziewczyna! – Westchnęła. – Nie może się pozbierać! W dodatku ojciec ją w to wszystko wkręcił.

– No właśnie! – przerwał jej z nowym zapałem. – Doceń to! Ojciec ojcu nierówny, jak widać na załączonym obrazku.

Liczył na skierowanie tematu na inne tory i się przeliczył.

– No właśnie – podjęła zimno. – Ojciec ojcu nierówny i pan Hadczuk tak nie kryje dupy temu gangsterowi jak ty. Po co to robisz? Bo jeśli dla mnie i Teśki, możesz sobie darować. Wolałabym nie mieć mieszkania, tylko ojca

porządnego policjanta. A tak? Siedzę w słodziutkim apartamenciku i myślę w kółko o tym, że mój kochany tatuś, komendant policji, współpracuje z bandziorami.

– Ola! – wrzasnął, waląc otwartą dłonią w stół, aż kubek podskoczył i przewrócił się na ceratę. Na szczęście pusty. – Nie pozwalaj sobie! Jak śmiesz w ogóle! Co to ma znaczyć! To jakieś bzdury! Zabraniam ci się tak odzywać do ojca!

Argument o bzdurach uznał za zbyt słabo wyeksponowany, więc go powtórzył:

– To jakieś kompletne bzdury! Kto ci naopowiadał takich bredni! Jak możesz!

Dobrze się przygotowała. Nie dała się wytrącić z równowagi, nawet jej powieka nie drgnęła.

– Nie wysilaj się, sumienia nie zagłuszysz. Nikt mi nie musiał opowiadać bzdur, wystarczy, że żyję w tym mieście. Bo to tak działa, tatku. Jedynie ty w całym Słupsku nie słyszysz opinii o obecnym komendancie policji i jego związkach z poprzednim komendantem oraz ich wspólnym umoczeniu w sprawie tego biednego Pawła Palki. Może tych dwóch krakowiaków miasto by ci darowało, ale nie naszego chłopaka, który został zastrzelony jak pies. Gadają o tym wszyscy. Do kilku faktów dorabiają całą furę plotek i puszczają dalej. A jeśli akurat w pobliżu tych plotek znajdę się ja, bo pogadanka leci u mnie w pracy na przerwie obiadowej albo nad wieczornym piwem w knajpie, to w pośpiechu wychodzę do toalety i już nie wracam. Chciałeś wiedzieć, co mi zrobił Kała? Właśnie to. Zyskałam słodziutki apartament na nowym osiedlu, ale straciłam ojca.

– Zamknij się!

Wstał, obszedł stół szybkim krokiem i stanął nad nią jak kat nad dobrą duszą. Z uniesioną ręką dyszał przez nozdrza. Ola patrzyła na niego spokojnie i uważnie, jak terapeuta, gdy w pacjencie dokonuje się kluczowe przeobrażenie.

– I co, uderzysz mnie? – spytała.

– Powinienem – warknął. – Należy ci się.

– I co to zmieni, tatku? Jak już mnie walniesz i nakryję się nogami, umazana krwią z rozbitego przez tatusia nosa, to wszystko się naprawi i zaczniesz być porządnym człowiekiem? Dasz mi w gębę, a całe miasto się przestraszy i przestanie o tobie brzydko plotkować? Żebyś mógł stać się jeszcze dzielniejszym i prawdziwszym policjantem, odwalającym dla nas policyjną harówę? Obawiam się, że jesteś w błędzie. Nic się nie zmieni, a jeśli, to na gorsze. Sorry, tak to widzę.

Kilka razy uniósł i opuścił rękę, co nie podsunęło mu żadnej zręcznej odpowiedzi. Wreszcie zacisnął pięść i odwrócił się na pięcie. Nie usiadł z powrotem na krześle, tylko podszedł do okna i zaczął gapić się na pustą nocną ulicę. Trząsł się cały w środku z bezsilnej wściekłości, ale to była tylko połowa jego duszy. Druga odczuwała dziwną, przyjemnie swędzącą ulgę.

Nareszcie ktoś to powiedział. Opadły w końcu stare, pleśniejące, syfiaste parawany, otwarto okna i powiało świeżością. Odetchnął głęboko i zakręciło mu się w głowie. W szumie rozchwianych i sprzecznych emocji nie potrafił zebrać i uporządkować myśli, a zamiast nich przelatywały mu przed oczami pojedyncze obrazki, szybkie jak migawki z początków kina. Jeden szczególnie go zdziwił – smutna, zrezygnowana twarz Ryśka Hadczuka pochylonego nad swoją zapłakaną córką.

Zrobiło mu się smutno. Niewygodnie. Jakoś tak łyso. Zaczepił wzrok o samotne auto przejeżdżające mokrą i pustą ulicą, by odprowadzić je do zakrętu. Czarne bmw 353, zarejestrowała jego policyjna pamięć. Kiedyś był w tym dobry. Szczegóły, kojarzenie najmniejszych drobiazgów, łapanie nici tam, gdzie inni nie widzieli nic – tak się kiedyś prezentowały jego kompetencje miejskiego śledczego. A teraz? Kim się stał? Zausznikiem zdemoralizowanego oszołoma, który ma coraz większe kłopoty z odróżnieniem faktów od psychopatycznych urojeń? Co się właściwie stało? Czy rzeczywiście zyskał apartament, a stracił dzieci?

– Tato, przepraszam – usłyszał za plecami.

Odwrócił się i zamrugał jak obudzony ze snu. Ola patrzyła na niego smutno i ciepło. Widząc jego baranie zamyślenie, podeszła i objęła go za szyję. Stał sztywny jak manekin, a ona przywarła, jakby chciała go ogrzać po zimnym prysznicu.

– Przepraszam, nie chciałam ci zrobić przykrości. Po prostu myślałam, że ci pomogę – nie wiem, podjąć decyzję? Bo sam też chciałeś to jakoś zmienić, prawda? Pchnąć na nowe tory. Tylko nie wiedziałeś jak. Umyśliłam sobie, że będę twoim dobrym duszkiem.

Nie oddał uścisku. Postał chwilę sztywny, a potem zdjął jej ręce ze swoich ramion i wyszedł z kuchni.

– To ja przepraszam – bąknął po drodze, niepewny, czy w ogóle usłyszała.

– Nie chcesz tej kanapki? – rzuciła za nim, ale już był w przedpokoju. Cicho zamknął za sobą drzwi.

W sypialni żona leżała cichutko przy słabym świetle nocnej lampki i udawała, że czyta.

– I co, porozmawialiście sobie? – spytała niepewnie.

– Nie – odburknął. – Ola mówiła. Ja tylko miałem słuchać.

– Aha, słuchałeś. To dobrze – skonstatowała ogólnikowo. Widocznie jednak przestraszyła się swojej odwagi, bo zaraz potem chrząknęła głośno i odwróciła się plecami do niego. – Dobranoc.

Nie odpowiedział. Leżał na wznak i mierzył na oko długości boków trapezu, jaki tworzyło na suficie światło ulicy padające przez okno. Nie zaciągał zasłon na noc, lubił mieć u siebie w domu światła rodzinnego miasta. Czuł się wtedy jego częścią. A teraz to miasto robiło z niego wyrzutka, zausznika gangsterów, sprzedajnego przydupasa Kały, tego samego, który własnoręcznie zabił Bogu ducha winnego policjanta i nie poniósł za to żadnej kary.

A on jest szefem policji w tym mieście. Powinien to mieć w dupie i przez dłuższy czas miał, tylko jak długo tak można? Czy o to chodzi temu zawziętemu Hadczukowi? I dlaczego Kała przestał do niego dzwonić?

I gdzie jest Krzycki? A Mrówczyński? Dziengiel? Gdzie oni wszyscy się podziali i co się tam właściwie dzieje?

Uświadomił sobie, że nie wie nawet, gdzie to „tam” się znajduje, i prychnął cicho. Ola ma rację. „Złapałeś już tego Kałę?” Gówno złapał. Nawiasem mówiąc, trudno złapać cokolwiek poza katarem, jak się nie szuka.

Co z niego za komendant, skoro nic nie wie?

Nagle zadzwonił telefon służbowy. Odebrał szybko, żeby nie budzić żony.

– Panie komendancie – meldował poufnym głosem dowódca patrolu – komisarz Hadczuk kazał nam szukać pary podejrzanych z przydrożnego baru przy Bałtyckiej. Tylko nie podał żadnych konkretów, nawet nie wiemy, o jaki samochód chodzi. To chyba trochę niepoważne, nie? Co mamy robić?

Sam kazał meldować sobie o wszystkich posunięciach szefa wydziału kryminalnego i, jak widać, niektórzy z podwładnych wzięli to sobie do serca. Znowu Hadczuk. Jak go ten facet wkurwiał! Ciągle wynajdywał powody, by nie wykonywać jego rozkazów, za to sam wymyślał różne dziwactwa i robił wszystko po swojemu. Pewnie usiłował naśladować swojego nowego idola z Krakowa. Pieprzony pomorski Krzycki za siedem groszy.

Już miał na końcu języka jakąś złośliwą uwagę, gdy nagle stanęła mu przed oczami ta bezdennie smutna mina komisarza, gdy spoglądał na swoją córkę. Zdybasa coś tknęło. Czy on też miałby taką minę, gdyby Kała dorwał nie Sylwię, tylko Olę? Pewnie tak. A może i nie, bo wcześniej wziąłby pierwszą lepszą giwerę i strzelał do ludzi na oślep, zanim ktoś by go nie unieszkodliwił z daleka. Najpewniej Mrówczyński, bo w tym był najlepszy.

Nagle coś mu przyszło do głowy.

– Sierżancie – powiedział do telefonu – róbcie, co do was należy. A ten samochód to jest czarne bmw 353, na oko dziesięcioletnie. Pół godziny temu wyjechało z miasta ulicą Kaszubską na północny wschód. Takie mam informacje.

– Ale skąd...

– Wykonać.

Rozłączył się i zmarszczył brwi. Czyżby się przeflancował i podjął współpracę ze smutnym Ryszardem Hadczukiem? Nie. Chodziło o pokazanie, że on wie.

Po zamknięciu oczu nawiedziły go obrazy znikających ludzi i twarze przerażonych córek oraz smutnych, bezradnych ojców. Kiedy wreszcie zasnął, śniło mu się opustoszałe miasto. Wszyscy mieszkańcy gdzieś uciekli i po zawianych morskim wiatrem ulicach jeździły puste samochody, głównie czarne bmw. W uchylonym oknie jednego z nich zobaczył przeraźliwie wykrzywioną twarz Rajmunda Kuleszy. Kłapała szczękami na oścież jak turoń w korowodzie kolędników. Inne bmw miało na klapie bagażnika napisane palcem na kurzu MIASTO ZNIKAJĄCYCH LUDZI i owalną naklejkę z zaciśniętą pięścią pokazującą środkowy palec. Szedł, a właściwie sunął nad chodnikiem jak dron i szukał żywych mieszkańców w otwartych sklepach, uchylonych oknach na parterze kamienic, pod wiatami przystanków. Na ławce jednego z nich spał człowiek bez głowy, inżynier Janusz Różański. Miesiąc temu zdekapitowało go śmigło turbiny wiatrowej na polu w Grębówku. Głowę komendant znalazł kawałek dalej, w koszu na śmieci. Właściwie sama z niego wyszła, gdy tylko tam zajrzał; wykrzywiła się i oświadczyła skrzeczącym głosem: „Zdybas, bum, bum”, po czym spadła na chodnik i potoczyła się w dół ulicy. Obrócił się gwałtownie, by za nią polecieć, i omal nie dobił do wielkiej postaci o dziwnych, pokracznych kształtach. Stała w miejscu, choć poruszała rękami i nogami, jakby tańczyła breakdance albo poprawiała zbyt luźne ubranie założone nie na wierzch, tylko pod skórę. Wiedział dlaczego. Po tym jak Zbigniew Klisz spadł ze stumetrowego wiatraka, miał pogruchotane wszystkie kości. Klisz powiedział: „Zdybas płaci”, i wywalił z ust wielki język Rolling Stonesów. Powtórzył ten zestaw trzykrotnie, ostatnim razem wyciągając język tak daleko, że komendant musiał odchylić się w tył, by go nie polizał. Uderzył potylicą w...

Obudził się zlany potem i pomacał tył głowy. Na stoliku nocnym cicho buczał telefon komórkowy przestawiony na wibracje. Mecenas Waldemar Smuta.

– Cześć, komendancie. Zbudziłem cię?

– To nie ty – powiedział nieprzytomnie.

– To ja. Niestety, zła wiadomość, którą mam dla ciebie, również jest prawdziwa. Grzesiek Wądlik zniknął.

– Co? – krzyknął i poderwał się jak na sprężynie. – Gdzie?

– Jak to gdzie? Nie wiadomo. Wczoraj wieczorem nie wrócił z biura. Dzwonił o ósmej do żony, że właśnie wyjeżdża do domu i nie dojechał. Czekała całą noc, a przed chwilą zdecydowała się zadzwonić do mnie. A ja do ciebie. Zajmiesz się tym?

– Tak, jasne, natychmiast – mamrotał, próbując zebrać pajęcze nici myśli. – Coś więcej wiadomo?

– To już robota dla ciebie i twoich ludzi. Hadczuk i Latawiec byli u niego wieczorem. To zacznij od nich. No już, zbieraj dupsko i do roboty! – pokrzykiwał mecenas głosem nieco nazbyt znacząco rozedrganym. Rozłączył się bez pożegnania, a komendantowi Krzysztofowi Zdybasowi jeszcze przez dłuższą chwilę dudniło po rozespanej głowie: MIASTO ZNIKAJĄCYCH LUDZI.

4

Próby utrzymania ciała bez kontaktu z wodą skończyły się po upływie pierwszej doby. Przez jakiś czas zdołał jeszcze wisieć zaczepiony stopami o płytki gzyms na suficie, ale w końcu opadł z sił, zanurzając się po pas. Zziębnął, znów poderwał się i oparł stopy na gzymsie, pozwalając wodzie spłynąć po zsiniałej skórze, wkrótce jednak osunął się w burozieloną ciecz bezszelestnie wypełniającą pomieszczenie. Okrągłe okienko dawno już znalazło się pod powierzchnią, widział jedynie mdłe światełko i ulatujące ze szczeliny banieczki powietrza. Czyli woda wciekała nadal.

Co możesz zrobić, kiedy nic nie możesz zrobić? Co zostaje, gdy nie masz nic? Na co możesz liczyć, kiedy już na nic liczyć nie można? Magia. Ta będzie z tobą zawsze, do końca. I to jest moment, Lucek, kiedy powinieneś jej użyć, bo ćwiczenia cielesne nie załatwią sprawy. Kiedy wszystko jest w porządku i nie myślisz o rzeczach ostatecznych, nie ma też potrzeby angażowania nadziemskich sił. Co innego, kiedy śmierć zagląda ci w oczy i każda myśl może być ostatnią, wtedy dobrze jest je ważyć i starannie dobierać, bo są ze szczerego złota. Życie jako złoto, dobre.

W zamglonym okienku leniwie zakręcił się sczerniały patyk. To co mam robić? Zamknij oczy i módl się. Ale o co? Wszystko jedno, na przykład żeby ktoś albo coś uszczelniło tę cholerną dziurę. Zstąp, Duchu Święty, i przytkaj szparę w okienku. Tym okienku. W zasadzie wystarczyłby sum albo szczupak. I nagotował Pan wielką rybę, która machnęła ogonem i nieczystościami morskiego dna zalepiła śmiertelny otwór. Wyciągnął Mojżesz rękę nad morze, a ono rozstąpiło się na dwoje i cofnęły się wody, by lud wierny mógł suchą stopą do Ziemi Obiecanej podążyć. I trzeciego dnia ujrzał zbłąkany wędrowiec ziemię ojczystą, i radość wielka zapanowała w całym królestwie, kiedy na powrót stanął na progu domostwa swego...

Dom.

Dominika.

Przecież nie mogę tak zwyczajnie po prostu umrzeć! Nie tu i nie teraz! Jezioro, wodo, żywiole życia, nie przynoś mi śmierci!

Jego ciałem wstrząsnął kolejny upiorny dreszcz. Drżenie żeber i ramion przeniosło się na szczęki i musiał szeroko rozchylić usta, żeby nie zjeść własnego języka.

Nie chcę umierać...

Lucek, nie becz. Ogarnij się. Co ty za melodramat tu odwalasz! A w ogóle to śmierć nie jest taka zła.

Śmierć nie jest zła!

Otworzył oczy, by zobaczyć, kto do niego mówi, ale nie było nikogo. Zaczynał mu się rwać film. Zanurzył twarz i cucący chłód przywrócił mu na chwilę ostrość widzenia. W podwodnym okienku banieczki powietrza nieubłaganie ulatywały do góry jak aniołki na niewidzialnych skrzydełkach, kawałki jego duszy rozmienione na godziny i minuty. Ile ich jeszcze będzie? Sczerniały patyk opadł na dno i drobniutkimi kroczkami zbliżał się do szpary, zasysany różnicą ciśnień. Zgrubienia na obu końcach upodabniały go do cienkiego orczyka z zaprzęgu dla karłów. „Jedzie, jedzie pan, pan, na koniku sam, sam”. Nie, to nie jest patyk, raczej kość udowa, czyli dalsza część umrzyka sprzed dwóch dni. Jego czaszka i dwa piszczele już tutaj paradowały przed Luckiem. Taniec szkieletów na jego mokrym grobie. Obrzęd vodyanoi dla nieszczęsnego nowicjusza, który nie zdążył przekształcić szumiących lasów płuc w płucotchawki i zginął, nim na dobre przystąpił do ich podwodnej społeczności. Delegacja przodków przybywająca z zamiarem odprowadzenia go do rodzinnego grobowca dynastii Bałysiów... Bezpotomnego.

Znowu zaczynał bredzić. Krzyknął, a w odpowiedzi usłyszał swój głos jako ochrypły bulgot. Zakaszlał, by odchrząknąć zalegający w gardle śluz, i wtedy usłyszał inny głos, czysty i dźwięczny jak śpiew skowronka o niebieskim poranku. Wyłonił się z wodnej mgły niejako naturalnie, oczywiście, jakby była tuż obok, ponieważ właśnie przyszła w odwiedziny.

Lucek, nie możesz teraz odejść. Nie zostawiaj mnie samej, jesteś moim jedynym oparciem. Rób, co chcesz, wyłam sobie ręce w łokciach, odgryź dłonie w nadgarstkach, pogruchocz stopy – ale żyj. Obiecałeś mi przecież długie i wspaniałe życie. Tak krótko byliśmy ze sobą, właściwie nic jeszcze się nie wydarzyło z tego, co powinniśmy przeżyć i co później, u kresu, nazywa się wspólnym losem. Jeszcze cię nie poznałam, nie nauczyłam się ciebie, nie przewędrowałam nawet ułamka tego wielkiego i niesamowitego labiryntu, którym dla mnie jesteś. A przecież po to się spotkaliśmy i weszliśmy w ten labirynt – by z niego wyjść. Wyjść, a nie utknąć beznadziejnie w tym pustym i głuchym miejscu, na początku drogi. Lucek, nie zostawiaj mnie samej...

Nieee...

To miał być krzyk rozpaczy, jednak wyszło jedynie zdechliwe rzężenie. Nie, nie miał najmniejszej ochoty się z nim identyfikować. Nieee... chrypiało gasnące gardło. Nie chcę. Umierać. NIE-CHCĘ-UMIERAĆ!

Wyłamywania łokci już próbował, bezskutecznie, pozostawało jeszcze przegryzienie nadgarstków, o tyle trudne do wykonania, że długość łańcuchów uniemożliwiała taki manewr. Przy ich maksymalnym naprężeniu mógł sobie co najwyżej pooglądać z bliska zsiniałe paznokcie, które zmiękły i popękały od nadmiernego nawodnienia. Palce zaczęły puchnąć. Jeszcze trochę i mimo nadal bijącego serca będzie wyglądał jak trup. Bałyś, jesteś trupem, na nic modlitwy, na nic rzężenia, na nic słuchanie bądź niesłuchanie głosów. Tak czy inaczej kaplica. O ile stary podziemny bunkier można nazwać kaplicą...

Poziom wody minął biodra, brzuch i wspiął się na wysokość piersi. Siła wyporności pchała jego ciało w górę ku sufitowi, coraz trudniej było mu zachowywać koordynację ruchów. Spojrzał w górę na odległość dzielącą czubek głowy od betonowej powały i porównał ją z długością żelaznych kajdan. Może wystarczy. A jeśli nie? Finałowy gest jego doczesnych szczątków będzie wtedy wyglądał następująco: napięte ręce z wykręconymi do tyłu ramionami, lekko ugięte kolana i stopy usiłujące oprzeć się o ścianę oraz wyciągnięta w górę twarz z otwartymi ustami, łapiąca ostatni, już niemożliwy, oddech.

Kiedy Krzycki go znajdzie w tej rozpaczliwej pozycji, przypominającej śmiertelny grymas pierwszego maratończyka Filippidesa, może choć przez chwilę pomyśli, że spieprzył sprawę i zasługuje na miano zdrajcy. Łajdaka. Kanalii. Leniwca. Odwrócił się od niego, jedynego przyjaciela, i poszedł w swoją stronę łamacza niewieścich serc i ściągacza damskiej bielizny. Dopieszczacza stwardniałych sutków. Bawidamka. Mitomana, klauna i łaziebnej cioty eunuchów z cesarskiego namiotu...

Dlaczego miałby cię ratować? Naładowałeś mu całą wywrotkę pretensji i zarzutów, a teraz czekasz jak zbawienia? Sam jesteś kanalia.

Patyk nieznacznie, aczkolwiek konsekwentnie przybliżał się do okrągłej szybki. Słabnący wskutek zmniejszającej się różnicy ciśnień, choć nadal działający prąd podwodny zsuwał go ku szczelinie, wskutek czego najpierw jeden zgrubiały koniec wpadł w zagłębienie, potem drugi. Mościł się przez chwilę, obracany wodnymi muśnięciami jak klocek w rękach dziecka skupionego nad układanką, wreszcie znalazł optymalne położenie i znieruchomiał. Lucek, otępiały kolejną falą bredzenia w półświadomej malignie, nagle otrzeźwiał. Zamrugał wilgotnymi powiekami, ale obraz się nie zmienił. Bańki powietrza przestały ulatywać. Modlitwa została wysłuchana. Dziura została zatkana.

Jego zanurzona do połowy pierś wezbrała nadzieją. Jezu, tylko spokojnie. Jeśli woda przestanie wciekać, czas oczekiwania na pomoc fenomenalnie się wydłuży. Poziom wody jest już na tyle wysoki, że drzwi na schody nie da się praktycznie otworzyć i Kała raczej na pewno tu nie zaglądnie. Można przypuszczać, że cała jego uwaga skupia się teraz na obronie bunkra przed potencjalnym atakiem sił policyjnych z Andrzejem Krzyckim na czele. Ta obrona jest beznadziejna, wiadomo, ale jeszcze przed chwilą rozstrzygała o niechybnej śmierci pod wodą. Teraz to już wyglądało zupełnie inaczej, tak inaczej, że Luckowi zachciało się śmiać na głos. Krzyczeć z radości i płakać z ulgi. Popatrzył na okienko i upewnił się, że kość przodka tkwi solidnie, nieruchomo, bezdyskusyjnie. Bezapelacyjnie. Fizycznie i metafizycznie.

Pomyślał, że jeśli wyjdzie z tego cało, to jednak pójdzie do kościoła się pomodlić. Cokolwiek by Andrzej o tym nie sądził. Mówią, że nadzieja umiera ostatnia. Nie, ostatnia umiera magia.

Dominika, jeszcze nie wszystko stracone, jeszcze cię zabiorę w najpiękniejszą podróż życia, nie myśl sobie. Mogłabyś tyle nie płakać, tracisz nadzieję, a tu los oferuje tyle wspaniałych, nieoczekiwanych zwrotów akcji...

Kątem oka zauważył ruch przy okienku. Mrugnął. Może to jednak przywidzenie. Nie chciał odwracać głowy, siłował się sam ze sobą, by tam nie patrzeć, a jednak popatrzył. To nie przywidzenie. Bulknęło i mała bańka

powietrza poleciała do góry. Po chwili druga. Bulk. I jeszcze jedna. Bulk. Rozszczelniło się. Woda znowu wcieka. Wolniej, uważniej, z większym namaszczeniem, ale wcieka. Popatrzył w górę, przed siebie i na boki. Niech to szlag. Los oferuje tyle nieoczekiwanych zwrotów akcji. Niestety, nie wszystkie, kurwa mać, są wspaniałe.

Bulk.

Za wcześnie się ucieszył.

Bulk. Życie to czekanie na śmierć, przetykane radościami na wyrost. Bulk. Przepraszam, Dominika. Bulk. Bulk-bulk. Dominika.

Dominika...

IX

Człowiekopies

1

– Dorota...? Tak szybko?

Rozespany głos Dominiki brzmiał jak z filmu o niewydarzonej nastolatce, która przesypia najważniejszy dzień życia. Po wygrzebaniu się z pościeli dziewczyna przytknęła telefon do ucha i kołysała się w wiotkim somnambulizmie.

– Ubieraj się migiem i schodź. Czekam na dole.

– Może... wejdziesz... na chwilkę? Przyszłaś prosto... z pociągu?

– Z samochodu. Nie ma czasu na chwilki. Nie chcę się rozsiadać. Weź, co trzeba, i złaź!

– A co trzeba? – spytała bezmyślnie, ale tamtej już nie było.

Potarła policzki. Aha, chodzi o sprawne działanie. Zerwała się z łóżka, w przelocie zauważyła na zegarku godzinę 6.13 i zdążyła się lekko zdziwić, po czym wciągnęła na siebie najbardziej sportowe ubranie, jakie jej przyszło do głowy, czyli obcisłe legginsy, termiczną koszulkę i bluzę z kapturem, i wybiegła z domu. Dorota siedziała za kierownicą białego audi 3 zaparkowanego w bocznej uliczce za rogiem. W szarym i wilgotnym powietrzu niewielu jeszcze ludzi przemykało chyłkiem do przymusowych porannych zajęć.

– Jechałaś całą noc? – spytała Dominika, całując ją w policzek. – Musisz być padnięta.

– Walnęłam sobie amfy i popiłam spirytusem, dam radę – odparła Dorota bez cienia uśmiechu. – Gdzie on jest?

Dominika zaśmiała się, jednak natychmiast urwała, nie mając wcale pewności, że Dorota żartuje. Znały się prawie dwa lata i zdążyła poznać żonę Andrzeja Krzyckiego jako kobietę twardą i miękką, konkretną i sentymentalną, dowcipną i śmiertelnie poważną. Mogłaby tak jeszcze długo wyliczać pary przeciwieństw, z których składała się Dorota Rachwalska, i niewiele by z tego wynikło, może poza jednym – była nieobliczalna. A właściwie nieobliczalna i obliczalna zarazem. Teraz tylko należało szybko rozstrzygnąć, czy to przesłanka za wciąganiem jej w całą sprawę, czy może wręcz przeciwnie.

– Słuchaj, to nie takie proste... – zaczęła Dominika, ale Dorota przerwała jej.

– Okej, Domka, jedziemy na kawę. Ona ci rozwiąże język.

Znalazły Orlen przy ulicy Bałtyckiej, zamówiły po podwójnym espresso z mlekiem i usiadły w kącie, jak najdalej od kas. Dorota po nocy za kierownicą wyglądała lepiej od niej, nawet włosy wyglądały na ułożone, a nienagannie umalowane oczy patrzyły na nią bystro i pytająco.

– To nie takie proste – zaczęła Dominika jeszcze raz i opowiedziała historię z filmem i wodą wlewającą się do celi. Dla pewności, a i częściowego usprawiedliwienia, podkreśliła szaleństwo Kały – o czym Dorota przecież dobrze wiedziała – oraz nakaz milczenia pod groźbą śmierci Lucka.

– Rozumiesz, nie mogłam nikomu powiedzieć. Tobie też nie powinnam – dodała, rozglądając się dokoła. Poza dziewczyną przy kasie w sklepie nie było nikogo. – Nie wygadaj się, błagam.

– Uhm – mruknęła Dorota. – To dlatego bąkałaś Darkowi przez telefon półsłówka, a on w ogóle nie zrozumiał, o co chodzi. Komuś jednak powiedziałaś, co?

Dominika uniosła głowę i spojrzała przyjaciółce prosto w oczy. Miała na końcu języka „skąd wiesz?”, ale odpuściła sobie. To jak pytanie psychoterapeuty, skąd wie o mojej miłości do tatusia, pomyślała. Zamiast tego skinęła głową i dodała:

– Jednemu policjantowi z tutejszej komendy. No... Benek Mrówczyński to taki dawny kolega ze szkoły policyjnej. Obiecał coś zrobić w tej sprawie i...

– No to dawaj – ucięła Dorota. – Mogłaś Mrówczyńskiemu, możesz mnie.

Powiedziała. Zaznaczyła, że to niepewna wiadomość, że ojciec, kancelaria, ale Dorota już wyjęła smartfona i sprawdzała w sieci, gdzie leży to całe Przestawno i czy na mapie jest zaznaczona hurtownia paszy.

– Dziwne – mruknęła bardziej do siebie. – Gdybym prowadziła hurtownię paszy, chciałabym ją mieć na Google Maps. Każdy odbiorca musi tu trafić bez problemu. A tej nie ma... – Wstukała coś eleganckimi paznokciami i po chwili wygłosiła kolejną rewelację. – W wyszukiwarce też nie. To wcale nie jest hurtownia. Chyba masz rację, skarbie – powiedziała z zamyśleniem, gapiąc się w okno. Dominika siorbnęła kawy.

– Co chcesz zrobić?

Jej głos nie zabrzmiał jak surma bojowa. Raczej jak pisk myszy pytającej z niepokojem, kto będzie nastawiał pułapkę i dla kogo ten ser na haczyku. Dorota przez chwilę milczała, po czym odparła z uśmiechem:

– Skoro nie wolno nikomu mówić, to nie powiemy. Zrobimy to we dwie. Potrzebuję jakiejś strzelawki.

Dominikę zatkało. Owszem, przed zaśnięciem fantazjowała o złotym strzale Doroty z karabinu snajperskiego. Co innego jednak fantazjować, a co innego słyszeć, że to plan na najbliższe godziny.

– Żartujesz, prawda? Powiedz, Dorota, że żartujesz. Masz męża, syna, własny biznes, jesteś stateczną osobą, podziwiam cię, bardzo lubię i szanuję. Żartujesz, co? Nie powiedziałabyś tego na poważnie...

– Mam syna, biznes i faceta, który raz jest moim mężem, a raz nie. Bałam się w życiu tak wielu złych rzeczy i mimo strachu tak wiele z nich mi się przydarzyło, że nie muszę się już niczego bać. Wiem, psychopaci tak mają, ale zwisa mi. Kto z nas nie jest psychopatą? A przynajmniej mógłby

być, gdyby go dostatecznie zmotywować? Ja zmotywowana jestem. Słuchaj, potrzebujemy karabinu. Masz jakiś pomysł?

– Ja...jaki karabin? – wyjąkała Dominika. Sprawy biegły zdecydowanie zbyt szybko dla jej skołowanej głowy.

– Najlepszy byłby sig sauer 3000, taki sam, z jakiego strzelałam ze szkieletora w Krakowie. Ale może być też fiński sako albo amerykański barrett. No chyba że macie francuską hecate. Wymiata jak armata.

– Czekaj, czekaj. Ja pytam poważnie. Dorota, co ty chcesz zrobić?

Blondynka siedząca obok niej i gapiąca się spokojnie za okno barowe stacji benzynowej Orlen łyknęła resztę kawy, stuknęła pustym kubkiem w blat i powiedziała niemal wesoło:

– Chcę pokazać temu dupkowi, kto tu jest lepszy.

– Komu, Arturowi Kale? Nie znasz go! Rozgniecie nas jak pchły między paznokciami!

Po pięciosekundowej lodowatej ciszy padła odpowiedź.

– Andrzejowi.

Dominika przełknęła ślinę. Trzy lata temu Dorota Rachwalska omal nie zastrzeliła Krzyckiego, ratując własnego syna przed bestialstwem dziadka, a jej teścia. W ostatniej chwili zmieniła cel, w czym miał swój udział Lucek, i śmiertelny strzał trafił jednego z ochroniarzy starego Rachwalskiego. W ten nieszablonowy sposób zadzierzgnęła się ich znajomość, która najwidoczniej nie potrafiła się dłużej obejść bez karabinu snajperskiego.

– Powiedzmy, Dorota, że wiesz, do kogo chcesz strzelać. Ale ja nie wiem. Możesz mnie oświecić?

Odpowiedziała tajemniczym uśmiechem i nie czekając na Dominikę, wzięła z oparcia krzesła torebkę, po czym wyszła na parking. Gdy już obie siedziały w samochodzie, wyliczyła na palcach:

– Po pierwsze, wyposażenie. Po drugie, dokładne rozpoznanie terenów wokół Przestawna. Po trzecie, dostanie się na miejsce i zajęcie

odpowiedniej pozycji. Znalezienie stanowiska dla karabinu snajperskiego to sprawa decydująca o powodzeniu, naprawdę. Uczyli was tego w szkole?

– Coś tam było o broni dystansowej, tylko mało. To raczej dla oddziałów specjalnych. Ile ty wzięłaś tej amfy?

– Wyluzuj, Domka, to był tylko cytat. Jeśli jednak chcesz, odpowiem ci całkiem poważnie. – Ściągnęła usta i wygłosiła mowę, o którą przyjaciółka nigdy by jej nie posądzała i którą zapamiętała do końca życia. – Według ciebie jestem kobietą stateczną. Dziękuję, ale to nieprawda. Nigdy bym sobie nie darowała, gdyby twój mąż zginął dlatego, że mój mąż nawalił. Nie potrafiłabym sobie wybaczyć, że siedziałam w krakowskiej kawiarni, gdy Lucek topił się katowany przez szaleńca, gdy ty, bezradna, umierałaś ze strachu, a Andrzej włóczył się po lasach w poszukiwaniu wczorajszego dnia. Wiem aż nadto dobrze, ile waży ludzka pomoc. – Przełknęła ślinę, jakby chciała pozbyć się jakiegoś wyjątkowo dokuczliwego włosa w gardle. Kiedy się z nim uporała, dodała już innym głosem: – Nie chodzi mi wcale o pieprzone melodramatyczne poświęcenie, tylko o siłę przeżycia. Chcę to jeszcze raz poczuć, rozumiesz? Sekunda wszechmocy. Adrenalina, kiedy mierzysz w czaszkę skończonego skurwysyna. Już to przeżyłam i wiem, to jest to. Lepsze niż wszystkie amfy świata.

– To niebezpieczne.

– To wspaniałe, skarbie! Bezpieczny jest dom starców. A i tak wszyscy tam umierają. Nie chciałabyś umrzeć za to, co dla ciebie najważniejsze? Nie czujesz kopa?

Dominika nie miała pewności, czy czuje kopa, ale na wszelki wypadek skinęła głową. W końcu chodziło o Lucka. Zawahała się, czy za tymi bezwzględnie odjechanymi deklaracjami nie kryje się przypadkiem gorzki żart. Czy Dorota z niej nie kpi. Nie kpiła. Wygłosiła kwestię, która zapisała się w sercu Dominiki piekącymi zgłoskami.

– Wiesz, czym się mierzy wartość twojego życia? Wdzięcznością innych dla ciebie. – Koniuszkiem języka zlizała piankę z wargi. – To co, skombinujesz mi ten karabin?

Dominika rozdziawiła usta i na parę sekund zastygła z miną przedszkolaka.

– Spróbuję – szepnęła i popatrzyła na żonę Andrzeja. – Ja pierdolę, ale bagno.

– No i dogadane – podsumowała Dorota.

Przybiły piątkę i pojechały pod Komendę Miejską Policji w Słupsku. Dzięki przepustce Dominiki parę minut po siódmej rano znalazły się na służbowym parkingu na tyłach budynku i doszło do krótkiego spięcia. Pierwsza z nich chciała sama iść do policyjnego magazynu, druga upierała się, że musi iść z nią. W końcu poszły razem, powołując się przy wejściu na priorytet służbowy w kwestii poszukiwania podkomisarza Lucjana Bałysia. W magazynie Dominika stukaniem w szybkę wywołała z zaplecza szczupłego bruneta z wielkim kubkiem kawy w ręku, przywitała się z nim czule i poprosiła Dorotę, żeby poszła sobie na papierosa.

– Karabin, amunicja, mocna lornetka... i zestaw wytrychów – rzuciła Rachwalska i wyszła.

Kiedy trzykrotnie obeszła parking wkoło i wróciła, Dominika już na nią czekała. Na ziemi leżała podłużna torba sportowa. Na oko mogła zawierać kije golfowe, rakiety tenisowe albo pałki do bejsbola. Tę ostatnią dostały zresztą jako bonus. Na wszelki wypadek.

Dorota rozsunęła zamek torby i włożyła ręce do środka, ostrożnie, jakby miała stamtąd wyjąć szczeniaczka. Zamiast tego wyjęła czarną, mocno wyprofilowaną kolbę z głębokim wcięciem górnym na kciuka i z czułością pogładziła palcem długi, trochę staroświecki rygiel, zakończony błyszczącą kulką. Z równą pieczołowitością ujęła w prawą dłoń lufę i sunęła po niej aż do wylotu, obudowanego niewielkim, żebrowanym prostokątem.

– Sako TRG 42 – mruknęła z satysfakcją handlarza bronią, który dostał, czego chciał. – Powinien wystarczyć.

W Dominice bitwa zdrowego rozsądku z żądzą działania osiągnęła swój punkt kulminacyjny. Żadna ze stron konfliktu nie spieszyła się jednak z odpowiedzią, do czego mianowicie to coś, nazwane imieniem dzielnego drwala z bajki, ma wystarczyć.

– Ty wiesz, co to jest? – spytała.

– Fiński karabin dla strzelców wyborowych, lekki i celny. Jeden z najlepszych dostępnych w Polsce. Nasze jednostki specjalne kupiły kilkaset sztuk. Niewiarygodne, że takie tu macie.

– Chyba tylko jeden – bąknęła niepewnie Dominika. – Do czego ma nam wystarczyć?

– Chodzi mi o zasięg – wyjaśniła Dorota. – Pociski zaczynają tracić wysokość dopiero po mniej więcej tysiącu metrach, więc można strzelać praktycznie bezgłośnie, o ile wybierze się dobre miejsce.

– Będziesz strzelać z kilometra do Kały? – Dominika chciała się upewnić, że dobrze zrozumiała, choć słowo „zrozumiała” dalece odbiegało od obecnego stanu jej umysłu.

– Jeszcze nie wiem – odparła z tajemniczym uśmiechem. – Ale chyba nie sądziłaś, że wyzwę gościa na pojedynek i stanę przed nim w rozkroku, z dwoma koltami na biodrach, jak znudzony Clint Eastwood. Chociaż... właściwie chciałabym. Pierwszy strzał w jaja, drugi w prawe ramię, a dopiero trzeci w czoło.

– Przemyślałaś to – mruknęła Dominika z zazdrością.

– Jasne. Amunicja jest?

– Trzysta win mag, dziesięć w magazynku i dwadzieścia w pudełku – wyrecytowała dokładnie to, co usłyszała od chłopaka w magazynie. – Wystarczy czy donieść całą skrzynkę?

Dorota była zbyt pochłonięta nową zabawką, by wychwycić sarkazm Dominiki. Sięgnęła do torby, wyjęła czarno-żółte pudełko, obróciła w palcach i schowała z powrotem.

– Super hammerhead, świetnie. Powinno wystarczyć. Jak to załatwiłaś?

– Umówmy się, że tego pytania nie było. Stara znajomość. Bartek, i tyle.

Miała nadzieję, że taka odpowiedź uświadomi Dorocie niezręczność jakiegokolwiek drążenia tematu. Już i tak pewnie historia z Benkiem się rozejdzie.

– Okej – odparła Dorota, odwracając się uważnie, jakby amunicja miała lada moment wybuchnąć. Jej oczy błyszczały. – Wystarczy. Jasne.

Wrzuciła torbę do bagażnika, poczekała, aż niezdecydowana i pełna sprzecznych odczuć Dominika wsiądzie z drugiej strony, po czym najspokojniej w świecie wyjechała z policyjnego parkingu na ulicę Sobieskiego i na rondzie skręciła w prawo.

– Dorota, skąd to wszystko umiesz?

– Z YouTube’a.

– Nie chrzań. Znasz się na tym, jak jakiś tajny agent służb specjalnych. Normalnie dziewczyna Bonda. Kto cię tego nauczył?

– Sama się nauczyłam. W szkole byłam mistrzynią województwa w strzelaniu sportowym. Później mój mąż, to znaczy ten pierwszy, znosił do domu broń i znikał na całe tygodnie, a ja się z nudów bawiłam. Jechałam do lasu i strzelałam do drzew. Jest jeszcze druga grupa kobiet znających się na broni, oprócz dziewczyn Bonda. To żony gangsterów. A YouTube’a polecam. Nauczy cię wszystkiego, łącznie z tym, jak regulować celowniki i kiedy zakładać tłumik, a kiedy lepiej nie. Mam nadzieję, że w pokrowcu jest maleńki śrubokręt. W szkole policyjnej tego nie uczą?

– W szkole policyjnej uczą, jak wpadać do domu i nie potknąć się przy tym o kanapę na środku pokoju. Też przydatne. Zwłaszcza podczas małżeńskich awantur.

Dorota pokiwała głową, jakby wszystko było jasne, i odbiła w stronę hurtowni pasz.

2

Z betonowej czeluści najpierw wyszedł pies, za nim człowiek w skórzanej kurtce, umorusani jak nieboskie stworzenia przez nieustanne ocieranie się o brudne ściany podziemnych korytarzy. Wyszli na mleczny świt i zatrzymali się na skraju zagajnika. Człowiek klapnął na mokrej trawie,

pies usiadł obok. Przed nimi rozpościerała się szara, zamglona łąka z nielicznymi, pojedynczymi drzewami porastającymi brzegi rowów melioracyjnych. Gdzieś daleko pewnie kręciły się długie, popielate śmigła, ale pulsowanie czerwonych lamp nie zdołało przedrzeć się przez mgłę aż tutaj.

Za ich plecami rozciągał się pas leśnych zarośli i brzeg płytkiego jeziora, wypełniającego podłużną polodowcową nieckę. Pod zaroślami, w głębi ziemi, kłębiły się mroczne tunele poprzedzielane kwadratowymi pomieszczeniami i w jednym z nich rzeczywiście znajdował się podłużny iluminator, od zewnątrz zalepiony błotem, ponieważ poziom dna podniósł się od czasów wojny i nie do końca było jasne, że kiedyś pokazywał wody jeziora. Do tego miejsca nie prowadziła żadna turystyczna ścieżka, żaden drogowskaz ani strzałka rowerowej trasy. Nawet miejscowi rzadko tu zaglądali, skoro pies i człowiek musieli przedzierać się przez gęste poszycie malin i ostrężnic.

Człowiek wyjął z kieszeni komórkę, po włączeniu przekonał się, że nie działa, i schował z powrotem. Z drugiej wyjął zapakowaną w folię podłużną kanapkę, przerwał na pół i część z wystającym plastrem szynki podał psu, a ten natychmiast pochłonął swój przydział.

– Nie jedz tak szybko, to niezdrowe – powiedział człowiek, żując bułkę. – Zwłaszcza dla psów. Macie krótki przewód pokarmowy.

Pies nie wyglądał na szczególnie przejętego uwagą. Rozglądał się ciekawie dokoła w poszukiwaniu następnych godnych zwiedzania obiektów historycznych i tylko sporadycznie zerkał na człowieka, a raczej na jego kanapkę. Ten w końcu się zorientował i oddał niedojedzony kawałek. Otrzepał ręce z okruszków i wcisnął folię do kieszeni.

– Chodź, nie ma czasu. Jak my tego nie naprawimy, to nikt.

Łyknął wody z plastikowej butelki i pobiegł na przełaj truchtem do samochodu zaparkowanego na kamienistej drodze jak laser pyłowy przecinającej na pół wielkie pole kukurydzy. Już w kabinie, zanim przekonał się, że nadal nie ma zasięgu, padła mu bateria w telefonie. Zaklął, wrzucił wsteczny i wyjechał na asfaltową szosę, wąską i postrzępioną na

poboczach. Minęli rowerzystę i przed Łątkiem skręcili w lewo, by objechać wieś boczną drogą wzdłuż starego parku.

– Pojeździjmy w kółko, to musi być gdzieś tu – powiedział do psa ze sztucznym optymizmem. Zwierzę wyczuło fałsz i zwinięte w kłębek milczało.

Krążenie po okolicy nie przyniosło żadnych efektów i sytuacja w ludzko-zwierzęcym tandemie kwaśniała. Z braku lepszych pomysłów zawrócili nad jezioro, tym razem od drugiej strony, by zbadać przeciwległy brzeg. Wprawdzie żadna z map nie pokazywała, by miało się tam cokolwiek znajdować, nic innego jednak nie przychodziło do żadnego z łbów. Od północy jezioro wchodziło między łąki płytkim jęzorem, porośniętym trzciną i szuwarami, gdzieniegdzie większymi kępami wierzbiny. Nic nie wskazywało na to, by miał się tu znajdować jakikolwiek z interesujących ich obiektów. W ogóle oprócz paru elementów naturalnego pejzażu – trzciny, szuwary, grząskie pastwisko – nie było nic. Mina człowieka już nawet nie próbowała udawać optymizmu.

– Jeśli to nie tutaj, to już nie wiem... – zaczął i urwał w pół zdania, potrącony przez zrywającego się do biegu psa. Zwierzę z krwiożerczym warkotem skoczyło w pobliską kępę wierzbiny, skąd wkrótce dobiegł żałosny skowyt. Człowiek pobiegł za psem, ściskając w ręku odbezpieczony pistolet. Przed ścianą wiotkiej zieleni zwolnił i ujmując broń w obie dłonie, zajrzał w głąb krzewiastej ciemności.

Pies obwąchiwał płaskie wgłębienie, skamlając z cicha. Miejsce nosiło ślady ludzkiej bytności, a z reakcji zwierzęcia wynikało, że rozpoznaje, o kogo chodzi.

– Tu siedział? – spytał człowiek i natychmiast sobie odpowiedział: – Ale gdzie w takim razie jest?

Badawczo się rozejrzał i zauważył rozdeptane kępki trawy. Tamten stawiał kroki tak, by nie zostawiać odcisków butów. Ślady prowadziły do brzozowego lasku.

– Piękna, nie mamy czasu. Zostaw go.

Krążący wkoło z nosem przy ziemi pies nie zareagował, zwietrzył zapach i jasnobrązowa sierść zjeżyła się na karku. Pobiegł w następną kępę zarośli, wypadł z niej i pomknął łąką wzdłuż brzegu jeziora.

– Lala, chodź tu! Wracaj! Lalaaa!

Kiedy wołanie straciło sens, człowiek przeskoczył płytki rów i z bronią gotową do strzału pobiegł za psem. Stracił go z pola widzenia, wkrótce ucichło również szczekanie. Zapadła złowroga cisza. Zwolnił, przyczaił się za parawanem trzcin i odczekał chwilę. Nic się nie działo. Zrobił kilka kroków i znowu przycupnął, by móc swobodnie obserwować teren, nie będąc przy tym widzianym. Pies zniknął, cisza i mgła mówiły same niedobre rzeczy.

Lala pobiegła za świeżym tropem. Zapachniało jej mordercą łatwowiernych kundli, których resztki krwi nosiła jeszcze w siwej sierści wokół pyska. Umalowała się nią jak mściciel przed dokonaniem zemsty. Barwy wojenne zobowiązują, zwłaszcza we wspólnotach plemiennych, a ona należała do plemienia kundli.

Płytka niecka kończyła się łagodnym wzniesieniem, a za nim rozpościerał się niewielki lasek mieszany z wydeptanymi przez grzybiarzy ścieżkami wśród białych pni brzóz i rozłożystych krzewów leszczyn, regularnych jak zastygłe eksplozje zieleni. Wszedł między drzewa. Jego prawa dłoń mocno zaciskała się na kolbie pistoletu, lewą pomagał sobie w odgarnianiu zwisających nad ścieżką gałęzi.

Odgarnął szeroki pęd ugiętej od długotrwałych deszczów leszczyny i zamrugał. Przez głowę przebiegło mu kilka myśli naraz, opóźniając reakcję o ułamek sekundy decydujący o zwycięstwie lub klęsce. Zna to każdy bokser wypuszczający cios dokładnie w tym samym momencie co przeciwnik. Zobaczył szereg blisko siebie ustawionych białych pni, zupełnie jakby ktoś zasadził je z myślą o zbudowaniu tu w przyszłości parku linowego. Chłopcy z pobliskiego Łątka odkryli tę podpowiedź natury i kilka najbliższych drzew połączyli wąskimi kładkami z desek, do ostatniej z nich doczepiając dwie równoległe liny, by przedłużyć zabawę w dżunglę o kolejne kilkadziesiąt metrów. Zobaczył te deski, liny i zrozumiał,

dlaczego pies pobiegł dalej. Gdy spostrzegł, że ostatni podest znajduje się wprost nad nim, było już za późno. Zadarł głowę i uniósł rękę, ale nie zdążył wykonać sensownego ruchu. Cień nagle przesłonił plamę szarego światła i potworny ciężar powalił człowieka na ziemię. Uzbrojona ręka została gdzieś za plecami i mocne szarpnięcie pozbawiło go pistoletu. Zaparł się lewym ramieniem, jednak w tej samej chwili poczuł uderzenie w kark. Zdążył pomyśleć, że to jego własny glock, i stracił przytomność.

3

Doczekał się. Młody Dudas tracił już nadzieję i chwilami przeklinał w myśli swój pomysł, ale nagroda sama przychodzi do cierpliwych. Drugi bunkier w Łątku również okazał się pusty i miejsce przebywania Kały z uwięzionym krakusikiem pozostawało tajemnicą, jemu to jednak nie robiło większej różnicy. Wiedział, że Krzycki też nie wie. Będzie szukał, w Przestawnie i tutaj. Tak mu powiedział Kała. To łebski facet, wszystko wie. Potrafi cię przejrzeć na wylot jak meduzę. Z tym Krzyckim też pograł pierwszorzędnie.

Tylko że Krzycki jest dla niego, nie dla Kały. To było postanowione już dawno, zaraz po śmierci Rafała, i dokona się na jego warunkach. Może powinien jednak wrócić do Przestawna i sprawdzić, czy przypadkiem inspektorek nie pokrzyżował mu planów z tamtym imbecylem. Jeśli Goliat od siedmiu boleści jakoś się uwolnił, mógł powiedzieć Krzyckiemu, że on czeka w Łątku. Nie, odwrotnie. To nawet całkiem niezły wariant. Można go przekuć w polowanie. Jeden na jeden. O to przecież chodziło.

Drżąc z podniecenia, zmęczenia i galopady myśli, młody Dudas zwinął się w kłębek i przymknął oczy. Wiedział, że w tym stanie nie uda mu się zasnąć, ale chciał na chwilę wyłączyć receptory. Odjeżdżał. Raz wydawało mu się, że tyraliera ludzi z karabinami idzie po niego od strony wsi, i zerwał się nagle z wyciągniętym przed siebie nożem. Innym razem słyszał głos Rafała, który nachylał się nad nim i szeptał do ucha: „Sławciu, nie odpuszczaj szmacie. Wytrwaj. Pamiętaj, SIŁA i HONOR”. Znowu się

poderwał i z krwawym błyskiem w oku kręcił głową na wszystkie strony. Kiedy dreszcze nasiliły się tak, że nie mógł utrzymać noża w dłoni, wygrzebał z kieszeni foliową torebkę, wziął między opuszki palców trochę białego proszku, przystawił do nozdrzy i mocno wciągnął powietrze. Nie miał czasu na zabawę w usypywanie kresek. Parsknął, przetarł nos wierzchem dłoni i odetchnął z ulgą. Działa.

Kiedy zobaczył granatowy samochód zjeżdżający z szosy pomiędzy pola kukurydzy i parkujący w ustronnym miejscu, jęknął z ekstazy. Nareszcie! Pod wpływem adrenaliny całe zmęczenie się rozwiało, znowu był napięty i gotowy. Siła i Honor. Poprawił spodnie, mocno zawiązał sznurówki adidasów i sprawdził, czy pistolet ma nabój w komorze. Z daleka usłyszał szczekanie psa i to mu trochę pokrzyżowało plany. Nie mógł sobie pozwolić na bycie wytropionym przez jakiegoś zasranego kundla. Nienawidził psów.

Dobra, pies. Przeskoczył po kępach traw do grupy zarośli, stamtąd kolejne dwadzieścia skoków do zagajnika i marsz wąską ścieżką wzdłuż brzegu jeziora, jak najdalej. Niech kundel tropi. Stamtąd nawrócił, wspiął się po gałęziach na szeroki konar brzozy i przycupnął. Tamci dochodzili właśnie do jego ostatniej kryjówki. Wszystko się zgadza, tak powinny iść sprawy. Główka pracuje jak należy.

Znał to miejsce, bywał już tutaj wcześniej i podziwiał amatorski park linowy, zbudowany przez miejscowych smarkaczy na wakacyjne przygody. Zastanawiał się nawet, jak mógłby go wykorzystać, i chyba właśnie wtedy na to wpadł. Pomysł błysnął jak złoty strzał w środku czarnej pustyni. Uach, każdy lubi wakacyjne przygody, co, inspektorku? Zrobimy sobie zabawę, jak trzeba, w sam raz na brzydką pogodę, kiedy z kąpania w jeziorze nici. Tak, zabawa!

Liny były nowe, porządnie związane, wypróbował je stopą, po czym swobodnie przeszedł na następne drzewo, stąpając po tej dolnej i trzymając się górnej. Bułka z masłem. Tak minął następne trzy drzewa i doszedł do drewnianego podestu, sprytnie zbitego z wąskich desek ukrytych za pniami

od strony gęstych zarośli. Ten, kto szedł dołem, nie widział tego na górze. Idealnie. Całkiem jak robione pod niego. Dzięki, Rafałku.

Wtedy na ścieżkę wyskoczył pies. Nieduży, jasny i brzydki, dokładnie taki, jakich nienawidził. Z nosem przy ziemi pomknął ścieżką tam, skąd Dudas właśnie wrócił górą, między gałęziami białych brzóz. Wyglądał na napalonego, głupiego i raczej niewyszkolonego, nie powinien stanowić przeszkody. Takie kundle to on nabija na żelazne furtki.

Kiedy pies minął go i zniknął w krzakach po drugiej stronie lasku, Dudas przeszedł podestem do ostatniego drzewa i zajął odpowiednią pozycję. Człowiek i pies razem stanowią coś w rodzaju jedności, taki... cha, cha, człowiekopies. Idą jedno za drugim, pies w ślad za człowiekiem albo człowiek w ślad za psem. To pewnie jakiś atawizm, prehistoryczny związek ludzko-zwierzęcy. Najpierw jedno, potem drugie, po sprawdzonej ścieżce, bo tak się wydaje bezpieczniej. Wydaje się...

Spływał z góry powoli jak piórko. Płynnie odbił się od krawędzi deski i wyciągnął stopy przed siebie, celując w przygarbione plecy. Tamten w ostatniej chwili zadarł głowę do góry, przez co się trochę wyprostował, ale i tak na reakcję było za późno. Podeszwy adidasów spadły na ramiona i wystarczyło pchnąć do przodu, by człowiek z pistoletem upadł na twarz. Jemu udało się wylądować na plecach, więc przetoczył się do tyłu, poderwał i wskoczył na leżącego, wykręcając uzbrojoną rękę. Jednym szarpnięciem wyrwał mu z dłoni odbezpieczonego glocka i odłożył za siebie. Nie będzie potrzebny, to ma być jeden na jeden, nóż na nóż. Podniósł wzrok i rozejrzał się uważnie. Nic, cisza i bezruch. Głupi kundel.

W tym momencie leżący pod nim człowiek przekręcił się na lewy bok i usiłował się wyśliznąć. Dudas sięgnął za siebie, namacał glocka i z całej siły walnął człowieka w kark.

Dyszał radośnie. Poluzował uchwyt, szarpnął leżącego za ramiona i oparł o pień drzewa. Nieprzytomna głowa obsunęła się, więc palnął ją otwartą dłonią i tamten na moment otworzył oczy. Zamrugał i niezdarnie uniósł ramię. Dudas uderzył jeszcze raz i tamten znowu zemdlał. Pozwolił upaść bezwładnemu ciału i westchnął zniechęcony. Wyglądało na to, że żadnej

walki spod znaku Siły i Honoru nie będzie. Facet albo się szarpał jak półgłówek w gorączce, albo mdlał jak dziewica przed nocą poślubną. To go rozczarowało. BARDZO ROZCZAROWAŁO. Co robić?

„Koniec zabawy”, podpowiedział głos. Młody Dudas spojrzał w górę i na boki, jednak nikogo nie ujrzał. Cisza i bezruch. Obejrzał się za siebie, zmarli zwykle szepczą zza pleców. Jego nieżyjący brat Rafał, duży Dudas, powtarzał jak katarynka: „Koniec zabawy, koniec zabawy, koniec zabawy, koniec zabawy...”. Słowa brzęczały mu we łbie jak w pustym garnku. Koniec to koniec, z poradami zza grobu się nie dyskutuje. Wyjął nóż i odwrócił się, ale już nie zdążył zobaczyć twarzy nieprzytomnego człowieka. Przed sobą miał wyszczerzone kły wrednego kundla. Poczuł smród psiej śliny i pomyślał, że nienawidzi psów.

4

Śmierdziało wrednym człowiekiem. Odór złego ciała snuł się po łąkach jak duszna mgła. Gdy tylko wysiedli z samochodu, poczuła go natychmiast i ledwie się powstrzymała, by nie pobiec za nim. Wyczuwała niebezpieczeństwo, ale nie wiedziała, z której strony się zbliża. Pokręciła się wkoło i złapała trop przy rozdeptanej kępie trawy. Przeskakiwała z jednej na drugą i poszczekiwała krótko Krzyckiemu, by szedł za nią. Im bliżej czuła tamtego, tym mocniej napinała ścięgna, a sierść na jej karku podnosiła się z drażniącym swędzeniem. Z otwartego pyska kapała ślina. Przestawała nad tym panować, zajęta tropieniem złego ciała. Przy silniejszym podmuchu od strony jeziora uderzyła ją nowa fala odoru i rzuciła się na tych napiętych do bólu ścięgnach, potrącając Krzyckiego. Okropnie się gramolił i chyba nie miał pomysłu, co dalej robić. Wreszcie dopadła dużej kępy krzewów i znalazła tam całkiem świeże legowisko. Smród potu, wściekłości i zdrady. Ostro zaskowytała Krzyckiemu, żeby się wziął w garść i zachował najwyższą ostrożność. Pobiegła dalej. Wpadła do zagajnika, tu było go pełno. Chwilę kluczyła między kaleczącymi skórę kolcami jeżyn, a potem przecięła las na przestrzał i znalazła się po drugiej

stronie. Trop się urywał. Pokręciła się w kółko, dysząc od nagłego wysiłku i podniecenia. Już nie myślała o tym, że mają z człowiekiem wspólny cel, właściwie już w ogóle nie myślała. Biegła przed siebie z wyszczerzonymi kłami i szumem zemsty pod wąską czaszką, a na końcu ozora wciąż czuła smak krwi pobratymca nabitego na żelazny pręt. Krew za krew. Natura nie zna tego prawa, to ludzie je wymyślili i doprowadzili do bestialskiej perfekcji. Więc niech się stanie.

Był tu. Zawróciła pod drzewo, tam trop się urywał. Pokręciła się w miejscu, pobiegła kilka metrów jedną ścieżką, potem drugą. Wszędzie zapach dochodził do pewnego punktu i znikał. Jakby było ich trzech i każdy rozwiał się w powietrzu. Jeszcze raz wróciła pod drzewo. Szum pod czaszką narastał, trzęsła się od emocji, szarpała łbem na wszystkie strony w bezmyślnym poszukiwaniu punktu zaczepienia. Gdzieś tu musi być. Nitki odoru oplatały ją jak pajęczyny, ale żadna nie prowadziła do celu.

Z amoku wytrącił ją głośny plask. Dopiero teraz zrozumiała swój błąd. Kiedy ślady się urywają i krążą w miejscu, należy zawrócić. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Zgubiła ją żądza krwi, ten ohydny ludzki wynalazek, bezwstydnie przypisywany zwierzętom. On doszedł tu i się wrócił, a ona została w miejscu i pozwoliła mu robić swoje. Błąd za błędem. Gdzieś tam w tyle został Krzycki, co jednak dotarło do niej później. Za późno.

Zobaczyła go między drzewami, jak podnosi rękę. Plask. Ukośnymi skokami pokonała plątaninę ciernistych krzewów i pędziła wprost na niego. W jego ręku błysnął nóż. Jeśli pobiegnie prosto, nadzieje się na niego. Ostro skręciła i dopiero kiedy między nią a twarzą tamtego znalazł się gruby pień, skorygowała kurs. Nie widział jej. Popatrzył w górę i poruszał ustami, ale nie słyszała żadnego dźwięku. Nie przejęła się tym. Ludzkie gadanie nie ma dla psów znaczenia. Ważne, że zadzierając głowę, odsłonił gardło. W kilku susach dopadła brzozy i wyskoczyła zza niej, celując obnażonymi zębami w tamto miejsce. Wiedziała, że tak trzeba, choć nie wiedziała, skąd wie. Tamto miejsce. Trafić, wbić zęby i zacisnąć szczęki.

W ostatniej sekundzie niczego nie czuła, niczego nie słyszała i nie widziała. Także błysku ostrza zataczającego krótki łuk.

5

Po wydostaniu się z podziemnej pułapki Zbyszek Dziengiel potrzebował dłuższej chwili na dojście do siebie. W jego głowie ból porażonych nerwów i szum zagotowanej krwi walczył o lepsze z kołaczącymi się pod kopułą myślami. Przyduszone gardło spuchło, wykręcone ramiona piekły, nabrzmiałe stopy chciały eksplodować. Powinien teraz zrobić coś ważnego, decydującego, ale nie miał pojęcia co. Pusty, podmokły las nad jeziorem o szarej godzinie budził jak najgorsze skojarzenia. Skołowany usiadł pod drzewem.

Jeśli teraz zadzwoni do komendanta i powie, że Krzycki pojechał do Łątka, skończy się obławą ze zgarnięciem inspektora, zanim w ogóle dotrze do Kały. Jeśli nie zadzwoni, najprawdopodobniej dowie się w macierzystej jednostce, że już tam nie pracuje i może wracać do mamusi. Korciło go, by zadzwonić do Krzyckiego, jednak po pierwsze, nie miał jego numeru, a po drugie, tamten i tak by go nie słuchał. Zdaje się, że to kwestia jakiegoś fundamentalnego braku zaufania do słupskiej policji. Do całej policji. Do ludzi w ogóle.

Aha, no i nie miał telefonu. Ten gnojek mu zabrał.

Myśl o gnojku naprowadziła go na nową ideę. Nawet jeśli w Łątku nie zastanie Krzyckiego, być może uda mu się dorwać małego i wyrównać rachunki. Pomasował obolałe gardło i pomyślał, że nie ma lepszego lekarstwa nad solidną zemstę. Czyli taką, w której dusisz gnojka jak najbardziej sprawiedliwie i twój ból z powodu doznanych fizycznych obrażeń oraz psychicznych krzywd przechodzi z ciebie na niego. To jak szamańskie leczenie duszy i ciała, dwa w jednym. O tak, pomyślał, to dobre. Odprężające.

Posterunkowy Zbigniew Dziengiel podniósł z ziemi swoje niebagatelne ciało i ruszył w kierunku szosy z zamiarem złapania okazji do Łątka. Drugi raz w ciągu trzech dni robił za autostopowicza, chociaż na misję ruszał wypasionym passatem, wyładowanym po brzegi policyjnym sprzętem. Na wspomnienie zawartości bagażnika aż go ścisnęło w dołku. Gdyby to wszystko miał ze sobą, mógłby być dla Krzyckiego bardziej przekonującym partnerem.

No właśnie, przecież teraz to wszystko ma Krzycki!

Machnął na pierwszy samochód, a ten jedynie dodał gazu, machnął na drugi i ledwie zdążył uskoczyć. Szosa wojewódzka prowadziła prosto do Łątka, każde auto jechało w tamtą stronę. Przy trzecim wyszedł na środek drogi, stanął w rozkroku i skrzyżował ramiona na piersi. Kierowca najpierw nacisnął klakson, a kiedy magiczny przycisk idiotów nie zadziałał, nadepnął hamulec. Dziengiel obiegł szybko maskę i wskoczył na siedzenie pasażera.

– Dzień dobry, jestem z policji – powiedział groźnie. – Ścigamy przestępcę. Muszę się dostać do Łątka.

Mężczyzna za kierownicą zdezelowanego peugeota był szczupłym i niedokładnie umytym blondynem w średnim wieku, z prawicowym wąsikiem pod nosem i zieloną bluzą z kapturem na grzbiecie. Zmierzył krytycznym okiem bulwiaste ramiona posterunkowego, dokonał szybkiej kalkulacji szans i wyszło mu, że lepiej się zgodzić. Zaproponował nawet podwiezienie go tam, gdzie policjant zechce. Sęk w tym, że Dziengiel nie wiedział, zapytał więc o stare niemieckie bunkry w pobliżu.

– Są takie – mruknął kierowca, szczęśliwie miejscowy. – Ale tam nic nie ma.

– Właśnie o to nic mi chodzi – odparł Dziengiel. – O to nic. – Aż się zdziwił, jaka fajna fraza mu wyszła.

Minęli wieś i znaleźli się na bezkresnych, zdawałoby się, połaciach pól uprawnych, znad których unosiła się mgła. Blondyn skręcił w polną drogę, przejechał pięćdziesiąt metrów, po czym chciał zawrócić na małej polance wśród dorodnych pędów kukurydzy i... omal nie dobił do passata. Zaklął pod nosem, jednak pasażer zareagował zupełnie inaczej. Szeroki uśmiech

rozlał się po jego jeszcze szerszej twarzy. Wyskoczył z samochodu, pospiesznie podziękował za podwiezienie i szarpnął klamkę swojego auta. Zamknięte. Blondyn wysiadł z peugeota, otwarł bagażnik i wyjął poręczną brechę.

– Niech pan tym spróbuje – powiedział z lekkim odcieniem lekceważenia i machnąwszy ręką, odjechał.

Dziengiel przyglądał się narzędziu zaledwie trzy sekundy, po czym przystawił je do klapy bagażnika i pociągnął w dół. Odskoczyła za pierwszym razem. Uniósł klapę podłogi i się zdziwił. Prawie cały arsenał znajdował się na miejscu, brakowało tylko glocka. Nawet portfel i komórka leżały na wierzchu, jakby Krzycki chciał je zwrócić właścicielowi w pierwszej kolejności. Posterunkowy wyjął shotguna, załadował patronę z brenekami i zatknął za pas. Po krótkim namyśle wziął również kastet i garotę, puszkę z gazem łzawiącym oraz latarkę. Kiedy to wszystko poupychał po kieszeniach, zrobiło mu się raźniej. Na tyle raźniej, że zatarł dłonie z uciechy. Nareszcie coś się dzieje!

Sto metrów dalej, na końcu szerokiego pasa stratowanej kukurydzy, natknął się na czerwonego golfa młodego Dudasa. Był zamknięty, w środku walały się puste kubki po kawie i foliowe worki po kanapkach. Odwrócił się, żeby zapamiętać położenie w stosunku do tamtego samochodu i drogi, po czym pobiegł dalej. Bieg pomagał. Dotleniał mózg i budził uśpioną siłę w mięśniach. Po chwili Dziengiel znalazł wydeptaną ścieżkę, pochylił się i odszukawszy ślady psa i człowieka w miękkiej ziemi, ruszył za nimi do pobliskiego lasku.

W zrujnowanych podziemnych bunkrach nie znalazł nikogo, ale ślady wyglądały na całkiem świeże. Jeszcze mokre. Obsuwające się na skośnych płytach betonowych podeszwy zdradzały pośpiech i nieuwagę. Krzycki nie zachowywał ostrożności, jego głównym przeciwnikiem był czas. Tylko że na razie pan inspektor przegrywał.

Rozmiary porażki krakowskiego policjanta mógł podziwiać posterunkowy Dziengiel pół godziny później, gdy obszedłszy jezioro, dotarł do brzozowego lasku po drugiej stronie. W napływającej z pól mgle zarośla

traciły kontury, dlatego potrzebował chwili, by ogarnąć sens roztaczającej się przed nim scenerii.

Mocno skręcone ciało młodego Dudasa leżało na plecach z zadartą głową. Wywrócone białkami na zewnątrz oczy usiłowały zajrzeć w głąb czaszki. Na piersiach spoczywał mu pies. Lewa ręka kurczowo obejmowała go za kudłatą szyję, prawa zaciskała się na rękojeści noża, którego ostrze znikało w boku zwierzęcia. Pies wbijał zęby w odsłonięte gardło i tętnicę szyjną chłopaka, skąd słabiutko ciekła strużka krwi. Jej duże ilości pokrywały liście pobliskich krzewów i zrytą wierzgającymi kończynami ściółkę leśnej ścieżki. Ten porażająco statyczny obraz musiała poprzedzać całkiem dynamiczna, śmiertelna walka.

Nad potwornym człowiekopsem klęczał inspektor Krzycki i śliskimi od czerwonej farby palcami próbował rozewrzeć zaciśnięte psie szczęki. Kiwał się jak zatopiony w modlitwie rabin i mamrotał coś pod nosem. Na pojawienie się Dziengiela w ogóle nie zareagował.

– Panie inspektorze, to nic nie da. Trzeba wezwać specjalistów.

Zaciśnięte w skurczu psie szczęki niełatwo rozewrzeć, nawet przy wsparciu rabinicznej modlitwy. Palce Krzyckiego ślizgały się po omacku między ostrymi zębami, ale gdy już znalazły dogodny punkt, osuwały się, bezradne wobec stalowego uchwytu.

– Lala, puść... – mruczał i próbował od nowa.

– Panie inspektorze, nie da pan rady. Ona nie żyje.

– Zamknij się! Lala, puść. No już, poluzuj trochę. Zabiłaś go, już po wszystkim. Lala, puść. Lala...

Macał psią szczękę, odsłaniając pod wargami rząd białych zębów, wciskał między nie palce i starał się odciągnąć choćby o centymetr. Na próżno. Słabł, ręce mu się trzęsły.

– Panie inspektorze – zaczął Dziengiel, jeszcze raz kładąc rękę na ramieniu Krzyckiego. – Może ja spróbuję?

– Spierdalaj! – Wściekle strącił jego dłoń z ramienia. – Lala, puśćże wreszcie, trzeba cię opatrzyć. Zostaw go już. Lala. – Pogładził martwy łeb.

– Lala, puść...

Dziengiel postał chwilę bezradnie nad mamroczącym Krzyckim, po czym odszedł na bok i regulaminowym okiem zlustrował najbliższe otoczenie. Walka musiała być krótka, za to gwałtowna, w promieniu kilku metrów krzewy i trawę zachlapała krew. Na ściółce pod pniem grubej brzozy leżał glock. Posterunkowy wziął go ostrożnie przez koszulkę i powąchał. Niestrzelany. Podobnie jak drugi pistolet, znaleziony nieopodal obu trupów.

Powinien natychmiast zawiadomić kogoś w Słupsku, to nie była zwykła kryminalna sprawa, tylko morderstwo z udziałem oficera policji. Czuł, że nie będzie łatwo. Krzycki przestał wreszcie gmerać palcami przy zaciśniętym pysku, oparł obie dłonie na psim tułowiu i nisko pochylony znieruchomiał, jakby zasnął. Trwało to i trwało. Dziengiel uznał, że nie może tak dłużej stać bezczynnie i gapić się na ten krwawy absurd. Podszedł do Krzyckiego i stanowczym ruchem podjął go pod ramiona, stawiając do pionu. O dziwo, inspektor nie protestował; poddał się bezwiednie i miękko, pewnie stając na nogach. Dziengiel zastanawiał się, czy uderzyć go w twarz, jednak nie musiał. Oczy tamtego patrzyły na niego bystro i przytomnie. Były mokre.

– Nigdzie nie dzwoń – powiedział Krzycki zaskakująco przytomnie. – Jeszcze nie.

Jego głos brzmiał tak, jakby po długim milczeniu na nowo uczył się mowy. Unosił i opuszczał na przemian ręce, których lekkie drżenie przywodziło na myśl człowieka właśnie odłączonego od transformatora wysokiego napięcia. Nie mógł ustać nieruchomo, przestępował z nogi na nogę. Dziengiel pomyślał, że przy gwałtowniejszym ruchu rozsypie się na kawałki.

– Jest trup – odparł i szybko się poprawił: – Dwa trupy.

– Nie ma czasu. – Krzycki spojrzał na zegarek, a potem w górę na korony brzóz, jakby w ten sposób chciał uwiarygodnić swoje twierdzenie. – Zadzwoń, ale za pół godziny. Ja muszę jechać. Nie, poczekaj... Za pół godziny, nie wcześniej. Wytrzymasz tu z nimi...

Po tym oświadczeniu zachwiał się i oparł rękę o pień, żeby nie upaść. Kciukiem i palcem wskazującym przetarł oczy.

– Panie inspektorze, nie można. Niech pan da spokój. Sam pan nie wygra z całym światem.

– A kto to zrobi?

Dziengiel wzruszył ramionami.

– To niech mnie pan zabierze ze sobą. To – wskazał palcem człowiekozwierzęce zwłoki – może poczekać. Przydam się, pan inspektor ledwie stoi na nogach.

Krzycki mocno pokręcił głową.

– Nie, zostaniesz tu. Przypilnuj, żeby ich rozdzielili i ostrożnie zapakowali Lalę. Wiesz, moją sukę. Lalę...

Szybko się odwrócił i przyłożył wierzch dłoni do policzka. Dziengiel popatrzył w bok.

– Wiesz, gdzie to jest?

– Nie, panie inspektorze. Ten tu mógł coś wiedzieć, ale już nam nie powie. Zamordowany wójt był z Przestawna, tylko tyle mi przychodzi do głowy.

– Szukaliśmy w Przestawnie, niczego tam nie...

Krzycki przerwał i usiadł pod drzewem. Znowu odjechał poza granicę jawy i wlepił swoje niewidzące oczy w psiego trupa. Gapił się i gapił, a Dziengiel posłusznie wyczekiwał efektów tej mglistej medytacji. Nagle Krzycki wstał, otrzepał spodnie i po prostu ruszył w drogę powrotną między kępami jeżyn. Nie powiedział więcej ani słowa, nawet się nie obejrzał.

Posterunkowy Zbigniew Dziengiel nie wiedział, co robić. Po głowie obijały mu się kawałki zdań z *Vademecum interwencji policyjnych*: „sprawować ciągłą kontrolę osób objętych czynnościami...”, „dokonać podziału ról pomiędzy wykonującymi czynności...”, „organizowanie i kierowanie akcją ratowniczą do czasu przybycia osób kompetentnych...”. A potem spojrzał na sczepione trupy i przypomniał sobie zdanie z rozdziału

„Konfrontacja z psem”: „chronić wrażliwe części ciała (genitalia, gardło) przedramieniem owiniętym wcześniej kurtką...”.

– Słyszysz, Dawidzie za siedem groszy? Chronić genitalia i gardło! Dupku!

Trochę mu to poprawiło humor, choć nie na długo.

– Kurwa mać, ale się porobiło – westchnął do nieżywych ciał i pochlapanych krwią zarośli.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze dwadzieścia siedem minut. A co, jeśli przyjadą i go zgarną na przesłuchanie, a Krzyckiego zostawią? Facet poszedł sam. Ja pierdolę!

Wiedza daje wolność działania. Tak przynajmniej było w przypadku posterunkowego Dziengiela, który nagle pojął wszystko w ułamku sekundy. Pod naporem skojarzeń puściła w mózgu jakaś główna śluza oddzielająca policyjne nawyki od zwykłego, ludzkiego poczucia przyzwoitości. Pieprzyć Zdybasa, pieprzyć rozkazy, pieprzyć wszystko. Nie może go tak puścić samego. Elementarz męskiej solidarności.

Zatknął jednego glocka za pasek, obok shotguna, drugiego schował z tyłu pod koszulką, po czym przyjrzał się sczepionym trupom.

– Sorry, piesku – mruknął, wyrywając z psiego ciała nóż. Odgiął sztywne palce Dudasa i wytarł ostrze o jego spodnie. W kieszeni trupa znalazł kluczyki od golfa. Podrzucił je na dłoni jak wygraną z automatu i pobiegł śladem Krzyckiego. Dawno nie czuł się tak wspaniale.

6

Suka siedzi na podłodze i liże łapę. Kiedy on wychodzi, podnosi się i idzie za nim. Towarzyszy mu aż do samochodu służbowego, do którego wsiada bez pytania. Jest duża, smutna i po śmierci tamtego gangstera bezdomna. Bierze ją do swojego mieszkania na Starowiślnej, robi legowisko ze starego koca, ona z wdzięczności przynosi mu pantofle pod łóżko. Będzie je

przynosiła przez tydzień, dopóki Lucek nie zabroni im tego rytuału, pyskując, że to zwykły kolonializm.

Kiedy ją wiezie do schroniska dla zwierząt, próbuje nie patrzeć w lusterko, by nie napotkać jej wzroku. Zanim wejdą do środka, rezygnuje z pomysłu i w drodze powrotnej kupuje dużą paczkę psiej karmy, smycz z obrożą i dwie miski, żeby nie musiała chłeptać z krakowskich talerzy. Lubi ją dyskretnie obserwować. Suka ma w sobie dużo siły spokoju płynącego z trudnych doświadczeń, sporo z rezygnacji doświadczonej kobiety, trochę wrodzonego smutku. I mądrość. Wszystko to odbija się w jej oczach, kiedy siedzi cicho u jego stóp i drzemie albo rozmyśla nad jakimiś psimi sprawami.

Lala. Lucek ją tak nazwał, zresztą przypadkowo, zaczepnie, a potem nakrzyczał na niego, że pies od tygodnia nie ma imienia. Odpyskował, że nadawanie imienia to też kolonializm. Wspólnie uznali, że Lala jest okej.

Dlaczego bliscy muszą umrzeć, byśmy poznali wagę ich obecności? Kształt naszej miłości do nich? Lala dołączyła do procesji cieni na Moście Duchów. Pójdzie na końcu, chyba że Iza ją zawoła.

Wyjechał na asfaltową drogę i nerwowo dodał gazu. We mgle ledwie widział tablice drogowe, gdyby jechał jakiś rowerzysta, pewnie by go nie zauważył. Jego oczy wbite były w inną przestrzeń. Iza. Lala przyszła właściwie na jej miejsce, jakby od początku wiedziała, że musi zapełnić pustkę.

Lala, nie chodź tam. Poczekaj. Lala, biegnij. Uciekaj do domu. Zostań. Siedź tu cicho. Kiedy pstryknę dwukrotnie palcami, zaszczekaj dwa razy. Pstryk, Pstryk. Hau, hau. Pstrykam raz, szczekasz raz. Pstryk. Hau.

Rozumiała wszystko. Siła spokoju czasem przegrywała z brawurą. Rzuciła się na uzbrojonego zbira Nikołaja Żarkowa. Panie doktorze, ona musi przeżyć, musi! Nie robiłbym sobie wielkich nadziei, ma połamane żebra, jedno z nich wbiło się w jamę brzuszną, to będzie trudna operacja. Może kilka operacji. Przeżyła. W szpitalu w Suchej Beskidzkiej zajmowali się nią jak człowiekiem, łącznie z tym, że odwieźli mu ją w karetce na

sygnale. Wróciła do domu, zjadła trochę karmy, pochlipała wody, zwinęła się w kłębek i zasnęła. Jakby po prostu wróciła ze spaceru.

Później jeszcze dwa razy ratowała mu życie. A on jej?

W jakimś sensie była człowiekiem, jednym z najlepszych, jakich znał. Więcej niż człowiekiem. Ludzie nie mogli Lali dorównać, ponieważ nie mieli szans wiedzieć tego, co ona wiedziała, a co jemu zdradzała jedynie z rzadka i w niewielkich dawkach. Krzycki, teraz nie myśl, tylko czuj. Jak masz biec, to biegnij, a jak masz słuchać, to słuchaj. Rób jedno, ale porządnie, całym sobą. Czujesz ten zapach? To odór ludzkiej zdrady. Zwierzęta jej nie znają, dlatego z taką łatwością można je nabrać. On chce, żebyś poszedł w lewo – idź w prawo.

W ostatniej chwili nadepnął hamulec. Jednak się trafił. Pijany rowerzysta bez świateł. Ominął go z ledwością, automatycznie, ręce i nogi zareagowały bez udziału zajętego rozpamiętywaniem umysłu. Miał wielką, dziką ochotę wysiąść i skopać mu dupę, jednak usłyszał ostrzegawczy szczek Lali i odpuścił. Ledwie się trzymasz kierownicy, nie wysiadaj, możesz nie wsiąść z powrotem. Jest środowy ranek, kończy się trzecia doba. Masz bardzo mało czasu.

Dobrze, Lala. Dodał gazu i pomknął do Przestawna.

Czasem usiłowała mu coś powiedzieć. Psy doskonale się komunikują, to my nie umiemy ich słuchać. Od wczoraj męczyło go, że ona wie, gdzie jest Lucek, tylko nie umie znaleźć dojścia do tępego umysłu Krzyckiego. Kiedy traci pojęcie o jego zamiarach, odwraca się i obojętnie spogląda za okno. Jak obrażona dama. Wczoraj dokładnie tak się zachowywała. Krzycki, myśl! Wczoraj wieczorem dopadło go zmęczenie i zjechał na pobocze, żeby oczy na chwilę odpoczęły i odzyskały ostrość widzenia. Zamiast ostrości dostał omamów i spotkał żołnierzy Wehrmachtu w lesie. Zaraz potem Lala zrobiła się niespokojna, pobiegła za jakimś zapachem, ale wróciła. A potem się obraziła. I przestała rozumieć jego kolejne ruchy, dopóki nie natrafili na tego nieszczęsnego kundla pod kratą. Wtedy zapomniała i jej psi umysł zajął się zemstą.

Uśmiechnął się pod nosem. Zemsta. Lala chciała się zemścić i dopięła swego, kosztem własnego życia. Zrobiła to jak człowiek. Surowy i sprawiedliwy człowiek. I znowu mu uratowała życie.

Lala. Lala...

Minął Przestawno i dotarł do tamtego wąskiego parkingu na poboczu, a za nim wjechał wąską przecinką w głąb lasu, dopiero tam wysiadł. Wrócił piechotą do asfaltu i ruszył po własnych wczorajszych śladach, aż doszedł do tamtego miejsca. Zamknął oczy i wciągnął powietrze. Pachniało ziemią, wodą, trawą. Rozchylił usta i oddychał ciemną wilgocią, szukając w niej szczątków informacji.

Stał oparty o zimny pień sosny i wdychał gnilne powietrze wiejące od południa, z głębi lądu. Teraz pachnie mulistą wodą jeziora i jeszcze czymś bardziej zgniłym. Cmentarz? Zawilgły stary kamień, jak... jak... bunkier w lesie. Lala, gdzie to jest? Szczeknij raz, pójdę na południe. Dwa razy – na północ. Nie daj się prosić, przecież wiem, że tu jesteś. Na pewno dusze psów, tak jak dusze ludzi, błądzą jeszcze trochę po okolicy, zanim odejdą na dobre. Lala, pomóż mi. Ostatni raz. Czekał i czekał, ale nie było żadnego szczeknięcia. To tak prosto nie działa, Krzycki.

Wrócił do samochodu, uruchomił silnik, ostrożnie wycofał na szosę i ruszył, nie mając pojęcia, dokąd jedzie. Znowu pomasował czoło, ponieważ coś mu nie dawało spokoju. Nagle wcisnął hamulec i zatrzymał się tuż pod drogowskazem PRZESTAWNO. Zawrócił i cofnął się kilkaset metrów do niewielkiego leśnego zjazdu z małą, odrapaną tabliczką. Hurtownia paszy? Zerknął na kompas przy zegarku, skręt odchodził na południowy zachód. Wiatr w lesie wiał od południa i czuł w nim rozmaite zapachy, jednak nie przemysłowo produkowanej paszy dla zwierząt, choć ta śmierdzi na kilometr nawet tym, którzy mają nosy zatkane katarem.

Wykręcił kierownicę i wjechał w utwardzoną leśną drogę. Gdyby funkcjonowała tu prawdziwa hurtownia paszy, wylaliby asfalt albo przynajmniej położyli płyty betonowe, żeby droga wytrzymała ciągły ruch ciężarówek. Po pięciuset metrach zatrzymał się przed żółtą blaszaną tablicą z napisem: TEREN PRYWATNY – WSTĘP WZBRONIONY. Wyłączył

światła mijania i na postojowych zjechał między drzewa. Zrzucił kurtkę i w samym podkoszulku ruszył dalej.

Wielka, zabita blachą brama była zamknięta na głucho. Z obu stron odchodził od niej mur, nad blaszanymi wrotami wciąż świeciły się dwie żółte latarnie, pamiętające chyba jeszcze czasy niemieckiej obsługi wartowni. Bo mały budynek portierni przy bramie wyglądał jak wojskowa wartownia. Przez wąską szparę Krzycki zajrzał na rozległy pusty plac. Po zakurzonych płytach betonowych ciągnęły się ślady opon samochodów ciężarowych i osobowych. Jeszcze niedawno panował tu spory ruch, teraz obiekt niezbyt skutecznie udawał opuszczony. Jeden podwójny, świeży ślad w połowie placu wykręcał w lewo i znikał pod przystawioną do magazynu wiatą. Z szarości poranka łyskało tylne światło i kawałek burty czarnego bmw.

Zrozumiał, że to tu, i zalała go fala ciężkiej, błotnistej ulgi. Dotarł. Nareszcie koniec.

Pomacał kieszenie spodni i upewnił się, że jest czysty. Lala miała rację. Nie musisz być bohaterem, możesz płakać. Wstawił stopę w wąską szczelinę między blachą a słupkiem i wspiął się na skrzydło bramy, po czym przeskoczył na drugą stronę i wolnym krokiem ruszył przez oświetlony plac. Wiedział, że mają go na muszce. Trzymając w palcach kluczyki od samochodu, szedł z wyciągniętymi przed siebie rękami, by pokazać, że jest sam i nieuzbrojony.

Psy nie potrzebują broni.

7

Dorota trochę się przeliczyła. Gdyby miała okazję wejrzeć głębiej w sprawę morderstwa Rajmunda Kuleszy, wiedziałaby, że jako wójt skutecznie sprzeciwiał się turbinom wiatrowym i w pobliżu jego rodzinnej wsi stał raptem jeden wiatrak. Jadąc między polami, mierzyła okiem odległość i wychodziło jej, że to trochę więcej niż kilometr. Mimo to zjechała z drogi

i zaparkowała w wysokim zbożu. W pobliżu nie dostrzegła żadnego innego wzniesienia, z którego byłoby widać, co się dzieje za murem hurtowni.

– Dorota, chyba nie chcesz... – zaczęła Dominika, kiedy wysiadły z samochodu. Stumetrowa wieża nad nimi ginęła we mgle rozbłyskującej czerwonym pulsem lampy sygnalizacyjnej. Łopaty śmigła kręciły się bardzo powoli, na granicy zatrzymania. Ledwie słyszalny szum. Dorota spojrzała w górę na posępną wieżę, następnie na odległy las z bladym światłem latarni nad bramą hurtowni, a na końcu w niepewną twarz Dominiki.

– Dokładnie tego chcę.

X

Złoty strzał

1

– Rozczarowałeś mnie, Krzycki – powiedział Kała, ścierając pot z czoła. – Przygotowałem się na starcie gigantów, walkę na śmierć i życie, a właściwie tylko na śmierć, bo życie obaj i tak mamy w dupie, co nie? A tu taki fajans. Przychodzi z gołymi rękami, w uśmojdanym podkoszulku i cienkim głosem skamle o uwolnienie przyjaciela. I co niby powinienem z tym zrobić? Tak po prostu wsadzić ci lufę w tyłek i pociągnąć za spust? To byłoby marnotrawstwo pierwszorzędnego materiału. Psucie okazji. Jesteś cynikiem, więc wiesz, o czym mówię. Zastanawiam się, dlaczego jeszcze nie zginąłeś w policyjnej akcji. Bo że szukałeś śmierci, nie wątpię. Po co się ratowałeś? Dlaczego zawsze w końcu słuchałeś zewu natury wołającego „chcę żyć!”, hę? Człowiek nie po to przestał być zwierzęciem, żeby teraz kierować się takimi bzdurami jak popęd życia, powinieneś o tym pamiętać. No ale lepiej późno niż wcale. Dobrze, że przyszedłeś po śmierć do mnie. U mnie masz jak w banku.

Artur Kała postukał srebrnym pistoletem po wnętrzu dłoni i westchnął jak dobry kat nad niedobrą duszą, taki, co to bardzo nie lubi spychać grzeszników do piekła, a niestety musi. Błyszcząca nowością broń z brązowymi okładzinami wyglądała na sig sauera 1911, ale nie to zajmowało teraz Andrzeja w półmroku betonowego pokoju. Sprowadzili go pod ziemię, gdzieś tu w pobliżu powinien być Lucek.

Kiedy przeskoczył przez bramę i szedł środkiem placu, czekając, aż ktoś strzeli mu w plecy albo w twarz, nie myślał już o niczym. To był koniec, wejście pod wodę, żeby być z Luckiem i zakończyć tę sprawę na swoich warunkach. Co innego jednak iść samemu, a co innego być wleczonym.

Nikt nie strzelił. Bez przeszkód doszedł do budynku po przeciwnej stronie i dopiero tam rzuciło się na niego trzech mężczyzn, którymi dowodziła kobieta, elektryzująca blondynka. Ciasny błyszczący kombinezon czynił z niej ponętnego sukkuba, pomocnicę diabła. Oni wykręcili mu ręce i przystawili lufy do głowy, ona zręcznym ruchem związała i poprowadziła jak barana prosto do byłego komendanta słupskiej policji. Centrum dowodzenia znajdowało się w podziemiu i teraz to go najbardziej zajmowało.

– Wypuść go – powiedział cicho.

– Dlaczego miałbym to robić? – zdziwił się Kała.

– Jest tylko przynętą. Masz mnie, więc go puść.

Kała z niezadowoleniem potrząsnął łysiejącą głową.

– Dziwne, dziwne. Ty wciąż nic nie rozumiesz. Gdybym po prostu chciał cię zabić, wysłałbym do Krakowa pierwszego lepszego ćwoka z armatą w kieszeni dwa razy większą od tego cacka, i byłoby po sprawie. Choćby i tę parkę spod Kaliningradu, co tu siedzi za ścianą. Niezła z niej cipeczka, co? Modliszka, że ani przystąp, bo ci odgryzie. Są tak dobrzy, że nie musiałbym im nawet płacić, zrobiliby to za tygodniową wycieczkę do fajnego hotelu pod Wawelem. Ale nie o to chodzi, Krzycki, kapujesz? NIE O TO! A wiesz o co? Żebyś stracił wszystko, tak jak ja straciłem. Poza tym już ci kiedyś tłumaczyłem: przynęta i tak zdycha. A może to nie tobie, tylko komuś innemu.

– Wypuść go.

– Dlaczego?

– Skończmy sprawę i wypuść go.

– Nie tak szybko, przyjacielu! – Ucieszył się Artur i starł rękawem kroplę potu ze skroni. – Poza tym to nic nie da. Oprócz wody jest tam jeszcze ogień. I ziemia. I powietrze. Cha, cha, a kuku! Powietrza akurat nie ma. – Pochylił się ku Krzyckiemu. – Jego też już nie ma. Zapomnij o nim. Jesteśmy tylko my dwaj, a wkrótce zostanę sam. Wprawdzie nie na długo

i zbyt łatwo jak na zwycięzcę po latach, jakoś to jednak przełknę. Skoro już nie chcesz być bohaterem, cioto!

Ostatnie słowo wykrzyczał mu w twarz i Andrzej skrzywił się od nieświeżego oddechu.

– Wypuść go.

– „Wypuść go, wypuść go”. Dlaczego miałbym to robić?

– Zrobię, czego zażądasz, tylko go wypuść.

– Zła odpowiedź. Spróbuj jeszcze raz.

– Już się nim nacieszyłeś, teraz masz mnie.

Kała złożył usta w dzióbek i udawał, że coś wnikliwie rozważa.

– Policzmy. Jeśli ja zabiję ciebie, to wyrównamy rachunki za Lidkę. Mogłoby wyglądać na wyzerowanie kont, ale co ze mną? Moje życie, kochany, także poszło się jebać i dociągnąłem z trudem do teraz, owszem, tylko w jakim stanie? Popatrz na mnie. Otyłość, otłuszczone serce, zerowa moralność, reputacja społeczna w ruinie. Normalnie wrak człowieka! Kto za to zapłaci? No kto, pytam? Nie ma nikogo innego, kogo można by dorzucić do rachunku. Tylko Bałyś.

Wykręcone do tyłu ręce zaczynały niebezpiecznie cierpnąć, krew nie dochodziła do palców i gdy Andrzej spróbował się poruszyć, więzy zacisnęły się jeszcze mocniej. Z czym tu w ogóle przyszedł? Jaki miał pomysł na tego obłąkańca?

Żadnego. Przyszedł po śmierć, tu Kała utrafił. Zaciskające się więzy wywołały z ciemności zapomniany strach, a ten podszedł do gardła ciężką mulistą falą i Andrzej wpadł w popłoch. Krzycki, z czym tu przyszedłeś? Co chciałeś zaproponować wariatowi, który nie przyjmuje żadnych propozycji? Krzycki, myśl! Wariat, obsesja, rekonstrukcje, stare filmy, zemsta, pobudki, emocje, potężne emocje...

– Wypuść go.

– Dlaczego?

– Żebym ja nie musiał zabijać ciebie.

Krótkiemu śmiechowi towarzyszyło stukanie lufy pistoletu w otwartą dłoń. Były komendant westchnął głęboko i do Andrzeja znowu doleciał nieprzyjemny odór zgniłych treści żołądkowych. Ten facet naprawdę rozkładał się od środka.

– Zbliża się południe, spóźniłeś się, woda dochodzi już do sufitu, a ty siedzisz przywiązany do krzesła przykręconego do podłogi. Co chcesz zrobić? Co w ogóle możesz zrobić, Andrzejku? – wycedził.

– Zabić. Powiedz mi, po co zamordowałeś tego wójta.

– To akurat nie ja, tylko ten głupi gnojek. – Kała wzniósł oczy do góry i potrząsnął głową. – Mieli go tylko nastraszyć, a on się wpitolił w sam środek akcji i przegiął. Oj, jak mocno przegiął. „Cuda na kiju”, co za kretyn. Ja mu dam, kurwa, cuda na kiju! – sarknął zirytowany. – Mówię ci, Andrzejku, psychopaci to prawdziwe utrapienie.

– No właśnie. Zaraz tu będzie policja.

– Taa. Wysłałem chłopaków za bramę, żeby zobaczyli, czy się nie przyplątał jakiś oddział delta-srelta, by was odbić. Oprócz twojego samochodu niczego nie znaleźli. Chyba nie zachowałeś się jak ostatni głupek i nic nikomu nie chlapnąłeś? Zresztą teraz to i tak bez znaczenia. Twój samochód wprowadziłem do środka. Co było pod klapą bagażnika?

Krzycki drgnął. Było? A gdzie jest teraz?

– Nie wiem. Kiedy go kradłem, miał już wyłamany zamek i podniesione dno.

Kała pokiwał głową, przyglądając mu się uważnie. Krzyckiego nagle oświeciła nowa myśl.

– Puść Lucka, to dostaniesz coś lepszego – rzucił. – Rekonstrukcja z bunkrem ci nie wyszła, ale ta wyjdzie. Zapewniam.

W oczach tamtego błysnęła iskierka zaciekawienia.

– No dalej, Krzycki. Nieźle ci idzie.

– Poluźnij mi sznur na gardle, bo nie mogę mówić.

Kała odciągnął półokrągły kurek w sig sauerze i ostrożnie się zbliżył. Ręka drżała mu jak w chorobie Parkinsona i Andrzej z niepokojem śledził

palec wskazujący oparty na języku spustu. Broń była odbezpieczona, co groziło przypadkowym strzałem.

– Co się tak trzęsiesz? – spytał. – Nic ci nie zrobię, dopóki nie uwolnisz Lucka.

Krótki śmiech, zakończony kaszlem i splunięciem.

– To nie strach, Krzycki, dawno już go nie czułem – odparł, jednak odłożył pistolet na stół i zdjął sznur z szyi uwięzionego mężczyzny. – To co z twoją propozycją?

Andrzej poruszał głową na wszystkie strony. Krew uderzyła mu do mózgu.

– Artur, kojarzysz film *Pewnego razu na Dzikim Zachodzie*? Człowiek z harmonijką chce zabić Franka i nikt w miasteczku nie wie za co. Dopiero na końcu się dowiadujemy, że chodzi o starszego brata. Ale nie to jest najfajniejsze, tylko sama egzekucja. Pamiętasz? Frank sam nie zabija, po prostu zakłada pętlę skazańcowi i stawia go na barkach młodszego brata. Ten mdleje i brat zawisa, a chłopak do końca życia jest bratobójcą. Dlatego wypuść Lucka. Niech on mnie zabije.

Kała przyglądał mu się w milczeniu.

– Jak? – spytał wreszcie.

– Lubisz rekonstrukcje. Niech mnie rozstrzela pod ścianą. Na przykład z tej zabawki. – Pokazał brodą sig sauera. – Pojedynczą kulą w czoło.

– I staniesz spokojnie pod ścianą?

– Uhm.

Na blaszanym blacie stołu stał czarny plastikowy budzik z białymi fosforyzującymi wskazówkami i przez dłuższą chwilę w pomieszczeniu słychać było jedynie tykanie.

Bał się ingerować w tę ciszę. Czekał. Skoro tamten poważnie myśli nad ofertą, to znaczy, że Lucek jeszcze żyje.

– Coś w tym jest – powiedział Kała do siebie i otarł czoło rękawem. – Mogłoby się udać.

– Uda się pod jednym warunkiem – zauważył Krzycki. – Musi to zrobić Lucek.

– Tak, tak... Jeden nabój, dziesięć sekund, w przeciwnym razie rozwalamy obu. Taa... –

Kiedy już się wydawało, że ryba połknęła haczyk, Kała dostał ataku kaszlu i przez kilka minut nie mógł nad nim zapanować. Krztusił się i charczał, a gdy w końcu odzyskał normalny oddech, jego myśli poszły zupełnie innym torem. – Taa... Nie. Pomysł ze ścianą jest dobry, ale zrobimy rekonstrukcję egzekucji zbiorowej. Rozstrzelamy was obu. Chłopaki aż się palą, żeby wypróbować te szmajsery na ludziach, a trochę bez sensu strzelać seriami do jednego faceta. Dwóch to już lepiej.

– Dlaczego to robisz, Kała? – spytał Andrzej cicho. – Przecież jego nie musisz.

– Jestem psychopatą, Andrzejku, muszę zabijać. Uczyli nas, pamiętasz?

– Psychopata ma rozdwojenie jaźni i tylko jedna połowa morduje. Druga się broni przed zbrodnią, chce żyć...

– Nie mam już drugiej połowy – odparł zimno emerytowany inspektor Artur Kała. – Ja umieram, Krzycki. Nowotwór. To może być za tydzień, miesiąc, najdalej za pół roku. Nie mam drugiej połowy. Mógłbym malowniczo stwierdzić, że granica między życiem a śmiercią jawi mi się nieszczególnie wyraziście.

To był w zasadzie koniec negocjacji. Wariat, który wie, że za chwilę umrze, bez wahania naciśnie czerwony guzik od największej bomby. Najlepiej takiej, która rozpieprzy całą Ziemię. Krzycki przełknął ślinę.

– Artur... – zaczął ostrożnie, czując, jak i po nim spływają strugi potu. Strach, kiedy się już pojawi, nie zna wątpliwości. – Lucek musi przeżyć. Zemsta jest najlepsza, gdy trwa i trwa, i płodzi kolejne dzieci. Przyjaciel na sumieniu to wielkie brzemię. Żyjąc z tym, Bałyś będzie chodzącym trupem i uosobieniem zbrodni. Sam stanie się zbrodnią. Pomyśl, kogo on będzie musiał zabić, żeby się zemścić?

Pytanie zawisło w powietrzu na dłużej. Żaden z nich nie miał pod ręką rozsądnej odpowiedzi. Pewnie dlatego Kała wstał z krzesła i podciągając spodnie, powiedział raźno:

– Myślę, że południe będzie dobrym momentem, co? Jak ci się wydaje? Tak, w samo południe, jak przystało na prawdziwego bohatera.

– Najpierw wypuść Lucka.

– W południe, pod kamiennym murem, z zawiązanymi oczami i śpiewem ptaków nad głową. Ja pierdolę! Normalnie jak żołnierz wyklęty! Kurwa, sam bym tak chciał.

– Zapraszamy. Ale na razie idź uwolnić Bałysia. Woda.

– Idę, idę. A ty się szykuj. Cynicy się nie modlą, za to możesz porozmawiać z duszami zmarłych. Na przykład z tą lalunią, co ci ją młody Rachwalski zastrzelił.

– Zamknij się, skurwysynu!

Krzycki szarpnął ramionami, co jednak odniosło jedynie taki skutek, że więzy zacisnęły się mocniej i znowu tracił oddech w piersi. Kała miał prawdziwą uciechę.

– Aa, zabolało! No cudnie! Niby taki zimny Rycho, a tu proszę, miłość silniejsza niż śmierć. Może jeszcze zdążę o tym powiadomić twoją małżonkę. To powinno jej pomóc osuszyć zapłakane policzki.

To powiedziawszy, wyszedł, zatrzaskując metalowe drzwi i ryglując je ciężką sztabą. Andrzej zamknął oczy. Ciemność zawirowała bladymi płatkami, tworząc coraz to nowe wzory. Twarze. Gesty. Usiłował przestać myśleć, ale na próżno. Władza rozumu nie dosięga uczuć, jak ziemny płaz nie dosięgnie ptaka na niebie. Ciągle miał Izę przed oczami. Kała znów utrafił.

Krzycki spróbował przerzucić myśli na Lalę i zaraz potem pojawiły się obie, na plantach nad Wisłą, spacer w wiosenne popołudnie. Lala, nie skacz na mnie, całą sukienkę mi pobrudziłaś, jak ja teraz wyglądam. Ślicznie, bosko, anioł z lekką nutką dekadencji. Głupi jesteś. Tak, całkiem zgłupiałem, a to wszystko twoja wina. Wcale nie, bo twoja. Lala, pobrudź

mu nogawki. Zostaw mnie, kundlu, a ty nie szczuj mnie moim własnym psem. Głupi jesteś. Taki głupi, łupi, upi...

Obudził go łomot odsuwanej sztaby i chrapliwy głos.

– Chodź, kapitanie, mój kapitanie. Chcesz kieliszek wódki i sztach papierosa? Nie, przecież ty nie pijesz i nie palisz. Czekaj, dam ci cukierka.

Z czoła Kały ściekały krople potu, gdy zatrzymał się w progu z muszynianką pod pachą i patrzył na niego rozbawiony. Oczy mu błyszczały, nie mógł się już doczekać.

Wyszli na ciemny korytarz i Krzycki skręcił w lewo. Tamten szarpnął go za ramię.

– Ha, chciałbyś! Nie, przyjacielu, idziemy w prawo.

Dopił wodę i rzucił pustą butelkę za siebie. Zadowolony z przebiegu wydarzeń podśpiewywał pod nosem:

Jak to na wojence ładnie,

Gdy ci z czaszki mózg wypadnie.

Poszli korytarzem w górę i Andrzej rozumiał, że właśnie zostawia Lucka za plecami.

2

Po wysłuchaniu polecenia szefa Łukasz Latawiec przysiadł na chwilę. A mógł iść na chorobowe albo zwyczajnie uciec, co było tutaj ostatnio dosyć powszechną praktyką. Jedni uciekali, inni ruszali za nimi w pogoń, i tak w kółko, bez widocznych efektów, które choćby z grubsza dały się nazwać interesem publicznym. Tak, mógł uciec i wymazać z pamięci nawiedzającą go jak demon piękną twarz. *Na, na*, *krasawczik.*

– Mamy zgłoszenie o czarnym bmw 353 widzianym pod Przestawnem krótko po północy – tłumaczył komendant Krzysztof Zdybas pewnym głosem, jakby osobiście wypatrzył wroga. – Z kamer drogowych prześledziliśmy jego trasę. Prawdopodobnie ten sam pojazd wyjechał ze

Słupska trzy kwadranse wcześniej, a ja widziałem go przy wyjeździe na Kaszubską. W następnej kamerze, przed Chudaczewem, już się nie pojawił, więc to musi być gdzieś tam. Jechali naokoło, żeby zmylić potencjalny pościg, to jeszcze jedna poszlaka.

– Nagle wszystkie kamery działają? – zdziwił się głośno Łukasz i wymownie spojrzał na Ryśka Hadczuka.

– Zamknij się, Latawiec. Weźmiesz paru ludzi i pojedziesz tam sprawdzić teren między Przestawnem a Chudaczewem. Uważajcie, to głównie lasy. Broń gotowa do strzału, maksymalna ostrożność. To nie amatorzy. Od prokuratury mamy zielone światło.

– A co z moim dowódcą? – spytał Latawiec. – Czy to nie on powinien kierować akcją?

– Mamy jeszcze jedną sprawę. – Zdybas westchnął.

Zasłonił usta rękawem, niezdarnie maskując ziewnięcie. Wszyscy przed chwilą zwlekli się z łóżek alarmem przywodzącym na myśl nalot bombowy. On sam po telefonie Smuty już nie zasnął i jego organizm na przemian popadał w euforię i apatię. Trzeba działać, natychmiast! Znowu mu się odmieniło i postanowił działać. Co jakiś czas wykrzykiwał o działaniu, zamiast po prostu robić, co do niego należało.

– Zniknął mecenas Wądlik – ciągnął z wyraźnym zniechęceniem. – Jego samochód również. Zakładamy porwanie, ponieważ za kierownicą siedziała kobieta.

– To się teraz nazywa porwanie – mruknął znowu Łukasz. – Mnie jakoś nie chcą porwać.

– Cisza! – krzyknął Zdybas. – Podowcipkujecie sobie w celi, kiedy was już zamknę za bezczelność. Zaraz będziemy wiedzieli, kto to jest, ponieważ jedna z naszych pracownic kojarzy tę twarz.

– O cholera – westchnął Hadczuk. – Tego się obawiałem.

Latawiec przyjrzał mu się z uwagą. Jego szef nie wyglądał na zaskoczonego, raczej na przygnębionego trafnym domysłem.

– Słuchaj, myślisz, że to...

– Zamknijcie się wreszcie i dajcie mi skończyć! – Zdybas komenderował jak bosman na okręcie w czasie sztormu. – Hadczuk, bierzesz trzech ludzi i jedziesz tym tropem, to znaczy pójdziesz nim, ale w sposób zmotoryzowany... A niech was wszystkich szlag trafi! Rysiek, ruszaj!

– A co z Krzyckim? – spytał spokojnie komisarz Hadczuk, nie ruszając się z miejsca. – Już nie jest podejrzany?

– Jest! To znaczy musimy go przesłuchać, bez względu na wszystko. Był na miejscu zbrodni.

– Na miejscu znalezienia głowy ofiary...

– Tak czy inaczej musi coś wiedzieć i powinien nam to już dawno powiedzieć. Jestem pewien, że lada moment się u nas pojawi. To w końcu odpowiedzialny oficer.

– Jak my wszyscy – dodał Hadczuk i odwrócił głowę, żeby nie musieć oglądać reakcji komendanta. – Czy ktoś w ogóle wie, gdzie on teraz może być?

Zapadła obciążona znaczeniami cisza, w której każdy rozważał, co ma do ukrycia w tej sprawie.

– Prawdopodobnie nie – podsumował ciszę Hadczuk. – I to z jednego zasadniczego powodu: on sam tego nie chce.

Sierżanta Latawca w niewielkim stopniu zajmowało rozważanie aktualnej lokalizacji inspektora z Krakowa. Andrzej Krzycki słynął z tego, że zawsze daje sobie radę, a inni tylko mu przeszkadzają. Łukasza pochłaniała teraz własna robota, czyli ściganie Rosjanki z baru U Zbynia. Układał w głowie plan działania, sprawdzał na tablecie mapy terenowe okolic Przestawna, a jednocześnie walczył z uciskiem w żołądku. Nieokreślona fascynacja napawała go uniesieniem i bólem jednocześnie. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie odczuwał. W dodatku był pewien, że ona go sama wezwała. Jakby z góry wiedziała, że zostanie wyznaczony do tej akcji i wkrótce spotkają się oko w oko. Chciała tego. Ba, raz nawet wydawało mu się, że widzi ją oblizującą się ze smakiem.

Nie powinien tyle grać po nocach na kompie.

– Panie inspektorze – zaczął nieśmiało, widząc, że wszyscy się podnoszą i ruszają do pracy. – Nie moglibyśmy odwrotnie? Ja bym się zajął porwaniem Wądlika, a Hadczuk tymi Rosjanami. Pan komendant ma większe doświadczenie w walce ze zorganizowaną przestępczością i...

– Nie!

– Wykonać!

Obie odpowiedzi padły niemal równocześnie. Hadczuk wbił w podwładnego stalowe oczy, które z bezwzględną stanowczością stwierdzały: „Odpieprz się od mojej roboty, bo pożałujesz!”, i wyzywająco czekał na próbę sprzeciwu. Latawiec skinął głową i odpuścił, czując się jak skazaniec. Zdybas natomiast uznał, że sprawa jest rozstrzygnięta, więc spojrzał teatralnie na wielki złoty zegarek i zamknął odprawę konkluzją rodem z Netfliksa.

– Panowie, jest dziewiąta zero zero, jednak z powodu podnoszącej się mgły widoczność ograniczona, utrudnione rozróżnianie kolorów. Weźcie to pod uwagę. Ruszamy!

Zebrawszy papiery z biurka, komisarz Ryszard Hadczuk pokiwał głową i bez słowa wyszedł z gabinetu komendanta. Latawiec odprowadził go zdziwionym wzrokiem.

– Nie wyregulowaliśmy zegarków – mruknął do siebie i wyszedł za nim. Ciekawe. Nagle porwanie Wądlika stało się priorytetem? Swoją drogą, zabawa rozwija się w najlepsze. Jedni uciekają sami i znikają bez śladu, inni są porywani i też znikają, a pozostali w kółko podejmują akcje pościgowe, szukają, zmieniają wytyczne i znowu szukają i ścigają... Zupełnie jakby grali w makabryczną planszówkę ludzkimi pionkami.

Zapiął uważnie kamizelkę kuloodporną i wcisnął za pasek kaburę z glockiem oraz zapasowym magazynkiem. Czując nieuchronność konfrontacji, skupiał się już tylko na jednym – żeby nie myśleć o tamtej twarzy. Wyjął pistolet, ulubioną dwudziestkęszóstkę w kolorze khaki, otwarł komorę nabojową, przeładował na sucho i sprawdził, czy jest zabezpieczona. Na ten kolor musiał dostać specjalne pozwolenie, policjanci powinni nosić broń czarną. Włożył zwykły magazynek z dziesięcioma

pociskami, zważył w dłoni, po czym wyjął go i wsunął przedłużony magazynek na dziewiętnaście naboi. Z długim magazynkiem miał lepszy uchwyt. Nie wiedział jeszcze, że właśnie uratował sobie życie.

Wyjechali w sześciu dwoma samochodami i przed samym Przestawnem rozdzielili się. Dowodzona przez Latawca trójka pojechała główną szosą na Chudaczewo, druga zaraz za wsią skręciła w las i sprawdzała stojące w odosobnieniu zabudowania gospodarcze. Łukasz przypomniał sobie głupie powiedzenie Benka Mrówczyńskiego o Bogu i Trójcy, kiedy przyglądał się swoim podwładnym. Robili zacięte miny, poprawiali hełmy i podciągali kominiarki pod oczy, krótko mówiąc, odgrywali profesjonalizm na całego, podczas gdy ekscytacja walczyła w nich ze strachem. Hasło „ruska mafia” pustoszyło ich pewność siebie.

Zamglony las sprawiał wrażenie wymarłego, choć panowało kalendarzowe lato. Najpierw natknęli się na czerwonego volkswagena golfa. Łukasz natychmiast go rozpoznał. Wciśnięty między dwie kępy krzaków usiłował zniknąć w leśnej gęstwinie. Był otwarty i pusty. Tylną kanapę pokrywały ciemne plamy, które Łukaszowi przywodziły na myśl bardzo niedobre skojarzenia. Położył prawą rękę na kolbie pistoletu i rozejrzał się wkoło. Brzydką szarość lasu oklejały pasma mgły, wilgoci i milczenia. Zaczynał rozumieć, co to za miejsce. Pokazał ręką swoim towarzyszom, żeby się schowali, sam przykucnął za samochodem i nacisnął guzik od bluetootha na uchu.

– Gdzie jesteście? – spytał cicho ludzi z drugiego samochodu. – Czterysta metrów za tablicą z przekreślonym Przestawnem. Strzałka w lewo na hurtownię pasz. Po trzystu metrach wjedźcie w las i zostawcie samochód. Jesteśmy sto metrów dalej, przy czerwonym volkswagenie golfie. Dziesięć minut, najwyżej. Czekam.

Rozłączył się i myślał, co ma dalej robić. Las przed nimi gęstniał i Łukasz przypuszczał, że gdzieś tam wśród wysokich drzew mogą znajdować się pomieszczenia niewidoczne ze zdjęć satelitarnych i dla przypadkowych przybyszów udające hurtownię. Domysł należało sprawdzić, więc pokazał tamtym dwóm, żeby tu poczekali na resztę, a sam

wszedł między drzewa. Wkrótce znalazł następny samochód, granatowego passata, jednego ze służbowych pojazdów komendy słupskiej, według ostatnich meldunków skradzionego przez Krzyckiego niejakiemu Dziengielowi. Pusty i otwarty, podobnie jak tamten, z zamkiem bagażnika wyłamanym za pomocą ciężkiego narzędzia. Robiło się coraz dziwniej. Wkrótce sierżant Latawiec przekonał się, że to dopiero początek.

Przeskoczył drogę i wniknął w bór. Jakieś sto metrów dalej zza gęstniejących zarośli wyłonił się betonowy mur ogrodzenia. Latawiec skręcił w prawo, zakładając, że droga prowadzi do firmy. Rzeczywiście, za rogiem zobaczył, jak ostro skręca i prowadzi prosto do wysokiej żelaznej bramy, kojarzącej się z wrotami więzienia. Jak najbardziej słusznie, jeśli to tutaj, pomyślał Łukasz. Należało spenetrować tę bramę i już miał do niej podejść, gdy zgrzytnęły łańcuchy i zza furtki wyłonił się chłopak w mundurze Wehrmachtu ze szmajserem pod pachą. Rozejrzał się teatralnie w obie strony jak ambitny statysta w filmie wojennym, zrobił dwa kroki w lewo, potem dwa kroki w prawo, cały czas mierząc z pistoletu maszynowego między drzewa, po czym zniknął z powrotem za furtką, zamykając ją z trzaskiem.

Las, ukryty bunkier, rekonstrukcje historyczne – to musiało być tutaj. W sześciu mogą nie dać rady. Włączył komunikator i poczekał na połączenie z podinspektorem Zdybasem.

– Panie komendancie, znalazłem kryjówkę Kały – zameldował krótko i podał współrzędne.

– No kurwa mać, nareszcie – powiedział komendant głośno i zaraz dodał: – Przepraszam, pani Patrycjo. Proszę mnie łączyć z... – zawahał się, a dziewczyna z palcem na interkomie czekała w napięciu – z sierżant Dominiką Rodriguez.

3

Poranna mgła zamiast opadać, przed południem zaczęła gęstnieć.

– Zimno mi – powiedziała Dominika.

– To owiń się kurtką.

– Już się owinęłam. Widzisz coś?

– Nie.

Przesunęła lornetkę w prawo, na zabudowania najbliższego domostwa. Ktoś przebiegł przez podwórko, ale nim złapała go w soczewki, zniknął za stodołą. Serce Doroty zaczęło bić szybciej. Jednak coś się dzieje, intuicja jej nie zwiodła. Znała Andrzeja. Wiedziała, że dotarł, gdzieś tu jest i pozostaje kwestią czasu, gdy inni się o tym dowiedzą. Można też być pewnym, że będzie to punkt kulminacyjny całej operacji. O tak, Krzycki uwielbiał być w centrum uwagi, bez względu na maski skromności i pokory, jakie lubił zakładać stosownie do sytuacji. A sytuacja była, oj była.

– Żeby nam tylko nie popsuł szyków – mruknęła Dorota do siebie. Przeniosła się z obserwacją na ukryte za murem i koronami drzew zabudowania hurtowni, tam jednak nadal panowała zupełna martwota. Jedyna oznaka życia kompleksu, wielka, biało-czerwona flaga, leniwie powiewała na dachu, informując dumnie, że tu pracują prawdziwi Polacy. Tak, z pewnością. A księgowość hurtowni paszy nie budzi żadnych wątpliwości.

Odłożyła lornetkę i przymierzyła się do celownika karabinu. Miał świetne dwudziestokrotne powiększenie z niezwykle jasnym obiektywem. Najlepszy nawet celownik nie przebije się jednak przez mgłę, a ta nie tylko robiła się coraz gęstsza, ale wciąż szła do góry. Na deszcz, jak kiedyś mawiała babcia Doroty. Na szczęście zaczął dmuchać wiatr i rozwiewał kłęby pary w wodnistą zawiesinę. Flaga załopotała ochoczo. Ponad murem Dorota dostrzegła kawałek placu i okna na piętrze budynku biurowego. Ten sąsiedni, pozbawiony okien, za to z wieżyczką na szczycie, wyglądał jak część wojskowej fortyfikacji. Pośrodku wieżyczki widniała czarna plama, jednak było zbyt mglisto, by sensownie zaklasyfikować to, co się tam znajdowało. Kiedy Dorota przesunęła nieco celownik poza bramę hurtowni, ze zdumieniem zobaczyła policyjną furgonetkę. Jeden z policjantów

wyskoczył i zniknął w gęstwinie, by chwilę później mignąć między drzewami w drodze ku betonowemu ogrodzeniu. Wkrótce ożyła sama hurtownia w postaci trzech żołnierzy Wehrmachtu maszerujących środkiem placu ku bramie. Jeden z nich uchylił wrota, wyszedł przed obiekt i rozejrzał się uważnie wkoło, po czym wrócił do środka. Policjant pod murem odczekał kilkanaście przepisowych sekund i ruszył ostrożnie tam, gdzie przed chwilą zniknął żołnierz.

– Kurde, jak w filmie – szepnęła z podziwem Dorota. – A ty mówisz, że my jesteśmy wariatki.

Nie zdążyła rozwinąć tego intrygującego szkicu psychologicznego, ponieważ plac hurtowni zaczął żyć intensywniej. Spod wiaty za głównym budynkiem wyszło czworo ludzi, wśród nich kobieta w obcisłym kostiumie. Zniknęli po drugiej stronie, a wtedy policjant wychynął z półmroku w pobliżu bramy i przywarł twarzą do betonowej płyty ogrodzenia. Trwał tak dłuższą chwilę, nim odskoczył z powrotem między drzewa. Nie zdołała jeszcze przetrawić tej informacji, gdy na scenę wkroczyli główni aktorzy dramatu. Środkiem placu paradowała procesja złożona z dwóch strażników na przedzie, kobietą w kombinezonie trzymającą pod ramię mężczyznę w czarnym podkoszulku, kolejnych dwóch strażników, a za nimi łysiejącego tatusia z brzuszkiem i pistoletem w opuszczonej dłoni. Pochód zamykał pokraczny garbus o wyglądzie orangutana. Mężczyzną w czarnym podkoszulku, prowadzonym przez kobietę, był Andrzej Krzycki.

– Jasne, któżby inny – powiedziała Dorota z morderczym sykiem. – Nawet w areszcie znajdzie licealistkę.

– Co się dzieje? Jest tam Lucek? Daj popatrzeć!

Dominika porwała lornetkę i przywarła do niej łapczywie.

– Jezu, to Andrzej! Dorota! Mają go!

– Widzę – odparła z lodowatym spokojem, przykładając znów oko do celownika karabinu snajperskiego. – Widzę go wszędzie, nawet gdy nie chcę.

– Co oni z nim robią?

– Prowadzą pod ścianę.

– Ale... musimy coś zrobić! Dorota!!! Rób coś!

– Robię.

Mgła na szczęście uniosła się na tyle, że widoczność była całkiem dobra, pomagał w tym rześki wiatr od morza. To on jednak omal nie doprowadził do katastrofy.

– Nie, ja tam idę! – krzyknęła nagle Dominika i nim Dorota zdołała zareagować, zerwała się na równe nogi i ruszyła ku klapie.

W tym momencie gondola drgnęła. Z wnętrza dobiegło burczenie silnika i cała głowica wiatraka, razem z dostojnie obracającymi się skrzydłami, zaczęła się kręcić w lewo. Turbina automatycznie ustawiała się frontem do kierunku wiatru. Sunęła jak wieżyczka olbrzymiej maszyny kroczącej z filmu science fiction, zgrzytając i pojękując piekielnym głosem potwora. Dominika upadła i na kolanach wróciła do przyjaciółki.

– Uspokój się i leż. Tam cię zabiją! – zawołała Dorota, przekrzykując hałas.

Usiłowała utrzymać ostrość obrazu w lunecie, sunąc lewą ręką za celem, ale nic nie dało się zrobić. Przy tym powiększeniu nawet oddech zamazuje kontury przedmiotów, a co dopiero obrót całej platformy. Gdy głowica wreszcie dotarła do nowej pozycji i się zatrzymała, widok na podwórzu hurtowni był jeszcze bardziej filmowy. Dorota potrzebowała dziesięciu sekund, by ponownie najechać karabinem na zgubiony cel, jednak zabrakło jej dziesięciu następnych, żeby dokładnie wymierzyć. W obiektywie pojawiła się postać Andrzeja z rozkrzyżowanymi rękami, które przytrzymywali dwaj muskularni faceci. Przed nim stał pan z brzuszkiem i celował mu w czoło ze srebrnego pistoletu.

Dorota wypuściła powietrze, policzyła do trzech i pociągnęła za spust.

Komisarzowi Ryszardowi Hadczukowi nie był potrzebny wynik z programu do rozpoznawania twarzy, zeznania świadków i tym podobne poszlakowe wskazówki, które doprowadziłyby go do siedziby porywaczy. Klocki powskakiwały na swoje miejsce w momencie, kiedy na zamazanym zdjęciu za kierownicą uprowadzonego lexusa mecenasa Wądlika zobaczył gładko zaczesaną blondynę. Pamiętał jej załzawione oczy. Zebrał dane adresowe z wewnętrznej bazy wydziału, wsadził trzech ludzi do samochodu, sam usiadł za kierownicą i ruszył na Przestawno, w ślad za ekipą Łukasza Latawca. Technik Kamil Grzywa obiecał mu wkrótce podać lokalizację porwanego samochodu. Lexus miał wbudowany GPS.

– Panie komisarzu, nie powinniśmy się jakoś poważniej zabezpieczyć? – odezwał się jeden z policjantów, ubrany w granatową bluzę i czapkę z daszkiem.

– Wiem, co robię – odburknął komisarz.

– Oni, zdaje się, gdzieś na wschód pojechali – wtrącił drugi. – Na Gdańsk.

– To nie ta ruska mafia, co porwała krakowiaka? – spytał trzeci.

– Jak mafia, to jesteśmy w dupie – kontynuował ten pierwszy. – Wybiją nas jak kaczki.

– Polegniemy bohatersko w walce o prawo i sprawiedliwość, a rodziny dostaną wysokie odszkodowanie – ucieszył się trzeci. – Same plusy.

– No, będziesz miał rodzinę pięćset plus – zakpił drugi. – A jaki piękny pomnik ci postawią na cmentarzu! Z orłem w koronie.

– Orłem plus – poprawił trzeci i wszyscy zarechotali.

– Moglibyście się zamknąć? – warknął Hadczuk, który usiłował zebrać myśli, by przygotować się do tego, co go czeka. – Skupcie się na robocie.

– Czyli na czym?

Nikt nie podjął wątku i w samochodzie na resztę drogi zapadła cisza.

W pierwszym domu nikogo nie zastali. W drugim rodzice powiedzieli, że córka musiała wyjechać do chorej babci do Bytowa. Kiedy w trzecim Hadczuk usłyszał od niskiego, chudego mężczyzny, że żona pojechała

w odwiedziny do siostry, nabrał pewności. Pozostawało tylko odnalezienie miejsca, zanim zrobią coś głupiego. Wybrał numer Grzywy.

– I co, masz te współrzędne?

Po chwili wklepał do nawigacji dwa rzędy cyferek poprzedzielanych kropkami. Dwanaście kilometrów na północny wschód, niedaleko osady Zalesin, w środku nadmorskich lasów. Dojechali w piętnaście minut, mgliste światło jeszcze na dobre nie rozjaśniło lasu. Trochę błądzili, nim znaleźli samochód mecenasa Wądlika, porzucony na niewielkiej polance w miejscu, gdzie miękka ziemia była zryta również kołami drugiego pojazdu. Bez żadnego specjalistycznego sprzętu dało się rozpoznać rysunek bieżnika. Wokół zamkniętego lexusa chaotycznie mnożyły się odciski sportowych butów w rozmiarach między trzydzieści sześć a trzydzieści dziewięć, w tym wiele wyraźnych i łatwych do zidentyfikowania nawet dla adeptów skautingu.

– Profesjonalna robótka, nie ma co – skwitował jeden z policjantów, ten w granatowej bluzie i czapce. – Trzeba wezwać techników, a najpierw zrobić zdjęcia...

Wyjął komórkę, ale Hadczuk złapał go za rękę.

– Nie ma czasu na techniczne pierdoły – powiedział ostro. – Tym można zająć się później. Przede wszystkim musimy uwolnić ofiarę. Jedziemy dalej.

– Dokąd? – spytał zdziwiony policjant, chowając telefon.

– To musi być gdzieś tu, w tym lesie.

Komisarz włączył mapę satelitarną i studiował krok po kroku Zaleskie Bagna, wpisane niedawno do rejestru ochrony przyrody jako rezerwat torfowiskowy. Około trzech kilometrów dalej, nad płytkim i błotnistym rozlewiskiem dostrzegł burobrązowy dach budynku.

– O, na przykład tutaj.

Pokazał palcem punkt na mapie, a siedzący obok policjant zrobił mądrą minę i pokiwał głową, że się absolutnie zgadza. Na potwierdzenie

domniemywań komisarza ślady drugiego samochodu ewidentnie skręcały w lewo. Ruszyli za nimi, trzęsąc się na wybojach szerokiego leśnego traktu.

– Jak pan myśli, kto to jest? – spytał siedzący obok Hadczuka. – Jakiś wariat, nie?

– Nie wiem jeszcze. – Dowódca pokręcił głową. – W każdym razie musimy być ostrożni. Najpierw ja wchodzę od frontu, a wy zabezpieczacie otoczenie budynku. Wchodzicie dopiero na mój sygnał, jasne?

– To niebezpieczne – zaoponował nieśmiało jeden z siedzących z tyłu. – Pan komisarz nie powinien...

– Właśnie dlatego powinienem, że to niebezpieczne – odparł. – Pod żadnym pozorem nie strzelać, zrozumiano? Chyba że mnie ktoś zastrzeli, wtedy możecie.

– Ale...

– Koniec dyskusji.

Zapadła cisza i każdy z nich zajął się na swój sposób przetrawianiem tego, co usłyszał. Dowódca najwyraźniej miał swój plan i się go trzymał bez względu na wymogi regulaminu. W ciągu ostatniego miesiąca dużo się mówiło w jednostce o przestrzeganiu go, więcej niż przez poprzednie pięć lat. Tylko po co? Kołysali się w rytm podskakującej furgonetki i patrzyli w mglistą, wypełnioną brudnymi kałużami drogę przed nimi. Mgła i błoto również zdawały się mieć jakiś związek z regulaminem, choć trudno uchwytny dla wytrzęsionych na wybojach policyjnych głów.

Dwieście metrów przed celem Hadczuk zatrzymał samochód, każdemu z trzech policjantów pokazał złączonymi palcami, gdzie mają zająć stanowiska, a sam ruszył ścieżką na wprost, z ręką opartą na biodrze tuż przy kolbie pistoletu.

5

Zbyszek Dziengiel wszedł na teren hurtowni niedługo po Krzyckim. Po przeskoczeniu płotu zaszył się w najciemniejszym kącie pod wiatą i czekał

na rozwój wydarzeń. Robił krótkie, kilkumetrowe wypady, by sprawdzić najbliższe otoczenie, i snuł plany jednoosobowego ataku na tutejszy garnizon. Posterunkowy nie miał wygórowanych oczekiwań od losu, jak każdy z nas dopieszczał jednakże w głębi duszy kilka małych, intymnych marzeń. Jednym z nich było odegranie sceny z filmu *Komando*, kiedy Schwarzenegger idzie przez wielki plac pod rezydencją swego śmiertelnego wroga i strzela wkoło ze wszystkiego, co mu wpadnie w ręce, sam potężny i nieśmiertelny. Życie to nie film, jasne, ale kto by nie chciał choć raz w życiu znaleźć się w ulubionym filmie?

Pomacał się po kieszeniach bojówek. Za nic nie mógłby sobie odmówić dużego bum, skoro już trafia się taka okazja. W wieżyczce nad głównym budynkiem dostrzegł jakiś ruch. Wartownik. Czyżby miało być aż tak pięknie? Bum i wylatujemy przez okno? Doprawdy, nadmiar szczęścia dla zwykłego posterunkowego, który w ciągu ostatniej doby tyle razy złamał regulamin służby, że nie musiał się już specjalnie niczym przejmować. Bum i już.

Odkryte ramiona i twarz popaćkał błotem, bardziej dla bojowej estetyki niż prawdziwego maskowania, za pas zatknął dwa glocki z długimi magazynkami, w jednej ręce miał shotguna, w drugiej mały granat. Żałował, że nie może sobie teraz zrobić zdjęcia.

Wdarcie się do budynku dawnego bunkra z długimi wąskimi korytarzami od razu odrzucił. Łatwo by go tam unieruchomili i obezwładnili, więc Dziengiel postanowił poczekać na wydarzenia na zewnątrz. Poczekać, aż będzie mógł pójść przez plac i strzelać na wszystkie strony, a tamci będą padać. Od czasu do czasu rzuci granat i bum. Tylko że w zasięgu wzroku nie było nikogo, żadnego celu.

Kiedy cele wreszcie nadeszły, aż się zdziwił, jak podobne są do fantazmatów z jego snu. Najpierw z piwnicznej ciemnicy wychynęło dwóch napakowanych zbirów, a pistolety w ich łapskach przypominały odpustowe zabawki. Za nimi pojawił się inspektor Krzycki w asyście kobiety w obcisłym kombinezonie. Trzymała go pod pachę jak brokatowa maniura świeżo poderwanego biznesmena. Szedł spokojnie i dobrowolnie, choć

ukryta pod jego ramieniem dłoń kobiety wyglądała na uzbrojoną. Za nimi kroczył... inspektor Artur Kała. Towarzyszyło mu dwóch kolejnych strażników – jeden wyglądał na weterana zielonych ludzików z Krymu, drugi na hitlerowskiego żołnierza. Niemiec i Rusek, kurwa, jak pięknie! Za nimi szedł zgarbiony człowieczek z wiadrem w ręku i uśmiechem na czymś, co tylko z grubsza przypominało ludzką twarz. Później jeszcze z małej stróżówki po lewej wyszło dwóch innych żołnierzy i stanęło pod ścianą.

Dziengiel do tego momentu mniej więcej pojmował sytuację. Kiedy jednak kobieta podprowadziła Krzyckiego pod betonową ścianę ogrodzenia, a dwóch osiłków złapało go za ręce, logika zdarzeń zaczęła mu się wymykać. Przede wszystkim nie rozumiał pasywnej postawy inspektora, który sprawiał wrażenie kompletnie biernego i dał się prowadzić jak baran na rzeź. Jego okrzyk, niosący się po placu jak wrzask pomorskich żurawi o świcie, coś tam rozjaśnił w głowie Dziengiela, tyle że wtedy skończył się już czas na myślenie.

– Gdzie jest Lucek?! Kanalio!

Śmiech Kały.

– Zawarliśmy umowę! Puść go!

Artur Kała śmiał się zadowolony z siebie, a posterunkowy Zbigniew Dziengiel odbezpieczył swojego ulubionego glocka 19 i mocno ujął w obie dłonie. Stąd głowa jednego z dwóch facetów trzymających Krzyckiego wydawała się wielka jak arbuz. Policjant stanął w lekkim rozkroku, wymierzył w skroń tamtego i zaczął ściągać spust. Podniecenie unosiło go pięć centymetrów nad ziemię.

Nie strzelił. W tej samej sekundzie z lewej strony pojawił się srebrny pistolet Kały, wymierzony prosto w czoło Krzyckiego. Ten szarpnął się, pogłos śmiechu poszedł po placu, a Zbyszek Dziengiel przesunął nieco lufę, najechał na cel i dopiero wtedy pociągnął za spust. Zadziałał odruch służbisty i nie odważył się strzelić w głowę byłego dowódcy. Strzelił w srebrny pistolet.

Efekt przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Elegancka broń Kały wywinęła w powietrzu kozła, podkręcona wrzaskiem rannego człowieka. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, ponieważ strzał zdawał się mieć dalsze, całkiem niespodziewane konsekwencje. Skroń żołnierza, w którą przed chwilą mierzył, eksplodowała z mięsistym chlupnięciem i w zasadzie znikła, zostawiając na betonowej ścianie spory rozbryzg. Równocześnie dwa metry dalej eksplodowała sama betonowa ściana, pryskając odłamkami prosto w czaszkę drugiego z osiłków i ten wrzasnął, zupełnie jakby przedrzeźniał Kałę. Pozostali uczestnicy spektaklu rozbiegli się po kątach, uciekając z planu filmowego snu Dziengiela. Niektórzy z nich już go namierzyli. Wyszarpnął zza paska drugiego glocka i strzelając z obu naraz, wkroczył na plac. Cudowne uderzenie adrenaliny szumiało w nim jak metry celuloidowej taśmy, przesuwającej się przez kinowy projektor. Nie szedł – płynął.

Byłby głupiec zginął w następnej minucie, gdyby nie sekwencja wydarzeń, która, jak nieskromnie mniemał, została wywołana jego złotym strzałem w srebrne cacko Artura Kały. Osiłek o twarzy poranionej betonowymi okruchami oraz jeden z niemieckich przebierańców rzucili się pod bramę, a ta zwaliła się na nich z piekielnym łoskotem, pierwszego definitywnie grzebiąc, drugiego odrzucając na kilka metrów. Granatowa furgonetka z zakratowanymi szybami wpadła na plac i przejechawszy go, zatrzymała się na ścianie magazynu po przeciwnej stronie. Przez rozbitą bramę wbiegło trzech policjantów, jednak po silnym ostrzale natychmiast się wycofali. Dwóch wyskoczyło z furgonetki, jeden zaraz upadł, drugi zdążył wbiec w najbliższe drzwi od wielkiego magazynu, skąd już nie wyszedł.

Interwencja policji nie sprawiała wrażenia decydującej ani tym bardziej gruntownie przemyślanej. Spowodowała jednak odwrócenie uwagi obrońców od samego Dziengiela, który z zadziwiającą łatwością przeszedł cały plac, strzelając z obu pistoletów, a kiedy skończyła mu się amunicja, wygarniał na prawo i lewo z shotguna. Gdy nad jego głową rozległ się kolejny głuchy strzał karabinu, wyjął z kieszeni granat i najzwyczajniej

w świecie wrzucił go do zaciemnionej wieżyczki. Macie, gołąbki. Huknęło i ucichło, a w następnej sekundzie kanonada się wzmogła.

Dobiegł do końca placu i wskoczył do wnętrza jednego z leżących tu betonowych kręgów, z jakich buduje się studnie. Ukryty, poczekał, aż strzelanina ucichnie, załadował pełne magazynki i wychynął. Cisza napięta jak sprężyna zawleczki. Wszyscy zniknęli, łącznie z Krzyckim i wrzeszczącym Kałą. Kolejny punkt planu to wejście do bunkra z uwięzionym krakusikiem. Tylko gdzie go szukać?

– Kurwa, co teraz? – mruknął do siebie.

Z sąsiedniego kręgu wysunął się czarny policyjny hełm z kominiarką.

– Zbyszek?

– Marcin?

– No. Co ty tu robisz?

– Kręcę film wojenny. A ty?

– Chyba też. Nie jestem pewien. Latawiec pisał scenariusz.

– Słuchaj, muszę znaleźć wejście do bunkra. Osłaniaj mnie.

– Czy aby nie powinieneś najpierw podjąć próby zrozumienia, co tu się w zasadzie odpierdala?

– Próbowałem – wyznał Dziengiel. – Nic z tego. Tu każdy myśli jakby w innych, wiesz, korelacjach. Jakoś tak.

– Aha, w korelacjach – powtórzył Marcin.

– To co, osłonisz mnie? Muszę wejść do tego bunkra.

– Dobra. Domyślam się, że wymaga tego od ciebie twoja korelacja.

– Coś w tym sensie – zakończył Dziengiel, zrobił kółko z kciuka i palca wskazującego i wyskoczył z kamiennego kręgu.

Dobiegł do najbliższych drzwi i nie zwalniając kroku, nacisnął klamkę i pchnął, zatrzymując się dwa metry dalej. Ze środka padł pojedynczy strzał. Kula zajęczała rykoszetem i uderzyła w mur ogrodzenia. W odpowiedzi padły dwa strzały zza powalonej bramy i drzwi z powrotem się zamknęły. Oparty plecami o ścianę, z glockiem przy piersi

posterunkowy Dziengiel pomyślał, że to też jest fajna scena. Podniósł dłoń i podziękował kolegom. Sześciu minus dwóch to zostało czterech, chyba że jeszcze ktoś dostał. Ilu jest tamtych? Ci dwaj, którzy trzymali Krzyckiego, odpadli, podobnie jak dwóch przebierańców, strzelec z wieży. Z rozwaloną prawicą Kała mógł teraz co najwyżej podrapać się lewicą po dupie. Dziewczyna plus wielkolud jego rozmiarów, dalej garbus i co najmniej jeden przebieraniec, ten z podwiniętymi rękawami. Wszyscy? Nie, zostało jeszcze dwóch z tyłu, ze szmajserami. Gdzie oni są?

Nie zdążył się doliczyć, ponieważ z wieżyczki znowu huknął strzał z karabinu. Dziengiel uskoczył i wymierzył w ciemne okienko na górze, jednak nikogo już w nim nie było. Strzał poszedł gdzieś w drugą stronę, na pola. To stamtąd nadleciały pierwsze pociski. Czyżby siły specjalne miały tam swoich snajperów? Ale w takim razie gdzie jest reszta formacji? Bo przecież trudno za taką uznać sześciu chłopaków ze słupskiej komendy. I dlaczego facet z wieżyczki dalej strzela? Nie działają na niego granaty czy co?

Gdyby poczekał pół minuty, miałby część odpowiedzi i czas, by na nią zareagować. On jednak wolał pobiec dalej, bo jego marzenie spełniało się co do joty. Dopadł wrót zamykających wejście do głównego magazynu, na szczycie którego mieściła się feralna wieżyczka. Wewnątrz zawarczał silnik i Dziengiel odruchowo rzucił się szczupakiem w lewo. Wrota otwarły się z hukiem i na plac wyjechał wielki czarny pick-up gmc, z podwójnymi kołami na tylnej osi i załadowanym na pakę niewielkim quadem. Za kierownicą siedział wielkolud, a obok niego blondyna w kombinezonie. Przez otwarte okno wymierzyła do Dziengiela i dwukrotnie strzeliła, ale chybiła. Samochód właśnie wykonał ostry skręt, potem jeszcze jeden i gdy znalazł się na wprost bramy, ryknął z obu rur i pomknął przed siebie. Tuż za nim ruszyła policyjna furgonetka. Z piskiem opon nawróciła na wstecznym i wyskoczyła do lasu za pick-upem. Za kierownicą siedział sierżant z kryminalnego, Dziengiel nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska. Facet chyba też ma dzisiaj swój wielki dzień, pomyślał, otrzepując spodnie.

Ktoś rzęził pod ścianą. Policjant. Trzymał się obiema rękami za pierś.

– Żyjesz? – rzucił Zbyszek.

– Mam... kamizelkę... – wystękał tamten i skrzywił się z uśmiechem zombie.

Uznał, że chłopak sobie poradzi, po czym wbiegł po wąskich schodkach na wieżę, gdzie znalazł porzucony karabin snajperski i powykręcane ciało dobrze zbudowanego mężczyzny w niemieckim mundurze. Granat jednak zrobił swoje. Człowiek miał dziarę w kąciku oka, znaczy się recydywa. W kałuży krwi widniał odcisk damskiego mokasyna. Czyli przed chwilą strzelała blondyna. Do kogo?

Wrócił na plac i z obydwoma pistoletami gotowymi do strzału wparował w wąskie drzwi prowadzące do budyneczku przypominającego stróżówkę. Stamtąd inne, jeszcze węższe drzwi wiodły do długiego korytarza, słabo oświetlonego żarówkami w drucianych osłonach. Podłoga lekko opadała. Korytarz ciągnął się zakosami coraz głębiej i głębiej, jakby prowadził do samego piekła. Dziengiela zalała nowa fala radości. To musi być tu! Kryjówka diabła i więzienie dusz niewinnych. Cieszcie się i radujcie, nadchodzi koniec cierpień waszych! Będę szybszy od Krzyckiego!

Jeszcze jeden zakręt i Dziengiel znieruchomiał. Na końcu korytarza stał Artur Kała. Prawa dłoń, niezdarnie owinięta kawałkiem materiału, ociekała krwią. Lewa trzęsła się, usiłując trafić kluczem do zamka w szarych metalowych drzwiach. Widok mężczyzny nadbiegającego z dwoma pistoletami nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. Szarpał klamką i drapał kluczem blachę wokół dziurki, mamrocząc pod nosem.

– Niech pan to zostawi i się odsunie. I ręce przed sobą – rzucił posterunkowy.

– Spierdalaj.

Kała nawet na niego nie spojrzał. Był mokry od potu. Albo od wody.

– Powiedziałem: zostaw to.

Nie doczekał się reakcji, więc zatknął pistolety za pas i podszedł do rozgorączkowanego mężczyzny. Obrócił go jak nauczyciel upartego ucznia, wziął za ramiona i pchnął. A że rozpierała go duma i radość spełnionego

marzenia, siła pchnięcia okazała się spora. Kała poleciał dwa metry w powietrzu, zanim wylądował na betonowej podłodze i poturlał się. Musiał przy tym urazić się w przestrzeloną dłoń, bo po korytarzu poniósł się przeciągły kojoci skowyt.

– Zabiję cię, gnoju! – jęczał, ale Dziengiel nie słuchał. Już miał biec dalej, gdy zobaczył wyłaniającego się zza zakrętu garbusa. Zawahał się. Powinien go obezwładnić, ale ranny Kała potrzebował pomocy, więc zamiast tego machnął pistoletami i pobiegł w dół, do następnej sceny swego snu. Jednej z ostatnich.

Na końcu korytarza znajdowały się strome schody, po samą górę zalane wodą. W słabym świetle umocowanej na suficie lampy dostrzegł u ich stóp uchylone drzwi, przez które z zalanego pomieszczenia sączyła się szara poświata. To musiało być tu. Jeśli więziono go w tym pokoju, dawno już przestał oddychać.

Zrzucił adidasy, jednym ruchem zdjął bojówki, zwinął je w kłębek i ułożył u szczytu schodów. Nabrał powietrza i zanurkował. Woda była nawet ciepła, przyjemna i przemknęło mu przez głowę, że ten krakus miał lekką śmierć. Kilkoma pociągnięciami ramion przepłynął przez drzwi i ujrzał na wprost źródło szarego światła – okrągłe okienko wychodzące na dno jeziora i otwarte na oścież. W zmąconej wodzie leniwie krążyły drobinki dennego osadu, niczym pamiątka po dawno przebrzmiałych dziejach. Obrócił się w prawo i w lewo, ale nic więcej nie zauważył. Żadnego ciała. Na ścianie po lewej zwisał kawałek łańcucha, nad nim, na powierzchni kołysała się pusta plastikowa butelka po muszyniance. Przestrzeń między sufitem a wodą, nie więcej niż dziesięć centymetrów, zawierała powietrze.

Chciał bliżej spenetrować to miejsce i wynurzył się, by odetchnąć. Nic z tego. Powietrzna bańka pod sufitem prawie nie miała tlenu. Przytkało go, więc machnął potężnymi ramionami ku drzwiom, odepchnął się od framugi i popłynął w górę. Właściwie pełzł po stopniach na kolanach i łokciach, jak pierwszy płaz opuszczający wody praoceanu. Dotrzeć do powierzchni i odetchnąć.

To był jego dzień, nieśmiertelny Zbyszek Dziengiel sporo myślał i myślał dobrze. Trochę mu się myślenie mieszało z marzeniami, ale komu z nas się to nie zdarza? Zakładał, że gdy się wynurzy, zobaczy Kałę opatrywanego przez garbusa. Może nawet garbus poda mu rękę i pomoże wstać, a potem wyprowadzi na zewnątrz, wprost w objęcia służb specjalnych. Z pewnością dotarły już na miejsce. On wyjdzie ostatni i uniesie prawe ramię w geście pozdrowienia i zwycięstwa, z tym charakterystycznym, ledwie sugerowanym uśmiechem, typowym dla bohaterów końcowych scen. Chyba że się uparli z tym kluczem do zamka...

Istotnie. Wynurzył się i zobaczył, jak garbus wkłada klucz do zamka, przekręca i pokazuje ręką, że oto proszę, dało się, tak łatwo. Kała odpycha go i pociąga za klamkę. Rozlega się ciche pyknięcie i Zbyszek Dziengiel czuje potężny, wspaniały, niebiański skurcz serca, które nagle przestaje bić.

6

Rezerwat przyrody Zaleskie Bagna wypełniała martwota. Brnąc przez zgniłe torfowe powietrze, komisarz Ryszard Hadczuk miał wrażenie, że znalazł się w środku ponurego obrazu, namalowanego przez jakiegoś dekadenta tuż przed kolejną próbą samobójczą. Szedł powoli i ostrożnie, bojąc się nie tyle o siebie, ile o drużynę porywaczek.

Pod wielką drewnianą szopą, zimą zapewne służącą leśnikom za składowisko zwierzęcej karmy, stał zaparkowany szary nissan x-trail z przyciemnianymi szybami. Za kierownicą siedziała kobieta w średnim wieku. Drzemała w pozycji „na popielniczkę”, z odchyloną do tyłu głową i otwartymi ustami, które poruszały się w rytm zwolnionego, spokojnego oddechu. Dłonie skrzyżowała na podołku, w prawej spoczywał pistolet-wiatrówka firmy Umarex, jednej z najtańszych na rynku. Widział kiedyś takie na przecenie po dziewięćdziesiąt dziewięć złotych za sztukę. Kiedy podchodząc, przesłonił ciałem szybę od strony kierowcy, sekretarka wójta Kuleszy, pani Nic Nie Powiemy, ocknęła się i szeroko otwarła powieki. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, szarpnął klamkę i włożył obie ręce do

środka, jedną przytykając rozdziawione w zdumieniu usta, drugą chwytając pistolet. Wyprężyła się konwulsyjnie, ale po trzech sekundach siły ją opuściły.

– Ile ich jest? – spytał cicho. – Wszystkie cztery?

Mrugnęła, że tak.

– Wądlik?

Mrugnięcie.

– Czy któraś jest uzbrojona?

Nic. Patrzyła na niego przerażonymi oczami.

– Mają broń palną?

Szarpnięcie. Nie mają. Spytał po kolei o inne wiatrówki, paralizatory, maczety i dopiero przy nożach doczekał się twierdzącej odpowiedzi. Dwa. Wiatrówka i dwa noże na pięć porywaczek. Nieźle. Gdyby napisał z tego szczegółowy raport, cała jednostka ryczałaby ze śmiechu. Kto wie, może nawet dziewczyny wylądowałyby w najnowszym bestsellerze szczytnowskiego wydawnictwa policyjnego *Dziwna setka. 100 najzabawniejszych przestępstw kryminalnych*.

Wyjął jej wiatrówkę z rąk i włożył do kieszeni jak niedojedzonego precla.

– A teraz powoli panią puszczę i zachowujemy spokój, zgoda? Ani piśnięcia.

Energicznie pokiwała głową.

Gdy tylko odjął dłoń, zapiała ochryple:

– Uciekaaać! Policjaaa!!!

Szybko zatkał krzyczące usta.

– Niech pani tego nie robi – powiedział najspokojniej, jak umiał. Gdyby tu był Latawiec, wiedziałby, co się w takich wypadkach mówi. – Dla waszego dobra. Na razie jestem sam i możemy załatwić sprawę we własnym gronie. Jeśli pani krzyknie znowu, zleci się tu cały oddział, który otoczył tę budę.

W jej oczach, choć próbowały jeszcze błysnąć hardym oporem, czaił się dziki strach.

– Jeśli was zgarną, pójdziecie siedzieć. Jestem waszą jedyną nadzieją. Czy to jasne?

Chyba zrozumiała, bo drugie skinienie było dłuższe i po namyśle. Poddała się, widział to. Brawo, Hadczuk, wielki negocjatorze. Powoli zwolnił uścisk. Nie krzyknęła.

– Proszę mnie uważnie posłuchać. Następne pięć minut zdecyduje o waszej przyszłości. Mówię poważnie i powtórki nie będzie. Pójdziemy tam teraz oboje, pani przodem, a kiedy już znajdziemy się w środku, powie im pani spokojnym i opanowanym głosem, że przyszedł ktoś, kto chce wam pomóc. Bo w tej chwili one tam siedzą i kombinują rozpaczliwie, co dalej, prawda? Dobrze mówię?

– Tak – westchnęła ciężko. – Ale panie poruczniku...

– Ciii. – Położył palec na ustach. – Idziemy.

Kobieta zmęczonym krokiem ruszyła w stronę wejścia, a on uniósł obie ręce i pomachał jak czapla skrzydłami. Jego podwładni mieli to odczytać jako „pozostańcie na pozycjach”. Miał gorącą nadzieję, że tak zrobią, o ile pani Nic Nie Powiemy znowu nie zabawi się w kapitolińską gęś.

W szopie było mrocznawo, wnętrze oświetlała mała latarka turystyczna i potrzebował chwili, zanim zlokalizował wszystkie cztery. Dwie leżały na stercie siana, przykryte kurtkami. Trzecia, wysoka i podobna do Kopernika brunetka, jadła jabłko, odkrawając kawałki długim kuchennym nożem do mięsa. Ostatnia z nich, blondynka o zaczerwienionych oczach, siedziała na pieńku przed przywiązanym do belki mecenasem Wądlikiem i ostrym nożem myśliwskim do zdejmowania skóry z upolowanych zwierząt wycinała wzory na kijku. Pan mecenas zwisał bezwładnie, a jego obnażony, blady, zapadnięty tors świecił w półmroku.

– Dziewczyny, koniec zabawy – oświadczyła sekretarka donośnie. Wszystkie cztery poderwały się na ich widok, oba noże skierowały się w stronę Hadczuka.

– Ty go tu ściągnęłaś? – spytała złowrogo panna Czerwone Oczy. – Speniałaś, co?

– Zaskoczył mnie.

– Albo ty nas – zawarczała tamta. Była z nich najmłodsza i najbardziej zdesperowana. – Wiedziałam, że to ty jesteś słabym ogniwem.

– Dawajcie pana porucznika na drugą belkę! – zakrzyknęła bojowo pani Kopernik. – Należy mu się za wzorowe pełnienie obowiązków.

– Słusznie! – zakrzyknęła jedna z tych na sianie. – Należy mu się. Takie z nich psy, że byle kundel lepszy.

Nagle wszystkie cztery ruszyły ku niemu z bardzo poważnymi zamiarami. Sekretarka jako jedyna została na miejscu. Zaskoczony, pozwolił im podejść na trzy metry i dopiero wtedy wyjął broń. Przeładował, bo to zawsze robi wrażenie.

– Czyście kompletnie zwariowały? – powiedział, celując w strop, żeby ich nadmiernie nie straszyć. – Myślicie, drogie panie, że przyjechałem tu sam? Na rowerze, w drodze na plażę? Budynek jest otoczony i mamy jakieś – ostentacyjnie spojrzał na zegarek – sześć minut, żeby załatwić sprawę. Po tym czasie wpadnie tu oddział specjalny i wygarnie was jak pisklęta z gniazda. Jeśli mogę coś radzić, siądźcie i posłuchajcie.

– No nareszcie! – syknął Wądlik, który się nagle ocknął. – Odwiąż mnie, baranie, i zwiń te babory, póki są wszystkie w kupie. Zaraz ci uciekną. To jakieś wyjątkowo wredne klempy i sam bym się dobrał do tych obwisłych tyłków, gdyby nie...

– Zamknij się! – Hadczuk stanął tuż przed mecenasem i zmierzył go lodowatym wzrokiem. – Jeszcze słowo, a nie ręczę za siebie.

– Wal się, gliniarzu! Odszczekasz to na kolan...

Chciał go tylko spoliczkować, dla przywołania do porządku, jednak wyszedł mu całkiem mocny cios. Z nosa Wądlika pociekła krew.

– Tobie też radziłbym posłuchać – powiedział cicho komisarz wprost w wykrzywioną twarz pana mecenasa. – Te pięć minut decyduje i o tobie.

– Właśnie! – zebrała się na odwagę pani Kopernik. – On się przyznał!

– Możemy zaświadczyć, wszystkie cztery – włączyła się panna Czerwone Oczy. – Przyznał się, że zlecił morderstwo wójta! Słyszałyśmy.

– Tak, poświadczymy! – dorzuciły panie ze sterty siana. – Pod przysięgą!

– To kłamstwo – bronił się mężczyzna. – Wymuszone torturami. Żaden sąd wam tego nie uzna. A ty, glino, bekniesz za pobicie skrępowanej ofiary.

– A ty bekniesz wreszcie za swoje łajdactwa! – odpaliła jedna z pań.

– Skończmy z nim, tu i teraz! – dodała sekretarka. Najwyraźniej wigor tamtych dodał i jej animuszu. – Panie poruczniku, niech pan wyjdzie na te swoje pięć minut, a my załatwimy sprawę. Po cichu. Uciekniemy tylnym wyjściem, a pan powstrzyma pościg.

– Co tu się dzieje? – krzyknął całkiem przytomnie Wądlik. – Ja to słyszę naprawdę czy mi się śni? Nie, nie, to niemożliwe...

– Niemożliwa to jest twoja klata, zdechlaku! – palnęła panna Czerwone Oczy, celując w niego nożem. – Co za ciota, normalnie...

– Spokój! – krzyknął Hadczuk, chcąc przerwać awanturę, zanim ta całkiem wymknie mu się spod kontroli. – Bo zaraz ja beknę, za wielokrotne morderstwo. Oddajcie mi te noże.

Obie uzbrojone panie uniosły swoje narzędzia zemsty do góry, by dać do zrozumienia, że nie mają zamiaru pozwolić się tak łatwo rozbroić. Chwilowo musiał odpuścić. Cała szóstka patrzyła na niego wyczekująco, jakby tylko on wiedział, co dalej robić.

– Niestety ma rację – powiedział do kobiet, pokazując Wądlika. – Wymuszone zeznanie nie będzie brane pod uwagę. Prawnik kuty na cztery nogi, przed sądem wszystkiego się wyprze, a wy pójdziecie siedzieć za porwanie i znęcanie się nad nim.

– Tak jest! – zawołał radośnie mecenas, nie bacząc na krew ściekającą z nosa. – Odwiąż mnie wreszcie, dupku! Chcę stąd wyjść i widzieć, jak je pakują do aresztu.

Hadczuk wzruszył ramionami.

– Jak pan chce, panie mecenasie. Może pan nawet wyjść przed szopę i wołać głośno sprawiedliwości. Tam jest oddział policji, który ma zwinąć

każdego, kto stąd wyjdzie, taki wydałem rozkaz. Pańskie przyznanie się do winy zostało wymuszone przez panie, ale można je potwierdzić za pomocą innych dowodów. Właśnie w tej chwili drugi oddział pod dowództwem sierżanta Latawca zamyka obławę na parę Rosjan podejrzanych o morderstwo Rajmunda Kuleszy i z pewnością skłonnych do wskazania palcem zleceniodawców w zamian za złagodzenie kary. Jeśli czuje się pan całkowicie niewinny i uważa, że nie ma z tą sprawą absolutnie nic wspólnego, proszę, może pan iść. Droga wolna.

Stanowczym ruchem odebrał nóż pannie Czerwone Oczy i przeciął więzy. Wądlik upadł na kolana, potarł nerwowo zsiniałe ramiona, po czym poderwał się na nogi, zrobił trzy kroki biegiem ku drzwiom i nagle się zatrzymał.

– Gdzie moja koszula? – warknął groźnie, wodząc wzrokiem po twarzach kobiet.

– Podarłyśmy na papier toaletowy – odparła pani Kopernik i wyszczerzyła końskie zęby, co w sąsiedztwie uniesionego kuchennego noża prezentowało się szczególnie malowniczo. Mecenas zacharczał, jakby mu gul zatkał gardło. Odchrząknął i powiódł wzrokiem po zebranych.

– Co pan proponuje? – spytał z fachową, kancelaryjną intonacją. Zaproszenie do negocjacji ze strony mecenasa oznaczało dla Hadczuka dwie ważne rzeczy. Po pierwsze, że ma przed sobą winowajcę, a po drugie, że pojawia się szansa na optymalne rozwiązanie. Pokazał mu wolny pieniek obok lampy, a kiedy tamten usiadł, stanął pośrodku zgromadzonych i zaczął wykładać swój pomysł.

– Widzę to tak. Panie chciały wejść w spór zbiorowy z gminą o jakiś ważny problem socjalny, nie wiem, podwyżki albo długoterminowe umowy o pracę. Śmierć wójta przyspieszyła bieg wydarzeń i stworzyła dodatkową okoliczność. Wybrały się do najbardziej wpływowej kancelarii prawnej w mieście, kwota jednak okazała się zbyt wysoka i wtedy pan mecenas zaproponował inne, alternatywne sposoby rozliczenia. Panie na jedną noc oddadzą się do dyspozycji pana mecenasa, a żeby sprawie nadać dodatkowy smaczek środowiskowy, upozorują porwanie, takie na niby...

– Cooo??? – ryknął Wądlik. – Kpisz ze mnie, glino? To jakaś kompletna paranoja! Mowy nie ma!

– Wyjdzie pan stąd w rozpiętej koszuli – ciągnął ze stoickim spokojem komisarz. – To znaczy w ogóle bez koszuli – dodał, zerkając na jego nagi tors. – W samej marynarce, uśmiechnięty, i powie do moich ludzi, że niepotrzebnie się fatygowali, to prywatna sprawa i takie tam. Lepszy pan w tych ściemach jesteś ode mnie. Właściwie... – zawahał się. – Nie, lepiej, żebym to ja mówił. A panie poczekają, aż odjedziemy, i wrócą do swoich domów, nie mówiąc nic nikomu. Rozumiem, że macie jakieś wymówki. Odwiedziny u siostry, chora ciocia i takie tam.

Kobiety spojrzały po sobie i niepewnie pokiwały głowami.

– To niesprawiedliwe – powiedziała nagle pani Nic Nie Powiemy. – Właściwie już nam się udało. Przyznał się, kanalia. Wystarczyło mu uciąć, co trzeba, i byłoby po sprawie. A tak co, mamy mu pozwolić odejść i jeszcze go kryć? Hańba!

– Nie, to on będzie krył was – odparł spokojnie Hadczuk, chociaż nerwy zaczynały go już ponosić. – W przeciwnym razie grozi wam poważny proces. Nic nie pomogą najlepsze intencje, tak nie wolno wymierzać sprawiedliwości, i dobrze o tym wiecie. A że porwałyście prawnika, nie liczcie na wyrozumiałość sądu. Albo-albo.

– Jakby policja robiła, co do niej należy, nie musiałybyśmy się tak kompromitować – odparła sekretarka. – To wasza wina. Od początku dobrze wiedzieliście, kto za tym stoi, i nic nie zrobiliście. Nic!

– Jak mówiłem, drugi oddział policji właśnie zajmuje się aresztowaniem podejrzanych o morderstwo. Pozwólcie nam normalnie pracować.

– My też chcemy normalnie pracować – wtrąciła pani Kopernik. – Kulesza był świetnym wójtem i kochanym człowiekiem, a ci dranie go zabili. Wszystko się teraz rozpieprzy, na jego miejsce przyjdzie jakiś cwaniak, opchnie pola, zgarnie kasę i zwieje na Kanary – zakończyła enigmatycznie.

– Jakie Kanary! Ja go nie zabiłem! To wy chciałyście zabić mnie! Czy to ma być normalne?

Emocje eskalowały i Hadczuk wziął głęboki wdech przed kolejną interwencją.

– Spokój! Cisza! Macie minutę na zastanowienie. Potem albo ja wychodzę z mecenasem, albo zgarniamy wszystkich i jedziemy na komendę. Tam rozmowy wyglądają nieco inaczej.

Zabrzmiało groźnie i kobiety faktycznie zamilkły, przygryzając wargi.

– A pan? – spytał mecenas z brzydkim wyrazem twarzy. – Będzie nas pan miał w garści. Wszystkich, i mnie, i babory.

– Jeszcze raz powiedz to słowo, a urwę ci jaja – syknęła panna Czerwone Oczy i zaraz zatkała dłonią usta.

– Pierdol się, żmijo – odpalił Wądlik.

– Zamknijcie się wszyscy! – Hadczuk podjął ostatnią próbę. – Szczerze mówiąc, nie macie innego wyjścia, tylko mi zaufać. Zresztą ode mnie nikt niczego się nie dowie, w przeciwnym razie też pójdę siedzieć za ten przekręt. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Towarzystwo zamilkło i każde z obecnych po swojemu kalkulowało dramatyzm i absurdalność całej sytuacji. O mecenasa komisarz się nie martwił. Dla takiego wymoczka sława seksualnego supermena to nie ujma. Przeciwnie, może mu od tego jeszcze przybyć bogatych klientów w kancelarii. Panie przedstawiały trudniejszy orzech do zgryzienia. Należało im skrócić męki nierozstrzygalnego dylematu. Spojrzał na zegarek.

– Za dwie minuty wejdą tu policjanci i zobaczą belkę z rozciętymi więzami oraz siniaki na ciele pana mecenasa, a wtedy tłumaczenia będą trudniejsze. No i wasze twarze zostaną zdemaskowane.

Ten argument przeważył. Spojrzały po sobie z bolesnym lękiem i skinęły głowami. Hadczuk odebrał kuchenny nóż od pani Kopernik, rozbrajając w ten sposób ostatnią z porywaczek. Wądlik wygrzebał z siana swoją marynarkę, którą narzucił na gołe ciało i zapiął na obydwa guziki. Wyciągnął do blondynki rękę po kluczyki od samochodu, do twarzy przykleił uśmiech idioty i stanął przy wyjściu. Pięć kobiet stało w półkolu

i patrzyło pod nogi. Hadczukowi zrobiło się ich naprawdę żal. W gruncie rzeczy były bardzo dzielne. I uczciwe.

– Dla porządku: my wychodzimy, wy zostajecie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nikt tu nie zajrzy i sprawy nie będzie. Nawet nie będziemy musieli specjalnie kłamać. Odczekacie pół godziny i jeśli nic się więcej nie zdarzy, pojedziecie do domu. Zrozumiano?

Żadna się nie poruszyła. Chyba zaczynało do nich docierać, w co się wpakowały. Wyobraził sobie, jaka burza szaleje w tych odważnych, zdesperowanych i jednak w sumie przegranych duszach.

– Zrozumiano? – powtórzył łagodniej.

Gdy pokiwały głowami do podłogi, wypchnął pana mecenasa z szopy i zamknął za sobą drzwi. Ze świstem wypuścił powietrze z płuc. Jeszcze chwila i by zemdlał.

Policjanci niezdarnie chowali się za drzewami w pobliżu nissana.

– Wszystko w porządku, pan mecenas jest cały i zdrowy – powiedział głośno w ich stronę. Wyszli zza pni i z rozdziawionymi gębami patrzyli to na faceta w marynarce bez koszuli, to na swojego dowódcę. – To sprawa intymna, nie kryminalna – dodał rzeczowo. – Wracamy do jednostki.

Kiedy już napięcie go opuściło, odczuł ulgę i szedł, starając się nie parsknąć śmiechem. Wysłuchawszy wyjaśnienia, policjanci hipnotycznie wpatrywali się w zatrzaśnięte drzwi szopy i czekali na jakiś fajerwerkowy ciąg dalszy. Nic się jednak nie działo, horda nagich dziewic nie wypadła ze środka i nie rzuciła się na nich w świętojańskiej orgii. Rozczarowani wsiedli do furgonetki.

Wądlik rozglądał się zdezorientowany, pewnie liczył na stuosobową armię, a tu raptem czterech ludzi. Trzech jeleni i jeden dupek, też mi akcja. Hadczuk modlił się w duchu, żeby mecenas się nie odezwał. Gdyby ten dureń w marynarce na gołe ciało poczuł się oszukany i pisnął jedno głupie słowo, cała sprawa runęłaby ze szczętem. Na szczęście grzecznie wsiadł do swojego samochodu i ruszył jako pierwszy.

Jechali za nim, kolebiąc się na boki na wyboistej drodze. Dłuższą chwilę nikt się nie odzywał i Hadczuk błogosławił ten stan. Spisek lubi ciszę.

– Panie komisarzu, słyszeliśmy huki – powiedział jeden z policjantów, kiedy milczenie zaczęło im doskwierać. – Jakby wybuchy.

– Albo strzały z grubego kalibru – dodał drugi. – Może by spytać?

W tym samym momencie w kieszeni Hadczuka odezwał się telefon.

– Lepiej tu przyjedź – powiedział Latawiec dziwnym głosem.

– Co? Co się stało? Znaleźliście go? Bałyś żyje?

Po wysłuchaniu krótkiej odpowiedzi zaklął pod nosem i dodał gazu. Furgonetka podskoczyła na dziurach i wyrwała do przodu jak koń wyścigowy, wyprzedzając samochód niedoszłej ofiary porwania.

Pan mecenas nie miał już głupiego uśmiechu na twarzy. Kiedy go mijali, zgarbił się za kierownicą i usiłował zniknąć pod połą marynarki.

XI

Ćwierć sekundy

1

Dorota pociągnęła za spust i usłyszała trzy strzały, w tym co najmniej dwa głuche puknięcia karabinów snajperskich. Celowała w faceta po lewej stronie Krzyckiego, tymczasem upadli wszyscy trzej. Spojrzała na swojego sako, na Dominikę i zrobiła zdziwioną minę. Następnym ciekawym dźwiękiem był dramatyczny zgrzyt blachy miażdżonej kołami samochodu wdzierającego się za ogrodzenie hurtowni. Na placu rozgorzała strzelanina. W następnej sekundzie Dorota przywarła do gondoli i z całej siły odepchnęła się w tył, ślizgając się brzuchem po dachu.

– Kryj się! – zdążyła krzyknąć, gdy kula ze świstem przeleciała jej nad głową.

Dominika jęknęła.

– Jesteś ranna?

– Nie! Ale kto do nas strzela?

– Prawdopodobnie wrogowie, skarbie. Cofnij się. To ta cholerna wieżyczka.

Następna kula zadzwoniła o poręcz. Strzelec miał niezłe oko. Dorota pokazała palcem Dominice, że ma się wycofać ku klapie gondoli, a sama usiłowała wycelować w wieżyczkę z leżącego na boku karabinu. Wystrzeliła, ale pozbawiona porządnego podparcia broń posłała kulę do lasu. Równocześnie odgłos strzałów zagłuszyła potężna detonacja, której echo niosło się polami jak zwiastun burzy. Z wieżyczki poszedł dym.

– Ożeż ty – mruknęła Dorota. – Wiejmy stąd!

Puknął kolejny głuchy wystrzał, znacznie bliżej niż strzelanina w hurtowni. Odłożyła swojego sako i za pomocą lornetki spenetrowała skraj lasu między hurtownią paszy a Przestawnem. Siedział na czubku wysokiego świerka.

– Ten twój kolega też tu jest.

– Kto? Widzisz Lucka?!

– Nie, kochanie, to ten pan Beniamin, Bonifacy czy Bartłomiej.

– Benedykt... Jezu, chodźmy po Lucka!

– Już, już... – uspokajała ją Dorota, wrzucając rzeczy do torby. Teraz naprawdę należało się stąd wynosić. Tymczasem Dominika zajęła się lornetką i szybko namierzyła Benka Mrówczyńskiego przyczajonego na wysokim świerku. W pewnym momencie uniosła wysoko rękę.

– Co ty robisz?! – wrzasnęła Dorota.

– Widzi nas! Pomachał do mnie!

– Oszalałaś?!

Chwyciła ją za rękę i pociągnęła w dół, ale już było za późno. W ciszy po strzelaninie jedno głośne puknięcie sprawiało niesamowicie silne wrażenie, jak wykrzyknik, mocny akcent, wejście kotła w symfonii. Dominika wstrzymała oddech, a potem jęknęła dziecięcym głosikiem:

– Nie...

Dorota wyrwała jej lornetkę, nie zdążyła jednak dostrzec spadającego ciała. Przesunęła szkła na wieżyczkę i w ciemnym oknie mignął kosmyk jasnych, dziewczęcych włosów.

– Ty dziwko... – sapnęła. Wyjęła z powrotem karabin z torby.

Dominika zatrzęsła się od szlochu.

– Zabiłam go, zabiłam! Chcę stąd zejść!

– Teraz nie – oświadczyła Dorota. Spieszyła się, choć powinna raczej zwalniać. Wszystko działo się tak szybko. Ustawiła karabin na podpórce i wymierzyła w środek placu. – Zejdź do gondoli i czekaj na mnie.

– Chcę stąd iść!

– Czekaj w gondoli. Zaraz zejdę. Nic nie rób, rozumiesz? – Ujęła ją pod brodę i ścisnęła palcami dygoczące szczęki. – Rozumiesz?

Dziewczyna zaskomlała jak szczeniak, jednak ruszyła do gondoli, a Dorota przywarła do celownika i czekała.

Pewne rzeczy zdarzają się, bo zwyczajnie muszą, taki jest ich porządek. Dlatego czasem tak łatwo je przewidzieć. Siły policyjne już są, zaraz będzie więcej, oblężeni nie mają żadnych szans. Pozostaje im próba ucieczki. Mniej niż minutę zajęło Dorocie czekanie na ryk samochodu wypadającego z garażu na plac i dalej drogą w las. Za kierownicą siedział wielki facet w zielonym podkoszulku, ten sam, który szedł tuż za plecami Kały obok żołnierza Wehrmachtu w bluzie z podwiniętymi rękawami. Jego błyszcząca, łysa głowa stanowiła świetny cel, niestety ruchomy. Poczekała jeszcze parę sekund, dopóki samochód nie skręcił w lewo. Teraz jechał prosto na nią. Cudnie.

Nie myliła się, obok kierowcy siedziała blondynka.

– Ty dziwko! – prychnęła z satysfakcją. – Jesteś moja.

Puk.

Samochód przejechał jeszcze parę metrów, po czym ostro skręcił i uderzył bokiem w drzewo. Z paki sturlał się zielony quad, jak jeździec wyrzucony z siodła. Łysa czaszka zawisła nieruchomo na pasach bezpieczeństwa.

Niestety, drzwi pasażera znajdowały się po drugiej stronie i Dorota nie zauważyła nawet, kiedy blondynka się wydostała. Zorientowała się dopiero wtedy, gdy quad wyjechał zza krzaków i wkrótce zniknął w leśnej gęstwinie. Niech to szlag...

Z terenu hurtowni wypadła policyjna furgonetka. Zatrzymała się przy przewróconym pick-upie, człowiek w czarnym stroju policjanta pojawił się nagle, sprawdził kabinę, rozejrzał się wkoło i raźno wskakując do furgonetki, pomknął dalej. Dorota rozpoznała w nim jednego z tych młodych od Hadczuka. Chyba nazywał się Latawiec. Pomyślała, że jak na śledczego działa chyba niezbyt regulaminowo.

Quad mógł uciekać tylko dwiema drogami: jedną ku głównej szosie i drugą przez pola. Obie wymagały przejechania przez wielką polanę powstałą po ostatniej rzezi drzew. Szyszkownicy utworzyli sieć nowych dróg w polskich lasach, jednak rozjeździli je tak niemiłosiernie, że nawet quad mógł mieć problem z ich pokonaniem. Jeśli tamta była inteligentna...

Była. Wpadła na polanę i zamiast pakować się w błotniste koleiny, skręciła ostro na północ i wjechała między drzewa. Dorota strzeliła, ale w lunecie zobaczyła tylko odprysk kory na zranionym pniu sosny. Drugi strzał w ogóle poszedł nie wiadomo gdzie. Quad pędził dokładnie prostopadle, oddalał się, wkrótce nie będzie po co strzelać...

Z lasu wypadła granatowa furgonetka. Od quada dzieliło ją najwyżej sto metrów, jednak wyraźnie zwolniła. Jeszcze trochę i albo ugrzęźnie w błocie, albo utknie w krzakach między drzewami, bo dostawczy mercedes, nawet podrasowany na policyjny, to bynajmniej nie samochód terenowy. Dorota uznała, że zostaje jej wybranie mniejszego zła. Blondynka pochyliła się i stanowiła z quadem jedną niewyraźną bryłę, w której najlepiej widocznymi elementami były duże baloniaste koła. Wymierzyła w przednie.

Za szybko. Już się pogodziła z utratą celu, gdy mały zielony pojazd zwolnił, a następnie zniknął w głębokim rowie, by po sekundzie wyskoczyć z niego prawie pionowo w górę. W powietrzu znieruchomiał dosłownie na moment. Wystarczyło.

Puk.

Uderzenie kuli plus eksplozja opony sprawiły, że quad jeszcze w powietrzu obrócił się bokiem do kierunku jazdy i zamiast wylądować, runął w świeżo zaorane pole. Dorota wprowadziła do lufy kolejny nabój, ale blondynka zdążyła w tym czasie wśliznąć się do rowu i zniknęła z pola widzenia.

– Kurwa – podsumowała Dorota. Pasowało na różne sposoby.

Za lasem od strony szosy pojawiły się niebieskie koguty i zawyły syreny. Nadjeżdżali kolejni amatorzy plenerowych widowisk. Należało się zwijać. Chciała jeszcze sprawdzić, jak sobie radzi Latawiec, i uchwyciła go

w obiektywy lornetki akurat wtedy, gdy wysiadł z unieruchomionej w błocie furgonetki i z determinacją pognał za blondynką. Latawiec i latawica, niezłe.

– Dobra, młody, teraz twoja kolej – mruknęła.

Schowała karabin i lornetkę do torby, puste łuski zgarnęła za poręcz i podczołgała się do klapy w dachu wiatraka. Gdy ją zamykała nad sobą, spomiędzy chmur przebił się promień słońca.

Dominika siedziała w kącie pod migającymi zielonymi kontrolkami i cicho chlipała. Dorota objęła ją za szyję.

– Chodź, kochana. Teraz musimy jeszcze znaleźć naszych facetów.

Otwarła klapę i zaczęła schodzić pierwsza, kalkulując nie bez racji, że jeśli tamta zasłabnie od nadmiaru nieszczęść, będzie miała szansę ją przytrzymać, zanim runie kilkadziesiąt metrów w dół. Jakoś zeszły. Dorota wrzuciła torbę do bagażnika audi, wsiadła za kierownicę i zerknęła na wymęczoną przyjaciółkę. Chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła. W okno zastukała lufa pistoletu.

– Wysiadać, lesby. Jedziecie z tyłu.

Blady, spocony mężczyzna miał prawą rękę na temblaku zrobionym z koszuli. Niegdyś biała i najwyraźniej noszona do wyjściowego munduru koszula była czerwona od krwi.

2

Oczywiście, wszystko poszło nie tak. Najgorszy był brak czasu, który ujawnił się w momencie, gdy Łukasz Latawiec rozesłał ludzi na stanowiska wokół murów hurtowni, a następnie szybko odwołał z powrotem pod bramę, ponieważ zaczął się ruch. Zdążył nadać meldunek, ale czekanie na posiłki w sytuacji, gdy kolumna uzbrojonych w automaty ludzi prowadzi oficera policji na rozstrzelanie, jest pozbawione sensu. Dwóch ludzi wpakował do samochodu za opancerzone szyby, trzech ulokował w pewnej odległości od bramy i sam usiadł za kierownicą mercedesa. Sprawdził broń,

krótkofalówkę i właśnie miał zadzwonić do Hadczuka, gdy zaczęła się kanonada. Ruszyła lawina zdarzeń, więc tylko krzyknął do chłopaków, że wali w bramę, i nadepnął gaz do oporu.

Te dziesięć sekund przeżył na bezdechu. Dopiero gdy zderzak stuknął w ścianę magazynu, Latawiec oprzytomniał i wytoczył się z kabiny na ziemię, słuchając bębnienia kul o karoserię. Na placu strzelali w najlepsze. Krzycki gdzieś zniknął. Łukasz wczołgał się pod wiatę i utknął za budą czarnego bmw, za którym przygnał tu aż ze Słupska i nie wiadomo, czy kiedykolwiek wróci. Dokładnie obejrzał pojazd, szukał jej śladów. Na pewno nim przyjechała i gdzieś tu jest. Może nawet właśnie mierzy w jego czaszkę. Rozejrzał się niepewnie. Nie, to jakaś paranoja, przecież nie o nią tu chodzi...

Kanonada przycichła, a po chwili z drugiej strony placu wybiegł zwalisty chłop. Łukasz skądś go znał. Osiłek i półgłówek z ich jednostki, ubrany po cywilnemu i z bronią, przypominał aktora w marnej produkcji Netfliksa. Zdaje się, że to on rzucił granat do wieżyczki. Jak on się nazywa? Dziobal? Drzyzga? Chłop na schwał, przebiegł pod ścianą, otwierając drzwi i prowokując nową wymianę ognia. Jeden z policjantów strzelił w odsłonięte wejście, wojownik odpowiedział mu kółeczkiem z kciuka i palca wskazującego. Stał pod ścianą, dociskając glocka do piersi jak ukochaną zabawkę. Zdaje się, że to faktycznie jego ukochana zabawka. Nie no, kurde, powiatowy Schwarzenegger za siedem groszy. PA-RA-NO-JA!

Marna produkcja leciała na całego, jednak nie miał ochoty w niej grać. Bardziej intrygował go wątek romansowy. Gdzie ona jest? Ludzie czekali na wyraźny sygnał, coś pokazywali zza bramy, tymczasem jego nie obchodziło nic poza nią. Chyba zwariował.

Tamten Dziobal czy Dziergal dotarł już do węgła budynku i wtedy z dachu magazynu padł głuchy, dudniący strzał. Snajper w wieżyczce. Chociaż przed chwilą wyleciała w powietrze. Latawiec wychylił się i zobaczył kosmyk białych włosów. Zanim wycelował, znikła. Jeden z policjantów za bramą spytał na migi, co mają robić, więc kazał im czekać. Było ich w sumie tylko sześciu plus tamten nieobliczalny superman, zbyt

duże ryzyko. Uznał, że taka argumentacja w zupełności wystarczy za usprawiedliwienie. Wybrał numer Hadczuka.

– Lepiej tu przyjedź – powiedział i w paru słowach wyjaśnił, co się dzieje.

Grupa Hadczuka to trzech ludzi. Plus lada moment miały pojawić się oddziały ze Słupska. Powinno wystarczyć.

Teraz mógł się nią zająć. No dawaj, *krasawica*.

Odpowiedziała natychmiast. Usłyszał ryk silnika w magazynie i już wiedział, że to ona. Gdy czarny pick-up runął na środek placu, jej złote włosy powiewały przez otwarte okno, z którego strzelała do Schwarzeneggera za siedem groszy, śmiejąc się przy tym, jakby kręciła się na karuzeli, a nie próbowała zabić człowieka. Wiedział, że śmieje się do niego. Że wszystko, co demonstrowała od poprzedniego wieczoru, było tylko dla niego.

Prawie nie pamiętał, jak wskakuje do mercedesa i sam jeden rusza w pościg, z pistoletem i zapasowym magazynkiem, wciskając gaz do dechy i nie zmieniając biegów, żeby nie utknąć w leśnym terenie. Nie słyszał strzału, huk przewracającego się pick-upa też w zasadzie mu umknął, a oględziny trupa za kierownicą sprowadzały się do jednego: to nie ona. Poczuł ulgę. Oczywiście. Ona należy do niego. Sama wybrała.

Gnał przed siebie. Coś go gnało. Kiedy jednak następny jej pojazd, czyli zwinny zielony quad, również przekoziołkował, Łukasz Latawiec na moment się zawahał. Czyżby ktoś tu strzelał z dystansu? Benek? Dziewczyna wczołgała się do rowu i zniknęła z pola widzenia. Oby nie ranna. W całości należała do niego.

Wkrótce mercedes zarył się w błocie aż po chlapacze i odmówił dalszej współpracy. Łukasz wysiadł. Odpiął kamizelkę kuloodporną i rzucił na tylne siedzenie. Kamizelki są dla ciot. Pobiegł na przełaj przez zarośla, skacząc po pniach ściętych drzew i przeskakując sterty chrustu. Chwilę później przesadził rów i natrafił na przewróconego quada ze strzępami przedniej lewej opony. W myślach pogratulował Benkowi świetnego strzału. Skręcił na północ i ruszył brzegiem rowu, macając się nerwowo po

kolbie pistoletu. Już nie pędził bezmyślnie, przeciwnie, każdy krok ważył i pilnie się rozglądał. Żołądek skurczył mu się do rozmiaru orzecha, ale reszta ciała frunęła w uniesieniu. Nie rozumiał siebie.

Zaskoczyła go. Odgarnął ręką gałęzie i nagle zobaczył ją przed sobą, w odległości może dziesięciu metrów. Mierzyła mu prosto w twarz z pistoletu, takiego samego glocka 26, tylko czarnego. Jasne, oliwkowy nie pasował do zajebistego kostiumu sukkuba.

– *Priszoł moj krasawiec* – powiedziała, idąc ku niemu. – *Priwiet.*

Nie do końca rozumiał, jednak nie miało to znaczenia. Patrzył w nią jak urzeczony. Nie mylił się. Wczoraj była ładna, na tyle ładna, że nie mógł przestać o niej myśleć, nawet kiedy kule świstały mu za uszami. Teraz była oszałamiająco piękna. Kiedy rozchyliła usta w uśmiechu i odsłoniła równy rząd białych zębów, wstrzymał oddech. Jego prawa dłoń spoczywała na kolbie pistoletu, ale nie myślał go wyjmować. Patrzył i patrzył.

Zatrzymała się dwa metry od niego i pokazała lufą na jego glocka.

– Nie wyjmiesz?

Pokręcił głową. Nie potrafił odpowiedzieć, chociaż spytała po polsku.

– Ja wyjmę – odparła i bezceremonialnie sięgnęła po jego broń lewą ręką. Jej pistolet celował mu dokładnie w środek czoła. Rzuciła okiem na oliwkowego glocka. Pomacała kaburę, z której wyjęła drugi magazynek i pobieżnie go obejrzała.

– Dziesięć plus siedemnaście daje dwadzieścia siedem – policzyła na głos. – *Ja to że samo. Kak priekrasno!*

Sprawdziła mu kieszenie. Stał zupełnie bezbronny i dawał się obmacywać jak jeniec. Został jej jeńcem. Słuchał piąte przez dziesiąte, niewiele rozumiał z tej poplątanej rosyjsko-polskiej mowy, i co z tego? Chciał tylko tak stać, być poniżanym i obmacywanym, z lufą przystawioną do czoła jak przed chwilą Krzycki.

Krzycki?

Ocknął się i w tej samej sekundzie uderzyła go w policzek.

– Stawaj! – wrzasnęła nagle zgrzytliwym, harpim głosem.

Jej twarz z anielskiej zmieniła się w diabelską. Sięgnął do boku, a wtedy ona zaniosła się ostrym śmiechem. Wyciągnęła rękę z jego pistoletem zawieszonym na wskazującym palcu, po czym odrzuciła go daleko w krzaki. Wysunął lewą stopę i usiłował kopnąć ją w prawy nadgarstek, ale zręcznie się uchyliła i trafiła go czubkiem buta w pachwinę. Była niesamowicie szybka. Zwinął się z bólu i zdziwienia, a ona krzyknęła wulgarnie coś, co brzmiało jak „piździec”, i znikła w krzakach.

Sukkub w płomieniach.

Minutę trwało, nim odzyskał jasność umysłu. Podniósł się na kolana i uznał, że lepiej nie wstawać. Jeden zero dla niej. Podczołgał się w krzaki i chwilę szukał pistoletu. Nie wszystko rozumiał, jednak reguły pojedynku wyłożyła aż nadto jasno. Przypomniał sobie jej wczorajsze spojrzenie z tej cuchnącej hamburgerowni. *Na, na, krasawczik.* Ona już wczoraj wiedziała to, czego kształty on dopiero teraz poznawał.

Namacał w trawie broń, przeładował i przywarł do pnia drzewa. W jego właśnie rozdartej na pół duszy rozszerzała się czarna plama. Zalewała mózg, oczy, trzewia, pochłaniała go, jak rozlany atrament pochłania kartkę. Nagle zrozumiał, że w ciągu tych paru minut przeżył wszystko, co mu było pisane, cała jego historia właśnie się wydarzyła i już nic więcej ważnego w życiu go nie spotka. Zacisnął powieki. Czerń pochłonęła prawie cały świat, został tylko mały pistolecik z tworzywa sztucznego w oliwkowym kolorze i jej twarz. Połączył jedno z drugim.

Nim zdążył pomyśleć, od czego zacząć, tuż nad nim jęknął rykoszet i huk wystrzału poszedł po lesie. I zaraz potem usłyszał przenikliwy śmiech. Strzeliła do niego. On tu przeżywa, a ona się świetnie bawi. Gotowa go zabić bez wahania. Dwadzieścia siedem kul? Uśmiechnął się pod nosem.

No to dawaj, *krasawica*.

Strzelił w odpowiedzi dwukrotnie i wczołgał się do rowu. W bok odchodziła poprzeczna przykopa wypełniona do połowy wodą, schował się w niej i parł do przodu, nie zważając na wlewające się do butów błoto. Bagno śmierdziało i spowalniało ruch, za to zapewniało ciszę. Obszedł

polanę szerokim łukiem i znalazł się w lesie po drugiej stronie, kilkaset metrów od miejsca ich spotkania. Wiatr przywiał daleki jęk syren policyjnych. No, laluniu, nie mamy zbyt wiele czasu.

Leżała na brzuchu, miękki mech skrywał ją do połowy. Celowała w miejsce, z którego Latawiec by wyszedł, gdyby ruszył rowem w górę. Była osłonięta z trzech stron, ale zdradziły ją złote włosy. Taki kolor nie występuje w mokrym, sierpniowym lesie.

Strzelił trzy razy w pień sosny, pół metra nad jej głową. Poderwała się i waliła za siebie, na oślep. Straciła pięć naboi, czyli zostało dwadzieścia jeden. Oczko. Jeśli go nie oszukała.

Umknął zygzakiem między pniami i zza grubego buka strzelił w jej kierunku trzy razy, bardziej dla zabawy w liczenie, niż by ją trafić. Ona chyba myślała podobnie, bo odpowiadała ogniem przypadkowo. Celowała w dół, w kończyny. Najwyżej w krocze, buchacha. Chciała go mieć żywego, rannego i krwawiącego u swoich stóp jak upolowane zwierzę. Przyjął aneks do umowy i też strzelał nisko. Poniżej ud.

Magazynki wymienili równocześnie, niemal słyszał szczęk zwalnianego mechanizmu w jej pistolecie i trzaśnięcie po załadowaniu. Siedemnaście kul i siedemnaście mgnień sierpnia. Siedemnaście błysków w pomorskim mateczniku, rwących na strzępy watę rzednącej mgły. Słuchaj, *krasawica*, siedemnastu policyjnych syren i siedemnastu płaczów konającej miłości, która nam się trafiła raz jeden od początku do końca świata.

Takie teksty w duszy Latawca wypisywał rozlewający się czarny atrament, tymczasem dziewczyna znikła w gęstwinie ciągnącej się aż do skraju lasu. Zapadła cisza. Wycofał się górą do przecinki i pobiegł ku łąkom. W dynamicznym biegu stanowił trudniejszy cel. W ogóle nie czuł zmęczenia, wyzwoliła się w nim jakaś nierozpoznana dotąd energia i pędził zupełnie bez wysiłku, chyżo i radośnie.

Kule gwizdnęły na wysokości pasa. Jedna, dwie, trzy. Odpowiedział tym samym, strzelając z lewej ręki na oślep w jej kierunku. Nie żeby trafić, tylko żeby wystrzelać naboje. Zostało dziewięć. Do ilu gramy? Do pięciu?

Złote włosy mignęły daleko, ze sto pięćdziesiąt metrów od niego, więc wygarnął od razu cztery, nisko. Znieruchomiał. Czyżby usłyszał krzyk?

Z wyciągniętym pistoletem ruszył ku niej, skacząc za pnie młodych buków i celując w każdą kępę krzewów zdolną ukryć człowieka. A jednak go dopadła. Dwa strzały nisko, w kolana, a potem dwa w korpus. Nie trafiła, ale skończyły się ulgi. Zostało po pięć, walimy na całego.

Był zupełnie wypoczęty, w ogóle jeszcze nie spalił energii, która go tu przygnała. Zatknął glocka za pas i wykonał podwójną przewrotkę do następnego dębu o średnicy mniej więcej pół metra. Strzeliła raz. Odpowiedział, bijąc w brzozę, bo wydała mu się najbardziej odpowiednia na jej kryjówkę. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów? Akurat żeby nie chybić. Prawa strona? Lewa? Prawa? Nie, lewa. Ruchomy skrawek materiału, strzał, krzyk – nagle jęknął rykoszet i szarpnęło nim do tyłu.

Przewrócił się. Nie stracił przytomności, przeciwnie, nie odczuwał nawet specjalnie bólu. Nie mógł jednak podnieść prawej ręki z glockiem, jednym z najlżejszych pistoletów. Pomacał się pod prawą pachą i obejrzał czerwone palce. Ha, laluniu, punkt dla ciebie. A ty jak wyglądasz? Jeden zero czy remis?

Wytarł zakrwawione palce o trawę i uchwycił glocka lewą ręką. Zostały trzy, prawda? Dzielna dziewczynka, trafiła, ale właściwa zabawa dopiero teraz się zaczyna. Podniósł się, trąc plecami o drzewo, i pogładził twardy dębowy pień. Dobre drzewo, obroniło. Ból ciągle nie przychodził, za to w mózgu narastał nieokreślony szum, szumidło zakłócające normalną pracę ludzkiej maszynerii. Rozum, który wołał o powrót do regulaminu i wezwanie posiłków, cichł w oddali jak pasażer wysadzony przy drodze do jaskini kryjącej złoty skarb. Nie krzycz, nic ci to nie da. Z nikim nie będę się dzielił.

Wychylił się zza drzewa.

– Jestem! Strzelaj!

Wyjrzała i zniknęła. Po dwóch sekundach zobaczył lufę i cofnął się. Świst. Zostały dwa. Strzelił w pień. Ona wyszła zza brzozy, strzeliła bez

mierzenia i czekała na niego. Wypalił metr nad głową dziewczyny. Został jeden nabój.

Ruszyli ku sobie równocześnie, jak umówieni. Jej prawa ręka z pistoletem była całkiem opuszczona, jego lewa nieco zgięta w łokciu. Prawym ramieniem dociskał ranę, żeby powstrzymać upływ krwi.

Dzieliło ich najwyżej trzydzieści metrów, gdy ona błyskawicznym ruchem uniosła pistolet i strzeliła. Gdyby nie rana, dalej szedłby wyprostowany, dumny, gotowy do pojedynku – i niechybnie by zginął. Nie ma czegoś takiego, jak uchylenie się od strzału z tej odległości. To natrętny owad uciął Łukasza w krwawiącą ranę tuż przed tym, jak ona nacisnęła spust. Syknął i przechylił się w prawo, żeby zgnieść insekta łokciem. Świst kuli poruszył mu włosy nad uchem.

Sekundę patrzyli na siebie w absolutnym zdumieniu, jakby naraz obudzili się na innej planecie, po czym ona odwróciła się na pięcie i rzuciła biegiem przez las, na oślep, bez planu. Pobiegł za nią, choć jego rana właśnie przebiła się przez kolejne tarcze adrenaliny i doszła do centralnego układu nerwowego. Powstrzymywany ból uderzył z podwójną siłą i Łukasz omal nie runął na twarz, potykając się o gałęzie, których już nie miał siły przeskoczyć. Dziewczyna oddalała się lasem, znikała, jeszcze trochę i przepadnie na dobre. Uniósł glocka i strzelił. Spudłował.

Zatrzymała się. Odwróciła powoli i patrzyła na niego rozszerzonymi oczami, szybko przetwarzając nowe dane. Na ściągniętą twarz spłynęła ulga, a potem uśmiech. Odsłoniła zęby i znowu była niesamowicie piękna. Tak piękna, jak to sobie wymarzył jeszcze poprzedniego wieczoru. Taka, jak powinna być.

Podeszła i spojrzała mu w oczy z erotycznym zaciekawieniem.

– *Na, na, krasawiec* – mruknęła. – *My akonczili.*

Cały czas w nią celował, jednak nie zwracała już uwagi na ten jego mały oliwkowy pistolecik, najwyraźniej zajęta czym innym.

– *Szto s taboju?* – spytała z troską, pokazując ranny bok. – Co z tobą? Boli? Oj, boli.

Zmartwiona wyciągnęła palec, żeby go wsadzić w ranę. Odwrócił się bokiem.

– Jesteś aresztowana – powiedział drżącym głosem. – Obróć się i wyciągnij ręce do tyłu.

Wybuchnęła tym swoim śmiechem sukkuba.

– *Nu kak, krasawiec! My sczitali wmiestie.* Liczyliśmy razem. Nie masz kul. – Przesunęła językiem po zębach i dodała miękko: – Teraz będzie miłość. – Kocim ruchem odskoczyła od niego na metr i wyjęła nóż. – Chcesz, prawda?

Czuł, jak krew spod pachy ścieka mu do spodni i nasącza slipki. Krocze. Wszystko we krwi. Szum w głowie zmieniał się w łoskot pulsu bijącego o czaszkę, jak fala przyboju bije o skalisty brzeg. Gorzej widział. Złote włosy świeciły na tle ciemnych zarośli jak aureola. Chmurzy się? Przecież jest pochmurno.

– Chcę – powiedział cicho.

– Wiedziałam – odparła. – Ja też chcę. Umrzemy razem, ale najpierw ty, dobrze? *Moj krasawiec, ty.* Wytnę ci serce i ugryzę kawałek. *Nastojaszczaja liubow'*. Prawdziwa miłość. Chyba że chcesz walczyć, *maładiec*?

Przystawiła mu nóż do piersi, a on jej lufę pistoletu do czoła.

– Źle policzyłaś. Siedemnastka na magazynku to model mojego drugiego glocka, nie liczba naboi. Są kompatybilne. W tym jest dziewiętnaście.

Zbladła i odskoczyła jak kocica.

– Kłamiesz!

– Dziewiętnaście, *krasawica*. Odwróć się i wyciągnij ręce do tyłu.

– Aaach! – wrzasnęła i skoczyła z uniesionym nożem. W oszałamiająco pięknej twarzy, wykrzywionej ostatnią już w tym życiu wściekłością, spotkali się anioł z diabłem i zawzięcie pertraktowali o prawo do terytorium. Żaden nie ustępował.

Zwolnił spust i upadł na plecy.

Nie słyszał ani huku, ani zwalającego się dziewczęcego ciała w czarnym kombinezonie. Wstał z trudem. Złapał ciepłe, miękkie ramię i obrócił

dziewczynę na plecy. Okrągły otwór na środku czoła wyglądał jak hinduska tilaka. Krew wyciekła z niego wprost w jasne kosmyki włosów, które na mokrym poszyciu leśnym ułożyły się w czerwono-złoty bizantyjski wzór. Rozciągnięte wargi w nieziemskim uśmiechu odsłoniły równe, białe zęby.

Krasawica.

Nie wiedząc, co robi, przystawił lufę najpierw do swojej ubłoconej koszulki, a potem do zagłębienia w czarnym kombinezonie. Ostatnią kulę posłał między jej dwie ponętnie sterczące piersi.

3

Przypomniał sobie początek *Idioty* Dostojewskiego, kiedy książę Myszkin tłumaczy kamerdynerowi u Jepanczynów męki duchowe ludzi prowadzonych na śmierć. Ta ostatnia ćwierć sekundy jest najważniejsza, gdy już wiesz, że NA PEWNO. Silny, czterdziestoletni mężczyzna potrafi się wtedy rozpłakać albo zwariować, mówił książę Myszkin z głębokim przejęciem.

On nie miał zamiaru ani płakać, ani wariować. Nie czuł nic. Jeszcze był, i tyle.

Dziewczyna, która go prowadziła pod rękę, tchnęła seksualnym napięciem, wręcz czuł jej podniecenie. Eros i Tanatos idą w parze, pomyślał i uśmiechnął się do niej. Odsłoniła piękne zęby. Diabliczka.

„Do samego końca” – tak się zaczyna kwestie umierających. Do samego końca trzymał ją za rękę, a ona patrzyła mu w oczy, nim zgasły na zawsze. Do samego końca tulił jej kruche ciało. Do samego końca kochał życie, patrząc w górę na błękitne niebo i płynące w dal obłoki, słuchając śpiewu ptaków i szumu letniego wiatru... I tak dalej. A on? Jakie mógłby wypowiedzieć zdanie? Że do samego końca – co? Mgła unosiła się nad ziemią, ptaki jakoś zamilkły, a tuliła go zawodowa morderczyni i bynajmniej nie do ponętnej piersi, tylko do lufy pistoletu wciskanej między żebra.

Odpuścił wszystko.

Każdy człowiek ma limit, granicę wytrzymałości, zasób sił życiowych i po ich wyczerpaniu najzwyczajniej w świecie opada, więdnie, gaśnie. Umiera. Jego wola życia chyba właśnie umarła i czekała na niego za rogiem. Chwileczkę, już idę.

– Łatwo idziesz na śmierć. – Zarechotał z tyłu Kała. – Masz coś w zanadrzu, Krzycki?

– Twoją obietnicę.

– A tak, tak. Zaraz go przyprowadzę. Jest w świetnej formie.

– Nie wierzę ci.

– Teraz to i tak wszystko jedno. Nawet atak całych sił specjalnych zjednoczonej Europy nie uratuje twojego tyłka, a żyjesz wyłącznie ze względów estetycznych. Dla scenografii. Dasz sobie zawiązać oczy?

– Wolałbym nie.

– Szkoda, byłoby jeszcze fajniej.

– Przyprowadź Lucka Bałysia.

Kała odwrócił się i zawołał w otwarte drzwi:

– Hej, wychodźcie!

Z budynku wyszło dwóch w mundurach Wehrmachtu i stanęło po obu stronach wejścia. Dziewczyna się wycofała, a jej miejsce zajęli dwaj goryle prezesa, wyżsi od Andrzeja o głowę i dwa razy szersi w barach. Obok Kały stanął garbus z rękami do kolan. W jednej z nich zwisała kamerka GoPro, chciał sfilmować całą zabawę.

– Gdzie jest Lucek?

Spytał dla zasady, wiedział, że to nic nie da. Było już za późno na cokolwiek. Chciał zyskać jeszcze minutę? Ale właściwie po co? Dla tych dwóch dodatkowych wdechów i wydechów? Wolne żarty. Jak powiedział ten pisarz z Beskidu? Życie to jednak strata jest. Czyli że niby śmierć jest zyskiem.

– Zmiana planów – powiedział spokojnie Kała i zwolnił mechanizm zabezpieczający sig sauera. Wyciągnął przed siebie broń z odwiedzionym kurkiem i wycelował mu prosto między oczy. „Kurwa”, szepnął głośno chłopak w mundurze z podwiniętymi rękawami. Dziewczyna zachichotała nerwowo. Andrzej szarpnął się ostatni raz.

– Gdzie jest Lucek?! Kanalio!

Śmiech Kały przeszedł w kaszel.

– Zawarliśmy umowę! Puść go!

Kała zaczął ściągać spust. Garbaty filmował.

Nie zamknął oczu. Nie dlatego, że był bohaterem, po prostu kątem oka dostrzegł ruch po lewej stronie, pod wiatą. Bardzo się starał tam nie patrzeć. Kała, który zarejestrował u niego zmianę, zawahał się. Palec na spuście znieruchomiał i ćwierć sekundy później eksplodował wraz z całą dłonią. Pistolet pofrunął z kawałkiem czerwonego mięsa utkwionym w otworze spustowym.

Ruszyła lawina zdarzeń.

Wrzask prezesa nałożył się na huk wystrzału, jakby sam sobie własnym krzykiem rozerwał dłoń na strzępy. Na to nałożyły się miękkie chlupnięcie po prawej i twardy zgrzyt po lewej stronie Andrzeja i nagle odzyskał wolność. Upadł na ziemię i przeczołgał się nad szarpaną przedśmiertnymi drgawkami nogą faceta bez głowy. Paroma susami dobiegł do uchylonych drzwi domku na środku placu. Po drodze zgarnął z ziemi srebrny pistolet. Wbiegając do środka, usłyszał za plecami potworny huk wyrwanej z zawiasów bramy i ryk silnika. Nieważne. Zamknął drzwi od wewnątrz i pognał dalej.

Ciemny korytarz rozświetlały jedynie bladozielone ledy sygnalizacyjne, umieszczone na ścianach co parę metrów. Potknął się o coś, runął na betonową podłogę i zaklął, ale wstał i biegł dalej. Tylko bieg miał teraz sens. Kopnięta butelka po mineralnej z głośnym stukiem potoczyła się po podłodze. Środa, trzy dni, ile godzin? A on marnował czas. Nie, Krzycki, przestań! Teraz już nie myśl! Biegnij! Ktoś strzelał, ktoś taranował bramę, ktoś wołał „policja!”. Nieważne. Biegnij.

– Krzycki! Zaczekaj!

Kała. Jego płaczliwy głos doszedł z tyłu, jak z głębi jaskini.

– Krzycki, czekaj! Pomogę ci!

Zwolnił. Przed sobą miał prosty, ginący w mroku odcinek, za sobą szaleńca, który nagle chciał mu pomóc.

– Pierdol się, Kała!

– Zakręcę wodę. Metalowe drzwi, widzisz je?

Zatrzymał się obok metalowych drzwi.

– Zawór jest w środku. Zakręcimy wodę i go wyciągniemy – gadał zasapany Kała. Podchodził coraz bliżej. – Koniec głupot, pozwól sobie pomóc. Chodzi o niego.

To nie miało żadnego sensu, ale i miało jakiś sens. Może ten strzał w rękę coś zmienił? Może Kała się opamiętał? Czyżby mu się odwidziało?

– Ratuj go, Krzycki. Ratuj go. Ratuj...

Kurwa mać!

Facet bredził od rzeczy. Pewnie ukrył tam kolejne strzelające cacko.

Odwrócił się i pobiegł dalej, wściekły na siebie za zmarnowany czas. Stracił grunt pod nogami i runął ze schodów w wodę. Woda! Zanurzył się, namacał drzwi, szarpnął, jednak ani drgnęły. Żeliwna sztaba! Zdjął ją i znów nacisnął klamkę. Z wnętrza pomieszczenia wpadła podwodna smuga światła. Wrócił na szczyt schodów, wziął trzy głębokie wdechy i z łomoczącym sercem wpłynął do środka.

Najpierw zobaczył okrągłe okienko, bycze oko Ottona Stubenauera, potem zwisające skośnie nogi. Po prawej stronie skute łańcuchami dwie białe ręce, nienaturalnie wyprostowane w łokciach i wykręcone w barkach. Tarły ścianę, próbując wypchnąć ciało choć odrobinę wyżej. Do powietrza. Sinobiała skóra przypominała sprane płótno.

Wynurzył się tuż przy głowie. Ciałem wstrząsnął stłumiony charkot.

– Lucek, oddychaj! Nosem!

Między powierzchnią wody a sufitem zostało około piętnastu centymetrów powietrza. Tyle że łańcuchy były już napięte do granic i Lucek wciągał na przemian powietrze i wodę. Tę drugą próbował wysmarkiwać nozdrzami i wtedy się krztusił.

Znowu kaszel i sapanie przez nos. Andrzej zanurkował i dopadł cholernego okienka. Szybkimi ruchami dokręcił śruby i wtedy nogi Lucka zaczęły gwałtownie wierzgać. Wynurzył się i przekrzywił głowę, żeby móc mówić.

– Wytrzymaj, Lucek, jasna cholera. Wytrzymaj!

– Nn... rr... fff...

Nabrał wielki haust powietrza i chciał mu wtłoczyć do płuc, widział to w jakimś filmie, ale górą się nie dało, musiałby go wciągnąć pod wodę.

– Jjj... rr... ffaa...

– Lucek! Luceeek!

Znalazł go! Nareszcie znalazł! Rozpierała go radość i jednocześnie szalał z przerażenia, że Lucek topi się na jego oczach. Pomacał się po kieszeniach i wyczuł srebrnego sig sauera. Zanurkował i popłynął na schody. Drżącymi palcami przekręcił obręcz, wyjął sprężynę, przesunął język od mechanizmu bezpieczeństwa i wyjął lufę. Miała prawie trzynaście centymetrów, powinno wystarczyć. Wrócił do Lucka i wetknął mu koniec lufy w usta. Jakimś cholernym prawem Archimedesa wody zrobiło się więcej i teraz nos Lucka znajdował się pod wodą.

– Oddychaj! Do cholery, oddychaj!

Wydawało mu się, że chłopak kiwa głową. Na pewno mrugnął oczami. Usta trzęsły się jak w febrze.

Zanurkował i obejrzał obręcze na rękach. Metalowe kajdany można by otworzyć wytrychem... Gdyby miał wytrych. Mógłby je przestrzelić, tylko właśnie zdemontował pistolet. Jak długo można oddychać przez lufę? Wynurzył się. Przekrzywił głowę.

– Oddychaj, oddychaj – powtarzał, gorączkowo myśląc, co dalej. Gdzieś daleko zadudnił potężny wybuch. Nie wiedział, czy to dla niego dobrze czy

źle.

Wrócił na schody i pobiegł tunelem w górę, chlupiąc butami. Na drugim końcu Kała majstrował coś przy drzwiach. Z jego prawej ręki zwisała przesiąknięta krwią szmata.

– Andrzejku, uratuje...

– Kluczyki!

– Wyrzuciłem. Ale uratujemy go, tylko...

Wyrwał mu klucz do drzwi i pchnął mężczyznę z całej siły w głąb korytarza. W pomieszczeniu musi coś być, cokolwiek, byle miało rurkę. Już chciał włożyć klucz do zamka, by otworzyć sekretny pokoik szaleńca, gdy pod tyłkiem upadającego Kały chrupnął gnieciony plastik.

Znieruchomiał. Oczywiście.

Odrzucił klucz i wyrwał spod jęczącego ciała butelkę po muszyniance. Zanim dotarł z powrotem do schodów, zdążył wygryźć w jej dnie sporą dziurę. Wciągnął powietrze i z butelką w zębach podpłynął do Lucka.

– Masz teraz to – powiedział, wkładając mu szyjkę butelki w usta. Podgiął dno ku górze, na wszelki wypadek. Bałyś wyglądał teraz jak szaman Dakotów z megafajką pokoju.

Wziął lufę w zęby i wrócił po raz trzeci na schody, gdzie wytrzepał z niej wodę i kilkoma szybkimi ruchami poskładał sig sauera. Przeładował. Dziesięć metrów przed nim Kała czołgał się na kolanach, prawy łokieć niezdarnie opierając na podłodze, a lewą dłonią macając wokół siebie. Pewnie znowu zapragnął majstrować przy drzwiach. Andrzej wymierzył w niego, a potem podniósł muszkę wyżej i pociągnął za spust. Huk wystrzału uderzył go tępym obuchem po skroniach. Kała wrzasnął. Niech spada, ważne, że pistolet działa. Zanurkował. Butelkowa fajka posłusznie tkwiła w ustach Bałysia.

– Lucek, strzelam pod wodą – zakomunikował. Usta z trudem mieściły mu się między taflą wody a sufitem.

Dobry pistolet, a do takich z pewnością należał srebrny sig sauer 1911 z brązowymi okładzinami, wystrzeli pod wodą. Pocisk wprawdzie szybko

traci większość energii kinetycznej, ale z lufy wylatuje z całkiem przyzwoitą prędkością. Andrzej liczył, że uda mu się z bardzo bliskiej odległości, i przystawił broń bezpośrednio do łańcucha. Za pierwszym razem pocisk ześliznął się po metalu, więc do drugiego strzału przyłożył koniec lufy do otworu w ogniwie. Wylatując, kula rozerwała metalowe kółko. Ręka Lucka uniosła się jak ręka ducha uwolnionego z wiecznego potępienia i łapczywie schwyciła butelkę. Chciał sam kontrolować dopływ tlenu.

Gdy przestrzelił drugi łańcuch, Lucek nieoczekiwanie bulknął pod wodę. Ledwie zaczerpnąwszy powietrza, Andrzej musiał znowu się zanurzyć, uchwycić go wpół i unieść do powietrznej bańki. Kiedy ręce z metalowymi obręczami znowu złapały butelkę, wynurzył się, by odetchnąć. Oddech był trudny, jakby pusty. Zrozumiał, że długo tu nie pociągną. Powietrzna bańka między wodą a sufitem zawierała coraz mniej tlenu. Co teraz?

Z zewnątrz dochodziły pojedyncze dudnienia, jakby odbywała się tam wymarzona przez Kałę walka gigantów. Lepiej tam nie wychodzić. Okno. Powinni się przecisnąć.

– Lucek, nabierz tyle powietrza, ile zdołasz – powiedział, modląc się w duchu, by tamten usłyszał. Chyba słyszał, bo mrugnął oczami.

Ostatni punkt programu. Nurkowanie z półprzytomnym ożywieńcem, bez znajomości terenu i pewności, że gdzieś tam jest wyjście. Super. Zanurkował, odkręcił cztery śruby i otwarł okienko na oścież. Mulista woda zaczęła napływać do środka.

– Wdech, wydech, wdech, wydech, wdech... teraz!

Wciągnął go pod wodę i popychając przed sobą jak człowieka-torpedę, wcisnął mu w okrągły otwór najpierw ręce z bransoletami, potem głowę, a na końcu biodra. Pchnął w blade stopy i zabrał się do przeciskania samego siebie. Ręce, głowa... utknął w biodrach. Lucek tymczasem wykonał kilka ruchów rękami, po czym zaczął opadać na dno. Tonął. Andrzej wcisnął się trochę z powrotem, wyjął z kieszeni pistolet i spróbował jeszcze raz. Przeszedł. Złapał wierzgające na dnie ciało pod

ramiona i pociągnął w górę. W uszach narastał szum, jakby ktoś zapychał mu czaszkę styropianem. Dwa metry, jeden, już!

Złapał powietrze w płuca i pociągnął Bałysia do brzegu. Okazało się, że jest nim wysoki na metr betonowy mur. Znajdowali się w czymś w rodzaju śluzy albo kanału, a jedynym przydatnym elementem w zasięgu ręki była przerdzewiała metalowa klamra. Złapał się jej jak koła ratunkowego i podciągnął Lucka. Potrząsnął nim energicznie.

– Lucek, oddychaj. Oddychaj!

Gdzieś za budynkiem padły strzały, najpierw z pistoletu, później z ciężkiego karabinu snajperskiego. I znowu pistolet. Bał się myśleć, co tam się wyprawia na placu jego niedoszłej kaźni.

– Lucek, oddychaj! Luceeek! – Potrząsnął nim jak workiem kartofli.

– Ku... – zakaszlał Bałyś. – Ku...

– Tylko mi nie mów, że „kurwa oddychasz”.

– Nn... oo...

– Płyniemy – zarządził i pociągnął go za sobą, sprawdzając, czy ma twarz nad wodą. Był lekki jak dziecko.

Po pięciu metrach mur się kończył i przechodził w dosyć stromy nasyp, trawiasty i obłożony ażurowymi płytami z betonu. Andrzej wywlókł Lucka na brzeg i ułożył na boku. Uderzył otwartą dłonią w plecy.

– Oddychaj.

Uderzył jeszcze raz.

– Oddychaj.

Strzały umilkły i zapadła przeraźliwa cisza, przerwana cichym ni to puknięciem, ni sykiem. Z budynku dobiegł stłumiony trzask. Andrzej odwrócił się. Na powierzchni kanału pojawił się biały brzuch ryby, po chwili drugi, trzeci, piąty...

– Jezus Maria... – wymamrotał, mrużąc oczy. Kała w końcu otworzył drzwi do swego sekretnego pokoiku.

– Zziimmnnn... – Lucek zaszczękał zębami.

Andrzej zaczął go oklepywać dłońmi po całym ciele, żeby pobudzić krążenie. Mocnymi ruchami rozcierał skórę, a kiedy się trochę zaróżowiła, parę razy zgiął mu kolana. Wykonywały mniej więcej pięćdziesiąt procent normalnych ruchów.

– Możesz wstać?

Potrząśnięcie głową.

– Znaczy możesz.

Wstał i ujął go mocno pod pachy. Lucek był miękki, zimny i roztrzęsiony jak deliryk. Zgięte w łokciu ręce podzwaniały kawałkami łańcucha. Duch nadal straszył.

– Chodź.

Bałyś stanął na nogi. Zrobił jeden krok, ugiął się, zrobił drugi, a potem jeszcze dwa. Wyprostował się, kolana zmiękły i Andrzej musiał go podtrzymać, żeby nie upadł. Zaciął się i znowu stanął prosto, by zrobić jeszcze kilka kroków. Sam.

– Ludzkość wstawała milion lat, tobie się udało w minutę. Nieźle, chłopie.

– Pe... es... gie... – wystękał Lucek i to było pierwsze słowo, które Andrzej dobrze zrozumiał. Trzepnął go pięścią w ramię, a potem objął w pasie i poprowadził ku kępie dzikich zarośli.

4

Przysiedli pod kamienną płytą grobowca, ponieważ zagajnik okazał się starym cmentarzem niemieckim. Z daleka dochodziły dźwięki zaawansowanej cywilizacji w postaci ryku silników, huku wystrzałów i wrzasku ludzi. Bałyś ciężko dyszał, nadrabiając braki tlenowe. Andrzej kawałkiem drutu otwarł bransolety i schował kajdanki do kieszeni, po czym wziął się do rozcierania sinych ud Lucka. Za całe jego ubranie robiły postrzępione pozostałości czarnych legginsów kończących się nad kolanami.

– Wyżej – powiedział Lucek.

– Chciałbyś.

Hurtownia na chwilę przycichła.

– Co tak długo?

– Długo? Raptem dwa tygodnie.

– Zwykle to są trzy dni. Ten wariat chciał mnie zabić.

– Zauważyłem. Nie mogłeś sam uciec? Bohaterowie tak robią.

– Czekałem na przyjaciela, który mnie nie zawiedzie.

– No i doczekałeś się.

– Ale dopiero po dwóch tygodniach. Plasujesz się na dole tabeli.

– Trzeba było poczekać na tych z wyższych miejsc.

– No właśnie. Miałem jeszcze dobrą minutę.

Ćwierć sekundy, pomyślał Andrzej.

Zgodzili się jednak co do tej minuty i na chwilę zapadła cisza.

– Nn... rr... ff... o co ci chodziło tam w celi?

– Nie rób fal.

– Aha.

Krzycki chciał wstać, gdy Lucek uchwycił jego dłoń.

– Gdzie Kała? Żyje?

Andrzej pokrótce zrelacjonował mu ostatnią rekonstrukcję historyczną pod betonowym murem, ze sobą w roli głównej i zbawiennym strzałem nie wiadomo skąd, a właściwie trzema. Pokazał resztki krwi na kolbie sig sauera i opowiedział, jak półprzytomny, obłąkany facet przestrzeloną dłonią usiłował otworzyć drzwi w magazynie. I o tym, jak sam cztery razy nurkował tam i z powrotem, żeby znaleźć tę cholerną rurkę do oddychania, i jak tuż po ich wyjściu z wody ryby zaczęły wypływać brzuchami do góry jak rażone prądem.

Lucek słuchał w milczeniu, a kiedy Andrzej skończył, ścisnął go za nadgarstek zgrabiałymi palcami.

– Andrzej... dzięki.

Z oddali dobiegł głuchy strzał snajperski.

– Nie ma za co. Tylko nie rób tego więcej. Ktoś strzela z wiatraka.

– Możliwe. Dziękuję, Andrzej. Słuchaj, tak mi przykro, wiem, że się narażałeś...

Słuchanie takich rzeczy nie należało do najmocniejszych stron Andrzeja Krzyckiego.

– Tak, tak, ale strzelają z wiatraka. Prosiłeś kogoś jeszcze, żeby cię ratował?

– Nie. Tylko Pana Boga i jednego martwego Niemca – odparł Lucek i ożywił się. – Ten Niemiec zresztą przyszedł, wcisnął swój piszczel w okno i przytkał dziurę. – Poklepał płytę nagrobną za plecami. – Może to nawet ten? Rudolf Diehl, znasz takiego?

Krzycki nie odpowiedział. Przestał masować nogi Bałysia i wstał. Chwilę lustrował wzrokiem okolicę, bo ta znowu zaczęła rozbrzmiewać echem wystrzałów, tym razem gdzieś daleko za lasem. Nieco dłużej przyglądał się pobliskiemu wiatrakowi. Chmury nad nimi rozpękły się i na pomorskie łąki spadł jasny promień słonecznego światła.

– To ty zamówiłeś tę iluminację? – spytał Lucek, pokazując świetlistą smugę. – Że niby taka metafora, co?

– Spróbuj wstać i zrobić parę kroków – powiedział Krzycki, ignorując zaczepkę. – Musimy iść.

– Jestem poważnie osłabiony, cierpię z powodu hipotermii i niedożywienia, powinienem zostać natychmiast odwieziony do szpitala – odparł Bałyś, najwyraźniej nadrabiając nie tylko oddychanie, ale i gadanie. Posłusznie jednak wstał i zrobił parę kroków. – Dokąd idziemy? Z powrotem do wody?

Krzycki szarpnął go za rękę i powiódł między grobami jak malca, który się zgubił i trzeba mu wskazać drogę powrotną do domu. Zagajnik z cmentarzem przechodził w przybrzeżne zarośla, te z kolei kończyły się skarpą oddzielającą ich od pól. Pośrodku nich sterczał pojedynczy wiatrak

górujący nad okolicą i leniwie kręcący łopatami, bardziej z nudów niż obowiązku. Na dachu gondoli poruszały się dwie maleńkie figurki.

– Tam – odrzekł Andrzej. Ścisnął Lucka w nadgarstku, żeby nie silił się na dalsze błyskotliwe pytania, i powiódł w pola ku wiatrakowi.

Szli błotnistą drogą, z przerwami, ponieważ Lucek musiał przysiadać i odpoczywać. Był na bosaka, co nie ułatwiało wędrówki.

– Wiesz – wyznał podczas jednego z postojów – gdy wisiałem na ścianie u Kały i czekałem na ciebie, dużo myślałem o tym, jak ci się odwdzięczę za uratowanie życia.

– Skąd wiedziałeś, że przyjdę cię ratować? Nie chciałeś ze mną gadać. Rozłączyłeś się. Niegrzecznie z twojej strony.

– Wrócimy do sprawy – odparł Lucek wymijająco. – Wiedziałem, że przyjdziesz, bo cię znam. Taki już jesteś.

– Tak? To musisz mi kiedyś opowiedzieć, bo ja nie wiem, jaki jestem. I co wymyśliłeś na tej ścianie? Zrobisz mi laurkę?

– Zrobię ci pieczeń.

– Co?

– Pieczeń, taką *slow-low*, sto stopni i pięć godzin w piekarniku. Tylko sól, pieprz i rozmaryn. Czysta rozkosz. Krucha i soczysta jak pośladek licealistki.

– Chcesz mi upiec licealistkę?

– Nie, zwykłą krowę.

– Jaka to jest niezwykła krowa?

– Zwykła.

– Aha. To nie wiem, czy chcę.

– Chcesz. Pomóż mi wstać, to ci opowiem. A potem ty mi opowiesz, dokąd idziemy i po co. Zgoda?

Zamiast odpowiedzieć, Krzycki wziął go za rękę i poszli dalej. Lucek, sapiąc, rozwodził się nad zaletami pieczeni *slow-low*, podczas gdy Andrzej nerwowo rozglądał się po okolicy.

– Wiesz, ona wtedy podczas pieczenia nie traci soku i nie wysycha. Tylko trzeba ją najpierw dobrze obsmażyć i skarmelizować. To się nazywa „budowanie skórki”... I musisz mocno obwiązać sznurkiem, inaczej się rozłazi i piecze nierówno. Przyznam ci się w sekrecie... specjalnie dla niej kupiłem swego czasu termometr do mięsa. Wiesz, taki ze szpikulcem. Wbijasz i pokazuje, ile stopni jest w środku. Powinno być siedemdziesiąt. Liście rozmarynu kładziesz na wierzch dla aromatu, po upieczeniu zwyczajnie je wyrzucasz... uff.

Zatrzymali się.

– Lucek, głodny jesteś?

– Nie. Tak tylko mówię. Przecież dopiero co zjedliśmy obiad, na który mnie zaprosiłeś po... szczęśliwym zakończeniu interwencji pozasłużbowej. Chyba że to był lunch, a na obiad właśnie biegniemy. Co, jednak nie? Nie na obiad? To na co?

Znowu przysiadł na trawie i ciężko dyszał, ale na twarzy pojawiły się rumieńce. Szczęki też przestały dzwonić, dzięki czemu mógł normalnie mówić. Więc mówił.

– Nie dostałem ani deseru, ani nawet kompotu, stąd wnioskuję, że zaliczyliśmy dopiero lunch, a na obiad to bym dzisiaj, powiem ci szczerze, zjadł...

– Cicho! – syknął Andrzej i uniósł rękę. Zaczął nasłuchiwać odgłosów z pobliskich pól.

– ...takie, dajmy na to, rolady wołowe z kluskami śląskimi i modrą kap...

– Zamknij się.

– ...albo żeberka na miodzie, ale żeby naprawdę wyszły, wcześniej trzeba zamarynować i...

Andrzej stanął za jego plecami, przytrzymał kolanem i po prostu położył mu rękę na ustach. Świeżo straumatyzowany duszeniem Lucek uwolnił się zadziwiająco mocnym szarpnięciem.

– Co jest? Kazałeś mi oddychać!

– Cicho.

Znajdowali się na skraju drogi biegnącej wzdłuż rozległego pola kukurydzy. Pomorze lubiło kukurydzę, a ona lubiła Pomorze, dorodnie wyrastając na wysokość co najmniej dwóch metrów. Jej kilometrowe połacie obfitowały w kryjówki, labirynty i ukryte obozowiska zarówno dla dzikich zwierząt, jak i dla dzikich ludzi. Gęsty las równych, sztywnych pędów tworzył również doskonałą osłonę dla kogoś, kto chciałby pojawić się z zaskoczenia, na przykład wypadając nagle zza zakrętu. Tego właśnie nasłuchiwał jeden z nich, w czym drugi wydatnie mu przeszkadzał.

– Przecież ja tylko...

Warkot silnika i zgrzyt skaczącego na dziurach zawieszenia doszły do nich całkiem niespodziewanie, wóz był tuż za zakrętem. Andrzej złapał Lucka pod pachy, jak przy holowaniu pod wodą, i wciągnął w kukurydzę. Zdołali zagłębić się między dorodne zielone pędy może na pięć metrów, gdy drogą przemknął samochód. Zasłaniając blade ciało Bałysia, Krzycki patrzył w bolesnym zdumieniu na audi Doroty. Na przednim siedzeniu jaśniał łeb najwyraźniej nieśmiertelnego Kały, a na tylnym siedziała... Dorota we własnej osobie. Miała lufę tuż przed twarzą. Samochód podskoczył, zawył i pomknął dalej drogą jak ranny kundel.

– Przytomny jesteś? – spytał Lucka, który coś mamrotał o kolendrze i kardamonie, jakby układał bajkę o miłości krasnoludków.

– Jasne.

– Pamiętasz pierwszą zasadę Krzyckiego?

– Jak coś może pójść najgorzej, to na pewno pójdzie.

– No to właśnie, kurwa mać, poszło.

– Pojechało – doprecyzował Lucek. – Pojechało się je... Hej, czy tam nie siedziała...?

– Siedziała.

Tym razem nie musiał go podnosić. Bałyś poderwał się jak oparzony i nim Krzycki zdążył go powstrzymać, wybiegł na drogę i pognał za samochodem.

Osłabiony hipotermią i niedożywieniem chudzielec nabrał nagłych sił, jakby tylko czekał na nowe nieszczęście, żeby powrócić do zdrowia. Sadził na bosaka coraz dłuższe susy, korzystając z trawiastego pobocza, i w miarę pokonywanych metrów nabierał rozpędu. Andrzej, którego wyczerpanie również zaczęło zbliżać się do fazy hospitalizacji, miał problemy z dogonieniem go. Dorota... Ten strzał... Mógł się domyślić. „Jak już zaliczysz wszystkie licealistki, zadzwoń”. Niech to szlag!

– Lucek, poczekaj! – wołał bez większego przekonania. Wreszcie ganianie za dwoma szybszymi od niego wariatami uznał za bezcelowe i się zatrzymał.

Nieco dalej droga skręcała w lewo, na wprost łąka schodziła ku skarpie, dalej jeziorko i stary cmentarz niemiecki. Lucek biegł coraz szybciej, tylko wzdłuż drogi, chociaż na przełaj kukurydzą byłoby szybciej...

Nie zdążył wymyślić niczego więcej, ponieważ wydarzenia na polnej drodze przybrały nieoczekiwany obrót. Lucek zwolnił, dystans między nim a audi wzrastał z każdą minutą aż do momentu, gdy samochód znikł za zakrętem. I wtedy Bałyś zrobił coś dziwnego. Zatrzymał się, wszedł na środek drogi między błotniste koleiny i podparł się pod boki jak zwycięski biegacz, samotny długodystansowiec. Dyszał ciężko, ruch ciała w rytmie zmęczonego oddechu widoczny był nawet z odległości stu metrów. Ale był to oddech zdrowy, głęboki, życiodajny.

Czekał tylko parę sekund. Samochód wypadł zza zakrętu dokładnie tak samo jak poprzednio. Zabuksował i po wyrównaniu kół pomknął prosto na Bałysia. Ten stał jak wryty.

– Lucek! On ma broń!

Jego krzyk mijał się z celem. Ocaleniec miał nowy plan na efektowną śmierć, a może powrót do życia, trudno powiedzieć. Najwyraźniej w bunkrze Kały nabrał nowych przyzwyczajeń. Jemu pozostało tylko podbiec parę metrów i stanąć na poboczu z dłonią na kolbie sig sauera. Czekał. Jeśli podjadą jeszcze bliżej, może odległość będzie wystarczająca...

Manewr wydawał się niemożliwy do wykonania, a Lucek jednak to zrobił. W odległości około pięćdziesięciu metrów od najeżdżającego na

niego samochodu ruszył do biegu. Pochylony jak skoczek i chudy jak dziecięcy rysunek, biegł coraz szybciej, sprężyściej, rozkręcając ciało do tej swojej śmiercionośnej dynamiki, którą kilku gangsterów miało okazję widzieć jako ostatnią rzecz w życiu. W miarę zbliżania się wydłużał krok i prostował ramiona. Trwało to pięć, może siedem sekund, i to właśnie one rozstrzygnęły o powrocie Lucka Bałysia do tego świata. Andrzej patrzył na to z przerażeniem i zachwytem.

Huknął strzał i przednia szyba audi rozprysła się na kawałki. Z kabiny wysunęła się uzbrojona ręka i huknął następny strzał. Lucek biegł niewzruszenie, jakby wyjące na wysokich obrotach i strzelające audi w ogóle dla niego nie istniało. Pięć metrów przed maską odbił się i wyskoczył w górę. Zdawało się, że zaledwie muska lewą stopą klapę silnika. Prawa stopa wystrzeliła w przód i pistolet zdążył jeszcze wypalić, jednak w następnej sekundzie wyleciał w powietrze, jakby chciał dogonić właśnie wyrzuconą kulę. Bałyś obiema stopami odbił się od dachu i poszybował w błotniste koleiny, podczas gdy wyjące audi nagle skręciło w kukurydzę i po kilku metrach zatrzymało się z chrzęstem gniecionych, twardych łodyg.

Andrzej wyszarpnął zza pasa pistolet i biegł, celując w miejsce, gdzie zniknął pojazd. Ze stopami wbitymi w błoto Lucek przykląkł, tym razem przypominając dyskobola przed rzutem, po czym odwrócił się i poszedł w kukurydzę. Nawet nie próbował szukać pistoletu, który w tak fenomenalny sposób udało mu się wytrącić z ręki Kały. Był w innym porządku działania.

Gdzieś w gęstwinie trzasnęły drzwiczki, zaszeleściły gwałtownie potrącane liście, a kiedy Andrzej wbiegł w wyrąbany w łodygach korytarz, ujrzał daleko przed maską samochodu znikające nagie plecy.

Uchyliły się tylne drzwi.

– Dorota – powiedział cicho przez ściśnięte gardło.

– Jestem – odparła. Zachwiała się i ciężko oparła o ubłoconą karoserię. Podbiegł, żeby ją podtrzymać, ale go odepchnęła. – Idź za nim. Pomóż mu. Ja sobie dam radę.

– Dorota...

– Idź!

Ścisnął ją za rękę i pobiegł, nie bardzo wiedząc, co właściwie robi.

Trochę mu zajęło znalezienie ich. Ciało emerytowanego inspektora Artura Kały leżało na boku, z podkurczonymi kolanami i bez głowy, bo ta niknęła gdzieś między świeżo wymasowanymi udami Lucka. Wierzgające stopy traciły koordynację, Kała żegnał się z tym parszywym, nieznośnym życiem. Bałyś odbierał mu oddech.

– Dosyć – powiedział Andrzej. – Już po wszystkim.

Lucek szarpnął jeszcze raz, a potem puścił bezwładną głowę i wstał. Dyszał ciężko. Na jego twarzy nie było cienia uśmiechu. Ani wątpliwości. Chwilę patrzyli na siebie i Krzycki zrobił pierwszy krok.

– Wróciłeś.

– Tak. Już po wszystkim.

Wreszcie mogli się uściskać.

5

Dominika wciąż siedziała na tylnym siedzeniu i prawym przedramieniem dociskała szyję kierowcy do oparcia fotela. Oczy Orangiego wyszły na wierzch i nieziemsko zdziwione przyglądały się wracającym mężczyznom, język zwisał na brodę jak zdechła jaszczurka, a zgnieciony garb wypchnął zniekształconą pierś do przodu. Dziewczyna miała zamknięte oczy i trzęsła się jak osika. Jej lewa ręka z całej siły ciągnęła prawy nadgarstek i Dorota musiała odgiąć palce, żeby uwolnić szyję martwego garbusa.

– Dosyć – powiedziała miękko. – Popatrz, kto tam idzie.

Nie otwarła oczu, tylko rozpłakała się i zasłoniła twarz rękawem Doroty, jak dziecko, które boi się, że niespodzianka się nie uda. Podeszli wolno, z niepewnymi minami, pierwszy odezwał się Andrzej.

– Masz, oddaję ci Lucka.

Trochę trwało, zanim otworzyła oczy i spojrzała na nich. Lucek delikatnie odsunął Dorotę i wziął żonę za ramiona.

– Hej, wysiądźże z tego gruchota.

Wysiadła niezgrabnie, po omacku znalazła jego szyję i zawisła na niej. Kurczowo zaciskając powieki, drżała przestraszona, że to wszystko nieprawda, że horror trwa nadal, tylko ktoś sobie z niej stroi okrutne żarty. Lucek gładził ją po włosach i mruczał do ucha. Ona słuchała i słuchała, pozwalając ciemności rozwiewać się stopniowo, krok po kroku, by obolała dusza wytrzymała napór żywiołu szczęścia. Kiedy wreszcie puściła go i odważyła się spojrzeć mu w twarz, zdołała tylko powiedzieć:

– Jezu, jak ty wyglądasz. Jesteś nagi.

Więcej nie zdążyła. Kiedy zaczęli się całować, Andrzej z Dorotą dyskretnie odwrócili się tyłem. Wziął ją za rękę.

– Dorota...

Wyszarpnęła się i odeszła. Kopnęła oponę swojego ubłoconego samochodu bez przedniej szyby, ale za to z trupem garbusa za kierownicą.

– Jak ja tym teraz wrócę do Krakowa?

– Nie wygłupiaj się. Pojedziemy razem. Moja toyota powinna stać gdzieś na policyjnym parkingu. O ile jej w międzyczasie nie sprzedali, żeby mieć na piwo i hamburgery.

Odwróciła się i zmierzyła go ostrym spojrzeniem, jednym z tych, wobec których był zupełnie bezradny.

– Dlaczego przypuszczasz, że będę chciała z tobą wracać do Krakowa? Albo że w ogóle będę chciała jeszcze z tobą kiedykolwiek mieć do czynienia? Przyjechałam uratować ci tyłek i zaraz wracam do syna. Sama.

– Ale, Dorota...

– Potrzebujesz towarzystwa na powrót do Krakowa, to sobie poszukaj wśród maturzystek. Mają wakacje i dużo wolnego czasu, na pewno ze trzy się zgodzą. A nawet jeśli nie, zawsze masz jeszcze Lalę. A tak na marginesie, gdzie ona jest?

– Nie żyje.

Chciała coś powiedzieć, zająknęła się i zamilkła. Oparła się o samochód i zasłoniła twarz, a potem usiadła na krawędzi kukurydzianego pola i zaczęła płakać. Najpierw cicho, do rękawa, a kiedy śluzy puściły, przycisnęła dłonie do oczu i rozszlochała się na dobre. Nie wiedział, co robić. Przysiadł się do niej i po prostu słuchał jej łkania, jakby to była tęskna pieśń ich kulawej, nieudanej miłości.

– Nawet Lali nie umiałeś upilnować! A chcesz się opiekować mną i dzieckiem? Boże, jak ja cię nienawidzę!

Zacisnął szczęki. Ich związek wisiał na cienkiej nitce. Tak cienkiej, że prawie niewidocznej.

Wtedy zaczął opowiadać. Jak Lala pomogła mu przetrwać po ucieczce ze szpitala, jak jeździła z nim do Niemiec, a potem buszowała po pomorskich bunkrach w poszukiwaniu Lucka. Opisał jej wściekłość na widok zabitego kundla, umazany krwią pysk, przypominający barwy wojenne plemiennych mścicieli, i jej mądrość, dzięki której dowiedział się o kryjówce Kały. Że kiedy nie miał wokół siebie ani jednego człowieka, mówił do Lali, a ona słuchała i odpowiadała dobrą radą. A potem opowiedział o tamtej nieszczęsnej brzezinie z parkiem linowym i młodym Dudasem.

– Byłem jeszcze trochę słaby. Chyba straciłem przytomność. Rzuciła mu się do gardła, kiedy chciał wbić we mnie nóż. Wbił w nią. I tak tam została, bo ja musiałem iść dalej.

Zamilkł i czekał, ale nic się nie działo, więc wstał i po prostu poszedł drogą.

Dorota przestała łkać i patrzyła za nim mokrymi oczami. Nic z tego nie rozumiała. Dokąd on teraz lezie?

– Bałwan – mruknęła i odwróciła się. Tamci dwoje stali tuż za nią.

– Nie mów tak – powiedział Lucek, kładąc jej rękę na ramieniu. – Przeszedł przez wszystkie kręgi piekła, zanim dotarł do mnie. Nie można więcej. Tam, pod ścianą... chyba chciał już umrzeć. Nie zostawiaj go teraz samego.

Dmuchnął wiatr i liście kukurydzy zaszeleściły im za plecami jak antyczny chór, który musi teraz wyrecytować morał. Chmury na pomorskim niebie w kilku miejscach utraciły pewność siebie z ostatnich dwóch tygodni i pokazały skrawki błękitu. Zrobiło się cieplej.

– Wiem – odparła cicho. Wysiąkała nos, podniosła się z ziemi i niepewnym krokiem poszła za Andrzejem. Jej zgrabne pośladki, utytłane pomorską ziemią i kurzem z dachu gondoli, kołysały się na nierównej drodze. Dominika objęła męża w pasie. Lucek w jej kurtce narzuconej na nagie, brudne ciało wyglądał jak model wyrafinowanej firmy odzieżowej, specjalizującej się w stylach enduro i extreme.

– Wrócą razem? – spytała.

– Jeśli od razu się nie pozabijają, za jakieś pięć minut powinni wrócić.

Wrócili, trzymając się za ręce. Chwilę później zza zakrętu wyjechały cztery policyjne samochody na sygnale i trzęsły się na dziurawej drodze, robiąc za sensacyjne tło Dorocie i jej odzyskanemu mężowi. Którym, urzędowo rzecz biorąc, nie był.

6

– Skąd wiedziałeś, że cię nie trafi? – spytał Andrzej, kiedy już siedzieli we czwórkę na tylnych siedzeniach zakratowanej furgonetki, trochę w charakterze uratowanych ofiar, a trochę oskarżonych o rozbój ze skutkiem śmiertelnym. Komendant Krzysztof Zdybas aresztował ich osobiście, jednocześnie gratulując udanej akcji odbicia zakładników. Użycia liczby mnogiej w tym kontekście nie wyjaśnił.

– Mówiłeś, że Kała ma rozwaloną prawą dłoń – odparł Lucek – więc pistolet mógł trzymać tylko w lewej. Z miejsca pasażera nie da się wtedy strzelać przez okno, można jedynie przez przednią szybę. Musiał ją zbić i strzelać, unosząc rękę nad konsolą, więc nie dał rady kontrolować tyłu, dzięki czemu siedząca tam Dorota mogła zareagować. Nie wiedziałem, że Dominika też siedzi w aucie, bobym się przestraszył i na pewno coś

spieprzył. No i za mną stał mój najlepszy przyjaciel z dobrym pistoletem, z którego trafi we wszystko, w co będzie chciał.

– Na przykład w twój tyłek.

– Wiesz, partaczu, chodzi o wyczucie tego optymalnego momentu. Ćwierć sekundy, normalnie.

– Ile?!

– A wiecie, że Dorota dokładnie tak zrobiła! – zawołała Dominika. – Gdy on wyciągnął pistolet i ściągał spust, podbiła mu łokieć. A ja złapałam tego garbatego za szyję i skręcił. Wjechaliśmy w kukurydzę. Czy ty mu złamałeś też tę drugą rękę? – zwróciła się do Lucka.

– Nie wiem. Ale to już chyba nie jest ważne. Która z was wpadła na pomysł z karabinem na wiatraku?

– Ja – burknęła Dorota i na wszelki wypadek się obraziła.

– Mogli was stamtąd zdjąć. Także policja – zauważył Andrzej. – Przecież te wejścia są monitorowane przez firmy ochroniarskie.

– Dorota zakleiła kamerę błotem – powiedziała Dominika. – Trafiła za pierwszym razem.

– Mimo wszystko to nie było rozsądne. Strasznie się narażałyście.

– Nie ma za co – odparła Dorota. – Jaka ulga, kiedy ci szczerze podziękują za pomoc. Nie mówię, że za uratowanie życia, tylko za zwykłą sąsiedzką pomoc, z wiatraka tuż obok.

– Przepraszam – dodał szybko Andrzej.

– Masz szczęście, że uwolniłeś Lucka, inaczej bym ci nie darowała.

– On? – zdziwił się Lucek. – Ależ skąd! Uratował mnie stary Niemiec, a właściwie jego kościotrup. Zatkał dziurę w oknie.

Dziewczyny spojrzały po sobie.

– Jaki Niemiec?!

– Słyszałem – wtrącił Andrzej – że długotrwałe niedotlenienie doprowadza do pewnych nieodwracalnych zmian w mózgu, co rzutuje na różne ośrodki nerwowe, na przykład ruchu, mowy, także na pamięć

i zdolność kojarzenia. Niewykluczone, że u podkomisarza Bałysia doszło do porażenia niektórych syna...

– Masz jeszcze tego sig sauera? – przerwał mu Lucek. – Pożycz na chwilę.

– ...synaps. Rośnie wtedy również poziom nieuzasadnionej agresji...

– Sierżancie! – krzyknął Bałyś do tęgiego, łysego szofera. – Proszę się zatrzymać, chcę wysiąść! Tu jest mobbing!

– Co jest? – spytał sierżant, zwalniając.

– Proszę ich nie słuchać, to skutki szoku pourazowego – uspokajała Dominika.

Sierżant obrzucił ich niechętnym spojrzeniem i już więcej się do nich nie odwrócił.

– A tak właściwie to kto drugi strzelał? – spytał Andrzej. – Ci dwaj upadli jednocześnie. Narożnik budynku zasłaniał tego po mojej lewej, z wiatraka nie dało się go trafić.

Dominika spuściła głowę.

– Benek Mrówczyński. Siedział na drzewie po drugiej stronie jeziora – wyjaśniła Dorota. – Chwilę później zginął. Widziałyśmy, jak spada.

– Benek?! – krzyknęli obaj równocześnie. – A co on tam robił?

– Zdybas go wysłał – wtrącił się drugi policjant, zajmujący przednie siedzenie. – Miał wziąć paru ludzi i kontynuować poszukiwania, ale on wolał iść sam.

– Ja go wysłałam – odezwała się cicho Dominika. – To znaczy powiedziałam mu o kryjówce, a on mi obiecał, że cię znajdzie i uratuje. Właściwie trochę uratował...

Zapadła niezręczna cisza, którą odważył się dopiero przerwać Andrzej, jako najstarszy i najwyższy stopniem.

– Słuchajcie, widzieliście może gdzieś posterunkowego Zbigniewa Dziengiela?

– Kogo?

– Taki wielki chłop. Podprowadziłem mu samochód, a potem wyciągnąłem z bunkra. Pomógł mi w brzezinie. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że to on postrzelił Kałę.

– Zbyszek też nie żyje – powiedział policjant z przodu. – Prąd go zabił.

– O cholera.

Andrzej przypomniał sobie martwe ryby w wodzie. Pewnie facet wszedł do celi Lucka zaraz za nim. Spóźnił się bardzo mało i zarazem o wiele za dużo.

– Właściwie to on mi uratował życie.

To wyjaśnianie wątków i ustalanie, kto komu jeszcze uratował życie, wyglądało coraz bardziej przygnębiająco, więc resztę drogi do Słupska spędzili w ciszy. Lucek gładził dłoń Dominiki. Ona opierała głowę na jego ramieniu i patrzyła z boku na zmężniały, wyostrzony przeżyciami profil. Brakowało filuternego loczka, ale podobno czas leczy rany, balwierskie również.

Andrzej i Dorota siedzieli sztywno jak małżeństwo amiszów w drodze do kościoła. Diabli wiedzą, jak Bóg zareaguje na ich najnowsze grzechy.

Przed komendą w Słupsku czekał na ocalonych i aresztowanych nie kto inny, tylko krakowski komendant, inspektor Dariusz Byczkiewicz. Minę miał tak surową, że spojrzeli po sobie i zaraz skierowali wzrok na Andrzeja. W końcu był szefem wydziału kryminalnego. Ten wzruszył ramionami.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedział z udawaną obojętnością. – Już dla niego nie pracuję.

– Coo? Jak to nie pracujesz?

– Złożyłem wymówienie. Przez telefon. Jak będę miał dostęp do papieru, złożę też na piśmie. Nie będziemy o tym dyskutować – uciął na widok ich zdziwionych min.

Kiedy tylko samochód się zatrzymał i policjant otworzył tylne drzwi, inspektor Byczkiewicz odepchnął go i wtedy się okazało, że jednak będą dyskutować.

– Kurwa mać, Krzycki, wyrwę ci wątrobę i zjem z cebulą – zaczął dowódca z lodowatym ogniem w oczach. – Reszcie poobcinam pensje, razem z włosami, uszami, napletkami i co tam jeszcze zbędnego mają. Dominika, idziesz na sprzątaczkę do sanitariatów. Lucek na parking. – Dopiero na końcu zatroszczył się o ludność cywilną. – Cześć, Dorota, nic ci nie jest?

Wyprowadził ich z furgonetki jak barany do rzeźni, Andrzeja na końcu. Odciągnął go na bok i syknął do ucha:

– Nic im nie tłumacz. Ja będę mówił.

– Komu mam nic nie mówić?

– Policji.

– Jak chcesz – powiedział Krzycki, wzruszając ramionami. – I tak już tam nie pracuję.

XII

Sprzątanie i powrót

1

Śledztwo w sprawie zajść w hurtowni paszy pod Przestawnem przekazano Prokuraturze Okręgowej w Warszawie, ponieważ sam pan minister chciał mieć wgląd w jego przebieg. W związku ze śmiercią policjantów podczas akcji oraz podejrzeniami o udział przestępczości zorganizowanej do Słupska przyjechał cały zespół prokuratorów, którzy prowadzili wielogodzinne przesłuchania świadków w celu sporządzenia w miarę rzetelnego obrazu tej niebywale skomplikowanej sprawy o wielowątkowej dramaturgii. Szybko okazało się, że śledztwo rozpada się na kilka wątków równoległych. Jeden dotyczył lokalnych umocowań Artura Kały, jego legalnych i nielegalnych biznesów, w tym spekulacyjnego obrotu ziemią i wymuszania umów kupna, co wymagało dokładnego przyjrzenia się działalności tutejszych notariatów i kancelarii prawnych. Drugi związany był z samą akcją poszukiwania i odbijania porwanego oficera policji, podkomisarza Lucjana Bałysia, gdzie doszło do wielu uchybień i niedociągnięć, zachodziło również podejrzenie, iż niektóre z nich mogły być celowe. Zwłaszcza skupiano się tutaj na decyzjach oraz braku decyzji ze strony samego komendanta jednostki, inspektor Krzysztof Zdybas należał więc do regularnych gości w pokoju przesłuchań. Kolejny wątek, morderstwo Rajmunda Kuleszy, w niejasny sposób łączyło się ze sprawą gruntów oraz działalnością Artura Kały w sektorze nieruchomości. Nic jednak konkretnego w tej sprawie nie udało się ustalić, ponieważ podejrzani oraz główni świadkowie nie żyli, natomiast reszta, niezbyt liczna, nie okazywała chęci do rozmowy. Szczególnie w tym względzie wyróżniały się

pracownice urzędu gminy, bo choć potencjalnie mogły wiedzieć wiele, milczały jak grób.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że rolę gwiazdy w przesłuchaniach odgrywał inspektor Andrzej Krzycki, wprowadzany do budynku z ulicy w błysku fleszy i gąszczu mikrofonów najważniejszych mediów. Szczupłe brunetki z długimi paznokciami torowały sobie drogę do niego w bezpardonowych przepychankach. Na ich pytania odpowiadał długo i rzeczowo, z miną tak poważną, że aż piały z zachwytu. W ten sposób prośbie jego szefa, by nic nie mówił, stało się zadość, tylko całkiem odwrotnie.

Na przesłuchaniach okazywał już nieco większą powściągliwość.

– Panie inspektorze, czy w sobotę 19 sierpnia wieczorem był pan w sklepie spożywczym w Grębówku przy ulicy Słupskiej 8a? – pytał chłodno młody prawnik w eleganckim garniturze.

Andrzej nie kojarzył żadnego z trzyosobowego zespołu przesłuchujących.

– Nie znam adresu, ale byłem w sklepie w Grębówku w ostatnią sobotę.

– Czy widział pan tam samochód zamordowanego Rajmunda Kuleszy, grafitowe audi typu hatchback, o numerach...

– Nie widziałem.

– A czy widział pan samą ofiarę?

– Nie.

– Mamy tu wyniki badań laboratoryjnych, z których wynika, że pański samochód zaparkował tuż obok pojazdu ofiary tamtego wieczoru.

– Mówiłem już, byłem w sklepie, kupiłem kilka produktów dla siebie i psa, po czym pojechałem dalej.

– Dokąd?

– Do znajomych w Niemczech.

– W jakim celu?

– Potrzebowałem od nich pewnych informacji potrzebnych do podjęcia skutecznych poszukiwań podkomisarza Bałysia.

– Jakich informacji?

– O rozkładzie w tym rejonie niemieckich umocnień ziemnych z czasów drugiej wojny światowej. Zakładałem, że porywacz ukrywa się w jednym z nich. Był pasjonatem rekonstrukcji historycznych z ostatniej wojny. Chorym pasjonatem, o czym panowie wiedzą chociażby na podstawie ubrań części ofiar strzelaniny w Przestawnie.

– Tak – zgodzili się ponuro. – Jak brzmi nazwisko tych znajomych?

Andrzej zawahał się. Nie wiedział, czy Heike i Ottonowi spodobałoby się, że wciąga ich w śledztwo, choć w sumie mogłoby to im pomóc w ich własnych poszukiwaniach. Wydarzenia późniejszych miesięcy pokazały, że w tej sprawie mocno się pomylił.

– Nie sądzę, by nazwiska tych ludzi cokolwiek wniosły do sprawy.

– Może pozwoli pan, że my o tym zdecydujemy – powiedział jeden z nich, najmłodszy i najbardziej ambitny w prokuratorskiej karierze, co dało się zauważyć już w sposobie stawiania pytań. Zapewne pilnie śledził telewizyjne sprawozdania z przesłuchań komisji śledczych. Był niemiły.

– Nie – uciął krótko Krzycki.

– Jak pan chce, panie inspektorze – dodał drugi bardziej polubownym tonem. – Zakładamy, że pan wie, co robi.

– Dziękuję.

– Czy oprócz zmarłej sprzedawczyni Lucyny Śmigoń widział pan kogoś jeszcze wtedy w pobliżu sklepu? Samochód, pieszych, rowerzystów?

– Tak, widziałem czerwonego golfa na słupskich numerach, według mojej najlepszej wiedzy należącego do Sławomira Dudasa, a wcześniej do jego starszego brata, Rafała. Obaj nie żyją, jak panowie wiecie.

Po ustaleniu istotnych i nieistotnych szczegółów tamtego spotkania przesłuchujący zadali na koniec pytanie z gatunku opisowych, na rozprawkę lub esej.

– Jest pan doświadczonym oficerem śledczym, jednym z najlepszych w kraju. Czy mógłby nam pan przedstawić swoją wersję wydarzeń? Jak pan sądzi, co tam się właściwie wydarzyło? Kto zabił Rajmunda Kuleszę?

Pytał ten najsympatyczniejszy, o okrągłej twarzy i pogodnych oczach, budzących zaufanie. W konwencji przesłuchań to tak zwany dobry glina.

– W moim przekonaniu chodziło o nastraszenie rodziny Śmigoniów, która nie chciała sprzedać pola w Korczewie, nadającego się pod budowę farmy wiatrowej. Jak pewnie panowie wiecie, niemiecki inwestor przeprowadził wstępne badania terenowe i meteorologiczne i nadał tym gruntom oceny jedne z najwyższych na Pomorzu. W przypadku wielkiej farmy i inwestycji idących w miliony euro bardziej opłaca się kupić grunt rolny na własność i następnie go przekształcić niż bez końca płacić za dzierżawę. Kała o tym wiedział, dlatego podkupywał ziemię i czekał na wzrost ceny, co przy takiej atrakcyjności terenu prędzej czy później musiało nastąpić. Problem sprawiali jedynie Śmigoniowie. Poszli na skargę do wójta Kuleszy, który cierpiał na fobię antywiatrakową i nie chciał mieć w swojej gminie turbin. Bo mielą umysły, psują dusze i powodują raka. Takie tam głupstwa. Wójt obiecał im pomoc, więc Kała wymyślił, że podrzuci Śmigoniowej do sklepu skatowane ciało Kuleszy, by się przestraszyła i kazała mężowi sprzedać pole.

– Twierdzi pan, że Artur Kała zlecił morderstwo?

– Nie morderstwo, tylko porwanie i pobicie. Wykonali je współpracujący z nim cudzoziemcy. Już wcześniej wynajmował ich do różnych prac. Macie to w dokumentacji u inspektora Zdybasa.

– Oczywiście – odparł odruchowo ten miły. Niemiły w tym samym czasie mruknął:

– Nic nam o tym nie wiadomo.

– Niestety, przy tej rozmowie musiał być obecny Sławomir Dudas i postanowił się przyłączyć. Kiedy porywacze podrzucili pobitego Kuleszę pod sklep, ten młodociany psychopata go porwał, wywiózł w pola, zamordował i przywiózł z powrotem samą głowę.

– Po co?

– Nie wiem.

– Gdzie jest reszta ciała Kuleszy?

– O to już trzeba spytać psychopatę – odparł Krzycki i spojrzał za okno, gdzie zapowiadał się ostentacyjnie słoneczny koniec wakacji. Jak zawsze. Tamci chwilę milczeli, kiwając głowami. Przetrawiali podane przez Andrzeja informacje, on tymczasem zastanawiał się, co to są wakacje i kiedy się zaczęły, skoro właśnie się kończą. I że podobno w czasie wakacji ludzie mają urlopy i wyjeżdżają nad morze. Prawie tak jak on, ale „prawie” robi sakramencką różnicę.

– Skąd pan to wszystko wie, inspektorze? – zapytał na wszelki wypadek ten niemiły, bo na szczerą odpowiedź już chyba nie liczył.

– Artur Kała mi powiedział – natychmiast skłamał Krzycki. – A gdybyście chcieli potwierdzenia, to z pewnością macie próbki krwi Kuleszy z tylnego siedzenia czerwonego golfa, prawda? I takie same próbki z czarnego bmw 353, którym jeździli tamci zawodowcy zabici w Przestawnie. Niech technicy zbadają dokładnie drobinki gleby w wozie Dudasa, może w ten sposób dojdą do miejsca, gdzie ukrył ciało. Przepraszam, z pewnością już to robicie.

– Tak – zgodził się krótko ten miły. Niemiły już więcej się nie odezwał.

Kiedy skończyli, to właśnie ten miły wyprowadził go z pokoju. Szli długim korytarzem do głównego holu.

– Pan tam pod sklepem widział głowę Kuleszy – bardziej stwierdził, niż spytał. – Dlaczego nikogo pan nie powiadomił? To prawie jak współudział w zbrodni.

Krzycki zatrzymał się i popatrzył mu prosto w ciemne, błyszczące oczy, tak łatwo wzbudzające zaufanie.

– Pan jest sympatycznym człowiekiem i z pewnością ma wielu przyjaciół. Ja nie jestem taki sympatyczny i mam tylko jednego. Resztę niech pan sobie sam dopowie – powiedział i ruszył dalej.

– Tak, rozumiem – zgodził się tamten, goniąc Krzyckiego korytarzem. – Wzywanie policji, zatrzymanie, przesłuchania, protokół, a pan nie miał

czasu. Musiał pan szukać swojego oficera. Ale należało chociaż zadzwonić do kogoś, nie wiem, powiadomić jakoś o zdarzeniu! Czy na całym Pomorzu Środkowym nie było nikogo, z kim mógłby pan o tym porozmawiać?

– Była suka Lala – odparł Krzycki. – Rozmawialiśmy o tym sporo, za co zapłaciła życiem. Powiem panu, milczenie jest lepsze.

Pchnął wahadłowe drzwi i zbiegł po schodach, zostawiając sympatycznego prokuratora sam na sam z nowymi informacjami.

2

Lucek Bałyś nie brał udziału w przesłuchaniach, ponieważ inspektor Krzysztof Zdybas łaskawie załatwił mu status poszkodowanego i umieścił na obserwacji w szpitalu wojewódzkim, tym samym, z którego Krzycki niecały tydzień wcześniej zorganizował ucieczkę. Andrzej podejrzewał, że Zdybas boi się zwrócić bezpośrednio do niego, więc próbuje zdobyć względy okrężną drogą, przez Lucka. Dalsza kariera tutejszego komendanta w ogromnym stopniu zależała od zeznań ich obu.

Bałyś wysłuchał relacji o postępach w śledztwie i w gadaniu o postępach w śledztwie.

– Dużo nałgałeś? – spytał.

– Prawie wszystko.

– Ale gdzie w takim razie leży prawda? – zafrasował się Bałyś i podrapał po przedramieniu. Wskutek długotrwałego przebywania w brudnej wodzie nabawił się ciekawych urozmaiceń dermatologicznych.

– No, to może wiedzieć chyba tylko Gerda Liebner – odparł Krzycki.

– Według ciebie trzeba się cofnąć aż o tyle?

– Uhm. Dzisiaj tu posprzątają, ale jutro znowu coś wylezie spod ziemi i zadziała. Jak u tych młodych pomocników Kały, poprzebieranych w błazeńskie pseudomundury i uzbrojonych w stare szmajsery. Wiesz, co ich przy nim trzymało? Myślałbyś, że obietnica kariery w strukturach mafii, awans na dilera dzielni albo bossa rewiru, w najgorszym razie uzależnienie

od prochów. Nie! Oni chcieli sobie po prostu postrzelać! Marzyło im się zagranie w realistycznym dokumencie, w scenerii niemieckich schronów i z prawdziwymi automatami. A także z prawdziwą krwią żywych ludzi. Mieli ochotę sobie kogoś zabić!

– Myślisz, że aż tak?

– Nie myślę, wiem – mruknął Krzycki. – Słyszałem rozmowę z tymi dwoma, co przeżyli. Poddali się z ociąganiem i nie chcieli oddać policji „zabawek", jak się wyrazili, bo to ich ulubione.

– Ja cię przeździelę...

– Mówię ci, naucz się wreszcie świata, Bałyś. Zło jest jak franca, przechodzi z człowieka na człowieka i zaraża. Trochę potrwa, zanim dotrzesz do ogniska i je zneutralizujesz.

– Jasne – zgodził się Lucek. – Pracuję nad tym. Jak mi idzie?

– Powiedziałbym, pięć na dziesięć. Pracuj dalej, podniosę na szósteczkę, kiedy ci loczek odrośnie.

– A im jak idzie? – Lucek pokazał brodą za okno. Miasto tonęło w żółtym świetle popołudniowego słońca.

– Oni na razie próbują uporać się z objawami, zresztą bez oszałamiających sukcesów. I nie to jest najważniejsze, bo sprawców nie da się ukarać. Zginęli. Rozmawiałem z Hadczukiem i zabronił mi wspominać na przesłuchaniach cokolwiek o mętnej roli kancelarii Smuta & Wądlik w gruntowych machinacjach. Nie wiem dokładnie w czym rzecz, ale wyglądało na to, że trzeba kogoś kryć, i to dla dobra ludzkości. A przecież wiemy od Dominiki, że to właśnie ta kancelaria maczała palce w zleceniu na Kuleszę. Paranoja, mówię ci. Muszę pogadać z Ryśkiem.

– Widzę, że z powodu przedłużonej gościny u Kały wiele mnie ominęło – stwierdził Lucek. – O co w tym wszystkim chodzi? Po co ten młodociany psychopata porwał nieprzytomnego wójta, dobił i odciął mu głowę? Po co mu to było?

Andrzej pstryknął go palcem w ramię.

– Odpowiem ci pytaniem, bo podobno stawianie pytań jest lepsze od dawania odpowiedzi. Co napadło mojego przyjaciela, oficera policji, żeby w pojedynkę i z gołymi rękami rzucać się na dwunastu uzbrojonych gangsterów i wiązać ich do drzewa jak barany? Po jaką cholerę wypowiedział wojnę całej pomorskiej mafii, wiedząc, że zginie? Dlaczego nie pozwolił sobie pomóc i szedł w zaparte jak zombie na amfie? Mam pytać dalej?

Lucek powoli pokręcił głową, a że wydało mu się to za mało, jeszcze nią potaknął.

– To inna sprawa – uciął.

– Każda sprawa jest inna. Pewnie dlatego, że ludzie są różni. Tego też się nauczcie, podkomisarzu, przyda się w pracy.

Pan podkomisarz w różowej piżamie siedział w pozycji kwiatu lotosu na środku szpitalnego łóżka.

– Na tych ziemiach dzieje się coś niedobrego – powiedział w zamyśleniu do siebie. – Niezliczone dusze potępione wyją tu po nocach i można się tylko domyślać, do kogo należały. W bunkrze czasem zdawało mi się, że je słyszę. Taki szum, który po dłuższym słuchaniu przestaje być jednostajny i zaczyna falować, rwać się, układać w wyrazy i całe zdania. Ten Rudolf za okienkiem... Wiesz, czasem do mnie mówił. Opowiadał sporo, tylko po niemiecku, więc gówno z tego rozumiałem. Pewnie masz rację, Gerda Liebner mogłaby na ten temat powiedzieć więcej, a przynajmniej robić za tłumaczkę. Ale odcięta głowa? Tego dalej nie ogarniam.

– Ja też nie – zgodził się Krzycki. – Psychol, i tyle. Zawsze jednak uważałem, że nawet najbardziej psycholski przypadek ma jakieś podłoże. Kała w przypływie szczerości powiedział mi, że to nie para Rosjan zamordowała wójta Kuleszę, tylko młody Dudas. „Ja mu dam, kurwa, cuda na kiju!”, tak się dokładnie wyraził. Być może ktoś w obecności Dudasa użył takiego zwrotu, a jemu uruchomiła się w głowie wizja dosłownej realizacji, urzeczywistnienia metafory. Psychopaci mają zaburzone odróżnianie tego, co realne, od symbolicznego i wyobrażonego. Wyobraził sobie nabite na kij cudo, którym była głowa ofiary, i postanowił to

zrealizować. Powtarzam, nie wiem, ale mogę to sobie wyobrazić. Meandry ludzkiej duszy...

– Wyjaśnij mi jeszcze jedno – zaczął Lucek, dodając do pozycji kwiatu lotosu złączone palcami dłonie otulające harmonijną kulę wszechświata. – Jeżeli młody Dudas pracował dla Kały, rozmawiał ze Zdybasem i polował na ciebie, to dlaczego wysyłali za tobą jeszcze tego Dziengiela i biednego Benka Mrówczyńskiego? Polecieli jak sondy kosmiczne do eksploracji nowych terenów.

– Tyleż za mną, co za tobą – sprostował Andrzej. – Benek Mrówczyński chciał pomóc Dominice, bo czuł się wobec niej zobowiązany, może trochę winny. Przeżyli szok po twoim zniknięciu. Mam nadzieję, z terapeutycznymi skutkami. Albo chociaż sanitarnymi, wiesz, stajnia Augiasza... Cała słupska komenda chodzi na rzęsach ze strachu i niepewności, trzęsąc się przy tym od plotek i wzajemnych donosów. Niewykluczone, że Zdybas poleci.

– Zobowiązany, powiadasz – mruknął Lucek w zadumie. – Ciekawe, z jakiego powodu. Słuchaj, Andrzej, chciałem cię o coś zapytać. Bo wtedy jak do ciebie dzwoniłem, to mówiłeś, że nie byłeś u Dominiki, a potem że byłeś, a ona też...

– Lucek, dosyć – przerwał mu Andrzej. – Wyluzuj.

– Ale powiedz mi, zaszło coś między wami?

– Guzik ci powiem. Chory jesteś.

– Andrzej, ja muszę wiedzieć. Bo jeśli coś zaszło...

– Weź tabletkę i się zdrzemnij. Jesteś osłabiony, twój układ nerwowy szwankuje i masz hipotermię.

– Wal się, Krzycki, nie mam żadnej pieprzonej hipotermii! Dupa mi trochę zmarzła, i tyle. Chcę po prostu wiedzieć, czy między tobą a Dominiką coś było. Muszę, rozumiesz?

Krzycki poderwał się z krzesła i wybiegł z sali.

– Siostro, można prosić? – krzyknął na cały korytarz. – Chory ma atak! Prędko!

– Andrzej, przestań! – zaprotestował Lucek. – Zatłukę cię normalnie! – A potem dodał niskim, tubalnym głosem imitującym buddyjską równowagę: – Spokojnie. Nic się nie dzieje. Czuję się świetnie i mam niski puls. Spokojnie. Nic się nie dzieje.

Do sali wpadły dwie pielęgniarki i pani doktor Renata Gęsik, ciotka Dominiki.

– Panie Andrzeju, co się stało?

Krzycki przepuścił je w progu i z wyrachowaniem zaczął wyliczać:

– Najpierw zrobił się czerwony na twarzy. Potem drgawki, składanie palców w kulę i bełkot. Również nieuzasadniona agresja, groźby... Czy to coś poważnego?

– Spokojnie, ciociu, spokojnie – szybko wyjaśniał Lucek z wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby zaklinał burzę. – Nic się nie dzieje, świetnie się czuję, jak chcesz, mogę się przejść po pokoju tam i z powrotem. Po prostu wyjaśniamy sobie różne kwestie.

Mówili równocześnie, a ciocia Renata Gęsik spoglądała raz na jednego, raz na drugiego z coraz bardziej rozeźloną miną. Siostry tymczasem mierzyły Bałysiowi ciśnienie i puls.

– Pokaż język – zarządziła w końcu surowym głosem lekarka i nie czekając na odzew, ujęła Lucka pod brodę i ścisnęła policzki, aż mu język wylazł na wierzch. – Spocony jesteś, pewnie masz gorączkę. Siostro, proszę mu jeszcze zmierzyć temperaturę.

Odwróciła go bokiem, przystawiła słuchawkę do pleców i zaczęła opukiwać. Poddając się tym zabiegom z najwyższą niechęcią, Lucek popatrzył na Krzyckiego spode łba. „Zabiję cię”, wypowiedziały bezgłośnie jego usta. Andrzej wyszczerzył zęby w uśmiechu i poszedł na kolejne przesłuchanie.

W ustaleniu tak zwanej prawdy protokolarnej niemałe zasługi położył krakowski komendant Dariusz Byczkiewicz. Nieobecny podczas kluczowych wydarzeń, mógł na nie spojrzeć z obiektywnego dystansu, w czym zdecydowanie pomogło mu odnowienie starej znajomości z komendantem Szkoły Policji w Słupsku – tym samym, który dwa lata wcześniej wysłał do Krakowa Dominikę Rodriguez jako jedną z najzdolniejszych absolwentek. Poza tym Byczkiewicz przesiadywał godzinami w gabinecie Zdybasa, a nawet zawarł bliższą komitywę z paroma prokuratorami z komisji, wyhaczając ich w policyjnej kawiarni. Inaczej mówiąc, dwoił się i troił, aby ustalić niezbędne fakty. Następnie przedstawiał Dorocie, Dominice i Andrzejowi ich protokolarną wersję, zastrzegając, że jeśli coś przekręcą, dojdzie do ludobójstwa. Szczególnie narażony był inspektor Krzycki.

– Andrzej, jak piśniesz choć słowo o tym, że widziałeś tę głowę pod sklepem, to cię ukatrupię. Zrozumiałeś? – tłumaczył w kącie pomieszczenia socjalnego, pijąc trzecią kawę przed południem.

– Ale przecież, Daruś, ja już u ciebie nie pracuję – przypominał mu Andrzej. – Jestem cywilem.

– A ja jestem, w dupę jeża, kosmonautą międzygalaktycznym! Siedź cicho. Wybrałeś się do sklepu, kupiłeś, co trzeba, i pojechałeś dalej. Koniec, kropka. I nie ukradłeś samochodu Dziengielowi, tylko on ci pożyczył na jazdę do Niemiec, bo kia była, była...

– Kijowa.

– Tak, zepsuta. Śmierci tego Dudasa też nie widziałeś, po prostu pies ci uciekł i nie miałeś czasu go szukać. Spieszyłeś na pomoc przyjacielowi.

– Znajdą moje ślady pod brzozą. Włókna na ubraniu tego psychopaty...

– Nie znajdą.

– O, a jak to zrobiłeś? – zainteresował się Krzycki. – Obrabowałeś laboratorium? Zabrałeś im odczynniki? Zagroziłeś kompromitującymi zdjęciami?

– Zamknij się. Ten ich technik to taki ciotas, że wstyd dupę ściska. Jak on się nazywa? Grzywka? Grzebyk? Nasz Jurek Gargulski by go jednym psikiem aerozolu w krasnala zmienił i w probówce zamknął. Palant nie z tej ziemi.

– Czym go przeraźliwie nastraszyłeś?

– Powiedziałem, że Bałyś jeszcze nie wie o preparowaniu obciążających go dowodów. Ale może się dowiedzieć, a wtedy lepiej, by technik poszedł do pierdla na resztę życia. Co mu grozi po jednym zeznaniu Hadczuka. Wyglądało, że rozumie.

– Co z Dominiką i Dorotą? Jak tam idzie sprzątanie?

– Ciszej, kurwa, Krzycki – jęknął Byczkiewicz. – Z wiatraka strzelała Dominika, należała do oddziału specjalnego sformowanego poufnie przez Zdybasa w wigilię planowanej akcji.

– W co???

– No wieczorem! Dorota przyjechała w odwiedziny, znalazła się tam przypadkiem i udostępniła jej samochód, dzięki czemu mogły swobodnie się przemieszczać po okolicy w poszukiwaniu dogodnego stanowiska ogniowego. Tak masz mówić i ani słowa inaczej.

– Aha, „dogodnego ogniowego”, dobra. Rozumiem, że Orangi sam się udusił za kierownicą. Za mocno zawiązał szalik.

– Kto?

– Mówię o tym garbatym służącym jak z *Frankensteina*. Lucek go tak nazwał.

– A, ten. Nie, tam akurat jest czysto. Został zaskoczony od tyłu i prawidłowo obezwładniony. Sierżant Rodriguez zachowała się wręcz wzorowo, a przy okazji uratowała wam obu życie.

Chwilę milczeli, siorbiąc bury płyn na krety, imitujący kawę. Widocznie był to ogólnopolski wymóg regulaminowy, bo u nich na Mogilskiej kawa wyglądała i smakowała identycznie.

– Gdzie jest Lala? – spytał Andrzej innym głosem.

– Rozdzielili ich i badają. Przykazałem, że mają skremować i kupić ładną urnę. Biedna psiura – westchnął Byczkiewicz. – Lubiłem ją bardziej niż ciebie.

– Jak wszyscy – zgodził się Krzycki.

Pokiwali głowami, ponieważ prawda wydawała się z rodzaju niepodważalnych.

– Przyniesiesz mi? Ja nie za bardzo mogę się stąd ruszać.

– Jasne.

Komendant Byczkiewicz zacisnął masywne dłonie na kubku z kawą i Andrzej odczuł niepokój. Nie o szefa, tylko o kubek.

– Wiesz, Andrzej, nie chciałbym, żebyś odchodził. Gdy wyskoczyłeś wtedy z tym telefonem, to się obraziłem. Nie, nie obraziłem, normalnie się wkurwiłem i postanowiłem wywalić cię na zbity pysk. Bądźmy szczerzy, należało ci się. Ale poszedłem na siłkę, wydymałem sto pięćdziesiąt ton na sztangach i para ze mnie zeszła. Nie odchodź, stary. Zresztą dokąd pójdziesz? Przecież nie masz żadnego fachu w rękach, żadnych innych kwalifikacji.

– Zawsze mogę iść nad Wisłę z... – Krzycki ugryzł się w język. – Mogę iść nad Wisłę na piwo. Albo dwa.

– Jak pójdziesz na piwo, zastrzelę cię osobiście – odparł z uśmiechem komendant Byczkiewicz. Gdyby Andrzej naprawdę chciał iść pić, nie mówiłby o tym, jak każdy niepijący alkoholik. Wyglądało na to, że batalia o powrót Krzyckiego została wygrana. – Albo wypożyczę starego poczciwego sig sauera z magazynu i wyślę Dorotę. Uwali cię w kalafior z kilometra.

– O tak, ona na pewno.

– Andrzej, co cię wtedy napadło? Kała aż tak cię wkurwił?

Andrzej zrobił zdziwioną minę.

– Kała? Nie, on był całkiem w porządku. Skurwysyn jak się patrzy.

– No to co?

Wzruszenie ramion.

– Jak to co? Policja.

Zostawił Byczkiewicza, aby w samotności poradził sobie ze swoją zbaraniałą miną, i poszedł do stolika w drugim kącie sali, gdzie właśnie usiedli Rysiek Hadczuk z Łukaszem Latawcem.

4

Siedzieli ze spuszczonymi głowami, ale na jego widok dzielnie starali się uśmiechnąć.

– O, idzie nasz prestidigitator – powitał go Hadczuk.

– Magik – przytaknął Łukasz. Siedział sztywno, skrępowany w tułowiu okazałym opatrunkiem. Na szczęście postrzał okazał się powierzchowny.

– Obłożnie chory niemowa i nagle hyc, gada, lata, pełny serwis!

– I znika jak królik w kapeluszu.

– Przepraszam, panowie – powiedział Krzycki, siadając. – Wybaczcie. Tylko tak mogłem coś zrobić.

– No i zrobiłeś – odparł komisarz. Daleko za miastem odezwał się grzmot burzy i wszyscy trzej równocześnie spojrzeli w okno. Pierwsze podmuchy wiatru kręciły kurzem na parkingu z tyłu budynku komendy. Żaden nie patrzył na pozostałych, choć byli pewni, że myślą o tym samym.

– Kiedy pogrzeb? – spytał wreszcie Andrzej.

– Dopiero za trzy dni, we wtorek – odparł Łukasz. – Zostaniecie?

– Jasne, oczywiście. Jak moglibyśmy wyjechać.

Zamilkł i znowu wszyscy trzej patrzyli w okno. Liście osiki szumiały na wietrze. Po paru minutach milczenie stało się zbyt ciężkie i należało mu odebrać bezwzględne panowanie nad atmosferą. Zmiany podjął się Andrzej.

– Jak przesłuchania? – spytał. – Bardzo was maglują?

– Ja swoje wyjaśniłem i chyba kupili – powiedział Hadczuk. – Tylko Łukasza wciąż męczą o tę zastrzeloną Rosjankę. Mówią, że wykonał

egzekucję.

– Trochę jakby wykonał – mruknął Andrzej.

– Tylko że oni nie muszą o tym wiedzieć – dodał Hadczuk.

– Trochę chyba to widać.

– Wykonał, bo nie miał innego wyjścia.

– To pachnie na kilometr zemstą.

– Raczej żądzą.

– O co wam chodzi? – zaperzył się Łukasz. – Bez przesady! Po prostu broniłem się przed morderczynią. To ona chciała wykonać egzekucję – dodał, pokazując usztywniony opatrunkiem tors. – Tak zresztą im powiedziałem.

– Już poprzedniego wieczoru strzelała do ciebie. Oczami. Jak ona to powiedziała? *Krasawiec*.

– Nieźle – odezwał się Andrzej. – Co ona ci zrobiła?

Latawiec otworzył usta, ale Rysiek go uprzedził.

– Celowała prosto w serce. I trafiła.

Dwaj szefowie wydziałów kryminalnych, krakowskiego i słupskiego, wymienili spojrzenia. Tak to już jest z tą młodzieżą w policji. Instynkty biorą górę nad rozsądkiem, nie mówiąc już o regulaminie interwencji policyjnych.

– Walcie się!

– Widziałem kiedyś trupa – ciągnął komisarz, nie zważając na protesty podwładnego – z trzema dziurami w czole. Dwie wyżej i jedna niżej, na środku. Facet mierzył z odległości pół metra, żeby je wywiercić dokładnie, powiedziałbym – pieczołowicie. Robił to starannie, z uwagą, jakby w tym trójkąciku śmierci chciał wypowiedzieć całego siebie. Strzelał do kobiety. Taka precyzja...

– Ludzie tacy są, powiem ci. Niektórych odruchów za nic nie zrozumiesz – zauważył Andrzej. – Człowiek to jedna wielka zagadka. A już najbardziej

wtedy, kiedy chodzi o trafienie prosto w serce. Najlepszy kardiochirurg nie usunie takiej kuli.

– O czym wy gadacie? – oburzył się Łukasz. – Co to za insynuacje? I nie trzy, tylko jedna. To znaczy dwie. I wcale nie pieczołowicie, tylko normalnie. Nie miałem wyjścia! Nic między nami nie było, nawet nie znam jej imienia!

Wykrzykiwał tę swoją samoobronę płaczliwym głosem, a oni słuchali, potakując. Gdy skończył, równocześnie wzruszyli ramionami.

– Skoro tak twierdzisz – powiedział Rysiek.

– Tak, to na pewno nie ten przypadek – zgodził się Andrzej. – Mieliśmy co innego na myśli.

– Co?

Spojrzeli po sobie. Żaden nie podjął się odpowiedzi i pytanie Łukasza zawisło w powietrzu. Nagle przyciemnione niebo za oknem błysnęło, a potem huknął piorun. Aby metafora wybrzmiała mocniej, zestaw błysk plus piorun powtórzył się. Krzycki pokazał ręką za okno i uniósł brwi.

– Tak, tak – potwierdził Hadczuk.

Zaczął kropić deszcz.

– Aa, pieprzcie się obaj! – rzucił Łukasz z napiętą twarzą i wyszedł. Patrzyli za nim przez dłuższą chwilę, dopóki następny grzmot nie wyrwał ich z zamyślenia.

– Mówię ci, młodzież dzisiaj taka wrażliwa – zakończył temat Rysiek i dopił kawę. – Idziesz na następną spowiedź?

– Tak. Na dzisiaj zostały mi jeszcze brzezina i wysokie napięcie. Słuchaj – Andrzej pochylił się ku koledze, zniżając głos – o co chodzi z tą kancelarią? Kogo ty tam kryjesz?

– Tam? Nikogo. Smucie i Wądlikowi wsadziłbym do tyłków rozżarzone żelazo, wiesz, zimnym końcem do środka, żeby nie mogli wyjąć.

– To o kogo tu chodzi?

Komisarz zrobił pokerową minę.

– Palisz?

– Nie.

– To chodź na papierosa.

Na zalanym deszczem dziedzińcu ukryli się pod rowerową wiatą. Pioruny waliły rzadko, ale mocno.

– Chodzi o aniołki Kuleszy – zaczął Rysiek i opowiedział o pięciu dzielnych kobietach z urzędu gminy w Przestawnie, które od początku o wszystkim wiedziały i postanowiły wymierzyć sprawiedliwość na własną rękę, porywając mecenasa Wądlika. Wymusiły na nim nawet przyznanie się do winy. Zrobiły to, ponieważ nie miały zaufania ani do policji, ani do nikogo innego. – Zupełnie tak jak ty, Krzycki – zakończył i klepnął go w ramię.

Tamten mu oddał i uciekł, zakrywając głowę przed deszczem cienką letnią marynarką. I tak wrócili na przesłuchania, okładając się kułakami jak niegrzeczni chłopcy na podwórku.

5

Pogrzeb sierżanta Benedykta Mrówczyńskiego oraz starszego posterunkowego Zbigniewa Dziengiela odbył się upalnego 29 sierpnia o drugiej po południu w kaplicy na Cmentarzu Komunalnym w Słupsku. Po mszy celebrowanej przez wszystkich trzech biskupów diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej koledzy w galowych mundurach wynieśli trumny i przy wtórze tupotu kompanii honorowej oraz płaczu rodzin ponieśli je alejkami do miejsc wiecznego spoczynku. I podczas mszy, i podczas przemówień nad grobami padło wiele dostojnych słów, wychwalano poświęcenie i szlachetne uczynki obu poległych, starannie unikając tych mniej szlachetnych, żegnano ich zbiorem rytualnych zwrotów i patetycznych deklaracji, z których większość zostanie zapomniana zaraz za bramą cmentarza.

Krzycki wyszedł z kaplicy wcześniej. Podczas mszy zwykle miał problem z wytrzymaniem do końca kazania. Nigdy nie umiał przełożyć jego sensu na własne życie, a w związku z tym nie widział powodu słuchać. Poza tym nie umiał się modlić, nie pamiętał tych wyślizganych formułek, pozbawionych jakichkolwiek odniesień i nie ufał księżom. Niewiele tu zmieniał fakt, że jego przyrodni brat był księdzem, i to w randze biskupa pomocniczego.

Minął paru policjantów i ochroniarzy pilnujących wejścia, po czym polazł bez celu między grobami aż pod ogrodzenie. Daleko nad łąkami krążyło wielkie stado bocianów. Szykowały się do odlotu do ciepłych krajów. Młode pilnie śledziły poczynania starszych i uczyły się sekretnych szyfrów do komunikacji podczas trudnej przeprawy, z której wiele z nich nigdy tu więcej nie powróci.

– Liczysz bociany?

Dorota położyła mu dłoń na ramieniu galowego munduru pożyczonego od Ryśka Hadczuka, ponieważ mieli podobne figury.

– Przyłączysz się?

Popatrzyła mu w oczy. Były wyjątkowo ciemne i błyszczące, co na cmentarzach nie tak rzadko się zdarza.

– A powinnam?

– Uhm. – Wziął ją za rękę. – Ja liczę stare, a ty młode. Latają niżej i robią mniejsze kółka. Zaczynamy?

Raz, dwa, trzy...

Stali przy płocie i trzymając się za ręce, na głos liczyli bociany nad słupskimi łąkami. Lucek, który ich przy tym nakrył, chciał powiedzieć, że wyglądają jak Jaś i Małgosia przed chatką Baby Jagi, ale się rozmyślił. Uznał, że w takiej chwili lepiej im nie przeszkadzać.

Długo trwały targi, w jakiej konfiguracji będą wracać, ponieważ mieli trzy samochody. Audi wymagało grubszej naprawy i zostało w Słupsku. Rysiek Hadczuk obiecał odwieźć je osobiście do Krakowa, kiedy już będzie gotowe. Wreszcie stanęło na tym, że Dominika z Dorotą pojadą kią, a faceci każdy swoim, czyli Lucek służbowym białym volvo, a Andrzej czerwoną toyotą rav 4. Komendant Dariusz Byczkiewicz wrócił do Krakowa zaraz po pogrzebie, dopilnowawszy wcześniej, aby prawdy protokolarne zostały zapisane dokładnie tak, jak je w trudzie i znoju przez ostatnie dni ustalał.

Urna z prochami Lali była mała, niewiele większa od kubków na kawę z policyjnej kantyny. Zawinął ją w koc, który nadaremnie czekał w bagażniku na swoją panią, i ustawił w kącie za siedzeniem. Podparł podróżną torbą, obok położył miskę i paczkę niezjedzonej karmy, kupioną w sklepie u Lucyny Śmigoń. W pierwszym odruchu chciał rozsypać prochy na polu gryki pod Słupskiem, ale po namyśle postanowił zawieźć je do Krakowa i wrzucić do Wisły. Pójdzie z nią na ostatni spacer.

Wyruszyli ze Słupska o zmierzchu. Taką porę zgodnie wszyscy uznali za najbardziej odpowiednią, przy czym każde z nich musiało coś przysiąc. Dziewczyny przysięgały, że będą się zmieniać za kierownicą. Lucek z niewyobrażalnie pokrętnym wyrazem twarzy zapewniał, że nie będzie się ścigał ani z nimi, ani z Andrzejem. Ten z kolei obiecał dzwonić do całej trójki na przemian, żeby nie pozasypiali i nie narobili nowych nieszczęść. Dosyć mieli starych.

Jeszcze przed Bytowem inspektorowi Krzyckiemu zebrało się na stronę, ponieważ cały wieczór pił kawę przed nocną jazdą. A może tylko szukał pretekstu, żeby ostatni raz spojrzeć na wielkie, tajemnicze straszydła nad pomorskimi polami. Machały do niego z daleka, pod księżycem w pierwszej kwadrze, a ten łaskawie gładził je po łysych, błyszczących w jego świetle gondolach.

Zadzwonił do Lucka i przekonał go, że on też musi. Zjechali na mały leśny parking. Noc była cicha i jeśli mówiła, to tylko głosami, których żywi ludzie nie słyszą.

– O czym myślisz? – spytał Lucek prostodusznie. Stali na skraju łąki. Czerwone lampy migały w oddali.

– O tym, czy wszystko załatwiłem. I już wiem, że nie.

– Chcesz tu jeszcze przyjechać?

Andrzej roześmiał się krótko, ale zaraz spoważniał. Pokazał ręką na pola.

– Czy chcę? Popatrz, jak nas wołają. To z chceniem nie ma wiele wspólnego. Trzeba przyjechać i doprowadzić rzeczy do końca. Czyli do początku.

Lucek pokiwał głową porośniętą optymistycznymi zapowiedziami wielkiego powrotu Zakręconego Loczka. Niech będzie, że rozumie. Ciekawe, czy Andrzej go zabierze. I czy on zdąży się do tego czasu trochę poduczyć niemieckiego. Na te stare cmentarze w zagajnikach by się przydało.

Wsiedli. Odjechali. Gdy tylko światła ich samochodów znikły za łukiem drogi, zerwał się nocny wiatr. Gdzieś za lasem zaszczekał pies. Skrzydła ruszyły, obracały się coraz szybciej i szybciej, aż nabrały swego powietrznego rotoru i zaczęły szalony taniec w blasku sierpniowego księżyca. Szszt, szszt, szszt. Maciuś Ploh powiedziałby, że wiatraki się śmieją.

KONIEC TOMU DRUGIEGO